

**EILEEN  
GOUDG  
CÓRKI SENATORA**

# PROLOG

*Waszyngton, dystrykt Columbia, 1964 r.*

Musi to być coś nagłego, pomyślała Grace.

Inaczej dlaczego tata jechałby tak szybko? Spojrzała na jego mocno zaciśnięte usta, na długie bruzdy w policzkach jak pęknięcia w otoczaku. Tata śmiał się często i głośno, a wtedy rysy przecinały jego twarz jak wstążki na wspaniałym wielkim prezencie.

Ale teraz się nie śmiał. Kiedy niedawno zadzwoniła jego sekretarka, Grace usłyszała, że tata mówi cichym, drżącym głosem, jak gdyby starał się uspokoić Margaret, a jednocześnie jej i Sissy uniemożliwić podsłuchiwanie. Ale co mogło tak zdenerwować Margaret? Za swoim biurkiem we frontowym pokoju wielkiego, wykładanego boazerią biura taty wydawała się zawsze taka spokojna i rozsądna. Tata lubił żartobliwie mówić o swojej sekretarce, że powinna rządzić Pentagonem zamiast prowadzić tylko jego biuro w budynku Senatu.

Margaret prawie nigdy nie dzwoniła do taty do domu, a kiedy to robiła, zazwyczaj chodziło o ważne papiery, które należało wysłać, albo o pilną wiadomość. Jej obowiązkiem było, usłyszała kiedyś Grace od Margaret, pilnować, by ludzie nie nachodzili taty.

Szczególnie podczas weekendów. Wiele razy, kiedy tata nie mógł przyjechać do domu do Nowego Jorku,

Grace i Sissy, eskortowane przez nianię, jeśli mama była zajęta, jechały pociągiem do Waszyngtonu i zostawały z tatą w jego mieszkaniu przy P. Street. A jeśli zadzwonił ktoś, kto zdołał ominąć Margaret, tata kończył rozmowę możliwie najszybciej, obdarzając Grace swoim specjalnym mrugnięciem: to nic takiego, co nie mogłoby czekać do poniedziałku.

Ludzie wciąż telefonowali lub pisali do taty. Ludzie bez grosza, którzy potrzebowali pracy. Ludzie, którzy chcieli jego pomocy w forsowaniu ustaw. Przychodzili do niego czarni, niektórzy z gniewnymi żądaniem, niektórzy ze łzami płynącymi po policzkach, by podziękować mu za wszystko, co zrobił dla ich sprawy.

Dziwne, ale teraz to Margaret potrzebowała taty. Jak tylko tata odłożył słuchawkę, pospiesznie wyprowadził je do samochodu, nie czekając nawet, aż niania wróci z kościoła.

Kamienice i zatłoczone chodniki starej dzielnicy Alexandria ustępowały miejsca trawnikom i ocienionym drzewami domom Mount Vernon. Grace zacisnęła rękę na lśniącym uchwycie buicka. Przypuśćmy, że zdarzy im się wypadek i będzie musiała szybko wyskoczyć? Tata prowadził w taki sposób, że żołądek podszedł jej do gardła, gdzie utkwiał jak grudka połkniętej gumy balonowej.

- Tato, dlaczego... - urwała, kiedy ostro, z piskiem opon, skręcili za róg.

- Nie teraz, Grace - powiedział tata z lekką irytacją, nie odrywając oczu od drogi. Jego siwiejące rude włosy były bardziej rozwichrzone niż zwykle, odstające nad uszami i czołem.

Obok niej siedziała Sissy, spokojnie ssąc kawałek czerwonej ciagutki z lukrecją. W wieku pięciu lat była bardziej posłuszna niż Grace, która miała prawie dziesięć i powinna być mądrzejsza. W swojej letniej sukience z różowej bawełny w kropki i białych pantofelkach Sissy przypominała Grace pulchną poduszkę z falbankami. Z tym że poduszka nie piszczy i nie skamle tak jak Sissy,

kiedy mamy i taty nie ma w pobliżu i nie mogą widzieć, jaka potrafi być marudna.

„Co za słodkie dziecko” - mówiono zawsze o Sissy. Nikt nigdy nie mówił tego o Grace, z jej wiecznie pokrytymi strupem kolanami i miną mówiącą, że chce wiedzieć więcej niż się jej mówi.

Kiedy Grace zapytała raz matkę, dlaczego nie mogą się wszystkie przeprowadzić do Waszyngtonu i zamieszkać z tatą, dlaczego muszą czekać aż on nie zostanie wybrany na następną kadencję, matka warknęła: - Zadasz za dużo pytań.

Według mamy nie było zbyt grzecznie zadawać za dużo pytań. Grace milczała teraz, kiedy tata zatrzymał się przy krawężniku przed odrapanym żółtym domkiem, schowanym za rozrośniętymi krzewami i drzewami o nisko zwieszających się gałęziach. Patrzyła, jak otwiera drzwi po swojej stronie, odwracając się ku niej dopiero wtedy, kiedy wysunął nogę na zewnątrz.

- Opiekuj się siostrą, słyszysz? Ja zaraz wracam - zdało się, że tacie brak było tchu, kiedy wyciągnął dużą rękę o zaczerwienionych knykciach i poklepał Grace po kolanie.

Grace nie rozumiała, dlaczego nie mogą wejść z nim do środka. W biurze Margaret zawsze witała je z uśmiechem. Czasami miała schowaną w szufladzie biurka paczuszkę wafli cytrynowych i robiła wielkie przedstawienie, pozwalając Grace i Sissy wziąć po jednym, udając jednocześnie, że to w sekrecie przed tatą. Dlaczego Margaret nie chce widzieć ich teraz?

Grace chciała powiedzieć coś o tym, jaka jest wystraszona i zmartwiona. Ale skinęła tylko głową, mówiąc: - Dobrze, tatusiu.

- Grzeczna dziewczynka.

Odkąd pamiętała, nazywał ją tak, swoją grzeczną dziewczynką. A ona rzadko była posłuszna. Nie dlatego, że się nie starała, tylko dlatego, że była taka ciekawa. Kiedy kazano jej nie ruszać się z miejsca, nie mogła się powstrzymać, by nie wysuwać głowy za drzwi albo nie

podchodzić na palcach do szczytu schodów, by usłyszeć lub zobaczyć coś, co chcieli ukryć przed nią dorośli. Jak wtedy, kiedy tata protestował, ponieważ siostra mamy, Selma, wyszła za męża, a Gemma i Charles nie zostali zaproszeni na ślub.

- Blessing to jest głębokie Południe, Gene. Ty i twoja komisja dokonaliście cudów, jeśli chodzi o Murzynów, ale nie możesz oczekiwać, że wszystko zmieni się w ciągu jednej nocy - głos matki niósł się w górę schodów ich przedwojennego mieszkania przy Park Avenue, gdzie Grace siedziała skulona za rzeźbionym słupkiem balustrady. - Oczywiście, zgadzam się, że powinni byli zostać zaproszeni. Są w naszej rodzinie, odkąd nosiłam pieluchy. Ale znasz matkę. Dostałaby następnego udaru, gdybym nalegała.

Tata mruknął coś w tym rodzaju, że jeśli chodzi o niego, jeszcze jeden udar babci nie byłby taką złą rzeczą. Potem, jak gdyby chcąc okazać mamie, że tak nie myśli, powiedział kpiąco: - Czasami wydaje mi się, Cordelio, że wyszłaś za mnie tylko po to, żeby zaszokować swoją matkę. - Grace po brzmieniu jego śmiechu, niskim i grzmiącym, narastającym jak wielki balon, poznała, że on nie wini mamy za upór babci Clayborn.

Teraz, patrząc na szerokie, pochylone plecy ojca, oddalające się ocienioną frontową ścieżką, Grace miała wielką ochotę pobiec za nim. Zastanawiała się, jaki jest dom Margaret w środku. Nigdy nie myślała, że ona może przebywać gdziekolwiek indziej niż za pierwszym biurkiem w biurze taty, nad czarną maszyną do pisania i schludnymi stosami papieru.

Ale nie mogła pójść za tatą. Obiecała.

Sięgnęła do kieszeni kombinezonu po własną czerwoną ciążutkę z lukrecją. Nie była taka jak Sissy, która połykała łakocie jak tłusta złota rybka. Grace lubiła chować rzeczy na później. Zabawniej było cieszyć się na coś godzinami, a nawet przez cały dzień. Ale kiedy wyjęła ciążutkę, którą rano dał jej tata, zobaczyła, że zrobiła się

cała lepka i była pokryta drobinami bawełny. Mimo to zaczęła ją żuć, wściekła na siebie i wściekła na Sissy, która była za mała, żeby wiedzieć, co się dzieje.

- Gorąco mi - jęknęła Sissy.

Grace opuściła do końca szyby w obojgu przednich drzwiach. - Masz - starała się to powiedzieć tak jak matka, gdy chciała zamknąć temat raz na zawsze.

- Ciagle mi gorąco - wiła się obok niej Sissy.

Słońce prażyło przez przednią szybę tak, że zatopione w cieniu drzewa wokół domu wydawały się jak chłodny potok, ośmielający Grace do podwinięcia nogawek spodni i brodzenia.

Grace, sama rozgrzana i zirytowana, warknęła: - Wcale nie. I jeśli nie zostawisz tych butów w spokoju, trzepnę cię.

Sissy przestała odpinać pantofelek i zaczęła płakać, wydając cichy, bezcelowy odgłos jak brzęcząca na szybie mucha. Ciągutka wysunęła jej się z dłoni i przywarła do zagłębienia w podłodze grubym lepkiem zakrętasem. Grace próbowała wytrzeć lepką rękę Sissy pomietą papierową chusteczką, ale to zdawało się tylko pogarszać sprawę. Okragła jak bułeczka twarz Sissy skurczyła się cała i łzy popłynęły jej po policzkach. - Chcę do mamy! - zawyła.

- Chcesz powiedzieć, do taty - poprawiła ją Grace.

- Chcesz do taty.

- Nie, do mamy!

- Mama jest w Nowym Jorku - warknęła Grace.

- Masz - wyciągnęła swoją ciągutkę do Sissy - możesz wziąć.

- Nie chcę! - Sissy rzuciła ją na siedzenie.

Grace sama miała ochotę się rozpłakać. Świerbiło ją od gorąca i żałowała, że warknęła na Sissy, bo teraz również chciałaby zdjąć buty. Na domiar wszystkiego musiała pójść do łazienki.

- Zaraz wracam - powiedziała do Sissy. - Nie ruszaj się stąd. - To tak, jak powiedzieć rybie, żeby nie odfrunęła, pomyślała. Sissy często jęczała, ale nigdy niczego nie robiła.

Idąc ścieżką, Grace zapomniała, jaka była zirytowana na siostrę i znów zaczęła się bać. Z wnętrza domu dobiegły ją dźwięki - niedobre dźwięki. Krzyki. Głos, który brzmiał jak głos Margaret - przenikliwy, błagalny. I męski głos, ale nie głos taty - ochrypły i przyciszony. Pan Emory? Grace nigdy nie myślała o fotografii na biurku Margaret - o mężczyźnie o brązowej twarzy, w jakimś mundurze - jak o realnej osobie.

Poczuła, że skóra jej cierpnie. Szybko powiedziała sobie, że hałas prawdopodobnie pochodzi z telewizora, nastawionego zbyt głośno. Wewnątrz dom będzie chłodny i cichy. Margaret będzie miała na sobie świeżo wyprasowaną spódnicę i bluzkę, uśmiechnie się, pochyli tak, by móc popatrzeć Grace prosto w oczy, i powie: - Ojej, rośniesz tak szybko, że ledwie mogę za tobą nadążyć.

Margaret Emory była Murzynką, ale ani nie wyglądała, ani nie zachowywała się jak Gemma czy stary Charles. Po pierwsze, nie była bardzo ciemna. Jej skóra miała kolor beżowego pudru do twarzy, jaki mama miała w torebce i muskała nim nos. Nosiła jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach jak mama. Jej włosy były gładkie i podwinięte na końcach. Kiedy rozmawiała przez telefon, umawiając tatę na spotkania, mówiła bardzo rzeczowo. Większość ludzi zwracała się do niej „pani Emory”, ale ona powiedziała Grace, że może mówić do niej Margaret, tak jak tata.

- Kim ty jesteś?

Grace zatrzymał w miejscu gardłowy głos, który zaatakował ją z cienia, zalewającego otoczony drzewami ganek.

- Ja... szukam mojego taty - Grace przymrużyła oczy, żeby mogły przywyknąć do nagłego mroku.

Na najwyższym schodku siedziała chuda dziewczynka w butach do roweru i w za dużym podkoszulku. Grace rozpoznała ją natychmiast z oprawionej w ramki fotografii, która stała na biurku Margaret obok fotografii pana Emory'ego. Miała jasną skórę swojej matki i jasno-

zielone oczy. Jej włosy sterczały w grubych warkoczach po obu stronach pociągłej twarzy o dziwnych, ukośnych kościach policzkowych.

- Nie o to cię pytałam.

Grace znowu zdumiał ten zamglony, niemal dorośle brzmiący głos. Przypominał jej wychowawczynię, pannę March, która malowała się ciemnoczerwoną pomadką i cuchnęła papierosami. Czuła, jak wzbiera w niej irytacja. - Jestem Grace Truscott - odpowiedziała. - A ty?

- Nola - zabrzmiało to bezceremonialnie, prawie niegrzecznie.

- Aha.

Grace zerknęła na frontowe drzwi z owalną szybą, która zdawała się mrugać do niej łobuzersko. Potrzeba pójścia na siusiu stawała się rozpacзлиwa. Grace postawiła stopę na najniższym stopniu ganku.

- Nie możesz tam wejść - poinformowała ją Nola swoim głosem nauczycielki. I jak gdyby Grace była dwulatką, której trzeba wszystko wyłożyć, dodała: - Rozmawiają.

- Kto?

- Mama, tata i wujek Gene.

Ale to było coś więcej niż rozmowa. Nawet z daleka głos pana Emory'ego zdawał się uderzać w cienistą ciszę jak pięść, która za chwilę coś roztrzaska. Grace było gorąco i słabo. Bała się, że zesika się w majtki.

Była również zła. Na tę gburowatą dziewczynkę, która zachowywała się tak, jak gdyby miała pełne prawo nazywać tatę „wujkiem Gene'em". Wtedy przypominała sobie, iż tata jej mówił, że ilekroć Margaret musiała pracować po godzinach, Nola przychodziła do biura odrabiać lekcje. To dlatego, że ojciec Noli, marynarz floty handlowej, często był nieobecny, a w domu nie było nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować. Grace mogła sobie wyobrazić tatę, zapraszającego Nolę do swego gabinetu, pomagającego jej w matematyce, może pozwalającego jej zwijać się na sofie o miękkich poduszkach tak, jak ona lubiła to robić. Ponieważ Nola jest



taka dziwna, był dla niej szczególnie miły. Tata miał słabość do dziwaków - oni czynią świat bardziej interesującym, mawiał.

Grace zapomniała o Noli, gdy głosy w domu wzniosły się do pełnego furii rejestru.

- Zdaje się, że są wściekli - powiedziała Grace, zatrzwożona.

- To tylko tata. On czasami robi się taki - Nola wzruszyła lekko ramionami, ale Grace widziała zbielełą, ściągniętą skórę po obu stronach jej ust. Zauważyła, że Nola wciąż siedzi z kolanami przyciśniętymi do piersi, z chudymi ramionami mocno owiniętymi wokół łydek. Ona też się boi, uświadomiła sobie Grace.

Ale gdy tylko Grace wspięła się po schodach i zaczęła przemykać obok niej, Nola zerwała się na równe nogi, najeżona jak kot. Była o kilka centymetrów wyższa niż Grace, miała długie kościste ręce i duże stopy. - Nie możesz tam wejść - powiedziała, gwałtowniej tym razem.

- Muszę pójść do łazienki - poinformowała ją Grace wyniośle.

- Mama powiedziała, żeby pozostać na dworze - Nola spojrzała na nią tak, jak patrzyła panna March, kiedy Grace odzywała się w klasie nie podnosząc ręki. Te jej dziwne, zielone oczy zwęziły się w szparki, jak gdyby miała zamiar rzucić się na Grace.

Grace mimo to przemaszerowała obok niej. Poczuła, że Nola chwyta ją za ramię, ale wyrwała je i podeszła prosto do drzwi wejściowych.

- To nie jest twój dom - syknęła Nola.

- Nic mnie nie obchodzi, czyj to dom.

Grace drżała i miała wrażenie, że jej majteczki już są trochę wilgotne. Ale nie miała zamiaru dopuścić do tego, żeby ta tyranka zobaczyła, że ona się boi. Pchnęła drzwi i wślizgnęła się do środka. - Tato! - krzyknęła, ale dźwięk, jaki usłyszała, nie był głośniejszy od szeptu.

Pędząc przez małą, schludną bawialnię Margaret, podążała za krzyczącymi głosami, które stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak wchodziła w głąb domu. Serce

jej waliło. Na końcu wąskiego, słabo oświetlonego korytarza dostrzegła otwarte drzwi. Stamtąd, gdzie stała, mogła widzieć tylko oparcie krzesła i przerzuconą przez nie męską marynarkę. Podkraśniała się bliżej, przesuwając się tak, że mogła zajrzeć do środka przez nikogo nie zauważona.

Żaluzje były opuszczone, ale wąskie smugi światła przeciekały przez nie, rzucając pasiaste cienie na porządnie zasłane podwójne łóżko i toaletkę, która wyglądała obco, zanim Grace uświadomiła sobie dlaczego: nie było żadnych zawałających jej powierzchnię drobiazgów, żadnych flakoników perfum, żadnych słoiczków z kremami czy pomadek, nic prócz zwykłej drewnianej szczotki do włosów. Inaczej niż na toalecie w pokoju mamy z jej koronkowym szalem, porcelanową miseczką na biżuterię z Limoges i oprawionymi w srebro szczotkami i grzebieniami.

Margaret, ubrana w miękką niebieską domową sukienkę, która w niczym nie przypominała wyprasowanych kostiumów, jakie nosiła do pracy, stała zwrócona plecami do toaletki, z ręką przyciśniętą do ust i oczami okrągłymi od paniki. Naprzeciw niej, po drugiej stronie łóżka, stał wysoki mężczyzna w marynarskich spodniach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami. W przyćmionym świetle jego ręce połyskiwały ciemno.

Tata kręcił się niezdecydowanie w drzwiach, plecami zwrócony do Grace. Widziała jego odbicie w lustrze za Margaret, wysokiego i z rozwichrzonymi włosami, co przypominało jej historię o Samsonie, którą siostra Bonifacja opowiedziała na lekcji katechizmu. Przypominała sobie jeszcze jedną historię, którą opowiedział jej tata, a która zdarzyła się, kiedy był strażakiem, jeszcze zanim został wybrany do Kongresu. Historię o tym, jak kiedyś wpadł do płonącego domu, grożącego zawaleniem się w każdej chwili, i wyniósł trzyletniego chłopca, który dla bezpieczeństwa schował się pod łóżko. Kiedy schodził po drabinie w dół, szyba eksplodowała mu prosto w twarz i gdyby nie hełm i maska, tata mógłby zginąć.

Wciąż miał nad okiem czerwonawą bliznę, po której Grace uwielbiała wodzić palcem. Skóra na niej była miękka, niemal jedwabista, niepodobna do szorstkości reszty jego twarzy.

Teraz, gdy odbicie taty prawie skryło się w cieniu, widziała tylko tę bliznę, żywo wyróżniającą się w wiązce światła.

- Odłóż to, Ned, zanim komuś stanie się krzywda - jego głos potoczył się jak grom ze szczytu góry.

Grace zobaczyła wtedy broń, którą trzymał mąż Margaret. Nagle zabrakło jej tchu. Próbowwała wciągnąć powietrze do płuc, ale były jak zapchane watą. Pochyliła niżej głowę, zbyt wystraszona, żeby uciekać.

- A kim ty, do diabła, jesteś, że włączysz do cudzego domu i wydajesz polecenia? - Ned pomachał bronią w kierunku taty. - Taa, wiem, jesteś wielkim bohaterem, któremu wszyscy czarni całują buty. Maszerujesz tam sobie z doktorem Kingiem w obronie praw czarnych. Taa, a co z prawami tego tutaj czarnego? - głos załamał mu się w szlochu. Broń zachybotwała niepokojąco w jego garści. - Co z człowiekiem wracającym do domu, do żony, która już nie jest jego żoną?

- Nie wiesz, co mówisz, Ned - tata starał się przemówić mu do rozsądku. W jego głosie nie było strachu, tylko smutek, jak wtedy, kiedy mówił do mikrofonów podczas pogrzebu prezydenta Kennedy'ego.

- O rany, człowieku, nie mów, że ja nie wiem! - Ned prawie wrzeszczał. - Myślisz, że jak jesteś szefem, człowieku, to znaczy, że płacisz tutaj rachunki i mówisz, co jest co? Nie masz bladego pojęcia o niczym, co się dzieje poza tym twoim eleganckim biurem... - Grace nagle zdała sobie sprawę, że on płacze, że policzki ma wilgotne i rękę niepewną, kiedy podniósł broń, mierząc nią w Margaret.

- Odłóż to, Ned - bardziej surowo tym razem powiedział tata. - Bez względu na to, do jakiego nieporozumienia doszło między tobą a Margaret, jestem pewien...

- Nie ma żadnego nieporozumienia! - krzyknął Ned.

- Widziałem to, co widziałem - patrzył teraz wprost na Margaret i ścisnął broń, żeby nie drżała mu w dłoniach.  
- Ty... ty... dziwko! Zawsze myślałaś, że jesteś lepsza od reszty nas, czarnych. Nawet mówisz jak biała. A teraz odbierasz mi wszystko, co mi jeszcze zostało. Jezu Chryste, powinienem cię za...

- Nie, Gene! - głos Margaret wzniosł się do krzyku, kiedy tata wypadł do przodu, rzucając się na Neda.

Grace, skulona na zewnątrz, w korytarzu, poczuła, że całkiem nieruchomieje. Czuła tylko szalone bicie swego serca, które nagle stało się za duże dla jej ciała. Coś ciepłego i wilgotnego pociekło jej między nogami i mgliście uświadomiła sobie, że się zmoczyła. Ale było to tak, jak gdyby wszystko to zdarzyło się komuś innemu. Patrzyła bezradnie, jak tata i Ned szamocą się w pokoju. Tata był wyższy, ale pan Emory rozwścieczony i oszalały. Dziwne gulgocące dźwięki wydobywały się z jego gardła, kiedy wykręcał ramię, przygwożdżone przez tatę, próbując się uwolnić.

Grace jak zahipnotyzowana wpatrywała się z przerażeniem w broń, oświetloną smugą pylistego światła padającego na naprężające się palce Neda, jak w morderczy klejnot, obracany w tę i w tę, rzucający groźne błyski.

Nagle rozległ się ogłuszający trzask - jak gdyby pokój rozpadł się na pół - który wdarł się gwałtownym dźgającym bólem do jej uszu i wyszarpnął spod niej nogi. Upadła ciężko na kość ogonową.

Przez huczącą mgłę, która zdawała się spowijać jej głowę, patrzyła, jak Ned pada na łóżko. Wielki czerwony kwiat wykwitł mu na szyi, rozrastając się na białą narzutę.

Krew. To jest krew.

Zasłoniła uszy rękoma i zaczęła krzyczeć. A przynajmniej miała wrażenie, że krzyczy. Ale jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się z jej ust, było głośne sapnięcie. Podłoga zakołysała się i zawirowała pod nią. Jej strach był ogromny jak olbrzymi potwór, który ją połknął, nie

pozostawiając w niej miejsca na odczuwanie czegokolwiek innego. Ale potem jej odrętwienie zaczęło ustępować. Szczypało ją pod zmoczonymi majteczkami. Siedzenie bolało ją tam, gdzie ciężko uderzyła o podłogę. Jednak kiedy spróbowała wstać, nogi załamały się pod nią jak pod papierową lalką.

W końcu, opierając się o ścianę, Grace zdołała się podnieść. Cofając się wpadła na kogoś. Wydała zduszony okrzyk i odwróciła się szybko. Chuda dziewczynka stała tam, zastygła; jej oczy nie były już zmrużone, ale okrągłe i bladoszrebrzyste jak pięciocentówki. Ona także to widziała. Wszystko widziała.

Obie odwróciły się, kiedy Margaret wydała dziki, przenikliwy krzyk. Patrząc, jak broń wypada tacie z ręki i głucho uderza o podłogę, jak Margaret opada na kolana przed zakrwawionym łóżkiem, gdzie leżał Ned, Grace chciała wziąć gumkę i wymazać wszystko, jak wtedy, kiedy pomyliła się w pisaniu planu zajęć. Chciała, żeby to się nie stało. Żeby ona, tata i Sissy siedzieli w samochodzie, jadąc na wybrzeże w Maryland, gdzie tata kupiłby im bułki z łososiem, a ona biegałaby po molo, czując pod stopami gąbczaste deski i zbierając haczyki do wędek w obcasy butów.

Ale odwracając się znów do Noli, widząc jej szarą twarz, Grace wiedziała, że nie ma odwrotu. Cokolwiek wydarzy się później, nigdy tego nie zapomni. Ani, była tego pewna, nie zapomni tego dziewczynka stojąca obok niej, sztywna i nieruchoma, z twarzą bez wyrazu z wyjątkiem tych dziwnych oczu, które były jak dwie dziury wypalone w kocu.

## ROZDZIAŁ 1

Grace sięgnęła rękoma za siebie, by zapiąć sukienkę, kiedy zauważyła plamę - drobny znak wodny jak kleks tuż nad prawą piersią.

Poczuła ukłucie irytacji. Jedwab. Powinien być zakazany razem z azbestem i czerwoną farbą numer dwa. Kiedy ostatni raz nosiła jedwab bez tego, by nie biec prosto do pralni chemicznej? Kiedy ostatni raz nosiła jedwab? Kropka.

Przemknął jej przez myśl obraz z odległej przeszłości - zwoje tafty koloru sorbetu malinowego, korsaż z orchideą na nadgarstku. Jakaś okropna impreza w klubie ziemskim i babcia nalegała, by wzięła w niej udział. Pod koniec wieczoru, przypomniała sobie, orchidea wyglądała jak stratowana przez armię Shermana, która - gdyby sądzić po tym, co mówili ludzie w Blessing - przewaliła się przez Georgię przed tygodniem.

Zaglądając do szafy, Grace myślała o rozciągającym się przed nią wieczorze jak o polu bitewnym. Jakie to ma znaczenie, co mam na sobie?

Hanna byłaby prawdopodobnie zachwycona, gdyby Grace pokazała się przy drzwiach w bieliźnie. Jeszcze jeden powód, by przyczepić się do dziewczyny ojca.

Dziewczyna. To słowo tkwiło jej w myślach jak coś nagryzmołonego w kronice liceum Roberta E. Lee, jak coś młodzieńczego, przemijającego, błałego. Mój Boże, miała trzydzieści siedem lat i była czyjaś dziewczyna.

Byłoby inaczej, gdybyśmy byli małżeństwem.

Ale czy naprawdę tego chciała - znów być żoną i grać rolę macochy wobec Bena i Hanny? Czy nie dość miała na głowie, będąc tylko matką nastolatka? Poza tym Jack nawet nie prosił, by wyszła za niego za mąż. Kiedy tylko pojawiał się ten temat, potrafił go zręcznie omijać.

Grace poczuła, jak zaciska jej się żołądek i razem z tym odczuła nagłą pewność, że nic tego wieczoru nie wyjdzie jak należy. Jednak szybko odłożyła tę myśl pod: „Nie rozstrzygnięte” (miała taką szufladkę w myślach poniżej: „Może samo się zrobi” i tuż nad: „Marnujesz czas”). Słusznie. Nie było powodu wpadać w panikę tylko dlatego, że będzie to ich pierwsza wspólna kolacja wszystkich pięciorga. Będzie na to dość czasu, gdy przyjdzie Hanna.

Zdjęła przez głowę sukienkę, wywracając ją na drugą stronę i doznając takiej samej ulgi, jaką odczuwała za każdym razem, kiedy wyłuskiwała się z rajstop pod koniec dnia gadających głów, wywiadów i podpisywania książek. Rzuciwszy ją na dno szafy, ściągnęła z wieszaka levisy. Zmiękczone wielokrotnym praniem, prześlizgnęły się po jej nogach i biodrach jak balsam. Następnie włożyła górę od męskiej piżamy z lat pięćdziesiątych, którą kupiła w Canal Jean - oberzynowy atłas wytarty do tekstury irchy, z czarną lamówką i nieczytelnym monogramem. Wsunęta do środka, z podwiniętymi cztery razy rękawami, leżała na niej jak ulał. Teraz pasek Navaho z muszelek, przeciągnięty przez szlufki dżinsów. Gotowe.

Oblana sepiowym światłem słońca późnego popołudnia, wpadającego ukośnie przez świetlik do sypialni na poddaszu, Grace oglądała się w wysokim lustrze szafy, jak gdyby badała fotografię kogoś, kogo jeszcze nie poznała. Piwne oczy osadzone w twarzy w kształcie serca

już nie dziewczęce, ale poznaczone drobnymi zmarszczkami, jak delikatna bibułkowa walentynka, którą pognieciono, a potem wyprasowano prawie na gładko. Ciemne proste włosy, muskające wypukłości jej zbyt szczupłych ramion, jeszcze nie siwe, ale może nie obejrzała ich zbyt uważnie. Czy była to twarz osoby sympatycznej? Twarz kobiety, którą chciałoby się mieć za przyjaciółkę? Żonę? Macochę?

Bim bom. W części bawialnianej, w głębi hallu, wahadłowy zegar babci Clayborn wybił godzinę tonem, który Grace zawsze uważała za trochę złowieszczy. Naliczyła sześć uderzeń. Boże, Jack i jego dzieci będą tutaj za niecałe pół godziny, a ona nie posprzątała i nawet nie nastawiła wody na ryż.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy nie zadzwonić do Jacka i nie powiedzieć mu, że jest chora. Nie, to na nic. Przyleciałby jak strzała, niosąc plastikową miskę rosółu z kulkami macy od Lou Siegela, jak wtedy, kiedy naprawdę zachorowała na grypę.

Stres, w jakim żyje? On by to kupił. Ostatecznie jest jej wydawcą, wie, jaki szaleńczy miała ostatnio rozkład zajęć w związku z tą książką - wszystkie te podróże do Waszyngtonu i z powrotem, wywiady z byłymi pracownikami, przyjaciółmi, legislatorami i byłymi legislatorami, długoletnimi biurokratami, z każdym, kto znał Eugene'a Truscotta. I jak gdyby pisanie biografii jej sławnego ojca nie było wystarczającym obciążeniem, ktoś u Cado-gana rzucił okiem na ostatni jej zarys i puścił w obieg historię uwikłania się senatora w śmierć Neda Emory'ego. Ukazała się ona we wczorajszym „Timesie” i przez ostatnie dwa dni telefon dzwonił praktycznie bez przerwy - głównie reporterzy. Jack, chociaż nie odmawiał tej historii reklamowego znaczenia dla książki, był tak samo wściekły jak Grace. Wyrwana z kontekstu, historia nabierała ponurego, sensacyjnego, może nawet kryminalnego zabarwienia.

Tyle że Jack byłby taki miły, gdyby uchyliła się od tej kolacji, taki współczujący, że poczucie winy



prześladowały ją potem przez wiele dni. Poza tym, to nie Jack stanowił problem. To nie z jego powodu miała zgagę i wrażenie, że coś, co zjadła, utkwiło jej w żołądku. To z powodu Hanny.

W menu na dzisiejszy wieczór nie będzie kurczaka *cacciatore* z ryżem, jak planowała. Wykluczone. Będzie kurczak Grace Truscott, nadziany na szpikulec i upieczony na rozżarzonych węglach.

Grace wbiła gołe stopy w pamiątkowe pantofle z krokodylej skóry - niegdyś należały do jej babki, wtedy, gdy większość dam nosiła rozmiar szósty i kiedy wszyscy uważali za oczywiste, że krokodyle są na tym świecie po to, by się w nie ubierać - i popędziła przez hall w wielką, przewiewną przestrzeń, która obejmowała kuchnię, bawialnię i gabinet. Grace pomyślała, że gdyby to matka wydawała tę kolację, przy każdym miejscu byłyby kaligraficznie wypisane bileciki koloru kości słoniowej i dobra porcelana Havillanda babci Clayborn, i odkorkowana butelka Chateauneuf-du-Pape, czekająca na kredensie. Jej matka odkładanie na ostatnią chwilę nawet takiego drobiazgu, jak gotowanie ryżu, uważałyby za świętokradztwo.

W kuchni, wyłożonej kafelkami w odcieniu zachmurzonego nieba i otwartej na trzy strony, Grace zerknęła do piekarnika, na bulgocącego wewnątrz kurczaka, z nazwy kurczaka *cacciatore*. Serce jej zamarło. Ścięta masa - kurczące nogi i piersi, rozpaćkane we włókniste grudki - przypominała raczej trzykrotnie odgrzewane resztki z zeszłego tygodnia niż błyszczącą fotografię w jej książce kucharskiej.

Uświadomiła sobie, że zapomniała przykryć potrawę na ostatnie pół godziny, tak, jak wymagał tego przepis. I że w rzeczywistości upłynęło raczej czterdzieści pięć minut. Była tak zajęta pomaganiem Chrisowi w tym jego wypracowaniu o hiszpańskiej inkwizycji, że straciła poczucie czasu. Boże, co ona ma teraz zrobić?

Po trzydziestu latach z kucharką doskonałą Jack będzie się spodziewał mieć kobietę, która przynajmniej

potrafi postawić zwyczajną kolację na stole i nie spieprzyć jej.

- Co to takiego?

Grace odwróciła się i spostrzegła swego trzynastoletniego syna, opartego niedbale o futrynę drzwi jak zostawiony w pośpiechu rower - sama skóra i kości, ostre rysy, głowa pochylona tak, że jedwabiste, brązowe włosy spadały mu na oczy. Miłość, bezradna i pełna tęsknoty, ogarnęła ją wraz z falą irytacji. Chris był w fazie, gdy wszystko, jakkolwiek oczywiste, było wyrażane w formie pytania. Jeśli kazała mu włożyć kurtkę, gdy wychodził, spoglądał na nią i pytał: „po co”?

W tej chwili Grace nie chciała urządzać sceny. - To miał być kurczak *cacciatore* - zaśmiała się. - Ale wiem tyle, co ty.

Chris wzruszył ramionami, zaplatając ręce na chudej piersi. Musiała dobrze się przyjrzeć, by znaleźć w jego twarzy ostatnie ślady dzieciństwa - okrągły policzek, który tak często wycierała do czysta, blade piegi, opróżzające jego zadarty nos, łagodne niebieskie oczy o roz-targnionym spojrzeniu. Stojąc na progu dorosłości, nie wiedząc gdzie się zwrócić, był taki podatny na zranienie. Wszystko w nim świadczyło o niepewności, nawet sposób, w jaki głos zaczynał mu się łamać. - W każdym razie ja nie jestem głodny. Idę do Scully'ego - powiedział. - Później zjemy jakąś pizzę.

- Wolnego, wspólniku - nie zdawała sobie sprawy, że trzyma w ręku duży widelec, dopóki nie spojrzała w dół i nie zobaczyła, że wycelowała go wprost w Chrisa. *En garde*, pomyślała. - Zapomniałeś, że mamy gości na kolacji?

- Masz na myśli Jacka? - zabrzmiało to niemal jak drwina.

Grace postanowiła udawać głupią. - Tak, Jacka. I Hannę. I Bena. Nie znasz go. Jest starszy od Hanny. Bliższy mojemu... no, w każdym razie to dobry chłopak. Polubisz go - opuściła widelec i poczuła, że jej usta układają się w ponury uśmiech. - Słuchaj, i nie popisuj

się za bardzo. Nie chcę, by ci ludzie nabrali mylnego przekonania, iż wyłażę ze skóry, żeby zrobić dobre wrażenie.

Chris wygiął w dół kąciki ust we własnej wersji uśmiechu, rzucając pozbawione wyrazu spojrzenie na rondel, zawierający ziemskie szczątki kurczaka *cacciato-re*. - Zawsze możesz zadzwonić pod 911.

- Dzięki, jesteś mi wielką pomocą.

- Hanna jest miła, ale... - wzruszył ramionami Chris.

Nie musiał tego mówić - wiedziała, o czym myślał. Wolałby się nabawić boreliozy niż widzieć ją wychodzącą za męża za Jacka. W tej sprawie uczucia jej syna nie bardziej były tajemnicą niż uczucia Hanny.

Patrzyła, jak gwałtownym ruchem głowy odrzuca włosy do tyłu. Na chwilę pokazały się jego oczy, nagie i jakoś za bardzo błyszczące. Były dokładnie w tym samym odcieniu, co oczy Wina, szaroniebieskie, jak ocean za Long Island Sound. Biedny Chris. Pod pewnymi względami rozwód był najtrudniejszy dla niego. Chociaż widywał Wina prawie co weekend, wiedziała, jak bardzo mu go brakuje.

- Słuchaj, mam, obiecałem Scully'emu, że sprawdzę tę jego nową grę Mario Brothers - powiedział Chris stanowczym tonem. - Nie martw się, wrócę w porę na kolację.

- Wobec tego wrócisz przed kolacją. Żebyś mógł się przebrać - ogarnęła spojrzeniem jego podarte džinsy i podkoszulek, o kilka rozmiarów za duży.

- Co jest niewłaściwego w tym, co mam na sobie?

- Wyglądasz...

- Jak ty. Chciałaś powiedzieć, że wyglądam jak ty.

- Chris rzucił jej pogardliwe spojrzenie, które mówiło, że nie dał się zwieść temu, co ona uważała za wyszukany strój. W jego oczach były to po prostu džinsy i góra od starej piżamy. Ściągnął garść krakersów z zapasu, który starannie ułożyła na tacy obok kawałka brie i zniknął.

Brak mi go, pomyślała. Nie tego milczącego, skrytego nastolatka, ale tamtego zabawnego, bystrego chłopczyka

z jego głupimi żartami słonia w składzie porcelany i beztróskim śmiechem, tego, jak zakopywał się w pościeli, gdy przychodziła pocałować go na dobranoc. Ale najbardziej tęskniła za trzymaniem go na kolanach, tego ciężkiego od senności małego ciątka, z głową na oślep uderzającą o jej pierś w poszukiwaniu wygodnego miejsca do spania.

Kiedy zaczął się zmieniać? Czy zaczęło się to jeszcze przed rozwodem? Czy powinna zaliczać tę posepną buntowniczość do tej samej kategorii, co lekki cień, jaki ostatnio zaczął pojawiać się na jego górnej wardze, i prześcieradła, które niekiedy rano znajdowała pospiesznie wciśnięte do kosza?

Grace nagle poczuła się malusieńka i niekompetentna, poczuła się pyłkiem unoszonym w tej ogromnej, niebotycznej przestrzeni. Rząd wysokich okien czynił ją jeszcze większą, dając okrojony widok horyzontu, nad którym widziała tylko czubek iglicy Empire State, oświetlonej pomarańczowo ' żółto na nadchodzące święto Halloween. Pod oknami stał sosnowy stół, który nakryła z taką starannością. Swoimi kolorowymi talerzami Quimper, haftowanymi meksykańskimi serwetkami z płótna, srebrami nie od kompletu, które latami zbierała na pchlich targach i wyprzedażach resztek.

Terapeuta Chrisa, doktor Shapiro, powiedział, że chłopiec potrzebuje czasu, by zapomnieć o rozwodzie. Ale jak długo to jeszcze potrwa? I co ona ma w tym czasie z tym zrobić?

Zabręczał interkom, wywołując w niej taki wstrząs, że niemal przewróciła kieliszek do wina, stojący wśród stosu obierzyn z ogórka, które właśnie miała zebrać. Ruszyła, by odpowiedzieć.

To tylko Jack, Bogu dzięki. Obiecał, że zjawi się wcześniej, przed Benem i Hanną, i zjawił się. Wyraz solidarności? Minutę później patrzyła, jak wpływa przez drzwi w swoim zmiętoszonym burberry - wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o szczerym uśmiechu i ciemnych kędzierzawych włosach, przetykanych srebrem - i poczuła,

że wszystkie porozplątywane w niej końce dziwnie, a nawet magicznie, scalają się.

Jack przygarnął ją do siebie, tłamsząc swoją masą, swoim szczęściem na jej widok. Jego uścisk wzbudził w niej prąd elektryczny, wywołujący mrowienie w nogach i ciężkość w brzuchu od oczekiwania. Miała uczucie, że nigdy nie będzie jej go dosyć - jego tweedowego zapachu ani mocnego uścisku potężnie umięśnionych ramion. Wyobrażała sobie, że w Jacku krew płynie szybciej, pewniej, czerwiesza niż u każdego innego mężczyzny, jak cenna ruda, która, gdyby ją odszpun-tować, dałaby niezmierzone skarby. Jej własna krew rozpędziła się na myśl o tym, co ją czekało, o łóżku, gdzie on ją weźmie, gdy dzieci będą bezpieczne w domu lub uśpione...

- Czy ja czuję swąd spalenizny? - Jack lekko zmierzwił jej włosy.

Grace jęknęła.

- Oooch... Czy mogę w czymś pomóc? - Odsunął się, uśmiechnięty, lekko mrużąc swoje głęboko osadzone granatowe oczy.

- Przydałby się ksiądz. Myślę, że wskazane byłoby ostatnie namaszczenie. Czy rabini także go udzielają? - Przypomniał jej się stary dowcip o winie: Żydzi ją wynaleźli, katolicy udoskonalili. Czy Jack miałby poczucie winy, żeniąc się z katoliczką? Czy to go powstrzyma?

Jack przemierzył westybul kilkoma długimi krokami. Po jego lewej stronie stało zgrupowanie mebli, które tworzyły jej bawialnię - głęboka sofa, obita bawełną z Sea Island, stary szeszloneg Morrisa z nową tapicerką z ciemnozielonego sztruksu, rozproszone fotele, szklany stolik do kawy o nogach z kutego żelaza, splecionych jak winorośl. Jack strząsnął z siebie płaszcz przeciwdeszczowy i cisnął go długim, swobodnym rzutem na oparcie sofy, sam zmierzając do kuchni. Chwilę później oglądał kurczaka i przewracał oczami.

Wspaniałe w Jacku było to, że nigdy jej nie okłamywał. Kiedy mówił jej, że coś, co napisała, jest dobre, albo

że świetnie wygląda, wiedziała, że to prawda. Ponieważ z równą łatwością powiedziała by jej, że to, co napisała, jest okropne, albo że wygląda jak po dziesięciu nie przespanych nocach.

- Muszę się do czegoś przyznać - powiedziała. - Nie mam dyplomu z wzorowego prowadzenia domu.

- Nie zakochałem się w tobie dla twojej kuchni - powiedział, opuszczając pokrywkę na rondel ze zdecydowaniem człowieka przybijającego wieko trumny.

- Pochlebstwo nigdzie cię nie zaprowadzi - ostrzegła. - Chcę się czuć nieszczęśliwa przez jeszcze co najmniej pięć minut.

- Czy mogę cię całować w szyję, kiedy ty będziesz tym zajęta? - Pochylił się i zaczął gryźć ją w ucho. Jego usta były szokująco ciepłe, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo sama czuła się zgrzana.

- Jack - zerknęła na zegar z kotem Felixem, machającym ogonem nad zlewem, pełnym garnków i patelni, za których zmywanie jeszcze się nie zabrała. - Jest prawie wpół do siódmej. Lada chwila przyjdą twoje dzieci - starała się mówić jak każda normalnie zmordowana gospodyni, ale wewnątrz niej narastała panika.

Wyprostował się, jego niebieskie oczy były teraz poważne. - Wiesz, co ci powiem? Dokończ, cokolwiek jeszcze zostało do zrobienia, a ja zatroszczę się o danie główne.

- O czym ty mówisz? Nie ma na to czasu!

- Słuchaj! - Chwycił ją, obracając delikatnie tak, że stanęła twarzą do niego. - Chętnie zjadłbym gulasz z tektury, gdyby to cię uszczęśliwiło i nie miałbym nic przeciwko temu. Ale wiem, jak bardzo cieszyłaś się na to, że urządzisz Hannie i Benowi przyjemny wieczór. Nie żeby - dodał surowo - mieli cię lubić choć trochę mniej, jeśli nie wypadnie dokładnie tak, jak planowałaś.

Nie - miała ochotę powiedzieć - tylko Hanna znienawidzi mnie jeszcze bardziej.

Zanim mogła się odezwać, podniósł rękę, dużą i o długich palcach, rękę cieśli, nie dyrektora. - Daj mi tylko

pięć minut, dobrze? Zaufaj mi. Wrócę, nim się spost-rzeżesz - podbiegł do sofy w bawialni i chwycił swój płaszcz.

Wrócił dziesięć minut później, ostrożnie niosąc wielką, poplamioną tłuszczem papierową torbę, jak gdyby był to święty Graal. Postawił ją na kuchennym kontuarze i otworzył, uwalniając mocny, uderzający do głowy zapach czosnku. - Lasania - powiedziała. - Cesare robi najlepszą.

- Zawsze biorę u Cesare pizzę - powiedziała Grace, skonfundowana. - Nie wiedziałam, że robi cokolwiek innego.

Jack mrugnął. - To najlepiej dochowywany sekret w Chelsea. On stale trzyma niewielki zapas na zapleczu. Trzeba o tym wiedzieć, żeby poprosić.

Grace wpatrywała się w niego. Jak to się działo, że Jack, z Park Avenue, daleko na East Side, który wydał pierwszorzędne książki w okazałym budynku przy Piątej Alei, wiedział więcej o zapleczach zatłuszczonych pizzerii przy Ósmej Alei niż ona? Nie potrafię nawet jak należy kupić dania na wynos, pomyślała.

W lustrze na ścianie naprzeciw kuchennego kontuaru Grace przelotnie dojrzała odbicie samej siebie, ubranej w fartuch z krezą, który pospiesznie włożyła na siebie tuż przed przyjściem Jacka. Zaczęła się śmiać. To śmieszne, pomyślała. To nie jestem ja. Co tu się dzieje?

Jednak wiedziała. O tak, dobrze wiesz, co robisz. Zamiast skorzystać z okazji i pójść na tę nową sztukę, na którą Lila miała wolny bilet, biegasz w kółko, w nadziei, że zrobisz piorunujące wrażenie na jakimś facecie, że pokażesz mu, jaka wspinała byłaby z ciebie żona. O, nie na jakimś facecie. Na Jacku. Jacku Goldzie, który kochał ją o trzeciej w nocy, zgarbioną przed ekranem komputera, ubraną w swój najstarszy aksamitny szlafrok, z okruciami w fałdach.

A po tym, jak dostała Pulitzera za *Most nad mętłą wodą* i miała wrażenie, że jeśli jeszcze jedna osoba zadzwoni, niby po to, żeby jej pogratulować, a potem

próbując sprzedać jej coś czy zaproponować jakiś interes, straci resztki zmalretowanego rozumu, kto, jak nie Jack, zjawił się na jej progu z butelką schłodzonego szampana i dwoma biletami na Bermudy?

Obserwując teraz Jacka, wygrzebującego z kredensu naczynie z pyreksu, do którego zaczął zwinnie przekładać lasanię z trzech pojemników z folii aluminiowej, pomyślała: Mogłabym być szczęśliwa z tym człowiekiem. - Czy mówiłam ci ostatnio, że cię kocham?

- Nie w ciągu ostatnich ośmiu godzin. Zaczynałem się czuć opuszczony.

Biegle, jak gdyby zarabiał tym na życie, posypał jeszcze wierzch serem i wsunął lasanię do piekarnika. Podczas gdy się piekła, podszedł do Grace i otoczył ją ramionami, prawie pochłaniając ją samą swoją solidnością - tak, jak drzewo wydaje się najwyższe wtedy, kiedy stoi się tuż pod nim i patrzy prosto w górę. Opierając głowę na jego obojczyku, poczuła zapach jego potu i wilgoć jego koszuli - musiał biec całą drogę do Cesare i z powrotem. Wezbrała w niej wielka czułość.

- Jak poszło dzisiaj? - zapytał ostrożnie.

- Chodzi ci o to, co się działo między telefonami od reporterów? Mogę tylko powiedzieć, że jestem wdzięczna niebiosom za automatyczne sekretarki.

- Parę dni temu żałowałaś, że w ogóle zostały wynalezione.

- To było, zanim dodzwoniłam się do Noli.

- Rozmawiałaś z nią? - Jack zrobił wielkie oczy.

- Dziś po południu. Powiedziałyby ci wcześniej, gdybyś nie wypadł za drzwi praktycznie w tej samej chwili, w której przyszedłeś, ale tak, możesz w to uwierzyć? Nola Emory naprawdę odebrała mój chyba szesnasty telefon. - Grace westchnęła. - Była taka bezosobowa, Jack. Jak gdybym zadzwoniła pod niewłaściwy numer. Powiedziała, że nie więcej ma do powiedzenia o samobójstwie swego ojca niż to, co było w gazetach. Samobójstwo. Jack, to nie było samobójstwo.



- A czego się spodziewałaś?

- Że powie prawdę. Że to był wypadek. Jack, ona tam była, i ja też. Widziałyśmy ich walczących. Broń...

- zamknęła powieki, czując ostry ból za oczami. Przez wszystkie tamte lata ojciec, i Margaret także, ukrywali prawdę ze względu na jego karierę polityczną. I czy matka, kiedy Grace wyszłochała jej całą historię, nie dopilnowała, żeby ona również siedziała cicho? Mimo to ta historia nie dawała jej spokoju. Może dlatego zebrała się w końcu na odwagę spisania jej na papierze i wyciągnięcia z szafy tych grzechoczących kości na światło dzienne? - Mój ojciec po prostu ochraniał Margaret. Teraz chcę wiedzieć, kogo chce ochronić Nola.

- Prawdopodobnie siebie. Popatrz, co już się wydarzyło. Prasa ma używanie z tą historią. Telefon u ciebie nie milknie. Może właśnie tego ta Nola Emory chce uniknąć.

Jak na zamówienie zadzwonił telefon. Grace usłyszała, jak za ścianą z szaf na książki, które oddzielały jej gabinet, automatyczna sekretarka podejmuje rozmowę.

- Nancy Wyman z Associated Press... - dobiegła blaszana odpowiedź na jej zlecenie. Nancy, chociaż obiecała zadzwonić później, zostawiła oba swoje numery telefonu, biurowy i domowy.

Grace spojrzała na Jacka, a ten obdarzył ją ponurym uśmiechem. - Wygląda na to, że otworzyłaś puszkę Pandory - skomentował.

- Ja tylko chcę wyjaśnić przeszłość. Oczywiście wiedziałam, że powstaną wątpliwości, ale jak tylko ludzie przeczytają książkę...

- Miałaś dziewięć i pół roku - przypomniał jej Jack.

- Czy jesteś pewna tego, co widziałaś? Pamięć czasami wyolbrzymia. A nawet jeśli wszystko stało się tak, jak ty mówisz, to dlaczego twój ojciec powiedział policji, że przyjechał na miejsce zdarzenia, kiedy Ned Emory był już martwy? I dlaczego śledztwo powierzono jego bliskiemu przyjacielowi, Mulhaneyowi? Grace, to są pytania, jakie ludzie będą zadawać. Będą chcieli wiedzieć, co twój ojciec ukrywał.

- On niczego nie ukrywał - zaprotestowała. - On po prostu ochraniał siebie. W grę wchodziła jego pozycja, cała jego kariera. A był tak blisko przeciwności na swoją stronę większości w sprawie ustawy o prawach obywatelskich. Taka rzecz mogłaby...

Oderwała się od Jacka i podeszła do biurka, ukrytego za wysoką biblioteczką, zarzuconego książkami i piśmami. Znalazła to, czego szukała, na wierzchu stosu kartek skopiowanego wywiadu i przyniosła Jackowi. Było to gazetowe zdjęcie jej ojca, stojącego za Lyndonem Johnsonem, gdy ten siedział przy stole z piórem w ręku. Podpis pod zdjęciem mówił: „LBJ podpisuje ustawę o prawach obywatelskich”.

- To tata do niej doprowadził, tata ją przepchnął - powiedziała Grace, podnosząc głos. - Ryzykował swoją karierę, przychylność wyborców w imię tego, w co wierzył. - Myślała o opowieściach taty o latach, zanim jego rodzina przeniosła się do Nowego Jorku, o dorastaniu w Tennessee, gdzie czarni byli traktowani jak bydło, czasami gorzej. I o tym, jak podczas wojny stacjonował na Okinawie jako kapitan kompanii kwatermistrzowskiej, złożonej z samych czarnych, o tym, jak system, który tworzył z białych żołnierzy bohaterów, służył tylko miażdżeniu i upokarzaniu kolorowych. Tata przysiągł sobie, że nigdy nie zaprzestanie prób naprawy tamtych niesprawiedliwości.

- Czy wiesz, co ojciec kiedyś mi powiedział? Powiedział, że myśli, iż to szczęście, że zrujnował sobie płuca gasząc pożary. Inaczej mógłby nigdy nie ubiegać się o urząd.

Jack wziął ją w ramiona. - Grace, nie musisz mnie przekonywać, że twój ojciec był wielkim człowiekiem. Ale publiczność jeszcze bardziej niż swoich bohaterów kocha skandale. Popatrz na Chappaquiddick. Kto wie, co się naprawdę wydarzyło? Możemy być tylko pewni, że zniszczyło wszelkie szanse Teda Kennedy'ego na to, by został prezydentem.

- Dlatego potrzebuję Noli, żeby mnie poparła.

- Ale ona nic nie mówi.

- Będzie mówić - powiedziała Grace z większym przekonaniem niż je istotnie miała. Nie mogła nie pamiętać wrogo nastawionej dziewczynki, która tamtego dnia próbowała przeszkodzić jej w wejściu do domu Margaret.

- Mam nadzieję, że masz rację - Jack wyglądał na zamyślonego. - To na pewno wzmocniłoby naszą pozycję z prawnego punktu widzenia.

- Jack, przecież nie obawiasz się jakiegoś procesu o zniesławienie! Kto by...? - umilkła, uświadamiając sobie od razu, do czego zmierzał. - Och, Jack, nie możesz myśleć, że moja matka zrobiłaby coś takiego. Co by na tym zyskała? - Wtedy Grace przypomniała sobie obecną kruczatę matki, która zbierała fundusze Bóg wie od jak dawna na bibliotekę pamięci Eugene'a Truscotta.

Matka potrafiła przenosić góry, jeśli musiała... albo sama stać się górą. Jak wtedy, kiedy po śmierci taty przeszczepiła je trzy do Blessing, tak, że mogła opiekować się niemożliwą, złożoną chorobą babcią Clayborn, a potem sama wychowywać dwie córki w tym wielkim starym domu. Wystarczyłby powiew skandalu związanego z tatą, a matka naprawdę stanęłaby do walki. Nikt nigdy nie mógł wypowiedzieć słowa sprzeciwu wobec argumentów taty, by nie narażać się na jej atak. Czyż matka nie postąpiła tak samo, gdy chodziło o Wina? Zamykając oczy na prawdę o swoim drogim zięciu. Próbując nawet, na swój czarujący sposób, zmusić Grace, by z nim została. Naciskając i poszturchując, aż w końcu Grace skrzyczała ją. Od tamtej pory ona i matka nie rozmawiały ze sobą poza wymianianiem przez telefon wymuszonych uprzejmości.

- Porozmawiaj z nią - przekonywał łagodnie Jack, jak gdyby wtórując jej myślom. - Wyjaśnij, dlaczego to robisz i zobacz, czy możesz przeciągnąć ją na swoją stronę.

- Spróbuję - powiedziała, kładąc dłonie na jego piersi w nadziei, że trochę jego spokoju i pewności przepłynie

do niej. - Ale po upływie całego tego czasu ona prawdopodobnie przekonała samą siebie, że jej wersja, ta, którą wysmażyli z tatą, jest prawdziwa.

- Założę się, iż nie zapomniała, że jesteś jej córką.

- Być może, ale w tej chwili nie mam najwyższych notowań u matki.

- Nikt nie mógłby powiedzieć, że łatwo się zniechęcasz - powiedział Jack ze złośliwym uśmiechem. - Za wszystkim, czego pragniesz, uganasz się z haubicą.

Za tobą także? Czy tego trzeba, żeby cię przygwoździć, Jack? Ale nie wypowiedziała tych słów; wzięły jej w gardle, gdy krzątała się rwąc liście sałaty i wrzucając je do miski, którą dostała w ślubnym prezencie od Sissy, kiedy wychodziła za Wina.

Sissy - ze swoim od prawie dziesięciu lat mężem i dwoma chłopcami - która raz wybuchnęła, że nie ma większego spełnienia dla kobiety niż małżeństwo i macierzyństwo. Grace była wtedy w środku rozwodu. Zostawała z jedenastoletnim synem, który ledwie się do niej odzywał, wielką sumą czterystu dolarów i osiemdziesięciu centów na koncie, które miała na przetrwanie, zanim nadszedł wyrównujący czek od Wina, z poobijaną hondą z osiemdziesięcioma tysiącami mil na liczniku i czterema pocieranymi srebrnymi naczyniami, ślubnymi prezentami, których nigdy nie zdołała wymienić, czerniejącymi w jej szafie. Ostatnie, czego wówczas pragnęła - i przysięgała sobie, że tak będzie zawsze - to było ponowne zamażpójście.

Więc co się stało? - zastanawiała się teraz Grace.

## O

- Pyszne - powiedziała Hanna, delikatnie podnosząc widelec do ust. - Naprawdę, Grace, to najlepsza lasania, jaką kiedykolwiek jadłam.

Grace promieniała, czując przypływ wdzięczności, sama wiedziała, że niewspółmiernej wobec zaledwie uprzejmej uwagi... i oczywiście nie odnoszącej się do jej talentu

jako kucharki. Wtedy zauważyła afektowany uśmieszek, błąkający się wokół kącików ust przeżuwiającej Hanny, i serce jej podskoczyło. Czy Hanna jakimś sposobem się domyśliła... czy Chris się wygadał? Zerknęła na Chrisa,; łapczywie, z pochyloną głową pakującego jedzenie do ust, jak gdyby jutrzejszy dzień miał nie nadejść. Nie, Chris prawdopodobnie nawet nie zauważył, że nie ona ugotowała to, co miał na talerzu.

Grace pragnęła polubić Hannę. Trudno było wyobrazić sobie tę chudą dziewczynę o ciężkich czarnych włosach, związanych z tyłu w luźny koński ogon, ubraną w workowaty podkoszulek i jeszcze bardziej workowate dżinsy, jako wroga. W wieku szesnastu lat Hanna wciąż garbiła się niezdarne w sposób typowy dla młodej kobiety, jeszcze nie oswojonej ze swoim wzrostem. Ale, podobnie jak piersi, które Grace ledwie mogła dojrzeć pod fałdami jej za dużego podkoszulka, Hanna miała w sobie coś więcej niż widać było na powierzchni.

Wyolbrzymiam całą sprawę, pomyślała Grace. Ona po prostu potrzebuje czasu, żeby do mnie przywyknąć. W przypływie różanego sentymentalizmu Grace wyobrażała sobie, jak by to było mieć córkę, nawet jeśli tylko pożyczoną, układać te cudowne włosy Hanny, wysłuchiwać jej zwierzeń i udzielać rad na temat chłopców, ciuchów i lekcji.

Spojrzała przez stół na Jacka, który siedział rozpromieniony. Przez krótką chwilę pozwoliła sobie na dzielenie części jego optymizmu. Może ostatecznie wszystko się dobrze ułoży.

- ...Więc powiedziałam Conradowi: Jeśli masz zamiar zachowywać się jak republikanin, najmniejsze, co możesz zrobić, to ubierać się jak demokrat - mówiła Hanna. - Tatusiu, powinieneś zobaczyć, jak on się ubiera, właściwie nieprzyzwoicie. Chcę powiedzieć, że kto to słyszał o argylowych skarpetkach w szkole średniej? On nawet nie jest przewodniczącym zespołu dyskusyjnego, czy czegoś takiego.

- Nie chodzi o jego ubranie, już to ustaliliśmy... - oczy Jacka napotkały wzrok Grace - ...więc co jest w tym facecie, za czym ty tak szalejesz?

- Tatusiu! - Hanna, rumieniąc się wściekle, przerwóciła wymownie oczami.

- Wy, mężczyźni, jesteście tacy dosłowni - powiedziała Grace, czując w tej chwili solidarność z Hanną, mimo iż Hanna, jak dotąd, nie dopuszczała jej tego wieczoru do głosu. - Tylko dlatego, że jakaś kobieta zwraca uwagę na to, jak wyglądacie albo jak jesteście ubrani, myślicie, że musi być zakochana bez pamięci.

Jack uśmiechnął się do niej. - O? Więc czego trzeba?

- Mężczyzny, który potrafi gotować - powiedziała ze śmiechem.

Jack zaśmiał się w kułak, podnosząc kieliszek z winem. - Zapisując to sobie w pamięci, chciałbym zaproponować toast... na cześć naszej gospodyni. I pamiętnego posiłku.

Grace skuliła się wewnętrznie, żałując, że nie trzymała języka za zębami. Zobaczyła, że Hanna też podnosi kieliszek i tym razem wyjątkowo nie ma w jej zachowaniu uszczypliwości. Sączyła wino, po czym zaskoczyła Grace, biorąc butelkę i nalewając Chrisowi nieco wina do pustego kieliszka po wodzie. Chris spojrział na nią, zdumiony. Wyraźnie nie spodziewał się, że zostanie zaliczony do dorosłych, ale sprawiło mu przyjemność, iż przynajmniej Hanna myślała o nim w ten sposób. Grace, wzruszona nieoczekiwaną delikatnością gestu Hanny, zaczynała dopuszczać do myśli nadzieję, iż również dla niej Hanna nabierze cieplejszych uczuć.

- Jeszcze trochę wina, Ben? - Jack zwrócił się do syna, siedzącego po jego lewej stronie, między Chrisem i Grace.

- Dzięki, nie, tato. Prowadzę samochód, pamiętasz?

Grace spojrzała na wysokiego, uderzająco przystojnego młodego człowieka, siedzącego obok niej. Oczywiście było w nim pewne podobieństwo do ojca, ale przede wszystkim aż trudno uwierzyć, że ktoś tak witalny

i młodzieńczy jak Jack mógł być dość stary, by być ojcem prawie trzydziestoletniego mężczyzny, tylko o siedem lat młodszego od niej. Nieważne, że Jack ożenił się młodo, jeszcze kiedy był w college'u, a kiedy został redaktorem u Cadogana, jego syn chodził do przedszkola. Gdy patrzyła na Bena, który poszedł w ślady ojca i sam był redaktorem u Cadogana, arytmetyka traciła znaczenie.

Ben miał po Jacku wysoki wzrost i kędzierzawe ciemnobrązowe włosy, które nosił długie, ocierające się o kołnierz granatowego blezera. Jednak rysy miał bardziej dystyngowane - wysokie czoło, wąski nos i wyczelowane usta dziewiętnastowiecznego arystokraty. Grace wyobrażała sobie, jak niezamężnym asystantkom redaktorów u Cadogana miękną kolana od ciepłego spojrzenia i tych oczu koloru morskiej zieleni. To cud, że Ben nie ma dziewczyny.

- Ben ma fioła - skomentowała Hanna, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Parkuje swojego beamera na ulicy i nic go nie obchodzi, czy mu go zwiną.

Rozległ się głęboki, ciepły śmiech Bena. - Jeśli ktoś go ukradnie - przekonywał - ubezpieczenie pokryje stratę. A wystarczy, że rozszalały kierowca stuknie w niego na parkingu i zostanie wgniecenie, to oskubią mnie z pięciusetdolarowego odpisu.

- To po to posyłałem cię do college'u? - roześmiał się Jack.

- Pamiętam swój pierwszy samochód, kiedy miałam siedemnaście lat - uśmiechnęła się Grace. - To było...

- A skoro mówimy o college'u - przerwała jej Hanna - rozmawiałam o tym z moim doradcą i on myśli, że stanowczo powinnam brać pod uwagę UC Berkeley. Co o tym sądzisz, tatusiu?

Grace rzuciła szybkie spojrzenie na Jacka. Czy chociaż zauważył, że Hanna znów ją przelicytowała? Przypomniała sobie, w jaki sposób Hanna zawsze błyskawicznie wsuwała się na przednie siedzenie volvo, obok Jacka, ilekroć gdzieś jechali, pozostawiając tylne siedzenie dob-

rej, starej Grace, uśmiechającej się dzielnie jak auto-stopowiczka, która powinna uważać się za szczęściarę, jeśli w ogóle ją zabrano. Jack zdawał się nigdy tego nie zauważać.

- Berkeley to świetna szkoła - mówił teraz - tak samo jak Columbia i Georgetown, a one są o niebo bliżej. Pisz dalej takie prace, jak ta o doktorze Freestonie, a będziesz mogła wybierać.

Grace zobaczyła, że Hanna rzuca jej pełne poczucia winy spojrzenie, jak gdyby spodziewała się, że Grace przypomni jej, iż to ona załatwiła wywiad z Laslo Freestone'em, z którym sama trzy lata temu przeprowadzała wywiad do „New Yorkera”.

- Chris, mam nadzieję, że tobie jeszcze w szkole nie suszą głowy całą tą gadaniną o college'u - wtrącił się Jack, zanim Hanna mogła jej podziękować, jeśli to miała zamiar zrobić.

- Ja jestem dopiero w ósmej klasie - Chris uniósł głowę znad talerza i obdarzył Jacka spojrzeniem, które zatrzymałoby nosorożca w szarży. Grace była pewna, że on wie, iż Jack starał się po prostu wciągnąć go do rozmowy, i bolała ją szorstkość Chrisa.

- Tatusiu, pamiętasz tę wyprawę na narty do Vail, kiedy ja byłam w ósmej klasie? - zaszczebiotała Hanna.  
- Myślałam, że może moglibyśmy znowu pojechać tam wszyscy w czasie ferii bożonarodzeniowych. Chcę powiedzieć, wszyscy troje. Jak za dawnych czasów... tyle że bez mamy - rozejrzała się wokół siebie, jak gdyby oczekując, że jej propozycja spotka się z ogólnym entuzjazmem.

Dokładając starań, by z jej twarzy nie zniknął przylepiony uśmiech, Grace nagle z wielkim zajęciem zaczęła łowić na swoim talerzu szczególnie śliski kawałek pomidora. Kątem oka dostrzegła, że Jack patrzy na nią opiekuńczo i pomyślała: Nie. Nic nie mów. Proszę. Puść to mimo uszu.

- Ja myślałem o tym, żebyśmy wszyscy pojechali gdzieś razem na święta - powiedział Jack łagodnie. - To znaczy, jeśli nie masz innych planów, Ben. Tam, wysoko,



wokół chaty, powinno być mnóstwo śniegu i będzie można pobiegać na nartach. Grace? Chris? Co o tym sądzicie?

Grace poczuła nagły chłód, jak gdyby temperatura w pokoju spadła o dwadzieścia stopni. Cisza, jak gruba warstwa szronu, rozciągnęła się nad stołem. Kiedy już stała się nie do zniesienia, Grace powiedziała lekko: - Właściwie ledwie umiem jeździć na nartach. Lata temu, kiedy Chris był mały, próbowałam się nauczyć, ale okazało się, że jestem zupełnie beznadziejna.

- Może nie miałaś odpowiedniego nauczyciela - zasugerował Ben uprzejmie.

Grace musiała spuścić wzrok, by Ben nie dostrzegł wdzięczności, którą - była tego pewna - musiała mieć wypisaną na twarzy.

- Boże, tatusiu - powiedziała Hanna, wydymając usta w lekceważącym westchnieniu - czasami potrafisz być taki niepojętny. Nie rozumiesz?

- Nie rozumiem czego?

- Boże Narodzenie. Mówimy o Bożym Narodzeniu. No wiesz, dzwoneczki i Święty Mikołaj. - Hanna zwróciła się do Grace i łagodnie, przepraszająco, wyjaśniła: - My nie obchodzimy Bożego Narodzenia, ale tatuś czasami zapomina, że nie wszyscy są Żydami.

W tę grę mogą grać dwie osoby, pomyślała Grace i skoczyła na głęboką wodę. - W naszej rodzinie Boże Narodzenie to tak naprawdę nie były dzwoneczki i Święty Mikołaj. Moja matka przewodniczyła kościelnej akcji zbierania żywności i ubrań dla biednych.

Teraz z kolei Hanna wyglądała na skępowaną. Wyrażnie zdając sobie sprawę, że została pokonana, spuściła oczy.

- Tata chce, żebym spędził z nim Boże Narodzenie w Macon - wypalił Chris. Zwracał się z obojętnym wyrazem twarzy do odbicia Grace w pociemniałym oknie za jej plecami. - Więc to wszystko jedno, no wiesz. Rób, co chcesz.

*Et tu, Brutel* Teraz, kiedy przydałoby jej się wsparcie Chrisa, on wolał przerzucić wszystko na nią. A najgorsze

było to, że nie mogła nic pokazać po sobie. Za nic. Nie przy Hannie.

- Czy ktoś chce kawy? - zapytała z wymuszonym ożywieniem, czując się jak aktorka w filmie reklamowym. Podniosła się i zaczęła zbierać talerze. - Mam nadzieję, że wszyscy zostawili sobie trochę miejsca, bo mam szalenie wymyślny tort czekoladowy i nie ma mowy, żeby coś miało z niego zostać.

- Pomogę ci - Jack wstał, zręcznie zbierając talerze, srebro i kieliszki.

Kilka minut później, gdy kawa i tort zostały podane, Grace poczuła, że się nieco odpręża. Hannie wyraźnie smakował tort, które Grace kupiła w Cafe Bondi. Chris był przy drugim kawałku i nawet przyszło mu do głowy, by zapytać, czy ktoś chce jeszcze, zanim ukroił dla siebie. Ben opowiadał ojcu o wspaniałych kolejnych zamówieniach, jakie otrzymywali na jedną z jego książek, zakulisowe wspomnienia Willa Harrigana z czasów, gdy był prezenterem wiadomości telewizyjnych.

Grace wydawało się, że już niemal wypłynęli na czyste wody, kiedy Hanna oznajmiła niespodziewanie: - Tatusiu, niezbyt dobrze się czuję.

- Co ci jest, jabłuszko? - Jack wyciągnął rękę i położył dłoń na jej dłoni, marszcząc czoło z zatroskaniem. - Rzeczywiście, trochę pozieleniałaś.

Grace również to widziała. Zazwyczaj porcelanowa cera Hanny stała się zielonkawoszara, a pot perlił się na jej czole i górnej wardze. Musi to być po prostu jeszcze jedna ze sztuczek Hanny, pomyślała, i zawstydziała się za siebie.

Podniosła się i podeszła tam, gdzie Hanna siedziała w dreszczach, skulona, z ramionami przyciśniętymi do piersi. - Och, skarbie... czy mogę ci coś podać? Aspirynę, trochę wody?

Hanna potrząsnęła głową tak mocno, że jej koński ogon pofrunął w górę i trzepnął Grace w nadgarstek. - Mój... żołądek... O Boże... och, chyba zwymiotuję.

Jack pomógł córce wstać i przeprowadził ją przez hall do łazienki. Wrócił chwilę później, zatroskany i nieco zakłopotany. Grace wiedziała, jak się czuł. Tak jak każdy rodzic - odpowiedzialny za zachowanie dzieci, ale i bezradny.

- Musiało jej coś zaszkodzić - powiedział. - Jest uczulona praktycznie na wszystko. Poczuj się dobrze jak tylko odwieżę ją do domu.

- Słuchaj, tato, nie ma powodu, żebyś uciekał od Grace - powiedział Ben. - Mogę podrzucić Hannę po drodze do domu.

- Jeśli na pewno...

- Tato, powiedziałem, że się tym zajmę. - Grace przelotnie dostrzegła coś napiętego i najeżonego w tej jego twarzy modela od Ralphi Laurena.

Kilka minut później pojawiła się Hanna, blada i trochę drżąca, ale spokojna. - Odprowadzę was oboje do samochodu - powiedział Jack, przyciskając ją do siebie, gdy ona zanurzyła twarz w kremowych fałdach jego swetra.

- Ty po prostu chcesz się upewnić, że nadal mam samochód - zaśmiał się Ben. - Grace, przykro mi, że nie mogliśmy zostać i pomóc w zmywaniu naczyń. Kolacja była wspaniała i bardzo mi się podoba twoje mieszkanie. - Trzepnął Chrisa w ramię. - No, kolego, trzymaj się. Nie przejmuj się wszystkim zbytnio.

- Mhmm - mruknął Chris, nieznacznie się odsuwając od grupy zebranej przy drzwiach.

- Lepiej teraz? - zapytała Grace, pomagając Hannie włożyć płaszcz. - Nie mogę nie czuć się odpowiedzialna. Tort był chyba pomyłką, a na dodatek wszystkiego za tłusty. I te wszystkie orzechy.

- Czy powiedziałaś „orzechy”? - Hanna obróciła się na pięcie i wpatrzyła w Grace, z rękawem zwisającym luźno przy boku.

- No cóż, tak, tort właśnie to...

- Boże, nie mogę w to uwierzyć. Jestem uczulona na orzechy. Myślałam, że wiesz.

Patrząc, jak Hanna wychodzi za drzwi, jakaś taka mała i bezbronna między wysokimi sylwetkami ojca i brata, Grace miała straszliwe poczucie winy. Myślała, że na pewno Hanna lub Jack powiedzieli jej o tym uczuleniu, a ona zapomniała.

Nagle poczuła się zmęczona, zbyt wyczerpana, by ustać na nogach. Gorąca kąpiel, potem łóżko. Gdy Jack wróci po odprowadzeniu swoich dzieci, jego również pośle do domu. Zostawi zmywanie na jutro. Zostawi wszystko.

Chris, wyczuwając jej nastrój, przeszedł obok, milczący jak przedsiębiorca pogrzebowy, ściągając kurtkę z wiktoriańskiego wieszaka przy drzwiach w hallu. - Będę u Scully'ego - mruknął.

- Dopiero co tam byłeś. - Nie obchodziło jej, że jego najlepszy przyjaciel mieszka na dole; chodziło o zasadę. Poza tym, Petie Scully miał dopiero jedenaście lat. Dlaczego Chris nie ma przyjaciół w swoim wieku?

- To ty powiedziałaś, że muszę wrócić na kolację - przypomniał jej tonem wymuszonej cierpliwości.

Grace patrzyła, jak odchodzi, zbyt wyczerpana, by zatrzymać czy choćby skarcić syna, który - dobrze wiedziała - chciał, nie, pragnął mieć stawiane jakieś ograniczenia.

Ale dopiero gdy weszła do łazienki po aspirynę, by ulżyć swojej głowie, w której nagle zaczęło pulsować, odkryła, jak zły obrót mogą przybrać rzeczy właśnie wtedy, kiedy się myśli, że ma się już zupełnie dość.

Na podłodze, jak okropna metafora całego tego katastrofalnego wieczoru, leżała mała kałuża wymiocin.

Kłęczała, uprzątając ją w grubych gumowych rękawiczkach na rękach, starając się powstrzymać od płaczu lub zwymiotowania samej, kiedy wszedł Jack. Przez chwilę przypatrywał się jej, potem postawił ją na nogi.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział łagodnie. - Ja się tym zajmę.

- Dlaczego nie powinnam? - warknęła. - Dlatego, że to twoja córka? Dlatego, że może nigdy nie dojdziemy do

dzielenia odpowiedzialności za to, co dzieje się z twoimi dziećmi lub moim? - Łzy zapiekły ją w oczy.

- Nie, Grace, wcale nie o to chodzi - powiedział, a jego usta, dziwnie wrażliwe w twardej, poznaczonej życiem twarzy, wygięły się w górę w ironicznym półuśmiechu. - Myślałem tylko o tym, że i tak dość już miałaś Hannę na dzisiaj.

- Nie było tak źle. - Wtedy przyłapała się na kłamstwie i przyznała: - No dobrze, więc może nie poszło jak po maśle.

- Nie, ale poradziłaś sobie jak zawodowiec - położyły swoje duże ręce na jej ramionach. Jego uśmiech bladł, ustępując miejsca przeprosinom, a może i odrobinie żalu.

- Jack, czy odtąd tak ma być z nami? - Grace czuła, że zaczyna drżeć.

- Kocham cię - powiedział poważnie - i nie chcę sprawić ci zawodu. - Wydawał się teraz skrępowany, jego oczy unikały jej wzroku.

- Ale nie jesteś gotów na nic więcej niż to? - wypaliła.

- Na sypianie jedno u drugiego? Rodzinne spotkania, kiedy będziemy szczególnie masochistycznie usposobieni?

Milczał, oczy miał zachmurzone. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był wyważony, uważny. - Chciałbym powiedzieć ci to, co chcesz usłyszeć. Ale masz rację w tym, że to bardziej skomplikowane, niż gdyby chodziło tylko o nas dwoje. Podchodźmy do tego krok po kroku.

Jakże chciał ofiarować jej coś więcej... o wiele więcej. Czy ofiarowałby, czy mógłby zaofiarować, gdyby nie była od niego tyle młodsza? Gdyby ich dzieci, Chris i Hanna, nie sprzeciwiały się tak gwałtownie ich związkowi?

Kilka minut wcześniej, czekając na dole z Hanną, aż Ben przyprowdzi samochód, Jack spojrział prosto w oczy, prawdopodobnie po raz pierwszy - a może był to pierwszy raz, kiedy sobie na to pozwolił - nieszczęściu swojej córki. Tak, ona była czasami niemożliwa. Tak, była ostra dla Grace. Ale pod jej nieuprzejmością kryła

się mała dziewczynka, która czuła się tak samotna i opuszczona, że nie mogła powstrzymać się od uderzania w osobę, którą uważała za przyczynę tego wszystkiego.

Zamknął na chwilę oczy, a w myślach przesuwawała mu się scena z Hanną na dole jak na przewijanej taśmie wideo.

- Nie musisz, tatusiu. Naprawdę czuję się dobrze.  
- Leciutko, ale jakże znacząco, przeniosła ciężar ciała, odsuwając się od niego i jego niezdarnej próby pocieszenia.

Nie będzie płakała, wiedział o tym. Jest równie uparta jak on. Ale jeśli nieszczęście miało kiedyś twarz, była to twarz Hanny w tamej chwili. Tęsknił za dawnymi czasami, kiedy mógł przygarniać ją i tulić do piersi, chronić ją przed złem. Teraz była wysoką trzcina, chwiejącą się na wietrze, bliska złamania.

- Lepszego samopoczucia! - zawołał za nią, gdy zeszła z krawężnika, kierując się do samochodu Bena.

Tylko spojrzała na niego... przeciągle, przez ramię, a to spojrzenie zapadło mu w serce. Powiedziało mu, że dobre samopoczucie nie jest dla niej w tej chwili najważniejsze. I wiedział, że Grace nieuchronnie zostanie w to wszystko wciągnięta. Ponieważ te sprawy w jego życiu nie były tak łatwe do oddzielenia jak żółtko od białka. Teraz będzie musiał raczej stąpać ostrożnie niż podejmować jeszcze jeden drastyczny krok...

- Och, Jack, nie wiem, czy jestem do tego stworzona - westchnęła Grace. - Do czekania, zastanawiania się. Jestem za stara na to, żeby gonić za marzeniami.

- Ja także. - Jack unosił palcem jej podbródek, aż jej wzrok znalazł się na linii jego białego w nią spojrzenia. Nieoczekiwanie wyglądał co do dnia na swój wiek, na starszego i bardziej znużonego niż widziała go kiedykolwiek przedtem.

Grace zobaczyła wtedy siebie samą oczami Jacka: małą kobietę w niebieskich džinsach, wilgotnych na kolanach, w wielkich, żółtych gumowych rękawiczkach, stojącą przed toaletą we łzach.

Kobietę szaleńczo zakochaną w tym dużym, cudownym mężczyźnie, który nie składał żadnych obietnic, tylko szeroko otwierał ramiona, by ją w nich zamykać. Kobietę, która zastanawiała się, dokąd zaprowadzi ich ta zwodnicza, nie oznaczona na mapie droga, i czy pewnego dnia będzie wytrwale uprzętać inny bałagan.

## ROZDZIAŁ 2

Hanna miała mdłości.

Nie, żeby musiała znowu wymiotować. Nie, to było coś innego... w pewnym sensie coś gorszego. Zanim Ben zaparkował swojego beamera przed budynkiem przy Gramercy Park, Hanna była już całkowicie zdegustowana sobą. Dlaczego zachowywała się u Grace jak kretyńka? Wstrętne i złośliwie, jak ta humorzasta Corinne Cavanaugh zawsze wbijająca szpilki biednej, grubej Francie Boyle.

Z tą różnicą, przypomniawszy sobie, że Grace nie jest gruba ani żałosna. Może gdyby Grace była pospolita, albo miała nieładną cerę, czy chociaż nieświeży oddech, nie byłoby to takie okropne. Wtedy mogłaby przynajmniej współczuć Grace, może mieć nawet odrobinę poczucia wyższości. Kłopot w tym, że Grace jest taka cholernie... doskonała. Nieźle też gotuje. Przy niej Hanna czuła się taka skrępowana - słoniowata, niezdarna, przyszczata. Od samego tylko patrzenia na cerę Grace, jak z reklamy „Dove”, niemal wyskakiwały jej wągry na nosie i podbródku.

- Nie musisz wchodzić ze mną na górę - powiedziała bratu, który wszedł z nią do budynku i czekał teraz aż

nadjedzie winda. - Wiesz, mam szesnaście lat, nie sześć.  
- Natychmiast pożałowała, że na niego warknęła.

Ale po Benie, jak zwykle, spłynęło to jak woda po kaczce. - Nie ma sprawy. Dotrzymam ci towarzystwa, dopóki mama nie wróci do domu.

Nic nowego w tym, że mamy nie ma w domu, pomyślała Hanna. Ale tym razem zachowała tę myśl dla siebie.

Na trzecim piętrze, gdy przemierzali otchłanny korytarz, Hanna szła cicho, zupełnie jakby nie chciała przeszkadzać sąsiadom. Odkąd była dzieckiem, z jakiegoś powodu to miejsce, z nikłym oświetleniem ze szkła artystycznego, z fasetami na suficie i ciężkimi, zdobionymi drzwiami przywodziło jej na myśl korytarz w jakimś wielkim mauzoleum. Miejsce, gdzie należy mówić szeptem. Przypomniała sobie, jak rok czy dwa lata temu kilku mieszkańców domu chciało przykryć chodnikiem starą, wiktoriańską podłogę z kafelków w korytarzu. Zaczął się wielki spór, a na czele komitetu zachowawczego stała jej matka. A że matka zazwyczaj osiągała to, czego chciała, teraz, mimo największych starań, Hannie nie udało się iść tak cicho, by jej kroków nie usłyszał rottweiler pani Vandervoort z 4C i nie rozpoczął szaleńczego szczekania.

Szybko otworzyła drzwi mieszkania, zanim pani Vandervoort mogła wysunąć głowę i rzucić im jedno ze swoich groźnych spojrzeń. Ben wszedł za nią do środka, gdzie ich kroki natychmiast stłumił chiński chodnik, tak gruby, iż miało się wrażenie, że chodzi się po materacu z gąbki.

- Wygląda na to, że mama już wróciła - szepnął Ben.

Z bawialni sączyła się muzyka, cicha i łatwa do zapomnienia... jedna z tych płyt kompaktowych New Age, jakie mama lubiła. Muzyka na zły nastrój, kiedy potrzebowało się pocieszenia, albo na zły nastrój, kiedy potrzebowało się jego potwierdzenia: muzyka na sen albo na przebudzenie, albo na nieprzejmowanie się bzdurami.



Była jak wszystko inne w tym mieszkaniu - jak mora na ścianach i dywany z Aubusson, angielskie sztychy myśliwskie i haftowane poduszki, szal z frędzlami, udrapowany na oparciu antycznej sofy - pomysłowe i ułożone we właściwym porządku na właściwym miejscu. Jednakże jakoś nie całkiem realne - jak salon mody Ralpa Laurena. Zrzucając z siebie płaszcz, Hanna poczuła, że zaczepia jego rękawem o pęk suchych traw, sterczących z antycznego stojaka na parasole obok szafy w hallu wejściowym. Patrząc, jak drobiny puszku i złamanej łądygi opadają na dywan, doznała ukłucia paniki. Boże, mama ją zabije. Zazwyczaj starała się być taka ostrożna... tylko, do cholery, dlaczego w stojaku na parasole nie mogło być parasoli zamiast jakiegoś głupiego bukietu, wokół którego trzeba było chodzić na palcach?

- Ben... kochanie, czy to ty? - doszedł ich głos mamy, niefrasobliwy i pełen nadziei.

Hanna skrzywiła się. Dlaczego mama po prostu zakłada, że to Ben? Ben wyprowadził się dawno temu - mama tylko lubiła udawać, że on nadal tu mieszka. Powinno było być na odwrót, pomyślała Hanna. Gdyby ona miała własne mieszkanie, mama nawet by nie zauważyła, że tu nie mieszka. Hanna Gold, zadziwiająca niewidzialna córka. Nie miała mamie tego tak bardzo za złe, kiedy tata z nimi mieszkał, ponieważ on zawsze był taki szczęśliwy, że ją widzi, jak gdyby nie było na świecie nikogo, czyj widok sprawiałby mu większą radość.

Ale tatuś teraz ma Grace.

A ona ma... kogo? Conrada?

Mimo całej tej paplaniny przy kolacji wciąż nie była pewna, co Conrad do niej czuje. Och, on jest taki wygadany w tym wszystkim, co wiąże się z lubieniem kogoś; potrafił godzinami mówić o tym, dlaczego powinni pójść ze sobą do łóżka. Ale chodziło tylko o seks. To niekoniecznie oznaczało, że chce z nią być.

- Powiedz jej, że tylko cię podrzuciłem, że nie mogłem wejść na górę - szepnął jej Ben do ucha. Hanna zobaczyła, że nie zdjął płaszcza.

- Sam jej powiedz. - Skupiał na sobie całą uwagę, o którą w ogóle nie zabiegał.

- Han, daj mi odetchnąć... - w mrocznym hallu zobaczyła, jak Benowi zwięzają się oczy. Rzucił niespokojne spojrzenie na smugę światła pod drzwiami do bawialni.

Hanna stłumiła niechęć. Ach tak, więc Benowi też nie było łatwo. Mama cały czas wspierała się na nim, nie chcąc zrezygnować z abonamentów do Metropolitan, z koncertów muzyki kameralnej, z ABT i po prostu oczekiwała od Bena - nie, domagała się od niego - że będzie eskortował ją na każdą operę, koncert, balet. Nie mówiąc już o imprezach dobroczynnych i proszonych kolacjach. Czasami nawet, jak zdradził jej Ben, mama nie mówiła ludziom, że jest jej synem. Zupełnie jakby chciała, żeby wszyscy myśleli, że umówiła się z nim na randkę.

- To ja, mamó! - wykrzyknęła Hanna, dodając *sotto voce* do brata: - Jesteś wolny.

- Dzięki - bezgłośnie poruszył ustami, wycofując się za drzwi.

W bawialni Hanna znalazła matkę, ubraną w futerał z czarnej wełnianej krepy, z szalikiem od Hermesa upiętym na ramieniu, umoszczoną w fotelu przy kominu. Kołysała na obciążonych szarymi pończochami kolanach otwartą książkę z próbkami obić. Kiedy podniosła wzrok, jej włosy w świetle lampy zaśniły miodowo i złoto. Hanna wiedziała, że mama płaci jakieś sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie Recine, by wyglądało to tak, jak gdyby się z tym urodziła.

- Cześć, skarbie - powiedziała mama z roztargnieniem, wracając do przeglądania próbek. - Jak ci minął wieczór?

- Świetnie - skłamała Hanna. - A tobie?

- Dobrze. Mówiłam ci, z kim jadłam kolację? To klient, rozwiedziony, bankier inwestycyjny z górą pieniędzy, i co więcej, zupełnie nie ma pojęcia, czego chce. Urządza mu całe mieszkanie, przedwojenne, okolice Piątej Alei. Dużo boazerii, zero światła, więc myślałam...

- przewróciła stronę, ujmując w palce kwadrat różowego perkalu.

Hanna spodziewała się, łudząc się wbrew nadziei, że tym razem będzie inaczej. Dlaczego chociaż raz nie zapytasz mnie, co myślę? Nie tylko o próbkach obić, ale o rozwodzie, o tym, że tatuś ma przyjaciółkę, i... och, o szkole, o tym, do którego college'u chciałabym pójść, nawet o Conradzie, szczególnie o Conradzie.

Bardziej niż czegokolwiek innego Hanna pragnęła, by matka po prostu wyciągnęła do niej ramiona i uściśnęła ją tak, jak Grace zawsze ścisnęła Chrisa - to znaczy, kiedy jej na to pozwalał.

Ale co ona naprawdę wie o Grace i Chrisie? Poza dzisiejszą kolacją dała się wyciągnąć tylko na parę tak zwanych wypraw rodzinnych - zbieranie jabłek w Pawling i kilka razy do kina, a potem coś przekąsić. I, taak, tamten wieczór, kiedy tatuś zdobył dla wszystkich bilety na mecz Metsów. Wtedy nawet Ben poszedł z nimi.

Zobaczyła, że matka spogląda na nią ostro, jak gdyby czytała w jej myślach. Hanna wiedziała, co oznacza ten szczególny błysk w oczach matki, i poczuła, że kuli się od niego.

- Jak dzisiaj poszło? - mama nadal mówiła lekkim tonem, ze stosowną nutą umiarkowanego zainteresowania, ale Hanna zauważyła sztywność jej szyi.

Pokój robił wrażenie dekoracji teatralnej z mamą pośrodku, oświetloną dla efektu reflektorem. Za nią stała wysoka oszklona biblioteczka z rzędami oprawionych w skórę dzieł Dickensa, Thackeraya i Marka Twaina, do których nikt w dzisiejszych czasach nie zagląda. Na stoliku obok kominka kolekcja antycznych tabakierek nie pozostawiała miejsca na książkę, gdyby przypadkiem się ją czytało.

- Mówiłam ci - Hanna opadła na kolana przy tekowej szafce z aparaturą stereo i zaczęła szukać płyty Chrisa Isaka. - Zjedliśmy kolację, Ben odwiózł mnie do domu. I to chyba wszystko.

Myślała o tym, by powiedzieć matce, że się rozchorowała. Matka by jej współczuła... przez jakieś pięć sekund. Potem chciałyby się dowiedzieć, jak to się stało, że Hanna się rozchorowała i dlaczego, na litość boską, jej ojciec nie uprzedził Grace, że ona jest uczulona na orzechy.

Dlaczego nie zapytasz mnie, co czuję do taty i Grace, zamiast wyciskać ze mnie informacje? - miała ochotę zapytać.

- To nie jest odpowiedź, to haiku - powiedziała mama z urywanym śmiechem. - Zresztą nieważne. Gdzie jest Ben? - spojrzała ponad ramieniem Hanny, jak gdyby wciąż spodziewała się, że Ben się pojawi.

Hanna poczuła, że robi jej się zimno. - Nie mógł znaleźć miejsca do parkowania. Przesyła ci ucałowania.

- No proszę, a ja chciałam mu przypomnieć o jutrzejszym wyjściu do filharmonii. Myślałam, że potem moglibyśmy zjeść z Minkinami kolację w rosyjskiej herbaciarni.

Hanna znalazła płytę, której szukała. - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym nastawiła coś innego? - Do diabła z tym głupim tete-a-tete, jakie mama planowała dla siebie i Bena. Poza tym ta ciurkająca muzyka New Age naprawdę działała jej na nerwy.

- W gruncie rzeczy nie powiedziałaś mi nawet słowa, jak upłynął dzisiejszy wieczór - odezwała się mama, jak gdyby nie słyszała pytania.

- Upłynął dobrze - Hanna czuła, jak rozchodzi się po niej zimno.

Usłyszała westchnienie matki. - Doprawdy, Hanno, zachowujesz się tak, jak gdyby mnie obchodziło, co twój ojciec i jego... ta dziewczyna, którą widuje... porabiają. Pytałam tylko przez uprzejmość.

Pewnie, pomyślała Hanna, a ja jestem chińską cesarzową.

- No dobrze, jedliśmy lasanię - powiedziała neutralnym tonem, odwrócona plecami. - I czekoladowe ciasto

na deser. - Nie, nie powie' matce, że zwymiotowała. Chociaż tak bardzo nie lubiła Grace, nagle poczuła dziwne pragnienie, by ją chronić.

Zresztą matka nie musi wiedzieć o wszystkim.

- Pokrzepiające jedzenie - powiedziała mama trochę zbyt słodko. - Jak milutko. Przypuszczam, że potem wszyscy zebraliście się przy telewizorze, żeby oglądać stary odcinek *Waltonów*.

- Daj spokój, mamo. To nie było nic takiego.

- Urządzałam kiedyś poddasze w tamtym budynku. Straszne miejsce. Ciagle psująca się winda, żadnych zabezpieczeń.

- Winda działa teraz świetnie.

- Przypuszczam, że wiesz o tym lepiej niż ja, spędzając tam tyle czasu.

- Byłam u Grace wcześniej tylko raz, i to zaledwie parę minut. Zwykle idziemy do kina czy coś takiego. Albo zostajemy u taty.

- Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ona spędza tam noce. Nie musisz bronić ojca, Hanno. To nie mój interes... chociaż mogłabym sądzić, że on będzie miał dosyć zdrowego rozsądku, by wiedzieć, co jest stosowne dla jego szesnastoletniej córki.

- Nie robią tego przy mnie, jeśli ci o to chodzi! - Hanna odwróciła się gwałtownie, przewracając niechcący stos płyt kompaktowych na niskim lakierowanym stoliku. Pospadały na podłogę z brzękiem tłuczonego szkła.

Matka zamknęła oczy, a jej palce zacisnęły się na winylowych okładkach książki z próbkami. - Nie musisz krzyczeć. Ja tylko wyrażam troskę o twoje dobro. I proszę, spróbuj być trochę bardziej ostrożna.

Żołądek Hanny zacisnął się w twardą pięść. Teraz naprawdę miała chęć wrzasnąć i naprawdę coś stłuc. Co by mama zrobiła, gdyby rozbiła jej któryś z cennych porcelanowych lichtarzy albo ten gustowny francuski zegar na obramowaniu kominka? Posłałaby ją do poprawczaka? Albo kazała poddać lobotomii?

- Mamo, ja nie krzyczałam. - Hanna zmusiła się do

ściszenia głosu, po czym zabrała się do zbierania płyt, krzywiąc się na widok rysy na jednej z wyfroterowanych klepek parkietu. Położyła płyty na stoliku i wzięła głęboki oddech, kołyszając się na piętach. - Po prostu nie znoszę, kiedy przypierasz mnie do ściany, no wiesz, każąc mi mówić o tatusiu.

- Czy nie sądzisz, że powinnam mieć prawo wiedzieć, w jakiego rodzaju sytuacji cię pakują?

- Słuchaj, dlaczego po prostu nie zapytasz taty?

Mama zatrzasnęła swoją książkę z próbkami. - Czy myślisz, że powiedziałyby mi cokolwiek? Gdybyś miała jakieś pojęcie, przez co przeszłam, nie proponowałabyś, żebym... - oczy jej zalśniły i dolna warga zaczęła drżeć. - Czy wiesz, jak to jest mieć pięćdziesiąt lat i być po prostu odsuniętą na bok jak... jak zniszczona sofa? Po wszystkich tych latach zaniedbywania moich potrzeb, żeby twój ojciec mógł skończyć studia, a potem przesiadywania w domu z Benem...

Ja się nie liczę, pomyślała Hanna, ponieważ miała mnie dopiero wtedy, kiedy mogli sobie pozwolić na nianię. Pomyślała o Suzette o czekoladowej skórce, która uczyła ją śpiewać jamajskie dziecinne wierszyki, bandażowała jej otarte kolana, a nawet przychodziła ją oglądać w szkolnych przedstawieniach. W tamtych dniach mama właśnie rozkręcała swoją firmę i prawie zawsze była zajęta spotkaniami w interesach albo bieganiem po aukcjach antyków. To tatuś zjawiał się na zebraniach rodziców i pomagał przy dorocznych jarmarkach bożonarodzeniowych w jej szkole.

Ale Suzette dawno temu odeszła, a teraz odszedł także tatuś. Tylko mama jej została i Hanna, gdyby była dostatecznie mała, wdrapałaby się jej na kolana i położyła głowę na sercu. Słyszała tę właśnie przemowę o tacie wystarczająco często, by móc wypowiadać jej słowa razem z mamą. Jednakże wiedziała, że matka cierpi, i chciałaby móc ulżyć jej bólowi.

Klękając przed matką na podłodze, ujęła jej chłodną, smukłą dłoń. - Mamo... naprawdę przykro mi z powodu

tego, co się stało, rozwodu i tak dalej. Ale nie jesteś jedyna. Mam uczucie, że tata mnie także opuścił.

Na chwilę twarz mamy złagodniała, jak gdyby mama była o krok od powiedzenia czegoś miłego. Ale potem cofnęła rękę i przycisnęła ją do skroni, zaciskając mocno powieki, jak gdyby nagle dopadł ją ból głowy.

- Och, doprawdy, Hanno. Twój ojciec skoczyłby za tobą w ogień. Nie sądzę, byś mogła porównywać moją sytuację z twoją.

Może gdybyś była dla niego miłsza, nie zostawiłby cię! - miała ochotę wykrzyknąć Hanna. Dlaczego mama choć raz nie mogła przyznać, że miała swój udział w tym rozstaniu? Skrywając zawód, Hanna prosiła: - Mamo, proszę cię, nie możesz tego po prostu zostawić? Masz wspaniałą pracę, to mieszkanie, przyjaciół, którzy cię kochają.

Córkę, która także chce cię kochać.

- Łatwo ci mówić - ucięła mama. - Ty masz całe życie przed sobą.

Hanna nie znosiła, gdy ktoś jej to mówił - jak gdyby była listkiem gumy Wrigley's Spearmint, tylko czekającą na to, by ją przeżuto. Czy tylko dlatego, że ma całe życie na nieszczęścia, nie ma prawa być nieszczęśliwa teraz?

Zdusiła ostre słowa, które cisnęły jej się na język i powiedziała cicho: - Ale teraz mam uczucie, że... że cała ta sprawa z tatą naprawdę psuje coś między nami.

- Czego ty chcesz ode mnie? - zapytała mama z irytacją.

Hanna z wysiłkiem próbowała znaleźć słowa, odpowiednie do tej wielkiej, huczącej w niej pustki. - Ja tylko chcę... - zamilkła. Czego właściwie chce? Żeby jej matka i ona nagle stały się najlepszymi przyjaciółkami, jak Kath i jej matka, które praktycznie wszystko robiły razem i czasami nawet pożyczaly sobie ciuchy? Nie, uznała. Chce po prostu czuć się potrzebna. Wciągnęła głęboko powietrze. - Zastanawiałam się, czy ty i ja

mogłybyśmy czasami gdzieś pójść. No wiesz, na jeden z tych twoich koncertów czy coś takiego.

- Ach, o to chodzi. Oczywiście, kiedy tylko zechcesz, skarbie - zdawało się, że mamie nieco ulżyło. Machnęła niedbale ręką i wróciła do przeglądania swoich próbek. Hanna wiedziała, że to koniec, ponieważ mama zawsze tak mówiła, kiedy nie miała najmniejszego zamiaru czegoś realizować.

Łzy wypełniły jej oczy. Gdyby tylko miała kogoś, z kim mogłaby być, kogoś, kto by ją kochał i chciał jej dla niej samej.

Pomyślała o Conradzie i przypomniała sobie jego słowa, że rodzice wyjeżdżają na weekend, a jemu zwracają dupę siedzeniem w domu i opiekowaniem się małym bratem. W tej chwili nie dbała, dokąd to może doprowadzić; myślała tylko o jego ramionach wokół siebie, obejmujących ją mocno... tak, by mogła poczuć, że jest prawdziwa, że nie jest niewidzialna.

- Wychodzę - Hanna wstała raptownie i wyszła do hallu. Żołądek naraz przestał ją boleć.

- Hanna, dokądże ty idziesz? Na litość boską, przecież dopiero co wróciłaś!

Usłyszała stukanie wysokich obcasów matki o podłogę, a potem przytłumione pukanie. Chwyliła płaszcz i rzuciła się do drzwi wyjściowych, krzycząc przez ramię: - Będę u Kath! - Jej najlepsza przyjaciółka mieszkała tylko o przecznicę stąd, przy Irving Place, więc nie było dla niej niczym nadzwyczajnym zachodzenie tam o dziesiątej wieczorem.

- Zwariowałaś? - pisnęła Kath, kiedy Hanna zadzwoniła do niej z budki telefonicznej, prosząc, by ją kryła. Zniżyła głos, żeby broń Boże rodzice nie usłyszeli szeptu. - Chcę powiedzieć, no wiesz, Hanna, Con od tygodni ugania się za tobą, żeby... no, sama wiesz. Co on sobie pomyśli, kiedy zjawisz się o tej porze, a jego rodzice wyjechali na weekend?

- Nie obchodzi mnie, co się stanie - powiedziała Hanna, zawzięcie wydmuchując nos w zmiętą chusteczkę,



którą wyciągnęła z kieszeni płaszcza. - Muszę go zobaczyć.

Głębokie westchnienie: - W porządku, mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Nie wiem, czy naprawdę mam zamiar... no wiesz. Jeszcze się co do tego nie namyśliłam.

- Dobra, ale jak się namyślisz, przyrzeknij, że nie zdradzisz mi żadnych pikantnych szczegółów. Za bardzo byłabym zazdrosna. - Kath, która była pewna, że skończy w klasztorze, jeśli w ciągu następnej doby nie znajdzie chłopaka, westchnęła znowu.

Pięć minut później, po telefonie do Conrada, Hanna jechała do jego mieszkania pociągiem, zmierzającym do śródmieścia. Tatuś dostałby zawału, gdyby wiedział, że ona o tej porze jedzie metrem, pomyślała. Ale gdyby tak bardzo go to obchodziło, byłby przy niej, żeby widzieć, dokąd chodzi i co robi, zamiast tylko słyszeć o tym dwa lub trzy dni później.

Albo, w tym wypadku, nie słyszeć.

Hanna znów poczuła mdłości. Wtedy przypomniała sobie, co Grace powiedziała o swoich rodzicach.

Gdy tata pomagał Grace ustawiać kolację na stole, Hanna słyszała ich rozmawiających o książce, którą pisze Grace. Coś o jej ojcu i matce, pozostających w niezwykłym, jak je nazwała, małżeństwie. Tych dwoje nigdy się nie kłóciło, nigdy nawet nie zamieniło szorstkiego słowa. Dosłownie szaleli za sobą... tyle tylko, że przez większość czasu nie mieszkali razem.

Przez wszystkie te lata, które ojciec Grace spędził jako senator daleko, w Waszyngtonie, matka mieszkała razem z nią i jej siostrą w nowojorskim mieszkaniu. Według Grace układ ten działał doskonale. Jej matka miała swoją działalność charytatywną i funkcje w rozmaitych zarządach, co dostarczało jej zajęcia. Z ojcem widywali się w czasie weekendów i świąt, kiedy albo on przyjeżdżał do domu, albo one jechały pociągiem do Waszyngtonu, by być z nim. A ilekroć wyglądało na to, że ojciec wróci do domu na dobre, wybierano go na następną kadencję.

Grace powiedziała tatusiowi, że tylko ona nie była tym uszczęśliwiona. Ale może w tym leżał sekret powodzenia jej rodziców, pomyślała Hanna. Może prawdą jest to, że ludzie nie są stworzeni do przebywania cały czas razem? Gdyby członkowie rodziny nie poświęcali sobie nawzajem tyle czasu, nie przywiązywaliby się aż tak bardzo do siebie.

Hanna myślała o ojcu Grace, zmarłym, kiedy Grace nie miała jeszcze czternastu lat, i uznała, że choć to musiało być ciężkie dla Grace, jej matki i siostry, faktem było, że on opuścił je wcześniej. Ponieważ, czy to chodziło o ojca zmarłego, czy o takiego, który odchodzi, wszystko sprowadza się do jednego: że taty nie ma w pobliżu, kiedy się go potrzebuje.

## ROZDZIAŁ 3

- Jest tylko jeden mały problem. - Dan Killian odchylił się do tyłu na obrotowym krześle; jego ręce wzniosły się strzeliście nad pękatą sakwą brzucha. - Mówiąc całkiem szczerze, może to być dość duży problem. Ale nie denerwuj się, Dellie, dopóki mnie nie wysłuchasz.

- Słucham, Dan.

Cordelia Clayborn Truscott nie pozwoliła sobie opaść na oparcie męskiego fotela ze skóry naprzeciw rzeźbionego, orzechowego biurka Dana Killiana, ani nie uległa impulsovi bawienia się sznurem pereł, który zwisał z jej piersi prosto jak pętla kata. Nie pozwolę, żeby widział, jak się skręcam, pomyślała. Przeciwnie, jeszcze bardziej się wyprostowała, wpatrując się w Dana uprzejmym, uważnym spojrzeniem, które stanowiło jawne wyzwanie dla oszalałego bicia jej serca.

Nie waż się wycofywać, Danie Killian... wszyscy, tylko nie ty! Dan, z którym łowiła kijanki w potoku koło swojego domu, kiedy oboje łżyli na tyle mali, by biegać półnago, a nikomu nawet z tego powodu nie drgnęła powieka. A kogo, gdy już osiągnęli wiek szesnastu lat, bez reszty zafascynowały ukryte owoce jej przedtem płaskiej piersi i kto posunął się tak daleko, że pewnej księżycowej kwietniowej nocy rozpiął w cieplarni jej stanik? Do dziś zapach kostek torfowych przywoływał zawsze w jej pamięci pełne winy drżenie bladej ręki Dana Killiana na jej piersi. Kochała go wtedy tak, jak może kochać szesnastolatka, co, jak rozumiała teraz, było tak podobne do prawdziwej miłości, jak ich brodzenie w potoku do pływania.

Czyżby teraz miał zamiar odstąpić od swojej obietnicy po prostu dlatego, że przed tyloma laty nie chciała się z nim położyć? Czy doprowadziła do tego jakaś jego długo tłąca się uraza?

Cordelia spostrzegła, że uśmiecha się na samą myśl o tym. O nieba, cóż to za pomysł! Dan, z potrójnym podbródkiem, z pięciorgiem dorosłych dzieci, od ponad czterdziestu lat żonaty z Królową Dixie 1948 roku z liceum Roberta E. Lee.

Nie, coś całkiem niedawnego musiało skłonić do raptownego zwrotu w tył. Czuła, co Dan za chwilę powie i z trudem się powstrzymała, by nie zasłonić sobie rękoma uszu. Być tak blisko urzeczywistnienia swojego marzenia tylko po to, by usunięto jej grunt spod nóg. Przecież to nie do zniesienia.

Widziała to tak wyraźnie w myślach: biblioteka Gene'a, podobny do katedry budynek, wypełniony światłem i książkami, jego przemówieniami, listami, artykułami, ustawami, które szkicował siedząc do późna w nocy. Obraz tak dla niej realny, że niemal widziała, jak wyrasta w naturalnej wielkości na ślicznym trawiastym wzniesieniu na południowym krańcu kampusu uniwersytetu Latham, gdzie kilka lat temu spłonęło stare dormitorium Henley.

Cordelia poruszyła niebo i ziemię w staraniach o zebranie około sześciu milionów dolarów, bo tyle kosztowałyby biblioteka. Jako przewodnicząca Komitetu Budowy Biblioteki Pamięci Eugene'a Truscotta zwróciła się do wszystkich fundacji, o jakich słyszała i od wielu z nich otrzymała pieniądze, potrafiła nawet wyklócić się o niewielką subwencję federalną. Bywała w bankach i kompaniach naftowych, otrzymała też miły dar od dawnego związku strażaków Gene'a. Ale wciąż brakowało jej ponad milion - z czego osiemset pięćdziesiąt tysięcy obiecał jej Dan Killian - i była zmęczona. Ostatnio bywała na takich jak to spotkaniach, gdzie chwilami zapominała, co miała zamiar powiedzieć. Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie mogła to ciągnąć.

Cordelia poprawiła kremową gabardynową spódnicę, wyrównując jej zakładki z taką samą starannością, z jaką każdej wiosny oznaczała sznurkiem rzędy drobnych sadzonek w swoim ogrodzie zielnym. Na jedną rozkoszną sekundę pozwoliła myślom odpłynąć ku ciepłemu późnemu popołudniu, które nastąpi, gdy już tę ciężką próbę będzie miała za sobą. Wyobraziła sobie, jak kłęczy na żyznej ziemi w ogrodowych spodniach i miękkim słomkowym kapeluszu, pracując obok Gabe'a przy zbieraniu ostatnich letnich ziół.

Gabe...

W mrocznym, męskim gabinecie Dana, przesiąkniętym słabą, ale uporczywą wonią cygar, Cordelia miała wrażenie, że nieznośne słońce pali jej twarz i niemiłosiernie grzeje całe ciało. Zmuszała się, by nie myśleć o Gabie. Musiała skupić się na tym, co działo się tutaj i teraz, na Danie Killianie i paskudnej małej bombie, którą - jak wyczuwała - Da ma zamiar za chwilę rzucić...

Patrzyła, jak Dan grzebie mięsistą dłońią w papierach na biurku i w końcu wyciąga wycinek z gazety, trzepocący niespokojnie w ciepłym powietrzu ze starego wentylatora.

- To z „Constitution” - oznajmił, jak gdyby to był wielki dokument twórców konstytucji, a nie o prostu głupia gazeta. - Piszą tutaj, Dellie, że twoja Grace, z której, jak wiesz, wszyscy jesteśmy tak dumni, że równie dobrze mogłaby stać pośrodku Jackson Park w brzozy i z tablicą pamiątkową u stóp; piszą tutaj, że Grace pisze książkę, biografię - zaakcentował to słowo, rozciągając je do długości trzech - swojego taty. Eugene'a.

- To dla mnie żadna nowość, Dan - przerwała Cordelia. Wiedziała o książce na długo przedtem, nim Grace zdążyła przelać na papier choćby jedno słowo, nawet była tym podekscytowana, zanim ta... ta... Och, co za niesprawiedliwość, co za okrucieństwo!

- Jak rozumiem, większa jej część jest pochlebna - ciągnął Dan. - Jednak zawiera coś ogromnie niepokojącego. Coś, co... do diabła, powiem to prosto z mostu... coś o tym, że Gene był zamieszany w zabójstwo tego człowieka. Czarnego człowieka - głowę trzymał nisko, wciśniętą w miękkie poduszki podbródków układających się warstwami na jego szyi, a jego wyblakłe oczy łypały żałośnie nad złotymi oprawkami okularów. - Wybacz mi, Dellie, ale właśnie to piszą.

- Wiem, co piszą, Dan. - Natychmiast pożałowała, że okazała zniecierpliwienie. W myślach usłyszała głos swojej matki: „Dama jest uprzejma i dobrze wychowana w każdych okolicznościach, nawet w sytuacji wielkiego napięcia”. - Ja również otrzymuję „Constitution”, przynoszą mi je na próg domu. Chociaż, gdybyś mnie zapytał, powiedziałabym, że ostatnio połowę zawartości pisma mogliby równie dobrze wrzucać od razu do pojemnika na śmieci.

- Ale z pewnością...

- Rozmawiałam z Grace i przedstawiłam jej mój pogląd na ten temat - powiedziała Cordelia głosem tak wyważonym, jak gdyby cięła sekatorem wyjątkowo ciernisty krzew.

Jednakże czuła, że serce osuwa się jej w dół klatki piersiowej, a wraz z nim kamienny spokój. Musi wziąć

się w garść. Nie, nie miała zamiaru dopuścić do tego, by Dan Killian, który niegdyś w cieplarni obmacywał jej piersi, teraz zobaczył, jak się załamuje. Zamiast tego odtwarzała w myślach rozmowę telefoniczną z Grace z ubiegłego tygodnia. Do wściekłości doprowadzało ją to, że jej córka usiłuje wyciągnąć na światło dzienne dawną tragedię! A teraz gazety robią z Gene'a jakiegoś... mordercę! Albo, w najlepszym wypadku, kłamcę.

O tak, wiedziała, co się naprawdę wydarzyło tamtego dnia. Gene zwierzył się jej zaraz potem. Jakże by mógł się nie zwierzyć? Dzielili się ze sobą wszystkim. Tylko ona wiedziała, jaki był udręczony miesiącami cierpienia i samozwątlenia. Jednak nie musiała wcale przy tym być, by wiedzieć, że nie zamordował tego biedaka... Zrobił jedynie to, czego ona sama, czy też ktokolwiek inny, oczekivaliby po nim. Przecież ryzykował własnym życiem, by ocalić Margaret!

A gdyby powiedział prawdę? Gdyby zakwestionowano prawość Gene'a, jego wrogowie na Wzgórzu Kapitołińskim skorzystaliby z pretekstu, by ukrećić łeb ustawie o prawach obywatelskich, którą on forsował. Również prasa rzuciłaby się na niego jak stado szakali. A opinia publiczna? W dzień wyborów nawet najzgorzalsi zwolennicy Gene'a zastanowiliby się dwa razy, zanim przebiłby dziurkę przy jego nazwisku na karcie do głosowania.

A czym ten kraj byłby dzisiaj, zastanawiała się Cordelia, gdyby Gene do tego dopuścił?

- Prawdą jest - ciągnęła, starając się zapanować nad drżeniem głosu - że Gene był najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałam - mówiąc to utkwiała w Danie niewzruszone spojrzenie. - I jestem przeświadczona, że kiedy Grace odzyska rozum, inaczej oceni swoje wspomnienia.

- Mówisz, że Grace właściwie nie widziała zabójstwa, tak jak tu piszą?

- Mówię, że Grace zawsze miała skłonności do przesady. A w tym przypadku... no cóż, miała wówczas nie więcej niż dziewięć lat. Wolę wierzyć, że po prostu

wyobrażnia ją za bardzo poniosła. - Bez wątpienia była to wymówka dla obecnej niedyskrecji jej córki, ale Dan Killian nie musi wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w jej rodzinie.

Cordelia zacisnęła złączone dłonie na podołku, czując jak jej się robi słabo z gorąca, chociaż niewątpliwie było tu o wiele chłodniej niż jej się wydawało. Jej puls podjął swój płytki, kapryśny rytm.

Miała ochotę wrzasnąć na Dana, zmusić go, by dał spokój temu męczącemu odwlekaniu i powiedział to, co zamierza. Ale kiedy wreszcie przemówił, marzyła o tym, by uciec z pokoju i zatrzasać za sobą drzwi.

- No cóż, Dellie, chciałbym wierzyć, że to rozdmuchana sprawa. Jednak to wszystko nie jest aż tak proste. - Przynajmniej ma tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego, pomyślała. Patrzac, jak Dan dźwiga swoją masę z krzesła, Cordelia wyraźnie zdała sobie sprawę z własnej niepozorności, co inni, jak wiedziała, mylnie brali za kruchość. - Zadzwońłem do tego reportera do Atlanty, a on powiedział, że dostał to z wiarygodnego źródła. Nie tylko to, ale jeszcze, że agencje to podchwyciły. Jutro w całym kraju ludzie będą rozmawiać o tym przy śniadaniu. Zabij mnie, Dellie, wiesz, co myślę o Genie. Był wspaniałym człowiekiem, wielkim człowiekiem. Ale to...

- Ależ, Danie Killian, gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że uwierzyłeś w tę złośliwą plotkę! - krzyknęła Cordelia, niezdolna dłużej powstrzymać wzbierającej w niej gorącej furii.

- Oczywiście, że nie. Oczywiście, że nie uwierzyłem - sięgając do tylnej kieszeni po chusteczkę i ocierając błyszczące potem czoło, Dan okrążył biurko i podszedł do rzędu półek, gdzie rozstawionych było pół tuzina trofeów z tego jego głupiego klubu golfowego. Sami nazwali się Rębacze i Siekacze. Jakże trafnie. Ponieważ tak właśnie czuła się teraz, jak gdyby on ją siekł, krając na kawałeczki jej marzenie. - To te czasy, w jakich żyjemy, Dellie. Te cholernie ciężkie czasy. Przecież w sa-

mej tylko fabryce zatrudniam ponad osiemset mężczyzn i kobiet, więcej niż trzy czwarte z nich to czarni lub brązowi lub jacyś pośredni. Mieliśmy grupy działań wspierających, Krajowe Stowarzyszenie Podniesienia Poziomu Kulturalnego Kolorowych, co tylko chcesz, wznecające kłopoty wszędzie, gdzie się da. Wiesz, że jestem bezstronnym człowiekiem... zawsze byłem. Ale jak myślisz, jak oni by zareagowali, gdyby Killian Textiles podarowały blisko milion dolarów na pomnik dla senatora, który przypuszczalnie przyłożył rękę, jakkolwiek mogło to być przypadkowe, do zabójstwa czarnego człowieka?

Cordelia miała ochotę wykrzyknąć prawdę i zapytać Dana, co by zrobił na miejscu Gene'a. Ale знаła już odpowiedź. Dan był tchórzem. Zastanawiała się teraz - zresztą nie pierwszy raz - co by się stało, gdyby tamtego dnia Gene nie pobiegł Margaret na ratunek. Czy Margaret, a nawet jej córeczka, mogły zostać ranne, albo, co gorsza, zginąć? Ned Emory, jak dowiedziała się po jego śmierci, był niezrównoważony i agresywny. Ciągłe oskarżał swoją żonę o rzeczy, których nie popełniła, o romanse z innymi mężczyznami. I to kogo! Kochaną, cichutką, rozsądną Margaret.

Cordelia zmusiła się do mówienia głosem miękkim i pełnym słodyczy, jak zwykle, gdy chciała okiełznać uczucia, które mogły doprowadzić ją do wybuchu. - Właśnie wspominałam tę nieprzyjemną sprawę związkową sprzed iluś lat; wszyscy twoi ludzie strajkują, a ty wprowadzasz łamistrajków. Jeden z nich został zabity, prawda? Strzałem prosto w głowę, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Szczególnie dobrze pamiętam, że w panice zadzwoniłeś do Gene'a, mówiąc, że jeśli ktoś naprawdę szybko nie pomoże ci się wywinąć, będziesz miał dziesięciu zabitych, a twoja cenna fabryka pójdzie z dymem.

- Delle, nie musisz mi przypominać - jęknął Dan.  
- Wiem, że dzisiaj prawdopodobnie Killian Textiles nie istniałyby, gdyby Gene nie stanął na głowie i nie wywarł presji na przywódcach związkowych, nie zmusił ich do



do warunków, które dla wszystkich były do przyjęcia. Do diabła, myślisz, że nie jestem wdzięczny? Nie ma rzeczy, której nie zrobiłbym dla Gene'a, gdyby teraz stanął tu przede mną i mnie poprosił. <sup>A</sup>

A ponieważ nie ma go tutaj, żeby poprosić, wbijasz mu nóż w plecy. - Cóż, Dan, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nigdy w życiu nie uwierzyłabym, że wycofasz się ze swojej obietnicy. - Cordelia poprawiła kremowy kapelusz z wstążką w granatowe kropki na białym tle, naciągając rondo w nadziei, że częściowo ukryje ostrość napiętej twarzy. - Zasmuca mnie także, że ludzie byliby gotowi wytarzać w smole i pierzu człowieka, który był dla nich jak święty, tylko z powodu jakiegoś zawierającego fałszywe informacje artykułu o jakiejś głupiej książce.

- Dellie, to twoja własna córka ją pisze!

- Czy wzięłaś pod uwagę, że ona może się tak zachowywać z powodu jakiejś dziecinnej urazy do swego ojca i do mnie? Wiesz, jakie są dzisiejsze dzieci, wbija w ramię drzazga urasta do rozmiarów długu państwowego. Wszystkie te programy w telewizji, gdzie ludzie rozwodzą się nad tym, że ich matki były zbyt surowe albo zbyt władcze, a ich ojcowie zbyt pochłonięci pracą, by rzucić im piłkę lub zagrać z nimi w warcaby. I ta podjudzająca ich publiczność. Nieprzyjemnie mi to mówić, ale Grace zawsze była taka, zawsze robiła z igły widły.

- Masz w tym słuszość - westchnął Dan, odkładając trofeum na półkę. - Może dlatego tak czasami nienawidzę tej pracy, kiedy przypominam sobie o tym, że jestem ojcem i że muszę podejmować decyzje, które zawsze zdają się prowadzić do tego, że jeśli nie jedno, to drugie dziecko czuje się skrzywdzone. - Dan podszedł do Cordelii, patrząc na nią żałośnie. Przywodził jej na myśl zabawki, jakie jej dziewczynki, gdy były małe, robiły z surowych ziemniaków, wbijając w nie plastikowe oczy i usta. Wezbrała w niej mimowolna litość. Ponieważ pod obwisłym ciałem właśnie dojrzała na chwilę rysy twarzy chłopca, którego kiedyś kochała. f

Zobaczyła wtedy w wyobraźni Gene'a. Nie był szczególnie przystojny, ale miał twarz, z której biła inteligencja i pewna szlachetność, twarz, którą wystarczyło raz zobaczyć, by nigdy nie zapomnieć. Zręczni karykaturzyści potrafili uchwycić ją w trzech lub czterech szybko nakreślonych liniach - lekko jastrzębi nos, głęboko osadzone oczy, strzecha włosów, które nigdy nie zakrywały całkiem strzępiastej blizny nad brwią.

Och, jakże wciąż za nim tęskniła! Pamiętała, jak gdyby to było wczoraj, tamtą straszną noc - młody Tommy Petit, jeden z asystentów Gene'a stał w jej drzwiach, z przekrwionymi oczyma i wystającym jak klamka u drzwi jabłkiem Adama, które poruszało się szybko, gdy mówił jej o katastrofie śmigłowca na drugim końcu świata. Najpierw przyszedł szok, ale potem jakaż była wściekła! Na myślących tylko o sobie wysokich urzędników Pentagonu, którzy pozwolili Gene'owi wyruszyć w strefę działań wojennych bez należytej ochrony. I, tak, na samego Gene'a, który narażał się na niebezpieczeństwo dla czegoś tak niejasnego i pozbawionego znaczenia jak „misja rozpoznawcza”. Ta furia pozwoliła jej przetrwać pierwszy dzień i dzień następny. Poruszała się siłą rozpędu, bez jedzenia, picia, snu, podtrzymywana tylko przez wielką huczącą ścianę czerwieni za oczami.

Ale raniem w dzień pogrzebu Gene'a musiała zwlec się z łóżka, by obudzić dziewczynki... a potem zwinęła się na podłodze, przytłoczona miążdżącym żalem. Nawet teraz czuła jego przygniatający ciężar. Latajedynie trochę zatarły jego ostrość, wygładzając jak kamień na dnie rzeki, który był jej opoką, nawet jeśli ciągnął ją za sobą na dno.

- Więc na czym stoimy, Dan? - zapytała miękkiem głosem, nie troszcząc się jednak o wygładzenie ostrych krawędzi wyłaniających się spod tej łagodności.

- Będę musiał wstrzymać wypisanie tego czeku - usłyszała Dana przez szum krwi w uszach. - Dopóki cała ta sprawa nie przycichnie... albo dopóki... no cóż, zobaczymy. Wiem, że uparłaś się przy tym, Dellie, ale sądzę, że Gene pierwszy zgodziłby się ze mną, że jeśli człowiek nie

chce sobie poparzyć palców, nie powinien nimi wyciągać gorącego ziemniaka z ogniska.

Jak śmiesz! - chciała wykrzyknąć. Jak śmiesz wykorzystywać Gene'a przeciwko mnie? To dlańiego, nie dla mnie. Dla niego!

A nieprzekraczalny termin w konkursie architektów upływał za niecałe osiem tygodni. Sześć starannie wybranych firm, w których utalentowani ludzie tyrali, budując modele, przygotowując rysunki na wielkich arkuszach papieru...

Cordelia nagle poczuła nieodpartą ochotę, żeby zdzieścić Dana Killiana w tę białą nalaną twarz. Jednak natychmiast przywołała się do porządku. Ostatecznie to nie on jest winien, niezupełnie on.

To Grace zasługuje na lanie.

Mobilizując resztki silnej woli, zdołała podnieść się z fotela i wyciągnąć do Dana rękę, która zatopiła się w jego dłoni jak w wielkiej poduszce. - Właśnie myślałam, Dan, że gdybyś tyle lat temu, w noc po swojej gimnazjalnej promocji, był trochę odważniejszy, nie prowadzilibyśmy dzisiaj tej rozmowy. Może nawet wyszłabym za ciebie. Cieszę się za nas oboje, że nie wyszłam. - Słyszac, jak wymykają jej się te słowa, doznała wstrząsu. Dan także, sądząc po szkarłatnym rumieńcu, rozlewającym się w górę od fałd na jego szyi. Wyprostowała się na całą wysokość swoich stu pięćdziesięciu pięciu centymetrów i dodała: - Jeśli przez pięćdziesiąt dziewięć lat życia czegoś się nauczyłam, to tego, że w końcu wszyscy robimy to, co jest dla nas najlepsze. Właśnie to czyniło Gene'a takim nadzwyczajnym, nie sądzisz? Zawsze o sobie myślał na końcu. Ale ja nie chcę, żeby taka była pamięć o nim, jak ta biblioteka, której nie można zbudować, bo ciągle inne sprawy są ważniejsze.

- Dellie, ja...

- Nie przepraszaj - powstrzymała go. - Jeśli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło. Jestem pewna, że jak tylko ta plotka ucichnie, będziesz wiedział, jak należy postąpić. I Dan - przesunęła drobną dłonią o koralo-

wych paznokciach po jego pochylonym ramieniu i pozwoliła sobie na smutny uśmiech - po tych wszystkich deszczach, jakie mieliśmy tego lata, w potoku jest dużo wody. Mnóstwo kijanek. Wpadnij któregoś dnia, przywieź wnuki.

Dan z zakłopotaniem skinął głową.

Kiedy odprowadzał ją do drzwi, uniżony jak kelner w jednej z tych drogich restauracji, które wyrastały w Blessing jak grzyby po deszczu, Cordelia przypomniała sobie o umówionym spotkaniu na lunch z Sissy. Och, jakże chciałyby wrócić prosto do domu, do swego ogrodu... i do Gabe'a.

Sissy nalegała również, by potem zajrzały do tego okropnego nowego pasażu handlowego w pobliżu Mulberry Acres, gdzie za czasów Cordelii miał posiadłość stary Fullerton. Jej córka wciąż szukała odpowiedniej sukienki na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy swego ślubu. Kłopot w tym, że szukała tej sukienki od września i oto zbliżał się listopad, a ona jeszcze jej nie znalazła.

Wzdychając, Cordelia przeszła przez przykryty pluszowym chodnikiem korytarz nad First Citizen Bank of Blessing, który jej dziadek założył i którym jej ojciec zarządzał do dnia swej śmierci, a potem w dół, kondygnacją schodów prowadzących do oprawionych w mosiądz szklanych drzwi na Main Street.

Serce nadal biło jej zbyt szybko, a głucho walenie w piersi podeszło do skroni, ale była niemal pewna, że nikt z przechodniów tego nie zauważy. Wszyscy zobaczą tylko szczupłą kobietę w średnim wieku w kremowym gabardynowym kostiumie i dobranym do niego kapeluszu, idącą różnym krokiem w kierunku licznika parkingowego przed Thompson's Drugs, gdzie zaparkowany był jej mały srebrny samochód.

## O

Jadąc międzystanową, gdzie kurczące się pastwiska i sady brzoskwiniowe jej dzieciństwa ustępowały miejsca

deptakom, rojącym się jak gzy wokół większego kompleksu handlowego Mulberry Acres, do którego się teraz zbliżała, Cordelia przypomniała sobie o nieprzyjemnym obowiązku, jaki ją czekał. Przede wszystkim z tego powodu zaprosiła Sissy na lunch.

Musiła znaleźć jakiś sposób, by delikatnie powiedzieć Si<sup>^</sup>sy o tym, o czym wkrótce będzie mówiła połowa miasta Blessing, o ile do tej pory jeszcze nie mówi: że Beech ją zdradza.

Co za tupet ma ten człowiek! Bez wątpienia wierzy, że Sissy jest mu zbyt oddana, by go podejrzewać... i że gdyby nawet coś do niej doszło, puściłaby to mimo uszu. Ale Beech jednego w swym nadętym zarozumiałstwie nie wziął pod uwagę - że Sissy, nawet jeśli nie ma dość miłości własnej, by coś z tym zrobić, ma na szczęście matkę, która dba o nią tak, że wystarczy za dwie.

Cordelia wiedziała, że jej córka nie przyjmie tej wiadomości dobrze. Niewykluczone nawet, że zarzuci jej wtrącanie się i próbę rozbicia małżeństwa, któremu przecież Cordelia, nie ukrywając tego, była przeciwna od samego początku.

Ale czy kochająca córkę matka ma siedzieć cicho, i kiedy zięć gra na dwa fronty i robi z dziewczyny I idiotkę? Ostatecznie wcale nie musiała się szczególnie starać, by wykryć drobne grzeszki Beecha. Emily Bowles z piekarni Whipple'a powiedziała, że widziała ich dwoje, trzymających się w biały dzień za ręce. A ledwie w zeszłym tygodniu sama Cordelia przypadkowo podniosła słuchawkę telefonu i usłyszała, jak Beech grucha z aparatu w sypialni. To tylko kwestia czasu, kiedy Sissy się połapie albo któraś z plotkarskich przyjaciółek wsączy jej jad do ucha. Lepiej więc, żeby usłyszała o tym od kogoś, komu na sercu leży tylko jej dobro. Przecież Sissy ma prawo wiedzieć, żeby móc albo położyć temu kres, albo, co jeszcze lepsze, rozwieść się z tym pyszałkowatym gnojkiem.

Ale z drugiej strony, rozważała Cordelia, kiedy wmieszalam się w problemy małżeńskie Grace, wbiłam klin między siebie a córkę...

Zanim zaparkowała samochód za restauracją, nowiutkim ceglanyim budynkiem z białą kolumnadą wychodzącą na wypielegnowany trawnik pola golfowego Mulberry Acres, Cordelia nie była już wcale pewna, czy powirflfe powiedzieć Sissy, co wie o jej mężu.

Jakie to dziwne, pomyślała. Zazwyczaj nie mogła znieść wahania. Zawsze uważała, że lepiej robić cokolwiek niż nic. Czyż przed laty to nie ona zasugerowała Gene'owi, by wezwał swego starego przyjaciela, Pata Mulhaneya z FBI i poprosił go o możliwie dyskretne zajęcie się sprawą Emory'ego?

Kochany Gene, pomogłam wtedy uratować cię przed skandalem... i zrobię wszystko, co będę mogła, by uratować cię teraz.

Kiedy Cordelia dostrzegła córkę przy stoliku w pobliżu okna, od razu wróciła myślami do najpilniejszej sprawy. Jeśli ona nie zadba o dobro Sissy, to kto? Jeszcze zanim Gene zmarł - kiedy Grace była nad wiek rozwiniętą czternastolatką, a Sissy, w wieku dziesięciu lat, jeszcze dzieckiem - ciężar wychowywania córek spadał głównie na jej barki. Gene był w Waszyngtonie albo jeździł po kraju, zbierając fundusze i zabiegając o głosy, ona zaś przeważnie sama przebywała z dziewczynkami. Pomyślała teraz, że tylko dziwnemu i cudownemu urokowi, jaki rzucił na nią Gene, zawdzięczała, że jakoś nigdy nie czuła się samotna. Bez względu na to, gdzie był, dzwonił do niej codziennie i wracał do domu na większość weekendów, z kieszeniami pełnymi drobnych upominków - papierowych laleczek i hałaśliwych blaszanych żabek dla dziewczynek i parą ładnych kolczyków albo słoikiem ulubionych pikli dla niej.

Chciała tego zarówno dla Grace, jak i dla Sissy. Małżeństwa takiego, jakie sama miała - bogatego, niekonwencjonalnego, ekscytującego. Może czasami jej małżeństwo było aż nazbyt ekscytujące - jak wtedy, kiedy Gene poruszył tutaj gniazdo szerszeni, występując

z silnym poparciem dla ruchu praw obywatelskich. Ale nigdy, przenigdy nie było nudne.

Zmierzając szybkim krokiem do stolika, gdzie\* siedziała Sissy, Cordelia zastanawiała się, co jest gorsze w jej zięciu - całkowity brak przyzwoitości połączony z całkowitym brakiem dyskrecji, czy też prosty fakt, że Beech jest zupełnie, nieuleczalnie pospolity.

Sęk w tym, że pod wieloma względami, chociaż Cordelia nie lubiła tego przyznawać nawet przed sobą, Sissy również jest taka.

Po półgodzinie słuchania przy lunchu paplaniny Sissy o jej śmiesznym przyjęciu z okazji rocznicy ślubu, o tym, jak skwapliwie znajomi przyjmują jej zaproszenie, o niebywale utalentowanym pianiście, którego zamierza wynająć, o torcie i wspaniałych kwiatach, jakie zamówiła, Cordelia czuła, że za chwilę rozboli ją głowa.

Wierząc się na białym wiklinowym krześle, pod sztucznym drzewkiem, uginającym się pod bzem z jedwabiu, który miał jej dawać złudzenie, że znajduje się na werandzie, a przyprawiał jedynie o atak klaustrofobii, Cordelia czuła przyspieszone pulsowanie w głowie. To przyjęcie znaczy dla niej wszystko. Jakże mogę jej powiedzieć, że jej przed dziesięcioma laty poślubiony małżonek ją zdradza?

W zamian przy kawie i deserze opowiedziała Sissy, co się zdarzyło w biurze Dana Killiana, rozwodząc się jak najmniej nad dawnym „samobójstwem” męża Margaret Emory. Na szczęście Sissy zdawała się pamiętać z tamtego dnia jedynie to, że jej ojciec i siostra byli strasznie zdenerwowani, a potem zjawili się policjanci. Cordelia uspokoiła ją wówczas wyjaśnieniem, że pan Emory miał wypadek i tatuś pojechał zobaczyć, czy może pomóc. Nawet teraz Cordelia nie wdawała się w szczegóły... częściowo dlatego, że Sissy nie wydawała się szczególnie nimi zainteresowana, ale przede wszystkim dlatego, iż sama uważała, że najlepiej nie odgrzebywać tego, co zostało pogrzebane.

- Myślę, że to po prostu złośliwość - wpadła jej w słowo Sissy, z policzkami zarumienionymi z oburzenia, nabierając na widelczyk solidny kęs tortu szwarcwaldzkiego. - Grace robi to z czystej podłości. Pamiętam, kiedy byliśmy małe, i...

Sissy zaczęła rozwijać jedną ze swoich licznych opowieści o tym, jak źle traktowała ją starsza siostra. Cordelia poczuła przypływ zniecierpliwienia wobec córki, przypominając sobie, dlaczego zazwyczaj nie zwierzała się Sissy. Niezależnie od tego, kto miał problem, Sissy jakoś zawsze potrafiła obrócić go w swój własny mały dramat. Pragnęła tylko, żeby Sissy wreszcie się nauczyła, kiedy należy przestać. Mimo to z westchnieniem zaczerpnęła powietrza i zmusiła się do słuchania paplaniny córki.

- ...a potem, kiedy się poślizgnęłam, wpadłam do potoku i właściwie tonęłam, ona tylko stała i śmiała się. Śmiała się, jak gdyby mój ból nie miał innego celu, tylko ją zabawić!

Sissy ściągnęła różany pączek ust, by podkreślić sytuację osaczenia, ale efekt psuł tort, który właśnie przeżuwała. Jej kochana twarz, niegdyś taka ładna, wyraźnie płaci cenę zbyt wielu takich kęsów, pomyślała ze smutkiem Cordelia. Gdyby Sissy spędzała w tym nowym salonie pięknej figury Lucille Roberts, gdzie się ostatnio zapisała, połowę tego czasu, ile poświęca na polowanie na sukienkę, która zatuszuje mankamenty jej figury, byłaby na tyle szczęśliwsza ze sobą, że mogłaby zapomnieć o odgrzewaniu krzywd dzieciństwa.

Jednocześnie Cordelia uczuła przypływ miłości dla Sissy - dziecka, które lgnęło do niej i chodziło za nią jak cień, podczas gdy starsze włóczyło się ze stadem przyjaciół hipisów, albo siedziało w bibliotece, zagrzebane w książkach. Dobra, troskliwa Sissy, która dzwoni codziennie tylko po to, by się dowiedzieć, jak ona się miewa. Sissy nie obarczała swojej matki odpowiedzialnością za to, że jej życie okazało się niezupełnie takie, jakiego oczekiwała. I co z tego, że jest za pulchna... albo



że ci jej dwaj zepsuci do szpiku kości chłopcy mają maniery szympanów? Wyrosną z tego, a Sissy straci na wadze, jeśli się do tego przyłoży. \*

- W tym potoku było najwyżej pięć centymetrów wody. Wystarczyłoby najwyżej, żeby utopić komara - przypomniała ze śmiechem Cordelia, mając nadzieję, że skłoni Sissy, by dostrzegła komizm tej sytuacji. Ale widząc, jak córka marszczy twarz, natychmiast pożałowała, że nie siedziała cicho.

- Dlaczego tak jest - zapytała Sissy - że ilekroć jesteś wściekła na Grace i ja stoję po twojej stronie, ty robisz zwrot i zaczynasz jej bronić?

- Nikogo nie bronię. Zwróciłam ci tylko uwagę...

- Powiedz mi, mamó, jeżeli Grace jest taką wspaniałą córką, to dlaczego rozgłasza to kłamstwo o tacie?

Cordelia poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Sissy ma rację, oczywiście... ale takie słowa w jej ustach tylko pogarszały sprawę. Cordelia czuła się w potrzasku między dwiema córkami. Korciło ją, by jednej wbić trochę rozumu do głowy, zaś drugą udusić.

Wtedy, kojący jak szklanka mrożonej herbaty Netty w gorący dzień, usłyszała w myślach głos Gabe'a: „Nieważne jest to bagno, w jakim się znalazłaś, ale to, jak z niego wyjdiesz.” Dzięki niemu wszystko wydawało się takie proste! Ale Gabe ma rację.

- Nie wiem, dlaczego twoja siostra to robi - powiedziała Cordelia - ale mam zamiar położyć temu kres. Możesz być pewna.

Patrzyła, jak Sissy ściąga po swoim talerzu ostatnią wiśnię, zanim w końcu nabiła ją na widelec. - Och, mamó, spójrzmy prawdzie w oczy. Kiedy to Grace choć raz posłuchała ciebie czy kogokolwiek innego? Czy posłuchała, kiedy błagałaś ją, żeby nie odrzucała dwunastu lat małżeństwa? Naprawdę, po jej zachowaniu można by sądzić, że Win zdradzał ją z połową kobiet w Nowym Jorku. I nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna tak płakał, tak bardzo był tym załamany. Przecież gdyby wtedy u mnie nie znalazł pocieszenia, Bóg jeden wie, co by zrobił!

- Moim zdaniem Win nie jest typem samobójcy - zauważyła szorstko Cordelia.

- Doprawdy, mamó, to tylko sposób mówienia - Sissy otworzyła torebkę i zerkając do lusterka w pudernicze, nakładała świeżą warstwę truskawkowej różowości na usta. - Chciałam powiedzieć, że... Och, niech to diabli! Czy nie doprowadza cię do szału, kiedy to się przytrafia? Przecież ktoś mógłby wynaleźć szminkę, która nie łamałaby się, jak gdyby była z masła?

- Nie stałoby się to, gdybyś nie wysuwała jej tak daleko - zwróciła jej uwagę Cordelia. - Najlepiej jest do połowy.

Sissy rzuciła odłamany koniec pomadki na talerzyk i groźnie spojrzała na matkę. - No, jesteś dziś w świetnym nastroju! - Potem spostrzegła się i westchnęła. - Och, przepraszam, mamó. Masz pełne prawo być zdenerwowana. Jeśli ci to poprawi samopoczucie, chętnie wymierzyłabym wujkowi Danowi porządnego kopniaka w siedzenie.

- Mogłabyś go kopać ile dusza zapragnie, ale wątpię, by to cokolwiek dało. - Jeśli nawet, sama myśl o tym wyczarowała na ustach Cordelii lekki uśmiech.

- Założę się, że gdybyś z nim trochę popoflirtowała, uległby ci - Sissy zerknęła na nią bojaźliwie znad kieszonkowego lusterka, burząc sobie włosy.

- Sissy! - Cordelia udawała szok, ale nie mogła się powstrzymać od pełnego zdumienia śmiechu.

- Och, mamó, ja tylko żartowałam - Sissy również zachichotała, a jej twarz nie była już napięta i obrzmiała, ale miękko zaokrąglona, a nawet śliczna. - Wiesz, zawsze myślałam, że wujek Dan podkochuje się w tobie. Czy wy dwoje nie chodziliście razem do szkoły średniej?

- Wtedy, kiedy dinozaury przemierzały ziemię - parsknęła Cordelia i dodała szybko: - W każdym razie, nawet gdyby on był wolny, a ja byłabym nim zainteresowana, jestem za stara na te rzeczy.

- Rzeczywiście? - Sissy wpatrzyła się w nią, a jej uśmiech zbladł.

Cordelia doświadczyła nieprzyjemnego klucia u podstawy kręgosłupa. Wiedziała, do czego pije Sissy i kłęła się za to, że nieopatrznie wpadła w pułapkę. - Boże, co za pytanie! - prychnęła, by wybrnąć z sytuacji.

- Och, ja nie o ciebie się martwię - Sissy ciągnęła tym samym tonem sprytnego niewiniątka. - Tylko że nigdy dość ostrożności, jeśli chodzi o to, co sobie pewni mężczyźni pomyślą. Nie chciałoby się, żeby komuś coś przychodziło do głowy, to wszystko. Chcę powiedzieć, mam, że być uprzejmą dla mężczyzny, który pracuje u ciebie, to jedno, a zapraszać go do domu na herbatę, to coś całkiem innego.

Cordelia poczuła, że robi jej się gorąco. Policzki jej płonęły. - No cóż, jeśli nie mam pełnego prawa rozmawiać o moich własnych różach z moim własnym ogrodnikiem, to nie wiem, dokąd zmierza ten świat!

- On nie jest tylko ogrodnikiem, i ty o tym wiesz. Uczył mnie angielskiego w drugiej klasie szkoły średniej. Był moim nauczycielem, na litość boską. Ale nawet wtedy wszyscy uważaliśmy go za stukniętego, opowiadającego wciąż o sir Gawainie, Ivanhoe i Beowulfie, jak gdyby oni istnieli naprawdę, jak gdyby byli jego osobistymi przyjaciółmi, z którymi wieczorem zagra w kręgle. A potem rzucił to wszystko, by zostać ogrodnikiem, wyobraźcie sobie. A teraz popatrzcie na niego, zachowuje się, jak gdyby jutro miał się wprowadzić, gdybyś tylko kiwnęła na niego palcem. To... to nie jest właściwe.

Cordelia zdecydowanym ruchem położyła ręce na stole, po obu stronach plisowanej perkalowej serwetki, jak pasażer na statku, dodający sobie odwagi przed szkwałem. Z trudem przychodziło jej zaufać własnemu głosowi, jednak świadoma, że kobieta przy sąsiednim stoliku patrzy w ich stronę, zdobyła się na ponury uśmiech.

- Caroline - zwracała się tak do Sissy, kiedy była na nią bardzo zdenerwowana albo w obecności kogoś, na kim Sissy chciała zrobić wrażenie. - Myślę, że jestem zdolna do rozróżnienia tego, co właściwe i niewłaściwe.

Różowe policzki Sissy rozgorzały, a jej sprytnie spojrzenie od razu od razu stało się bojaźliwe. - Przepraszam, mam. Ja tylko starałam się...

- Gabe i ja jesteśmy przyjaciółmi - podkreśliła lodowato Cordelia. - A teraz, czy już skończyłaś? Bo jeśli nadal chcesz iść po zakupy, nie mam całego dnia do stracenia.

- Sukienkę już wybrałam - skwapliwie powiedziała Sissy, niemal wyłaząc ze skóry z wysiłku, by wszystko załagodzić. - Kazałam ją odłożyć u Foxemore'a. Nie mogę się doczekać, żeby ci ją pokazać. Och, mam wielką nadzieję, że Beechowi się spodoba.

Cordelia ściągnęła serwetkę z kolan i starannie złożony użyła umieścić ją obok swojej filiżanki. A teraz, pomyślała, powiedz coś o tym, jak to szkoda marnować czas na martwienie się, co Beech pomyśli, kiedy jest jasne jak słońce, że jego umysł, nie mówiąc już o pewnej części jego anatomii, zaprzątnięty jest czym innym.

Ale właśnie wtedy pojawiła się kelnerka, by zapytać, czy miałyby ochotę na coś jeszcze. Cordelia potrząsnęła głową i poprosiła o rachunek.

Podczas gdy podpisywała pasek karty kredytowej, Sissy wypaliła: - Co masz zamiar zrobić z Grace?

Cordelia wyobraziła sobie gałkę, taką jak w odbiorniku telewizyjnym, którą reguluje się siłą dźwięku i wysiłkiem woli zaczęła nią obracać, aż uraza i gniew, huczące w jej piersi, ściszone zostały do szeptu.

Jednocześnie cichy głos wewnętrzny mruczał: Prawda, to wszystko prawda, ona mówi tylko prawdę.

Ale nie chciała słuchać tego głosu, ponieważ, nawet jeśli to była prawda, Grace nie miała prawa wygadać jej całemu światu, szczególnie teraz, kiedy los biblioteki wisi na włosku.

- Przywołam ją do porządku, ot co - odpowiedziała z większą determinacją niż miała. - Nie można jej pozwolić na opublikowanie tych... tych brudów. Istnieje zbyt wielu ludzi, którzy wierzą we wszystko, co wydrukowane. - Pomyślała o Danie Killianie i na nowo

ogarnął ją gniew. - Jak tylko rozsądnie wyjaśnię jej to wszystko, jestem pewna, że zrozumie, jakie byłoby to niesłuszne. \*

- Drugi Mahatma Gandhi z ciebie.

- Nie musisz ostrzyć sobie na mnie dowcipu, Caroline Ann.

- Chciałam powiedzieć, że twoja rozmowa z Jej Królewską Wysokością nic nie da - prychnęła Sissy.

- A właśnie nie dalej jak wczoraj Beech powiedział, że to wstyd, że Win i Grace się rozwiedli, bo ten Win tak umiał z nią postępować. Potrafiłby przekonać każdego, że banknot dolarowy to zupa z groszku i wszyscy by ją jedli. No! Gdyby Beech spróbował kiedyś tego ze mną, wydałabym tego dolara, zanim zdążyłby wypowiedzieć słowo.

Wątpię, czy Beech Beecham wiedziałby, jak utrzymać banknot dolarowy, nawet gdyby przylepiłby mu się do siedzenia, pomyślała Cordelia. Szczęściem dla Sissy i chłopców, zabezpieczyłam ten majątek powierniczy tak, żeby on nie mógł położyć na nim swoich lepkich rąk.

- Kochanie, czy pomyślałaś kiedy, że Beech może nie jest... - zaczęła, ale Sissy przerwała jej niecierpliwym machnięciem ręki.

- Słuchaj, mamę, mam pomysł, jeśli chodzi o Wina. Przyszło mi na myśl, że ty sama mogłabyś z nim porozmawiać i, że tak powiem, przeciągnąć go na swoją stronę. On nadal jest ojcem twojego wnuka, czyż nie? Masz pełne prawo go w to wciągnąć. I w końcu on jest prawnikiem.

- Mówisz, że... ? - Wszystkie myśli o Beechu uleciały.

- Ja nic nie mówię. Tylko sugeruję, to wszystko - niebieskie oczy Sissy były okrągłe i niewinne jak u dziecka. - Win mógłby spróbować przemówić jej do rozsądku w twoim imieniu. Jako twój adwokat.

Cordelia, odrętwiała przez chwilę, poczuła, że słowa Sissy oblewają ją jak lodowata woda. Jakieś kroki prawne? Przeciwno własnej córce? Co za pomysł! - Co do tej sukienki - powiedziała, niezdolna nawet przez

chwilę rozważać takiej okropnej możliwości. - Jeśli nie chcesz na czas odebrać chłopców ze szkoły, to powinniśmy tam pójść i rzucić na nią okiem, dopóki jeszcze jest czas.

- Och, nie przejmuj się chłopcami, Beech ich odbierze - poinformowała ją Sissy z beztróskim machnięciem ręki, przy którym rozdzwoniła się bransoletka z amuletem, obciskająca jej pulchny nadgarstek.

- Czy on nie musi być w pracy? - zapytała Cordelia ostrożnie.

- Pewnie, że tak, ale ma spotkanie w pobliżu szkoły na budowie tego hotelu - jakiś duży interes, związany z wynajmowaniem samochodów, który on pomaga zmontować. Jest tym ostatnio bardzo zajęty, mówię ci...

Mogę się założyć. Cordelię swędziało język, by powiedzieć Sissy, czym jest zajęty Beech, ale pohamowała się. Uwagi Sissy o Gabie nie pozostawiały wątpliwości, że jest przekonana, iż jej matka straciła wszelkie poczucie proporcji, a prawdopodobnie również zdrowy rozsądek we wszystkim, co dotyczy mężczyzn. Poza tym Sissy tak się cieszyła na to przyjęcie. Jakże mogłaby jej je zepsuć?

- A może potem wpadłybyśmy do Joan & David? - powiedziała wesoło do Sissy, kiedy przechodziły przez parking. - Założę się, że przydałyby ci się do tej sukienki nowe pantofle na wysokich obcasach. Ja płacę.

Cordelia zamierzała zajrzeć do księgarni, by odebrać książkę o różach, którą zamówiła dla Gabe'a, ale może Sissy ma rację. Nawet jeśli ona nie miała takich intencji, Gabe mógł zrozumieć, że jest zainteresowana czymś więcej niż przyjaźnią.

A jeśli tak to rozumiał? Czy tylko uśmiechał się do siebie, najwyżej umiarkowanie połączony zaślepieniem kobiety o dziesięć lat starszej od niego - kobiety, która zajmowała pozycję społeczną o niebo wyższą?

Niemniej Cordelia czuła, że twarz zaczyna ją piec z zawstydzona myślą, która rosła w niej teraz tak, jak pierwszy zielony liść tulipana przebija się przez

zmarzniętą ziemię - myślą, że Gabe Ross to taki mężczyzna, przez jakiego kobieta chciałaby być traktowana poważnie...

## O

- Lobelie byłyby w sam raz na to miejsce. Nie sądzisz, Gabe?

Cordelia zmrużyła oczy w słońcu późnego popołudnia, lustrując świeżo okrytą mierzwą powierzchnię pod stuletnim orzechem, gdzie ostatnio wyginęła cała kolonia krwawiących serc.

Gabe Ross, klęcząc w miękkiej ziemi na rabatce bylin pod werandą, odłożył na bok błyszczące nożyce i wstał - powoli, prostując przy tym ramiona i plecy, wyraźnie rozkoszując się tym ruchem. Przypominając sobie cięte uwagi Sissy, Cordelia ogarnęła wzrokiem płócienny kapelusz Gabe'a z plamami potu i grudki torfu, które przyłgnęły do kolan jego powalanych spodni khaki i zastanawiała się, czy rzeczywiście może być coś nie całkiem normalnego w mężczyźnie, który odrzucił szacowną posadę nauczyciela, by zostać ogrodnikiem.

Ale pod odwiniętym rondem kapelusza Gabe'a jego brązowe oczy koloru mocnej herbaty były tak żywe i błyszczące inteligencją - nie, czymś więcej, rodzajem mądrości, która nie pochodziła z książek i nauczania o Beowulfie - że natychmiast poczuła się winna.

W końcu ona uwielbia zajmować się ogrodem. Czasami wydawało jej się, że tylko to trzymają ją przy zdrowych zmysłach.

- Za mało słońca - powiedział Gabe, potrząsając głową. - Lobelie potrzebują trochę światła, inaczej mają długie łodygi i nie kwitną tak jak powinny. - Uwielbiała rozwałę jego słów i to, jak obejmował brązowymi dłońmi powietrze przed sobą, jak gdyby jakoś potrafił skłonić je do kwitnienia. - Także w glebie musi być coś, co zabiło krwawiące serca. Pewnie jest za kwaśna.

- Zawsze jest coś, co zabija krwawiące serca - westchnęła Cordelia, myśląc o Danie Killianie. Potem, widząc kpiący wyraz jego wysuszonej słońcem twarzy o lekko skrzywionym nosie - złamanym przed laty, powiedział jej, w szkolnej bójce, której próbował położyć kres - szybko dodała: - Co radzisz?

- Wmieszałem trochę wapna do mierzwy, ale to nie uleczy tego, co cię trapi - Gabe zmrużył oczy i rozciągnął usta w szerokim i niepokojąco chłopięcym uśmiechu. Zobaczyła, że wyciąga z tylnej kieszeni starannie złożoną chusteczkę i w jej myśli wkradł się niepokój. Ktoś dba o niego, prasuje mu. Na ułamek sekundy serce zamarło jej w piersi. Patrzyła, jak Gabe ociera brwi, a potem wkłada chusteczkę, nadal złożoną, do kieszeni. Zerknął na bezchmurne niebo. - Będzie padać. Widzisz czerwoną obwódkę wokół słońca? To oznacza jutro mokry dzień.

Oto cały on, pomyślała. Rzucił pytanie czy uwagę, która trafiała w samo sedno... a potem, najszybciej jak można, zupełnie zmieniał temat tak, żeby nikogo zbyt mocno nie przyciskać.

- Cóż, Bogu dzięki. Przy tym upale mam wrażenie, że się topię i spływam do swoich butów - odpowiedziała, wachlując się słomkowym kapeluszem, który trzymała w ręku. - To najgorętsze babie lato, jakie pamiętam.

Dobrze było zmienić gabardynowy kostium na miękkie, stare spodnie i bawełnianą bluzkę, jeszcze pachnącą deską do prasowania Netty. Myślała o czekającym ją chłodnym prysznicu, który weźmie, gdy tylko zakończą zbieranie ziół. Ale prawdą było, że nie miała nic przeciwko temu, żeby się brudzić przy pracy w ogrodzie.

Cordelia rozglądała się wokół, przypominając sobie, jak to miejsce wyglądało w ostatnich latach choroby jej matki - rabaty różane na pół zjedzone przez japońskie chrząszcze, malwy wzdłuż garażu jak smukłe strachy na wróble, sad brzoskwiniowy i śliwowy zarośnięty splątanymi chwastami. Nawet tulipany, krokusy i przebiśniegi przestały pokazywać się co wiosnę, po prostu jak gdyby był to dla nich zbyt duży wysiłek. A peonie aż zwieszały



głowy ze wstydu. Wydawało się, że poszła między nimi wieść, że nie ma sensu pięknie wyglądać, bo nikogo to nie obchodzi.

Z ludźmi jest tak samo, pomyślała. Jeśli ktoś nie jest kochany, nie ma w sobie miłości, żeby ją dać drugiemu człowiekowi. Może jedyną rzeczą smutniejszą niż zduszony chwastami sad było ogołoczone serce? Z Gene'em grzała się w słońcu miłości dobrego człowieka. Teraz miała tylko wspomnienia. Ale czy to wystarczy?

Myślała o twardej dłoni Gabe'a zaciśniętej na rączce ogrodowego rydla, o tym jak zręcznie zrywa zwiedłe liście. Wszędzie wokół widziała dowody troski, jakiej ona i Gabe, głównie Gabe, nie szczędzili temu staremu ogrodowi, przywracając go do życia w niektórych strefach, obsiewając całkiem od nowa w innych. Stary angielski ogród skalny, gdzie niegdyś stała waląca się szopa na narzędzia, z płożącymi się po ziemi paprociami, kępami goździka brodatego i fiołków, zaczynającymi obumierać z końcem babiego lata. Krzew begonii po cienistej stronie garażu, z wiszącymi, drucianymi koszami ciężko opadających, mięsistych krzyżówek. I wskrzeszony ogród zielny, do którego Gabe pracowicie wyciągał kamienie z potoku i przywoził je taczka.

Obecnie szpaler forsycji trwał w uśpieniu, ale z nadejściem kwietnia cała południowa flanka kamiennego muru, który otaczał dwa akry jej ogrodu, będzie chmurą żółci. Potem będą tulipany i narcyzy, rozciągnięte jak jaskrawy różaniec, łączący rzędy drzew słodkiej magnolii i karbowanego mirtu. Latem będą kwitły róże - krata róż herbacianych, tworząca łuk nad bramą, prowadzącą do sadu, krzewiaste róże, wysokie i rozrośnięte jak żywopłot, grandifloras i floribundas, które rosły po obu stronach krętej dróżki frontowej. I ten zapach - ach, można go było niemal pić, jak wino, które Gabe robił z jagód czarnego bzu, okrywającego ścianę, wychodzącą na ogród kuchenny.

Mojemu ogrodowi wiedzie się chyba lepiej niż mnie samej, pomyślała Cordelia. Jest wypieszczony, zaś w moim sercu echo gra jak w pustym domu.

Czy jest już za późno? - zastanawiała się, gdy jej spojrzenie padło na Gabe'a. Czy to możliwe, że mógłby interesować się mną w ten sposób? Wczoraj mogła się nie ośmielać marzyć o tym, ale odkąd Sissy posiała jej w głowie tę myśl, wrastała ona coraz silniej w jej marzenia.

Mogłabym zaprosić go na kolację, pomyślała. Cóż w tym takiego straszego? Wiedziała, że Gabe rozwiódł się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zrezygnował z pracy w szkole. Rzadko mówił o swojej byłej żonie, ale Cordelia pamiętała, że widywała ją od czasu do czasu robiącą zakupy. Atrakcyjna, smukła, ciemnowłosa i młoda. Nie więcej niż trzydzieści osiem, dziewięć lat. Bezdzietna, a Cordelia podejrzewała, że Gabe chciał mieć dzieci, sądząc po tym, że spędzał całe godziny z córkami Burgessów, sąsiadów Cordelii, ucząc je nazw wszystkich róż i pokazując, jak się sadzi cebulki i przycina krzewy.

Ale co on by sobie pomyślał? Kobieta o srebrnych włosach, która bierze tabletki na nadciśnienie i za każdym razem, kiedy kręci jej się w głowie, boi się, że może doznać udaru - nie łagodnego, jak zeszłego lata, ale takiego, który przy kuje ją do łóżka lub odbierze mowę.

Wyciągając sekator z koszyka przewieszzonego przez ramię, Cordelia przyłapała Gabe'a na tym, że jej się przygląda. Zajęty był podpieraniem opadającej gałęzi hortensji, przedramiona miał osznurowane, zwitek rafii zacisnięty między równymi, białymi zębami. Wyprostował się i uśmiechnął. Uśmiechem, który pociągnął ją za serce jak sznurek, zaciskający się teraz wokół żerdzi.

- To moja ulubiona pora roku - powiedział. - Może dlatego, że mamy skłonność do cenienia najbardziej tego, co jest bliskie końca. Zdaje się, że to Thoreau powiedział, że życie bliskie kości jest najśodsze.

- W tej chwili bardziej uszczęśliwiłoby mnie to, czego jest raczej więcej niż mniej - westchnęła, myśląc

o pieniądzach, które jeszcze należało zebrać na bibliotekę Gene'a. - Czasami czuję się jak Syzyf, pchający pod górę ten głaz i pozwalający mu stoczyć się z powrotem na samo dno.

Wydawało się, że tak było przez całe jej życie, zachynając od tego, że urodziła się na południe od linii Masona-Dixona. Kiedy była podlotkiem, nieustannie kłóciła się z matką, zarzucającą jej, że jest swarliwa i uparta. I, co gorsza, że przyjmuje idee, które nie zostały wymyślone na Południu, na przykład poglądy na integrację i na kobiety, robiące coś więcej ze swoim życiem niż rodzenie dzieci i organizowanie sprzedaży ciast. Czyż matka nie dostała wręcz apopleksji, kiedy, zamiast podążać dobrze wydeptaną przez jej rodzinę ścieżką do Duke, Cordelia oznajmiła, że postanowiła uczyć się na uniwersytet George'a Washingtona?

Całe lata później nauczyła się oczywiście doceniać to, na co w młodości była zbyt wielką buntowniczką. Dobrobyt, jaki miało do zaferowania życie w Blessing. Żyzność jego gleby i szczodrość jego falistych, zielonych wzgórz. Jego niespieszny rytm, który pozwalał od czasu do czasu na potknięcie. Ludzi, doprowadzających niekiedy do szału swoimi przedpotopowymi poglądami, ale szczerych jak złoto i solidnych jak grobla na Brinker's Creek.

A przy Grace na nowo zrozumiała utrapienia swojej matki, starającej się ujarzmić córkę, której każdy postępki i każda opinia zdawały się być policzkiem dla zdrowego rozsądku.

Jednak w takich razach jak ten zastanawiała się, czy życie tutaj nie stępiło trochę jej ducha, tak jak to jest z fortepianem dźwięczącym fałszywie, jeśli nie dość często się na nim gra. Mimo swojej pozycji w zarządach uniwersytetu Latham i szpitala Hilldale, stała się trochę... zbyt zadowolona z siebie. Potrzebowała orzeźwiającego zaufania ludzi takich jak Gabe, który wierzył, że ona wciąż jest zdolna do czegoś więcej niż wygrzewanie fotela w jakiejś radzie nadzorczej.

- Będziesz miała swoją bibliotekę, Cordelio - powiedział to tak, jak gdyby to była prosta prawda natury, którą obserwował, jak fakt, że lilie wyrastają z bulw, albo że to miejsce gałęzi, z którego zerwano brzoskwinie, nie urodzi znowu owocu.

Słuchając go, jego spokojnego, pewnego głosu, i czując dotyk na ramieniu, lekki jak deszcz, miała wrażenie, że odżywa jej sponiewierane poczucie celu.

Wróciło do niej wspomnienie tamtego razu, kiedy została wezwana do szkoły na rozmowę z nauczycielem angielskiego Sissy w drugiej klasie, panem Rossem. Przypomniała sobie, jaką obawę czuła przed pierwszym spotkaniem z człowiekiem, którego Sissy i jej przyjaciółki ciągle wyśmiewały, niemal krztusząc się ze śmiechu dlatego, że miał łyzy, prawdziwe łyzy w oczach, kiedy czytał im w klasie na głos wiersz Dylana Thomasa. Cordelia spodziewała się rozkapryszzonego człowieka, niezbyt męskiego, o słabym wzroku i z astmą, jak pan Denniston, który prowadził jedyny w mieście sklep z galanterią męską i o którym krążyły plotki, że jest homoseksualistą.

I czyż nie była zdumiona poznając prawdziwego pana Rossa? Z rumieńcem na twarzy człowieka nawykłego do przebywania na świeżym powietrzu, o pofalowanych brązowych włosach i nieco wymiętej marynarce, co przywodziło jej na myśl młodego chłopca, leżącego w trawie, zaczerwienionego od kręcenia młynków. I ten lekko przypłaszczony nos, który dziwnie wyglądał przy kościach policzkowych, tak ostro zarysowanych jak u Komańcza.

- Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać, pani Truscott - przedstawił się. Jego niemal dziwaczna oficjalność i to, że nie tracił czasu, prowadząc ją do krzesła przy swoim biurku, od razu wywarły na niej wrażenie. - Wie pani, byłem wielkim wielbicielem pani męża. Prawdziwie odważny człowiek. Słyszałem go kiedyś przemawiającego na stopniach Sądu Najwyższego po tym, jak przekazano decyzję w sprawie Sullivana przeciwko „New York

I- Times". To było doświadczenie, którego nigdy nie zapomnę. Pani córka jest bardzo do niego podobna, ten sam ogień, to samo zaangażowanie.

- Sis... chce pan powiedzieć Caroline? - Cordelia nie mogła ukryć zdziwienia. Nawet ona, która kochała Sissy bezgranicznie, nie mogła wyobrazić sobie tych zalet w swej miękkiej, spokojnej córce.

Zamrugał i uśmiechnął się. - Właściwie miałem na myśli Grace. Ją także uczyłem. Niech pomyślę, musiało to być cztery, pięć lat temu...

- Ależ pan się wydaje ledwie... - Cordelia spostrzegła się na krawędzi niegrzeczności.

- Myśli pani, że nie jestem wystarczająco stary? - dokończył za nią z uśmiechem. - Mam trzydzieści dwa lata, pani Truscott. Sądzę, że był to mój pierwszy rok w tej szkole. Przedtem uczyłem w Atlancie. Gdyby nie Grace i garstka uczennic takich jak ona, mógł to być również mój ostatni. A teraz, jeśli chodzi o Caroline... - umilkł i zobaczyła, jak drapie się za uchem; był to nawyk, który w późniejszych latach nauczyła się rozpoznawać jako oznakę łagodnego strapienia.

Cordelia poczuła, że sztywnieje. - Ona odrabia lekcje, prawda? Chcę powiedzieć, nie zaniedbuje się? - Prawdę mówiąc, rzadko widywała Sissy czytającą cokolwiek, chyba że był to jeden z tych magazynów, które mówią ci, że jeśli ułożysz włosy w taki a nie inny sposób albo wykażesz wycucie w doborze dodatków, chłopcy będą się prześcigać, by umówić się z tobą na randkę. Wydawało się, że większość czasu spędza na chichotaniu przez telefon z tym pryszczatym Beechem Beechamem.

- Nie, nie, nie zaniedbuje się - pospieszył z zapewnieniem. - Chociaż - dodał ze smutnym uśmiechem - nie przeczę, że mogłoby być lepiej. Właściwie, pani...

- Cordelio. Mów do mnie: Cordelio - dla jakiegoś powodu czuła się bezpiecznie, nawet przyjemnie, pozwalając na familiarność temu chłopięcemu mężczyźnie, który tak gładko mówił.

Spojrzał na nią ciemnymi od powagi oczyma. - Przedwczoraj zdarzył się incydent, w który zamieszana była Caroline i jeszcze jedna dziewczyna. Nie doniesiono o nim, ale myślę, że powinnaś wiedzieć...

Cordelia zamknęła oczy, wyobrażając sobie Sissy, kulącą się w kącie, jako obiekt prześladowań jakiejś sprytniejszej, ładniejszej, bardziej lubianej dziewczyny.

- ...nie tyle chodzi o to, co ona zrobiła, ile o to, co powiedziała - usłyszała. - Caroline nazwała ją czarnuchą. „Głupia czarnucha z małpią gębą”, zdaje mi się, że tak dokładnie brzmiały jej słowa. Po tym, jak Marvela przypadkowo strąciła książkę z jej ławki.

Cordelia odczuła jego słowa jak palący policzek. Sissy? Jej Sissy, która w szkole podstawowej prawie codziennie wracała we łzach z powodu jakiejś koleżanki z klasy, która nazwała ją grubą i głupią? Ona najlepiej powinna była wiedzieć, jak coś takiego rani.

Głęboki wstyd ogarnął Cordelię. Niebu niech będą dzięki, że Eugene nie musi tego słuchać.

- Porozmawiam z nią - powiedziała sztywno do tego nauczyciela, który siedział, patrząc na nią z takim współczuciem, że z trudem mogła to znieść. Miała wrażenie, że on jest w stanie przejrzeć ją na wylot i wie dokładnie, jak okropnie się czuje. - To się nie powtórzy - zaczęła się podnosić.

Gabriel Ross wyciągnął rękę, by ją zatrzymać. - Zaczekaj. Wolałbym, żebyś nie... To znaczy, porozmawiaj z nią. Nie zaprosiłem cię tutaj, żeby opowiadać jakieś historie czy kazać ukarać Caroline. Ona sama siebie karze, o wiele za surowo. Jej agresja bierze się z poczucia, że nie może być taka jak inne, że nigdy im nie dorówna.

- Ona jest... dobrą dziewczyną - Cordelia rozpaczliwie chciała załagodzić sprawę, jak gdyby od słów zależało, że wszystko dobrze się ułoży.

- Tak - zgodził się Gabriel. Potem uśmiechnął się, tym swoim rozgrzewającym serce promiennym uśmiechem, który mówił, wbrew najgorszym jej obawom, że wszystko naprawdę przyjmie dobry obrót. - To na

zranionych musimy uważać na tym świecie, Cordelio, ponieważ, jeśli nie uśmierzymy bólu u *źródła*, rozprzesztrzenia się, jak fale rozchodzą się po stawie, gdy wrzucamy do niego kamyk, i rani innych.

Patrząc na niego teraz, siedemnaście lat później, na tego człowieka w sfatygowanym kapeluszu i brudnych spodniach, na zmarszczki śmiechu wokół jego ust i oczy, widoczne na tle głębokiego brązu opalonych policzków, znów była przepełniona świadomością jego dobroci, pewnością oparcia w nim... i, jednocześnie, własną bezradnością w zasypywaniu przepaści między nimi.

Co by to było - nie chodziło o małodusznych wokół, ale o jej przyjaciół w Nowym Jorku, Waszyngtonie, kolegów z rad nadzorczych, w których zasiadała - gdyby ona, wdowa po wielkim Eugenie Truscocie, wzięła sobie ogrodnika? Nie mówiąc już o odmienności ich stylów życia. Gabe, mieszkający w skromnym domku, cóż on by sądził o dzieleniu tego wszystkiego - jej ogromnego domu i sporego dochodu z mądrych inwestycji, jakich dokonali razem z Gene'em. Znając go, wiedziała, że nie chciałby nic z tego.

Jednakże co by to szkodziło zaprosić go na kolację? Przydałoby jej się towarzystwo. Po prostu.

- Gabe, ja... - zaczęła, ale coś kazało jej zmienić zdanie, może wyraz jego twarzy, w której nie dostrzegła ani krzty podejrzliwości. - Zabierzemy się za te zioła, zanim zrobi się ciemno?

Idąc wokół domu w stronę ogrodu kuchennego na tyłach, Gabe pokazał, gdzie z jednego z mansardowych okien łąszczy się farba. - Wejdę na drabinę i przejadę po nim pędzlem - zaproponował, chociaż, gwoli ścisłości, zakres jego obowiązków nie obejmował domowych napraw.

- Och, ten stary dom praktycznie wali mi się na głowę - westchnęła Cordelia. - Czasami myślę, że najlepiej byłoby po prostu go sprzedać i wszystko, co w nim jest. Nawet nową zmywarkę do naczyń. Netta narzeka, że nieziemsko klekoce.

Spojrzała w górę, ogarniając wzrokiem dwupiętrowy wiktoriański dom z kalenicami, wieżyczką i werandą z białymi kolumnami. Prawda była taka, że mimo całego jej narzekania, ten stary dom, nawet z metrami denerwujących ją tandetnych ozdób, wiecznie wymagających malowania, był o wiele solidniejszy niż te świetne rezydencje przy Mulberry Acres, gdzie Sissy zaciągnęła ją któregoś dnia. Ściany miały te domy tak cienkie, że można było słyszeć, jak ktoś kicha po drugiej stronie.

- Mógłbym rzucić okiem na tę zmywarę do naczyń, gdybyś chciała - zaproponował Gabe.

- Naprawdę, Gabe, jesteś o wiele za dobry... - zamilkła, myśląc: Nie bądź głupia, to będzie doskonały pretekst, by go zaprosić na kolację. Ale co potem? Ruszając przed siebie, zanim mogła zmienić zdanie, dokończyła: - ...ale nie śmiałabym o tym marzyć. Naprawdę, przecież mogę kazać ją obejrzeć temu miłemu panu Crocketowi i nie będzie mnie to kosztowało ani centa. Ona wciąż ma gwarancję.

Cordelia czuła się słaba i tchórzliwa. Jak mogła oczekiwać, że pobije takich jak Dan Killian i jej własna napuszona córka, jeśli nie potrafiła się zdobyć na odwagę i zaprosić Gabe'a Rossa na kolację?

Poczuła ukłucie obawy... a także tęsknotę za obecnością mężczyzny przy stole. Mężczyzny, z którym rozmowa wykraczała daleko poza: czy w tym roku Robert E. Lee Rebels mają szansę pobić Wilson Wildcats, albo co za interes miał Corky Oakes w tym, by wystawiać te kondomy tuż obok kasy w aptece tak, żeby każdy pięciolatek mógł je zobaczyć.

Pochyleni jedno obok drugiego w ogrodzie zielnym, pracowali, posuwając się wąską żwirowaną ścieżką między rzędami, ścinając i związując ostatnie dary lata - miniaturowy szczypiorek, zimowy cząber, złote oregano, cytrynowy tymianek, miodową melisę, purpurową bazylię. Zapach, jak najbardziej niebiańskie *potpourri*, unosił się wokół Cordelii, a ona myślała, że uszyje małe siatkowe torebki, by Netta mogła je umieścić w głębi każdej szuflady. Dziś



wieczorem posieka i odstawi bazylię w oliwie, a resztę ziół powiesi na strychu do suszenia. A jutro razem z Netta sporządzą kwarty octu estragonowego i rozmarynowego.

Zapadał już mrok, kiedy skończyli. Ostatnie promienie słońca muskały wierzchołek wierzby płaczącej, która zwieszała się nad altaną. Ból wpełzł Cordelii w plecy i ręce piekły ją od drobniotkich ranek, które zostawiły na jej skórze kłujące zioła. Ale jej to wcale nie przeszkadzało; właściwie czuła się lepiej niż przez cały dzień.

Gabe szerokim gestem wręczył jej bukiet mięty. - Dla Netty na herbatę. Nie odmówiłbym teraz szklanki.

A gdybym poprosiła, żebyś został na porcję dobrego duszonego kurczaka Netty, co byś na to powiedział?

Ale właśnie wtedy dobiegł jej uszu daleki tryl telefonu.

Wpadając przez kuchenne drzwi, Cordelia skierowała się w stronę masywnego czarnego aparatu, który stał na wiśniowym stoliku w hallu od prawie pięćdziesięciu lat. Czyżby to dzwonił Dan, by powiedzieć, że w końcu zdecydował się dać jej pieniądze? Serce waliło jej tak mocno, że czuła je w gardle. Głupia, powiedziała do siebie. Prawdopodobnie to nic takiego - dzwonią z gabinetu doktora Burgessa, by potwierdzić moją wizytę w przyszłym tygodniu, albo Nat Duffy z Sunset Nursery zawiadamia, że nadeszły katalogi nasion, które zamówiłam.

Cordelia podniosła słuchawkę i usłyszała trzaski międzymiastowej, a potem męski głos, głęboki, lecz dziwnie melodyjny. - Cordelia? Tu Win. Słuchaj, właśnie miałem telefon od Sissy. Wydawała się mocno zdenerwowana, więc pomyślałem, że najlepiej będzie sprawdzić, co u ciebie słychać. Widziałem gazety, a ona dopowiedziała mi resztę...

Cordelia czuła, jak jej panika cichnie. To tylko Win, kochany, troskliwy Win, który wciąż dzwonił do niej w każde urodziny i Dzień Matki. A kto oprócz Wina zadał sobie kiedykolwiek trud, by przysłać jej zdjęcia Chrisa, jak to, które dostała ledwie w zeszłym tygodniu

- fotografię ich obu w East Hampton. Win, wysoki, jasnowłosy i opalony, otaczający ramieniem niezdarnie wyglądającego chłopca.

Oczywiście, Sissy źle zrobiła, że zadzwoniła do niego. Wplątywanie Wina tylko pogorszyłyoby całą sprawę. Ale jeśli nawet, jak to dobrze usłyszeć jego głos! Win, jak pamiętała, zawsze był dobry w załatwianiu różnych spraw, tym bardziej że większość umiał rozstrzygnąć poza sądem. A zanim zmarła jej matka, jeszcze kiedy on i Grace byli świeżo zaręczeni, kto, jak nie Win potrafił wyczarować uśmiech u starego smoka?

Tak, może on zdołałby to załatwić. Jak na jeden dzień, już zbyt wiele razy nie otwierała ust, kiedy może powinna była przemówić. I dokąd ją to zaprowadziło? Co złego w tym, że przynajmniej zapyta Wina o radę?

- Win, co za miła niespodzianka! - wykrzyknęła, a potem ściszyła głos. - No tak, cały ten szum wokół książki Grace jest dość denerwujący. Naprawdę cieszę się, że zadzwoniłeś, bo miałam nadzieję, że mógłbyś pomóc.

Wbrew samej sobie wylała z siebie całą historię - jak trudno jej było rozmawiać z Grace, o artykule w „Constitution” i o swoim spotkaniu z Danem Killianem tego ranka. Zastanawiała się, jeszcze kiedy to mówiła, jak wiele on już wie o śmierci Neda Emory'ego. Byłoby bardzo naturalne, że kiedy się pobrali, Grace opowiedziała mu całą historię. Ale jeśli Win zdawał sobie sprawę, że Cordelia coś ukrywa, nie dał tego po sobie poznać.

Po chwili milczenia powiedział: - Mógłbym spróbować wnieść o sądowy nakaz odłożenia publikacji - gładki, opanowany, przemawiał do niej, jak gdyby była jego klientką, jak gdyby zgodziła się zaangażować go jako swego adwokata. - Jak rozumiem, nie ma nic na potwierdzenie tej historii. Tylko słowa Grace, a ona była wówczas małym dzieckiem. Chyba że sądzisz, że ktoś mógłby ją poprzeć.

Cordelia właśnie miała mu przypomnieć, na wypadek, gdyby nie pamiętała, że Margaret nie żyje. Wtedy

przypomniała sobie, że Margaret miała córkę, małą dziewczynkę, och, nie, teraz to już dorosła kobieta, o imieniu...

- Nola - usłyszała samą siebie, mówiącą głośno.  
- Margaret miała córkę o imieniu Nola. Ale nie wiem, czy ona tam była, czy widziała... cokolwiek. Gene mógł coś o tym powiedzieć, ja po prostu nie pamiętam - westchnęła. - To wszystko było tak dawno temu - nie dodała, że kiedy mała Grace przyszła do niej, z twarzą białą jak płótno paplająca histerycznie, po prostu uspokoiła ją tak, jak uspokoiłaby płaczące niemowlę.

Ale teraz Cordelia zastanawiała się, czy córka Margaret mogła być jakoś w to wplątana. Gdyby miała potwierdzić historię Grace, wtedy ludzie naprawdę by gadali i wysuwali Bóg wie jak okropne przypuszczenia. Nie byłoby już sensu w staraniach o wydostanie tych pieniędzy od Dana Killiana czy którejs z tych fundacji. Właściwie, biblioteka mogłaby okazać się niczym więcej jak jedną wielką iluzją.

A gdyby nawet zdołała dokonać małego cudu i biblioteka zostałaby zbudowana, bez nieskalanej reputacji jej ukochanego Gene'a biblioteka jego imienia byłaby tylko jeszcze jednym stosem cegieł i kamienia.

Musi z tym walczyć, nawet gdyby to oznaczało ryzykowanie czymś jej najdroższym: własną prawością. Nie będzie kłamała, powiedziała sobie, tylko chroniła to, co zasługuje na ochronę. Gene nie zrobił nic złego. To jest prawda, jedyna prawda, jaką do siebie dopuści.

- Mógłbym porozmawiać z tą Nolą, jeśli chcesz...  
- zaczął Win, ale Cordelia mu przerwała.

- Rób, co musisz zrobić, Win - przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha. Od zapachu zmiażdżonego szczypioru, który przylgnął jej do palców, łyzy zakreśliły jej się w oczach i w nosie zapiekło. - Cokolwiek, byle to nie zaszło dalej.

## ROZDZIAŁ 4

Nola wpatrywała się w arkusz pergaminowej kalki, przyklejony taśmą do stołu kreślarskiego. Od tygodni pociła się nad tą elewacją, a efekt wciąż nie był taki jak należy. Niedoróbki były w oczy: dwie kolumny, które wydawały się zbyt smukłe przez kontrast z masywnym frontonem nad nimi... okno, które zdawało się mieć złe proporcje... okno mansardowe, które żenująco psuło elegancję łagodnie spadzistego dachu...

Gdy pajęczyna grafitowych linii rozpląnęła się w szarą mgłę, poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. A niech to diabli. Potarła skronie.

Było późno; wszyscy już dawno wyszli z biura. Była zmęczona, to wszystko. Po prostu nie mogła się skoncentrować.

Myślami powędrowała do rozmowy telefonicznej, którą odbyła ostatniego wieczoru. Jakiś prawnik, WASP - musiał nim być ktoś o nazwisku takim jak Winston Bishop i prawdopodobnie z przyczepioną do niego rzymską cyfrą lub „juniozem”, o czym zaniedbał napomknąć. Miły i przyjazny, żadnych tam prawniczych bzdur. Zapraszał ją na lunch albo, gdyby była zbyt zajęta, to może na drinka w Union Square Cafe, która, jak wiedział, nie znajduje się zbyt daleko od jej biura. A skąd on, do cholery, wie, gdzie jest jej biuro? Mówił, że ma kilka pytań dotyczących śmierci jej ojca.

Jak każdy, kto czyta gazety, niemal wypaliła. Wtedy powiedział jej, kto jest jego klientką: wdowa po Eugenie Truscocie. Dobry Boże, jak gdyby nie było dosyć, że ma na głowie Grace Truscott, telefonującą do niej co drugi dzień. Teraz będzie miała na karku wdowę, niewątpliwie dołożącą wszelkich starań, by przeciągnąć ją na swoją stronę i skłonić do trzymania języka za zębami.

No cóż, stara dama nie będzie musiała się fatygować. Powiedziała temu eleganckiemu prawnikowi, że nie ma

sensu wydawać pieniędzy na lunch czy tylko drinka - ona nie ma do powiedzenia na ten temat nic ponad to, co wówczas napisano. Był to zaledwie akapit na kolumnie zgonów, dotyczący samobójstwa czarnego mężczyzny, którego jedyny tytuł do sławy stanowiło to, że jego żona była sekretarką sławnego senatora. Wyczuła ulgę w głosie Winstona Bishopa, zanim zdążył odłożyć słuchawkę.

Teraz zastanawiała się, czy właściwie to rozgrywa. Może powinna przynajmniej spotkać się z Grace Truscott, dowiedzieć się, ile ona pamięta czy wie... i czy to jest wszystko, co wie.

Nola zamknęła oczy, lekko pocierając kciukami obrzmiałe od pracy powieki.

- Nic nie można zrobić, kiedy ludzie płaczą się tu do świtu...

Głowa podskoczyła jej do góry. To tylko dozorca, stary Leroy, mrucał za drzwiami biura, które dzieliła z ośmioma innymi projektantami firmy. Zastanawiała się, czy wpakuje się do środka, jak to czasami robił, kiedy przyłapywał ją na pracy do późna, ale usłyszała przytłumione skrzypienie i grzechotanie jego wózka, gdy ruszył dalej korytarzem.

I na nią pora. Musi wracać do domu, do swoich dziewczynek. I spać... musi się trochę przespać, inaczej jutro będzie miała kłopoty, żeby się zwlec z łóżka i będzie chyba musiała podpierać powieki zapałkami. Bóg mi pewnie przebaczy jeszcze jeden oszalały ranek w podkoszulku włożonym na drugą stronę i płatki pospiesznie ochlapane mlekiem, pomyślała, ale czy Tasha i Dani przebaczą?

Cholera. Nawet nie zadzwoniła do domu, żeby się dowiedzieć, jak Tashy poszła ta klasówka z matematyki, którą martwiła się przez cały tydzień. A Dani, która ma anginę, pewnie tak marudziła, że Florene już ciągnie resztkami sił. Ile razy opiekunka do dzieci może być przymuszana do głośnego czytania w kółko tej samej bajki, zanim zupełnie zwariuje... albo, co gorsza, pójdzie sobie w siną dal?

Ale właśnie gdy Nola odrywała z deski kreślarskiej arkusz ze swoim szkicem, zobaczyła go jak gdyby po raz pierwszy, nie takim, jaki był, ale takim, jaki musi być. Było to tak, jak gdyby mocowała się ze zbyt szczelnie dokręconą pokrywką słoika, która teraz nagle puściła. Tak... o, tak. Po minutach pełnej furii pracy - pięciu, dwudziestu, nie wiedziała ilu - naszkicowała nową frontową fasadę. Potem usiadła i patrzyła na swój projekt. To było zupełnie inne niż projekt, za który zdobyła nagrodę Carnegiego w Cooper Union. Neoklasycystyczne cechy tego rysunku przeczyły wszystkiemu, co nauczono ją podziwiać. Ale właśnie dzięki temu był taki dobry...

Tyle że nigdy nie zostanie zbudowany, ostrzegał cyniczny głos wewnętrzny. Przy sześciu innych firmach, które obok nich ubiegały się o to zlecenie, z pewnością zostanie wybrany inny projekt. Nawet tutaj, w firmie Maguire, Chang i Foster, miała silną konkurencję. Myślała o Randyem Craigu, który zajmował niszę obok. Jego projekt przebudowy rezydencji przy Horatio Street rzuciła ją wprost na kolana. A jeśli chodzi o konkurs na ten projekt, nie umknął jej uwagi pożądlivy wyraz jego twarzy, kiedy Maguire, zbyt zavalony płatnymi zamówieniami, by poświęcać czas czemuś, co było przyszłowiowym gołębiem na dachu, wręczył im obojgu szkice, które nakreślił z dwóch różnych podejść i chciał je widzieć rozwinięte. Randy próbował zachować obojętność - no cóż, znowu jakieś upierdliwe zadanie, ale od tamtej pory na pewno poświęcał godziny nadliczbowe na ten projekt.

Któregoś dnia przelotnie spojrzała nad ramieniem Randy'ego na ten szkic - sztywny, o opływowych liniach, przypominający słynną bibliotekę w Sztokholmie Erika Gunnara Asplunda - miała ochotę krzyknąć mu w ucho: Nie, nie! Nie rozumiesz! To nie tak powinno wyglądać!

Jednak wtedy chciałby się pewnie dowiedzieć, dlaczego to uważa się w tej sprawie za eksperta.

Prostując zmęczone plecy, Nola wpatrzyła się w swój szkic, widząc jak z płaskiej powierzchni papieru wyrasta prawdziwy trójwymiarowy granit, cegła i stalowe wiązary.

Biblioteka Pamięci Eugene'a Truscotta.

Zobaczyła wewnątrz, łączące się w całość - szeroki westybul przy wejściu, przechodzący w krótki hall, potem kondygnacja schodów, opadająca o pół poziomu do drugiego westybulu, ze wszystkich stron wmurowane szkło, przez które światło będzie chlustało jak woda ze skręcającego raptownie strumienia. W głównej czytelni trzy wielkie lufciki z matowego szkła w suficie, który wyginał się z gracją, ale nie wzbijał w powietrze, i półki na książki, ułożone według wzoru, który powtarzał geometrię cofniętych metalowych kolumn i żeber w beczkowatym sklepieniu w górze. Podłogi, zmuszające do myślenia o ziemi, na której zostały zbudowane, łagodnie opadające i wznoszące się, by tworzyć obszary, gdzie ludzie gromadziliby się z dala od sztywności stołów i krzeseł.

Myślała o Irvingu Gillu, porównującym swoje budynki do głazów, które natura rzeźbiła burzami, a ozdabiała porostami i winoroślą. Ten budynek byłby właśnie taki - gładki dla oka, szorstki w dotyku, ale nigdy statyczny.

Nie martwy monument dla wystawianego człowieka - jak Lincoln Memoriał, biblioteka Widenera - ale miejsce, które przyciągałoby ludzi.

Tak, jak on by chciał, pomyślała.

Poczuła ucisk w gardle. Czy kiedyś zobaczy ten budynek, stanie w jego cieniu albo wejdzie przez drzwi? Czy też wszystko skończy się tylko na papierze - zbiór linii, jeszcze jedno „interesujące” ćwiczenie, jak przeglądy w Cooper Union, gdzie jej projekty rutynowo darte były przez jej profesorów na strzępy. Tylko że tym razem, nawet gdyby nakłoniła swoich szefów do zgody na taki projekt, ostatecznej oceny dokonałby Komitet Budowy Biblioteki Pamięci Eugene'a Truscotta.

A jeśli go wybiorą? Czy jesteś przygotowana na to, co może wyjść na jaw, jeśli rzeczywiście zostanie zbudowana biblioteka według tego projektu?

W pustej przestrzeni, tuż nad jej splotem słonecznym, odezwał się niepokój - niczym niskie groźne brzęczenie szerszenia pod pułapem.

Hej, zganiła samą siebie Nola. Nie tak szybko. Najpierw Maguire. Kiedy to będziesz miała za sobą, wtedy możesz się martwić o całą resztę. Miała nadzieję, iż Maguire nie będzie zły, że wyrzuciła jego szkic na szmelc. Jeśli spodoba mu się jej projekt, może jej przyznać premię albo, jeszcze lepiej, podwyżkę. Cholera, przydałaby jej się podwyżka!

Ostatecznie to ona, a nie Randy Craig, zdobyła dla firmy zamówienie Petrossiana po tym, jak Maguire niemal pogrzebał szansę swoim wymęczonym projektem domu plażowego w Easthampton. Petrossian - Andres Petrossian, którego koncerty w Carnegie Hall zawsze były wyprzedane na kilka miesięcy naprzód, niemal się wycofał, byłby się wycofał, gdyby ona nie zaryzykowała i nie wtrąciła swoich trzech groszy, wskazując, jak mogliby zburzyć ścianę i obniżyć dach, dodać lufciki, stworzyć z pokoiów bawialnego i sypialnego jedną przestrzeń z sufitem jak w katedrze, z pomostem wokół, wychodzącym na ocean. Właśnie ostatniego lata weekendowe schronienie skrzypka, z jego strzelistą częścią centralną, zostało zaprezentowane w „New York Times Magazine”.

Przypominając sobie ten artykuł, Nola zobaczyła w myślach inny, świeższy nagłówek:

### ZMARŁY SENATOR ZAMIESZANY W ZABÓJSTWO SPRZED LAT.

Niech cię diabli, Grace Truscott, za odgrzebywanie tego wszystkiego. Nole nagle zaczęło korcić, by podnieść słuchawkę. Ale powstrzymała się. Co osiągnie przez to, że nagada tej kobiecie?



Odłożyła swoje rzeczy na półkę nad stołem, chwyciła płaszcz i torebkę i już była za drzwiami, machając ręką do Leroya, właśnie zajętego opróżnianiem kosza na śmieci. Staruszek burknął coś pod nosem.

Czekając na Czternastej Ulicy na przemierzający całe miasto autobus, który po dziewiątej jeździł bardzo rzadko, Nola stwierdziła, że marzy o luksusie jazdy śmierzącą taksówką z podziurawionymi siedzeniami. Jednak nie zatrzymała żadnej przejeżdżającej taksówki z zapalonym znakiem „wolny”. Każdy zaoszczędzony dolar to pieniądze, które mogła ciuć jak wiewiórka na później, by opłacić prywatną szkołę Tashy i Dani.

Kiedy Nola przemierzała spory kawałek drogi z przystanku autobusowego do domu, była tak zmęczona, że oczy same jej się zamykały. Ślepiec odnajduje drogę do domu licząc stopnie, i tak właśnie ona się czuła, sunąc od jednego oświetlonego latarnią kręgu na chodniku do następnego, prawie na pamięć, ledwie zauważając rząd domów w stylu federalnym i domy z włoskiego piaskowca, zbite po drugiej stronie ulicy.

„Wpadniesz do dziury, złamiesz matce kark.” Nieproszone przyszło jej do głowy to stare porzekadło i wspomnienie, jak zawsze przeskakiwała wszelkie wyboje na drodze w czasach swego dzieciństwa. Nawet teraz, od lat pogrzebana, mama nie jest bezpieczna.

Nie mogę o tym teraz myśleć. Żeby tylko dojść do domu...

Florene powitała ją w drzwiach zajmującego całe piętro mieszkania szerokim, serdecznym uśmiechem. - O Boże! Dziewczyno! Wyglądasz, jakby cię rozjechał samochód, kiedy przechodziłaś przez ulicę. Dobrze się czujesz czy mam wezwać pogotowie?

- Jestem skonana, to wszystko - westchnęła Nola. - Na to wystarczającym lekarstwem jest dobrze przespana noc. - Rzuciła torbę obok dziko futurystycznego stolika Pucci de Rossiego w hallu, z którego w czasach swego małżeństwa była tak dumna, gdy Marcus wygrzebał go u braci Salomon - zanim stracił pracę i po szyję utkwiał w długach.

I - Albo dobry mężczyzna - wtrącała się Florene ze śmiechem, który przetoczył się z hukiem przez jej masywne ciało. - Gdybyś mnie zapytała, słodziutka, powiedziałabym, że przydałoby ci się i jedno, i drugie. Nie ma jak trochę miłości, żeby kobieta chodziła jak na sprężynach.

Florene powinna coś o tym wiedzieć, pomyślała Nola w przypływie czułości. Twierdzi, że ma pięćdziesiąt osiem lat, ale Nola za bliższe prawdy uważała sześćdziesiąt trzy czy cztery. A w swoim czasie Florene miała trzech mężów, nie mówiąc już o kilku narzeczonych, którymi była bardzo zajęta między dyżurami przy opiece nad dziećmi. Florene, która powiedziała jej kiedyś, że w dniu, w którym zrezygnowała z pracy w biurze, rzuciła w kąpielnicę ryżowe i powiedziała sobie: „Do diabła z tą troską o figurę”, była żywym dowodem na to, że większe jest lepsze.

- Jeśli znajdziesz takiego, nie zapomnij dać mu mojego numeru telefonu - zażartowała Nola. - Zdaje się, że jedyni mężczyźni, jacy do mnie podchodzą, to tacy, którzy chcą coś użebrać na ulicy. - Po drodze do kuchni wygładziła odklejony brzeg tapety. - Jak dzisiaj poszło?

- Świetnie, tyle że telewizor znowu się zbiesił. Zostałam na lodzie w połowie *Prawa Los Angeles* - Florene pochyliła się ze świstem wydychanego powietrza, by odnaleźć zwinięty w kulkę papierka z cukierka, który potoczył się pod stół. - Dzwoniła też znowu ta kobieta, nie zostawiła nazwiska, ale poznałam jej głos. To ta sama, która dzwoniła do ciebie przez cały tydzień. Ach, tak, i Tasha powiedziała, że jest chora, ale to muszą być te wszystkie ciastka, które wsunęła. Zwracam ci uwagę, że pod tym względem ta dziewczyna bije mnie na głowę.

Ignorując przypomnienie o uporze Grace, Nola zapytała: - Tasha jest chora?

- Nie ma się czym denerwować. Ból brzucha, to wszystko. Gdybym dostawała pięciocentówkę za każdym razem, kiedy któreś z moich dzieci bolał brzuch, parkowałabym teraz mój tyłek w hotelu Plaża jak Ivana

Trump, a mnóstwo wspaniałych mężczyzn uganiałoby się za tym, żeby móc mnie poznać.

- Zdaje się, że nie mają kłopotów ze znalezieniem cię tam, gdzie jesteś - Nola nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Nalała sobie szklanekę soku pomarańczowego i rozejrzała po maleńkiej zaśmieconej kuchni, myśląc, że gdyby Florene mniej oglądała telewizję, a więcej czasu poświęcała na sprzątanie po sobie i dzieciach, nie byłoby tego bałaganu, do którego ona wracała co wieczór. Ale to nic wobec tego, że dziewczynki ją uwielbiają.

- Zrób tak jak ja i wrzuc tej twojej zmęczonej dupie paru miłych facetów na licznik - Florene rzuciła jej złośliwy uśmiech, podnosząc wypchany tornister, w którym Nola dojrzała wystający u góry motek wystrzępionej przędzy, na pół zjedzoną torebkę ciastek, harlequina z oślimi uszami i jakiś jaskrawy rysunek Dani. - Poczujesz się lepiej i dłużej pożyjesz. To najlepsze lekarstwo, nie ma dwóch zdań.

Taa, pewnie, może spotka mnie szczęście i wyląduję z drugim takim facetem jak Marcus. - Nie, dzięki, Florene - powiedziała. - Po tym, przez co przeszłam ostatnim razem, trzymam dupę zamkniętą na kłódkę, aż znajdę mężczyznę, który będzie wiedział, do czego jeszcze się nadaję.

- Zrób tak, dziewczyno... ale nie czekaj za długo, inaczej wszyscy dobrzy będą zajęci. Chude stworzenie, takie jak ty, nie ma co przebierać, tak jak my, duże dziewczuchy.

Florene wybuchnęła tym swoim grzmiącym, wydobywającym się z brzucha śmiechem, a Nola śmiała się z nią, głęboko i głośno, czując się lepiej niż przez cały dzień. Przez cały tydzień, jeśli chodzi o ścisłość. Florene była dobrym lekarstwem, nawet jeśli udzielała marnych porad.

Przypomniała sobie po raz enty, jakie to szczęście, że ma Florene, nie tylko jako opiekunkę do dzieci, ale również jako właścicielkę mieszkania. A Florene myślała, że to ona ma szczęście, nie tylko dlatego, że

pieniądze Noli za czynsz pozwalały jej nadażyć z opłatami hipotecznymi i naprawami w tym chylącym się ku ruinie domu, który odziedziczyła po swoim pierwszym mężu, ale i dlatego jeszcze, że na dodatek mogła grać babcie pełną gębą.

Nola powiedziała Florene „dobranoc” i pospieszyła przez hall do sypialni Tashy i Dani. Znalazła Dani śpiącą na brzuchu; jej mały tyłeczek tworzył wzgórek pod kołderką z Kubusiem Puchatkiem, kciuk wsunięty miała w półotwarte usta. Nola poczuła, jak zbiera w niej czułość.

- Mamusiu? - zawołała ją Tasha z drugiego łóżka. Głos miała zakatarzony, jak gdyby była przeziębiona... albo płakała. Siedziała sztywno wyprostowana, nie opierając się nawet o wiklinowy zagłówek. Jej twarz, połyskująca w żółtym świetle lampki nocnej, wydawała się mała i ściągnięta. Twarz starej kobiety na ciele jedenastolatki. Tylko lekko faliste brązowe włosy nie były wzburzone. Tasha czekała na nią przez cały czas.

- No, moja słodka... co się dzieje? - Nola usiadła na brzegu łóżka Tashy i odruchowo położyła rękę na jej czole, by zobaczyć, czy ma gorączkę. Było zimne jak marmur.

- Dani bulgoce przez sen. Tylko posłuchaj - Tasha zmarszczyła z afektacją nos na ciche pochrapywanie, dochodzące z drugiej strony pokoju.

- To dlatego nie śpisz? - Nola nachyliła się i objęła chude ramiona Tashy.

- Nie.

- Coś w szkole?

- Uhu.

- Znowu Jamal?

- On mi zawsze dokucza - jej głos opadł do zboląłego szeptu. - Moja nauczycielka mnie nie lubi.

Noli serce podskoczyło w piersi. Cóż takiego mogło się stać, że Tashy coś takiego przyszło do głowy? Coś szczególnego... czy też ta sama stara postawa

gówno-mnie-to-obchodzi, jaką jej nauczycielka wykazywała od początku roku. Pani Millner w oczach Noli była uderzająco prawdziwym, typowym przypadkiem wypalenia. Może zbyt długo tkwiła w szkole, chociaż nie wyglądała na starszą od Noli. Nola przypomniała sobie tę głupią i chyba niebezpieczną historię z folią cynową - przydzielenie grupie jedenastolatków domowego doświadczenia z rozpuszczaniem folii cynowej. Nola, oczywiście, zrobiła piekło. Tak jak powinna zrobić każda matka, która ma trochę oleju w głowie.

- Czepia się ciebie z powodu planu zajęć, z którym miałas kłopoty?

Tasha potrząsnęła głową, jej ramiona obracały się w zagięciu ramienia Noli gwałtownie jak korkociąg. W końcu wypaliła płaczliwie: - O...ona każe mi zgrać w sz...sztuce!

Sztuka? Musiała zostać zapowiedziana na jednym z tych powielanych arkuszy, jakie szkoła zawsze przysyłała przez dziewczęta - zebrania, wycieczki poza miasto, i co zrobić z wszami. Ach, rzeczywiście. Było coś o Tygodniu Czarnej Dumy i o tym, że uczniowie piątej klasy wystawią sztukę o ruchu praw obywatelskich.

- Daje ci jeden z tych ogonów, gdzie nie masz prawie nic do powiedzenia? - lekko zapytała Nola w nadziei, że tylko o to chodzi.

Tasha znów wybuchnęła łkaniem. - Muszę być z...złą kobietą, która wrzeszczy na Rosę Parks za to, że u...usiadła w a...autobusie!

Nola poczuła, że coś się w niej przewraca, powoli, niczym duży płaski kamień. Przetoczyły się przez nią uczucia, które -jak jej się wydawało - pogrzebała wraz z matką... że nie pasuje, że nie jest dość czarna... albo nie dość biała.

Przeszył ją piorun gniewu. Miała ochotę udusić nauczycielkę Tashy. - Powiedziała ci, dlaczego cię wybrała? - zapytała łagodnie, starając się opanować wściekłość. Gładziła Tashę po ramionach, aż przestały się trząść, a jej szloch ucichł.

- Nie powiedziała, ale ja wiem - wybuchnęła. - Jamal mówi, że to dlatego, że jestem smoluchem!

Smoluchem? Nola czuła, że zaczyna w niej wzbierać histeria i musiała przygryźć język, by nie wybuchła. O, tego już za wiele. Jakże mamie podobałby się ten żart. Mamie, którą kiedyś odprawiono z trzech moteli w czasie podróży do Mobile. A mama miała jasną skórę. Sama Nola była wystarczająco biała, by móc uchodzić za białą. I chociaż Marcus miał nieco ciemniejszą skórę, obie dziewczynki zaliczały się do jasnych. Nie byłaby zaszokowana, gdyby ktoś stwierdził, że Tasha i Dani wyróżniają się jasną karnacją spośród swoich latynoskich kolegów z klasy.

- Och, skarbie - westchnęła, nagle zbyt zmęczona, by się poruszyć, chyba żeby tylko oprzeć policzek o czubek głowy Tashy z włosami miękkimi i jedwabistymi jak młoda trawa. - Porozmawiam z nią. Jutro.

Nola czuła, że Tasha odpręży się nieco i zobaczyła, że dziecko podnosi kciuk do ust, zanim sobie to uświadomiło. Łapiąc się na tym, dziewczynka zaczęła przesuwac kciukiem po dolnej wardze.

- Nie powiesz, że to ja powiedziałam?
- Powiem, że usłyszałam to od jednej z matek.
- Więc pani Millner nie będzie na mnie zła?

Tasha robiła w tej chwili wrażenie małej Dani, prosiącej o gwarancje tam, gdzie ich być nie mogło - jak gdyby Nola mogła zapobiec krwawieniu otartego kolana, kiedy zabrakło plastra, czy zmusić Marcusa, by się pojawił, kiedy zapomniał, że wypada jego weekend z dziewczynkami.

Nola przyciągnęła do siebie Taszę i ścisnęła ją mocno. Posłała po formularze zgłoszeń i złożyła je w górnej szufladzie swego biurka - ze szkoły przy kościele Łaski Pańskiej, św. Łukasza, Little Red School House, Friends. Może w przyszłym roku... och, to musi być w przyszłym roku. Szczególnie, jeśli chodzi o Taszę. Bystra i wrażliwa, ale w zbyt wielkim napięciu nerwowym z powodu tych przeklętych testów na iloraz

inteligencji, które mogłyby wpakować ją do jednej z tych „specjalnych” szkół publicznych, jak Hunter.

Ale czesne w szkołach prywatnych jest takie wysokie - dziesięć tysięcy rocznie, podwójnie, gdyby miała posłać także Dani, a jakże mogłaby jej nie posłać? Właściwie nie były biedne, jednak dopóki nie dostanie kopniaka w górę, na stanowisko współnika albo głównego projektanta, szkoła prywatna nie wchodzi w rachubę.

- Zasnę teraz - ziewnęła Tasha i wysunęła się spod ramienia Noli, zwijając się pod kołdrą, z rogiem poduszki wciśniętym w policzek, przesuwając kciukiem po dolnej wardze. W tej chwili mogłyby być z Dani bliźniaczkami. - Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, Tash - Nola pochyliła się i pocałowała chłodne czoło córki. Jej własna twarz była rozpalona i obolała, a puls w skroni bił tuż pod skórą.

W kuchni Nola zastanawiała się nad zjedzeniem czegoś, ale kłopotanie się przygotowaniem choćby tylko kanapki było ponad jej siły. W zamian nalała sobie to, co pozostało z kawy i poczęstowała się wyglądającym na stęchły różkiem z pudełka, które Florene pozostawiła na kontuarze. Kolacja *chez Nola*, zaśmiała się do siebie, idąc przez hall do sypialni za schodami.

Ale zamiast rozebrać się i wdrapać prosto do łóżka, Nola opadła na niską otomanę przed toaletką. Przypomniała sobie, jak Florene mówiła, że dzwoniła Grace. Znowu.

Czego ta kobieta chce? Tak naprawdę? Czy Grace będzie się starała wyciągnąć od niej to, czego - mama kazała jej to przyrzec - nigdy nie powie?

Nola spojrzała wokół siebie, na ściany, wytapetowane w ekstrawaganckie wzory w ptaki i altanki, oplecione liśćmi, i na nowoczesne łóżko z ręcznie polerowanym wykończeniem z mahoni i czarnej emalii. Cały pokój, całe to mieszkanie było takie jak ona, studium ostrych kontrastów - jak ten olej z przełomu wieków, przedstawiający kobietę szyjącą przy świetle lampy, który fantastycznie tanio kupili z Marcusem na aukcji u Lu-

bina, zawieszony obok sztychu Matisse'a. I stary wyliniały turecki dywan, na którym leżał stos owalnych pudełek oraz stała halogenowa lampa z zielonego, oksydowanego mosiądzu i etażerka o niepewnym pochodzeniu z Arts and Crafts, którą znalazła na pchlim targu.

Resztki innego życia, pomyślała. Dawno, dawno temu, kiedy Marcus sprzedawał gwarantowane przez rząd obligacje hipoteczne, jego prowizja umożliwiła jej powrót na studia, a im obojgu kupno wszystkich tych ładnych rzeczy. Teraz stanowiły żywe wspomnienie czasu, kiedy, zamiast łudzić się, że pieniądze będą napływać nieprzerwanym strumieniem, powinna była chować je w pończosze pod materacem.

Ta nie zakończona sprawa z Grace - to również było wspomnienie. Wspomnienie o dawnych obietnicach, które nigdy nie powinny być składane. O latach dzieciństwa, kiedy na twarzy mamy często gościł niepokój, jakby się czegoś bała, i wielu rzeczy rzeczywiście się bała.

Oszukiwała sarną siebie myśląc, że jeśli zignoruje Grace Truscott, to ona w końcu zniknie. Nola wspominała teraz małą dziewczynkę, która wdarła się tamtego dnia do domu mamy. Nie. Grace Truscott nie miała zamiaru po prostu zniknąć.

Nagle uderzyło to Nolę jak policzek. Było to tak jasne, jak gdyby spojrzała w kryształową kulę. Nadszedł czas, żeby przestać bawić się w chowanego. Musi stawić temu czoło. Spojrzeć Grace Truscott w oczy i błagać ją, jeśli będzie trzeba, by się wycofała, na miłość boską, by się po prostu wycofała.

Było już późno, po jedenastej, ale Nola wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na przespanie się z tą myślą, do jutra może stchórzyć. A może teraz to był ten jeden raz, kiedy musi przeważyć naturalny instynkt. Podniosła słuchawkę i szybko wystukała numer Grace. Nie musiała go wyszukiwać. Grace tyle razy zostawiała go na automatycznej sekretarce, że Nola znała go na pamięć.



Nola wybrała Colombe d'Or przy Dwudziestej Szóstej Ulicy, tuż za Lexington. Restauracja była szykowna, za droga dla niej, ale dawała pewność, że nie wypatrzy jej tutaj nikt znajomo.

Wchodząc z rześkiego wiatru w zgęszczone ciepło restauracji, schyliła się nieco w niskim wejściu. Odczuwała dziwne pomieszanie miłej familiarności i narastającego strachu. Omiotła spojrzeniem stoliki wzdłuż ściany z gołej cegły za barem i natychmiast spostrzegła siedzącą samotnie kobietę, która wyglądała cokolwiek znajomo.

Tak, to była ona. Całkiem dorosła, jednakże rysy, które Nola pamiętała sprzed tylu lat, były wyraźnie rozpoznawalne. Wiedziała, że Grace jest ładna. Ale, o Panie, jaka drobna. Nawet gdy siedziała, widać było, że nie może mierzyć więcej niż metr sześćdziesiąt. Kobieta wielkości lalki, ubrana w białą bluzę lotnika, wsuniętą w obcisłe czarne dżinsy, a do tego miała szykowną małą kamizelkę w gobelinowy wzór i złoty naszyjnik, podzwaniający jak bransoletka z amuletem. Nola, w swoich szytych na zamówienie spodniach z wielbłądziej wełny i plamiastej marynarce czuła się przy niej potężna jak hokeista.

Oddała płaszcz do szatni i ruszyła w kierunku stolika, rozkoszując się tymi kilkoma chwilami, kiedy mogła obserwować, nie będąc obserwowana. Zobaczyła, że włosy Grace są ciemne i jedwabiste, podczas gdy swoje musiała ściągać w węzeł na karku, by się nie skręcały. A ręce Grace - tak małe, że jej srebrne pierścionki wyglądały na nich jakoś absurdalnie, jak u dziecka, bawiącego się w przebieranki.

Ale pomimo wzrostu Grace wszystko w niej, nawet sposób, w jaki siedziała - niedbale przechylona do tyłu, ze jedną stopą w niemożliwie małym zamszowym buciku opartą o kolano - zdawało się przesyłać wiadomość: wiem, czego chcę, i wiem, jak to osiągnąć.

Patrząc, jak Grace obojętnie upija łyk perriera z cytryną, Nola poczuła szarpnięcie w dołku, jak gdyby ciągnęło ją do Grace wbrew jej woli. Niech ją diabli. Niech ją diabli za to, że mnie w to wciaga.

Czy to możliwe, że Grace wie, jaka ona była wytracona z równowagi? Wszystkie te wiadomości, które przesłuchiwała bez końca, nie mogąc się zmusić, by na nie odpowiedzieć. Poszukując... czego? Jakiegoś śladu, który doprowadzi ją do pułapki, jaką może zastawia Grace?

Zastanawiając się teraz, czy właśnie wpada w pułapkę, Nola, przedzierająca się między zatłoczonymi stolikami, zatrzymała się na chwilę i wygładziła przód marynarki. Potem ukazała się w całej okazałości. - Cześć. Ty musisz być Grace.

Odczuła posępną przyjemność widząc, jak Grace wzdryga się ze zdumienia, niemal przewracając swoją szklankę, kiedy podniosła się, by uścisnąć jej rękę. Nola wsunęła się na puste krzesło po drugiej stronie stolika, czując na sobie oczy Grace, dokonujące przeglądu.

Nie czuła się skrępowana tym, że na nią patrzą. Ludzie gapili się na nią, odkąd skończyła dwanaście lat, na kościstego dzieciaka, wysokiego jak niektórzy mężczyźni, z nogami aż do pępka i w sukienkach, które zawsze były o kilka centymetrów za krótkie. Nie, żeby mama nie nadażała za nią z igłą i nitką; ale mama zawsze przysięgała, że ilekroć siedziała późno w noc, by podłużyć sukienkę, rano Nola była o centymetr wyższa.

Minęło garbienie się nastolatki, która chciała wydać się niższa. Nola siedziała prosta jak świeca, z wyciągniętą szyją i spojrzeniem skierowanym tak prosto jak linia mierniczego.

- Tak się bałam spóźnić, że przyszedłam dziesięć minut wcześniej - powiedziała Grace ze śmiechem, na którego dźwięk Nola wbrew sobie zapragnęła ją polubić. - Gdybym w jakiś sposób cię tu przeoczyła, chyba wykopałabym się stąd do królestwa niebieskiego - tylko ślad południowego akcentu, jak szczypta cukru w filiżance mocnej kawy.

- I oto jestem... spóźniona - Nola zdobyła się na sztywny uśmiezek.

Nie przepraszaaj. Nie tłumacz się. Nola przepędziła zwykłe głupawe wymówki, które przysły jej na myśl. Niech to Grace się tłumaczy.

- Miłe miejsce - skomentowała Grace, rozglądając się wokół. - Czytałam gdzieś, że jedzenie jest tu dobre.

- Nie wiem, nigdy tu nie byłam - odpowiedziała Nola z wymuszonym uśmiechem pracującej kobiety o skąnym budżecie, która ma niewiele czasu na przeglądanie gazet, a jeszcze mniej na zwracanie sobie głowy przeglądem drogich restauracji. Położyła torebkę na kolanach, zauważając z pogardą wielką skórzaną sakwę Grace, przewieszoną przez oparcie krzesła tak niedbale, że każdy kieszonkowiec mógł podejść i wziąć ją sobie. Tak bez troska mogła być tylko osoba, której nigdy nie brakowało pieniędzy.

Nola patrzyła, jak Grace pociąga kolejny łyk perriera. - Cóż... prawda jest taka, że w tej chwili wszystko by mi smakowało. Ostatniej nocy, po twoim telefonie - znów ten rozbrajający uśmiech, który wywoływał w Noli, wbrew wszelkiemu instynktowi, pragnienie, by ją polubić - długo nie mogłam zasnąć. Na śniadanie zdołałam wypić tylko czarną kawę.

- Witaj w naszym klubie. Nieprzerwany sen to dla mnie zdecydowanie przeszłość.

Grace spojrzała na nią bez wyrazu.

- Mam dwie dziewczynki - wyjaśniła Nola. - Tasha ma dziesięć lat, a Dani właśnie skończyła sześć.

- Pamiętam, kiedy mój syn miał sześć lat - Grace wydawała się smutna. - Szkoda, że nie znalazłam sposobu, by zabutelkować ten wiek i schować na później.

- Nastolatek? - nie było to takie nieprawdopodobne. Wyraz twarzy Grace sugerował, że ostatnio przetrwała kilka burz na tym froncie.

- Zgadłaś! - zaśmiała się Grace, ale Nola wykryła tu nutkę napięcia. - Chris jest w tym wieku. Nie jestem pewna, czy chodzi o to, że on ma trzynaście lat, czy że ja

mam ponad trzydzieści. Są dni, kiedy myślę, że wyskoczę przez dach.

- Mój ma już kilka takich dziur - Nola współczująco przewróciła oczami. - A Tasha jeszcze naprawdę nie pokazała tego, co potrafi.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będę miała okazję poznać twoje dziewczynki - powiedziała Grace.

Nola czuła, że cofa się przed spontanicznym ciepłem, jakie wytworzyło się między nimi, jak przed ogniem, który stał się zbyt przytulny. Musiała pozostać czujna, na sztorc, żadnych bzdur typu „płyniemy w tej samej łodzi”. Mierząc Grace spojrzeniem, powiedziała: - Nie wiem, jaki to by miało sens.

Grace raptownie pochyliła się do przodu i opierając się na łokciach, utkwiała w Noli czyste, wiedzące spojrzenie. Odsuwając na bok wszelkie pozory towarzyskiej paplaniny, powiedziała cichym głosem: - Wiem, co myślisz. Nie przyszedł tutaj po to, żeby słuchać, jak prowadzę towarzyską rozmowę - pierwsza odwróciła wzrok, bawiąc się czerwoną plastikową słomką w szklance z wodą, obracając ją z roztargnieniem między dłońmi, mocno i szybko, jak pełna zapału harcerka, próbująca wykrzesać ogień z dwóch patyczków. - Boże, nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Wiem, byliśmy tylko dziećmi, ale pamiętam absolutnie wszystko o tobie... i o... - zawahała się, a potem podjęła - ...o tamtym dniu.

Teraz również Nola pochyliła się do przodu. - Dlaczego po prostu nie machniesz na to ręką? Po co to wywlekać na światło dzienne po tylu latach? Na litość boską, oni nie żyją, obaj nasi ojcowie. Moja matka też. Nie ma ich tutaj, żeby mogli się bronić.

Grace potrząsnęła głową, wypuszczając słomkę z dłoni. - Ja nikogo nie oskarżam.

- Może nie, ale mimo wszystko przedstawiasz go w złym świetle.

- Mojego ojca... czy twojego? - cicho zapytała Grace.

Nola słyszała huczenie głęboko w uszach, jak w zbyt mocno naciągniętym stalowym kablu. - Tu nie chodzi

o nich - odparowała. - Tu chodzi o ciebie. Skąd ta nagła nieodparta potrzeba odgrzebywania wszystkiego?

- Musiałam - powiedziała Grace po prostu. - to tkwiło w mojej głowie przez wszystkie te lata, jak zły film, odtwarzany wciąż od nowa. Nie wierzę, że taka straszna tragedia nie wpłynęła na mego ojca w taki sam sposób. A jak mogę napisać o nim uczciwą książkę, pomijając coś tak ważnego?

- Dobrze, ale do czego ja jestem ci potrzebna? - Nola oparła się plecami o krzesło i skrzyżowała ręce na piersi.

- Wiesz już wszystko, co można wiedzieć. - Jej serce ruszyło oszalałym rytmem, a przed oczami miała niemłą wizję samej siebie poddawanej próbie wykrywacza kłamstw, z przewodami przyklejonymi do rąk w kajdankach, i wychylającej się jak oszalała igle rysującej jej reakcje.

- Kogo ty osłaniasz, Nola? - naciskała Grace przysuwając się. - Czy chodzi o twojego ojca? O to, że mógłby skończyć jako morderca, gdyby nie został powstrzymany?

Nola nagle miała wrażenie, że nie może nabrać w płuca tyle powietrza, ile jej potrzeba. Zakręciło jej się w głowie, czarne drobiny przepłynęły przez pole widzenia. Wtedy przypomniała sobie: Atak jest najlepszą formą obrony. Chwytając za brzeg stolika, zapytała: - Jakie masz prawo pakować się w moje życie i pytać o coś, co w ogóle nie powinno cię obchodzić?

- Kazała ci obiecać, prawda? Tak jak mnie mama i tata kazali przyrzec.

- Nie wiem, o czym mówisz...

- Ależ tak, wiesz. Widzę to po twojej twarzy. Boisz się o tym mówić nawet z kimś, kto tam był. Ktoś, jak się domyślam, twoja matka, wbił ci do głowy, że musisz siedzieć cicho albo stanie się coś naprawdę strasznego - na ładnej twarzy Grace pojawił się ponury uśmiech. - Wiem to, bo mnie zrobili to samo. Tylko że właściwie nie powiedzieli, że mam nic nie mówić. Moja matka... ona ma taki sposób patrzenia, że wołałabym przejść

bosymi stopami po rozżarzonych węglach niż usłyszeć, żeby powiedziała to, co myśli.

- Ze mną tak nie było. Mama... - Nola urwała.  
- Słuchaj, to nas donikąd nie zaprowadzi. Teraz jestem zupełnie dorosła. Sama podejmuję decyzje. Tak się składa, że wywnętrzanie się przed zgrają reporterów nie będzie moją decyzją - podniosła chłodną, drżącą rękę do policzka, który palił ją, jakby był poparzony. Była zadowolona z przerwy w rozmowie, kiedy kelner przyniósł piwo imbirowe, które zamówiła.

- Nie przed zgrają reporterów - poprawiła ją Grace.  
- Przede mną. Tylko przede mną. Chcę móc wyjaśnić wszystko tak, by ludzie naprawdę zrozumieli.

- To nie jest takie proste.

- Więc chcę to wiedzieć. Dlaczego to nie jest takie proste.

- A co z tym, czego ja chcę? - Nola czuła, jak coś twardego wybucha w niej płomieniem.

Grace nagle wyprostowała się na krześle, z twarzą bladą i przejętą. Potem, znów pochylając się do przodu, dotknęła lekko grzbietu dłoni Noli. - Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale przez wszystkie te lata... myślałam o tobie. Jeszcze zanim zaczęłam książkę, myślałam o tym, by zadzwonić do ciebie, po prostu, żeby... no cóż, żeby mieć z kim o tym porozmawiać.

Nola poczuła ten sam pociąg, co przedtem, popychający ją ku Grace wbrew wszelkiemu instynktowi, który kazał jej stawiać opór. Przyznaj się, ty czułaś to samo. Tęsknotę za kimś, komu mogłabyś się zwierzać, z kim mogłabyś dzielić ten okropny ciężar, ciężar o wiele większy niż Grace mogła sobie wyobrazić...

Ostrożnie, ostrzegła samą siebie. - Chcesz znać prawdę? - powiedziała z chłodną precyzją topora rzeźniczego, spadającego na pień. - Cieszyłam się, kiedy mój ojciec zmarł.

Nola wiedziała, że Grace jest zaskoczona, więcej nawet, wstrząśnięta, i doznała uczucia dziwnego triumfu.

- Mój Boże! - wyrwało się przejętej Grace.

- Zanim tata zmarł, jedyne dobre chwile miałyśmy, mama i ja, wtedy, kiedy był na morzu - ciągnęła Nola.  
- Nie było go tygodniami, czasem miesiącami. Kiedy wracał, przez krótki czas było dobrze... ale potem nabijał sobie głowę szalonymi pomysłami i zaczynał zachowywać się obrzydliwie, oskarżając mamę o różne rzeczy...

- Jakie rzeczy? - zapytała Grace.

- Najczęściej o drobiazgi - ciągnęła Nola, prawie tak, jakby mówiła do siebie lub marzyła na głos. - Tata wrzeszczał, że w głowie jej się przewracało od pracy tam, na Wzgórzu Kapitołińskim, że już nie wie, czy ona jest czarna czy biała. Potem wbił sobie do głowy, że go zdradza. Ach, ci mężczyźni! Raz miał to być miły pan Crosley, który pracował na targu, gdzie mama robiła zakupy. Innym razem był to wujek Lester, brat taty.

- A jak się wtedy zachowywała twoja matka?

Nola potrząsnęła głową, przypominając sobie. - Cichła zupełnie, a wtedy tata... - urwała nagle, nie kwapiąc się z ciągiem dalszym.

Ale Grace, choć nie powiedziała słowa, nie ustąpiła. Przynęła się tak blisko, że Nola czuła na twarzy jej oddech jak letni wietrzyk. Jej piwne oczy błyszczały jak światło słoneczne na wodzie.

- Czasami ją bil - dokończyła Nola matowym głosem.

Grace milczała przez chwilę z poważną twarzą. - Przykro mi - powiedziała w końcu. - Musiało to być dla ciebie okropne.

- Dlaczego miałoby cię to obchodzić? - w gardle Noli gorycz wzbierała jak posmak kwaśnego niedojrzałego owocu. - Nawet mnie nie znasz.

- Nie - przyznała Grace. - Ale zawsze zastanawiałam się, czy ty też czułaś taką złość jak ja. Ostatecznie nasi rodzice nigdy nas nie zapytali, czy chcemy potwierdzać ich lakierowaną wersję prawdy.

- Więc dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie dziesięć lat temu?

- Nie wiem. Zawsze w ostatniej chwili coś mnie powstrzymało. Bałam się, że będziesz taka jak oni, że będziesz udawać, że to się nigdy nie zdarzyło.

Nola czuła, jak zimno z lodowatej szklanki przechodzi na jej dłoń, obejmuje ramię i pierś. - Po prostu stało się - powiedziała, wydobywając z siebie słowa z takim trudem, jak zardzewiałe gwoździe z dawno zabitych drzwi. - Mój tata... dostał szału. Mama wystraszyła się i zadzwoniła do twojego ojca. Zawsze rozwodziła się nad tym, jak Eugene Truscott potrafi uporać się z każdym kłopotem. Och, tak, wiem, że to był wypadek, ale on się z nim uporał. Szczęśliwie dla mamy i dla mnie, nieszczęśliwie dla taty. Koniec historii.

- Nic, co kończy się tak źle, nie kończy się naprawdę - spokojnie powiedziała Grace, ale Nola zadrżała od prawdy jej słów.

Raptem powiedziała: - Słuchaj, to było tylko między nami. Poza tym naprawdę nie mogę ci pomóc.

- Nawet teraz, kiedy wszystko wyszło na jaw, a twoje potwierdzenie może tylko uratować reputację mojego ojca? - naciskała Grace.

Nola miała wrażenie, że chwieje się na skraju niewiarygodnie stromej przepaści, że za chwilę spadnie w bezdenną otchłań. - Ja... nie mogę - powtórzyła słabo.

- Dlaczego nie? Był dla ciebie dobry, prawda? Wiem, że kiedy twój ojciec zmarł, on opiekował się tobą i twoją matką. Odłożył dla ciebie pieniądze, żebyś mogła pójść do college'u.

Nola przytaknęła. - Tak, on był dla nas dobry. Wpłacał mamie pensję, nawet potem, kiedy była zbyt chora, by pracować.

- Więc pomyśl o tym, że możesz mu się w ten sposób odwdziaczyć!

- Proszę cię - błagała Nola. - Nie wiesz, o co prosisz. Ale Grace nie chciała przestać, nie chciała zrezygnować. - Nola, nie ma nikogo innego. Musisz pomóc.

Nola poczuła, jak nagle pęka jej sztywne opanowanie. - Jesteś przyzwyczajona do stawiania na swoim, prawda?



Grace Truscott, uprzywilejowana córka wielkiego senatora. Cóż, pozwól sobie powiedzieć...

- Grace - przerwał jej dochodzący z góry głęboki głos, I Nola spojrzała w dwoje najzwyklejszych oczu, jakie I kiedykolwiek widziała, osadzonych w niesamowicie I przystojnej twarzy. Miała ulotne wrażenie kędzierzawych ciemnobrązowych włosów, ust pełnych i zmysłowych, zanim zdolna była skupić się na mężczyźnie, I który stał nad ich stolikiem. Niemożliwe, żeby w Nowym Jorku, w latach dziewięćdziesiątych, mężczyzna tak wyglądał i nie był albo żonaty, albo pedałem, albo skończonym narcyzem. Jeśli nawet, uśmiechał się do niej I z zainteresowaniem, które wydawało się szczere.

- Ben Gold - przedstawił się, wyciągając rękę. Mocny I uścisk dłoni, pewny i suchy, bez zbytnej agresywności.

- Nola Emory - odpowiedziała. Uśmiezek, jaki błąkał mu się na ustach i sposób, w jaki na nią patrzył, skłoniły ją do pytania: - Czy ja skądś pana znam? - Nazwisko było rzeczywiście znajome.

- Właściwie nie spotkaliśmy się, ale słyszałem o pani wszystko - Ben zaśmiał się rozbrawiająco, potem, zauważając jej zdumienie, dodał: - Pracuję dla mojego taty u Cadogana.

- Pańskim tatą jest... - uniosła brew.

- Jack Gold. - Kiedy Nola nie zareagowała, Ben zwrócił rozbawione spojrzenie na Grace. - Nie powiedziałaś pani, że jesteś przyjaciółką swojego wydawcy?

Nola patrzyła, jak Grace wzrusza niezdarnie ramionami i spuszcza wzrok na stół. Omijając ten temat, Nola zauważyła lekko: - To musi być interesujące mieć ojca za szefa. Założę się, że czasami ma pan wrażenie, iż nigdy nie opuścił domu.

Zobaczyła, że twarz Bena ciemnieje, ale ułamek sekundy później zażartował: - Z tym wyjątkiem, że kiedy proszę o wyższe kieszonkowe, mówimy o znacznie większych sumach pieniędzy.

Nola uniosła kącik ust w górę. Przyszło jej wtedy do głowy, dlaczego jego nazwisko zabrzmiało jej znajomo.

Czyż ta powieść, którą w końcu zdołała przeczytać, nie była dedykowana Benowi Goldowi?

- Pan jest redaktorem Rogera Younga, prawda?

Przytaknęła, nie kryjąc zadowolenia. - Ale pozwolę sobie powiedzieć, że chciałbym być również redaktorem Grace... Przynajmniej jadłbym teraz lunch z dwiema pięknymi kobietami, a nie ze starym pedantem.

Nola śmiechem przerwała niezręczną ciszę, jaka zapadła nad stołem. Była tą reakcją tak samo zaskoczona jak Grace. Nie była pewna, czy roześmiała się, zadowolona z otwartości tego młodego człowieka, czy w przypływie ulgi, że uratował ją, przynajmniej na chwilę, przed dociekliwością Grace.

- Przykro mi, że nie możesz się do nas przysiąc - powiedziała mu Grace.

- Mnie także, ale obowiązek wzywa. On jest moim autorem, doktorem, który, mam nadzieję, będzie nowym Pritikinem - przełożył teczkę do drugiej ręki. Miał na sobie sportową marynarkę z granatowego sztruksu i krawat z dzianiny, który robił wrażenie celowo niedbałego, tak jak wyczyszczone zamszowe buty i okulary słoneczne od Ołivera Peoplesa, zsunięte w ciemne loki. - On twierdzi, że starość to kultura. Że w idealnych warunkach ciało ludzkiemu przeznaczone jest trwanie przez sto dwadzieścia lat. Przypuszczam, że to musi oznaczać, oczywiście na skali doktora Dorfmeiera, iż my troje nie osiągnęliśmy jeszcze wieku pokwitania.

Noli absurdalnie pochlebiało to, że Ben włączył ją do swego „my” i to, jak na nią patrzył - o sekundę za długo za każdym razem, kiedy ich oczy się spotykały. Od jak dawna nie była tak ostro świadoma zainteresowania mężczyzny?

Nie żeby zbaczała z kursu, zauważając takie rzeczy. Kto się raz sparzył, na zimne dmucha, pomyślała. Cóż to takiego Marcus, z zaczerwienionymi oczami i wściekły, powiedział jej, kiedy pakował swoje rzeczy? „Nikt nigdy nie będzie cię tak kochał jak ja”. I przypomniała sobie, że pomyślała: „Bogu dzięki. Nie zniosłabym, by ktokolwiek tak mnie kochał, nigdy więcej”. Odkąd się wyprowadził,

rozkoszowała się tym, że ma wielkie małżeńskie ~~łóżko~~ tylko dla siebie. Dopiero niedawno zaczęła mieć ~~ważnie~~, że sypia na lodowej krze. \*

Nola napotkała wzrok Bena, gdy odwracał się, by odejść i poczuła jak gorąco oblewa jej twarz. Kiedy zniknął za łukiem w następnej sali, stwierdziła, że zastanawia się, czy go jeszcze zobaczy.

- Zdaje się, że to miły facet - powiedziała. Gniew, jaki czuła ledwie kilka minut wcześniej, zniknął. Zamiast niego było tylko ciężkie zmęczenie.

- Owszem, miły - westchnęła Grace i znów zaczęła oddzierać kawałeczki serwetki. - Po prostu nie jestem pewna, czy jestem gotowa być macochą trzydziestolatka.

- Jesteś zaręczona?

- Nie - Grace odwróciła wzrok.

Nola zobaczyła, że trafiła w czuły punkt. Szybko zmieniła temat. - Przedwczoraj widziałam twoje nazwisko w gazecie. Bez związku z tym - rozłożyła ręce. - Coś o cyrku?

- Ach, to. Pewnie - Grace, która wydawała się równie rozdarta jak jej serwetka, zdawała się brać w garść. Uśmiechnęła się jak przez mgłę. - Cyrk Wielkiego Jabłka. Na rzecz Pen-Clubu. Grupa autorów, robiąca z siebie głupców na oczach publiczności. Wygwizdzą mnie, jeśli nie upadnę na pysk. Mam numer na trapezie.

- To wydaje się niebezpieczne.

- Jest siatka - wzruszyła ramionami Grace. - Poza tym w college'u byłam w zespole gimnastycznym. Naprawdę byłam całkiem dobra. Na równoważni nawet miałam spore osiągnięcia.

- No cóż, powodzenia - Nola usłyszała w swoim głosie nutę goryczy i zobaczyła, że nie umknęła ona również uwagi Grace.

- Będzie mi potrzebne - powiedziała Grace i dodała z westchnieniem: - Och, Nola, ciągle nie mogę dotrzeć do ciebie, prawda? Czy cokolwiek, co powiedziałam, zrobiło choćby najmniejszą różnicę?

Po chwili niezręcznej ciszy Nola odpowiedziała cicho:  
- Rozumiem, skąd przychodzisz. Ja tylko nie mam ochoty przyłączyć się do ciebie.

Grace nagle odwróciła się, szukając czegoś w dużej skórzanej sakwie, przewieszanej przez oparcie krzesła. Wyciągnąwszy teczkę z maszynopisem, położyła ją przed Nola. - Proszę - szepnęła ze łzami w oczach. - Przeczytaj to. Nie zaszkodzi ci, jeśli przynajmniej przeczytasz to, co napisałam. Może zmienisz zdanie.

Nola raptownie wstała. - Ja już się zdecydowałam -ale jednak wzięła maszynopis, ściskając go oburącz, jak gdyby mógł jej dać punkt oparcia przed pochłaniającą ją falą zawrotów głowy. - Wybacz, ale muszę już iść. Przepraszam za lunch.

Grace wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Noli, przytrzymując ją w swych małych jak u dziecka dłoniach, odrobinę za długo jak na uścisk. Ale nie zrobiła nic, by powstrzymać ją przed odejściem.

Nola, zmierzając do wyjścia, potknęła się tam, gdzie podłoga zaczynała lekko opadać. Czuła mdłości, jak gdyby zjadła o wiele za dużo. Czy Grace wyczuła jej wahanie? Czy domyśliła się, cóż to takiego, do powiedzenia czego Nola nie może się zmusić, jaka jest ta prawda, bardziej szokująca niż Grace mogła sobie wyobrazić?

## O

Godzinę później Nola siedziała ze swym szefem przy dużym stole w sali konferencyjnej, na którym wcześniej rozłożyła swoje szkice. Widziała zaskoczenie na jego szczupłej, dość ostrej twarzy. Choć wiedział, że zdobyła nagrodę Carnegiego i cenioną nagrodę AIA w Cooper Union, nie był na to przygotowany.

Nawet ona trochę nie dowierzała. Tyle w tych szkicach było pewności, taka pomysłowość - aż nie mogła uwierzyć, że to ona zrobiła, a nie jakieś elfy, które - jak w bajce - zjawiły się w trakcie jej snu i niepostrzeżenie wykonały szkice.

Jednak Ken nie skakał do góry z radości... Do diabła, nawet się nie uśmiechał. - To zupełnie nie to, o co<sub>A</sub>mi chodziło - powiedział.

Szef Noli był szczery i ona to ceniła, nawet jeśli z tego powodu cierpiała katusze. W tej chwili dokładała starań, by trzymać tyłek przygwożdżony do obitego skórą siedzenia swego obrotowego krzesła. Kiedy podniósł na nią wzrok, zaintrygowanie w jego blisko osadzonych, niebieskich oczach za okularami w szylkretowej oprawie było jak papier ścierny dla jej już napiętych do bólu nerwów.

- Gdyby ktoś zostawił je na moim biurku, nigdy nie domyśliłbym się, że to twoje - ciągnął. - Nie twój styl.

Nola patrzyła, jak Ken ponownie kieruje uwagę na jej rysunki i wpatruje się bacznie w pergaminowe arkusze, które zdawały się płynąć po powierzchni wypolerowanego do połysku stołu konferencyjnego z różanego drewna.

- Taak, ale czy ci się podobają? - wypaliła Nola. Musiała wiedzieć. Teraz. Zanim rozsadzi ją napięcie.

Ken podniósł wzrok, jak gdyby zdziwiony, że zadała takie pytanie. - Musiałbym oszaleć, żeby mi się nie podobały.

- Więc należą do ciebie - z trudem przełknęła podekscytowanie, które podchodziło jej do gardła. - Nie chcę powiedzieć, że do firmy, ale do ciebie osobiście.

- No dobrze, ale nie ma wątpliwości, że przypadnie ci spory zaszczyt...

- Próbuję ci powiedzieć, Ken - wpadła mu w słowo - że wolę, by moje nazwisko nie pojawiło się nigdzie w związku z tym projektem. Gdyby miał zostać wybrany, a wiem, że to tylko gdybanie, pracowałabym, aż by mi odwłok odpadł, żeby go skończyć. Ale chciałabym pozostać w cieniu - wyciągnęła wystrzępiony wycinek z wczorajszego „Timesa” i podała mu go. - Może to wyjaśni dlaczego.

Ken rzucił okiem na wycinek, potem znów podniósł wzrok na Nolę i ze zdumieniem zmarszczył brwi.

- Ned Emory był moim ojcem - powiedziała. - Moja matka pracowała dla senatora Truscotta.

Ken potarł białą, nie owłosioną ręką swoją wąską twarz, która zawsze przywodziła jej na myśl czujnego charta. - Dobra, ale wciąż nie jestem pewien, do czego zmierzasz.

- Powiedzmy po prostu, że byłoby lepiej, gdybym nie była w to wmieszana. To mogłoby wyglądać na protekcję. Na to, albo na coś wręcz przeciwnego. Pani Truscott mogłaby nie chcieć mieć ze mną nic wspólnego. Prawdopodobnie przypominałabym jej o czymś, o czym wolałaby nie pamiętać.

Ken potarł w zamyśleniu podbródek. - Może masz rację. Znam kilku ludzi z tego komitetu, a oni z całą pewnością nie chcieliby ryzykować zrażenia Cordelii Truscott. Jednak... - rozłożył ręce w parafiańskim geście, nieodrodny syn gliniarza z Flushing. - Będę z tobą szczerzy, Nola. Lubię cię. Podoba mi się twoja praca. A to - poklepał okazowy rysunek - jest kurewsko dobre.

Pozwoliła sobie rozpromienić się na chwilę i szybko zapytała: - Ale?

- Każę przejrzeć to chłopcom. Zobaczą, co oni sądzą.

- Kiedy?

- No, nie bądź w gorącej wodzie kapana. Jutro. Zawiadomię cię, jak tylko będę mógł.

Nola zwalczyła niecierpliwość i powiedziała: - Chyba mogę tyle zaczekać.

Przez większość swego życia trzymała uczucia pod pokrywką i do tej pory powinna się była do tego przyzwyczaić.

Gdy Nola wróciła na swoje stanowisko pracy, jej wzrok przyciągnęła półka nad stołem kreślarskim i zapakowany maszynopis, wtłoczony między rolki odbitek. Powoli wyciągnęła rękę i zdjęła maszynopis z półki. Ramię zdawało jej się wydłużać pod jego ciężarem.

Tak wiele do powiedzenia...

Nie mogła pozbyć się okropnej pewności, że Grace nie ma zamiaru popuścić, że nie ustanie w wysiłkach, aż otrzyma wszystkie odpowiedzi, jakie jej są potrzebne.

Zapominając o elewacji dla Changa, którą obiecała skończyć tego dnia, zapominając na chwilę nawet to swoim projekcie, który właśnie wędrował przez hall do gabinetów kierownictwa, Nola rozpakowała maszynopis i zaczęła czytać.

## ROZDZIAŁ 5

*...Eugene Truscott lubił opowiadać pewną historię, o tym, jak pomógł Lyndonowi Johnsonowi zmusić Kongres do zatwierdzenia ustawy o prawach obywatelskich. Zdradził prezydentowi sztuczkę, która przysłużyła mu się w latach, kiedy ubiegał się o reelekcję. Jeden dzień w tygodniu, między godziną dziewiątą a dziesiątą rano, drzwi jego oiura przy Elmhurst stały otworem dla lokalnych lojalistów partii i biznesmenów, którzy chcieli zrobić sobie zdjęcie z kongresmanem Truscottem, później przywódcą większości Izby Reprezentantów. Oczywiście, każdy demokrat, który miał trochę oleju w głowie, chciał uwiecznić swój uścisk dłoni z wielką szychą, dla potomności i dla podbudowania własnego politycznego znaczenia... i w ten sposób, w ciągu kilku minut, jakich potrzebował fotograf na oprawienie zdjęcia, kongresman z Queens, gawędząc uprzejmie ze swym wielbicielem, zdobywał więcej informacji i wpływów niż mógłby w dniach agitacji na szlaku kampanii.*

*Johnsonowi spodobał się ten pomysł i nie tracił czasu z wprowadzeniem go w życie. Każdego poniedziałku, między dziewiątą a dziesiątą rano, Gabinet Ovalny stał otworem dla członków Izby Reprezentantów i Senatu, którzy chcieli zrobić sobie zdjęcie z prezydentem...*

Grace przestała pisać i wpatrywała się w słowa, jarzące się przed nią na monitorze komputera. Czuła napięcie w karku i w głębi oczu. Miała wrażenie, że brnie przez wilgotny cement. Nie powinno tak być, pomyślała. Najgorsze miała za sobą - nie kończące się poszukiwania, potem przedzieranie się przez pierwszy zarys. Stadium, w jakim była teraz - przeglądanie maszynopisu, przerabianie akapitów i zdań, wplatanie świeżych informacji - to etap pracy, który zawsze lubiła.

Dlaczego więc czuje się taka wykończona?

Może dlatego, że siedziała nad tym nieprzerwanie od ósmej rano, nawet bez przerwy na lunch - bo zjadła tylko kanapkę nie odrywając się od klawiatury. Pora na przerwę, powiedziała sobie.

Zapisała plik, nad którym pracowała i wyłączyła komputer. Jednak nadal nie mogła uwolnić myśli od książki.

Myślała o lunchu z Nolą Emory przed tygodniem. Od tamtej pory coś nie dawało jej spokoju. Czy było to coś, co Nola powiedziała? Czy też coś, czego nie powiedziała? Grace nie mogła się pozbyć uczucia, że Nola chce coś zataić...

A może to tylko ona ma paranoję. Ostatnio, dzięki Hannie, była wyczulona na każde słowo, każdy drobny gest i grymas, które mogły mieć ukryte znaczenie przeciwne do tego, które się odczytywało na pierwszy rzut oka.

Hanna. Na myśl o Hannie Grace przypomniała sobie, że choć wcześniej zrobiła wszystkie świąteczne zakupy - sama myśl o przebijaniu się przez tłok w okresie po Święcie Dziękczynienia przyprawiała ją o klaustrofobię - nie znalazła jeszcze prezentu dla Hanny. Późnym popołudniem, po próbie generalnej przed występem cyrkowym, ona, Lila i Chris wybiorą się po zakupy. Może Lila podsunie jej jakiś pomysł. Lila w sobie tylko właściwy nieszablonowy sposób była wspaniała w wybieraniu odpowiedniej rzeczy na każdą okazję. Jak wtedy, kiedy Grace złamała palec u nogi, a Lila podarowała jej jedną zrobioną na drutach skarpetkę.



Właśnie zmierzała do kuchni, by zrobić sobie filiżankę herbaty, zanim Chris wróci ze szkoły, kiedy zadzwonił telefon. Popędziła z powrotem, aby odebrać go w swoim gabinecie.

- Pani Truscott? Mówi Ellerby ze Świętego Andrzeja. Niestety, mamy pewien kłopot z Chrisem.

Słyszając nieznamy głos z nutą władczości, Grace osunęła się na krzesło przy biurku. - Czy coś mu się stało? Nic mu nie jest? - słyszała własny głos, wznoszący się z zaniepokojenia. - On nie... on nie ma żadnych kłopotów, prawda?

Przypomniało jej się, jakiego stracha Chris jej napędził wkrótce po tym, jak ona i Win się rozstali, nie pokazując się godzinami po szkole, podczas gdy ona zapamiętała dzwoniła do wszystkich jego przyjaciół i kolegów z klasy - a potem telefon z posterunku z informacją, że zatrzymali go za kradzież w sklepie. Rozdarta między gniewem a ulgą, że przynajmniej jest zdrow i cały, nie wiedziała, czy ma go udusić, czy przytulić.

- Nic takiego, żeby popadać w nadmierny niepokój - szybko powiedziała pani Ellerby. - Ale czułabym się spokojniejsza, gdyby pani do mnie wpadła, żebyśmy mogły porozmawiać o tym osobiście.

I w ten sposób za jednym pociągnięciem Nola, książka i Hanna zostały wymazane. Chwyając płaszcz i torebkę i wypadając za drzwi, mogła myśleć tylko o tym, że Chris, jej nieszczęśliwy syn, znów ma jakieś kłopoty.

## O

Ze swymi jawnie siwymi włosami i nieładną, sprawiającą wrażenie wyszorowanej, twarzą, pani Ellerby przypominała Grace zakonnice, które uczyły ją katechizmu w Naszej Pani do Szkaplerza: niewzruszona, o spojzeniu, które, choć nie niezycliwe, zostało wyostrzone przez całe dekady czatowania na żujących gumę próżniaków i łobuzów. W tej chwili wyglądała na skruszoną tym, że kazała Grace przywlec się tutaj. Ale potem

powiedziała: - Doprawdy, nie ma potrzeby popadać w panikę. W każdym razie jeszcze nie...

Grace poczuła, że coś osuwa jej się w brzuchu. Czuła się w jakiś sposób winna, jak gdyby to ją wezwano na dywanik. I może częściowo to jej wina, cokolwiek to jest, przez co Chris ma kłopoty.

Rozejrzała się po małym przeszklonym gabinecie z ciężką kanapą, zarzuconą pluszowymi zwierzątkami. Na ścianie nad biurkiem korkowa tablica upstrzona była kolorowymi pluskiewkami, usiana dziecięcymi rysunkami w jaskrawych kolorach, bilecikami z podziękowaniami od matek, odbitkami kserograficznymi i notkami o zebraniach nauczycieli i zbliżających się wycieczkach za miasto.

- ...niewielu ósmoklasistów jest takich - mówiła pani Ellerby. - Trochę za wcześnie na szarpanie wędzidła, ale nigdy nie wiadomo. W każdym razie, zdarzyły się tylko dwa incydenty - Grace patrzyła, jak pedagog szkolny przebiera w schludnych stosach papieru na swoim biurku, wyciąga brązową teczkę i wyjmuje z niej dwie lekko pomięte notki, nabazgrane na żółtym papierze w linię. - Czy to pani pismo, pani Truscott?

Notki były identyczne. „Proszę usprawiedliwić wczorajszą nieobecność Chrisa. Złe się czułam”. Podpisane były: Grace Truscott.

Narastała w niej wściekłość na Chrisa, aż szokująca w swej intensywności. Jak on śmiał!

Zwróciła notki pani Ellerby. - Nie - powiedziała szorstko, przerażona, że drży jej ręka. - Ja ich nie napisałam.

- Tak myślałam - westchnęła pani Ellerby. - Boże mój... i obawiam się, że jutro rano możemy spodziewać się następnej.

- Więc nie ma go dzisiaj w szkole? - Puls zaczął jej walić w skroni.

- Zadzwońabym do pani wcześniej, ale właśnie teraz przeglądałam niektóre z tych teczek i dopiero kiedy

zobaczyłam formularz z pani podpisem, zaświtało mi w głowie - pani Ellerby wyciągnęła rękę i poklepała delikatnie jej dłoń. - Nie ma powodu do żadnego poważnego zmartwienia. Zawsze wracał do domu na czas, prawda? Możemy przyjąć, że tym razem także. Prawdopodobnie wymknął się do kina, albo do jednego z tych salonów z grami komputerowymi, których chłopcy chyba nigdy nie mają dosyć.

Grace próbowała wchłonać zapewnienia pani Ellerby, ale jej myśli krążyły jak szalone. Przypuśćmy, że Chris nie poszedł do kina ani do żadnego salonu gier komputerowych. W tym mieście, pełnym mętów, gdzie lada moment może się zdarzyć strzelanina z samochodów, mogło mu grozić niebezpieczeństwo, może nawet jest ranny.

Musiała się powstrzymać, by się nie zerwać i nie popędzić na poszukiwanie syna. Nie, pani Ellerby ma rację. Zawsze wracał do domu, więc i tym razem wróci. Ale co potem?

Grace wyjrzała na pusty teraz korytarz. „Trzecia klasa panny Langacre”, głosił napis, przypięty do ściany nad kolekcją fantastycznie kolorowych rysunków. Koloniści z muszkietami, uśmiechnięte indyki, rdzenni Amerykanie, dźwigający kosze ziarna. Już za dwa tygodnie Święto Dziękczynienia, czas, kiedy rodziny się łączą, kiedy ludzie, którzy nie widują się często i mogą nie mieć ze sobą wiele wspólnego, biorą się za ręce wokół stołu.

Pomyślała o tym, że zostali zaproszeni do spędzenia Święta Dziękczynienia z bratem Jacka w New Rochelle i nagle zachciało jej się płakać. Z Aaronem, brokerem ubezpieczeniowym, który mówił językiem upstrzonym wtrętami jidysz i lubił się pysznić kolekcją starych judaików. I szerokobiodrą Dorą, matką ich pięciorga do niemożliwości dobrze wychowanych dzieci o wyrazistych oczach.

- Co ma pani zamiar zrobić? - zapytała Grace, czując ».  
coś bliskiego nienawiści do tej kobiety o życzliwej twarzy, która była nieszczęsnym zwiastunem dzisiejszej złej nowiny.

Skręcała paski płóciennej sakwy rzuconej na kolana w niebieskich džinsach.

- Właściwie miałam nadzieję, że pani może mieć sugestię. Jeśli istnieje jakiś problem w domu, mogłabym polecić kogoś. Znam kilku terapeutów, do których w przeszłości kierowałam uczniów - pani Ellerby pochylała się do przodu, zniżając głos. - Oczywiście, wszystko całkowicie poufne.

- Chris już chodzi do terapeuty - powiedziała Grace.  
- Teraz upłyną dwa lata.

Czuła obezwładniającą rozpacz, jak gdyby kierowała się wszystkimi znakami drogowymi tylko po to, by znaleźć się zupełnie nie tam, gdzie chciała. Dokąd powinna się teraz zwrócić? Do Wina? On twierdzi, że przy nim Chris jest innym dzieckiem, szczęśliwym, ustepliwym, rozmownym. I to jest prawda, do cholery. Widziała ich razem, widziała, jak twarz Chrisa się rozjaśnia, kiedy jego ojciec wchodzi do pokoju.

Doktor Shapiro? Robił, co mógł, sądząc po sesjach, w których uczestniczyła. Chris przynajmniej chciał z nim rozmawiać... chociaż Grace czasami nie mogła pozbyć się uczucia, że było to jak wyciąganie gwoździ z deski gołymi palcami.

- A więc... - nauczycielce zabrakło słów.

Grace wstała. - Porozmawiam z Chrisem - powiedziała z nadzieją, że wydała się pewna siebie i opanowana, podczas gdy w rzeczywistości miała uczucie, że porusza się zygakiem. - Dopilnuję, żeby to się nie powtórzyło.

Żadnej gwarancji, obie o tym wiedziały, ale co innego mogła powiedzieć?

Zabrzmiał ostatni dzwonek i kiedy Grace szła ścieżką, wciśniętą między niewielki trawnik i kamienną kaplicę Świętego Andrzeja, nagle znalazła się w tłumie. Książki i plecaki, warkoczyki i kolczyki, džinsy i podkoszulki ozdobione emblematami gwiazd rocka przeleciały z wybuchami śmiechu, krzykami, kakofonią pisków. Instynktownie obracała na wszystkie strony głowę, szukając Chrisa.

Ale Chrisa, oczywiście, nie było. Łzy napływały jej do oczu, a ręce zacisnęły się w pięści. Pod wpływem impulsu zatrzymała się przy budce telefonicznej na rogu Hudson i Christopher. Przebrnęła przez recepcjonistkę, sekretarkę i denerwującą minutę czekania, zanim Jack podniósł słuchawkę. - Grace - jego głęboki głos zdawał się ją orzeźwiać jak filiżanka herbaty, której nie zdążyła wypić w domu. - Miałem Londyn na innej linii, ale kiedy usłyszałem, że to ty...

- Jack, przykro mi, że cię niepokoję w pracy - wpadła mu w słowo. - Ale coś się stało. - Opowiedziała mu o Chrisie.

Trochę obawiała się usłyszeć go mówiącego ze zduszo-  
nym śmiechem coś w rodzaju „chłopcy zawsze będą  
chłopcami”. Tak, jak powiedziała Win. Ale niemal  
widziała, jak Jack krzywi się mówiąc: - Jezu, tylko tego  
ci teraz trzeba. Mogę w czymś pomóc?

- Jestem w drodze do domu. Jeśli go tam nie  
ma... - pozostawiła swoje najgorsze obawy nie wy-  
powiedziane.

- Słuchaj, spotkamy się u ciebie. Za dziesięć minut,  
najdalej za piętnaście, jeśli nie złapię taksówki.

- Jack, nie musisz - zaczęła, ale on już odłożył  
słuchawkę.

Jak mogłam kiedykolwiek wątpić w jego miłość?  
- zastanawiała się Grace, wybiegając na chodnik, by  
złapać taksówkę. Nawet jeśli jest zaślepiony we wszyst-  
kim, co dotyczy Hanny, a może właśnie z tego powodu,  
to najbardziej troskliwy mężczyzna, jakiego znała.

Gramoliła się z taksówki przed swoim budynkiem,  
kiedy dostrzegła go skręcającego zza rogu. Przyspieszył  
kroku, podbiegając, by ją przywitać.

- Nie musiałeś przychodzić. Ale cieszę się, że jesteś.

Oplótł ją ramionami, a ona ukryła twarz w fałdach  
jego płaszcza. Chociaż nie był zdyszany, po dwóch  
długich i trzech krótkich przecnicach, jakie musiał  
przebiec, by dotrzeć tu tak szybko, słyszała stłumione,  
głuche bicie jego serca.

- Nie martw się - powiedział jej. - Nic mu nie będzie.  
- Och, Jack, wiem, że nie ma powodu myśleć, że on nie wróci. Tylko... mam uczucie, że go tracę, że mi się wymyka.

Cofnął się i odgarnął z jej policzka zabłąkane włosy palcami ciepłymi mimo chłodnego wiatru, gnającego liście po chodniku, gdzie stali. To była jedna z tych rzeczy, które najbardziej kochała w Jacku - biło od niego ciepło jak ze staroświeckiego piecyka na drewno ustawionego w rogu przewiewnego domku.

- Wyrośnie z tego - powiedział Jack. Potem, jak gdyby zdając sobie sprawę, że to tylko gładkie pocieszenie, jakie mogłaby przeczytać w rubryce porad w popularnym piśmie kobiecym, dodał z westchnieniem: - Ale tymczasem jest ci ciężko, wiem.

- Hanna przynajmniej nie bawi się w złodziejkę.

- Czasami niemal chciałbym, żeby się bawiła. Hanna wszystko bierze tak poważnie.

- Chciałabym wierzyć, że Chris wybrał się gdzieś, żeby sprawić sobie wielką frajdę. Ale, Jack, to tak, jak gdyby on próbował mi coś powiedzieć... tylko nie wie jak. Czy to moja wina?

- Chris jest dobrym dzieckiem. - Zaduma, z jaką Jack to powiedział, wskazywała na to, że rzeczywiście tak myśli. - A ty jesteś wspaniałą matką. Nie bądź dla siebie taka surowa.

Łzy zapiekły ją w oczy. - Dzięki. Chyba potrzebowałam takich słów - zamrugła i uśmiechnęła się do niego.  
- Ale mogłeś mi to powiedzieć przez telefon.

- Czy nie lepiej usłyszeć to osobiście?

Przytaknęła. - Teraz wiem, dlaczego się w tobie zakochałam.

- Chcesz powiedzieć, że nie dla mojego ujmującego wdzięku i seksapilu? - uśmiechnął się, mrużąc swoje granatowe oczy.

- Dla tego też. Zaprosiłabym cię do środka, ale Chris powinien zjawić się lada chwila, o ile jeszcze go nie ma. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zajmę się tym sama.

Gdy to mówiła, nie mogła uwolnić się od pragnienia, by Jack odpowiedział: Grace, radziłaś sobie sama dostatecznie długo. Czas, żeby wkroczył ktoś inny.

Gdyby tylko Chris był synem jej i Jacka, byłoby naturalne, żeby on rozmawiał z chłopcem. A potem, w sypialni, oboje spokojnie rozmawialiby o tym, wspólnie przeżywając zmartwienia i starając się znaleźć rozwiązanie.

Jednak Jack powiedział tylko: - Dobry pomysł.

Zalała ją fala samotności. Nagle i zupełnie niewytłumaczalnie poczuła się porzucona. Ale to było głupie. Jack oderwał się od pracy, by przybiec jej na pomoc. Ilu mężczyzn by to zrobiło? Czego jeszcze w granicach rozsądku mogłaby się spodziewać? Zresztą Chris raczej posłuchałby ulicznego głosiciela Ewangelii niż rady Jacka.

- Nadal jesteśmy umówieni na kolację? - zapytał Jack. Skinęła głową z roztargnieniem.

- A może spotkalibyśmy się po pracy, żeby wstąpić do Balducciego i kupić parę rzeczy? Żeby oszczędzić ci prób gotowania - dodał z szatańską miną.

- Nieźle to brzmi - Grace próbowała zdobyć się na entuzjazm, którego nie czuła. - Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę z zakupów z Lila.

Dziwne, że jadąc windą na poddasze, Grace czuła się gorzej niż przed spotkaniem z Jackiem. Ale gdy otworzyła drzwi swojego mieszkania, przywitał ją pulsujący rytm stereo Chrisa. Fala ulgi spadła na nią z taką siłą, aż ugięły się pod nią nogi.

Znalazła go w jego pokoju, leżącego na łóżku, z ręką na oczach, jak gdyby nawet anemiczne światło spomiedzy brzegów zasuniętych zasłon to było za dużo. Przechodząc nad stosem zmiętych ubrań, porozrzucanymi kasetami i talerzem usianym okruchami kanapki, gwałtownie ściszyła magnetofon.

Hałas ustał z zamierającym biadoleniem, a Chris zerwał się jak ukłuty szpilką. - Hej!

Grace usiadła na jego łóżku. W uszach jej szumiało,

serce waliło głucho z gniewu. Otworzyła usta, żeby mu nagadać, ale coś ją powstrzymało. Jak gdyby wyszła z siebie i jej miłsza, mądrzejsza bliźniaczka wzięła górę. Wzięła głęboki oddech. - Chris - powiedziała łagodnie.

- Chodźmy. Weź kurtkę.

- Dokąd? - oczy mu się zwięzły.

- W miasto.

- Mamo, mam pracę domową - zaprotestował.

Chciała skomentować, że pracę domową mają ci, którzy byli w szkole, ale udało jej się, choć nie bez trudu, nie otworzyć ust.

- Później ci pomogę. No chodź, taki piękny dzień, szkoda go zmarnować.

Popatrzył na nią, jak gdyby straciła rozum. - A co z tobą? Jak to się dzieje, że nie pracujesz?

Czy taką widzi ją Chris? Zawsze zbyt zajęta, by spędzać z nim czas? A teraz, przy Jacku, jeszcze bardziej nieosiągalną?

Grace poczuła ukłucie, jak gdyby w jej ciało wbijała się igła strzykawki wypełnionej czymś silniejszym niż jakikolwiek narkotyk: prawdą.

- Ależ ja pracuję - powiedziała mu, usiłując ściągnąć jego bezwładne ciało z łóżka. - Jeśli nie nazywasz holowania czterdziestu ośmiu kilo martwej wagi pracą, to co nią jest?

Chris zdobył się na nikły uśmiech. Przerzucił nogi przez krawędź materaca i jego trampki wylądowały z głuchym uderzeniem na zdartej podłodze koło łóżka.

- Czy to ma coś wspólnego z Jackiem? - na jego bladej, szczupłej twarzy zaświtało podejrzenie.

- Jakim Jackiem?

- Mamo, oprzytomniej.

- Jestem przytomna. Jesteś jedynym mężczyzną, z którym chcę spędzić popołudnie - nie musiała mu mówić, że Jack przyjdzie dziś na kolację, miała na to jeszcze całe godziny.

- Zachowujesz się głupkowato. Dokąd idziemy? - Wydało jej się, że właśnie zaświtało mu w głowie, iż jej



nieoczekiwane zachowanie może mieć coś wspólnego! z opuszczeniem przez niego lekcji, gdyż zobaczyła mgły rumieniec, smugi koloru, strzelające w górę od kolanierzyka jego niebieskiego swetra.

Grace wzięła jego bezwładną dłoń w swoją i uściśnęła. Jego szaroniebieskie oczy przyglądały się jej z nowym wyrazem, wyrazem zmęczenia, zmieszanego z tęsknotą.

- Do cyrku - powiedziała mu.

## O

Grace, utrzymująca równowagę na wąskim stalowym pomoście wysoko nad areną cyrku, myślała o uwięzionych w Chinach pisarzach, dla których zbierali pieniądze podczas tego benefisu i zastanawiała się, czy nie byłoby mądrzej dać po prostu dużą sumę. Ale w tej chwili drżała tak mocno, że nie mogłaby wypisać czeku, nawet gdyby próbowała.

Spoglądając w dół, zaledwie mogła dostrzec smukłą, atletyczną sylwetkę, opadającą na siedzenie obok Chrisa w pierwszym rzędzie. Nawet z tej odległości poznała swobodną elegancję, z jaką usiadł, i światło lśniące w strzesze jego złotych włosów. Win. A co on tutaj robi? Jakim cudem się dowiedział o tej próbie generalnej?

Jej zdenerwowanie występem na trapezie zbladło, kiedy opanował ją inny niepokój. Czego on chce? I dlaczego, kiedy mógł po prostu podnieść słuchawkę telefonu, by się z nią skontaktować, zadał sobie trud przyjechania do śródmieścia, do Lincoln Center? I to w powszedni dzień, kiedy zawsze był zavalony spotkaniami, pojawianiem się w sądzie, podsumowaniami, oświadczeniami, dosłownie każdą minutę miał wypełnioną pracą.

Musiało chodzić o Chrisa - Win zamierzał ją namówić, by pozwoliła Chrisowi spędzić z nim Boże Narodzenie.

Czuła, że jej oddech staje się urywany, że wzbiera w niej gniew. Chris spędził ostatnie Boże Narodzenie ze

swym tatą i dziadkami w Macon. W tym roku jej kolej. Oczywiście przeprosi, stwierdzi, że nie chciał niczego zepsuć, niewiniątko. Jakie to typowe dla niego. To człowiek, który nigdy nie miał złych zamiarów, nigdy nie zdawał sobie sprawy, że kogoś skrzywdził.

Jak w maju zeszłego roku, kiedy powiedziała mu, że daje Chrisowi na urodziny deskorolkę, a Win wyszedł i kupił mu ten przeklęty rower. Oczywiście, jak tylko wzrok Chrisa padł na to чудо z dziesięcioma przerzutkami, ledwie spojrzął na deskorolkę.

Do diabła z Winem, pomyślała.

Grace oderwała wzrok od swego byłego męża i wzmochnęła uścisk na drążku trapezu. Win, Chris - wszystko to rozplynęło się, gdy wzięła głęboki oddech i przygotowywała się do lotu, z bijącym sercem i mięśniami ramion i nóg tak napiętymi, że niemal odrętwiałymi. Chociaż ćwiczyła ten ruch dziesiątki razy, czuła, że jej pachy, całe jej ciało, panika oblewa lepkiem potem. Ale niech ją diabli, jeśli pozwoli, by Win zobaczył, jaka jest przestraszona.

Lekko skinęła głową Emiliowi, który stał pewnie na pomoście po przeciwnej stronie, obok swego brata - obaj tak smagli i owłosieni, że mogliby być bliźniakami. Potem odbiła się czubkami palców obutych w baletki stóp.

Było to tak, jak gdyby wystrzelono ją z procy na słońce... oślepiające reflektory pospieszyły ku niej, siatka w dole była falującym południkiem. Zdawało się, że w najwyższym punkcie łuku, zakreślonego przez jej pikujące ciało, zatrzymała się w powietrzu, zawieszona na jedną zapierającą dech chwilę, zanim Emilio, zwisając na kolanach z drążka trapezu, sięgnął w górę, by schwytać w uścisk jej kostki.

A potem z głową w dole frunęła z powrotem, tylko te ręce, obejmujące jej kostki jak stalowe kajdany, zabezpieczały ją przed upadkiem. Krew chlusnęła jej do twarzy z nagłością ostrego policzka, poczuła, jak kręgosłup jej się zwęży pod wpływem ostrego szarpnięcia siły ciężenia,

jak końce włosów kłują ją w policzki. Gęsty, spieniony odór zwierzęcego łajna i trocin podniósł się ku niej jak przypływ.

Potem druga para przypominających imadła rąk chwyciła ją i podtrzymała, kiedy wylądowała na przeciwnym pomoście.

Grace poczuła gorące światła na karku i spojrzała w dół, na siatkę, zawieszoną nie więcej niż trzy metry nad areną. Czy naprawdę utrzymałaby ją, gdyby spadła? I dlaczego przyszło jej do głowy, że łatwość, z jaką wywracała koziołki, wirowała i skakała jako gimnastyczka w szkole średniej i college'u, nie opuści ją w wieku średnim?

Naraz poczuła każdy dzień swoich trzydziestu siedmiu lat. Nogi się pod nią ugięły. Maleńkie, białe robaczki świętojańskie zaroily się na obrzeżach jej pola widzenia. Chwyciła się kurczowo brata Emilia, Ramona, który wydawał się rozluźniony jak kot.

- Tym razem o wiele lepiej - powiedział jej. - Nie tak... jak drewno. - Prawą ręką zrobił szybki gest zamierzania się siekierą, potem uśmiechnął się tak ośniewająco, że zobaczyła światła reflektorów, lśniące na nieskazitelnej bieli jego zębów.

Powędrowała spojrzeniem w dół, by zobaczyć, czy Win nadal ją obserwuje.

Obserwował. Wyciągnięty wygodnie w pierwszym rzędzie, wspierając drogi mokasyn z cielejącej skóry o kolano drugiej nogi, uśmiechał się, jak gdyby myśl, że może zdarzyć się coś złego, była mu jak najdalsza. To był cały Win. Phi Beta, kapitan drużyny w Harvardzie, pierwsza dziesiątka najlepszych absolwentów prawa w Columbii, wspólnik w firmie Horowith, Aikens i Fine po zaledwie pięciu latach. Oczekiwał, że będą mu się przytrafiały tylko dobre rzeczy i rzadko bywał rozczarowany.

Może on ją naprawdę kochał? Na tyle, na ile był zdolny do miłości. A niezależnie od wszystkiego ona kochała go na pewno - ślepo, naiwnie, głupio wierząc, że nigdy jej nie skrzywdzi.

Ale to wszystko to już historia starożytna, powiedziała sobie stanowczo.

Z platformy pionowo w dół opadała drabina, po której Grace schodziła teraz tyłem, z łatwością odnajdując szczeble stopami. Pod nią ekipa robotników składała jakąś skomplikowaną huśtawkę, a odgłosy wiertel elektrycznych i kucia unosiły się w wielkiej, osłoniętej namiotem przestrzeni. Kątem oka dojrzała starszego, mocno zbudowanego mężczyznę w zmiętym szarym dresie, rozpaczliwie próbującego utrzymać równowagę na rozkołysanej huśtawce. Norman Mailer? Odwróciła się i pomachała mu ręką, czując ulgę, że nie jest jedyną pisarką dostatecznie szaloną, by wychodzić z siebie w imię Pen-Clubu.

Parę chwil później, szczęśliwie stojąc nogami na ziemi, znalazła otwór w niskiej drewnianej barierce, która otaczała arenę, i podeszła do Wina. - Cześć! Co ty tutaj robisz? - przywitała go, czując dziwne oszołomienie, trochę podobne do zawrotu głowy, jakiego doznała wysoko na trapezie.

Jej były mąż wstał, by ją powitać. Z niepewnym uśmiechem na ustach wyglądał na niewiele starszego niż Chris - jasnowłosy chłopiec, mający nadzieję wyklócić się u nauczyciela o szczególny przywilej. Nawet wyglądał jak student - szare wełniane spodnie, nakrochmalona koszula, rozpięta przy kołnierzyku, marynarka z Fair Isle w subtelnym, zachodzących na siebie odcieniach niebieskiego.

- Natrafiłem na twoje nazwisko w „Timesie” na liście luminarzy, występujących w benefisie Pen-Clubu. Kiedy zadzwoniłem, ktoś powiedział mi o tej próbie generalnej - uśmiechnął się. - Nie chciałem przepuścić sposobności zobaczenia cię w akcji.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś tutaj ze względu na Chrisa? Myślałam... - rozejrzała się wokół i odkryła, że jej syna nigdzie nie widać. - Gdzie jest Chris?

- Powiedział, że chce zerknąć za kulisy, ale myślę, że chodziło mu o to, by dać nam trochę czasu sam na sam. Masz wolną chwilę? - głos Wina, z lekkimi południowymi alikwotami uspokajał ją jak znana

melodia... a zarazem niepokoił, gdyż zawsze zdawał się więcej obiecywać niż Win - co dobrze wiedziała - jest w stanie dotrzymać.

Zawahała się, tylko tyle, by wiedział, iż jego życzenie niekoniecznie jest dla niej rozkazem, po czym powiedziała: - Pewnie. Pozwól tylko, że narzucę coś na siebie.

- Masz - ściągnął z poręczy siedzenia grafitowy blezer z kaszmiru i podał jej z lekkim wzruszeniem ramion, które bez wątpienia miało ją rozbroić.

Grace zawahała się, nie chcąc go wziąć. Ale czy nie sprawiałoby to wrażenia, że jej zależy?

Szyty na zamówienie, na metr osiemdziesiąt wzrostu, sięgał jej do połowy ud i pachniał przymilnie kosmetykami Old Spice, których Win używał, odkąd oboje byli w college'u. Dla jakiegoś powodu była niewyraźnie zirytowana jego grzecznością i tym, że jego oczy ciągle zatrzymywały się tuż nad jej obojczykiem. Przypuszczała, że za bardzo był dżentelmenem, by gapić się na jej prawie zupełną nagość. Czy też jej ciało straciło dla niego całą siłę przyciągania?

Niech go diabli! Czyż byli mężowie nie powinni być draniami? Cóż, on na pewno jest... tylko że dobrze wychowanym draniem.

- Słuchaj, jeśli chodzi o Boże Narodzenie - wypaliła - to sądzę, że nie powinienesz być robić planów przed rozmową ze mną.

- Chris ci o tym powiedział? - Win przesunął ręką po włosach, gęstych, koloru starego złota, jak gdyby całe lato spędził na jachcie.

Grace ogarnęło dziwne pragnienie... tylko nie mogła się zdecydować, czy chce być z Winem, czy po prostu być nim - wiecznie młodym, złotym i zaklętym. Aż trudno było mieć mu za złe łątwość, z jaką uchylał się teraz przed jej pytaniem.

- Naprawdę mi przykro, Grace. To nie było nic sprecyzowanego. Po prostu rozmawialiśmy o tym, to wszystko. Myślałem, że dałem mu wyraźnie do zro-

zumienia, że najpierw muszę pomówić z tobą - rzucił jej ten ujmujący chłopięcy półuśmiech, od którego kiedyś topniało jej serce.

- Myślę, że chciał mi odpłacić pięknym za nadobne - westchnęła, opuszczając gardę o centymetr czy dwa.  
- Bóg jeden wie, za co. Ostatnimi dniami tylko patrzę na niego i głaszczę pod włos.

- Chyba wiem, co chcesz powiedzieć - rzekł Win z krzywym uśmiechem.

Ale on, do cholery, nie wiedział... Podobnie jak w czasach, gdy brali ślub, był tak nonszalancki, jeśli chodziło o dotrzymywanie przyrzeczenia, jak gdyby zasady i konwencje go nie dotyczyły.

W jednej chwili wszystko powróciło. Konferencja pisarzy przed dwoma laty w Nowym Orleanie. Tak jej było pilno wrócić do odmu, do Wina i Chrisa, że złapała wcześniejszy lot powrotny na La Guardię, zwiewając z bankietu na wydziale Paula Prudhomme'a. Nawet nie pomyślała o tym, by zadzwonić do Wina i zawiadomić go, że jest w drodze.

Wciśnięta we wgniezione siedzenie taksówki, pełnącej po Long Island Expressway, myślała tylko o tym, jak bardzo potrzebuje Wina i jak wszystkie te idiotyzmy, o które kłócili się ostatnio - o to, że on w ostatniej chwili wystawiał ją do wiatru, skarżąc się na zbyt wiele pracy w biurze i pozostawiając ją z wolnym biletem albo odwołaną rezerwacją na kolację, nie były tak naprawdę ważne. Jakoś to rozwiąza, wyjadą na długie wakacje, zasięgną porady czy coś takiego.

A potem w domu, pędem trzy kondygnacje w górę zamiast czekania, aż pokaże się winda, która, jak wszystko w ich przedwojennym domu w Central Park West, miała skłonności do awarii. Komuś innemu mogłaby się wydać zabawna jak z farsy Feydeau tamta scena, gdy wpadła do środka, bez tchu, wykrzykując: „Win! Chris! Gdzie się wszyscy podzieli?”... a Win ukazał się w drzwiach ich sypialni, szary na twarzy, zapamiętałe owijając się płaszczem kąpielowym, wyjąkując wymuszone powitanie.

Trwało chwilę, zanim ją poraziło. Pamiętała, że nawet kiedy całkiem wyraźnie zobaczyła przez uchylone drzwi sypialni burzę jasnych włosów, białe majtki, ubranie, zarzucone na białe nogi, całkiem spokojnie pomyślała: „Jeszcze strasznie wcześnie jak na to, żeby był w łóżku. Przecież nawet nie ma dziewiątej. Musi być wykończony tą sprawą Hashimoto...”

Wtedy nagle pomyślała: Nancy. Nie można się było pomylić co do kobiety, którą ledwie dojrzała przez drzwi sypialni. Jej kochana przyjaciółka, Nancy Jerace, żona Sama Jerace'a, ich sąsiada drzwi w drzwi z dawnych czasów, kiedy ona i Win mieszkali w tym strasznym pięciopiętrowym domu bez windy przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej. Nancy była starościną na jej weselu, ku wielkiej irytacji Sissy; Grace i Win zostali rodzicami chrzestnymi Jessa, pierworodnego Nancy i Sama. I co sierpień od narodzin Chrisa wynajmowali ten sam dom na plaży, wspólnie *zajmując się dziećmi*, piorąc jedni drugim zapiaszczone ubrania, jeżdżąc na zmianę rowerami na targ...

Ból runął na nią z hukiem. Gwałtowny, niemiłosierny, zwałił jej się na głowę, na pierś, tak że musiała przytrzymać się stołu, by nie stracić równowagi. O Boże... o Boże... o Boże...

Jakaś dziewczynę na jedną noc byłaby zdolna przebaczyć. Krótki romans z jedną z długonogich, wąskich w biodrach sekretarek, które zdawały się zaludniać biura Wina. Ale Nancy? Naraz uderzyła ją potworność tego, pokrętne kłamstwa, piętzące się jedno na drugim od miesięcy, może od lat.

Wszystko, co wówczas ledwie warte były komentarza, nagle nabrało znaczenia. Sposób, w jaki Nancy przy rozmowie z Winem opierała rękę na jego ramieniu. To, że zawsze najgłośniejszą się śmiała, kiedy Win *opowiadał* dowcip. I tamta kolacja, kiedy tak bardzo zadbała o to, by powiedzieć Grace, żeby się nie wstroiła, a potem powitała ich w drzwiach w sarongu z bursztynowego jedwabiu, który doskonale pasował

do jej oczu i jasnych włosów, upiętych na czubku głowy w węzeł, z którego wysypywały się loczki na jej elegancką, długą szyję.

Ale to nie tylko Nancy. W tym wszystkim musiał mieć coś do powiedzenia Win.

Grace wyrwał z zamyślenia nagły wrzask koguta, który z niemiłosiernym wrzaskiem wzbił się w powietrze, ścigany przez clowna w czerwonej peruce. Wzięła głęboki oddech, wyobrażając sobie balon, wypełniony nieruchomym, wonnym powietrzem. Zmuszała się do tego, by pozostać doskonale uprzejma, nawet wesoła.

- Biedny Chris... Prawdopodobnie byłby szczęśliwszy z mamą, która siedzi w domu i piecze ciasteczka, a nie z taką, która huśta się na trapezie - powiedziała ze śmiechem.

- Byłaś cudowna tam, w górze - powiedział Win. - To mi przypomina mityngi gimnastyczne, w których brałaś udział tam, w Wellesley. Zawsze, kiedy na ciebie patrzyłem, to się wydawało takie łatwe.

- To, co pamiętam, to skęcone kostki i naciągnięte mięśnie.

- Nie mów mi, że nie sprawia ci to przyjemności - roześmiał się. - Znam cię. Nie jesteś szczęśliwa, dopóki nie znajdziesz się na krawędzi.

Ale ona nie chciała rozmawiać z Winem o dawnych czasach... czy o tym, co ją uszczęśliwiało lub nie.

Spojrzała na zegarek. - Słuchaj, Win, trochę się spieszę. Miałam zamiar narzucić coś na siebie; potem Chris i ja spotykamy się z Lilą. Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać?

- Prawdę mówiąc, tak. - Skinął głową w kierunku dwóch siedzeń, które jeszcze kilka minut temu zajmowali we dwóch z Chrisem. - Możemy usiąść? To zajmie tylko minutę. Chodzi o twoją matkę.

- O matkę?

Grace raptownie opadła na najbliższe siedzenie, patrząc, jak żółta plastikowa obręcz, która wymknęła się jednemu z treserów, przytoczyła się do bariery



i zatrzymała przed nią. Pisarz, w którym rozpoznała I Rogera Younga, kasowego autora technothrillerów, rzucił się za obręczą i zreżnie zahaczył ją o jeden palec, I Przypomniała sobie, jak Jack jej opowiadał o wielkopańskich wymaganiach Younga, nie cierpianego przez cały zespół Cadogana, z wyjątkiem Bena, który był redaktorem Younga.

- Rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu - cicho zabrzmiał głos Wina. - Grace, ona jest naprawdę zdenerwowana tą książką. Nigdy nie słyszałem jej takiej... Cóż, po raz pierwszy widziałem, że dała się zaskoczyć. Rozmawiała z tobą o tym?

- Właściwie nie. - Grace próbowała sobie przypomnieć, co zostało powiedziane w jej ostatniej rozmowie z matką. - Opowiedziała mi o draperiach, dla których kazała wymierzyć salon... i, och tak, coś o szpitalu. Jakaś nowa część wyposażenia radiologicznego dla skrzydła dziecięcego w Hilldale, którą była bardzo podekscytowana.

- Nic o książce?

- To był jedyny powód, dla którego ja zadzwoniłam, żeby jej powiedzieć, co robię i dlaczego, ale ona mi po prostu przerwała. Powiedziała, że byłoby miło, gdyby tatusiowa córeczka pamiętała o tym, że ludzie przeczytają książkę i uwierzą w każdy nonsens. I na wypadek, gdyby trzeba mi było o tym przypomnieć, zły gust to zły gust, tak samo w przypadku słowa pisanego, jak i każdym innym.

- Rozumiem - Win wyglądał na trochę skrępowanego, nawet zażenowanego. - No cóż, obawiam się, że to może być poważniejsze niż ona ci zdradziła. Poprosiła mnie o poradę... poradę prawną. Grace, jeśli będziesz to ciągnąć, twoja matka zamierza wystąpić o nakaz wstrzymania publikacji.

Grace nagle poczuła się zdezorientowana. O czym Win mówi? Wiedział, co się naprawdę stało z tatą i Nedom Emorym. Sama mu to powiedziała dawno temu, wkrótce po ślubie. Czyżby było tak, że nigdy jej nie uwierzył...

a matka z biegiem lat jakimś cudem przekonała samą siebie, że wypadek nigdy się nie zdarzył?

- Nie może! - Grace zerwała się z siedzenia.

- To są Stany Zjednoczone, Grace - złapał ją za nadgarstek i pociągnął z powrotem w dół; palce miał ciepłe i dziwnie kojące. - Każdy może się procesować z każdym o wszystko... i w dzisiejszych czasach na ogół to robi.

- O Boże, powinnam była wiedzieć - podciągnęła kolana, opierając obute stopy na krawędzi krzesła.

- Szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczony, że nie wzięłaś pod uwagę uczuć twojej matki, kiedy zabrałaś się za tę książkę - miękkość tonu łagodziła brutalną szczerść jego słów.

- Nieważne, co ja napisałam. Ona nigdy naprawdę nie przebaczyła mi tego, kim jestem. Według niej tylko raz postąpiłam właściwie, kiedy wyszłam za ciebie za męża. I popatrz, czym to się skończyło.

Kiedy się rozwodzili, jej matka była nieugięta. „On cię kocha - przekonywała. - Zapewnił mnie, że z tą kobietą to nigdy nie było nic poważnego.” W końcu matka ją skrzyczała, a właściwie zwymyślała, jak dwuletnią gówniarę w napadzie złości. A Grace też puściły nerwy i wykrzyczała matce w twarz, że sama powinna wyjść za Wina, jeśli sądzi, że jest taki cudowny.

- Ja w dalszym ciągu uważam, że nie myliła się, jeśli chodzi nas - powiedział Win, a w jego uśmiechu była więcej niż odrobina tęsknoty.

- Przypuszczam, że jesteś po jej stronie - szukała w jego twarzy potwierdzenia. - Win, to szaleństwo. Wiesz, że mówię prawdę.

- Wiem, że wierzysz, iż widziałaś - szaroniebieskie oczy Wina były czyste i rozwścieczająco szczerze.

- Innymi słowy, wyobraziłam sobie to wszystko - powiedziała bezbarwnie.

- Nie powiedziałem tego.

- Nie musiałeś.

Win westchnął, a ona nagle znów poczuła się jak

dziewięciolatka. - Grace, nie przyszedłem tutaj kłócić się z tobą. Naprawdę.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała, obejmując tułów ramionami, aby powstrzymać drżenie, ogarniające ją od kości ogonowej.

- Zrobić? Nic. Oczywiście, podałem jej nazwisko innego prawnika.

- Dlaczego?

Teraz on wyglądał na zaskoczonego i urażonego.  
- Powiedziałbym, że to dość oczywiste, czyż nie?

- Win, przecież gdybyś zgodził się ją reprezentować, istniałaby pewna szansa, że mógłbyś zapobiec... no cóż... by nie posunęła się za daleko... - Grace czuła, że jej serce zwalnia bicie, gdy borykała się ze znalezieniem rozwiązania. - Jeśli o nią chodzi, nie możesz zrobić niczego złego. Potrafiłbyś ją przekonać, że czerwone światło oznacza „droga wolna”.

Win potrząsnął głową. - Nie chcę jej widzieć skrzywdzonej. Nie chcę widzieć skrzywdzonej przez to żadnej z was.

Gdyby tak bardzo zależało ci na moich uczuciach, czy nie zastanowiłbyś się dobrze, zanim wskoczyłeś z Nancy do łóżka? Nie po prostu z jakąś kobietą, ale z Nancy? Z moją najbliższą przyjaciółką, której pewnego razu zwierzyła się na przyjęciu, kiedy trochę za dużo wypijała, że nie ma majtek pod sukienką. Win to lubi, szepnęła Grace. Podnieca go ta świadomość.

Czy tamtej nocy Nancy miała na sobie majtki? A dla Wina... czy był to tylko seks, czy też rzeczywiście kochał Nancy? Och, Win... Winston Conover Bishop. Poznała go podczas spotkania towarzyskiego Kappa Alpha, kiedy oboje byli studentami pierwszego roku, ona w Wellesley, on w Harvardzie. Jakoś nie była szczególnie zaskoczona, kiedy się dowiedziała, że wychował się w Macon, o rzut kamieniem od Blessing - nosił nazwisko typowe dla Południa.

Łączyło ich wiele - oboje kochali Faulknera, pogardzali Nixonem i znajdowali rozkosz we wszystkim, co

więzało się z pobytem na świeżym powietrzu. Przypadek chciał, że ich matki były absolwentkami Uniwersytetu George'a Washingtona. To prawie tak, jak gdyby mieli wspólne drzewo genealogiczne, a także tradycje.

Myślała o Bożych Narodzeniach po ich ślubie, jak co roku w grudniu jeździli do Brewster, na leśną farmę, gdzie przeczesywali rzędy świerków, jodeł i sosen w poszukiwaniu jednego doskonałego drzewka. I przyjęcia, i ten głupi krawat ze Świętym Mikołajem, który dała Winowi i który on rzeczywiście nosił; coroczne kolędowanie po całym budynku ze słynnym grzany piwem z żółtkiem. I wigilia, kiedy zapakowali swego uśpionego syna w kombinezon na pasterkę u Świętego Patryka, a potem klęczała obok Wina w tej wspaniałej przestrzeni, przy muzyce spływającej na nich z chóru, czując ciepły ciężar ich małego synka przy piersi...

Przestań, rozkazała sobie. Jaki sens ma rozgrzebywanie przeszłości?

- Słuchaj, nie mniej niż matka chcę, żeby ta sprawa nie była rozdmuchiwana - powiedziała, wracając do terażniejszości. - Tak się tylko składa, że niezupełnie zgadzamy się, co z tym zrobić.

- Ależ, Grace! To, co robisz, może być całkowicie zgodne z etyką dziennikarską... ale w tym przypadku pył radioaktywny nie opadnie na jakąś wyspę na środku Pacyfiku - utkwił w niej to swoje niepokojące spojrzenie.

- Muszę to wiedzieć, zanim zgodzę się rozważyć moje zaangażowanie. Czy możesz mi uczciwie powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z chęcią odpłacenia twojej matce pięknym za nadobne?

- Za co? Czy wy oboje myślicie, że ja mam do niej jakąś urazę? Win, niczego takiego nie ma między matką i mną. My po prostu nie... my nie patrzymy tymi samymi oczyma na większość rzeczy, to wszystko. Ale ona nadal jest moją matką. Nigdy nie skrzywdziłabym jej umyślnie.

- Może należałoby ją o tym przekonać.

Grace czuła napływające łzy. - Ty naprawdę jesteś po jej stronie! - wykrzyknęła, ocierając nos grzbietem dłoni.

- Przykro mi, Grace. Nie chciałem cię zdenerwować.  
- Win zaoferował jej swoją chusteczkę, ale ona gwałtownie potrząsnęła głową, odpychając jego rękę.

Zamrugała i zobaczyła zbyt szczupłego chłopca o wklęsłej piersi, przepychającego się ku nim przez gęszcz krzeseł. Z oddali byłaby zdolna wmówić sobie, że on jest synem kogoś innego - sposób, w jaki szedł tak ostrożnie na palcach, jak gdyby obawiał się zbyttnio zwrócić na siebie uwagę; sposób, w jaki trzymał głowę opuszczoną tak, że jedwabiste brązowe włosy zakrywały mu większość twarzy. Serce jej zamarło.

- Chris! - zawołała.

Wrósł w ziemię kilka metrów od nich, jego spojrzenie przeskakiwało od niej do Wina, nadając zwykle nieprzeniknionej twarzy dziwną czujność. Uniósł nieco ramię i pomachał nim słabo. - Hej, przepraszam, jeśli musieliście na mnie czekać.

- Chodź tutaj, stary - Win wstał i zrobił krok do przodu. Objął Chrisa ramieniem i przyciągnął do siebie z całych sił. Chris rozpromienił się, a Grace serce się skurczyło z zawiści. Win uśmiechnął się i powiedział:  
- Słyszałem, że się wybieracie z mamą po zakupy.

Uśmiech Chrisa zbladł. Spojrzał w dół na swoje stopy i mruknął: - Taak, chyba tak.

- To niedobrze. Miałem nadzieję, że coś razem przegryziemy, a potem może wyskoczymy na wczesny seans do kina.

Chris popatrzył na Grace z niemą prośbą, a ona nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nią manipulują, chociaż mogło to nie być zamierzone. Teraz jeszcze raz doszło do dystygowanych zawodów w przeciąganiu liny między Winem a nią, z Chrisem pośrodku.

- Mamo... - zaczął Chris.

- Żaden problem, innym razem - szybko wkroczył Win, by uratować Grace przed koniecznością przyjęcia roli surowej matki. - Nadal jesteśmy umówieni na weekend?

- Pewnie, tato.

- Lepiej, żeby tak było. Mam kort tenisowy cały zarezerwowany dla nas - zamachnął się niewidzialną rakieta. - Jesteś gotów roznieść twojego starego?

Chris podniósł wzrok, jeszcze raz uśmiechając się do ojca z otwartością i akceptacją, które przyprawiły Grace o ból z zazdrosnej tęsknoty.

„Gdzie jest mój duży mężczyzna?” - wykrzykiwał Win, wracając do domu z pracy. A pięcioletni Chris pędził jak mały pocisk, uderzał o Wina i owijał ramiona wokół jego kolan. A potem, kiedy Wina przydzielono do bankructwa PanAm i jego godziny pracy przeciągały się w nieskończoność, Chris czekał, nie śpiąc, na odgłos jego klucza w zamku. Nawet teraz wydawało się czasami, że Chris leży w oczekiwaniu, wyczekując na dźwięk uchylania drzwi, które jednak nie miały zamiaru się otworzyć, nasłuchując odgłosu kroków, przechodzących przez inne drzwi na drugim końcu miasta.

Nie było winą Wina, że Chris go uwielbia. Win przynajmniej jest rozsądny. Znała go wystarczająco dobrze, by przewidzieć, że nie będzie bitwy z powodu jej planów spędzenia Bożego Narodzenia w Berkshires - z Jackiem i Hanną.

- Zadzwoń do mnie? - spytała Wina.

Win przytaknął. - Jak tylko porozmawiam z twoją matką.

Grace poczuła, że sztywnieje. - Co masz zamiar jej powiedzieć?

Win zawahał się, a potem powiedział: - Że jako jej prawnik radziłbym jej, żeby spróbowała znaleźć z tobą jakieś wyjście zanim podejmie inne działania.

- Win? - powiedziała cicho, gdy odwrócił się, by odejść. - Dzięki.

- Od czego są przyjaciele? - jego oczy były łagodne, pełne żalu... i czegoś jeszcze. Tęsknoty? Zastanawiała się, czy jego angażowanie się w tę sprawę z jej matką rzeczywiście okaże się w końcu takim dobrym pomysłem.

Win był w połowie drogi do wyjścia, gdy Grace odwróciła się do syna. - Idź - powiedziała, kładąc rękę

między wystającymi łopatkami Chrisa i popychając go I lekko. - Wiesz, jakie stajemy się z Lila, kiedy tylko zaczynamy gadać. Zanudziłbyś się chyba na śmierć, Powiedz tylko twojemu tacie, żeby nie zatrzymywał cię zbyt długo.

Patrzyła, jak Chris biegnie i dogania ojca, a Wn z zachwytem obejmuje ramieniem syna. Nagle ogarnęła ją bolesna nostalgia za dniami, kiedy byli rodziną, kompletną i nie tkniętą przez wszystko to, co się wydarzyło.

Była zaskoczona odkryciem, że w jej piersi, gdzie chwilę przedtem nie było nic prócz popiołów, gorzeje iskra, zmuszająca ją do biegu, szybkiego biegu, w jakimkolwiek kierunku, byle tylko jak najdalej od Wina.

## ROZDZIAŁ 6

W dziale młodzieżowym u Saksa, gdy razem z Lila przedzierały się przez pokłady spranych kwasem dzinsów, wielkich podkoszulków i nabijanych kryształami drelichowych kurtek, Grace pomyślała: A cóż to za różnica, co kupię Hannie? Nie będzie mogła tego znieść tak samo jak nie będzie mogła znieść tego, że próbuje ją zdobyć.

Co się kupuje szesnastoletniej jędzy na Chanukę, jeśli samemu nawet się nie obchodzi Chanuki? Komplet noży? Piłę? Bilet w jedną stronę do Botswany?

- Jak myślisz... zielona czy niebieska? - Lila podniosła do góry takie same bluzki w dwóch kolorach.

- Szczerze? - zapytała Grace.

- Czy ja wyglądam na osobę, która chce, by ją okłamywano? Oczywiście z wyjątkiem facetów, którzy

śmiertelnie boją się zaangażować, ale muszą udawać, że chcą się ożenić, żeby móc ze mną sypiać. Jeśli taki jest dostatecznie przystojny, uwierzyłabym, nawet gdyby mi powiedział, że papież jest Żydem. No więc?

Grace roześmiała się. - W takim razie... żadna.

Oba kolory kłóciły się z włosami Lili barwy błysku nuklearnego, sterczącymi w pięciocentymetrowych kokach uformowanych przy pomocy pianki na całej głowie. Metryka Lili mogła zdradzić jej trzydzieści sześć lat, ale w swoich czarnych rajstopach i kowbojskich butach, w skórzanej kurtce lotniczej, narzuconej na jedwabne zielonkawożółte body, i czarnej minispódnicy z dżerseju wyglądała jak osoba, która wszystkie zakupy robi w dziale młodzieżowym. Tylko kiedy spojrzano się uważniej, można było dostrzec zmarszczki wokół oczu i ust, prawie tak samo niewykrywalne jak oprószka z psiej sierści, która pokrywała ją od szyi w dół.

Lila Nyland, ostrzyżona na punka psia fryzjerka gwiazd. Grace uśmiechnęła się do siebie, myśląc o salonie fryzjerskim dla psów swojej najlepszej przyjaciółki przy Perry Street. Jakimś sposobem stał się modny... wielu aktorów, muzyków, ludzi ze świata mody chodziło tam, częściowo dlatego, podejrzewała Grace, że Lila o wiele bardziej dbała o psy niż o to, kto znajdował się na drugim końcu smyczy.

Grace widziała, jak Lila chwyta warczącego dobermana, pokazuje mu dłońmi, kto tu jest szefem, potem uspokaja go, przemawiając do niego czule, aż zaczynał lizać ją po twarzy, łagodny jak szczenię. Tak samo postępowała również z ludźmi - szarpała za łańcuch, ale jednocześnie oddawała swoją ostatnią koszulę.

Grace poznała Lilę dziesięć lat temu, kiedy przyprowadziła swojego collie, Harleya, do strzyżenia. Lila zauważyła, że Grace kicha i zobaczyła, jakie ma zaczerwienione i podpuchnięte oczy. „Katar sienny” - wyjaśniła Grace. Lila potrząsnęła głową i wskazała palcem



Harleya. Okazało się, że Lila miała rację. Grace była uczulona na psy. I czyż Lila nie udowodniła, że jest aniołem miłosierdzia, zatrzymując Harleya u siebie, bez żadnej opłaty, aż wszystkie testy alergiczne zostały przeprowadzone i nadeszły wyniki? A potem, kiedy Grace dręczyła się pytaniem, co zrobić z psem, Lila uratowała ją znowu, proponując, że zaadoptuje Harleya ze szczodrym prawem odwiedzin.

A teraz Grace modliła się, by Lila mogła jej pomóc, nie tylko w znalezieniu czegoś odpowiedniego dla Hanny, ale i w wielkiej sprawie - jak uporządkować galimatias, jakim stało się jej życie.

- Więc może dla Hanny? - chciała wiedzieć Lila, wymachując przed nią bluzką.

- O Boże, chyba żartujesz.

- Co jest w niej złego?

- Nic, jeśli lubisz kwaśne deszcze i toksyczne odpady. Słuchaj, Lila, myślę, że jesteśmy na złym tropie. Najważniejsze w tym jest to, że Hanna prawdopodobnie nie chce niczego, na czym byłyby moje odciski palców.

- Aż tak źle?

- Na przykład to. Wczoraj wieczorem jemy kolację u Michaela i właśnie kiedy podano główne danie, ona wypada do toalety. I nie wychodzi stamtąd, aż czas płacić rachunek. Co ja mam robić, przepraszać za to, co czuję do jej ojca? Ta sprawa z Jackiem - westchnęła Grace. - Nie wiem, czy oszalałam z miłości... czy po prostu i zwyczajnie oszalałam.

- Chodź ze mną, przymierzmy to - Lila ściągnęła z wieszaka inną bluzkę i skierowała Grace w stronę przymierzalni.

- Aleja nie... - zaczęła protestować Grace, ale zdała sobie sprawę, że był to sposób Lili na ogłoszenie przerwy. I czyż w końcu przymierzalnia nie była damskim odpowiednikiem konfesjonau?

Nagle Grace zapragnęła zrzucić ciężar z serca. Lila mogła mieć niewyparzony język i mówiła prosto z mostu, ale miała dobre serce i więcej zdrowego rozsądku niż

większość psychiatrów. A Grace czuła się taka zmęczona radzeniem sobie samej.

- Czy wiedziałaś, że więcej ludzi popełnia samobójstwo w okresie Bożego Narodzenia niż w jakiegokolwiek innej porze roku? - zauważyła Lila, kiedy znalazły się same w małej kabinie z formiki, która i dla jednej byłaby trochę za ciasna.

- Dzięki, teraz rzeczywiście czuję się lepiej - Grace spojrzała z ukosa na swoje odbicie w lustrze. - Jeśli już o tym mowa, czy oni celowo projektują te lustra tak, że masz ochotę skoczyć z mostu?

- Taak - zaśmiała się Lila. - Jest sobie taki facet w kontroli jakości, który mówi: „Hej, Henry, nie dość widać obwisłego ciała, odeślij to!” - chwyciła Grace za ramiona, mocno, jak gdyby Grace była upartym terierem, próbującym wywinąć jej się z garści. - No więc? O co chodzi? Myślałam, że jesteś bez pamięci zakochana.

- Byłam. Jestem - westchnęła. - To skomplikowane.

- Hanna, zgadza się? - Lila uniosła wyregulowaną brew.

- Och, Lila - marzyła o tym, by opaść na podłogę, pomiędzy rozrzucone metki, spinki i kawałki sznurka. Pobłogosław mnie, ojczy, albowiem zgrzeszyłam...

Ale czym zgrzeszyła? Co takiego zrobiła prócz tego, że zakochała się w człowieku, który, tak jak ona, przyszedł z całym dobrodziejstwem inwentarza?

Lila przytaknęła ze znanstwem. - Co jej powiedziałaś wczoraj, po tej piekielnej kolacji?

- Co mogłam powiedzieć? Miałam ochotę ją udusić. Ale jestem dorosła, prawda? Powinnam być rozsądna, być tą, która wyciąga rękę do zgody.

- Pieprzyć to! - słowa Liili odbiły się echem w małej przestrzeni, wstrząsając nią. - Słuchaj, Grace, skończ z tymi zasadami Melanii Wilkes. Po prostu bądź sobą. Daj jej to, na co zasłużyła.

- A co takiego, dokładnie?

- Kilka słów prawdy.

- Chciałabym jej dać więcej niż to - Grace kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Małej kobiety w żółtym jedwabnym golfie i czekoladowych bryczesach, o policzkach poznaczonych gorączkowymi rumieńcami, z uniesioną ręką, dłonią odchyłoną, jak gdyby właśnie miała wymierzyć komuś policzek. Natychmiast się zawstydziła.

Istnieje inna możliwość, powiedziała sobie. Mogłabyś wyjść stąd i pójść do najbliższej budki telefonicznej. Zadzwoić do Jacka i odwołać wasze plany na dzisiejszy wieczór. Na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Właściwie odwołać wszystko.

Życie byłoby o tyle prostsze. Żadnych wyrzutów sumienia z powodu dzieci. Żadnych kłótni z Hanną i Chrisem o czas, jaki ona i Jack spędzają razem, z dala od jednego bądź drugiego. Żadnego martwienia się, czy Jack kiedykolwiek się zdeklaruje, czy nie.

Jednak myśl o rankach, wieczorach i weekendach bez Jacka poraziła ją jak lodowata woda wypita na pusty żołądek.

- Przynajmniej byłoby to szczere - jak gdyby z oddali usłyszała głos Liii.

Grace spojrzała na nią. - Wtedy Hanna naprawdę by mnie znienawidziła.

- Wygląda na to, że już nie może być gorzej niż jest. A kiedy ty i Jack się pobierzecie...

- Nie oświadczył mi się - przerwała jej Grace. - I jeśli jest sprytny, to się nie oświadczy.

- Grace, czego ty się tak boisz? Hanna dorośnie i odejdzie. Tak samo Chris, któregoś dnia. Czego jeszcze? Że będziecie się kłócić, że on będzie cię prał, a ty będziesz prała jego? Istnieje na to nazwa, dziecko. To się nazywa małżeństwo.

- Już to znam.

- Win? - Lila zbyła go machnięciem ręki. - Ty i Win nigdy się nie kłóciliście. To tak, jak gdyby powiedzieć, że chodziliście na łyżwy bez łyżew. Win po prostu nigdy nie widział w tym sensu. On nie rozumiał. Ciebie. Tego. Małżeństwa.

- A Jack rozumie?

- Nie wiem. I ty też nie wiesz, dopóki nie poddasz go próbie - rzuciła Grace szelmowskie spojrzenie. - Ale wiem, że Jack jest jednym z najlepszych facetów, na jakich natknęłam się w tym stuleciu neandertalczyków w garniturach w prążki, i jeśli ty go nie weźmiesz, mogę sama spróbować zastawić na niego sidła.

Grace czuła, że trochę jej niedoli zaczyna się rozpląwać. Trudno być w depresji przy Liili. Ona miała tyle cholernego entuzjazmu dla życia. I dla innych istot, zarówno dwunożnych, jak i czteronożnych.

- Wyjdźmy z tej klatki chomika - powiedziała do swej przyjaciółki. - Wciąż muszę kupić ten prezent.

- O rany, ty naprawdę lubisz wcześniej robić zakupy świąteczne. Ja zawsze czekam do ostatniej chwili. Jeśli chcesz kiedyś zobaczyć prawdziwe wariactwo, spróbuj zajrzeć do Macy'ego w Wigilię na godzinę przed zamknięciem.

W drodze na dół, w windzie zatłoczonej kobietami w norkach, Lila wymruczała: - Mam alergiczną reakcję na futro.

Grace odwróciła się do niej z śmiechem. - Ty?

- Och, to nie to, co myślisz. To ta przemożna chęć, żeby opaść na cztery łapy i warczeć na każdą, która akurat ma na sobie futro. Wiesz, co zrobiłam pewnego razu? - zebrała ze swojej kurtki coś, co wyglądało na pasmo sierści collie i uniosła je do góry, żeby sprawdzić, a jej twarz elfa rozjaśniła się powoli złośliwym uśmiechem. - Przechodziłam obok jednego z tych salonów w okręgu futrzarskim przy Dwudziestej Ósmej czy też Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i zobaczyłam kobietę przymierzającą długie futro ze srebrnych lisów. Wyglądało na niej okropnie... naprawdę ohydnie. I nagle nie mogłam znieść myśli o tych pięknych zwierzątkach, oddających życie dla czegoś tak brzydkiego, na co ktoś miał zamiar wydać fortunę. Więc...

- Nie mów. - Grace wpadła jej w słowo ze śmiechem.  
- Wpakowałaś się tam i ostrzelałaś wszystko puszką farby w sprayu.

- Jeszcze lepiej. Poszłam do budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy... i zadzwoniłam do niej.

- No nie!

- Po prostu poprosiłam panią przymierzającą lisy. Widziałam przez okno, kiedy sprzedawczyni podała jej słuchawkę. Powiedziałam jej, że jeśli kupi to futro, popełni jeden z największych błędów w swoim życiu.

- Nie chciała wiedzieć, kim jesteś?

- Taa, powiedziałam jej: „głosem twego sumienia” - uśmiechnęła się Lila. - Nie kupiła futra. Widziałam, jak niemal wepchnęła je sprzedawczyni, a potem wyszła majestatycznie, cała w pąsach.

- Jesteś zła, wiesz o tym?

- Wiem. To dlatego rozumiemy się tak dobrze.

Wysiadły na parterze, zanurzając się w ścisk kupujących o ponurych twarzach, obładowanych szkarłatnymi torbami na zakupy z sygnaturą Saksa. Lila nie przestawała śmiać się i mówić głębokim, zmysłowym głosem, co ściągało na nią życzliwe spojrzenia ludzi i poprawiało Grace nastrój.

Poczuła się jeszcze lepiej, kiedy popatrzyły na okazałą witrynę sklepową. Tematem tego roku był Zajączek - historia o pluszowym zajączku, który ożył, ponieważ był naprawdę kochany. Każda wystawa bardziej zachwycająca od drugiej, ze ślicznie ubranymi mechanicznymi figurkami, poruszającymi się w dekoracjach z książek z obrazkami.

Grace doznała nagłego olśnienia. Lalka. A gdyby dała Hannie jedną z tych cudownych ręcznej roboty lalek, jak te, które kolekcjonowała jej ciotka Selma? Bardziej ozdobę niż zabawkę i wcale nie dziecinną. Prawdopodobnie również szalenie drogą, ale co z tego?

- Chodź - powiedziała, chwytając Lilę za ramię.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy.

- Mam nadzieję, że ma to coś wspólnego zjedzeniem. Umieram z głodu.

- Potem. To ważne.

- Ważniejsze niż koszerny hot-dog z musztardą i kiszoną kapustą? Znasz miejsce, gdzie mogę kupić buty Manolo Blahnika za pół ceny?

- Manolo Blahnik? Zapomnij o tym. W każdym razie ja mówię o zabawkach, nie o butach - zaczęła wlec Lilę chodnikiem.

FAO Schwartz był jeszcze bardziej zatłoczony niż Saks, ale Grace ledwie to zauważyła. Minęły menażerię gigantycznych pluszowych zwierząt, zbitych w jednym końcu parteru, wjechały windą na pierwsze piętro, gdzie znalazły dział prezentujący lalki dla kolekcjonerów. Rząd za rzędem, małe księżniczki o porcelanowych twarzach, ustach jak pączki róż i długich lokach, ubrane w krynoliny i słomkowe kapelusze. Wiktoriańskie, z okresu regencji, z przełomu wieków - według mody z każdej epoki.

- Chyba zwymiotuję - mruknęła Lila.

Grace przeszła ją wściekłym spojrzeniem. - Jesteś bardzo pomocna.

- Zgadza się - Lila raptownie zwróciła się do niej twarzą i Grace po raz pierwszy zauważyła srebrny kolczyk w kształcie psa, zwisający z jej prawego ucha, podczas gdy w drugim migotał szmaragdowy ćwieczek. - Grace, czy ty masz dobrze w głowie? Mówimy tutaj o szesnastoletniej dziewczynie. Gdyby ktoś dał mi lalkę, kiedy byłam w jej wieku, zostałaby moim wrogiem do końca życia. O co ci właściwie chodzi - o znaczący związek z twoją pasierbicą... czy o *Powrót egzorcysty!*

Grace czuła, że jej entuzjazm wysycha. Lila miała rację. Gdzie ona ma głowę?

Zobaczyła, że Lila zerka na przedszkolaka rozciągniętego na podłodze, wymachującego rękami i nogami i wrzeszczącego, podczas gdy jego matka z wypiekami na twarzy rozpaczliwie starała się go uspokoić. Lila niby przypadkiem otarła się o matkę, zmuszając ją do odwrócenia się, a jednocześnie wycelowała w chłopca palec wskazujący, wpatrując się weń jak w lufę pistoletu. Chłopiec przestał wrzeszczeć i zagapił się na nią szeroko rozwartymi oczyma i z otwartymi ustami. Matka, która nie zauważyła stojącej tam Lili, podniosła go szczebiocząc: - Możesz mieć każde zwierzątko, jakie zechcesz,

Thatcher. To za to, że jesteś takim grzecznym chłopcem i robisz, co mamusia każe.

- Jak ty to zrobiłaś? - wyszeptała Grace w osłupieniu.

Lila wzruszyła ramionami. - Psy i dzieci nie różnią się tak bardzo. Musisz im pokazać, kto tu jest szefem. W chwili, gdy zobaczą szczelinę w twojej zbroi, skaczą ci do gardła. Jak ta sprawa z Hanną. Ja widzę to tak, że oddajesz jej za dużo władzy, pozwalając jej wymierzać wszystkie ciosy.

- Mówisz, że powinnam jej oddać uderzenie?

- Nie, ale powinnaś się bronić. Tym bardziej będzie cię za to szanowała, wierz mi.

- Szanuję Sugara Raya Leonarda, ale to nie znaczy, że chciałabym z nim żyć - zamilkła. - Hej, co ty robisz?

Lila zdjęła swoją skórzaną kurtkę z mosiężnymi ćwiekami w kształcie nut i wepchnęła ją do torby na zakupy z džinsami i flanelową koszulą, które Grace kupiła dla Chrisa. Skórzaną kurtkę, którą - jak przysięgała - przed laty dał jej nie kto inny, jak sam Bruce Springsteen, prosto z własnego grzbietu, przypuszczalnie z wdzięczności za to, że uratowała labradora retrievera jego ówczesnej dziewczyny. Czy też była to jego siostra?

- Ratuję twoją dupę - odpowiedziała rzeczowo Lila.

- Nie mów jej, że to ode mnie. Powiedz, że od samego Bruce'a. Może uklęknąć i ucałować jego płyty kompaktowe... ale ilekroć włoży ją na siebie, będzie myślała o tobie.

Grace spojrzała na Lilę, a potem zaczęła się śmiać. Wkrótce śmiała się tak bardzo, że łzy jej pociekły po policzkach. Czuła się jak tamten dzieciak w napadzie złości - zdawało jej się, że nie może się powstrzymać, nawet gdy widziała, że kupujący rzucają na nią zacięte spojrzenia, przechodząc obok.

W następnej chwili znalazła się w ramionach Lili. Lila pachniała trochę psami, ale był to miły zapach, dodający otuchy. Przyjaciółka uściśnięła ją mocno i odepchnęła.

- To nic takiego, zgoda? - głos Liii był bardziej matowy niż zwykle. - Więc nie chcę słyszeć o tym ani słowa więcej.

- Lila...

- Zamknij się i ruszaj. Nie pieprzyłam się z Bruce'em, jeśli to masz na myśli.

- Ja nigdy... - kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Lila się uśmiecha. Temat był wyraźnie zamknięty.

Grace niosła torbę na zakupy, jak gdyby był w niej święty Graal. Hanna pięknie, kiedy zobaczy kurtkę. Ale to nie załatwi wszystkiego, czyż nie?

Ponieważ nawet jeśli ona jakimś sposobem podbije Hannę, cóż z tego, jeśli Jack będzie wyczekiwał bez końca? Słyszała od swoich niezamężnych przyjaciółek wszelkiego rodzaju koszarne historie - o facetach, których przez lata całkowicie zadowalało umawianie się na randki, aż w końcu one machały ręką na wszystko inne.

Ale Jack nie jest taki, powiedziała sobie stanowczo. Kocha mnie.

Ach tak? - zadrwił głos wewnętrzny. To samo myślałaś o Winie.

## O

Balducci o szóstej dziesiątej był istnym domem wariatów.

Gdy Grace i Jack przeciskali się obok kupujących w godzinie szczytu, ustawionych w kolejki przy kon-tuarach delikatesów, ściskając swoje numerki z listy oczekujących, jak gdyby były to bilety wygranych na loterii, Grace niemal żałowała, że nie zdecydowali się na zupę Campbell. A zarazem zapachy były odurzające - importowane sery, wielkie zwoje kiełbasy, garnki lśniących oliwek, mielone na miejscu egzotyczne kawy. Były tam tace, wypełnione sałatkami z makaronu, pieczonymi warzywami, risottem, cielecymi eskalopkami. A na wystawie sklepu kosze takich pozasezonowych



delikatesów jak świeże figi z Turcji, jaskrawoczerwone izraelskie pomidory, brzoskwinie, które wyglądały jak zerwane przed paroma minutami z drzewka.

- Chcesz stanąć w kolejce po ser, gdy ja będę przy kontuarze z chlebem? - zapytała Jacka, który niósł koszyk na zakupy, załadowany produktami i pojemnikami z daniami na wynos, jak gdyby to było dziecięce pudełko na lunch.

Jack w żadnym razie nie wyglądał na zniecierpliwionego czy wymęczonego. Uśmiechnął się do niej, biorąc z jej dłoni paczkę świeżego makaronu i wkładając ją do koszyka.

- Do usług szawowej pani - przekomarzał się. - Choć, jeśli tłok zrobi się tutaj choć trochę większy, obawiam się, że będą musieli oficjalnie ogłosić koszyk strefą działań wojennych.

Stanęła na palcach i pocałowała go w usta. - To na wypadek, gdybyś został pojmany poza liniami wroga i miałabym cię nigdy nie zobaczyć - odeszła, obchodząc grubą kobietę w futrze, pchającą wyładowany po brzegi wózek.

Parę minut później, niosąc kilka bochenków chleba i torbę *pain au chocolat* na jutrzejsze śniadanie, przy kasie znalazła Jacka gawędzącego z ożywieniem z białowłosym mężczyzną w jarmułce.

Widząc Grace, Jack otoczył ją ramieniem. - Grace, to jest Lenny. Pamiętasz, jak mówiłem ci o moim kuzynie Leonardzie? Z Borough Park?

- O jego koszernym kuzynie - zaśmiał się Lenny, ukazując usta pełne zębów zbyt równych i białych, by były czymś więcej niż protezami. - Przyszedłem tu tylko po rybę, ale nie mówcie o tym rodzinie mojej żony. Dla nich samo postawienie nogi w miejscu, gdzie sprzedaje się kiełbasę, to tref- klepnął Jacka w ramię. - Co z tobą? Gdzie się podziewałeś? Nie widzieliśmy cię w czasie świąt, jak kiedyś...

- Byłem trochę zajęty - wtrącił Jack; jego ciepły ton nie wystarczył, by osłonić Grace przed szybkim, tak- sującym spojrzeniem, jakie Lenny rzucił w jej kierunku.

- Tak, widzę. - A to nie wszystko, co kuzyn Lenny widział, pomyślała Grace.

Wyraz jego twarzy jasno mówił, że zna całą historię, co do rozdziału i wiersza. Starszy Żyd zostaje urzeczony przez boską szikę. Jack nie był taki stary, a ona żadną boginią, niemniej Grace czuła, że rumieni się w nazbyt ciepłym ścisku przepychających się obok nich kupujących.

- Przyjdę na Purim - powiedział mu Jack. - Devora robi takie dobre humentasze\*, że na pewno przyjdę. Nie będziesz mnie musiał namawiać do jedzenia.

- Hej, przyprowadź ze sobą Grace - Lenny rzucił jej pobłażliwy uśmiech.

Grace uśmiechnęła się, ale miała uczucie, że subtelnie przypomniano jej, kim jest, a raczej, kim nie jest. Choć Jack zdawał się tego nie dostrzegać.

- Zgoda - powiedział, ściskając ramię Lenny'ego.

A potem Lenny powiedział: - Ale po co tak długo czekać? Co robicie jutro wieczorem? Będziemy mieli kilka osób na kolacji, a wy będziecie miłymi gośćmi.

Naraz przekorna, chcąc wytrącić tego człowieka z błogiego mniemania o jej osobie, Grace odezwała się, zanim Jack mógł cokolwiek powiedzieć: - Chcielibyśmy bardzo, Lenny... ale będę brała udział w przedstawieniu w cyrku. Występ na trapezie - dodała szelmowsko.

Lenny, trzeba mu to było przyznać, zdołał opanować wstrząs, jaki musiał odczuć. Nie dość że sziksa, to jeszcze sziksa na trapezie. Ale gdy tylko się zorientował, wybuchnął gromkim śmiechem: - No, to na pewno coś godnego obejrzenia.

Lenny przesunął się w kolejce i zapłacił za rybę, a potem machał do nich, torując sobie drogę na zewnątrz. Patrząc, jak odchodzi, Grace czuła się dziwnie pusta. Zadał sobie trud, by być miły, ale ona wyczuwała to już przedtem u braci Jacka. Dla nich zawsze będzie kimś z zewnątrz, kimś, kto nigdy się całkiem nie dostroi.

\* humentasze - trójkątne pierożki podawane tradycyjnie na żydowskie święto Purim - przyp. red.

Czy tak widzi ją Jack?

- Nie musisz tego mówić - powiedział, gdy byli w taksówce, w drodze do jej mieszkania. - Wiem, co myślisz.

Chociaż jego ton był lekki, Grace poczuła, że sama tężeje. - O?

- Zastanawiasz się, jak facet tak młody jak ja może mieć kuzyna tak starego jak Lenny, zgadza się?

Poczuła, że się nieco odpręża, chociaż taksówka podskakiwała na wybojach. - Och, Jack.

- Tak naprawdę on jest tylko o sześć lat starszy ode mnie - twarz mu spoważniała. - I na pół głuchy. Nosi aparat słuchowy, zauważyłaś? Za kilka lat ja mogę być taki.

- Po co nawet żartować z takich rzeczy? - skarciła go lekko. - Tak czy owak, mógłbyś być stary jak Matuzalem, nic by mnie to nie obchodziło.

- Ty nie wiesz - powiedział miękko. Wyczuła, że coś przed nią tai, że chciałby powiedzieć coś więcej, ale wcale mu niespieszne

- Jack, o co chodzi? - nalegała. - Coś cię trapi?

Westchnął ciężko. - Och, nie wiem. Przypuszczam, że jestem cały naładowany z powodu tego spotkania, jakie mam jutro z Rogerem Youngiem i jego agentem.

- Z Rogerem? Widziałam go na dzisiejszej próbie generalnej. Ćwiczył do jakiegoś numeru. - Wiedziała o wybuchach złości i niesłychanych wymaganiach Rogera Younga. Kiedy przedstawiono ich sobie na przyjęciu dla uczczenia pięćdziesięciolecia Cadogana, uznała go za czarującego... nawet jeśli odrobinę się płaszczył. Ale nic nie zmieniało faktu, że to najlepiej sprzedawany autor Cadogana.

- Do tresury lwów, mam nadzieję - warknął Jack.

- Najlepiej z lwem, który nie jadł obiadu i nie jest w najlepszym nastroju.

Zaniepokojona Grace zapytała: - Jack, on nie opuszcza cię dla innego wydawnictwa, prawda?

- Niemal chciałbym, żeby tak było - twarz Jacka, w stroboskopowym blasku reflektorów mijanych samo-

chodów wydała się nagle twarzą starego człowieka, za jakiego się uważał. - Zachował się... brutalnie wobec jednej z naszych przedstawiolek. Mówi, że próbował ją zgwałcić i ja jej wierzę. To prawdziwy łobuz. Chciałbym go zatłuc... ale to nie takie proste.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała, czując się zarazem zaniepokojona i oburzona w imieniu kobiety, której nawet nigdy nie spotkała.

- Jeszcze nie wiem. Będę musiał to umiejętnie rozegrać. Chociaż, jednego możesz być pewna - dodał posępnie. - Nie będzie miał okazji pokusić się znowu o coś takiego, jeśli będę mógł temu zapobiec.

- Och, Jack, przykro mi... - wyciągnęła rękę i wplotła palce we włosy, które zwijały mu się nad kołnierzem, czując, jak zawsze, podnoszące na duchu zdumienie ich miękką młodzieńczą podatnością. - Chyba tak byłam pochłonięta własnymi problemami, że nawet nie pomyślałam, żeby zapytać, co u ciebie.

Opuścił w półśmiechu kącik ust. - Bywało gorzej. - Z utkwionym w niej wzrokiem dodał: - W każdym razie od tej chwili może być tylko lepiej.

Grace odepchnęła na bok torbę z zakupami i oplótła Jacka ramionami, przybliżając usta na spotkanie jego ust. Na Manhattanie najcudowniejsze dla niej było to, że można było całować mężczyznę na tylnym siedzeniu taksówki, chyba można by było nawet zupełnie się rozebrać i kochać się, a taksówkarz nawet nie mrugnąłby okiem... dopóki miał zapewniony słony napiwek.

Pocałunek Jacka był ciepły i łagodny, ale nie przesadnie łagodny. Rozchylił nieco usta, ich nacisk był drażniąco lekki, a potem jego język przesunął się po jej dolnej wardze ze słodką, doprowadzającą do szaleństwa delikatnością, właśnie tam, gdzie była najbardziej wrażliwa. Dużą dłońią, która lekko obejmowała jej policzek, przyciągnął ją bliżej i pocałował głębiej.

Zdrzała, ogarnięta nagłym żarem. Nieważne, jakie wady mógł mieć Jack - a w tej chwili żadna nie

przychodziła jej na myśl - w całowaniu był mistrzem światowej klasy. Jeszcze w szkole średniej, kiedy ona i jej przyjaciółki były dość niemądre na to, by prowadzić takie rankingi, całowała się z facetem i myślała: czwórka, może czwórka z plusem, zdecydowanie nie pretendent do tytułu w wadze ciężkiej. Ale z Jackiem nigdy nie było żadnej kwestii. On był po prostu najlepszy.

- Na to nigdy nie będziesz za stary - wymruczała mu do ucha.

Przytulona do niego, gdy taksówka odbijała się od jednego wyboju do drugiego, wspominała ich pierwszą randkę przed prawie sześcioma miesiącami. Zaczęła się jako spotkanie w interesach. Wybrał się z nią i jej redaktorem, Jerry Schillerem, na drinka, by pomóc im uładzić niektóre kłopoty z projektem książki, nad którą w pocie czoła pracowała przez ostatnie dwa lata. Spotkanie przeciągnęło się do kolacji, zaś Jerry zostawił ich, by zdążyć na pociąg. A potem Jack nalegał, by zawieźć ją do domu taksówką i mieć pewność, że ona dotrze cało do drzwi, zaś Grace, która bez namysłu wskakiwała po północy do metra, zapała się.

- Ostatniego faceta, który próbował ściągnąć mi torebkę - powiedziała mu - ścigałam przez cztery przecznice i znokautowałam parasolką. Może ja powinnam odprowadzić cię do drzwi.

- Skąd mogę wiedzieć, czy będę bezpieczny? - przekomarzał się.

- Gwarantuję ci, że nie będziesz. - Przypomniała sobie, że miała ten swój głupi uśmiech, dopóki taksówka się nie zatrzymała.

Zdecydowali się na jego mieszkanie. Naprawdę nie zamierzała pójść z nim tamtej nocy do łóżka. Ale odkrycie, że on nie miał tego rodzaju oczekiwań - nie posprzątał i był tak zdenerwowany, że zapomniał włożyć filtr do ekspresu do kawy - oczarowało ją i śmiesznie pociągnęło ku niemu. Z zapierającą dech w piersiach nagłośnią poczuła się uwiedziona.

I ostatecznie zadowolona z tego. Ponieważ z Jackiem odkryła na nowo coś, co - jak sądziła - straciła na zawsze: cudowne uczucie budzenia się rano z kochającym, miłym mężczyzną, zwiniętym obok niej w kłębek.

- O której Chris wraca do domu? - zapytał ją teraz, muskając ustami jej ucho, owiewając je ciepłym oddechem.

- Prawdopodobnie późno. Win zabiera go po kolacji do kina. Dlaczego? Masz coś na myśli?

Jack wyszczerzył zęby i znowu ją pocałował, a jego usta nadal miały smak ciepłego żytniego chleba, od którego odłamał piętękę, stojąc kolejce u Balducciego. To zaś czyniło ją bardziej głodną niż wszystkie cudowne zapachy, unoszące się z toreb z zakupami u ich stóp.

W ramionach Jacka czuła, że jej emocje tak napięte cały dzień, wyciszają się. Teraz mogła się odprężyć; była bezpieczna. Później on ją obejmie, jego ciało szczelnie splecie się z jej ciałem, i tym razem nie będzie czuła ani odrobiny obawy czy zmartwienia, jakie jej się często zdarzały, gdy się kochali, że za rok, czy nawet za miesiąc, znów będzie spędzać noce w pustym łóżku.

## ROZDZIAŁ 7

- Dosyć! - Jack starał się mówić łagodnym tonem, ale wewnątrz kipiał.

Roger Young, pochylony do przodu na samym brzegu fotela naprzeciw Jacka, tylko patrzył na niego groźnie. Oczy pisarza, które wydawały się uduchowione na jego reklamowej fotografii, w kontakcie osobistym, otoczone wątrobianymi plamami, wyglądały na zapadnięte i rozbiegane. Jack nagle zdał sobie sprawę, dlaczego fotografowie zawsze ujmowali Rogera z góry, pozosta-

wiając dolną część jego twarzy w cieniu: facet nie miał podbródka.

- Liczby - powiedział Terrence Rait, agent Younga, ruchliwy człowieczek w muszce i z pretensjonalną kozią bródką, na krześle agresywnie wysuniętym o dobre dziesięć centymetrów przed fotel jego klienta, jak samochód Formuły I, ryczący na linii startu. - Mówimy o liczbach. Hurtownicy szaleją z zamówieniami na tę książkę, występy w telewizji umówione od wybrzeża do wybrzeża, a ty masz zamiar spuścić to z wodą? - jego szczupła twarz była zarumieniona. - Nie wierzę w to. Nie wierzę w to, do kurwy nędzy.

Jack również nie był pewien, czy w to wierzy. Prowadzenie tej rozmowy z największym powieściopisarzem firmy, autorem thrillerów, od których nie można się było oderwać, jeden rocznie, jak w zegarku, i każdy długo nie schodził z list bestsellerów, wydawało mu się niemal czymś surrealistycznym. Jego ostatnią książkę *Operacja Szkarłat* sprzedali w większym nakładzie niż całą resztę jesiennej produkcji razem wziętą. Kurt Reinhold, kiedy usłyszy o tym spotkaniu, nie będzie zachwycony. Teraz nie ma już wolnej ręki w działaniu, a Hauptman, ich nowy niemiecki wspólnik, może się za chwilę go pozbyć. Teraz niewiele mogło ich powstrzymać. Dochód brutto Cadogana był o dziesięć procent niższy w porównaniu do ubiegłego roku, a oto on ryzykował ich dojną krową. Pewnie, Young jest związany kontraktem na jeszcze jedną książkę... ale kiedy teraz zagrają w otwarte karty, pewnie następną książkę będzie już chciał napisać dla innego wydawcy.

A Ben? Young jest jego autorem, jego przepustką do kierowniczego gabinetu. Zdenerwuje się. Nie, gorzej, będzie wściekły jak diabli.

Jack czuł głucho bicie swego serca i smak spalonej grzanki w ustach. Jego wzrok padł na ulubiony z czterech sztychów Fuselego nad sofą - heroiczną scenę wyjętą z *Makbeta*.

(...) Często, przyjacielu,  
Narzędzia piekła prawdę nam podają  
Aby nas w zgubne potem sieci wplątać.\*

Ktoś musi wstać i powiedzieć „dość”. Jeśli liczby były wszystkim, jeśli praca jego życia, wszystkie udane książki, którym pomógł się narodzić, tylko do tego się sprowadzały, to równie dobrze mógł w tej chwili się poddać. Nie wiedząc, że to uczyniłoby go niemal tak złym, jak Roger - cichym współnikiem, kierowcą uciekającego samochodu.

Ale jednocześnie Jack miał nadzieję - nie, modlił się - że wymyśli jakiś sposób, by nie zrazić całkiem tego ścierwa. Bez Rogera Cadogan byłby okaleczony, a jego Własna przyszłość stałaby się prawdopodobnie repliką ilustracji na okładce ostatniej książki Rogera: pocisku nuklearnego, wzbijającego się z silosu, by wkrótce wysadzić świat w nicość.

Jack, czując, że zaczyna pocić się pod garniturem, podjął świadomy wysiłek, by przyjąć swobodniejszą postawę i rozluźnić mięśnie twarzy. Bądź ponad to, nakazywał sobie. Trzymają cię za jaja, ale nie muszą o tym wiedzieć.

Z ulgą zauważył, że Roger, pod maską oburzenia, wydaje się odrobinę niespokojny. Jack obserwował go, jak zapala papierosa, zaciąga się głęboko i posyła strumień dymu w jego stronę, podczas gdy umykał spojrzeniem ku plakatowi reklamowemu *Operacji Szkarłat* między dwiema zapchanymi półkami książek.

- Słuchaj no, Gold... kim ty jesteś, żeby mi mówić, kiedy dosyć to dosyć? - Roger pochylił się do przodu, z uszami wciśniętymi w ramiona, przywodząc Jackowi na myśl komika, źle parodiującego Richarda Nixona. - Chciałeś tego cholernego tournée i będziesz je, do cholery, miał!

- Słuchaj, żadnemu z nas nie trzeba przypominać, jaka jest stawka w przeliczaniu na możliwości sprzedaży,



ale to... - Jack mówił spokojnie, unosząc dłonie i kładąc je na piersi, kciukami ujmując krawat Liberty - szczypta fantazji, z przyzwolenia Grace. - Podczas twojego ostatniego tournée miałem do czynienia ze skargami, które napływały do mnie od naszych przedstawicielek i osób towarzyszących z mediów na to, jak je napastowałeś. Przymykałem nawet oko na kurwy, które dopisywały do swoich rachunków hotelowych. Prawie zdarłem sobie szkliwo zaciskając zęby, ale myślałem sobie: przecież nikomu się nie stała krzywda?

- Och, skończ z tym, dobrze? Nie siedziałbyś tutaj, gdyby nie Roger - zadrwił agent Younga, którego wydawcy po cichu nazywali „Szczurem”. Rait zawsze próbował wyciąć numer, podbijając jeszcze cenę po uzgodnieniu umowy, znajdując jednego czy dwóch fałszywych oferentów, by podbić cenę na licytacji, łowiąc maszynopisy po całym mieście, nie zważając na klauzulę opcji. Teraz użalał się: - Zrobiłeś ponad siedemset tysięcy na *Operacji Szkarłat*, blisko dwa miliony na wydaniu w miękkich okładkach. Czy masz innego autora, który choć zbliżyłby się do tych liczb? Czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że nie zawdzięczasz swojej przepionej pracy obecnemu tu Rogerowi?

- On jest dla nas bardzo ważny - powiedział Jack.

- Więc co, do diabła, my tutaj robimy?

- Dyskutujemy, jak najlepiej uporać się z faktem, że Roger nie zakończy tego tournée tak, jak to początkowo planowaliśmy - Jack wytrzymał oburzone spojrzenie Raita. Czuł, jak pot przykleja mu koszulę do łopatek.

*Meszuge\**, napominał zimny głos wewnętrzny. Dwa-dziesiąt lat zasuwania, by zostać kimś, stworzyć firmę, wydawać książki, które ludzie kochają, i masz zamiar odrzucić to wszystko? W imię czego? Żeby być bardziej świętym od papieża? Dla jakiejś... zasady?

A gdyby się tak wycofał, zmienił taktykę? O ileż łatwiej i spokojniej byłoby po prostu zgadzać się, udawać, że nic

naprawdę złego się nie stało, nikt naprawdę nie został skrzywdzony. Jest biznesmenem, nie arbitrem w sprawach moralności. I to Roger Young trzyma ster w rękach, nie Jack Gold czy nawet ich nowy prezes, Kurt Reinhold.

Wtedy Jack przypomniał sobie gdzieś wycytane słowa „Musisz myśleć jak bohater, by zachowywać się ledwie jak człowiek przyzwoity”. Ale ktokolwiek to wymyślił, czy zdawał sobie sprawę, że najtrudniejszym słowem w języku angielskim, w każdym języku, musi być słowo „nie”?

Jack zwrócił spojrzenie na Raita, obserwując go, jak wierci się na krześle, jak gdyby trzymano go tam wbrew jego woli. - Powinieneś całować ziemię, po której Roger chodzi za to tylko, że chce odbyć to pieprzone tournee! - burknął Rait.

- No, jeżeli to taka czarna robota, przerwanie jej teraz nie powinno być takie trudne - ale to, co mówił Rait, było prawdą. Sławnych autorów, takich jak Roger, zwykle trzeba było błagać, by odbyli reklamowe tournee.

- Ty arogancki skurwysynu, ja... - twarz Rogera wykrzywiła się... nie, zdawała się obrzmiewać, cała czerwona i świecąca, jak u dziecka, pomyślał Jack. U dziecka, które ma napad złości. Young zerwał się na równe nogi w dziwnie chaotyczny sposób, ruchy miał gwałtowne, niemal spazmatyczne. - Mógłbym mieć każdego wydawcę w mieście, wystarczy tylko, żebym pstryknął palcami. A tobie się wydaje, że kim, do kurwy nędzy, jesteś?

- Roger, nie chcę cię denerwować jeszcze bardziej, ale czy zdajesz sobie sprawę, iż to cud, że nie zostałeś aresztowany? - ciągnął Jack tak rozsądnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, tężając wobec nagłego wrażenia kurczu w brzuchu. - Gdyby Sue McCoy zdecydowała się złożyć skargę...

Rait zwrócił się do swego klienta, łapiąc powietrze przed sobą obiema rękami, jak gdyby dyrygował orkiestrą, uciszając jej grzmiące cymbały. - Zobaczmy, czy

dobrze to rozumiałem - zaczął. - Wysyłasz Rogera z tą... tą lalunią, która twierdzi...

- ...że on próbował ją zgwałcić - dokończył Jack, choć raz mówiąc bez ogródek i nie zadając sobie trudu, by ukryć swój niesmak. - Ta, jak to ująłeś, lalunia jest zameźną kobietą z czworgiem dzieci. Jest jedną z naszych najlepszych przedstawicielek. Księgowość ją kocha, my ją kochamy i otrzymuje wysokie noty od naszych autorów. Ale ty, Roger, przeciągnąłeś ją przez piekło - Jack wciągnął powietrze. - Wiesz, że ona jeszcze może się zdecydować na złożenie skragi.

Nowy wyraz malował się powoli na pozbawionej podbródka twarzy Rogera: strach.

- Nie, nie, ty nie rozumiesz... ja... ona... - wybełkotał.

Zdawało się, że nawet z Raita uszło powietrze, kiedy ta prawda do niego dotarła. - Chryste, to... to jest samobójstwo. Już utopiłeś w tej książce setki tysięcy. Wszystkie te kolorowe reklamy w prasie.

Jack uczył błysk triumfu i kurcz w jego brzuchu zelżał nieco. - Czy nie sądzisz, że przejrzałem liczby dwadzieścia razy? - powiedział, pozwalając nucie żalu wkraść się do swego głosu. - Słuchaj, usiądź i zobaczymy, czy możemy znaleźć jakieś rozwiązanie.

Po całej wieczności napięcia Jack patrzył, jak pozbawione podbródka cudo zapada się w swój fotel. Wyczuwał, że bliski jest jakiegoś zwycięstwa - ale widoki na nie nie ekscytowały go; pozostawiały mu tylko uczucie lekkiego obrzydzenia, że musi negocjować z tym fiutem.

- Myślałem o tournée satelitarnym jako o alternatywie - ciągnął miękko, jak gdyby wszyscy byli spokojni i w doskonałej zgodzie. - Dzień, najwyżej dwa, a możemy cię mieć w radiu i telewizji od wybrzeża do wybrzeża. A także wywiady w prasie. Tutaj, w Nowym Jorku, możemy załatwić w gruncie rzeczy wszystkie, jeśli nie osobiście, to przez telefon. Żadnego wyczekiwania na lotniskach na opóźnione samoloty, żadnych obrzydli-

wych posiłków, dostarczanych przez obsługę hotelową. A w następny weekend możesz być w Westport, Musique czy w Antibes.

Oczekując na odpowiedź Rogera, Jack uświadomił sobie, że wstrzymał oddech. Wypuścił powietrze z płuc, powoli, tak, aby nie zauważyli.

Patrzył, jak Young rozgniała papierosa w popielniczce, która była gadżetem promocyjnym do poradnika, jak rzucić palenie. „Rzuć, dopóki nie jesteś martwy”, mówił złoty napis na oklejce. Potem powieściopisarz odchylił się do tyłu, z rozdrażnieniem, krzyżując ramiona na piersi. - Przede wszystkim ja nigdy nie chciałem tego przekłętego tournée. To ty mnie prosiłeś.

Wycofuje się! Jack z wysiłkiem powstrzymał uśmiech ulgi.

Rait podniósł wzrok znad spinacza, który wyginał, jak gdyby pragnął, by było to ramię Jacka. - Słuchaj, Jack, czy możesz nam obiecać, że nie przedostanie się żadna... hm... negatywna reklama?

- Niczego nie mogę wam obiecać - powiedział Jack. Zrobił pauzę i dodał: - Ale nie zaszkodziłoby, gdyby Roger porozmawiał z panią, o którą chodzi. Może nawet przeprosił - rzucił szybkie spojrzenie na Rogera.

Parę minut później, kiedy Jack wyprowadzał Younga i jego agenta za drzwi wśród uścisków dłoni i pojedynczych słów, które nie oszukały nikogo, nie mógł się uwolnić od pytania: czy bezczelność musi być górą? Wszystko jedno, pomyślał. Jego serce zwolniło rytm do równomiernego marszu, gdy odtwarzał w myślach spotkanie. Nie żałował z niego ani chwili.

Naprawdę żałował tego, co musi teraz zrobić: powiedzieć Benowi, zanim dotrze do niego przeciek o niewykluczonym odejściu Younga po następnej książce.

Ben będzie wściekły. Często się uśmiechał i wydawał się tak samo niefrasobliwy, jak Hanna była porywczą, ale pod spodem...

Rozwód? Być może, ale to sięgało jeszcze dalej w przeszłość, domyślał się Jack, kiedy on usiłował postawić na

nogi Cadogana i rzadko kiedy bywał w domu z Natalie i małym Benem.

A potem, osiem lat temu, Ben przyszedł pracować dla niego, świeżo po college'u, taki pewny siebie. Jack utarł mu trochę nosa, dając pracę w biurze listów... i Ben zaczął naprawdę mieć za złe swemu staremu. Wszystkie te nadliczbowe godziny, razem z każdym wybląganym przez Bena od przepracowanych redaktorów maszynopisem, na którym miał wyostrzyć swój edytorski pazur i udowodnić swoją wartość, były sposobem, w jaki Ben mówił: „Niech cię diabli. Pokażę ci, nawet gdyby mnie to miało zabić"! A teraz przez tego żałosnego Younga da Benowi nowy powód do noszenia zadry w sercu...

Lęk ciążył Jackowi na żołądku, gdy podnosił słuchawkę, by zadzwonić pod wewnętrzny numer Bena.

- Masz wolną chwilę, Jack?

Jack podniósł wzrok i zobaczył Kurta Reinholda, wkraczającego do jego gabinetu. Nowy prezes Cadogana, niski żyłasty mężczyzna o siwiejących włosach, które zawsze zdawały się sterczeć, niezależnie od tego, jak drogie było ich strzyżenie, przypominał Jackowi komiksową postać z palcem w gniazdku elektrycznym, z wytrzeszczonymi oczami i tak dalej. Z tym wyjątkiem, że Reinhold nigdy nie został porażony. Tylko wszyscy wokół, zwłaszcza ci, którzy weszli mu w drogę.

Jak zawsze, kiedy miał do czynienia z Reinholdem, Jack próbował pogodzić publiczny wizerunek swego szefa z tym, co wiedział o jego życiu prywatnym. Zdawało się, że oba wizerunki nie zazębiają się. Reinhold prezes, ze swym podejściem do szefowania, naleganiem na robienie wszystkiego na swój sposób, ze swym zwyczajem wychodzenia z zebrania i pozostawiania kogoś w połowie zdania... i Reinhold ojciec rodziny, od trzydziestu lat żonaty, z pięciorgiem dzieci, dla których nigdy nie był zbyt zajęty, nawet przy jego ciągłym lataniu odrzutowcami w tę i z powrotem do Londynu, Frankfurtu, Rzymu, Paryża, nie mówiąc już o jego hobby, które,

jak mówiono, było jego pasją: pieczenie chleba według receptur, jakie zbierał podczas swoich podróży.

Jack odłożył słuchawkę i gestem zaprosił Reinholda, by usiadł.

Ale szef tylko podszedł do okna i spojrzął w dół na Piątą Aleję jak pan feudalny na swoje lenno. - Chciałem omówić coś z tobą. Tę sprawę z Jerryem Schillerem.

- Co to za sprawa, Kurt? - zapytał Jack, chociaż ze sposobu, w jaki jego serce znowu zaczęło nabierać tempa, wyczuł, że sprawa jest poważna.

Kurt odwrócił się. Jego blade, wyłupiaste, niebieskie oczy mierzyły Jacka chłodnym spojrzeniem. - Jerry jest obciążeniem, Jack. Musi odejść.

Jack poczuł nagły ból w piersi. Jezu, nie, nie Jerry. Był naczelnym redaktorem Cadogana od ery lodowcowej. Jerry, który nieraz przychodził do Jacka po setkę doliców na przetrwanie po tym, jak pożyczył, a właściwie oddał swoją pensję jakiemuś serdecznemu kumpłowi - autorowi, którego maszynopis nigdy nie zostanie przyjęty. Jerry, który walczył zajadle o to, by nadal wydawali poezję...

- W zeszłym roku dwoje autorów Jerry'ego, Maisie Weston i Boba Gottschalka, nominowano do National Book Award - zauważył Jack, dbając o zachowanie neutralnego tonu.

- A gdyby tych dwoje razem wziętych sprzedało dziesięć tysięcy egzemplarzy, byłbym zdumiony - odpowiedział Reinhold. - Poza tym, ta biografia księżnej Di to wyłącznie jego wpadka.

- Zarząd go w tym poparł - przypomniał mu Jack.

Reinhold niecierpliwie strzepnął pyłek z klapy swego ciemnoniebieskiego kaszmirowego garnituru. Jack nie spodziewanie wyobraził sobie swego szefa z podwiniętymi rękawami koszuli, walącego jak w bęben w kawał ciasta chlebowego.

- Jack, wiem, że ty i Jerry znacie się od dawna - pozostawił zawieszoną w powietrzu aluzję, że Jack sam mógłby bardzo łatwo znaleźć się w tej samej lidze co Jerry. - Ale tym razem on posunął się za daleko.

Widziałeś to? - Jack zdał sobie sprawę, że Reinhold trzyma coś; zwinięty egzemplarz „Publishers Weekly”, jak się okazało. Trzepnął nim o blat zaśmieconego biurka Jacka. - Nie mówiąc mi ani słowa, napisał kawałek do rubryki *Moim zdaniem*. Diatrybę na temat literatów, którzy podobno są zaniedbywani przez swoich wydawców dla szmirusów. - Ponuro dodał: - Nie mówiąc już o redaktorach, kąsających rękę, która ich żywi.

- Kurt, nikt nie zwróci uwagi...

- Mam tylko nadzieję, że Hauptman tego nie zobaczy, Wiesz, jaki jest z niego sztywniak, gdy chodzi o lojalność wobec firmy.

- Jeśli to kwestia lojalności, nie mógłbym wymienić nikogo innego, kto nadstawiałby głowę dla Cadogana tak jak Jerry.

- On musi odejść, Jack. I do ciebie należy zająć się tą sprawą - za jednym pociągnięciem Reinhold zarówno zdołał przypomnieć mu, że on jako wydawca zajmuje dopiero trzecie miejsce w hierarchii ważności... i że jednocześnie jest odpowiedzialny za wszystko, co pójdzie źle.

Jack czuł się tak, jak przed minutą z Youngiem i Raitem, jak gdyby znalazł się w środku złego snu. Mimo to nie było niczego niejasnego czy sennego w nie wypowiedzianym przesłaniu Reinholda: Ty możesz być następny.

Jack wiedział, że Reinhold nadal wini go o niewypełnienie planu zamówień, mimo iż zaprotokołował, że nowy magazyn i jego systemy nie są jeszcze gotowe do wysyłki jesiennego katalogu. A kiedy Reinhold dowie się o jego grze w otwarte karty z Youngiem...

Jack powstrzymał dreszcz. Nie, nie może pozwolić, nie pozwoli się sterroryzować. - Zapominasz o jednym, Kurt. Jerry jest redaktorem Grace - przypomniał Reinholdowi. - A ta jej książka, to będzie coś. Spójrz na reklamę, jaką już zyskała. Księgowość skacze do góry.

Liczmy tu na duże zamówienia i nie sądzą, byśmy chcieli robić zamieszanie, wylewając Jerry'ego jeszcze zanim książka została skierowana do druku - nie chciał wspominać Kurtowi o tym, co powiedziała mu Grace, że jej matka prawdopodobnie będzie się procesować z firmą o uzyskanie zakazu publikacji. Na to jeszcze przyjdzie pora.

A tymczasem pokaże Reinholdowi, że ten stary wydawca, nie żeby pięćdziesiąt dwa lata to już był wiek zgrzybiałego starca, nie ma zamiaru zniknąć. Zmobilizuje, do cholery, tę firmę, i postawi wszystko, co Cadogan ma, na książkę Grace - objazd dwunastu miast, może nawet konferencja prasowa na Wzgórzu Kapitolińskim. Szum już poszedł na cały kraj. *Honor ponad wszystko* może stać się książką, którą każdy zechce mieć, jeśli nie po to, aby ją przeczytać, to przynajmniej, by ją posiadać. Popatrzmy na *Krótką historię czasu*, na *Nagą małpę*. Z czysto handlowego punktu widzenia, niezależnie od osobistych uczuć Jacka dla Grace, nie może być kwestii, nawet dla Reinholda, że to jest książka o wielkich możliwościach...

Jack znów zwrócił uwagę na Reinholda. Facet nie złagodził swego stalowego spojrzenia, ale Jack wyczuwał, że trochę mięknie. Jednakże nie będzie z nim łatwo. Powtarzając jak echo, z tajemniczą dokładnością własne myśli Jacka, zapytał: - Co z możliwymi reperkusjami wobec sprawy tej tajemniczej śmierci sprzed lat? Pomyślałeś o tym, żeby to przejrzał jakiś dobry prawnik? Żeby się upewnić, że jesteśmy kryci?

- Dan Hoggerty siedzi nad tym - powiedział Jack swemu szefowi, ważąc w rękę malachitowy przycisk do papieru w kształcie piramidy. - Konsultuje się z Fredem Quellerem, najlepszym, jak mówi Dan, prawnikiem procesowym na Wschodnim Wybrzeżu. O ile wiem, wszystko jest w porządku, ale zawiadomię cię, jeśli się okaże, że musimy powziąć nadzwyczajne środki ostrożności. Będę miał również oko na Jerry'ego. Upewnię się, że trzyma się z dala od kłopotów - modlił się, by Reinhold



poprzestał na tym, by nie nalegał na rozstrzygnięcie problemu Jerry'ego. Później, kiedy ta notatka w „Publishers Weekly” wywietrzeje Reinholdowi z głowy, Jack przypomni mu, jakim wartościowym pracownikiem firmy jest Jerry.

Odetchnął z ulgą, kiedy Reinhold, równie nagle, jak się pojawił, ruszył w stronę drzwi z roztargnioną miną człowieka, który ma milion spraw na głowie i nigdy dość czasu.

Jack odłożył przycisk do papieru i z trudem wstał. Będzie musiał ostrzec Jerry'ego, powiedzieć mu, żeby siedział cicho, przynajmniej dopóki *Honor ponad wszystko* nie wyjdzie. Potem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, obaj będą zupełnie wolni.

## O

Po drodze do gabinetu Jerry'ego Jack wpadł na Bena, gdy ten wychodził przez podwójne drzwi z działu graficznego.

- Bud Eastman ma potąd tego jugosłowiańskiego artysty, który robi okładkę do Harrigana - Ben przesunął grzbietem dłoni pod szyją. - Wezwano mnie, żebym pomógł załagodzić sprawę.

- Powiodło się?

- Wprowadzi zmiany, jakich chce Eastman, nie martw się.

Jack uniósł brew. Misza był twardą sztuką.

Ben uśmiechnął się. - On ma wystawę w Pace Gallery, a ja obiecałem, że pójde rzucić na nią okiem i przyprowadzę paru bogatych przyjaciół mamy, którzy kolekcjonują sztukę wschodnioeuropejską.

Jack poklepał Bena po ramieniu, promieniejąc dumą z umiejętności syna radzenia sobie z delikatnymi sytuacjami, takimi jak ta. Jednocześnie wywołała ona wspomnienie tamtego nieprzyjemnego incydentu sprzed paru lat, kiedy jego syn był studentem pierwszego roku w Yale. Ben został złapany na sprzedawaniu swoim kolegom

podręczników i przyborów niżej ceny nominalnej - rzeczy, którymi obciążał swoje konto w księgarni w kampusie, zakładając, że ojciec nie będzie się zbyt dokładnie przyglądał rachunkowi. Najgorsze było to, iż Ben musiał wiedzieć, że w końcu zostanie złapany, a mimo to prowadził swoją małą operację z bez troską zarozumiałością, która wciąż ogłuszała Jacka, ilekroć o niej myślał. Nawet kiedy został schwytany, Ben nie żałował swego czynu, jak gdyby hojne kieszonkowe, które on uważał za marne, nie pozostawiało mu wyboru.

Był to pierwszy i jedyny raz w życiu Bena, kiedy Jack go uderzył. Niezbyt mocno, tylko jedno trzepnięcie w głupio uśmiechniętą twarz. Ale widocznie było to dosyć, by rozniecić żarzące się popioły złości Bena.

Czy istniał sposób, by dotrzeć do Bena, zmusić go, by zrozumiał, że życie to nie zawsze kwestia chwytania wszystkiego, co wpadnie w ręce? Jego plan, by kazać Benowi piąć się w górę, od samego dołu u Cadogana, okazał się chybiony. Zamiast docenić wartość ciężkiej pracy i cierpliwości, Ben tylko ochrzcił go Simonem Legree. Ale może nie jest jeszcze za późno...

- Masz wolną chwilę, żeby wyjść na kawę? - zapytał Jack lekko.

Tylko ojciec mógł to spostrzec: lekki mars, nie głębszy niż zmarszczka na wodzie, między gęstymi, ciemnymi brwiami Bena. Ale zaraz zniknął. - Pewnie, tato. Daj mi tylko sekundę, powiem Lisie.

- Spotkamy się przy windzie.

Ben pojawił się ponownie w hallu przed ozdobionymi mahoniowymi płycinami drzwiami z napisem „Hauptman Group” na dyskretnej mosiężnej tabliczce, umieszczonej na wysokości oczu. Wyglądał na zaintrygowanego. - Lisa powiedziała, że Roger zajrzał do mojego gabinetu, gdy byłem z Eastmanem. Nie wiedziałem, że on tutaj będzie. Jeśli odbywało się jakieś spotkanie, dlaczego mi o nim nie powiedziano?

Jack, który miał nadzieję odwlec to, aż wyjdą z budynku, zebrał się w sobie, wchodząc do windy. Dlaczego

z Benem wszystko musi być batalią? Lecz wtedy głos przypomniał mu: To nie ty wyłowisz Younga ze sterty sentymentalnych bzdur, nie ty całymi miesiącami spędzasz nie kończące się noce i weekendy, pomagając mu przykroić te jego słoniowate, niedopracowane maszynopisy w coś, co porwie rynek. Ledwie dwa lata po opuszczeniu college'u Ben sprzedał niechętnemu zarządowi ofertę na pierwszą książkę Younga. Łut szczęścia, słyszał Jack tu i ówdzie, gdy książka trafiła na listę bestsellerów. Skrojona według mody, szemrali inni. Ale było jasne, że Ben ma nosa, instyktowne wyczucie tego, czego chce publiczność. I zrećność szlifierza drogich kamieni, kiedy przychodziło do kształtowania surowej grudki w coś, co rzucało blask.

Gdy zjeżdżali ze zgrzytem siedem pięter w dół pustą windą, Jack krótko opowiedział Benowi o tym, co zaszło. - Wczoraj po południu rozmawiałem z Sue McCoy - zakończył. - Przyszła zobaczyć się ze mną, wyglądała okropnie. To z Rogerem zdarzyło się ponad tydzień temu, ale ona nie chciała nic mówić. Bardzo doceniam to, że przemówiła, wiedząc, że waży się sprawa jej pracy... do diabła, całej firmy, jeśli już o to chodzi.

Wychodząc do wyłożonego marmurem hallu, Ben wyglądał jak gdyby kopnięto go w jaja. Twarz w mocnej, gniewnej barwie rumienia, oczy błyszczące jak odłamki stłuczonej butelki. - Jezu, tato - jęknął. - Jezu Chryste.

Jak gdyby zbyt oszołomiony, by mówić dalej, Ben tylko potrząsał głową, gdy przepychali się na zewnątrz przez obrotowe drzwi. Przywitał ich gwałtowny podmuch jesienno-wiatru, porywającego w wir trąbiący, skrzeczący, beczący strumień samochodów, autobusów, ciężarówek, taksówek i posłańców na rowerach i deskorolkach. Tutaj nic nie stało w miejscu. Nawet chodnik był zatłoczony, wszyscy z pochylonymi głowami czujnie żeglowali po trotuarze. Nikt nawet nie zerknął na jedyny budynek na Manhattanie o cudownym kształcie gigantycznego kawałka tortu.

Jack czekał, by jego syn coś powiedział, ale Ben

zachowywał milczenie, gdy przechodzili przez ulicę i wpadli do kawiarni Andrew, odpowiedniej do zjedzenia w kanapki w niezwykły dzień, kiedy nie był umówiony w Gotham czy Union Square Cafe z jakimś agentem lub autorem.

W końcu, usadowiony w boksie w głębi, Ben wybuchnął: - Jak mogłeś? Słuchaj, jestem tak samo wstrząśnięty jak ty tym, co Roger zrobił. Ale dlaczego, do diabła, nie przyszedłeś najpierw do mnie? On jest moim autorem, do cholery!

- Właśnie dlatego nie wezwałem cię na to spotkanie. Nie chciałem, żeby to wpłynęło na twoje stosunki z nim.

- Taki „dobry glina i zły glina”? Roger biegnie do mnie, a ja poklepuję go po plecach i mówię, że wiem, co czuje?

- Nie ująłbym tego dokładnie tak.

- Mogłeś przynajmniej wyświadczyć mi tę grzeczność i pozwolić zdecydować, jak to rozegrać. Nie miałeś prawa działać za moimi plecami jak... Jezu - walnął pięścią w stół, jak gdyby pragnął, by była to twarz ojca.

- Przykro mi - Jack starał się powiedzieć to tak, by Ben zrozumiał, że naprawdę mu przykro, ale tylko ze względu na to, co to dla Bena znaczy.

- Nie tak, jak mnie będzie przykro. Albo Reinholdowi, kiedy o tym usłyszy - mówił Ben przyciszonym głosem, gdy kelnerka, zbyt stara, by pracować cały dzień, napełniała ich filiżanki.

Mimo niemal bolesnej potrzeby, by mu przerwać i wypełnić tę bolesną chwilę wyjaśnieniami i zapewnieniami, Jack uczuł poryw gniewu. Ben znowu myśli tylko o sobie. - To trzeba było zrobić - powiedział po prostu.

Patrzył, jak Ben pociąga łyk kawy, krzywi się, odstawia filiżankę wystarczająco mocno, by trochę parującego płynu przelało się przez brzeg. Ben wziął serwetkę i spodek. W tej chwili, w sposobie, w jaki złożył starannie przemoczoną serwetkę i wsunął ją pod spodek, Jack

dojrzał przelotnie Natalie.

- Skoro mowa o Reinholdzie - powiedział Ben - to on chce wylać Jerry'ego... Wiedziałaś o tym? - Ben wpatrywał się w Jacka z podbródkiem wysuniętym do przodu. Jego blada skóra we fluoryzującym świetle kawiarni miała lekko fioletowy odcień. Skóra Natalie, pomyślał Jack, krzywiąc się na wspomnienie dumy swojej byłej żony z tego, co uważała za swoją patrycjuszowską urodę i tego, jak się wdzięczyła, kiedy jakiś głupek jej mówił: „Och, ależ pani ani trochę nie wygląda na Żydówkę”!

A czy zmienianie tematu właśnie wtedy, kiedy robiło się gorąco, nie przypominało również Natalie? Jack był zirytowany także tym, że jakimś sposobem plotki rozeszły się po firmie zanim mógł porozmawiać z Jerrym.

- Zdaję sobie sprawę z zastrzeżeń Kurta - powiedział Jack ostrożnie. - Ale sądzę, że zdołałem go przekonać, iż wylanie Jerry'ego byłoby błędem.

- Dlaczego błędem? On jest ciężarem i wszyscy o tym wiedzą.

To sformułowanie, którego Ben użył dokładnie tak jak nieco wcześniej Reinhold, uruchomiło w głowie Jacka brzęczyk alarmowy. Czy to Ben sprowokował całą rzecz? Może nawet posunął się tak daleko, że zwrócił uwagę Reinholda na ten kawałek w „Publishers Weekly”?

- Polujesz na pracę Jerry'ego - powiedział Jack, dziwiąc się swojej ślepotcie, która nie pozwoliła mu zorientować się w tym wcześniej. - To o to w tym wszystkim chodzi, prawda?

- Kto by nie polował? Każdy na moim miejscu byłby głupcem, gdyby odmówił - powiedział wymijająco Ben.

Jackowi nie podobało się to, co widział teraz na twarzy syna. Minę posiadacza, jak gdyby stanowisko naczelnego redaktora zostało mu już przyrzeczone. Jack przełknął jeszcze trochę kawy o okropnym smaku, czując, że pali go jak kwas.

- A nie zastanawiałaś się nad tym - powiedział powoli - że nie nadawałbyś się na miejsce Jerry'ego, nawet

gdymy Reinhold rzeczywiście go wyrzucił?

- Do cholery, Roger Young, jest moją przepustką - wściekły błysk pojawił się w oczach Bena.

- Nie zapominaj, że Roger wciąż jest związany kontraktem na jeszcze jedną książkę - łagodnie przypomniał mu Jack.

- A co potem? O ile nie wyciągnę królika z kapelusza, będzie wolny. Random House, Simon i Schuster, Bantam będą się zabijać o Rogera.

- Nie miałem wyboru, Ben - powiedział Jack, potrząsając głową.

- Zdaje się, że już słyszałem tę kwestię - powiedział Ben z wyraźną goryczą w głosie.

- Jeśli chodzi ci o twoją matkę i o mnie... - Jack wykonywał właśnie skok na głowę na niebezpieczną wodę, by wreszcie zamknąć ten temat, tak jak i wszystko inne, o co Ben żywił do niego urazę - ...to nie była niczyja wina. Oddaliliśmy się od siebie, to wszystko.

Ben rzucił mu pełne niesmaku spojrzenie, ale potem twarz mu złagodniała i podniósł dłoń w pojednawczym geście. - Słuchaj, tato, zapomnij o tym. Przykro mi, że o tym wspomniałem.

Zapadła między nimi cisza, krucha jak zimna grzanka, pozostawiona na talerzu na nie sprzątniętym stole obok ich boksu.

Przyszła kolej Jacka na zmianę tematu. - Uhm, słuchaj... zapomniałem ci powiedzieć. Mam wolny bilet do cyrku na dzisiejszy wieczór. Hanna nie może pójść - kilka tygodni temu, kiedy zaprosił Bena, ten twierdził, że ma inne plany. Teraz Jack zapytał: - Na pewno nie zmienisz zdania? To jedyna w życiu okazja, Grace w ryzykownym numerze.

- Już to widziałem - Ben zaśmiał się z nieprzyjemnym prychnięciem. - Nie nazywasz tego, co się dzieje między tobą, Grace i Hanną ryzykownym numerem? - szybko spuścił wzrok. - Przepraszam, to był głupi żart. Spójrz prawdzie w oczy, tato. Hanna nigdy jej nie zaakceptuje.

Jack czuł, że wrażenie palenia w żołądku znów się nasila.

Wymówka Hanny w ostatniej chwili była istotnie dość marna. Zadzwoiła, by powiedzieć, że została zaproszona do spędzenia weekendu w Montauk z rodziną jej przyjaciółki Kath, udając, że to coś wielkiego, chociaż tak naprawdę bywała tam praktycznie co drugi weekend.

- Nie tylko to się nie zmieni - ciągnął Ben. - Za rok od tej chwili Grace nadal będzie o piętnaście lat młodsza od ciebie.

- Miałem wrażenie, że lubisz Grace.

- Moje lubienie czy nielubienie jej nie ma nic do rzeczy. Po prostu myślę, że angażujesz się głębiej niż powinien.

Jack miał wrażenie, że głos Bena odbija echem jego lęki. Za każdym razem, kiedy patrzył na Grace, tak jaśniejącą młodością, tak pełną pasji, tak żywą, czy nie kryła się w nim ta myśl? Myśl, która uwierała jak kamyk w bucie: „Kiedy ty będziesz miał siedemdziesiąt lat i będziesz starym człowiekiem, do niej mężczyźni nadal będą uderzali w zaloty”.

Zaczął wspominać swego ojca. Ile on miał wtedy lat? Niewiele ponad siedemdziesiąt? Czy papa mógł przeżywać takie same lęki, kiedy powtórnie się ożenił? A stało się to strasznie szybko po śmierci mamy. Czy podejrzewał, jeszcze zanim wsunął obrączkę na palec Rity, że pewnego dnia ona zacznie go zdradzać? Nie, żeby Rita była taką złą osobą - kto mógłby ją winić za to, że miała normalne pragnienia i potrzeby? Pełną życia kobietę, tuż po pięćdziesiątce, obarczoną słabym, starym mężczyzną, który potrzebował pomocy przy schodzeniu po schodach i który czasami moczył łóżko. W pewnym sensie szczęśliwie się złożyło, że tata zmarł, zanim Rita go zostawiła.

- Może się angażuję - przyznał Jack, nie chcąc, by Ben dostrzegł, w jak czuły punkt trafił. - Wiem tylko, że nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej.

- Czy to znaczy, że zamierzasz się z nią ożenić?

- Ben, nie jest to coś, o czym chciałbym roz... - zamilkł, zmrożony wyrazem potępienia na przystojnej twarzy syna. Westchnął. - Właściwie z Grace również o tym nie

rozmawialiśmy. Co nie znaczy, że tego nie rozważam.

Ben wzruszył ramionami. - Wiesz, oboje jesteście szaleni. Chcę powiedzieć, że razem wzięci macie za sobą dwa małżeństwa i popatrz, co z nich wyszło. Chyba jedyne, co mogę powiedzieć na korzyść twoją i Grace, to, że prawdopodobnie nie będziecie mieli dzieci. W ten sposób, jeśli znowu to spieprzycie, nikt oprócz was dwojga nie będzie cierpiał.

- Patrzysz na to wszystko dość ponuro - powiedział Jack chłodno.

- Cóż, niedaleko pada jabłko...

Wobec niewzruszonego spojrzenia syna Jack zaczął zdawać sobie sprawę z brzęczenia naczyń, słabego, miarowego syczenia rondla, przyjaznego przekrzykiwania się między przejrzałą kelnerką a brodatym mężczyzną przy kasie. Z dźwięków, które kołysły, które mówiły, że świat nadal zajmuje się swoimi sprawami, że ta nowa, zięćca między Jackiem Goldem i jego synem przepaść nie zmieni dostrzegalnie wszechświata.

W końcu Jack zapytał: - Jeszcze kawy?

Ben zerknął na zegarek, starego rolexa, którego dała mu Natalie, kiedy ukończył Yale. Różowe złoto, wyglądające niemal kobieco, ale na Benie uderzało miłą nutą elegancji.

- Nie mogę - powiedział. - Za dziesięć minut mam spotkanie z Bella Chandler. Och, a jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór... to nie zdążę. Przyjemnej randki.

Kwaśny ton w głosie Bena skłonił Jacka do pytania: - Twoja matka?

Ben skinął głową. - Ta zbiórka pieniędzy na muzeum, której ona przewodniczy. Wiesz, jak nieswojo się czuje, kiedy nie ma eskorty.

Nic dziwnego, że Ben nie ma stałej dziewczyny, pomyślał Jack. Nie przy Natalie, przymilającej się, by wszędzie jej asystował. To prawdopodobnie jeszcze jeden powód, że dzieciak ma do niego żal. Gdyby on pozostał jej mężem, Ben byłby wolny.

Jack zastanawiał się nad powiedzeniem czegoś - powiedzeniem Benowi, że musi żyć własnym życiem, nie



próbować naprawiać wobec matki czegoś, co nie jest jego winą. Jednak Ben będzie musiał sam do tego dojść. Albo zacznie mieć dość wymagań Natalie, albo, jeszcze lepiej, zakocha się.

- Przykro mi, że nie możesz pójść do cyrku - powiedział Jack.

- Taak, mnie także - Ben popatrzył na swoje ręce, zaciśnięte na stole, zanim odepchnął krzesło i wstał.

Rzeczywiście? Jack podniósł się i lekko poklepał Bena po ramieniu. W tej chwili chyba najbardziej pragnął, by Ben dał mu jeszcze chwilę, której tak długo mu odmawiał.

Ale co mógłby teraz powiedzieć, czego jeszcze nie powiedział?

## ROZDZIAŁ 8

Jack nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był w cyrku. Wieki temu, kiedy Ben i Hanna byli dziećmi.

Jeszcze się z tym nie uporał, gdy zobaczył na grzbiecie słonia Erikę Jong w ozdobionym błyskotkami kostiumie, uśmiechniętą jak każde dziecko, które kiedykolwiek marzyło o ucieczce do cyrku. Przedtem Stephen King w czarodziejski sposób przepiłował kobietę na pół. A Norman Mailer balansował na desce przełożonej przez beczkę. Było to lepsze niż tresowane niedźwiedzie i lwy, skaczące przez płonące obręcze - a tego też było trochę.

Ale teraz była kolej na Grace na trapezie i Jack czuł, że coś w nim zamiera, jak biegi zatrzymującej się raptownie karuzeli. Wydawała się taka mała tam na górze, w różowo-czarnym kostiumie, z włosami odgarniętymi z twarzy aksamitną przepaską, nabijaną kryształami. Stała sama

i całkowicie nieruchoma, twarzą zwrócona do artysty na trapezie po przeciwnej stronie, oczekując na jego znak, zanim chwyci drążek, zawieszony tuż nad jej głową.

Oklaski wezbrały i rozbiły się nad Jackiem jak przybrzeżna fala. Zdawał sobie z nich sprawę, ale tylko niejasno. Cała jego uwaga skupiona była na drobnej figurce, zawieszanej na szczycie wysokiej, krucho wyglądającej stalowej konstrukcji - na kobiecie, która uniesie ze sobą zarówno jego nadzieje, jak i lęki, kiedy skoczy w przód i pofrunie nad areną.

Przypuśćmy, że spadnie? Kto wie, jak mocna jest ta siatka?

Przepełniała go duma z jej odwagi i urody. Skąd ona ją wzięła, tę siłę, by wzbudzić w nim takie uczucie? Mogła mieć każdego, a chciała jego, Jacka Golda. Siwiejące włosy, zaczątek łysiny z tyłu, niewielki problem z prostą i tak dalej.

Głęboko w myślach usłyszał kłótlivy głos swego starego ojca - jak ostrzeżenie lub jak przeczucie - papę, błagającego swą żonę: „Rita, proszę... nie dzisiaj... jesteś mi potrzebna”. I jej okrutnie niefrasobliwą odpowiedź: „Och, Moe, nie bądź starym zrzędą! Dlaczego miałabym zostać? Tylko dlatego, że twój parszywy doktor mówi, że nie możesz wychodzić”?

Jack zmienił pozycję, nagle zrobiło mu się niewygodnie na wąskim siedzeniu, które przypominało mu siedzenia we wszystkich teatrach, salach wykładowych, samolotach, restauracjach, zaprojektowane dla rasy mężczyzn niższych niż on. Rozejrzał się wokół - nie był to zwykły, chadzający do cyrku tłum dzieci i rodziców, zapychający sobie usta prażoną kukurydzą i watą cukrową. Futra, udrapowane na oparciach siedzeń, brylanty, migocące w poświacie, wykrochmalone gorsy koszul smokingowych jak kartki sztywnego papieru, porzucane wokół. Twarze, które rozpoznawał - wydawców, redaktorów, agentów, z którymi jadał lunchy, zamożnych pisarzy, ludzi z klubów książki. Kilka twarzy bywalców bali dobroczynnych, głównie typów z handlu

nieruchomościami i z Wall Street, jak się domyślał.

Później miało się odbyć przyjęcie u Buffy McFarland, przewodniczącej Pen-Clubu przez ostatnie sześć lat, która zawsze zapraszała go, tak samo jak bez liku innych, na jakieś zgromadzenia w celu zbierania pieniędzy dla uwięzionego pisarza czy słuchania wierszy czytanych przez czechosłowackiego poetę. Miejsce na dzisiejszy wieczór, razem z nie wykorzystanym biletem Hanny, kosztowało go dobrych pięćset dolarów. Ale warte było każdego centa, tylko dla chluby oglądania wdzięcznej postaci Grace w górze.

Wyobraził ją sobie naga, nikogo wokół, tylko ich dwoje, on na pomoście naprzeciw niej, wyciągający ramiona, gdy ona rzuca się mu na spotkanie - i poczuł się podniecony. Uśmiechnął się do siebie. Starzejący się wydawca w smokingu, który lepiej na nim leżał pięć lat temu, podniecony jak uczeń drugiej klasy szkoły średniej, robiący przegląd dziewcząt, zagrzewających do gry na meczu futbolowym.

Odezwał się w narastającym powoli crescendo werbel i Jack poczuł, że napinają mu się ramiona, jak gdyby po to, by ją chwycić. Patrzył, jak Grace wspina się na palce, filigranowa i na pozór pewna siebie, gdy poprawiała chwyt na drążku trapezu. A potem zebrała się w sobie i jednym płynnym ruchem pofrunęła nad areną, światła ponad nią zapalały się w kryształach na jej przepasce wybuchem oślepiającego blasku. Wokół niego wzbierało ogólne sapanie i zobaczył, że ludzie wokół pochylają się do przodu. Zdał sobie wtedy sprawę, że jest jednym z nich, że twardy brzeg krzesła wpija mu się w kość ogonową.

Nie spadnij, modlił się. Kocham cię.

Chociaż wiedział, że nie zagraża jej żadne prawdziwe niebezpieczeństwo, nadal zbyt się bał, by patrzeć i musiał zacisnąć powieki. Kiedy je otworzył, ona wisiła głową w dół, frunąc z powrotem, zawieszona za kostki nóg w uchwycie partnera. Ramiona rozłożone szeroko, jak gdyby obejmowała cały świat, uśmiech rozjaśniał całą jej

twarz niczym rząd reflektorów w studiu filmowym.

Patrzył, jak ląduje na przeciwnym pomoście, jak gdyby robiła to przez całe życie. A potem następny przelot nad areną, i jeszcze jeden - tym razem, obracając się w największym wychyleniu łuku, przekręciła się tak, że zwisała od kolan. Oklaski, skape z początku, narosły do ogłuszającego huku przy akompaniamencie kocię muzyki.

Jack czuł, jak powietrze wypływa mu z płuc jednym, przyprawiającym o zawrót głowy strumieniem. Klaszcząc szaleńczo, zerwał się na równe nogi i z rozbawieniem zobaczył, że zapoczątkował owację na stojąco.

Kiedy zapaliły się światła, zatrzymał się po wewnętrznej stronie bariery otaczającej arenę, czekając na Grace, podczas gdy widzowie, gawędząc uprzejmie między sobą, kierowali się do wyjścia. Chwilę rozmawiał z agentem Grace, Hankiem Carrollem, gratulując mu kontraktu na trzy książki, jaki ostatnio wynegocjował z Cadoganem w imieniu Janice Kittredge, swojej najpoczytniejszej autorki powieści detektywistycznych.

- Dzięki. Mam tylko nadzieję, że zostaną wam, chłopcy, pieniądze w budżecie na reklamę po ułożeniu się poza sądem z panią Truscott - zażartował Hank, każąc Jackowi żałować, że Grace mu się zwierzyła, nawet jeśli on jest jej agentem.

- Miejmy nadzieję, że załatwimy tę sprawę, zanim trafi do sądu.

- Czy poznałeś już matkę Grace? - wysoki, chudy jak trzcina agent rozciągnął usta w niewesołym uśmiechu. - Ja sam miałem przyjemność, całe lata temu, kiedy pani Truscott odwiedziła Nowy Jork. Wyjątkowa kobieta... ale nie ma się ochoty wchodzić jej w drogę.

Patrząc, jak Hank znika, Jack zastanawiał się nad tą rozmową. Hank niechcący trafił w sedno problemu - Grace jest tutaj... a Cordelia Truscott w Georgii. Jack był pewien, że klucz do tego, by nie uderzył w nich jakiś bzdurny zakaz, leży w skłonieniu Grace do porozumienia z matką i znalezienia takiego rozwiązania, które satysfakcjonowałoby je obydwie. A gdyby tak ona rzeczywiście

zaprosiła matkę do złożenia wizyty?

Po przedstawieniu zasugeruje to Grace, a przynajmniej skłoni ją, by się nad tym zastanowiła. Ale niemal słyszał, co ona powie: „Zaprosić moją matkę w odwiedziny? Oszalałeś?”

Być może oszalałem, pomyślał. Ale warto spróbować i możliwe, że lepszego wyjścia nie mamy.

Dogonił Grace w tłumie wychodzących, ubraną w trencz z paskiem wokół jej niemożliwie cienkiej talii, i zrobił jeszcze jeden krok naprzód, by ją pocałować. Stojąc tak blisko, czuł swoje własne ciepło, odbijające się od jej chłodnego policzka. Pachniała również słodko, jak gdyby właśnie wzięła prysznic. Szamponem dla dzieci i tym balsamem kokosowym, który kazał mu myśleć o słonecznych plażach i kochaniu się pod leniwym wentylatorem pod sufitem.

Chciałby, by byli tam teraz, w Anguilla, St. Bart, Eleuthera, w jakiejś tropikalnej kryjówce, o kontynent od ultimatów Reinholda... od Chrisa, Bena i Hanny... od ich skomplikowanej przeszłości.

- Byłaś fantastyczna - powiedział. - Jak gdybym musiał ci to mówić. Dostałaś większą owację niż cała reszta ich razem wzięta.

- Och, to było łatwe - zaśmiała się. - Gorzej było za kulisami. To szczerzenie się do wszystkich tych fotografów. Myślałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę - rozejrzała się wokół, z zakłopotanym łobuzerskim wyrazem twarzy, jak uczennica, zamierzająca opuścić następną lekcję. - Słuchaj, Jack, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy zrezygnowali z przyjęcia? Jestem skonana. Jedyne, na co naprawdę mam ochotę, to zjeść jakieś chińskie danie na wynos i przytulić się do ciebie w łóżku.

- W tej kolejności?

Przywarła do niego. Jak doskonale pasowali do siebie, z jej ręką, wsuniętą pod jego ramię, czubkiem jej głowy, sięgającym jego podbródka. Kiedy wspięła się na palce, by pocałować go w ucho, poczuł rozkoszną żądzę niemal

bliską bólu.

- To zależy, jak sobie radzisz z chińskimi pałeczkami. Więc jak, u ciebie czy u mnie? Chris jest ze swoim tatą w Hamptons, więc masz mnie całą dla siebie.

- Hanna... - zaczął i poczuł, że ona lekko sztywnieje - ...spędza weekend ze swoją przyjaciółką Kath. To dlatego jej tutaj nie ma. Przesyła pozdrowienia - Grace podniosła na niego oczy, marszcząc czoło nad nie zadanyim pytaniem, ale nie powiedziała nic.

Czy w końcu nam się uda? - zastanawiał się. Czy zdołamy przetrwać cały wieczór, żeby do naszej rozmowy nie wkradały się dzieci? Boże, miał nadzieję, że tak. W tej chwili oddałby prawie wszystko za jedną noc... jedną, nie zakłóconą noc z Grace, całą dla niego.

## O

- Jack... nie wiem, jak ci to powiedzieć... - Grace siedziała ze skrzyżowanymi nogami na jego podwójnym łóżku w nieporządnej, na pół urządzonej sypialni, której styl określała nazwą „neoseparacja”. Pocierała sobie skronie, tak jak wtedy, kiedy nachodził ją ból głowy.

Jack poczuł, że coś wali mu w piersi, jak ptak, uderzający w locie o szybę. Ma zamiar powiedzieć, że jest zmęczona wyczekiwaniem, aż ja się zdecyduję. Że ma dość.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć jej o swojej bożonarodzeniowej niespodziance; pracował nad nią od miesięcy. Ale może ona przyjęłaby ją opacznie? Zrozumiała jako oświadczyzny, do których nie jest jeszcze gotów?

Do diabła, dlaczego nie może jej po prostu powiedzieć tego, co chce usłyszeć? Bóg wie, że nie przez brak miłości do niej. Jeżeli już, była to kwestia nadmiaru - całej łącznej historii, którą przeżyli z dala od siebie.

- Chodzi o książkę, Jack - powiedziała Grace. - Nie wiem, czy dam sobie radę z tym wszystkim. Dzisiaj znowu rozmawiałam z Winem. Twierdzi, że próbował zniechęcić matkę, ale ona jest nieugięta. Chce nakazu

wstrzymania publikacji. Win twierdzi, że stosuje wymijającą taktykę, ale nie może zwodzić jej zbyt długo.

Mimo woli Jack najpierw poczuł ulgę, ogromną ulgę. To o swojej książce, a nie o nich chciała rozmawiać Grace. Ale pod wpływem tego, co powiedziała, jego umysł przestawił się na inne tory, wyłącznie na interesy. Gdyby Grace zostawiła na boku tę historię o Nedzie Emorym, nadal byłaby to książka do czytania, znakomita pod wieloma względami, ale nie... sensacyjna. Przy odrobinie szczęścia mogliby mieć zamówień na dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy. Prawdopodobnie jakieś pełne szacunku recenzje, ale żadnego podniecenia w mediach, żadnych list bestsellerów, żadnej gwarancji podreperowania zysków Cadogana za ten rok.

Co oznaczało zagrożenie nie tylko dla posady Jerry'ego Schillera.

Poczuł, jak mu-szu, które właśnie zjadł, znów podchodzi mu do gardła. Bóg wie, że napatrzył się tego dosyć w telewizji i w milionie gazetowych historii - najwyższa kadra kierownicza bez pracy, i nikt jej nie chciał ani potrzebował. Współczuł tym facetom, ale nigdy, ani razu, nie przeszło mu przez myśl, że on sam może być jednym z tych nieszczęśników.

Reinhold polował na niego, odkąd tylko przyszedł. I Jack nie mógł go winić. Nie było tajemnicą, że Jack był przeciwny nabyciu Cadogana przez Hauptmana. Poza tym, kto chciał trzeciego w hierarchii, przyzwyczajonego do bycia szefem?

Z drugiej strony, Reinhold nie jest głupi. Potrzebne mu są lata doświadczenia Jacka, jego stosunki z autorami, agentami, waszyngtońskim towarzystwem, połączone z głęboką znajomością żył, arterii i organów wewnętrznych firmy, tym bardziej że nie wszystkie innowacje wprowadzone przez nowego szefa okazały się szczególnie udane.

Potrzebny im *Honor ponad wszystko* - teraz bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby Roger Young miał odejść, książka Grace mogła być jedyną rzeczą, podtrzymującą

istnienie Cadogana jako takiej firmy, którą kochał... i w której było dla niego miejsce.

Chwycił drobne ręce Grace. Jej pierścionki, wszystkie sześć, trzy na każdej ręce - plecione srebro, turkus, agat - wpijały się chłodno w mięsiste poduszki jego dłoni jak ogniwa łańcucha. - Grace, nie mówię ci, co masz robić, namawiam cię tylko. Ale czy nie przyszło ci na myśl, że najlepszym sposobem uporania się z tym byłoby stanąć twarzą w twarz z twoją matką? Wiesz, mogłabyś zaprosić ją w odwiedziny.

Grace wyglądała jak ogłuszona, ale potem, kiedy dotarła do niej ta możliwość, zaczęła ją ogarniać lekka panika. - Nie mówisz tego poważnie.

- Może to nie jest rozwiązanie, ale mógłby to być przynajmniej początek.

- Boże, to by było jak... no, jak być gorliwym katolikiem i przyjmować papieża. Miałabym się na bacności każdej sekundy dnia.

- Jesteś pewna, że nie przesadzasz choćby odrobinę?

- Nie znasz mojej matki. - Grace zamyśliła się na chwilę, a potem powiedziała: - Pamiętam, jak dawno temu matka, Sissy i ja odwiedzałyśmy babcię Clayborn tam, w Blessing. Musiało to być mniej więcej w czasie, kiedy tata forsował ustawę o prawach obywatelskich, ponieważ pewnej nocy przed domem pojawiła się grupa mężczyzn - nieśli latarki i broń palną i wykrzykiwali coś o tacie jako „miłośniku czarnuchów”. Ale matka... wymaszerowała na werandę i stawiała im czoło, jak gdyby byli niczym więcej jak bandą rozwydrzonych chuliganów.

- Ona przypomina mi kogoś, kogo znam - dociął jej Jack.

Ale Grace, mocno obejmując się ramionami, wykrzyknęła: - Och, Jack, a jeśli ona ma rację? Czy to, że powiem całą prawdę o śmierci Neda Emory'ego, warte jest całej udreki, jaką spowoduje? Nie mówiąc już o bojach prawniczych?



Jack wziął głęboki oddech. - Pozwól mi się zająć prawnikami. Skup się tylko na tym, czego ty chcesz, niezależnie od twojej matki czy kogokolwiek innego.

Po chwili milczenia Grace powiedziała: - Właśnie myślałam o Noli. Odkąd się poznałyśmy, mam uczucie, że jest coś, o czym ona nie mówi. A potem mi zaświtało: może mój ojciec naprawdę chciał zrobić krzywdę Nedowi Emory'emu, może nawet go zabić Bóg wie dlaczego. Może wiedział, że Ned groził Margaret i po prostu coś w nim pękło. Wiesz, jemu naprawdę na niej zależało. W pewnym sensie Margaret była chyba jego najbliższą przyjaciółką. Mógł zrobić coś więcej niż tylko ją chronić.

- Nie wierzysz w to, prawda?

- Och, Jack - westchnęła. - Ostatnio sama nie wiem, w co wierzyć.

Spojrzenie Jacka powędrowało do ławeczki, której Natalie zdecydowała się nie zatrzymywać, a która jakimś sposobem stała się składem jego ubrań - koszul, skarpetek, krawatów, przewieszonych na chybił trafił przez długie, wrzecionowate oparcie - zanim zabierze się za porządkowanie szuflad komody. Zauważył, jak gdyby po raz pierwszy, ułożone w kącie kartonowe pudła, które po ponad ośmiu miesiącach należało jeszcze rozpakować, oprawione szkice, oparte o listwę podłogi. W jednym błysku zobaczył to mieszkanie wyraźnie: jako poczekalnię człowieka, czekającego stosownej chwili, by powziąć decyzję.

Ale kiedy to się stanie? I jak może być absolutnie pewny Grace, kiedy najwidoczniej ona także ma własne wątpliwości? Jack gwałtownie zapragnął móc rozwiązać wszystkie jej obawy... i swoje. Móc w jakiś sposób sprawić, by wszystko było dobrze.

Opierając się o zagłówek wyciągnął ramiona, a ona natychmiast przycisnęła się do niego, jej policzek spoczął na jego piersi, czubek głowy ocierał się o jego podbródek. Nawet palce stóp zdołała wbić w jego nogi, jak na pół zmrożone kawałki lodu, tając przy jego ciepłym ciele.

Sięgnął w dół i zagarnął jej stopę, rozmasowując ją okrężnymi ruchami kciuka. Kochał jej stopy, tak małe, że łatwo weszłyby w parę butów, z których Hanna wyrosła w szóstej klasie. Jej różowe paznokcie i wygięcie łuków - jak u baleriny.

Grace wiła się z rozkoszy; jej piersi miękkie i rozpustne na jego piersi. Jack poczuł, że twardnieje. Jezu, jak może ją tak kochać... pragnąć jej tak bardzo... jeśli istnieje to wszystko, co ich od siebie odpycha?

Zgiął szyję, by ją pocałować, a ona przechyliła głowę, by spotkać go w połowie drogi z ustami lekko rozchylonymi, ramionami napinającymi się wokół niego ze stalową siłą, jak gdyby on tonał, a ona utrzymywała go na powierzchni.

Wyciągnęła nogę tak, że jego ręka, obejmująca jej stopę, ześlizgnęła się po udzie. Jedwab... rozkoszny jedwab, z delikatnymi włoskami, łaskoczącymi go w dłoń. Dziwne, ale myślał o wgrzaniu się w ciepłą, dojrzałą na słońcu brzoskwinie. Wrażenia, które w nim wyczarowywała, były każde z osobna uczta, co jedna to bardziej kusząca i podniecająca.

Była sadem brzoskwinowym, miała jego ciepło, jego smak, kiedy podciągnął jej podkoszulek i całował najpierw jedną pierś, potem drugą. O Jezu! Potrafiła zmienić go w nienasyconego nastolatka.

- Jack... Jack, tak bardzo cię kocham...

- Wiem... - wyszeptał, gdy oboje zsuwali się w dół, aż ich głowy spoczęły na poduszce, twarzą jedno do drugiego, z ramionami i nogami szczelnie splecionymi. - Nie, nie odwracaj się. Zostań tak. Na boku. Tak, nogę... o, tak. Tak.

Kiedy wygięła się ku niemu, z jedną nogą przerzuconą przez jego biodro, drugą przygwożdżoną do materaca, poczuł, że się w nią wsuwa... właściwe nachylenie, jej lepkie ciepło, jak za ich pierwszym razem, kiedy skończył szybko jak smarkacz. Naprężył się, by się poprawić, wpadając w powolny, ale przemyślany rytm... obejmując rękoma jej pośladki, z każdym pchnięciem naprowadzając ją głębiej, bliżej siebie.

Czuł jej oddech na szyi, łagodne strużki powietrza, które doprowadzały go tuż nad skraj. Drobiny światła tańczyły mu pod zamkniętymi powiekami. Ale to nie żaden fizyczny ruch, ani żadna część jej ciała tak go podniecały. To jej zapał, jej energia - wszystko, co kazało mu się w niej zakochać. To głupota myśleć, że wszystko jest w fiucie, kiedy prawdziwa siła miłości tkwi w umyśle i w sercu.

Później, gdy leżeli spleceni między splątanymi prześcieradłami, Jack powiedział miękko: - Ja naprawdę myślałem to, co powiedziałem przedtem, o zaproszeniu twojej matki w odwiedziny.

- Wiem -jęknęła. - Ale to nic nie da. Ona jest oliwą, ja wodą. Ilekroć rozmawiam z nią przez telefon, niezmiennie jestem tak sfrustrowana, że zanim odłożę słuchawkę, gotowa jestem rzucić czymś o ścianę.

- Twarzą w twarz mogłoby być inaczej.

- Nie przyjedzie, nawet gdybym ją zaprosiła.

- Nie wiesz tego.

- A ty wiesz?

Jack nie chciał naciskać. Ale musiał. - Może przyjedzie. Skąd możesz wiedzieć na pewno, dopóki nie zapytasz?

Zaśmiała się sucho, zgrzytliwie, z głębi gardła. - Nie znasz Cordelii Clayborn Truscott.

- Ale ponieważ sypiam z jej córką, nie sądzisz, że nadeszła pora, abym ją poznał?

Grace tak długo milczała, iż mogłoby pomyśleć, że zapadła w sen, gdyby nie naprężenie w jej ciele, jak w odgiętym zawiasie, gotowym odskoczyć. W końcu odwróciła twarz ku niemu i, z wyraźnie zarysowanymi w blasku nocnej lampki policzkami, powiedziała głosem trzpiotki przyjmującej wyzwanie: - A więc dobrze, Jacku Gold. Zrobię to. Zaproszę ją. Ale jeśli przyjmie zaproszenie... cóż, nie mów wtedy, że cię nie ostrzegałam.

## ROZDZIAŁ 9

- Gabe, chcę cię o coś zapytać...

Cordelia, klęcząc na skraju rabaty tulipanów, odłożyła rydel do wiklinowego koszyka u swego boku. Oprócz szeregu innych narzędzi ogrodniczych, każde porządnie schowane w oddzielną kieszeń, koszyk zawierał garść drewnianych palików i motek sznurka do zaznaczania rzędów.

...Wiem, że nie otrzymałeś ozdobnego zaproszenia przed tygodniami, jak wszyscy inni, ale czy przyjdiesz na przyjęcie Sissy? Moją jedyną wymówką, że czekałam praktycznie do ostatniej chwili, jest to, że się bałam... wyglądać głupio... i ryzykować naszą piękną przyjaźń dla jakiejś ulotnej mrzonki...

Nie, nie mogła tego powiedzieć. Gabe byłby wstrząśnięty i strapiony dowiadując się, że ona ma dla niego takie uczucia - uczucia, których prawdopodobnie nie mógłby podzielać. Wydałaby się śmieszna. Byłoby lepiej, gdyby w zamian zaprosiła Jareda Fultona, tego miłego prawnika, którego jej stara przyjaciółka Iris przedstawiła w zeszłą sobotę na swoim i Jima przyjęciu rocznicowym. Jared przekroczył sześćdziesiątkę i kochał muzykę tak samo jak ona - czyż nie zaprosił jej na następny czwartek na koncert orkiestry filadelfijskiej w Macon? Wystarczyło tylko odwzajemnić grzeczność.

A co będzie ze mną i z Gabe'em? Jak ludzie postrzegaliby nas dwoje? - zastanawiała się Cordelia. Mnie u boku Gabe'a po tym, jak byłam z tak potężnym, z tak powszechnie szanowanym człowiekiem jak Gene? Czy on naprawdę mógłby kiedykolwiek stać się częścią mojego życia, życia towarzyskiego, jakie muszę prowadzić ze względu na szpital, uniwersytet, zbieranie funduszy? Nie mówiąc już o kolacjach ze starymi przyjaciółmi - ludźmi, których Gabe nie zna.

Myśl o kolacjach przypomniła jej wczorajszy wieczór. Upłynęły tygodnie, odkąd w jej głowie wykiełkowała myśl, by zaprosić Gabe'a na kolację, i ciągle nie mogła się na to zdobyć. Najpierw na przeszkodzie stanął Win, który zadzwonił ni z tego, ni z owego, potem spotkania w szpitalu, które trzymały ją z dala od ogrodu. Jednak wczoraj, kiedy całe popołudnie przepracowała z Gabe'em ramię przy ramieniu, zaproszenie go na kolację wydawało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Przy kolacji nie było nic ze skrępowania, którego tak się obawiała. Rozmawiali tak swobodnie, jak gdyby byli w ogrodzie, sadząc młode drzewka lub przycinając razem drzewa owocowe - bez przerwy, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co jedzą, chociaż później zauważyła, że spora część pasztetu Netty z kurczęcia i placek jagodowy jakimś sposobem zostały pochłonięte. O czym rozmawiali? O szpitalu i o tym, jaki powinien być nowy dyrektor. O najlepszych gatunkach kawy w Winn Dixie. O starym budynku sądu w Blessing, który Fredda McWilliam przekształcała w targ antyków.

Potem włączyła stereo w gabinecie i przy partyjce *gin rummy* słuchali Kiri Te Kanawa, śpiewającej *Madame Butterfly*. Spokojnie, po przyjacielsku, nic szczególnego, ale wciąż wszystko to wracało do niej - głównie drobiazgi, jak ślady, pozostawione przez buty Gabe'a na grubym dywanie w gabinecie, swojskie brzęczenie naczyń, które pozostawili w zlewie, i jego przyjemny zapach, jak zapach grubych koców z Hudson Bay, złożonych w cedrowej komodzie w rybackim domku jej ojca nad jeziorem Sinclair.

Och, musi przestać krążyć wokół tego jak we śnie! Przez wszystkie te lata doskonale dawała sobie radę bez Gene'a... i jak tylko przewycięży to niesłychane zaślepienie, dalej będzie sobie doskonale dawała radę.

Cordelia zdała sobie sprawę, że Gabe nadal trwa przy niej nieruchomo, czekając, by dokończyła rozpoczęte pytanie.

Szybko zesłała na bezpieczny temat, jednak taki, który ją również niepokoił. - Chodzi o Grace. Napisała list i zaprosiła mnie w odwiedziny do Nowego Jorku - westchnęła.

- Co jej odpowiedziałaś?

Potrząsnęła głową przyznając się: - Ja... jeszcze się nie zdecydowałam.

- Kiedy dostałaś list?

- Tydzień temu.

- To już kawał czasu.

Gabe powrócił do sortowania cebulek żonkili, oglądając każdą, odrzucając te, które już zaczęły kiełkować. Jego palce poruszały się z tak precyzyjną zwinnością, że przywodziły jej na myśl chirurga. Tym razem miał odkrytą głowę i chłodny poranny wietrzyk rozwiewał mu włosy. Zauważyła tu i ówdzie srebrny błysk w jego wspaniałych brązowych włosach i poczuła lekkie zdziwienie. Coś takiego, on siwieje! Nie mogła nie odczuć przyjemności, jak gdyby to było w stanie zmniejszyć przepaść dziesięciu lat między nimi.

W tej chwili, w różanym świetle poranka, w mocnym, wilgotnym zapachu ziemi, unoszącym się wokół, ogarnęło ją pragnienie, by chwycić ubrudzoną rękę Gabe'a i przycisnąć ją do swego policzka. Z wysiłkiem wróciła do dylematu, który targał nią przez ostatni tydzień.

- Jedna część mojej duszy bardzo chciałaby ją zobaczyć... ale niestety, ta druga część chciałaby tylko przetrzucić ją przez kolano i stłuc na kwaśne jabłko. Kłopot w tym, że wiem, która część ma którą w ręce.

Gabe mrugnął. - Jeśli już o tym mowa, czy mogłabyś mi podać ten szpadel?

Podawała mu go i patrzyła, jak zaczyna kopać w torfiaszej glebie, wygrzebując jeden z ostatnich tegorocznych żonkili.

- Jednak minął już cały rok, odkąd nie widziałam Chrisa - ciągnęła Cordelia. - A on w tym roku nie przyjedzie ze swoim ojcem na Boże Narodzenie. Może mieć już metr osiemdziesiąt wzrostu, kiedy go znowu zobaczę.

Myślała o minionych latach, kiedy miewała Chrisa na tydzień czy dwa. Zawsze jeździli nad jezioro Sinclair, do przytulnego, przesłoniętego domku, który matka tak starannie utrzymywała, a który teraz należał do niej. Och, jakże ten chłopiec lubił łowić ryby! Godzinami wystawał na tej przewróconej kłodzie koło strumienia z wędką, zapasowymi haczykami i słoikiem ikry łososia.

Ale kiedy skończył dziesięć lat i Grace zaczęła wysyłać go na letnie obozy, Cordelia prawie nie widywała wnuka. Próbowwała sobie wyobrazić, jak on wygląda teraz, w wieku trzynastu lat - wyższa, smukłej szej wersja harcerzyka, jakim był przed rokiem o tej porze - ale jej myśli przylgnęły do obrazu Chrisa takiego, jakiego kochała najbardziej, do małego chłopca o okrągłej twarzy. Takiego podobnego do swojej matki jako młodej dziewczyny, zamyślnego i uczuciowego, zadającego pytania takie, jak: „Babciu, skąd się biorą gwiazdy”? i „Jak to jest, żęte róże nie pachną”? Pisywała do niego i rozmawiali przez telefon, ale bezbarwne listy, jakie pisał w odpowiedzi, zawsze zaczynały się tak samo i rozdzierały jej serce: „Droga babciu. Jak się miewasz? Ja miewam się świetnie...”

- Chłopiec Grace - zachichotał Gabe, rozrzucając garść cebulek, by zaznaczyć miejsca, gdzie chciał kopać. - Trudno uwierzyć, że ona może mieć kilkunastoletniego syna. Pamiętam, kiedy Grace sama była w tym wieku. Mądra jak szpak. Była jedną z nielicznych uczennic, które wiedziały, co to znaczy pisać o tym, co się poznało, i dlaczego Faulkner wart jest wysiłku, jakiego trzeba, aby go przeczytać.

- Gabriel, ty celowo zmieniasz temat rozmowy.

Przykucnął z powrotem i wlepił w nią wzrok, zasłaniając się uniesioną ręką przed światłem słonecznym, przedzierającym się nad czubkami drzew wiśni. - Może nie jestem najlepszym sędzią w tym, jak powinnaś postępować z córką - zdawało się, że przytłacza go niezmierny smutek. - Są rzeczy, których nie wiesz o mnie, Cordelio.

Czuła, że jej puls przyspiesza, ale kiedy się odezwała, starała się, by brzmiało to rozsądnie: - Gabriel, nie wyobrażam sobie, byś mógł mi powiedzieć o sobie coś, co by mną straszliwie wstrząsnęło.

Coś posępnego błysnęło w łagodnych, brązowych oczach Gabe'a, coś, czego nigdy przedtem nie widziała. - Myślisz, że to wszystko, do czego się nadaję, do sadzenia tulipanów i okrywania grządek mierzwą? Że jestem nieszkodliwym dziwakiem, który nie wytrzymał trudów nauczania?

- Nie chciałam...

- Widzisz, ja sam mam córkę - powiedział cicho, tak cicho, że Cordelia z początku nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Ale teraz ta rewelacja spadała na nią jak zimna fala oceaniczna. Córka? Ależ jego była żona... - było powszechnie wiadomo, że Josephine Ross nie mogła mieć dzieci! Sam Gabe powiedział, że był to jeden z powodów, dla których ich małżeństwo się nie udało.

Żle odczytując szok na jej twarzy, Gabe potrząsnął głową. - To nie to, co sobie wyobrazasz. Byłem wierny Josie. To się zdarzyło znacznie wcześniej, zanim poznałem moją żonę. Miałem siedemnaście lat i była taka dziewczyna, za którą szalałem. My... no cóż, żeby skrócić długą historię, ona zaszła w ciążę. Ożeniłbym się z nią, ale jej rodzice postanowili oddać dziecko do adopcji... i w końcu postawili na swoim.

- Och, Gabe - Cordelia podniosła pachnącą torfem rękę do ust. - Czy wiesz, kto ją adoptował? Gdzie ona teraz jest?

- Spędziłem dziesięć lat na poszukiwaniach. Przeszukałem każdą wieś w promieniu pięciuset mil od Atlanty - uśmiechnął się smutno. - Skończyło się na tym, że osiadłem tutaj. I może to popchnęło mnie do nauczania... wiesz, wówczas ona musiała mieć około czternastu lat. A teraz... no cóż, często zastanawiałem się, czy przez cały ten czas, jaki spędziłem na nauczaniu, nie uciekałem także od czegoś... od tego, kim naprawdę chciałem być.



W tej właśnie chwili, kiedy słońce załśniło w jego nieoczekiwanie błyszczących jak klejnoty oczach, Cordelia przyszło na myśl, że może w pewien sposób Gabe nakłaniał ją do odnalezienia siebie samej - kobiety, jaką była, zanim z powrotem przeniosła się do Blessing, zanim stała się taka szacowna, taka... stateczna.

- Ja... cieszę się, że mi powiedziałaś - było to wszystko, co potrafiła z siebie wydobyć.

Smutek, który czynił go starszym i bardziej szpakowatym, raptownie zniknął i Gabe uśmiechnął się, jak zwykle rozluźniony. - Chyba teraz rozumiesz, dlaczego uważam za takie ważne trzymanie się tego, co się liczy.

- Grace i ja powierzyłyśmy pocztówkom z pozdrowieniami to, co powinnyśmy były mówić jedna drugiej... ale to chyba lepsze niż nic - westchnęła. - Może dlatego tak trudno jest mi się zdecydować. Boję się narażać na szwank to kruche porozumienie, jakie istnieje między mną i moją córką.

- A jeśli nie pojedziesz, co na tym zyskasz?

To samo, co zyskałabym, nie zapraszając cię na przyjęcie Sissy, pomyślała. Nic.

Cordelia nagle zauważyła niegustowny brązowy sweter, jaki narzuciła na strój ogrodniczy i to, że od śniadania nie zadała sobie trudu pociągnięcia ust pomadką. Wyrwała ostowaty chwast, zapominając, że nie ma rękawiczek i poczuła ostre ukłucie. - Dlaczego ty mi nie powiesz, jeśli tak dużo wiesz? - wypaliła, nagle zła na niego za to, że załazł jej za skórę, jak ten kolec zielska, który widziała teraz, sterczący z jej kciuka.

- Wiem tylko, kiedy widzę plecy kogoś uciekającego od prawdy - powiedział, obierając cebulkę żonkila z suchej brązowej osłonki.

- A co jest prawdą? - zapytała.

- Kochasz swoją córkę i jeśli istnieje najmniejsza nawet szansa pogodzenia się z nią, polecisz następnym samolotem do Nowego Jorku.

Gdyby istniało coś takiego jak antyseptyk dla duszy, byłby nim Gabe. Od razu poczuła się jak obmyta do

czysta, z lekko szczypiącą na całym ciele skórą. To, co mówił, było doskonale zrozumiałe, mimo to wciąż czuła się taka niepewna. Niegdyś była taka pewna wszystkiego, taka skora do działania zgodnie ze swymi przekonaniem, ale teraz...

Cordelia wstała, krzywiąc się na sztywność w swoich stawach. Rosło w niej oszołomienie jak musujący płyn w kieliszku. Wsparła się o kolumnę pergoli, nadal obwieszoną poszarpanymi resztkami powojnika z ubiegłego lata, czekając, aż ustąpi zawrót głowy.

Gabe, który natychmiast znalazł się u jej boku, wyglądał na zaniepokojonego. - Dobrze się czujesz?

- Zaczynam się robić za stara na całe to pochylanie się i zginanie - zaśmiała się lekko. - Może wejdziemy do środka? Jestem pewna, że obojgu nam przydałaby się szklanka herbaty. I obiecałam Neticie, że pomogę jej upiec szarlotkę, żeby zdażyła na czas w odwiedziny do szpitala - Cordelia wiedziała, że Netta nadal martwi się o swego małego wnuka, chociaż wydawało się, że niebezpieczeństwo zapalenia opon mózgowych minęło.

Zatrzymała się na werandzie, ociągając się z oderwaniem wzroku od hortensji, obrzmiewającej nad poręczą jak wielka różowa zaspą śnieżna, i malw po tej stronie garażu, omdlałych po babim lecie. Opadła na starą huśtawkę, która stała tutaj od niepamiętnych czasów. Cordelia już dwukrotnie kazała ją obić na nowo, odkąd zmarła matka, ostatnio kapuścianoróżowym perkalem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy kazała oszkląć tę werandę. Czy chociaż robili jeszcze ten rodzaj ciężkich huśtawek? Prawdopodobnie nie. Najlepsze rzeczy, jak te stare bezpieczne samochody i kuchenki, których obsługa nie wymagała dyplomu inżynierskiego - gdzie one wszystkie się podziały? Czy innym ludziom brakuje ich tak jak jej? Czy to tylko oznaka upływających lat, kiedy to, co się pamięta, zaczyna przeważać nad tym, co się wie.

- Nie byłaby to dla mnie dobra pora na wyjazd, te święta i tak dalej - powiedziała. - Jest tyle do zrobienia.

Zorganizowanie kolacji dobroczynnej na rzecz Hilla... i spotykam się z ligą kobiet wyborczyń w Macon, żeby pomóc w zbieraniu funduszy dla biblioteki. Nie mówiąc już o przyjęciu Sissy w nadchodzącą sobotę - skrzywiła się wewnętrznie na własne tchórzostwo w tym, że nie zaprosiła Gabe'a - które, wyznaje, całkowicie wymknęło się spod kontroli. Litości! Z tego, jak Sissy się zachowuje, można by pomyśleć, że to królowa Elżbieta i księżę Edynburga obchodzą złote gody.

- Dlaczego nie, jeśli sprawia jej to przyjemność?

- Gabe oparł się o rowkowaną kolumnę werandy, z której na kilku wydłużonych mosiężnych hakach zwisały ceramiczne doniczki z ostatnimi smugami różowości róż i cyklamenu o żółknących liściach i kwiatach w większości zwiędłych.

- Sama nie wiem... cała ta przesada wydaje się niesmaczna. Ona chce mieć „Caroline i Beech” drukowane srebrem na każdej serwetce, nawet na papierowych ręcznikach w toalecie.

Rzucił jej krzywe spojrzenie, które kazało jej się zarumienić. - Czy to cię zaprzęta? Serwetki i ręczniki?

Cordelia wyjrzała na nagie, wzruszone grządki kwiatowe i na trawę wzdłuż kuchennej ścieżki ze starej cegły, która z nadejściem zimy często pękała. Do Bożego Narodzenia pozostawały tylko dwa tygodnie. Jednak tutaj, na słonecznej werandzie, gdzie siedziała osłonięta przed chłodem, było nawet ciepło. - Ależ... nie. Dziś rano zadzwoniła Sissy. Niemal wychodziła z siebie, tak była zdenerwowana. Podejrzewa, że Beech ma romans. ,

- A ty wiesz to na pewno. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak. - Ale skąd Gabe to wie?

- Powiedziałaś Sissy?

Cordelia westchnęła. - Chciałam, ale co by jej to dało? Znosi go od lat, w ten czy inny sposób. Może to przyjęcie to wszystko, co ma do pokazania po dziesięciu latach małżeństwa.

- Niektórzy ludzie potrzebują iluzji, inaczej się załamują - mówił powoli i starannie, jak gdyby stał przed klasą. - Każdemu potrzebna jest jakaś wiara.

- Nie chcę widzieć Sissy cierpiącej.

- A Grace?

- Czy mówisz mi, że powinnam pojechać do Nowego Jorku? - zapytała, przechylając nieco głowę, gdy zerknęła na niego w górę.

- No proszę! - wykrzyknął, podnosząc wzrok i wskazując ręką. - Widziałas? To chyba wilga. Od wieków nie widziałem wilgi.

Wypreżyła się, by wytropić to, co zobaczył Gabe, ale widziała tylko złoto słońca na liściach koloru popiołu. Dopiero kiedy on położył rękę na jej ramieniu, ściskając je delikatnie, gdy zwracał ją pod innym kątem, zobaczyła ptaka - błysk jaskrawej żółci i czerni wśród gałęzi.

Poczuła niespodziewane łzy w oczach, chociaż siedziała tam myśląc, że to głupie z jej strony wzruszać się czymś tak prostym jak dotyk albo nieoczekiwanym widokiem wilgi, kiedy ważne decyzje - pojechać z wizytą do Grace czy nie albo czy powinna potwierdzić obawy Sissy co do jej męża - pozostawały otwarte jak rany wymagające opatrzenia.

- Przyjdź na przyjęcie - powiedziała cicho; słowa wymknęły się, zdumiewając ją chyba tak samo, jak musiały zdumieć jego. - Chciałam ci wysłać porządne zaproszenie, ale przypuszczam, że to żadna tajemnica, iż Sissy nie aprobuje naszej... - zawahała się, potem wyprostowała ramiona i dokończyła silnym głosem - ...naszej przyjaźni. Ale to mój dom i mogę zaprosić, kogo zechcę - dopiero teraz ośmieliła się spojrzeć na niego. - Proszę, Gabe... to będzie wiele dla mnie znaczyć.

No proszę, powiedziała to. Zrobiła wszystko z wyjątkiem wyznania mu swych uczuć. No cóż, nie byłby to pierwszy raz, kiedy zrobiła z siebie idiotkę.

Serce Cordelii, nawet gdy siedziała nieruchoma i wyprostowana na starej huśtawce, z gorącym światłem poranka na twarzy, trzepotało jak skrzydła wilgi, którą

widziała teraz leącą nad płaczącymi wierzbami przy strumieniu poniżej sadu. Czy Gabe przyjmie zaproszenie? Czy też grzecznie odmówi, nie chcąc dostrajać się do dobrego towarzystwa Blessing?

Ale to Sissy i jej płytycy przyjaciele nie zasługują na towarzystwo człowieka takiego jak Gabe. Proszę, powtarzała milcząco, nie całkiem pewna, o co tak błaga.

Cordelia czekała w dziwnym zawieszeniu, jak gdyby wstrzymywała oddech, choć niejasno była świadoma powietrza, wpływającego i wypływającego z jej płuc.

Wreszcie Gabe opuścił na nią wzrok i uśmiechnął się. - Bardzo chętnie, Cordelio - powiedział cicho, uwalniając jej serce od niespokojnego trzepotania, tak że znowu mogła oddychać.

## O

Tort, który zamówiła Sissy, miał wygląd paradnej platformy na kołach, pokrytej lukrem w cukierkowych kolorach i zasypanej różowymi cukrowymi różami. Miętowozielonym lukrem, pod parą tulących się gołąbków ze srebrnej folii, wypisano: „Caroline i Beech”.

Cordelia pomyślała, że to najbrzydsza rzecz, na jakiej kiedykolwiek spoczęły jej oczy. Poczowała przypływ rozpacz. Sissy i jej pretensjonalne przyjaciółki, jak Melodie Hobson i Julia Hunnicut, zawsze prześcigały się w takich pomysłach nie bacząc na to, jak wulgarny był ostateczny efekt. Szły w zawody o to, która ma bardziej wyszukany samochód, ogród, suknię od bardziej renomowanego projektanta, która organizuje najbardziej ekstrawaganckie przyjęcia. Również jeśli chodzi o ludzi, pozycja była wszystkim. A kiedy przyjdzie Gabe, jakże będą gdakać o „zwarowanym panu Rossie”!

Panie, pozwól mi przetrwać ten wieczór, modliła się Cordelia.

- Och, Netta... - pchnęła pudło z tortem w stronę swej oddanej gosposi. - Czy mogłabyś znaleźć na to jakąś tacę? Srebrna powinna być wystarczająco duża - ręką

wskazała szafkę z porcelaną, gdzie trzymała swój ślubny serwis i stare tace Cristofle'a z monogramem prababki Clayborn. Taca, którą wskazała, z ażurową obwódką, ozdobioną płaskorzeźbami ptaków i winorośli, mogła trochę złagodzić brzydotę tortu.

- Wygląda na to, że przydałaby mu się ciężarówka z platformą - pogarda Netty była jawna... chociaż z Netta nigdy nie była całkiem pewna. Jej sroga gospościa w średnim wieku przywodziła na myśl jeden z tych posagów z Wysp Wielkanocnych - zwalista i niewzruszona, o rysach, które zdawały się nie starzeć, z tym wyjątkiem, że nieco zacierały je żywioły. Jedyny raz, kiedy Cordelia widziała Nettę płaczącą - i nawet wtedy tylko jej oczy zrobiły się bardzo błyszczące, jak dwie stare monety połyskujące w dzbanku - zdarzył się w kwietniu, kiedy Cordelia dała Necie i Hollisowi tytuł własności do domku gościnnego, który zajmowali przez ostatnich dwadzieścia pięć lat.

- Postaw go tam, na kredensie, między tymi dwoma wazonami kwiatów - powiedziała Necie, która wydawała się sztywna i skrępowana w obcym uniformie i organ-dynowym fartuszk z falbankami -jeszcze jeden przejaw pretensjonalności, na który nalegała Sissy.

Cordelia czuła się trochę obrażona w imieniu Netty - żeby kobiecie, która przeniańczyła Grace i Sissy przez świnkę i szkarlatynę i która potrafiła naprawić odkurzacz czy przetkać rurę w takim czasie, ile było trzeba na wezwanie fachowca, mówić, co ma włożyć na taką okazję jak ta! Ile razy widziała Nettę w niedzielę w drodze do kościoła, wystrojoną w elegancki kostium. Netta nie była osobą, która musiałaby przeproszać za swój wygląd.

Zirytowana na siebie za to, że ustąpiła wobec wymagań Sissy, Cordelia zerknęła współczująco na Nettę, potem cofnęła się, by obrzucić stół w jadalni ostatnim spojrzeniem. Pośrodku stała szeroka, płytka misa, w której unosiło się pół tuzina gardenii pomiędzy grubymi migoczącymi świecami różnej wysokości. Na jednym

końcu srebra Rosę Point lśniły na ręcznie haftowanym lnianym obrusie, a każdy talerz błyszczał. Czy zamiast nich powinna była wyjąć swoją ślubną porcelanę Havillanda? Nie, Limoges była równie ładna, a nie tak delikatna. A gdyby jakiś talerz został wyszczerbiony lub zbity, serce nie będzie pękało jej po stracie.

Cordelia przypomniała sobie, jak pewnego razu matka, zauważywszy drobne wyszczerbienie w misie Havillanda, zauważyła sucho: „Wiesz, moja droga, płatna służba jest do zastąpienia, rodzinne dziedzictwo - nie”.

Obserwując Nette, ostrożnie zsuwającą tort na tacę, Cordelia wiedziała, że to nieprawda. Choć matka przez pół życia próbowała ukształtować ją na własny obraz i podobieństwo, Cordelia przysięgła sobie, że nigdy nie będzie cenić żadnej rzeczy bardziej niż człowieka.

Zadzwoił dzwonek u drzwi, anonsując pierwszych gości.

Cordelia poczuła, jak serce podskoczyło jej nieprzyjemnie, i przypomniała sobie wszystkie powody, dla których nie cieszyła się na to przyjęcie - Sissy w swoich brokatakach w rozmiarze szesnastym, pijąca za dużo, jak zawsze na przyjęciach, i Beech, głośny i szorstki, z uściskiem dłoni wylewnego sprzedawcy, niewątpliwie wygłosi jakąś rozwlekłą i żenująco kwiecistą mowę o ukochanej kobiecie, z którą jest żonaty.

Spiesząc wąskim kuchennym korytarzem, który prowadził do bardziej imponującego hallu przy frontowym wejściu, Cordelia żałowała, że przypadkowo dowiedziała się o brudnym sekreciku Beecha. Jeszcze gorsza była tamta pogawędka, jaką odbyła z Beechem po swoim bezowocnym lunchu z Sissy w Mulberry Acres, zanim Sissy sama nabrała podejrzeń.

Siedzieli na werandzie, skąd ich rozmowa nie mogła dojść do uszu Sissy, w pewnym oddaleniu pokazującej chłopcom ptasie gniazdo na drzewie.

- Beech, ja wiem, w co się zaangażowałeś - powiedziała Cordelia bez ogródek. - I chcę, żebyś wiedział, że nie

będę tego tolerować. Ze względu na Sissy, na chłopców. Ten... ten twój romans musi się skończyć.

- Kto ci powiedział, że zdradzam Sissy? - Beech, z rumieńcem na szerokiej, płaskiej twarzy, zdołał przybrać minę uciemżonej niewinności, która nie zwiodłaby prostytutka. Jego świńskie oczka zwięzły się. - Rany, między mną i Janet istnieją tylko interesy. Umawia mnie z niektórymi swoimi sąsiadami z Mulberry Acres, którzy rozglądają się za nowymi czterema kółkami do kupienia.

- Janet? Janet O'Malley? - powiedziała Cordelia spokojnie, by Beech zdał sobie sprawę, że się wygadał. Spotkała Janet tylko raz, u Sissy, ale Sissy zawsze mówiła, że jej młodszy syn, Beau, bardzo się przyjaźni z chłopcem Janet.

- Ależ ja tylko... - zaczął bełkotać, ale Cordelia mu przerwała.

- Na wypadek gdyby umknęło ci to z pamięci, przypomnam, że posiadam hipotekę na twój dom - przynajmniej raz nie trudziła się, by ukryć niesmak pod słodkim tonem. - A raczej powinnam powiedzieć „dom Sissy”, gdyż on jest tylko na jej imię. I jestem pewna, iż wiesz także, że Ed Spangler ma zamiar otworzyć w Gaskin Springs oddział swojej firmy. Jedno moje słówko do Eda, a nie mam wątpliwości, że cię przeniesie... - patrzyła, jak Beech blednie na dźwięk tych słów. - Och, nie rób takiej ponurej miny. Mógłbyś przyjeżdżać do domu na weekendy. To tylko dwieście mil, a jestem pewna, że będzie o wiele mniej, kiedy zbudują tę nową superautostradę. Oczywiście - dodała sarkastycznie - na pewno będziesz zbyt zmęczony na wszelkiego rodzaju nadprogramowe zajęcia, inne niż spędzanie czasu w domu z żoną i synami.

- Ależ, mamó, mylisz się całkowicie - Beech zaczął się podnosić, ale przyszpiliła go miazdzącym spojrzeniem, aż jęknęła wiklina, gdy opadł z powrotem na krzesło.

- Jedno kłamstwo z twoich ust, Beech, a przysięgam... - nie musiała kończyć tej groźby, ponieważ Beech zakrył twarz swoimi dużymi jak szynki dłońmi.

- Ja nie chciałem - doszła ją zduszona, pozornie pełna udreki odpowiedź. - Przysięgam na grób mojej babci. To



był tylko ten jeden raz i od samego początku był to pomysł Janet. Ja nie...

- Guzik mnie obchodzi, czyj to był pomysł. Chcę tylko, żeby to się skończyło raz na zawsze. A teraz - wstała, wyglądając przez szybę na gęstą zielenią ogrodu - gdzie podzieli się Sissy i chłopcy?

Czy strachem wpołam mu trochę rozsądku? - zastanawiała się Cordelia, kiedy przystanąła, by poprawić obraz, który wisiał nieco krzywo. Miała nadzieję... ale z Beechem nigdy nic nie wiadomo. Pamiętała, jak parę lat temu wzięła go za kark za sfałszowanie podpisu Sissy na czeku funduszu powierniczego, z którego skorzystał, by wpłacić zadatek za nową ciężarówkę. Obiecał, że już nigdy więcej nie będzie niczego robił za plecami żony. Ale Beech był jak dziecko. W jednej chwili wychłostany, w następnej znów zajęty starymi psotami. Wystarczyło odwrócić się do niego plecami. Biedna Sissy.

Cordelia westchnęła. O Panie, dlaczego muszę się trapić obiema moimi córkami? Jedną nie dość sprytną, by wiedzieć, co się dzieje tuż pod jej nosem... a drugą zbyt sprytną, którą muszę powstrzymać dla jej własnego dobra.

Poczuła w ustach gorycz. Mimo namów Gabe'a wciąż nie podjęła decyzji co do odwiedzin u Grace. Chociaż Win nalegał, by zatrzymała się w jego mieszkaniu, gdzie mogłaby być na neutralnym gruncie, a jednak widywać Grace i Chrisa. Tak, to było kuszące...

Wzrok Cordelii wyłowił oprawiony w ramki portret Grace w grupie fotografii rodzinnych na ścianie naprzeciw schodów. Siedmioletniej, z warkoczykami i szczerbatym uśmiechem, szerokim jak Missisipi. Miała wrażenie, że coś ostrego przeszywa jej serce. Czy Grace naprawdę ucieszyłaby się na jej widok? Czy też skończyłoby się na tym, że odepchnęłaby ją tak jak wtedy, gdy jako dziecko kopała nóżkami i wymachiwała rączkami, by uwolnić się z uścisku matki?

Nie muszę decydować w tej chwili, powiedziała sobie. Gabe myśli, że powinnam pojechać, ale nie jest powiedziane, że Gabe wie, co jest dla mnie najlepsze...

Gabe.

Zerknęła na zegarek. A jeśli on się nie pokaże? A jeśli w ostatniej chwili zmienił zdanie? Miała nadzieję, że nie... a przecież jednocześnie coś w niej, jakaś mała, drobina, która zbyt długo ocierała się o snobizm matki, niemal pragnęła, by oszczędził im obojgu skrępowania obecnością tutaj.

Jakie to niemądre, powiedziała sobie. Oczywiście, że przyjdzie. Inaczej zadzwoniłby. I mimo wszelkich obaw, że Sissy i jej przyjaciele nie przyjmą go z otwartymi ramionami, nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć. I żeby on zobaczył ją.

Mijając złocone lustro u stóp schodów, Cordelia po raz ostatni przyglądała włosy. Następnym razem powie Linette, żeby tak nie szafowała lakierem. Ale przynajmniej jej sukienka była jak należy - ze ślicznego aksamitu koloru wina. Kupiła ją w Macon, w dziale odzieży od projektantów Macy'ego. Skrojona z ukosa, przymarszczona w talii, rozkloszowana u kolan sprawiała, że Cordelia czuła się o dziesięć lat młodsza.

- Ależ Cordelio, wyglądasz jak z żurnala! - powitała ją jej najdawniejsza przyjaciółka, Iris, wręczając swój płaszcz Hollisowi i robiąc krok do przodu, by pocałować Cordelię w policzek.

- No, patrzcie, kto to mówi! - wykrzyknęła Cordelia.

- Wyglądasz pięknie jak z obrazka.

Oczywiście Iris była zbyt szczupła, ale w końcu zawsze taka była, odkąd razem chodziły do szkoły. Ściskając Iris, Cordelia czuła jej żebra przez szkarłatną satynową bluzkę, wsuniętą w strojne spodnie z czarnego aksamitu. Cordelia przypomniała sobie, że kiedy były dziewczynkami, często mawiały: „kiedy się zestarzejemy...” A teraz się starzejemy, pomyślała w przypływie rozbawienia.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem - Iris zaśmiała się zdyszana, odgarniając z policzka kosmyk srebrnych

włosów. - Mieliliśmy nagły wypadek w Domu i niewiele brakowało, żebym nie przyszła. Priscilla Draper upadła i złamała biodro. Lekarze sobie z tym poradzą, ale długo trzeba ją było trzymać za rękę.

- To coś, co mnie rzadko ostatnio spotyka z jej strony - zachichotał mąż Iris, Jim, sięgając po rękę żony i ściskając ją. Ze swą okrągłą twarzą, prawie białą brodą, i brzuchem, naciągającym szwy smokingu, który lepiej pasował na niego pięć lat temu na weselu ich córki, wyglądał jak nieforemny, dobrze odżywiony bernardyn.

Cordelia nie omieszkała podziękować jeszcze raz Jimowi za dar dwudziestu tysięcy dolarów z jego firmy na fundusz biblioteki, zanim rozdzieliła ich fala przyjaciół Sissy, strząsających płaszcze, wnoszących powiew mroźnego powietrza i wymieszanych perfum. Sissy, wpadając z salonu, przemknęła obok Cordelii i zarzucała każdemu gościowi ramiona na szyję w sposób, który Cordelia uważała za przesadny.

Nie czuła się też spokojna z powodu rumieńców Sissy i gorączkowego blasku jej niebieskich oczu. Sissy widocznie za dużo próbowała szampana. Nawet jej sukienka, w której w sklepie wyglądała odświętnie, teraz sprawiała wrażenie zbyt strojnej, ozdobiona tymi wszystkimi perłami, otaczającymi szyję Sissy i kolczykami, kołyszającymi się jak choinkowe ozdoby.

Cordelia poprowadziła gości do salonu, gdzie podano drinki i zimne zakąski. Brała właśnie kieliszek ze srebrnej tacy, kiedy usłyszała za sobą: - Ślicznie dzisiaj wyglądasz, Cordelio.

Gabe! Jak on się zdołał wślizgnąć, że go nawet nie zauważyła?

Poczuła, że się rumieni. Odwróciła się i zobaczyła, że on uśmiecha się do niej, że wygląda zadziwiająco elegancko w smokingu z szalowym kołnierzem, który, choć od dziesięcioleci niemodny, pasował na niego doskonale. Jego smągła twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi odróżniała go od wszystkich mężczyzn w tym pokoju, jednak to zdawało się czynić go jeszcze bardziej wyjątkowym.

- Może się napijesz szampana? - zapytała, nieco skrepowana i onieśmielona.

- Mam coś jeszcze lepszego - powiedział, unosząc butelkę klarownego, zielonkawego płynu bez etykiety. Oczy mu błyszczały, wytrzymywały jej spojrzenie, w przeciwieństwie do jej oczu nie zerkając wokół, by zobaczyć, czy ktoś na nich patrzy. - Nalewka z mniszka lekarskiego. Sam ją zrobiłem. - Porozumiewawczo mru-gnął okiem i dodał: - Stary rodzinny przepis. Przynios-łem ją Caroline, ale chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyśmy pociągnęli łyk.

Cordelia z bijącym sercem podeszła do intarsjowanej holenderskiej konsoli, która służyła za bar. Zostawiła swój nie tknięty kieliszek z szampanem na marmurowym blacie i wyjęła ze środka dwa kieliszki do sherry z rżniętego kryształu.

Chwilę później, gdy pociągała nalewkę Gabe'a, bardziej żeby złagodzić suchość w gardle niż dla jakiegoś innego powodu, pomyślała: Czy to naprawdę może być takie łatwe? Gabe pasujący tutaj, na właściwym miejscu w tym domu, wśród jej przyjaciół.

Jak gdyby wyłącznie po to, by rozwiązać to przekonanie, zjawiała się Sissy. - Panie Ross, to bardzo miło z pana strony, że pan przyszedł - wycodziła z przesadną grzecznością. - Mam nadzieję, że znajdzie pan chwilę, żeby przywitać się z moimi przyjaciółmi. Prawdopodobnie pamięta pan większość z nich ze szkoły.

- Zrobię to - powiedział Gabe, pozornie nieświadom afektowanego uśmiechu, którego drgnienie Cordelia zobaczyła w kącikach różanych ust córki, zanim Sissy umknęła.

Cordelia poczuła, że sztywnieje. Słyszała, co Sissy i jej fałszywe przyjaciółki zwykły mawiać o „panu Rossie”. Ledwie przedwczoraj najlepsza przyjaciółka Sissy, Peg Lynch, podeszła do niej w Winn Dixie i zapytała ze szczyptą niedowierzania w głosie, czy to prawda, co słyszała od Sissy, że pan Ross przyjdzie na jej przyjęcie.

- Trzymaj się od nich z daleka - ostrzegła Cordelia, kładąc rękę na ramieniu Gabe'a i mówiąc z otwartością, która ją zaskoczyła: - Sissy i jej nadęci przyjaciele będą próbowali cię ośmieszyć.

Gabe uniósł brew. - Cordelio, wiem dokładnie, kim jestem i po co tu jestem. I jeśli uznam, że nie chcę być lekceważony, wtedy wyjdę za drzwi tak samo jak tu wszedłem. Ale, ale - uśmiechnął się - nie powiedziałaś mi, co sądzisz o nalewce. Za mocna?

- Jest pyszna - powiedziała mu i tak właśnie myślała. Chłodna i nie za słodka, tylko ślad pożądanej ciepkości. Z trudem zauważyłaby, że zawiera alkohol, gdyby nie przyjemny szum krwi, jaki czuła... i gdyby nie nagłe, szokujące pragnienie, by być daleko od tego tłumu, gdzieś sama z Gabe'em. W tej chwili żałowała swojego ostrzeżenia. O ile dziecinne gierki Sissy spłynęłyby po Gabie jak woda po gęsi, ona bez wątpienia kazała mu czuć się innym. - Gabe, przepraszam, jeśli...

Położył stwardniały palec na ustach i potrząsnął głową. Odsuwając na bok lek, Cordelia znów weszła w rolę gospodyni, rzucając się do przodu, by ucałować zapadnięty policzek Marjorie Killian.

- Urocze przyjęcie - powiedziała wylewnie Marjorie, niepotrzebnie wyciągając rękę, by wygładzić kosmyk polakierowanych, zmrożonych włosów, które z pewnością wytrzymałyby huragan. - I nie mogę się nadziwić, co zrobiłaś ze swoim drzewkiem. Kto jak nie ty byłby dość mądry na to, żeby pomyśleć o tych uroczych szklanych ozdóbkach?

Cordelia podążyła za spojrzeniem Marjorie ku choince - wysoki na trzy metry świerk, obwieszony bombkami z dmuchanego szkła weneckiego i cennymi, wiktoriańskimi cherubinami z *papier-mache*, które odziedziczyła po swojej prababce Patterson. Żadnych tandetnych sznurów mrugających lampek elektrycznych, zamiast tego świece, przymocowane do każdej gałęzi małymi mosiężnymi uchwytami; ich tańczące płomyki zalewały pokój

blaskiem, który niewiele miał wspólnego z dzisiejszą uroczystością.

- Skoro mowa o Bożym Narodzeniu - zapytała - czy ty i Dan wyjeżdżacie w tym roku?

- Saint Martin - wycedziła Marjorie. - A ty? Nie zważasz na święta?

Kątem oka Cordelia dostrzegła rozbawienie na twarzy przemykającej obok Iris. Chociaż była to już niemal prehistoria, któż mógłby zapomnieć, jaki nadęty kołtun wyszedł z Marjorie, kiedy tylko zaręczyła się z Danem? Zachowywała najbardziej litościwe spojrzenia dla Cordelii, niewątpliwie wierząc, że ta jest w żałobie po stracie swej jedynej prawdziwej miłości.

- Właściwie ja też myślałam o odbyciu krótkiej podróży - słowa wymknęły się Cordelii z ust, zanim całkiem zdała sobie sprawę, że je wypowiada. - Do Nowego Jorku, odwiedzić Grace. - Jednak zanim wypowiedziała coś, czego później mogła żałować, dodała szybko: - To jeszcze nic postanowionego i w każdym razie dopiero po świętach, ale... och, Dan - chwyciła rękę Dana Killiana, który wymykał się w stronę baru, i obdarzyła go swoim najbardziej nieodpartym uśmiechem. - Mały drobiazg: czy dostałeś list, który wysłałam ci w zeszłym tygodniu? - Napisała do niego, żeby odświeżyć mu pamięć w sprawie jego dawnej obietnicy wsparcia budowy biblioteki i żeby mu przypomnieć, że w jej odczuciu tamta mała pogawędka w jego gabinecie niczego nie zmieniła. - Nie miałam od ciebie wiadomości, więc... - pozostawiła resztę zdania w znaczącym zawieszeniu.

Dan wyglądał na zakłopotanego i spuścił wzrok na dywan, wszystkie jego trzy podbródki zatoneły w kołnierzyku. - No cóż, widzisz, Dellie, z całą tą związkową wrzawą wokół strajku w fabryce... ja, no cóż, mam trochę związane ręce.

- Nic nie szkodzi - powiedziała mu najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Z pewnością nie zaprosiłam was tu dzisiaj po to, żeby rozmawiać o interesach. Może poczęstujecie się tymi

pysznymi kulkami z łososia, tam, na stole koło fortepianu? Zadzwońię do ciebie w poniedziałek, Dan. - Ostrożnie. Jeśli będzie za mocno naciskać, Dan może wycofać się całkowicie.

Wytracona z równowagi głośnym wybuchem rubasznego śmiechu, odwróciła się w stronę Beecha, opierającego się o poręcz schodów w hallu, krzepkim ramieniem obejmującego słupek balustrady. Twarz miał czerwoną i usianą kroplami potu pod świeżo przyciętym jeżem, kiedy ryczał z jakiegoś dowcipu, niewątpliwie nieprzyzwoitego, który opowiadał mu Duke Woodlawn, jego koleś ze Spangler Dodge. Beech przypominał jej byczka ze szkolnego boiska, pochlebstwami nakłonionego do włożenia niedzielnego ubrania.

Zobaczyła, że Beech zerka na Gabe'a, gawędzącego teraz przy kominku z Iris i June, a potem przysuwa się do swego kumpla, by mu szepnąć coś, o czym po prostu wiedziała, że musi być paskudne. Obaj zachichotali, a Cordelia, ze ściśniętym żołądkiem, odwróciła wzrok. Tylko wieloletnia rutyna w roli gospodyni powstrzymała ją od okazania, że jej się to nie podoba, a nawet, że to zauważyła.

W końcu przyszła pora, by podać kolację, i Cordelia poczuła ulgę, że może zająć się czymś innym niż prowadzenie uprzejmych rozmów z ludźmi - niektórymi po prostu ciekawymi, paroma złośliwymi - którzy wszyscy zdawali się umierać z ciekawości, dlaczego zaprosiła Gabe'a. W jadalni poleciła Netcie i wynajętej kelnerce rozstawić tace - pieczony indyk z nadzieniem z chleba, mąki kukurydzianej i kasztanów, szynka polana sosem chutney, gigantyczne krewetki nadziewane mięsem krabów i smażone w maśle orzechowym, pomidory w auszpiku, małe gorące bułeczki, ułożone wokół misy z rżniętego szkła z bitym masłem ziołowym. Uśmiechała się bez końca, przedzierając się przez jadalnię, pilnując, by każdy miał talerz i coś do picia.

- Pyszne! - zawołała do Cordelii Miriam White, skubiąc krewetkę. Stary smok był przewodniczącą Ju-

nior League dłużej niż Święty Piotr pilnował bram niebios, ale pod swoją zręcznością i hełmem farbowanych włosów była dobrą duszą. Gdyby nie zawzięte wysiłki Miriam, przypomniała sobie Cordelia, oddział pediatryczny w Hilldale nie otrzymałby tomografu.

- Zawsze mówię, że nikt nie potrafi wydać przyjęcia lepiej niż Cordelia Truscott - usłyszała głos za swoimi plecami. Odwróciła się i zobaczyła Laurę Littlefield w zwiewnym szyfonie, królującą w kręgu mężczyzn. Wielbiciele? W jej wieku? No cóż, królowa Dixie zawsze będzie królową Dixie.

Zdawało się, że upłynęły godziny, zanim tace zostały uprzątnięte i Sissy pobiegła, chwiejąc się lekko na swoich atłasowych obcasach, by odszukać Beecha i móc razem z nim pokroić tort.

- Beech... och, Beech! Gdzie się podziałeś, ty niedobry?

Parę chwil później Cordelia usłyszała zduszony krzyk, po czym nastąpił ogłuszający trzask, który zdawał się dochodzić z tyłu domu. Miała wrażenie, że krew odpływa jej z twarzy.

- Przepraszam - mruknęła do Emily Newcomb siedzącej obok. - Netta musiała coś upuścić w kuchni - przepychając się przez rozhuśtane drzwi do staroświeckiej kuchni, wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami, Cordelia miała nadzieję, iż to prawda, że Netta zbiła jedną z jej cennych tac lub kryształowy kieliszek. Ale wiedziała, że musiało to być coś o wiele gorszego.

Znalazła ich w pralni na tyłach domu - Beecha, Sissy i jasnowłosą kobietę, na pół ukrytą w cieniu, wszystkich zastygłych w tandetnym tableau. Beech stał oparty plecami o rząd półek, zapchanych złożonymi prześcieradłami i poszwami. Zmieszanie miał wypisane na zaczerwienionej twarzy. Blondynka - rozpoznała teraz Janet O'Malley - po prostu wyglądała na zaszokowaną, ale jej rozmazana pomadka i na pół rozpięta sukienka mówiły same za siebie. To Sissy wrzeszczała - wystarczająco głośno, by Cordelia błogosławiła grubość starych drzwi.



- Ty draniu! Ty pieprzony draniu! Jak śmiesz! -jej usta z reklamy odżywek Gerbera były wykrzywione i brzydkie.

U jej stóp, iskrząc się w przyćmionym świetle z hallu, leżały resztki kieliszka, z którego piła szampana. Cordelia poczuła ostry zapach alkoholu, zmieszany z bardziej dodającymi otuchy zapachami proszku do prania i płynu do zmiękczenia tkanin.

- Kochanie. Ależ posłuchaj, kochanie... to nie to, co myślisz - wybełkotał Beech. Mówił prawie tak samo niewyraźnie jak Sissy. - Nigdy z nią nie spałem. Nie posunąłbym się nawet do tego, gdyby nie... gdyby nie...

- Gdyby nie to, że jesteś podłym, nędznym gnojkiem! - gorączkowe plamy przypominające odcieniem poncz na szampanie, który Sissy żłopała cały wieczór, wystąpiły na jej drżącej szyi.

Wymierzyła palec w kulącą się Janet. - A ty? Piłnowałam twoich dzieci, nawet piekłam babeczki na ten twój głupi kiermasz. Mam nadzieję, że się nimi udławisz, ty dziwko!

Cordelia, otrząsając się z szoku, poczuła, że odzyskuje władzę w nogach, gdy Sissy osunęła się na suszarkę i zaczęła buceć. Zrobiła krok do przodu i objęła córkę. Popatrzyła ponad jej drżącym ramieniem na Beecha, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

- O ile właśnie przysła ci do głowy myśl, żeby wykraść się tylnymi drzwiami, będę ci zobowiązana, jeśli wybijesz ją sobie z głowy - mówiła cicho, ale ze stalową nutą, jak do nastolatka przyłapanego na kradzieży w sklepie. - A teraz spodziewam się, że wsuniesz koszulę w spodnie i wyjdiesz stąd, jak gdybyś był najszczęśliwszym żonatym mężczyzną na świecie. I chcę, żebyś powiedział swoim gościom, że Sissy poślizgnęła się na mokrej podłodze i skręciła kostkę - nic poważnego. Za dzień czy dwa wszystko będzie w porządku. Sądziś, że zdołasz to zrobić, Beech?

- Ależ mamoo... - wyciągnął łagodząco rękę, ale ona powstrzymała ją mrozącym spojrzeniem, które zmroziło

także wszelkie żałosne usprawiedliwienia, jakie miał zamiar jej przedstawić. Z jego twarzy zniknął rumieniec, przez co szminka, rozmazana na jego ustach, miała jaskrawość barwy wojennej. - Już dobrze, dobrze. Ja... zajmę się gośćmi.

- Zanim to zrobisz, wytrzyj sobie twarz.

Wykradł się, a Janet popędziła w ślad za nim.

- Och, chciałabym umrzeć - załkała Sissy w pachnącym mydłem półmroku, rzucając się w objęcia matki.

Cordelia poczuła lekkie obrzydzenie do tej pulchnej kobiety, chlipiącej pijacko w jej ramionach... a jednocześnie serce jej się krajało z powodu jej biednej, małej dziewczynki, która tak bardzo chciała być dzisiaj wyjątkowa.

- Nie umrzesz. Pójdiesz tylnymi schodami na górę, umyjesz twarz i położysz się, aż wszyscy pójdą. Potem sobie porozmawiamy i spróbujemy zdecydować, co zrobisz.

Porozmawia także z Edem Spanglerem. Sissy wcale nie musi wiedzieć, komu będzie zawdzięczać przeniesienie Beecha. I dobrze im robi, jeśli będą musieli zdecydować, czy chcą być razem.

Dopiero kiedy usadowiła Sissy na łóżku w jej dawnym pokoju wśród stada starych pluszowych zwierzątek - jej dzieciennych zabawek, których do dzisiejszego dnia nie pozwoliła ruszyć - Cordelia poddała się bólowi głowy, który zaczął walić jej w skroniach.

Z powrotem na dole przyoblekła na twarz swój najlepszy uśmiech, krążąc wśród gości i zapewniając wszystkich, że Sissy nic nie będzie. - Netta musiała coś rozlać na podłogę - powiedziała do Miriam White, potrząsając głową. - A Sissy, w tych nowych pantofelkach... no cóż, dobrze, że to nie zwichnięcie albo coś jeszcze gorszego. - Współczucie na twarzy Miriam nie było w stanie ukryć chytrej ciekawości, po której od razu było widać, że ani trochę nie wierzy w tę historię. Miriam, tak jak wszyscy inni, myślała chyba, że Sissy za dużo wypija. Cóż, niech tak myślą. Lepsze to niż gdyby mieli znać prawdę.

Aż w końcu, na szczęście, nastąpił *exodus* - płaszcze, ocierające się o siebie przy drzwiach, gdy wymieniano pocałunki i obietnice spotkań, cmoknięcia pożegnalne, zapalanie silników samochodowych, chrzęst opon na żwirze. Lydia Pinkney wykrzyknęła do niej: - Przysięgam, że któregoś dnia, Cordelio Truscott, wykradnę ci ten przepis na pomidory w auszpiku!

Gdy ostatni gość został odprowadzony do drzwi, Cordelia dostrzegła Beecha, przechodzącego przez westybul jak marynarz przez pokład, z ręką wsuniętą w kieszeń, maniacko pobrzękującego kluczykami. Otworzyła usta, by przestrzec go przed jazdą w tym stanie, ale nim zdołała wymówić słowo, Gabe wyszedł z cienia i stanął przed nim.

- Może cię odwiozę, Beech? - powiedział spokojnym głosem, który sugerował, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. - Jadę w tamtą stronę i mogę cię podzucić.

Beech rzucił mu zirytowane spojrzenie. - Nie, dzięki. Czuję się dobrze. Poza tym mam samochód.

- Oczywiście. Ale czy nie powinieneś zostawić go Caroline? Przyda jej się, gdy będzie w stanie pojechać do domu.

- Powiedziałem, że sobie poradzę - prychnął Beech, a jego czerwona twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. - A ty sugerujesz, że nie?

- Nie powiedziałem tego.

- Dobrze, więc... - Beech starał się go odepchnąć, ale Gabe chwycił go za ramię.

Cordelia pochwyciła wyraz niespodziewanego zdumienia na ociężałej twarzy Beecha, byłej gwiazdy futbolu w liceum Roberta E. Lee, przynajmniej o dziesięć centymetrów wyższego od Gabe'a, kiedy próbował wyrwać ramię i nie mógł.

Ogarnęło ją coś w rodzaju oszołomienia. Dziwne, ale czuła się zarazem wystraszona i pełna podziwu.

- Chodźmy - mruknął Beech z wyzywającym spojrzeniem. - Wiem że rozumiesz po angielsku... nawet jeśli

nie pojmuję, dlaczego chcesz zarabiać na życie grabieniem liści.

- A ja wiem, że ty rozumiesz po angielsku, Beech - odpowiedział jowialnie Gabe - ponieważ zdobyłeś dokładnie tyle punktów, żeby zaliczyć moje zajęcia.

- Jezu, co z tobą? Bierzesz sterydy? - Beech próbował teraz niezdarnie obrócić wszystko w żart.

- No, Beech, chodźmy - łagodnie powiedział Gabe.

Patrząc, jak Beech zaczyna się pocić jak szynka w piecyku, a w końcu zrezygnowany opuszcza ręce, Cordelia wiedziała, że Gabe wygrał.

- Wiesz, opuściłem ostatni niedzielny mecz - szybko powiedział Gabe, obejmując Beecha ramieniem. - Słyszałem, że Sokoły ledwie wycisnęły wynik w fantastycznej końcówce. Widziałeś to?

- Czy widziałem? Człowieku, prawie oszalałem. To było tak cholernie piękne - Beech, który żył i oddychał futbolem, pozwolił, by odwrócono jego uwagę i wyprowadzono za drzwi jak uczniaka. - Powiem ci, jak... -jego głos ucichł, kiedy wyszli na werandę, a Gabe przez ramię pomachał ręką Cordelii, mówiąc bezgłośnie: - Zaczynam wracam.

Cordelia poczuła, że serce jej skacze na myśl o wypiciu z Gabe'em ostatniego kieliszka przed snem. Potem jej uwagę odwrócił widok Hollisa, zmierzającego spokojnym krokiem do kuchni z tacą brudnych kieliszków. Zobaczyła, że jego włosy są białe jak wełna świeżo ostrzyżonego jagnięcia. Kiedy on się tak zestarzał i zgarbił? I jak mogła, widząc go co dnia, nie zauważyć tego?

Sama poczuła się stara... i zmęczona, taka zmęczona. Jednakże nie tylko z powodu Sissy. Jakież to męczące grać rolę gospodyni, pomyślała, ciągle mieć na podorędziu jakiś temat rozmowy, pamiętać każde nazwisko, być dobrze poinformowaną, mądrą i dowcipną. Kiedy była mężatką, wszystko było łatwiejsze, ponieważ to Gene stał w świetle reflektorów, a ludzie wpatrywali się w niego, wsłuchiwali się w każde jego słowo.

Zapadając się w fotel koło kominka w salonie, Cordelia zamknęła oczy. Wspominała dzień, w którym pierwszy raz ujrzała swego męża, usłyszała, jak przemawia. Studiowała nauki polityczne w uniwersytecie George'a Washingtona - mimo zdecydowanego sprzeciwu swej wciąż niezmiernie żywotnej matki, która nalegała, by Cordelia poszła do Duke - do tego jeszcze była cholerną mądrą: poinformowała swoją współmieszkanke, Betty Preston, która zdobyła przepustki na galerię w Izbie Reprezentantów, że nic jej nie obchodzi, cóż takiego ma do powiedzenia ten świeżo upieczony demokratyczny kongresman, który zrobił takie wrażenie na Betty - ona i tak uważa, że system działa w taki sposób, iż jeden człowiek niczego nie zmienia.

Ona sama ledwie przed dwoma laty, nie bacząc na protesty matki, która niemal rzuciła się z wózka na kółkach, kompletnie zaniedbała zajęcia uniwersyteckie, by agitować na rzecz Adlaia Stevensona. Wciąż rozgorączkowaną jego porażką, nie miała zamiaru dać się porwać jakiemuś innemu liberalnemu idealistcie, który w końcu i tak popadnie w zapomnienie.

Ale tamtego dnia, w 1954 roku, gdy były strażak z Queens w Nowym Jorku wstał i zabrał głos, Cordelia wbrew sobie czuła, że jej cynizm zaczyna topnieć. Wysoki, kanciasty, niemal jak strach na wróble, z rękawami pomiętej marynarki zbyt krótkimi, by zakryć przeguby jego ogromnych dłoni, przywodził jej na myśl Jimmy'ego Stewarta z filmu *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*, A kiedy rozłożył ramiona pełnym pasji gestem, otwierając się na atak, jaki jego słowa niewątpliwie sprowokują, ona zsunęła się na brzeg swego krzesła.

- W tej chwili coś bardzo niedobrego dzieje się w naszym kraju - zaczął głosem trochę surowym i nie wyszkolonym, jednak w jakiś sposób potężniejszym niż głos Sama Rayburna, prowadzącego obrady Izby. - W głębi duszy wszyscy o tym wiemy, ale boimy się nadstawiać karku, więc siedzimy cicho. No cóż, jeśli o mnie chodzi, nie będę dłużej siedział cicho. To polowanie na czarownice, prowadzone przez senatora Joe McCarthy'ego,

rzekomo w imię patriotyzmu, jest złe, nie ma dwóch zdań...

Nie pamiętała następnych słów, tylko dzwoniącą ciszę, jaka zapadła nad parterem i galerią, kiedy skończył. Pamięta, iż pomyślała: on popełnia polityczne samobójstwo i patrząc wstecz zdała sobie sprawę, że to wtedy - na długo zanim wuj Betty wystarał się o to, by mogła go osobiście poznać - zakochała się w Genie. W pewien sposób przypominał jej ojca. Chociaż tata był starej daty demokratą z Georgii, który raczej wyniósłby się na Islandię niż przyznał, że integracja jest czymś dobrym, widział, że jest nieunikniona, i jeszcze w czasach, kiedy czarni byli wyganiani tylko do zamykania podłóg i polewania marmurów w bankach, on promował Eldona Roantree na kasjera. Tata, gdyby żył, zaaprobowałby na swój własny zacofany sposób tego dzielnego, ale niewątpliwie zgubionego Eugene'a Truscotta.

A jednak, niedługo po przemówieniu Gene'a, Edward R. Murrow wystąpił przeciw McCarthy'emu w państwowej telewizji. I coraz więcej głosów przyłączało się do nich. Jednakże Cordelia nie zapomni nigdy, że tamtego dnia nikt w sali Izby nie wystąpił z poparciem świeżo upieczonego kongresmana z Queens, i w ciszy, jaka nastąpiła, rozległy się oklaski jednej tylko osoby.

Tą osobą, przypomniała sobie z bladym uśmiechem, była ona...

- Cordelio?

Otworzyła oczy i oto naprzeciw niej, w skórzanym klubowym fotelu, który był ulubionym fotelem taty, siedział Gabe. Uśmiechnięty, robiący wrażenie całkiem swobodnego. Wyraźnie nie oczekiwał, że ona zerwie się i będzie grać rolę gospodyni. Nie, nie, on nie był Gene'em, ale był uprzejmy i uczciwy i, jak uświadomiła jej to scena z Beechem, zdolny radzić sobie z przykrymi sytuacjami.

Patrząc, jak przesuwa otomanę tak, aby ona mogła oprzeć na niej stopy, poczuła, że łyzy napływają jej do oczu i uświadomiła sobie, że od dawna, od bardzo dawna

nikomu nie przyszło do głowy, że ona chciałaby być rozpieszczana. - Jestem zmęczona, Gabe - westchnęła.

- Wiem.

- Jak to jest, że ty wyglądasz świeżo jak stokrotka, a ja czuję się jak stara stratowana darnina?

Roześmiał się i rozsiadł na wielkiej otomanie przy jej wyciągniętych nogach. - No cóż, czasem coś, co się widzi w czarnych barwach, może obrócić się na dobre.

- Wątpię, czy ktokolwiek na tym przyjęciu miał pojęcie, jak bardzo czarne to są barwy.

- Znam cię lepiej niż oni - powiedział, wyczuwając chyba jej zmieszanie. - Wiem, kiedy coś jest nie w porządku, nawet gdy się uśmiechasz - poczuła jego dłoń, obejmującą jej kostkę, tak niedbale, jak gdyby badał grubość gałęzi, ale wyczuwała, że ten dotyk oznacza coś więcej.

Cordelia zadrżała. - Wychowałam dwie córki - zwierzała się żarzącym się węglom, obracającym się w popiół w marmurowym kominku. - A teraz okazuje się, że nie najlepiej mi się to udało.

- Pozory mogą być mylące.

- Och, Gabe... - odwróciła się i spojrzała na niego w nowym przypływie udręki. - Chodzi nie tylko o dzisiejszy wieczór, o to, co stało się z Sissy. Chodzi o Eugene'a. Nie mogę pozbyć się uczucia, że gdyby żył, sprawy przybrałyby inny obrót.

- Karzesz samą siebie, a nie zasługujesz na to.

- Więc dlaczego? Dlaczego spotykają mnie wszystkie te okropne rzeczy? Dlaczego muszę mieć jedną córkę, która jest bezradna, i drugą, która zamierza mi wbić nóż w plecy? O Boże, jakże bym chciała przełożyć obie te dziewczyny przez kolano!

Rozpalona żalem i gniewem, i jakimś beznadziejnym wyczerpaniem, zerwała się i podbiegła do orzechowego sekretarzyka, gdzie trzymała artykuły o Genie i wszystkie jego przemówienia, zebrane w kilka oprawionych w skórę tomów, a także każde słowo, jakie Grace kiedykolwiek opublikowała. Wyciągając magazyn „Ti-

me" sprzed dwóch lat z artykułem o Grace, która zdobyła nagrodę Pulitzera - po prostu wiedziała, gdzie on się znajduje i mogła go znaleźć z zawiązanymi oczami - poczuła, że gniew w palcach jego brzegi i że coś ostrego - pewnie metalowa zszywka - wbija się jej w miękkie ciało u nasady kciuka. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że ręka jej drży.

Taka byłam z niej dumna, pomyślała Cordelia. A teraz ona ma zamiar zniszczyć Gene'a, wygrzebać coś, co zdarzyło się tak dawno... Niech ją diabli!

- Cordelio, nie! - przez szum w uszach usłyszała krzyk Gabe'a i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że w gniewie naprawdę wrzuciła magazyn do kominka.

Z przerażeniem zobaczyła, że żarzące się węgle pękły z trzaskiem, wystrzeliwując deszcz iskier. Obserwując, jak stronice czernieją, zwijają się po brzegach i wybuchają płomieniem, miała wrażenie, że to jej własne serce płonie.

Wtedy Gabe znalazł się przy niej, z rękoma na jej ramionach uspokajał jej gwałtowne drżenie. Czuła, jak spływa na nią jego uzdrawiająca siła... jego czary, które kazały prawie martwym krzewom azalii zakwitać, a trawie wyrastać tam, gdzie została wdeptana w błoto.

Zanim się spostrzegła, otoczył ją ramionami. Jak to możliwe? - wykrzyknął jakiś głos, zanim wszelka myśl, każda racjonalna komórka w jej mózgu zostały zmiecione, a on odchylił jej głowę stwardniałym czubkiem palca do tyłu i pocałował jak należy, głęboko, w usta. Och, to ciepło jego ust - jakże je zniesie? Od tak dawna jej nie całowano. Od Gene'a... od lat... całe życie...

Czuła język Gabe'a i pragnienie, które kryło się za jego pocałunkiem. Jej ramiona i nogi drżały, i znów ją ogarnęło oszołomienie, jakie czuła kilka dni temu w ogrodzie, choć tym razem nie przerażało jej. Było to po prostu naturalne uczucie, gdy Gabe ją obejmował, pragnąc jej tak, jak ona pragnęła jego. Nagle wcale nie wydawało jej się dziwne to, iż on jej pragnie, choć wiek średni już dawno miała za sobą, Gabe zaś nie był tym



mężczyzną, którego Blessing bez zaskoczenia widziałyby u jej boku.

Teraz jego usta były w jej włosach, jedna ręka obejmowała tył jej głowy, gdy przygładzał jej włosy, a opuszki palców drugiej marudziły tam, gdzie jej szyja wyginała się, łącząc z plecami. Czuła się niemal pijana, czując jego odech, jego cudowny zapach, jak zapach nalewki z mniszka, której wcześniej próbowała. Przyłgnęła do niego, czując, jak wzbiera w niej szloch, mieszanina udręki i szczęścia tak wielkiego, że sprawiała wrażenie ogromnego głazu, burzącego kruchą fortecę, jaką zbudowała wokół siebie.

Kiedy więc nakłaniał ją cicho: - Jedź do Nowego Jorku, Cordelio. Jedź odnaleźć swoją córkę. Będę czekał na ciebie, aż wrócisz - ona przytakiwała z marzycielską zgodą. Ostatecznie może łatwiej będzie pojechać do Nowego Jorku niż podjąć decyzję, jak żyć dalej tutaj, w Blessing.

## ROZDZIAŁ 10

Po raz pierwszy wybierali się do domku, kiedy ziemię pokrywał śnieg, i już gdy Jack wtoczył volvo na oblodzoną, porytą koleinami drogę, Grace nagle poczuła, że humor jej się poprawia.

- Och! - wykrzyknęła, zachwycona widokiem bieli, jak okiem sięgnąć okrywającej krajobraz i spoczywającej na gałęziach drzew. - Kiedy dorastałam w mieście, zawsze myślałam, że tak powinno wyglądać Boże Narodzenie.

Hanna na przednim siedzeniu rzuciła jej przez ramię chłodne spojrzenie.

My nie obchodzimy Bożego Narodzenia. Grace wyobraziła sobie te słowa, naklejone jak w komiksowym

dymku nad głową Hanny. No cóż, tym gorzej. Nie miała zamiaru pozwolić, by Hanna zepsuła jej nastrój... nie dzisiaj, w Wigilię, obojętne, czy Goldowie obchodzą te święta, czy nie.

Gramoląc się z tylnego siedzenia, Grace po raz ostatni dobrze przyjrzała się dziewczemu śniegowi, który za chwilę miał zostać zdeptany butami. Zanim poznała Jacka, jej wyjazdy za miasto ograniczały się do kilku letnich weekendów w Tanglewood - Mozart i komary, przereklamowane wiejskie gospody i katar sienny.

Ale to było czarodziejskie, jak sceny z bajki. Zaśmiała się do siebie, myśląc: tak, zła macocha i tak dalej.

Śnieg był głęboki. Ugiął się pod jej botkami z satysfakcjonującym skrzypieniem, gdy z trudem posuwała się naprzód, jeden mozolny krok za drugim aż tam, gdzie strzelisty drewniany kształt przykucnął pod grubym szalem bieli.

Przez zasłonę bezlistnych gałęzi topoli dom migotał w zmierzchu, jego cedrowe żebra wyblakły do srebrnej szarości wilczej sierści. We frontowym oknie paliło się światło - musiała je zostawić pani Ingram, kobieta, którą Jack wynajął do opieki nad domem. Na frontowym podwórzu zielone krzewy odbijały jaskrawymi plamami, ich szkarłatne jagody błyszczały pod delikatną śnieżną oprószką.

Obserwując Jacka nabierającego naręcze drewna, Grace czuła, że sztywność w jej szyi, pozostałość po długiej podróży, zaczyna topnieć. Tutaj przynajmniej będzie miała szansę zajmować się Hanną zwrócona do niej twarzą. Już nie wciśnięta w głąb samochodu, gapiąca się w tył głowy, nie odwracającej się, kiedy do niej mówiono, nie wykazującej najmniejszego zainteresowania, czy jej i Chrisowi wygodnie się jedzie, czy im się podoba muzyka, którą bez przerwy katowała - przyprowadzające o ból głowy skrzyżowanie reggae i rapu, na które Jack wydawał się uodporniony. I żadnego więcej objęcia się o Chrisa, tak milczącego i obojętnego jak plecak, który przez całą drogę trzymał na kolanach.

Chris prawdopodobnie wciąż jest na nią zły za to, że się uparła, by tu przyjechał. Choć uporczywie twierdził, że to nie ma znaczenia, będzie mu brakowało wszystkich bożonarodzeniowych uroczystości w domu rodziców Wina w Macon - obwieszonej ozdobami choinki, lekkich jak płatki śniegu ciasteczek, jakie babcia Bishop zawsze piekła, dorocznego przyjęcia dla sąsiadów z wielką wagą ponczu z grzanego wina z jajkiem i radosnego śpiewania kolęd przy fortepianie.

Jak mogłoby mu tego nie brakować? Ona także tęskniła za tym wszystkim.

- Wezmę walizki, tatusiu! - usłyszała okrzyk Hanny.

- Dobra dziewczynka - jego oddech wisiał w mroźnym powietrzu jak wykrzyknik. - Pomóż Grace wypakować wszystko, a my z Chrisem w tym czasie rozpalimy ogień.

Grace poczłapała z powrotem do volvo, by jej pomóc, ale po kilku rundach, kiedy zdążyła wnieść do środka torby z żywnością, skrzynkę wina i dodatkowe koce, zauważyła, że Hanna zabrała tylko bagaż swój i Jacka. Laptop i płócienna torba Grace - nie mówiąc już o torbie na zakupy ze skórzaną kurtką Liii, zapakowanej na prezent dla Hanny - stały opuszczone na siedzeniu jak para porzuconych autostopowiczów.

Głęboko w gardle osiadła jej suchość, jak gdyby od zbyt szybkiego wdychania zamarzniętego powietrza. Jej stopy, nawet w sportowych butach i wełnianych skarpetach, robiły wrażenie zdrętwiałych. Oto była tu, w zapadających ciemnościach, podczas gdy Hanna ściagała rękawiczki przy ogniu. Gwałtowny przypływ niechęci popchnął Grace w górę oblodzonych wejściowych schodków. Zanim otworzyła szarpnięciem zamarzniętą klamkę i rzuciła swoje rzeczy na podłogę obok wieszaka z białego orzecha, była bez tchu i musiała oprzeć się o framugę, aż jej gniew ustąpił.

Cicha noc... święta noc... nie pozwolę, żeby dzisiaj mnie to dotknęło. Będziemy razem przez cały tydzień,

przypomniała samej sobie. Nie niszczyć wszystkiego i nie zaczynać od fałszywego kroku.

Grace pożałowała, że Ben nie przyjechał z nimi, by złagodzić jej przykrość przebywania z Hanną. On był jej antidotum na Hannę - nie tylko miły dla niej, niefrasobliwy i sypiący żartami, ale także wspaniały dla Chrisa. Ale on, niech to diabli, zaplanował wyjazd na narty do Vail...

Jednakże widok Chrisa i Jacka, przykucniętych obok siebie przed ogniem, budzącym się z trzaskiem do życia w wielkim kamiennym kominku, dodał jej trochę otuchy. Jack wyjaśniał jej synowi subtelności rozpalania ognia, a Chris potakiwał z zainteresowaniem na twarzy. No dobrze, z nikłym zainteresowaniem, ale jednak...

Hanna leżała rozwalona na parszywej krzasiastej sofie, ze stopami opartymi na stoliku, przebierając palcami nóg przed ogniem. Kątem oka Grace zajrzała do kuchni, gdzie torby z żywnością wciąż stały na starym drewnianym kontuarze. A tu jeszcze trzeba przygotować kolację. A potem posłać łóżka. W co ona się wpakowała?

Patrzyła, jak Jack się podnosi, krzywiąc się lekko, gdy rozprostowywał kolana z trzaskiem, przypominającym poddający się zawias. W swojej wyblakłej koszuli z czerwonej flaneli i spłowiałych džinsach, wytartych do białości na kolanach, wydawał się jej postacią z leśnego folkloru - jak Paul Bunyan czy Daniel Boone. Duży i buchający wigorem mimo paru bruzd na twarzy, srebrne włosy usiane kroplami stopniałego śniegu, ręce umazane farbą z gazety, której użył do rozpalenia ognia. Patrzyła, jak napinają się mięśnie jego przedramion, kiedy podnosił pogrzebacz z kutego żelaza, poszturczując klocki drewna. Miała wrażenie, że znów jest w szkole średniej, krążąc wokół tego wspaniałego pana Van Hartę i nagle jej złe przeczucia co do czekającego ją tygodnia stopniały jak grudki śniegu z ich butów, tworzące teraz przy drzwiach połyskujące kałuże.

Myślała o tym, jak wsunie się z Jackiem pod koc w starym mosiężnym łóżku na górze, jak on oplecie ją

ramionami, by ją ogrzać. Nawet teraz, kiedy stała lekko drżąca w chwiejnym blasku nabierającego siły ognia, niemal czuła duże ręce Jacka, przesuwające się po niej, delikatnie pocierające jej pokryte gęsią skórą ciało, aż zacznie tajać. Jego oddech, pompujący ciepło w jej policzek, potem w szyję i piersi w miarę, jak będzie przesuwiał się niżej, ustami wysysając z niej resztki chłodu...

Jack pochwycił jej spojrzenie i mrugnął do niej. Grace poczuła, że twarz ją piecze od nagłego ciepła. Potem Jack się uśmiechnął. Zmarszczki w kącikach jego oczu rozbiegły się promieniście w dół, jak na dziecięcym rysunku, przedstawiającym słońce, i Grace poczuła, że coś się w niej podrywa.

Kocha mnie. Ta myśl przyszła do niej jak coś doskonale znajomego, jak gdyby wiedziała o tym od zawsze, a przynajmniej jak gdyby wbiła sobie to w pamięć dawno temu.

Z Jackiem mogłoby być tak dobrze. Gdyby... gdyby..

- Hej, dzieci, nie zapominajcie, że jeszcze musimy zrobić kolację - Jack zwrócił się do wszystkich, rzucając znaczące spojrzenie na Hannę. - Chris i ja będziemy na miejscu, żeby wam pomóc, drogie panie, ale najpierw przyniesiemy trochę więcej drewna.

Chris powlókł się za Jackiem w tempie ociężałego węża. W swojej pogniecionej oliwkowej kurtce artyleryjskiej i workowatych dżinsach, ze zmierzwioną grzywą, której widok wywoływał w Grace marzenie, by go związać i przejechać mu po głowie nożycami Liii do strzyżenia psów, wyglądał jak młodociany przestępca, przywleczony tu za jakieś drobne wykroczenie.

Grace miała ochotę potrząsnąć nim, żeby się wreszcie ruszył, ale to nie Chris ją teraz kłopotał. Patrząc na Hannę, leniwie wstającą z kanapy, czuła, jak jej niepokój powraca. - Wiesz, naprawdę podoba mi się ten pokój - powiedziała, próbując przełamać lody. Odwróciła wzrok od Hanny i spojrzała na wyblakły gobelin, który wisił obok kolekcji antycznych trójnogów. Poniżej, na starym stoliku do herbaty, stał niebieski dzban i lampa

naftowa, która, sądząc po smugach sadzy, nie była tylko na pokaz.

- Moja matka go dekorowała - rzeczowo odpowiedziała Hanna. - Ona zarabia tym na życie. Jest w tym bardzo dobra.

- Widzę - powiedziała gładko Grace. - Nie każdy potrafi urządzić wiejski dom przytulnie, ale żeby przy tym nie wyglądał jak reklama Laury Ashley.

Oczy Hanny były obojętne i pozbawione uśmiechu, ramiona skrzyżowane na piersi. Miała na sobie wymięty kombinezon z niebieskiego płótna i kwiecistą koszulę, która, jak Grace zbyt późno sobie uświadomiła, mogła rzeczywiście pochodzić od Laury Ashley.

W kuchni Hanna powiedziała: - Ja mogę zrobić makaron. Pierwszego wieczoru zawsze jemy makaron. Tylko tata wciąż nazywa go spaghetti. Czy zauważyłaś, że kiedy o tym nie myśli, potrząsa kartonem z mlekiem, zanim je naleje? Tak, jak gdyby wciąż był dzieckiem, kiedy mieli szklane butelki na mleko i śmietanka podchodziła do góry.

- Mieli je również, kiedy ja byłam dzieckiem - powiedziała Grace, wrzucając do mycia do głębokiego, emalowanego zlewu sałatę i plastikową torebkę anemicznie wyglądających pomidorów. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być inaczej.

Hanna przytaknęła. - Podobnie jak z płytami. Dzisiaj wchodzisz do Tower Records i wszystko, co widzisz, to płyty kompaktowe - jej głos brzmiał smutno. - Nie żeby płyty kompaktowe nie były lepsze. Tylko że... no, sama wiesz...

- Taak, wiem - powiedziała Grace zgodnie, wiedząc, że Hanna reaguje alergicznie na jakiegokolwiek zmiany.

Zdawało się, że Hanna, właśnie szperająca w kredensie obok kuchenki, odrobinę złagodniała. Grace widziała, że nieco napięcia odchodzi z jej ramion. Przypominała jej rewolwerowca, zdejmującego rękę z olstra. Ale Hanna powiedziała tylko: - Och, Grace... Widzisz gdzieś ten słoik sosu do spaghetti?

Grace napięła się. Nie chciała walczyć z Hanną, ale Wigilia była czymś wyjątkowym. Odchrząknęła nerwowo. - Właściwie myślałam, że zjemy coś bardziej... świątecznego. Kupiłam kurę, której upieczenie nie zajmie wiele czasu i trochę gotowego nadzienia. Moja matka zemdłałaby, gdyby widziała, że go używam. A słodkie ziemniaki możemy wrzucić do kuchenki mikrofalowej. Nie jest to może coś wyjątkowo wykwintnego, ale przynajmniej trochę inaczej niż co dzień.

Drobna zmarszczka utworzyła się między nie wyregulowanymi brwiami Hanny. - Ale my zawsze jemy makaron pierwszego wieczoru - upierała się.

- No cóż, ponieważ jest to... - No, dalej, powiedz to. Ty tchórze, och, ty tchórze, powiedz to. - ...Wigilia...

- My nie obchodzimy Wigilii.

- Chris i ja obchodzimy - powiedziała cicho Grace. Wytrzymała stalowe spojrzenie Hanny, czując walenie pulsu w całym ciele. Szum wody z kranu, wypełniającej zlew, rozlegał się w jej uszach jak wodospad. Zwrócona plecami do kontuaru, czuła chłodne kropelki, kłujące ją w przedramiona, z których miała odwinęte rękawy swetra.

- Więc dlaczego jesteś tutaj? - zapytała Hanna. Oczywiście miała zimne z furii.

Powoli, jak gdyby poruszała się pod wodą albo we śnie, Grace odwróciła się i zakręciła kurek. Słowa Hanny leżały między nimi jak rękawica, rzucona na zniszczone sękate deski podłogi. W ciszy, przerywanej tylko głuchym kapaniem wody ściekającej na liście sałaty, odwróciła się twarzą do Hanny i powiedziała: - Chciałabym ci to wytłumaczyć w taki sposób, żebyś zrozumiała. Żebyś zobaczyła, że nie próbuję zająć miejsca twojej matki... czy twojego. Nie jestem wrogiem, Hanno. Nie ja jestem przyczyną, dla której twoi rodzice się rozwiedli. Nie jestem przyczyną tego, że jesteś nieszczęśliwa.

W szybach z falistego szkła starego kredensu naprzeciwko Grace dostrzegła majaczące własne odbicie - małej kobiety z potarganymi wilgotnymi włosami, napiętą twarzą, mocno zaciśniętymi ustami.

- Co ty o mnie wiesz? - odparowała Hanna z gorączkowymi szkarłatnymi wypiekami na twarzy. - Nie masz najmniejszego pojęcia, co by mnie uszczęśliwiło. Gdybyś miała, nie byłoby cię tutaj.

- No cóż, jestem tutaj - warknęła Grace.

- Chciałabym, żebyś odeszła... daleko. Chciałabym, żebyś zniknęła z powierzchni tej planety!

Słowa Hanny ugodziły ją jak pocisk, osmalając ją, sprawiając, że miała ochotę zgiąć się wpół z bólu. W tym, co Hanna czuła, doprawdy nie było nic niespodziewanego, ale usłyszeć to, naprawdę usłyszeć, jak wypowiada te słowa - o Boże, to bolało.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby to się stało - powiedziała, starając się mówić cichym głosem. - Więc lepiej się zdecyduj: rozejm czy otwarta wojna?

Hanna stała, ściskając kurczowo bochenek chleba, jak gdyby była to szyja Grace. Z gniewnymi, obwiedzionymi na czerwono oczami krzyknęła: - Sądziś, że wszystko sobie obmyślałaś, prawda? Ponieważ zwiódłś mojego ojca, myślisz, że zwiedzisz i mnie? Cóż, ja już wiem, co o tobie sądzić, więc możesz sobie oszczędzić fatygi... i możesz sobie zachować to głupie Boże Narodzenie dla siebie.

- Hanna?

Na dźwięk głosu Jacka, huczącego w całej kuchni, Grace odwróciła się raptownie. Stał w drzwiach, z naręczem drewna na podpałkę przy piersi, z twarzą zastygłą z gniewu.

Hanna odwróciła się, chleb wyślizgnął jej się z rąk, jak przy niezdatnym podaniu piłki. Chwyciła go, zanim upadł na podłogę i wyprostowała się gwałtownie, z twarzą nabrzmiąłą i z plamami czerwieni, oczami zaszklonymi nie wylanymi łzami.

- Tatusiu, ja...

- Nie w tym domu! - krzyknął. - Nie pozwolę, żebyś pod moim dachem mówiła w ten sposób do Grace, nie, jeśli...

- Jack, proszę cię! - wpadła mu w słowo Grace, czując, jak ogarnia ją panika.



Czyż on nie rozumie, jakie to niewłaściwe, to, że pospieszył jej z pomocą? Ze to stanowi całkowitą gwarancję, że Hanna będzie czuła do niej jeszcze większą niechęć? Jego córka nie jest już małą dziewczynką, dzieckiem, które mógł zbesztać za złamanie jakiejś reguły...

- ...chcesz, by ciebie również zaproszono następnym razem - dokończył.

Grace usłyszała, jak Hanna łapie powietrze.

I w tej chwili zobaczyła przyszłość tak wyraźnie jak znak, ostrzegający kierowców przed niebezpiecznymi zakrętami lub przed strefą, gdzie łatwo o osunięcie ziemi. Przy każdym zakręcie będzie się napinać, nigdy bezpieczna, nigdy nie będzie wiedzieć, co znajduje się tuż poza polem widzenia. Boże, czyż on tego nie widzi?

- Posłuchaj, Hanno, cała ta sprawa wymknęła nam się z rąk. Usiądźmy i porozmawiajmy o tym. - Grace była wściekła na Jacka i na Hannę, ale jeszcze bardziej na siebie, że się w to wpakowała po szyję. Zaczęła wyciągać rękę, ale Hanna wzdygnęła się. Jej opuchnięte oczy mówiły: To wszystko twoja wina. Wszystko. Nawet to, że ojciec wrzeszczał na mnie w ten sposób.

Potem, ze szlochem i wśród skrzypienia starych desek podłogi, zniknęła, rozpluwając się w sąsiednim pokoju, jak gdyby zasłonięta kapą magika, pozostawiając na kontuarze bochenek okaleczonego chleba... i Boże Narodzenie, które zostało zrujnowane jeszcze zanim się zaczęło.

## O

Przez całą milczącą kolację Grace powstrzymywała gniew, ale teraz, kiedy mozolnie posuwali się wydeptaną w śniegu ścieżką pod domem, Jack dostał za swoje. - Jack, jak mogłeś? Zmusiłeś Hannę, żeby mnie jeszcze bardziej znienawidziła - wydychała powietrze poszarpanymi białymi serpentynami. - Jak gdyby jeszcze nie dość miała amunicji przeciwko mnie!

- Należy znaleźć jakieś rozwiązanie - powiedział głosem tak zimnym jak powietrze, które szczypało ją w policzki. - Ale dopóki jesteś pod moim dachem, nie będę tolerował niegrzecznego zachowania Hanny wobec ciebie.

- Rozumiem. Nie chodzi o to, że Hanna traktuje mnie jak gówno. Po prostu wolałbyś, żeby robiła to gdzie indziej, nie w twoim domu.

Stała teraz drząc, po łydki w śniegu, żałując, że nie włożyła nauszników i rękawiczek. Nawet w dzierganym kapeluszu, mocno naciągniętym na głowę i z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie kurtki, czuła, jak drętwieją jej uszy i palce.

Usłyszała, jak Jack wzdycha. Czyżby to było rozdrażnienie? - Grace, przekręcasz moje słowa. Dlaczego chcesz jeszcze pogorszyć sprawę?

- Pogorszyć? - wykrzyknęła. - To ty, Jack. Ty nie chcesz widzieć, co się dzieje pod twoim nosem! Gdybyś tylko porozmawiał z nią wcześniej... jasno dał do zrozumienia, że ty i ja nie... - przełknęła ślinę - że ja nie jestem panienką, o której zdąży zapomnieć następnego Bożego Narodzenia.

Grace wciągnęła powietrze. A jeśli Jack powie, że ona się myli, że on nie ma pojęcia, co z nimi wszystkimi będzie za rok?

- Grace? - głos miał niski i czuła, że nadchodzi coś złego, coś, od czego musi szybko uciec.

Szła przed nim, słysząc jedynie skrzypienie śniegu pod swoimi butami - i jego, kiedy podbiegł susami, by się z nią zrównać. Doszło ją teraz ciche, piskliwe pohukiwanie sowy i odległe szczekanie psa. Pod łukiem nagich gałęzi drzew Grace czuła się jak w katedrze, gdzie powinno się chodzić cicho i mówić szeptem, kiedy ona właśnie miała ochotę tupać nogami i wrzeszczeć.

Jack szedł obok niej w oświetlonej księżycem ciemności, a jego wielki cień padał na śnieg przed nimi. Przez gruby materiał kurtki czuła, że chwyta ją za ramię. - Posłuchaj mnie - rozkazał. Wydawał się nieco

zdyszany, ale to nie mogło być od biegu. Jack był silny jak byk Brahmy. - Ja naprawdę chcę, żebyśmy byli razem... nie tylko teraz, ale również za rok.

- A potem? - rzuciła mu wyzwanie.

Milczał i wtedy wydało jej się, że zimno przesączyło się przez grubą kurtkę wprost do serca.

- Zawsze byłem z tobą szczery. To prawda, że jest wiele rzeczy, których nadal nie jestem pewien.

- Masz na myśli nasze dzieci?

- Hanna i Chris... są tylko częścią tego - potrząsała głową. - Grace, nie jestem młodzieniaszkiem.

- Jesteś o piętnaście lat starszy ode mnie, Jack - przypomniała mu niemal z ulgą. Więc tego się boi! - A ty stwarzasz wrażenie, że o pięćdziesiąt!

- Może różnica nie wydaje się wielka teraz, ale...

- zawiesił głos i teraz słyszeć było tylko skrzypienie jego butów, wbijających się w śnieg.

- Ale pewnego dnia będziesz miał siedemdziesiąt lat, a ja pięćdziesiąt pięć? Czy to cię martwi? Jack, nie wierze ci! To tak, jak gdybym ja się martwiła, czy polubią mnie dzieci Hanny, jeśli będzie je miała.

- Łatwo mówić, kiedy jest się po młodszej stronie wagi - przypomniał jej.

- Daleko mi do dziecka, Jack. Jestem wystarczająco stara, żeby wiedzieć, w co się pakuję.

- Myślisz, że wiesz. Ale czy rzeczywiście? Twój ojciec zmarł nagle, a twoja matka... powiedziałbym, że daleko jej do inwalidztwa - umilkł, biorąc głęboki oddech.

- Grace, za dwadzieścia lat, może wcześniej, twoje życie ograniczy się do opieki nad starcem. Jak możesz składać jakąś obietnicę, jeśli nawet sobie nie wyobrażasz, do czego się zobowiązujesz?

- A jeśli nie? - prowokowała go. - To co wtedy? Tracę wszystko. Wolałabym mieć dziesięć czy dwadzieścia dobrych lat z tobą niż spędzić resztę życia żałując, że nie zaryzykowaliśmy.

- Chciałbym w to wierzyć - westchnął.

- Jack, zawsze opiekowałeś się wszystkimi. Czy to

byłoby takie okropne mieć kogoś, kto dla odmiany zaopiekowałby się tobą?

- Tak, gdyby to nie oznaczało, że czułabyś się przy mnie uwiązana. A czułabyś się, Grace, wierz mi. Co by było, gdybym nawet nie mógł...

- Sza, nie mów tak - położyła mu palec na ustach, ale i tak dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Szybko zmieniła temat. - A teraz... co takiego chciałeś mi pokazać?

Uśmiech wypełził spod ponurej maski, jaką przybrał. Wyciągnął jej rękę z kieszeni i mocno uściśnął. - Chodź... to niedaleko stąd.

- Lepiej, żeby tak było. Odwłok odpada mi z zimna.

Czuła, że jej gniew znika, mimo to w głębi duszy cierpiała, bo Jack nie poprosił jej jeszcze, by za niego wyszła.

- Nie martw się. Jeśli odpadnie, znajdę go - uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były niemożliwie białe w mroku.

Grace czuła, jak uśmiech rozciąga jej usta, ale nie zgadzała mu się poddać. Nie mogła przebaczyć Jackowi tego, że jest tak uparcie praktyczny.

- Prawie jesteśmy na miejscu... - głos Jacka niósł się ku niej po pióropuszu zmrożonego powietrza. Zwolnił kroku, pokonując śliski odcinek, wijący się wzdłuż niskiej grobli i w końcu zatrzymał się na skraju polany, graniczącej z zamarznętym strumieniem.

Wtedy tam, gdzie przedtem były tylko trawa i krzaki, zobaczyła go - miniaturową wersję domku Jacka, całego otulonego gontami, wydzielającymi słaby zapach cedru, który czuła nawet stąd. Od frontu była weranda, ocieniona przez stromo opadający dach, i zobaczyła róg zaśnieżonego pomostu, który wychodził na strumień w tyle. Komin wyskakiwał ponad linię dachu, a u stóp schodów prowadzących do drzwi dostrzegła niewielką stertę drewna.

- Wesołych świąt - powiedział Jack miękko. - Twoja pracownia, w pełni wyposażona. Jest tylko jeden klucz i należy do ciebie. Możesz się tu zagrzebywać i pisać, ile dusza zapagnie.

Zbudował to dla niej! Wiedziała, po renowacji swojego poddasza, jaki to musiał być straszliwy ogrom pracy dla Jacka - spotkania z architektami, tropienie trudnych do uchwycenia przedsiębiorców budowlanych, wykradanie czasu z pracowitego dnia, by spojrzeć na próbki kafelków, farb i okuć do drzwi.

Poczuła, że coś się w niej kruszy... było to niemal fizyczne wrażenie, jak gdyby tam, gdzie stała, śnieg nagle zapadł się, ściągając ją w dół, chwytając w pułapkę. Jednocześnie wypełniło ją uczucie musującego zachwytu, w którym rozplynęły się ostatnie drobiny gniewu.

- Och, Jack - zbyt była osłupiała, by zrobić cokolwiek, jak tylko stać, wrośnięta w śnieg, na lodowatym wietrze, smagającym ją w policzek frędzlami wełnianego szalika. - Boże, jestem taka... nie wierzę w to.

- Wiem, że nie jest to prawdziwe Boże Narodzenie, takie, do jakiego jesteś przyzwyczajona.

- Och, Jack. Jest lepsze.

- Chodź, pokażę ci go w środku. - On sam był podobny do dziecka, tak podekscytowanego, jakim był Chris w bożonarodzeniowy poranek.

Wnętrze było cudowne. Pomalowane na biało, z wbudowanym centrum do pracy z jasnego dębu, które obejmowało około trzech czwartych głównego pokoju. Półki na książki aż do spadzistego dachu ze świetlikiem w suficie, plus komputer, telefon, fax - wszystko, czego potrzebowała, by pracować tu bez końca. W rogu piecyk z lanego żelaza wpuszczony w ceglaną fasetę, która, razem z ogrzewaniem gazowym, jakie zainstalował, będzie wydzielać dość ciepła, wyjaśnił Jack, by spiec ją na skwarek nawet w najzimniejsze dni. Ale najlepsze ze wszystkiego były przesuwane drzwi, wychodzące na pomost, gdzie przy ciepłej pogodzie będzie mogła siedzieć i spoglądać na potok.

Pokazał jej małą kuchenkę w głębi, gdzie będzie mogła zrobić sobie filiżankę herbaty lub coś do jedzenia, jeśli nie będzie miała ochoty wędrować do głównego domu. Była nawet łazienka z prysznicem, wykończona suro-

wym cedrem i kamiennymi płytkami. Kiedy będzie cała zaparowana, będzie pachnieć jak las w deszczu.

Wyobraziła sobie, jak tu będzie wiosną: wlewające się słońce, wszędzie rozłożone jej papiery, szum rwącego w dole potoku.

Ale teraz istniała tylko ta chwila, ten cudowny mężczyzna, spoglądający na nią z miłością wypisaną na twarzy, wręczający jej swój niewiarygodny podarunek. Widziała, że będzie się mieścił na głębokiej, zarzuconej poduszkami sofie i że spadzisty dach zapewniał mu wyprostowanie się całą wysokość w tej małej przestrzeni. Wyobraziła go sobie nad papierkową robotą tam, na pomoście, z okularami do czytania, przycupniętymi na nosie, dotrzymującego jej towarzystwa, podczas gdy ona siedzi przy komputerze. Jego cichą obecność, dającą jej ciepłe poczucie bezpieczeństwa, jak narzucony na kolana koc.

- Bardzo mi się to podoba, Jack - szepnęła mu do ucha, otaczając ramionami jego szyję.

- Jeśli chodzi o Hannę...

Potrząsnęła głową, by go uciszyć. W tym miejscu, przysięgła sobie w duchu, czy będzie tutaj sama, czy z Jackiem, niczemu ani nikomu nie pozwoli sobie przeszkadzać.

- Mam szczerą nadzieję, że ta sofa rozkłada się w łóżko - powiedziała, uśmiechając się do jego niebieskich oczu, czując, jak on wciągają w ciepło swej rozpiętej kurtki. - Bo jeśli nie, chcę ją wymienić na taką, która się rozkłada.

- Rozkłada się - powiedział, wspierając policzek na czubku jej głowy. Jego głos, jak wspaniała mocna brandy, wsączał się w nią aż do kości, rozgrzewając je.

Grace patrzyła, jak Jack zbiera poduszki z sofy i jednym potężnym szarpnięciem rozkłada materac. Zadrżała, ale tym razem nie z zimna.

- Pocałuj mnie - ponagliła go cicho.

W tej chwili elektryczność zgasała, pogrążając ich w ciemności. Czuła, jak usta Jacka wyginają się w uśmiechu, gdy dotknęły jej ust.

- Nie mów mi, że to również część niespodzianki dla mnie - wymruczała.

- Tylko jeśli wierzysz w los.

- Absolutnie.

Czuła, jak Jack wsuwa rękę pod jej sweter, jak jego palce o szorstkiej skórze i jednocześnie nieznośnie delikatne, owiewają jej brzuch. Skóra jej ścierpła, ale nie od zimnego powietrza, prześlizgującego się po jej gołym pępku. To od dotknięcia Jacka... jego cudownego czarodziejskiego dotknięcia. Każdy strzęp rozczarowania, jakie mogła hołubić, każde zalegające życzenie, by zamiast tej pracowni otrzymać pierścionek z brylantem, zostało przegnane przez ciepło ust Jacka i wielką, napawającą otuchą, napierającą na nią masę jego ciała.

- Zamarznę - zaprotestowała ze śmiechem, kiedy ściągał jej sweter przez głowę.

- Nie, nie zamarzniesz - wyszeptał. - Nie pozwolę ci - w ciemności, wyślizgując się z džinsów, zdawała sobie sprawę, że on zrzuca z siebie ubranie. Potem przyszedł wstrząs od jego ciepła na jej nagości.

Czuła jego twardość, nagłą nacisk na jej biodro. Sięgnęła ręką w dół i zaczęła go pieścić. Uwielbiała sprawiać mu w ten sposób przyjemność. Uwielbiała nawet czuć go w dłoni, coś o aksamitnej skórze i tak całkowicie męskiego, podnoszącego się i sztywniejącego za każdym ruchem. Jack jęknął i poczuła, jak przebiega po nim dreszcz.

- Moja ręka jest za zimna? - przekomarzała się z nim.

- Nie... nie przestawaj - oddychał z urywanym sapaniem.

- Czy tak tego chcesz? - chciała go mieć w sobie, ale z przyjemnością zrobiłaby to dla Jacka, wiedząc, że wynagrodziłyby jej to później.

Jednak Jack w odpowiedzi zagarnął ją, trzymając tak, że mogła owinać go w pasie nogami. Zaniósł ją na sofę, położył delikatnie na plecach i opadł na kolana między jej nogami.

- Teraz ty - powiedział.

Zanim mogła zaprotestować, powiedziec mu, że chce go mieć w sobie, poczuła usta Jacka. Drażniące. Jego język, lekki, doświadczony, prowadził ją w drżącą otchłań. O Boże! Jakże mogło mu chociaż przyjść do głowy, że nie będą tego robili zawsze?

Nawet kiedy krzyczała, unosząc biodra na fali rozkoszy, Grace wiedziała, że zazna jeszcze czegoś więcej. Chwilę później Jack był w niej i tym razem nie powstrzymywał się - czuła, że on ulega swemu pragnieniu.

Grace doszła znowu z ostrym cichym jękiem, któremu pozwoliła tym razem nabrzmieć do krzyku, tyle razy przedtem powstrzymywanego z obawy, że Hanna lub Chris mogą usłyszeć. Teraz zdawał się przenosić ją w jakieś nowe, nieznane miejsce... a kiedy Jack odpowiedział krzykiem, Grace nagle poznała, gdzie jest.

W domu.

## O

Było już dobrze po północy, kiedy w końcu Grace i Jack na palcach wchodzili po schodach. Mijając pokój Hanny, Grace zobaczyła smugę światła pod jej drzwiami. Zatrzymała się z ręką na klamce, ale potem przyszedł jej do głowy lepszy pomysł.

Machając ręką do Jacka, który szedł przed nią, cicho zakradła się z powrotem na dół i odnalazła ozdobnie zapakowane pudełko, schowane w gmatwaninie toreb, które pozostawiła przy drzwiach. Można uznać, że to już poranek Bożego Narodzenia, powiedziała sobie. Nawet jeśli Hanna go nie obchodzi. I wciąż rozpalona po miłości z Jackiem, była pewna, że nic nie sprawi jej teraz przykrości, nawet Hanna.

Niemniej serce miała w gardle, kiedy wracała do pokoju Hanny. Zapukała cicho.

- Proszę wejść - słabym głosem zawołała Hanna.

Siedziała na łóżku i czytała. Jej senne, nieostre spojrzenie zmieniło się natychmiast, zamykając się tak raptownie jak książka, którą żywo zatrzasnęła. Szybko,



zanim Hanna mogła ją poprosić, by wyszła, Grace podeszła do łóżka i położyła prezent na zmiętej narzucie, przykrywającej nogi Hanny.

- Wesołej Chanuki. - Jeszcze uśmiechając się słabo ze swego żartu, Grace zdała sobie sprawę, jaki był kulawy.

Hanna wydawała się zdumiona i nieco onieśmielona.

- Co to jest? - zapytała, dokładnie takim samym tonem jak Chris, ilekroć stawiała przed nim talerz z nieznaną potrawą.

Tym razem się nie zdenerwuję, obiecywała sobie Grace. - Rozpakuj i zobacz - powiedziała lekko.

Hanna powoli zdejmowała opakowanie, jak gdyby obawiała się, że lada chwila coś wyskoczy i ją ugryzie. Albo, co gorsza, że cokolwiek Grace jej przyniosła, może jej się to naprawdę spodobać.

Ale kiedy otworzyła pokrywę pudełka i skórzana kurtka Liii ukazała się spod zwojów bibułki, nawet Hanna nie mogła powstrzymać zachwytu. - Och... ona jest... ona jest... - wymruczała, narzucając ją na podkoszulek, który nosiła zamiast koszuli nocnej. - Nie mogę uwierzyć. Jest dokładnie taka, jaką ja bym wybrała - potem, jak gdyby uświadamiając sobie, że opuściła gardę, zarumieniła się i zacisnęła usta w wąską linię. Boleśnie poprawnym głosem dodała: - Dziękuję ci bardzo. To bardzo miłe z twojej strony, że mi ją kupiłaś.

- W pewnym sensie ją odziedziczyłam - wyjaśniła Grace. - Kiedyś należała do Bruce'a Sprigsteena. - Hanna przewróciła z lekceważeniem oczyma, sądząc, iż Grace ją nabiera. - Naprawdę - potwierdziła Grace. - Moja przyjaciółka Lila go zna. Przychodził do jej salonu fryzjerskiego dla psów.

- Nie bujasz? - znów zaczynała się otwierać; tylko troszkę. Oczy jej błyszczały. - To znaczy, nie wymyśliłabyś takiej rzeczy, prawda?

- To prawda... ale nie mów nikomu. Nikt by w to nie uwierzył - Hanna nie musiała wiedzieć, że Lila czasami przesadza. - To będzie nasz sekret.

Hanna przybrała trochę sceptyczny wyraz twarzy na myśl, że one dwie mają mieć jakieś wspólne sekrety, ale z bezcenną kurtką zarzuconą na ramiona mogła tylko przytaknąć.

Gdzieś na zewnątrz zadźwięczał dzwonek i głupia myśl wpadła Grace do głowy, że ilekroć dzwoni dzwoneczek, oznacza to, że anioł zasłużył na swoje skrzydła. W tej chwili Hanna uśmiechnęła się - naturalnym, szczerym uśmiechem, skierowanym bezpośrednio do niej.

Nie jestem żadnym aniołem, pomyślała kwaśno Grace, ale z pewnością na to zasłużyłam. - No cóż, lepiej będzie, jak pójdę do łóżka - powiedziała, kiedy zamajaczyła niezręczna cisza.

Była w połowie drogi do drzwi, czując się tylko troszeczkę rozczarowana, kiedy Hanna zawołała cicho: - Grace?

Grace odwróciła się, trzymając swoją przyspieszającą kroku nadzieję na wodzy na wypadek, gdyby okazało się, że Hanna chciała tylko, by zgasła światło lub opuściła zasłonę.

- Wesołych świąt - usłyszała, jak Hanna mówi ślicznym, słodkim głosem bez śladu sarkazmu... i, zanim Grace zaczęła sobie za wiele wyobrażać, dodała: - Czy mogłabyś po drodze zgasić światło?

## ROZDZIAŁ 11

Wróciwszy do domu w czwartek wieczorem następnego tygodnia, w stercie poczty, która na nią czekała, Grace znalazła dwa listy z Blessing. Pierwszy, napisany na grubym kremowym bileciku stanowczą, pewną ręką matki, był krótki i niemal boleśnie zwięzły:

*Droga Grace,*

*Dziękuję za zaproszenie. Przyjadę 15 stycznia i zatrzymam się u Wina, tak że nie będziesz musiała kłopotać się w jakikolwiek sposób. Całusy dla Chrisa.*

*Matka*

Drugi list był dłuższy, a jego pełne zakrętasów bązroły od razu rozpoznawalne jako pismo Sissy. Na różowym papierze z kwiatową obwódką Grace zwierzyła nawet słaby zapach ulubionych perfum siostry.

*Droga Grace,*

*Dziękuję Ci za noże do steków, które przysłałaś na rocznicę naszego ślubu. Już mam kilka takich, które dała nam ciotka Ida, kiedy braliśmy ślub, ale nie z kościanymi rączkami. Szkoda, że nie mogłaś być na przyjęciu, ale mówiąc szczerze, Twoja obecność tylko zdenerwowałaby matkę, o którą bardzo się niepokoję. Ostatnio nie była sobą, co zapewne umknęło Twojej uwagi.*

*Powiem to szczerze. Matka spotyka się z kimś. Zauważ, że nie wspominam jego nazwiska, głównie z tego względu, że nie mogę znieść wymawiania go, a tym bardziej zapisywania na papierze. Powiedzmy tylko, że on uczył angielskiego w szkole średniej, zanim stracił rozum czy odnalazł Jezusa, czy też stało się z nim coś innego, co kazało dorosłemu mężczyźnie rzucić wszystko, żeby zarabiać na życie stryżeniem trawników. Sądzę, że wiesz, o kim mowa. Ona mówi, że on jest po prostu przyjacielem, ale kto wie? A któregoś dnia, kiedy wpadłam pożyczyć od niej odkurzacz (mój był w naprawie), on tam był, pijąc kawę przy kuchennym stole, z podwiniętymi rękawami koszuli, tak jak gdyby był właścicielem domu. Rozśmieszył czymś matkę tak bardzo, że łzy płynęły jej po twarzy. Byłam co najmniej wstrząśnięta.*

Zmierzam do tego, iż sądzę, że ten stres, jaki przeżywa matka, wiesz z czyjego powodu, naprawdę wytrącił ją z orbity. Oczywiście, robię wszystko, żeby ją rozweselić, ale chociaż ona stara się to ukrywać, wiem, że czuje się dość przybita (z wyjątkiem chwil, kiedy jest z panem R., co świadczy, jak daleko to zaszło). Ale przypuszczam, iż to całkiem naturalne, że denerwuje się własną córką, zamierającą opublikować steś bezczelnych kłamstw o tacie.

Grace, jak mogłaś? Po tym wszystkim, co matka i ojciec zrobili dla Ciebie? Wiem, że nigdy nie zgadzałyście się za bardzo, ale co ona takiego zrobiła, żeby na to zasłużyć? Matka dokonuje niemal cudów, żeby zebrać pieniądze na bibliotekę pamięci taty, która z powodu tych wszystkich artykułów o Twojej książce może w końcu nie zostać zbudowana. Gdyby Ci została jakaś resztką uczciwości, przestałabyś i dała temu wszystkiemu spokój.

Jeśli chodzi o zamiar mamy, żeby pojechać do Nowego Jorku, martwi mnie jej taka daleka podróż - jej zdrowie już nie jest takie jak niegdyś - ale spodziewam się, że przyniesie ona coś dobrego. Wiem, że w głębi duszy chcesz dla niej jak najlepiej, tak samo jak ja.

Beech przesyła ukłony. Wziął kilka tygodni urlopu i myśli o zmianie pracy. Będą go bardzo żałować w Spangler Dodge, ale nie ma tam dla niego miejsca na awans, a poza tym on jest o wiele za mądry, żeby tkwić w jednym miejscu. Zastanawia się nad posadą menedżera w nowym sklepie Sizzlera, jaki otwierają niedaleko Mulberry Acres, więc zobaczymy.

Chłopcy mają się świetnie. Bobby razem z całą piątą klasą poszedł na wycieczkę na cmentarz i zgadnij, z czym wrócił do domu? Z rysunkiem grobu Eugenii Bell Clayborn, 1803 - 1876. Na wypadek, gdybyś zapomniała, ona była naszą prababką.

Twoja siostra  
Caroline

*P.S. Dziękuję również za bożonarodzeniowe prezenty dla chłopców. Kostium do joggingu (?) dla Beau jest za mały, więc go odsyłam z powrotem. Mam nadzieję, że możesz go wymienić, ale nie martw się, jeżeli nie. Tutaj królują rozgrywki ligowe, więc chyba szaleństwo joggingu się nie przyjęło.*

Grace, w ataku irytacji, zmiała list Sissy i cisnęła go na podłogę. Jej siostra udawała, że tak się niepokoi o matkę, ale naprawdę był to tylko jej sposób na wbicie szpilki starszej siostrze. Niech ją cholera!

Jednak irytacja na siostrę minęła równie szybko jak się pojawiła. Biedna Sissy, nie nadawała się nawet na cierń w jej boku - bardziej już na rzep albo drobną drzazgę. W każdym razie powinna naprawdę współczuć Sissy, która niczego nie miała w życiu oprócz tego okropnego męża - zmiana pracy, rzeczywiście, założę się, że go wylali - i tych dwóch niemożliwych chłopców.

To matka przyprowadziła ją teraz o poty, mimo iż na czas jej nieobecności termostat w mieszkaniu został ustawiony na zaledwie osiemnaście stopni. Odkąd tylko Jack namówił ją do zaproszenia matki w odwiedzin, Grace żałowała swojej propozycji... a jednocześnie tak naprawdę nie wierzyła, że matka weźmie ją za słowo. A teraz rzeczywiście przyjeżdża! Grace czuła, jak zaciska jej się żołądek. Ale zdała sobie sprawę, że było to coś więcej niż tylko nerwy - czuła się taka nie przygotowana.

Matka, kiedy już raz podjęła jakąś decyzję, była nieugięta. Jakże ona, zbłąkana córka, zdoła przekonać matkę, by zrezygnowała z tego procesu, którym groziła? Gdybym tylko miała po swojej stronie kogoś innego niż Win, kogoś, kto by mi pomógł przekonać ją...

Jack? Zazwyczaj był wspaniały w negocjacjach. Ale dlaczego matka miałaby go słuchać? Nie znała go, a sam fakt, że on jest wydawcą, wystarczyłby, żeby matka czuła do niego uprzedzenie.

No cóż, do tej pory mam jeszcze dwa tygodnie, przypomniawszy samej sobie. Po co przejmować się tym tak bardzo już teraz?

Gdy Chris wyniósł się do swego pokoju, Grace poszła do gabinetu, by wysłuchać wiadomości, pozostawionych na automatycznej sekretarce. Win zadzwonił, by jej powiedzieć o matce, w razie gdyby jeszcze nie słyszała. A jej agent, Hank Carroll, który pod jej nieobecność zajmował się prasą, musiał z nią porozmawiać o nowym artykule, jaki przygotowywał „Esquire” na temat nowych plotek o senatorze Truscocie...

Potem poderwała się na dźwięk znajomego, choć nie oczekiwanego głosu. „Grace, myślę, że powinniśmy porozmawiać. Zadzwoń do mnie.” Nola. Serce Grace zatrzepotało.

Czego ona chce? Czyżby zmieniła zdanie i chciała udzielić jej wywiadu?

Grace podniosła słuchawkę i szybko wystukała numer Noli. Zajęty. Cholera. Poczekała kilka minut i spróbowała znowu. Ciągłe zajęty. Zerknęła na zegarek - po szóstej. Nawet jeśli to nie Nola rozmawiała przez telefon, do tej pory powinna już wrócić z pracy do domu...

Grace, wciąż w swoim podbitym barankiem sztrukturalnym płaszczu do samochodu, chwyciła impulsywnie włóczkową czapkę i mitenki, które pozostawiła na stoliku w hallu, wrzasnęła do Chrisa, że wychodzi na chwilę i niemal wyfrunęła za drzwi do windy.

## O

Grace weszła po schodach niegdyś okazałej, obecnie zniszczonej kamienicy i nacisnęła dzwonek do, zajmującego cały parter, mieszkania Noli. Dlaczego Nola zadzwoniła? Może, po przeczytaniu maszynopisu rozmyśliła się i postanowiła nie rzucać jej kłód pod nogi? Czy była gotowa mówić? Czy też po prostu sama chciała ją przemaglować?

Okratowane dla bezpieczeństwa frontowe okno parterowego mieszkania Noli było oświetlone, ale garść

ofert chińskich restauracji, wciśnięta w szparę skrzynki na listy, mogła oznaczać, że jeszcze nie wróciła do domu.

Jeśli nawet, Grace czekała, z głową nisko pochyloną przed zimnym wiatrem, który szczypał ją w policzki i w szyję, gdzie podniesiony do góry kołnierz jej płaszcza nie dostawał całkiem do podbródka. Na ulicy zawył alarm samochodowy. Choć Grace rzadko zważała na dźwięki, którymi miasto atakowało jej zmysły, teraz miała ochotę zasłonić uszy rękoma.

Zatrzeszczał interkom. - Kto tam?

- To ja - odpowiedziała Grace bez namysłu. Serce zaczęło jej walić.

Dlaczego się nie przedstawiła? Dlaczego Nola miałaby rozpoznać jej głos? Jednak miała niewytłumaczalne uczucie, że Nola będzie wiedziała, iż to ona.

Drzwi otwarły się szeroko i rozlał się prostokąt światła, eksponując imponującą postać o kwadratowych ramionach, która stała w drzwiach. Grace zamrugała; zanim jej wzrok oswoił się z blaskiem, przez chwilę widziała zamazany obraz, a kiedy spojrzała znowu, Nola zrobiła krok do przodu i zerkała na nią.

- Co ty tutaj robisz? - Nola, ubrana w szyty na miarę granatowy kostium ze złotą lamówką, wyglądała, jak gdyby dopiero co wróciła do domu. Nie zrzuciła nawet ciemnych pantofli, które robiły wrażenie piekielnie niewygodnych i które, jak Grace właśnie zauważyła, były niezwykle duże.

- Dostałam wiadomość od ciebie - powiedziała po prostu.

Nola skinęła głową, jak gdyby nie trzeba jej było mówić, dlaczego Grace nie zadzwoniła, zanim wpadła.

Ten dziwny związek, jaki Grace wyczuwała między nimi - czy Nola także to czuje? Grace myślała o artykule, jaki przed laty napisała dla „New Yorkera”, o trwałym wpływie makabrycznego mafijnego morderstwa na dwóch obcych sobie mężczyzn, morderstwa, którego byli świadkami. I o tym, jak ci dwaj - z których każdy, obawiając się o swoje życie, odmówił składania zeznań

podczas procesu - zetknąwszy się po ponad dziesięciu latach, padli sobie z płaczem w ramiona, mówiąc o wspólnych im obawach i opowiadając koszmarne wspomnienia, jak gdyby byli braćmi, którzy dawno temu stracili się z oczu.

Wydawało jej się, że upłynęła wieczność, zanim Nola powiedziała ze znużonym westchnieniem: - Równie dobrze możesz wejść. Nie mogę sobie pozwolić na ogrzewanie całego sąsiedztwa.

Grace, gdy już weszła do środka, rozejrzała się wokół, zdziwiona kontrastem między niszczącą fasadą a przyjemnym, urządzone z gustem hallem, w którym stała. Porowate, niebiesko-białe ściany, zawieszone prymitywnymi haitańskimi sztychami i coś, co wyglądało jak afrykańska rzeźba w drewnie, ustawiona na szklanym blacie absolutnie nowoczesnego stolika z kutego żelaza. Ceramiczne płytki podłogi przykrywał wytarty, ale kolorowy tybetański chodnik, spleciony w motyw skóry tygrysięj.

Nola, która musiała zauważyć coś w wyrazie jej twarzy, skomentowała z wymuszonym chichotem: - Ładniej niż się spodziewałaś, co? Możesz to nazwać reparacjami wojennymi. W tłustych latach osiemdziesiątych Marcus sprzedał sporo niebotycznych obligacji. Kiedy się wyprowadził, pozostało mi to - zatoczyła wokół siebie ręką, a solidna złota bransoletka ześlizgnęła się z mlecznie białego nadgarstka po jej ciemnym przedramieniu. - A Marcus ma w ręku wszystkie te czeki z alimentami dla dzieci, których jakoś nigdy nie może wysłać.

- Wygląda na to, że tobie powiodło się gorzej. - Czek alimentacyjny Wina przychodził punktualnie pierwszego każdego miesiąca.

- Właściwie nie. Mam Taszę i Dani - po raz pierwszy Grace zobaczyła, jak twarda twarz Noli łagodnieje. - One są warte wszystkiego. Wiesz, co mam na myśli?

Grace przytaknęła, myśląc o Chrisie.



Milczenie między nimi przeciągało się. Skrępowanie częściowo pękło, kiedy Nola oświadczyła obojętnym tonem: - Została tylko poranna kawa, jeśli nie przeszkadza ci, że ją odgrzeję.

- Z wielką przyjemnością wypiłabym filiżankę - powiedziała Grace, wyłuskując się z płaszcza i podążając za Nola do małej kuchenki naprzeciw schodów.

Tutaj nie było niczego z chłodnego szyku hallu, tylko swojski bałagan - przytwierdzone magnesami do lodówki dziecięce rysunki, zaczynające się zwijać na rogach, pudełka płatków i miska w połowie zjedzonej prażonej kukurydzy, pozostawione na kontuarze, a na stole plastikowe maty z lepкими krążkami po szklankach soków.

Nola zdjęła dwa kubki z rzędu haczyków nad zawalonym brudnymi naczyniami zlewem. - Dopiero przyszłam do domu, więc wybaczyć rozgardiasz. Nawet nie zaczęłam jeszcze robić kolacji. Pijesz kawę z cukrem?

- Tylko z mlekiem.

- Mam nadzieję, że trochę zostało - Nola zniknęła za otwartymi drzwiami lodówki i pojawiła się z kartonem chudego mleka. - Mamy szczęście. Dziewczynki piją tylko pełne. Mówią, że to smakuje jak woda po kąpieli.

- Mają rację - roześmiała się Grace. Zaczynała czuć się tutaj wygodnie, gawędząc z Nola w jej kuchni, jak gdyby były dwiema gospodyniami z przedmieścia.

Nola znów wsadziła głowę do lodówki. - Chyba mam trochę ciasta z owocami, resztki po Bożym Narodzeniu. Możliwe, że jeszcze po poprzednim Bożym Narodzeniu... - zachichotała.

- Wyjeżdżałaś gdzieś na święta?

- Nie. Zostałam tutaj. Moja gosposia, Florene, przygotowała wielką ucztę, a dziewczynki i ja pomagałyśmy, choć prawdopodobnie zjadłyśmy więcej niż wynosił nasz udział. - Z kamienną twarzą dodała: - Dani... no cóż, było jej ciężko. Marcus obiecał zajrzeć, ale jak zwykle... - wzruszyła ramionami. - To trochę jak starać się wierzyć w Świętego Mikołaja, nawet kiedy się wie, że on nie istnieje. Tasha jest starsza. Zna Marcusa wystar-

czajęco, żeby wiedzieć, że nie należy od niego za wiele oczekiwać.

- Ojciec Chrisa jest dobry pod tym względem.

- Mimo to jest ciężko, prawda? - sucho zauważyła Nola. - Nawet najlepszego ojca nigdy nie ma w pobliżu, kiedy jest potrzebny. Musimy nosić dwa kapelusze naraz i przeważnie nie mamy nawet jednego dnia z gołą głową.

Grace uśmiechnęła się. - Czasami bycie matką to jak skakanie przez płonące obręcze. Przeskakujesz przez jedną, a tu czeka następna. - Myślała o obietnicy Chrisa, że nie będzie więcej opuszczał lekcji, ale wiedziała, że nie rozwiąże to jego prawdziwego problemu: powodu, jakikolwiek by on był, jego buntowniczości.

- Czy ja o tym nie wiem? - Nola przewróciła oczami.

Właśnie wtedy wbiegły do kuchni dwie małe dziewczynki, jedna z nich nieco jaśniejsza niż druga, z zielonymi oczami swojej matki i jej zmęczoną miną. Kiedy zobaczyła Grace, zatrzymała się w miejscu i wymamrotała nieśmiało „cześć”.

- Cześć - odpowiedziała Grace, obdarzając ją swoim najcieplejszym uśmiechem. - Jak ci na imię?

- Mam na imię Dani - wypaliła mniejsza dziewczynka, zanim jej siostra mogła się odezwać. - Mam sześć lat.

- To jest Tasha - powiedziała Nola, kładąc opiekuńczo rękę na ramieniu swej starszej córki. - Ma dziesięć lat i zbliża się do czterdziestki - zwracając się do córek, powiedziała: - Nie mówcie mi, że jesteście głodne po całej tej kukurydzy, którą zrobiła wam Florene.

- Pizzę - zapiszczała Dani, podskakując w górę. - Chcę pizzę.

- Jadłyśmy pizzę" wczoraj i dwa razy w zeszłym tygodniu. Jedz tego więcej, a będziesz miała pepperoni zamiast mózgu.

- Kim ty jesteś? - Tasha zwróciła swoje szeroko otwarte oczy na Grace, zwracając się do niej z bezpośredniością, która zmierzała wprost do sedna rzeczy. Kim ona właściwie jest dla Noli? Nie przyjaciółką, chociaż chciałaby nią być. Ale także nie wrogiem, miała nadzieję.

- Jestem... - zaczęła.

- Panią, która nie ma czasu na wścibskie pytania - wtrąciła Nola, dając Tashy czułego klapsa w siedzenie. Wręczyła każdej z nich owsiane ciastko z dużego słoja w kształcie świnki, stojącego na kontuarze. - A teraz zmykajcie, żebyśmy się mogły zająć swoimi sprawami.

Widocznie zadowolone, dziewczynki wybiegły pędem, pozostawiając Nolę i Grace same. Nola postawiła parujący kubek przed Grace, na małym okrągłym stoliku śniadaniowym, a potem usiadła naprzeciw niej. Zdjęła żakiet, ukazując pod spodem przewiewną bluzkę z kremowego jedwabiu. Jej włosy były gładko zaczesane do tyłu w węzeł, ale drobne kosmyki, zwijające się jak korkociąg wokół policzków i na karku jej długiej szyi sprawiały, że wydawała się jakoś krucha.

Grace wzięła głęboki oddech i skoczyła na głęboką wodę. - Powiedziałaś, że musimy porozmawiać.

- Czy to jest poza protokołem? - chciała wiedzieć Nola.

Grace napotkała jej stanowcze spojrzenie. - Nie będę cię okłamywać. Prawda jest taka, iż chcę, żeby ta książka była na tyle nasycona faktami, na ile to możliwe. I wszystko, co możesz mi powiedzieć o twoim ojcu lub moim, pomoże mi.

- Słyszę - powiedziała Nola. - Ale zanim puszcze farbę, chcę, żebyś dała mi słowo, że nic prócz ciebie i tego, z czym weszłaś, nie opuści tej kuchni.

Grace zawahała się. Cholera. Chciała o wiele więcej, ale jeśli to jedyny sposób, by skłonić Nolę do mówienia...

Powoli Grace skinęła głową. - Dobrze. Masz moje słowo.

- Przeczytałam go - powiedziała Nola, subtelnie zmieniając ton. - Maszynopis, który mi dałaś. Jest... uczciwy.

- Dlatego zdecydowałaś się mi pomóc?

- Nie powiedziałam nic o pomaganiu, prawda? - Nola zmrużyła oczy.

- Więc dlaczego zadzwoniłaś?

Nola westchnęła i zwróciła wzrok na oprawioną matkę na ścianie pod zawaloną książkami półką. Z obrazkiem domu i psa, a pod spodem ze starannie wyszytym krzyżykami alfabetem. W dole napis: Emily Morris, lat 9, 1958.

- Właściwie nie wiem - powiedziała cicho, przesuwając długimi palcami po szyi i chwytając obrózkę ze sztucznych pereł nad wystającymi kośćmi obojczyka.  
- Chciałabym to wiedzieć. Naprawdę, nie wiem nawet, jak zacząć...

- Może od tego, że powiesz mi, dlaczego miesiącami unikałaś moich telefonów? - Grace uniosła rękę do góry.  
- Tak, wiem, co powiedziałaś mi przy lunchu, że nie chciałaś ściągać na siebie uwagi. Ale, Nola, nie mogę się nie zastanawiać, czy to nie coś innego cię powstrzymuje.

Nola milczała, a jej twarz stała się nawet jeszcze bardziej zamknięta. Potem wielkim, jak się zdawało, wysiłkiem woli zdołała znów przybrać na twarz wyraz obojętności, jak kawałek pogniecionego papieru, który wygładzono.

Mogłabym ją poprosić, żeby natychmiast wyszła, pomyślała Nola, i nigdy by się niczego nie dowiedziała.

Jak ma wyrazić udrękę, która popchnęła ją do tej decyzji? Jak kobieta, która nigdy nie musiała udawać, że jest kimś innym, mogłaby docenić postawę Noli? A teraz jeszcze wszystko się skomplikowało przez projekt biblioteki, z którym jej firma przystąpiła do konkursu. Gdyby Grace lub jej matka miały zwietrzyć jej udział...

Wpatrując się w Grace, której drobna twarz wydawała się tak pełna nadziei, Nola poczuła ściskanie w gardle. Nie robię tego dla ciebie, chciała powiedzieć. Robię to dla SIEBIE. I czy, w pewnym sensie, także nie dla mamy?

Prawda uczyni cię wolnym. Słowa z Biblii, którą mama czytała jej co wieczór przed snem. Mama z pewnością zrozumiałaby tę jej potrzebę, to palące pragnienie w środku, by powiedzieć komuś, zwłaszcza temu komuś, po wszystkich tych latach...

Nola wzięła głęboki oddech. No dobrze, dziewczyno, sama tego chciałaś...

- Co to ja powiedziałam o twojej książce? Że jest uczciwa? Jest w niej coś więcej niż to - zaczęła cichym głosem, kierując spojrzenie w punkt ponad ramieniem Grace. - Jest taka prawdziwa. Pokazałaś, jaki on był naprawdę. Zawsze pomagał ludziom, nie myśląc o sobie, tak jak pomagał mamie i mnie. Ale brak dużej części jego historii...

Grace czekała, jej serce waliło o żebra jak pięść.

- ... czegoś, o czym nigdy nie powiedział ani tobie, ani nikomu innemu...

- Czego? - ponagliła Grace szorstkim szeptem, choć nagle doznała strasznego uczucia, że nie chce wiedzieć.

- Jestem twoją siostrą.

## O

Zapadła nad nimi cisza.

Stopniowo do Grace zaczął docierać chichot dziewczynek, bawiących się w hallu. Zerknęła na zegar na kuchence. Tylko piętnaście minut, odkąd tu przysła. Jak to możliwe? Miała wrażenie, że upłynęła wieczność, że napisano księgi o tym, co działo się na świecie, odkąd tutaj weszła.

- Ale twój ojciec... - zaczęła Grace.

- On? Człowiek, którego nazywałam tatusiem, nie był moim ojcem - powiedziała Nola ostro, z oczami błyszczącymi od nie wylanych łez. - Och, on miał podejrzenia. Po prostu nie wiedział dość, żeby przypisać winę komuś w szczególności. Szczęściem dla Eugene'a Truscotta, inaczej tamtego dnia to jego życie mogło się zakończyć.

- Nie wierzę w to. To po prostu niemożliwe - Grace czuła, że ogarnia ją odrętwienie, jak gdyby Nola otworzyła okno i wpuściła mroźny podmuch. - Przez wszystkie te lata. Ktoś... z pewnością musiał być ktoś... wiedziałybyśmy.

- Oni byli w tym bardzo, bardzo ostrożni - ciągnęła Nola. - I pamiętaj, że mówimy o wczesnych latach

sześdziesiątych. Niezależnie od tego, za jak wielkiego liberała uważali ludzie Eugene'a Truscotta, nigdy nie przyszłoby im do głowy, że on z czarną kobietą...

Grace zakryła twarz rękoma. - Nie... nie... - jednocześnie przypominała sobie tamten dawno miniony dzień. Oszałała Margaret dzwoni, błaga tatę, by przyjechał. Zachowanie sekretarki... czy kochanki?

- Widzisz? Ty też nie chcesz w to uwierzyć - głos Noli był twardy. - Ale wiesz, on ją kochał. Kochał nas. To nie był tylko... wygodny układ.

Miłość? To słowo dosięgło Grace jak cios. Ale co z matką - czyż tata jej nie kochał?

Czuła się jak wtedy, kiedy znalazła Wina z Nancy, zdawało jej się, że podłoga otwiera się pod nią, wtrącając ją w czarną, wirującą otchłań.

- Zaszła w ciążę, kiedy tata był na morzu - łamiący się głos Noli dziwnym sposobem zdawał się ją zakotwiczać. - Właśnie to wyprowadzało tatę z równowagi. Ale, Bogu dzięki, nie znał całej historii.

- A co z twoją rodziną? - zapytała Grace. - Z ciotkami, wujkami, kuzynami. Chcesz mi powiedzieć, że nikt nie wiedział?

Nola uśmiechnęła się ze smutkiem, który sprowadził łzy do oczu Grace. - Cała rodzina mamy mieszkała koło Montgomery, więc w pewnym sensie było to łatwe. Byłyśmy tylko my. Pamiętam, że kiedy taty nie było sześć lub może więcej miesięcy, a ja musiałam mieć około siedmiu lat, zapytałam mamę, dlaczego wujek Gene nie może spędzać każdej nocy z nami. Przytuliła mnie mocno i opowiedziała mi całą historię. Kazała mi przysiąc, że nigdy nie powiem - wzięła głęboki oddech i zwróciła udręczone spojrzenie na Grace. - To dlatego zrobiłam się taka niespokojna, kiedy zaczęłaś dzwonić. Bałam się, że rozgrzebując wszystko wokół, wcześniej czy później dopkopiesz się prawdy - odetchnęła głęboko. - Potem cię poznałam... i kontury zaczęły się zamazywać. Z jednej strony, chciałam przedstawiać sobie siebie jako chytrą dziwkę... a tu masz ci...

- Po prostu zwykła czerstwa dziwka - niepewnie zaśmiała się Grace. Czuć wracało jej w kończynach, co sprawiało, że była naładowana i drażliwa.

- Taak, coś w tym rodzaju - powiedziała Nola z krzywym uśmiechem.

- Gdyby zamiast mnie była tu moja matka, nazwałaby cię oszustką.

- Czy myślisz, że nią jestem?

- Nie wiem, co myśleć.

- Wiem, że dla ciebie musi to być wstrząs. Ale jeśli chodzi o mnie, to takie przyjemne uczucie powiedzieć to w końcu głośno - Nola odrzuciła do tyłu głowę i westchnęła z wielką ulgą. - Boże, nie masz o tym pojęcia.

- Ale nadal tyłu rzeczy nie wiem - Grace mozoliła się, by poukładać swoje rozbiegane myśli. - Wszystkiego. Od początku.

To nie będzie telewizyjne spotkanie dawno rozdzielonych siostr, pomyślała Grace. Nikt nie będzie rozdawać papierowych chusteczek, a one nie będą łąkać w swoich objęciach.

Nola pochyliła się do przodu, odpychając na bok kubki do kawy, talerzyki i ciasto z owocami, którego nie tknęły. Chwyciła ręce Grace twardymi, chłodnymi palcami. - Wierzysz mi, prawda? Chcę to usłyszeć od ciebie, zanim pokażę ci... - zamilkła, przygryzając wargę.

- Pokażesz mi co?

- Po prostu powiedz to. Że wiesz, iż ja nie zmyśliłam tego wszystkiego.

Grace zmusiła się, by spojrzeć Noli w oczy, już nie zielone jak rozlewisko przypływu, ale czarne i bezdenne jak sam ocean. Czuła, że drży, niemal konwulsyjnie. Nawet kiedy zacisnęła zęby i objęła się ramionami, nie mogła powstrzymać dreszczy.

Tata i Margaret. Jak? Jak niewierność tak monumentalna mogła pozostać tajemnicą? Czyż matka nie wiedziałaby... albo przynajmniej podejrzewała? Stawiała sobie za punkt honoru być poinformowana o wszystkim, co robił tata; nic nie uchodziło jej uwagi, chyba że było to coś, o czym nie chciała...

Grace miała wrażenie, że coś w jej myślach wskakuje na swoje miejsce, jak pasujące do siebie fragmenty łamigłówki. Matka? Była to właśnie tego rodzaju rzecz, którą ona by pogrzebała... pogrzebała tak głęboko, że w końcu sama mogłaby sobie wmówić, że, przede wszystkim, tego nigdy nie było.

- Wierzę ci - powiedziała Grace głuchym, zimnym głosem osoby, która nie ma innego wyboru, jak tylko uwierzyć.

- To dobrze - Nola znów usiadła prosto i Grace przelotnie dostrzegła ulgę za posępną jej rysów.

- Zaraz wracam. Zaczekaj tutaj.

Patrząc, jak Nola opuszcza pokój, Grace przełknęła ironiczny śmiech. Odejść teraz? Jak mogłaby chociaż wstać?

Jednocześnie jakiś wewnętrzny głos kazał jej wybiec... wyczołgać się, gdyby musiała... po prostu uciec od tej osoby, która twierdziła, że jest jej siostrą, i od wszelkich dowodów - fotografii, pamiątnika? - jakie Nola w tej chwili wygrzebywała z jakiejś szuflady.

Grace, rozpoznając ten głos jako głos matki, opadła z powrotem na krzesło.

Zostanie. Wysłucha wszystkiego.

## O

Gdy godzinę później Grace opuściła dom Noli, szła jak we śnie, ledwie świadoma tego, dokąd idzie. Nie zauważyła łaty lodu, dopóki chodnik nagle nie wysunął się jej spod nóg. Wylądowała niezgrabnie na czworakach, paskudnie ocierając sobie kolano.

Sądziła, że powinna poczuć ból, ale była w tej chwili zbyt odrętwiała. Przez kilka długich chwil po prostu gapiła się na swoje kolano poniżej obrąbka długiej wełnianej spódnicy, patrząc, jak krew ścieka jej do buta.

W myślach widziała Neda Emory'ego i białą narzutę, szkarłatniejącą pod jego ciałem.



Wyrzuciła ten obraz z myśli i podniosła się. Musi otrząsnąć się z tego oszołomienia, inaczej, zanim się obejrzy, wejdzie w drogę pędzącej taksówce.

Pomyślała o Jacku. O jego ramionach i głosie, kojących, sprowadzających ją na ziemię. Tego wieczoru podwiózł ich do domu, a sam miał się wybrać do swego biura przekopać się przez pocztę, jaka niewątpliwie nagromadziła się podczas jego nieobecności. Może nadal tam jest?

Gdyby myślała jasno, zatrzymałaby się przy budce telefonicznej. Ale w tym stanie rozproszenia zaczęła iść, jak po wytyczonym szlaku, w stronę Flatiron Building. Kiedy doszła, drzwi do recepcji były otwarte, ale nikt nie siedział za biurkiem. Miała już odejść, gdy usłyszała, jak w głębi hallu otwierają się drzwi gabinetu. Parę chwil później pojawił się Benjamin.

Gdy stał, gapiąc się na nią, Grace pochwyciła własne odbicie w szklanej ścianie sali konferencyjnej i zdała sobie sprawę, jaki wstrząs musiała w nim wywołać biała jak papier twarz, potargane włosy, poplamiona krwią spódnica i tak dalej.

Ben szybko wprowadził ją do najbliższego gabinetu, który okazał się gabinetem Jerry'ego Schillera. Sadzając ją na kanapie między bezładnymi stosami książek i maszynopisów, piętrzącymi się na poduszkach, pochylił się, by obejrzeć jej kolano.

- Uuuch. Wygląda to na głębokie. Chyba przydałby ci się szew czy dwa.

- Nie jest aż tak źle - powiedziała, przyciskając zwiniętą w kulkę papierową chusteczkę do kolana, by zatrzymać świeże krwawienie.

- Podać ci coś? - zapytał Ben. - Plaster? Może brandy, jeśli coś takiego tu jest? Rzeczywiście wyglądasz na zaszokowaną.

- Naprawdę, to wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości.

- Jeśli chcesz znać prawdę, wyglądasz jak dziewczynka, która spadła z roweru i stara się być dzielna.

- Ben, podnosząc wzrok i napotykaając jej spojrzenie, obdarzył ją tak czułym uśmiechem, że natychmiast zrobiło jej się ciepło.

Ben wstał i przycupnął na rogu zawalonego biurka Jerry'ego, z nogami wyciągniętymi przed sobą, wąskimi mokasynami z cielecej skóry ułożonymi obok sterty maszynopisów. Patrząc na niego, wyobrażała go sobie jako zrównoważonego, utalentowanego młodego człowieka, na jakiego, jak zawsze miała nadzieję, wyrośnie Chris.

Znów uderzyło ją, że jakie to dziwne, iż Ben nie ma dziewczyny. Wiedziała od Jacka, że wiele kobiet tutaj, w wydawnictwie, było zainteresowanych. Ale żadna z tych, z którymi Ben się umawiał, nie została nigdy przyprowadzona do domu, by poznać Jacka czy Natalie.

- Mój ojciec mawiał, iż jestem taka chuda dlatego, że jak tylko przytyję pół kilo, natychmiast je z siebie zdieram - powiedziała Grace. Nagle to niefrasobliwe pokpiwanie z siebie stało się zbyt uciążliwe. Gorzkim głosem dodała: - Mówił mi wiele rzeczy... nie wszystkie prawdziwe.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na kant nogawki spodni Bena. Jak on to robi, że sztruks wygląda na nim tak świeżo? I jak on jest w stanie nosić pasek w ten sposób zapętłony, zawiązany nienagannie jak krawat?

- Grace, co się stało? - usłyszała jak z oddali głos Bena. - Zapomnij, co mówiłem o upadku z roweru. Wyglądasz jak potrącona przez samochód.

- Pod pewnymi względami mam takie uczucie.

- Na miłość boską, o co chodzi?

Grace zawahała się. - Czy twój tata jest przypadkiem w pobliżu? - zapytała.

Ben potrząsnął głową. - Właśnie się minęliście. Jest w drodze do śródmieścia, żeby się spotkać z jakimś zdesperowanym autorem, który zadzwonił przed chwilą. Ale wiesz, ja jestem niezłym słuchaczem.

Prawda była taka, że chociaż lubiła Bena, czułaby się skępowana zwracając mu się. Ale on jest tutaj,

współczuje jej. A Jack może być nieosiągalny godzinami...

Usłyszała trzaśnięcie drzwi jednego z gabinetów w głębi hallu. Patrzyła, jak drabinka światła i cienia, przeświecająca z zewnątrz budynku przez zasłony za jej plecami, gra na przystojnej twarzy Bena. I w tej chwili, gdy drobiny kurzu migotały w pasmach falującego światła, gdy jego ocienione oczy spoczywały na niej, chłodne, zielone i jakoś dalekie, głos wewnętrzny szepnął Grace: „Pożałujesz, jeśli mu powiesz”.

Jak gdyby wyczuwając, że Grace się ociąga, Ben odszedł od biurka, odsunął na bok stertę książek i usiadł obok niej. - Grace, cokolwiek to jest, możesz mi zaufać.

Ben jest synem Jacka, powiedziała sobie. I zawsze był wobec niej uczciwy. Tak czy owak, obiecała Noli tylko, że nie poda niczego do publicznej wiadomości.

- Chodzi o Nolę - wypaliła. - Nolę Emory, pamiętasz ją?

- Jakże mógłbym zapomnieć - uśmiechnął się Ben.

- Właśnie się dowiedziałam, że my... ona i ja... -

Wciągnęła powietrze do płuc i dokończyła na wydechu: - Jesteśmy siostrami. - Znowu poczuła ten nagły, przyprowadzający o zawrót głowy stan nieważkości, którego doznała u Noli.

Z wahaniem opowiedziała mu resztę. Jak Nola wymazała ostatnie jej wątpliwości, pokazując list, napisany przez jej ojca do Margaret. Jak epitafium, wyrzyte na kamieniu nagrobnym, jedna linia wyróżniała się w pamięci Grace:

*Zabija mnie, Margaret, to podwójne życie. Czy jest jakiś sposób, żeby z tym skończyć bez ranienia tych, których kocham?*

Jest więcej listów, powiedziała jej Nola, ale jaki był sens, by czytała je wszystkie? Czy ten to nie dowód, jakiego potrzebowała?

Ben słuchał nie poruszając się i nie odwracając spojrzenia. Kiedy Grace skończyła, nachylił się ku niej z oczami rozświetlonymi czymś więcej niż tylko współ-

czucie. - A gdybyś mogła ją skłonić do przekazania tych listów? - W jego głosie odezwała się nuta spokojnego nalegania. - Twoja książka. Mój Boże, Grace, czy wiesz, jakie to nam daje widoki, jeśli chodzi o reklamę? Sprzedaż?

- Nie myślałam o mojej książce - odpowiedziała.

Grace żałowała teraz, że powiedziała Benowi. Jack nie sprowadziłby tego tylko do tak przyziemnej kwestii.

Nagle przejaśniło jej się w głowie i usiadła prosto. - Ben, nie powiesz nikomu, prawda? Nawet twojemu ojcu, jeśli przypadkiem będziesz z nim rozmawiał wcześniej niż ja?

- Absolutnie nikomu - obiecał. - Ale Grace, musisz zdobyć te listy.

Pozwoliła jego słowom zapaść w siebie. Może i Ben jest oportunistą... ale tak się składa, że ma rację. Tutaj nie chodzi tylko o nią i Nolę. To, czego właśnie dowiedziała się w kuchni Noli, rzucało nowe światło na wszystko, co napisała. Na wszystko, w co kiedykolwiek wierzyła.

- Porozmawiam z nią jeszcze raz.

Ale miała denerwujące uczucie, że ona i Ben są zainteresowani listami dla różnych powodów.

Przez chwilę czy dwie Ben wydawał się pogrążony w myślach - głowa opuszczona, podbródek w dłoni. Potem raptownie podniósł głowę. - Powiedziałaś komuś oprócz mnie?

- Przyszłam prosto tutaj.

- To dobrze - powiedział, jak gdyby do siebie. - To mi daje czas.

- Na co? - zapytała Grace.

Uśmiechnął się. - Chciałem powiedzieć, że jeszcze jest czas, zanim książka pójdzie do druku. Dla ciebie na dopiski czy poprawienie pewnych rozdziałów.

- Może... ale jeśli Nola odmówi współpracy?

Uśmiechnął się szeroko i coś za tym błyskiem nieskazitelnych białych zębów wprawiło ją w nagły niepokój. Ale nie taki, jak jego kolejne słowa. - No cóż, wiesz, co mówią. Jest niejeden sposób, żeby obedrzeć kota ze skóry.

Jack tulił ją, aż drzenie ustąpiło.

- Chcesz usiąść? - zapytał. - Przynieść ci coś? Chyba mam tutaj butelkę sherry - odwrócił się i zaczął szperać na półce bieliźniarki, którą przekształcił zarazem w barrek i w składzik takich rzeczy, jak maszynopisy, za które jeszcze się nie zabrał, plakaty targów książki, które ciągle miał zamiar dać do oprawienia, promocyjne drobiazgi, taki jak pudełko baloników, opatrzonych sloganem: „Jak wznieść się na szczyt, mocno stojąc nogami na ziemi.”

- Jesteś dzisiaj drugim mężczyzną, który kusi mnie alkoholem - zaśmiała się niepewnie, opadając na sofę. Na szczęście Jack był w domu, kiedy przed chwilą zadzwoniła. Zaproponował, że natychmiast przyjdzie, ale kazała mu przyrzec, że nie ruszy się z miejsca. Nie chciała, by Chris usłyszał to wszystko... jeszcze nie.

- Kto był pierwszy?

- Zajrzałam do wydawnictwa, zanim przyszłam tutaj i wpadłam na Bena - zerknęła na zegarek. Wpół do jedenastej. Jak to się stało, że jest tak późno? Miała wrażenie, że zostawiła Bena nie dalej niż godzinę temu.

Jack nalał jej kieliszek sherry i postawił na stoliku przy sofie. Gdyby nie Jack, w sporej bawialni jego mieszkania, sprawiającej wrażenie jeszcze większej, bo skąpo umeblowanej, czułaby się jak porzucona na bezludnej wyspie.

- A teraz - powiedział, sadowiąc się obok niej i oplatając ją ramieniem - czy chcesz o tym porozmawiać?

Powiedziała mu wszystko, łącznie z tym, że zwierzyła się Benowi.

Jack oparł się plecami o poduszkę sofy, wyraźnie zdumiony tą bombą. Była mu wdzięczna, że nie podskoczył z radości, podkreślając, co to za gratka dla speców od reklamy, tak jak zrobił to Ben... ale dlaczego nic nie mówi?

W końcu Jack odwrócił się do niej i poważnym głosem powiedział: - Nic ci nie będzie? Pieprzyć książkę, ob-

chodzi mnie tylko, jak ty to przyjmiesz - było to dokładnie to, czego potrzebowała.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zawsze, przez całe jej życie, tak było. Skręcała się, by nie płakać na oczach wszystkich, ale wystarczyła najmniejsza oznaka współczucia, gdy była przygnębiona, a zaczynała przeciekać jak sito.

- Och, Jack... - przełknęła grudkę w gardle. - Nic mi nie będzie. Tylko jestem taka... taka... och, nie wiem - osunęła się w zagłębienie jego ramienia.

- Zła?

Grace popatrzyła na niego i zdała sobie sprawę, że on ma rację. Jest zła, do cholery. Na swego ojca, za to, że ją okłamywał. Na Nole także, za to, że czekała do tej pory, by jej powiedzieć. Nie zmieniało to tego, co przydarzyło się Nedowi Emory'emu - wiedziała bez żadnej wątpliwości, że jego śmierć to był wypadek. Ale czy w pewnym sensie tata nie ponosił zań pośrednio odpowiedzialności? Mimo iż Ned nie wiedział, kto jest prawdziwym ojcem Noli, dobrze zdawał sobie sprawę z faktu, że ona nie jest jego córką. Inaczej czy doprowadzono by go do skierowania broni na Margaret?

- Jak on mógł nam to zrobić? - załkała.

- Co każe ci myśleć, że zrobił to, by was zranić?  
- zapytał Jack.

- Jack, czy nie rozumiesz? On nas okłamywał. Nie tylko to, ale miał dziecko z Margaret.

- Dziecko, które, jak się obawiasz, mógł kochać bardziej niż ciebie?

W tej chwili Grace nienawidziła Jacka. Ale potem zaświtało jej, że on tylko stara się pomóc jej rozeznać się w swoich uczuciach. Wzięła głęboki oddech.

- Może - coś skręcało ją w środku, powodując ostry ból. - Och, Jack... a jeśli tak?

- Uważam za całkiem możliwe - zaczął powoli - że kochał cię nawet bardziej niż kochałby w zwykłych okolicznościach. Wyobrażam sobie, że kiedy patrzył na ciebie, nie myślał o Noli, ale o tym, jakie to byłoby

straszne, gdybyś kiedykolwiek miała odwrócić się do niego plecami.

Łzy Grace przelały się, piekąc ją w policzki. - Tak, on mnie kochał. Tego przynajmniej jestem pewna.

- Zatem to, czego nie wiesz, to jakie jest miejsce twojej matki w tym wszystkim.

Grace przypomniła sobie o zbliżającej się wizycie matki i zakryła ręką usta. - O Boże, ona tu będzie za dwa tygodnie.

- Masz zamiar jej powiedzieć?

Grace myślała chwilę, potem powiedziała: - Muszę. Ale mam uczucie, że ona może już wie, nawet jeśli tylko w głębi duszy.

- Czy to znaczy, że masz zamiar zrewidować swoją książkę? - wyraz jego twarzy zdradzał tylko ślad nadziei, jaką musiał odczuwać.

Położyła rękę na kolanie Jacka, czując się silniejsza niż w ciągu ostatnich paru godzin. - Tak - powiedziała. - Nie dlatego, że to pomoże Cadoganowi - i nie zrozum mnie źle, bo ja naprawdę chcę także tego, co najlepsze dla ciebie - ale dla siebie. Sądzę, że w jakiś sposób zawsze wiedziałam, że czegoś brakowało w naszym doskonałym rodzinnym portrecie. Nie wiedziałam, co to takiego, ale to mnie nie powstrzymywało od poszukiwań. Może przede wszystkim to kazało mi podjąć decyzję o napisaniu książki.

Jack uśmiechnął się. - Nie mogę nie myśleć o tej chińskiej klątwie: Uważaj, o co prosisz, bo możesz to dostać.

Grace wstała. - Lepiej już pójdę. Powiedziałam Chrisowi, że niedługo wrócę.

- Wobec tego odwiozę cię.

- Jack, nie musisz...

Uciszył ją pocałunkiem. - Muszą być w życiu rzeczy, na które możesz liczyć. Ja jestem jedną z nich.

Czy naprawdę mogę na ciebie liczyć? - zastanawiała się Grace. Jeśli zarówno Win, jak i jej ojciec - na których liczyła i w których wierzyła tak, jak w listy apostołskie,

poznawane na lekcjach katechizmu - mogli zawieść ją w takim stopniu, to czy mogła ufać, że Jack jej nie zawiedzie?

## O

Godzinę później, szykując się do łóżka, Grace zawahała się w środku szorowania zębów, zatrzymana zdumiewającą myślą: Nola jest bardziej do mnie podobna niż Sissy. Wstrząśnięta, wypłukała usta i odłożyła szczoteczkę do zębów na marmurowy kontuar obok słoika aptecznego, wypełnionego rupieciami - drobnymi, podobnymi do klejnotów muszelkami, kawałkami starego marmuru, cekinami i paciorkami - które latami zbierała tu i tam.

Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze szafki na lekarstwa, z roztargnieniem notując bladość skóry i ciemne kręgi pod oczyma. W głowie odzywało się echem jedno słowo: siostra. Teraz, gdy wstrząs zaczął mijać, zastanawiała się, jak by to było mieć Nolę za siostrę.

Dziwnie? Niezręcznie? Tak, ale...

Czy to możliwe, by kiedykolwiek zostały przyjaciółkami? Czy pewnego dnia będzie mogła zaufać Noli tak, jak zawsze chciała ufać Sissy?

„Nie wiem, dlaczego chcesz marnować czas z kimś o tyle starszym od ciebie, kiedy na pstryknięcie palcami mogłabyś mieć Wina z powrotem.” Grace niemal słyszała świętszą niż papieska odpowiedź Sissy na zwierzenie o Jacku, jakie mogłoby jej się wymknąć.

Z drugiej strony, mogła sobie wyobrazić Nolę, uśmiechającą się tym jej nieskończenie znużonym uśmiechem i mówiącą coś w rodzaju: „Miłość nie zawsze staje w drzwiach z uśmiechem na twarzy. Czasami musisz brać ją tam, gdzie ją znajdziesz.”

Miała pewność, że Nola, inaczej niż Sissy, nie musiałaby na oślep atakować siostry po to, by samej poczuć się lepiej. Jakiegokolwiek w niej były zahamowania czy zawiści, Nola wydawała się być z tych, które rozwiązują swoje problemy wprost. Nie tylko to: jako samotna



matka, musiała być przyzwyczajona do kierowania wszystkim samodzielnie.

Jak ja.

Gdy świadomość tego podobieństwa zapadała w nią, Grace patrzyła, jak w lustrze pojawia się krzywy uśmiezek.

Wyobraziła sobie również poznawanie dziewczynek Noli i stwierdziła, że zapala się do tego pomysłu. Mało znała chłopców Sissy, a tym mniej czuła im się bliska. Jedyne raz, kiedy Sissy i jej rodzina przyjechali odwiedzić Grace w Nowym Jorku, jeszcze kiedy była żoną Wina, Beau i Billy swymi chuligańskimi wyczynami omal nie przewrócili domu do góry nogami. A kiedy Grace w końcu ich zbeształa, jej siostra uniosła się oburzeniem, jak gdyby Grace sprawiła im lanie rzemieniem, co, na dobrą sprawę, nie byłoby takie złe.

Za to Dani i Tasha wydawały się takie słodkie. Jak by to było zabierać je do wszystkich tych miejsc, gdzie zabierała Chrisa, zanim ogłosił moratorium na całą tę „dziecinadę” - do dziecięcego muzeum, ogrodu zoologicznego, FAO Schwarz? Co sądziłyby córki Noli o ciotce, która wzięła się nie wiadomo skąd?

A co z Chrisem? Jak zareagowałyby na obdarzenie go całą nową gałęzią rodziny? Czy odsunąłby się od Noli tak jak od Jacka?

Tyle pytań. Każde, jakie się pojawiało, pociągało za sobą tuzin innych. Myśli Grace wirowały. Na razie jasne było tylko to, że oświadczenie Noli, zamiast być tylko epilogiem historii ich rodziców, było dopiero początkiem dla Noli i Grace.

## ROZDZIAŁ 12

- Naprawdę nie chcę, żeby mi ta książka przeszła koło nosa - Ben starał się nie sprawiać wrażenia jakiegoś nadgorliwego asystenta redaktora, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. - Tato, to mogłoby być coś... naprawdę coś. Myślałem, że może być to tylko kaczką, ale słyszałem to z dwóch źródeł. Producenci z Paramount i Foxa przedstawiają oferty. Mówię ci, wszystkie wróble o tym ćwierkają.

Usadowiony naprzeciw biurka ojca, zapełnionego fotografiami w ramkach - a wśród nich także jego fotografię, której nienawidził, przedstawiającą go jako pyzatego chłopca podczas bar micwy\* - Ben miał wrażenie, że przypiekają go na ogniu. Rozpaczliwie potrzebował jakiejś dobrej książki na wypadek, gdyby pojenie i karmienie Rogera Younga nie zdołały powstrzymać go przed odejściem. Ale widząc kontemplacyjną minę Jacka, rozpartego w swoim przypominającym tron wiktoriańskim krześle obrotowym, Ben zdał sobie sprawę, że jego ojciec jak zwykle będzie kazał mu się pocić... a w końcu może nawet powiedzieć „nie”. Niech go diabli.

Ben czuł, że całe ciało zaczyna go świerzbic i wiedział, że gdyby zdjął marynarkę i podwinał mankiety koszuli, znalazłby wysypkę po wewnętrznej stronie przedramion.

- Oferta dwustu tysięcy to dużo za książkę, która nadal wymaga wiele pracy - spokojnie odpowiedział jego ojciec.

- Ktoś, i jestem prawie pewien, że to Random, stanął na stu siedemdziesięciu, ale jestem niemal pewien, że przy dwustu moglibyśmy ubić interes. Tato, to mogłaby być druga *Firma*. Phil Harding nie tylko potrafi pisać,

ale pracuje dla jednej z czołowych firm prawniczych w Los Angeles. Atmosfera jest tak prawdziwa, że właściwie jest się tam.

- A co z intrygą? Jerry mówi, że ma kilka dużych dziur.

Ben miał ochotę wybuchnąć, ale trzymał pięści i całe ciało mocno na wodzy. Schiller, napuszony stary piernik, co on wie o literaturze komercyjnej? - Na litość boską, dla niego nikt nie jest dobry, dopóki nie jest Williamem Faulknerem albo może Saulem Bellowem - Ben odpowiedział rozsądnym, miał nadzieję, tonem. - Nie mówimy o książce ubiegającej się o poważną nagrodę literacką, tato. Przy pewnej pracy edytorskiej i przyzwoitej promocji ta książka mogłaby trafić na listę „Timesa”.

Ben czuł, że wysypka na ramionach i pod kołnierzykiem staje się coraz bardziej swędząca i przypomniał sobie, że kiedy był mały, tata musiał przyklejać mu taśmą skarpetki na dłoniach, by powstrzymać go przed rozdrapywaniem pokrzywki do żywego mięsa. Teraz miał to samo uczucie - jak gdyby miał związane ręce. Dlaczego choć raz, tylko raz, stary nie mógł go posłuchać?

- Podoba mi się twój entuzjazm, Ben - ojciec mówił tym swoim głosem najrozsądniejszego faceta na świecie. - Ale musimy być realistami. To, co widzę, to autor bez przeszłości, pierwsza powieść o problematyce, która może, albo nie, być zajmująca. Za dwadzieścia, nawet za pięćdziesiąt tysięcy, moglibyśmy zaryzykować. Ale żeby to wypaliło, musielibyśmy wydać dwa albo trzy razy tyle na marketing i reklamę.

- Lon Silverstein od Williama Morrisa daje do zrozumienia, że moglibyśmy znaleźć jakieś wyjście. Na przykład włączyć w to prawa na sprzedaż za granicą - nie musiał tłumaczyć tacie, że im wyższa zaliczka, tym Hollywood skwapliwsze.

- To co innego - Jack jeszcze bardziej odchylił się do tyłu na krześle, klaszcząc za głową w dłonie, ale po jego twarzy było widać, że wątpliwości nie zostały rozproszone.

Ze swymi srebrzystymi włosami i jasnoniebieskimi oczyma ojciec mógłby być modelem do zdjęć reklamowych ubezpieczenia na życie, pomyślał Ben. Zaufajcie mi, ludzie, nie zawiodę was. I w znacznej mierze wszyscy u Cadogana takim go widzieli - redaktorzy i ich asystenci, pracownicy działów marketingu i sprzedaży, nawet typy z kucykami i kolczykami z działu graficznego. Jego sekretarka, stara Lucy Taggart o końskiej twarzy, także była w nim od lat zakochana. Ben przypomniał sobie, że kiedyś tata pochwalił szalik, jaki miała na sobie, i niech go diabli porwą, jeśli Lucy nie nosiła go codziennie przez miesiąc. Jedynym tutaj, który nie całował ojca w dupę, był Reinhold.

- Słuchaj, tato... wiem, że jest teraz kuso z pieniędzmi - do diabła, dlaczego ma uczucie, że ma szesnaście lat i pyta, czy może pożyczyć samochód? - Ale ja naprawdę wierzę, że to się uda. Ja dokonam tego, że się uda.

Jesteś mi to winien. Moja pozycja w tej firmie, moja kariera, cała moja przyszłość związana była z Rogerem Youngiem. A ty zrobiłeś, co mogłeś, żeby to poszło w diabły. Tak, z niego jest ścierwo... ale czy nie mogłeś wysłać tej kobiety w przyjemną podróż na Hawaje zamiast dawać Rogerowi po łapie?

Tata uśmiechał się teraz pobłażliwie, pochylając się do przodu, opierając łokcie na biurku. Poranne światło, wlewające się przez pionowe żaluzje, odbijało się od uśmiechniętej Hanny na fotografii w ciężkiej srebrnej ramce. Ben miał ochotę roztrzaskać ją, rozbić o ścianę.

Osiem lat temu, kiedy tata zaproponował mu pracę u Cadogana, Ben mierzył w najgorszym razie do asystenta redaktora, może nawet do młodszego redaktora. Pomijając to, że był synem szefa, był absolwentem Yale, z bractwa Phi Beta Kappa, nawet publikował w „Zirkusie”. A tu, niech to diabli, tata przypomniał mu jego głupi numer, jaki zrobił na pierwszym roku, i znowu przytarł mu nosa, a potem wsadził na sześć miesięcy do biura listów. Tak, pewnie, mógł odejść, pójść do jakiegoś

innego wydawnictwa. Ale on powziął decyzję: wykaże się przed swoim starym, nawet gdyby miało go to zabić.

I pod wieloma względami wykazał się. Pomijając nawet Rogera Younga, czy to nie był jego pomysł, by zatytułować ich nijaką książkę o odchudzaniu *Dieta z Santa Fe*, obłożyć ją fotografiami superbogaczy i byłych grubasów przed i po, i ślinić się na jej widok na liście bestsellerów?

Ale redaktor naczelny - to rzeczywiście byłoby coś. Ben widział to w wyobraźni, tuż, w zasięgu ręki - narożny gabinet Jerry'ego Schillera w głębi hallu, prawie dwa razy tak duży jak jego własny. Wystarczyłoby jeszcze jedno właściwie skierowane szturchnięcie łokciem i Reinhold kazałby się Jerry'emu pakować. Jeszcze parę manewrów i mógłby mieć mosiężną tabliczkę z własnym nazwiskiem na drzwiach, które obecnie były drzwiami gabinetu Jerry'ego.

Ale przy redaktorach, którzy byli tutaj dłużej od niego i polowali na tę posadę, potrzebował czegoś ekstra, co wprowadziłoby go na początek krótkiej listy, posunięcia jeszcze bardziej spektakularnego niż nabycie książki Hardinga. I czyż Grace nie dostarczyła mu nieświadomie przedwczoraj doskonałej sposobności?

Gdybym to ja, a nie Grace, był tym, który położy rękę na listach Truscotta - a dopilnowałbym, żeby Reinhold się dowiedział, że to ja - byłbym bohaterem, kiedy książka Grace odniesie wielki sukces.

Jednakże najpierw musi znaleźć jakiś sposób, by wyciągnąć te listy od Noli Emory. Przywołał na pamięć pierwsze wrażenie, jakie na nim zrobiła - wysoka, koścista, piękna w niezwykły sposób. W krótkim czasie zdołał skruszyć mur jej obojętności, nawet wywołać jej śmiech. I te seksowne oczy - tak kłójące się z jej chłodem. Natychmiast przykleił jej etykietkę: Brakuje jej chłopca, ale prędzej piekło zamrznie niż ona przyzna się do tego.

Prawda była taka, iż właściwie miał nadzieję, że nadarzy się okazja poznania jej. Z kobietami, z którymi się umawiał, wszystko było takie oczywiste. Jedna czy

dwie kolacje, koncert, a one już marzyły o zamawianiu ślubnej porcelany u Bloomingdale'a czy u Tiffany'ego. Nola nie była taka, wyczuwał to. Będzie musiał uganiać się za nią, zdobywać ją.

Ta perspektywa go podniecała.

- Jest krucho, Ben - usłyszał głos Jacka. - Reinhold myśli nawet o obcięciu budżetu na reklamę książki Grace.

Ben natychmiast stał się czujny. - Ależ to nie ma sensu - sprzeciwił się. - Przecież to jest nasz czołowy wiosenny tytuł.

Jack przytaknął, widocznie zaniepokojony tym nowym zwrotem. - Najwidoczniej zwierzył, że pani Truscott może podjąć jakieś kroki prawne. Jej prawnik coś bąknął na ten temat. A teraz Reinhold martwi się, że będziemy musieli wykonać poważną pracę redakcyjną, zanim książka się ukaże. Jeśli nie będzie zawierała nic sensacyjnego... no cóż, nie muszę ci mówić.

Ben rozumiał doskonale. Bez jakiegoś dobrego plugastwa książka Grace oylaby tylko jeszcze jednym przyczynkiem do historii, z tą tylko różnicą, że została napisana przez córkę tego faceta.

- Słuchaj, tato, oprzytomnijmy. Obaj wiemy, jaka jest stawka, nawet jeśli Reinhold tego nie wie - powiedział Ben, ścisząc głos. - Rozmawiałeś wczoraj wieczorem z Grace?

- Powiedziała mi, co się wydarzyło u Noli. - Teraz Jack wydawał się napięty, jego normalnie wyrazista twarz była ściągnięta i w jakiś sposób stara. - Ale obawiam się, że przynajmniej na razie mamy związane ręce - wyciągnął dłoń, jak gdyby chciał odeprzeć odpowiedź Bena. - Teraz, kiedy pani Truscott weszła już na wojenną ścieżkę, nie trzeba nam, żeby prasa podchwytowała jakieś jeszcze nie udokumentowane historie.

Ben powściągnął irytację. Czy ojciec uważa, że on nadal jest dzieckiem, niezdolnym dochować sekretu? - A jeśli jakimś sposobem zdobylibyśmy te listy? Wtedy mielibyśmy dowód.

- Oczywiście, to by wiele zmieniło. Ale nie żywiłbym wielkich nadziei, że tak się stanie. Według Grace, Nola jest raczej nieugięta.

- Może Grace po prostu nie zna właściwego sposobu, żeby ją przekonać - uśmiechnął się Ben.

- Ben, mam nadzieję, że nie zamierzasz zasugerować czegoś oszukańczego. - Jack przechylił głowę w taki sposób, że jego spojrzenie zdawało się padać na Bena z oddali, jak wtedy, kiedy Ben był mały, a tata o wiele wyższy. Jak ojciec zawsze potrafił wzbudzić w nim uczucie, że nigdy nie dorośnie do zadania?

- Właśnie myślałem, że Nola mogłaby się zgodzić, gdyby coś z tego miała - Ben mówił łagodnie, wiedząc, że błędem byłoby wtajemniczać jego prostolinijnego tatę w to, co planował. - Grace mogłaby jej coś zaoferować, może jeden procent czy dwa ze swego udziału.

- Twój dziadek kramarzył garnkami i patelniami z wózka na ulicy, kiedy przybył ze starego kraju - uśmiechnął się Jack. - Przypominasz mi go; zawsze jesteś gotów ubić jakiś interes.

- To mu zapewniło sklep, prawda? - Kiedy tata wreszcie porzucił tę ideę z ery Eisenhowera, że człowiek wyprzedza innych tylko dzięki pracy w pocie czoła?

- Tak, rzeczywiście - Jack zaśmiał się swoim huczącym śmiechem. Ben wyobraził sobie asystentki w norkach, przerywające pisanie na maszynie, by podnieść głowy i uśmiechnąć się, jak gdyby brały udział w żarcie. Lucy, tuż za drzwiami, chyba się podnieci.

- Tato, wracając do książki Hardinga... - Ben wyczuł, że teraz przyszła chwila, by naciskać. - Pozwól mi dojść do dwustu dwudziestu pięciu tysięcy, jeśli będę musiał. Pozwól mi chociaż na tyle. Obiecuję, że nie pożałujesz tego.

Jack zmarszczył brwi i złożył przed sobą ręce namyślając się. - Dwieście - powiedział w końcu. - I to wszystko. I tak za bardzo nadstawiam w tej sprawie karku.

- Nie pożałujesz tego, tato - Ben wstał.

- Mam nadzieję, że nie - usłyszał głos ojca i musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć: Do diabła, dlaczego nie możesz mi po prostu zaufać?

Ale dostał wiele z tego, czego chciał, trzeba to przyznać. Teraz musi wrócić do swego gabinetu i przedstawić ofertę. Potem dopaść Nolę Emory. Już dzwonił do jej biura, udając, że ma dla niej jakieś pilne rysunki i zbałamucił recepcjonistkę, która powiedziała mu, że Nola przez większość dnia będzie na budowie przy Wschodniej Czterdziestej Dziewiątej.

Te listy Truscotta - musi je zdobyć.

Każdy pies ma swój dzień. Czyż nie słyszał tego wystarczająco często, kiedy dorastał? No cóż, ten dzień, pomyślał Ben, będzie mój...

## O

Ben patrzył, jak Nola Emory idzie ostrożnie przez plac budowy - wysoka kobieta w powiewającym na wietrze płaszczu koloru myśliwskiej zieleni, jak jodła, rosnąca absurdalnie pośród ułożonych płyt betonu, hałd stalowych belek i dźwigarów. Niosła wsuniętą pod pachę rolkę rysunków i rozmawiała z gestykującym z emfazą brygadzystą w kasku. Nie wyglądała na zadowoloną. Dziwne było to, że z wyjątkiem dłoni i ramion pozostawała absolutnie nieruchoma, nie przenosząc nawet ciężaru z nogi na nogę... chociaż - sądząc po mrocznej minie brygadzisty - było jasne, że go do czegoś przekonuje.

Potem on wskazał coś, a Nola zrobiła krok do tyłu, nie zważając, albo, co bardziej prawdopodobne, nie zauważając nawet, że wdepnęła w kałużę pianistej wody. Z głową odrzuconą do tyłu, wygiąwszy w łuk kręgosłup patrzyła, jak palnik ślusarza na stalowej platformie wiele pięter w górze tryska fontanną pomarańczowych iskier na tle ziemisto szarego nieba Manhattanu.

Ben czuł, że brakuje mu tchu. Wyobrażał sobie, że Nola jest taka. Nie znał jej, ale domyślał się, że jest bezkompro-



misowa i oddana swojej wizji. Chociaż stał tu dobrych dziesięć minut, ona go nie zauważyła, nawet nie zerknęła w jego stronę.

Wypuścił powietrze, pozostawiając w chłodnym powietrzu smugę pary. Czuł obawę, a zarazem miał wrażenie, że wplątuje się w porywającą przygodę. Ona wydawała się niedostępna... i rozkoszna.

Patrzyła teraz w jego stronę. Czy go poznała? Uniesiony podbródek, rozszerzone oczy - tak, wyglądało na to, że go poznała. Patrzył, jak rusza ku niemu po desce, położonej w posypanym gruzem błocie... i waha się... a potem, jak gdyby postanowiła uporać się z czymś, co mogło okazać się grząską sytuacją, idzie dalej.

Benowi sprawiło to natychmiastową przyjemność.

Jej płaszcz nie był zupełnie zapięty i kiedy zatrzymała się tuż przed nim, dostrzegł przelotnie czarne spodnie i złocisty sweter, opływające jej ciało. Włosy miała ściągnięte do tyłu w gładki węzeł, a duże złote koła kołysały się jej w uszach. Poczuł, jak serce mu podskakuje, przypominając mu kłopotliwie, że kiedy był w wieku Hanny, każda wspianiała samiczka działała tak na niego - jak piorun, rażący na miejscu.

- Można by pomyśleć, że ktoś, kto dwadzieścia lat siedzi na budowach, będzie wiedział, jak zalać cementem ścięgno po naciągnięciu - mówiła głośno, jak gdyby do nikogo w szczególności, potrząsając z niedowierzaniem głową, podczas gdy jej spojrzenie pozostawało utkwione w głupim brygadziście.

Ben wyczuwał jej znużenie, jej zaciekawienie, ale to ona zdołała wytrącić go z równowagi. Punkt dla Noli. - Skąd tyle wiesz o budownictwie? - zrećcznie odpowiedział pytaniem. - Myślałem, że wszystko, co architekci mają do roboty na budowie, to upewnianie się, że prace wykonywane są zgodnie z ich planami.

Tym razem spojrzała wprost na niego i uśmiechnęła się. - Mój były mąż przeszedł dobrą szkołę na budowie. Lubiłam kręcić się w pobliżu. Wiesz, projektowanie budynku takiego jak ten, to coś jak prowadzenie samo-

chodu - nie musisz być mechanikiem, ale jeśli utkniesz na pustkowiu z silnikiem, który odmawia posłuszeństwa, może cię to uratować.

. - To trochę jak z pracą redaktora - powiedział.

- Potrafimy powiedzieć autorowi, co jest złe, ale nie zawsze potrafimy znaleźć sposób, żeby to poprawić.

- Z tym wyjątkiem, że przy nie najlepszej książce nikt nie traci palca, stopy... czy życia - Nola odwróciła się i spojrzała na betonowo-stalową wieżę dźwigam, rysującą się na tle nieba. - Ben, zgadza się? Jesteś przyszłym pasierbem Grace Truscott - mówiła niebdałym tonem, ale jej oczy i lekki rumieniec wzdłuż ostrej linii kości policzkowych powiedziały mu, że go pamięta.

- Niezupełnie - zaśmiał się. - Przypuszczam, że będę, jeśli mój ojciec kiedyś wyskoczy z tą propozycją. - Pomyślał o dniu po wyprowadzce się ojca, gdy twarz jego matki, mimo licznych podciągań oczu, liftingów, napięć, zmieniała się w twarz starej kobiety. Ben uczuł przypływ gniewu, tak znajomego, że był jak siła ciężenia, czyniąca go ciężkim, bezsilnym.

Ale teraz Nola patrzyła mu w oczy z otwartością, która kazała zapomnieć o ojcu. Wpatrywała się weń, jak gdyby go oceniała... a może po prostu próbowała go rozgryźć.

- Czy tylko przypadkiem przechodziłeś obok, czy chciałeś mnie widzieć z jakiegoś szczególnego powodu? - zapytała.

Ben zapatrzył się w drobinę popiołu, uczeponą czubka jednej z jej rzęs. Za każdym mrugnięciem Noli trzepotała, zdawała się prawie odpadać, zanim została z powrotem wciągnięta w ciemny gąszcz jej rzęs. Poczul szaloną chęć, by wyciągnąć dłoń i strzepnąć pyłek palcem.

- Może to zabrzmiało głupio - robił wszystko, by wydać się dowcipnym - ale miałem nadzieję namówić cię, żebyś się wybrała ze mną na lunch - zerknął na swojego rolexa. - Jeszcze przez jakąś godzinę nie muszę wracać do firmy.

- Nie mogę - powiedziała szybko, ale nie próbując, jak wyczuł z ulgą, go zbyć. - Będę zajęta przez całe popołudnie. Właśnie miałam zamiar zjeść kanapkę w delikatesach za rogiem.

- Masz coś przeciwko temu, żebym dotrzymał ci towarzystwa?

- Jestem pewna, że masz coś lepszego do roboty.

- Innymi słowy, spływaj.

- W tej chwili nic mi nie przychodzi na myśl.

Rzuciła mu spojrzenie spod zmrużonych powiek. - Nabierasz mnie.

- To prawda. Po poranku, jaki miałem, z radością powitałbym podróż do Belfastu.

Ze wzruszeniem ramion powiedziała w końcu: - Dobrze, ale to miejsce, w którym się kupuje jedzenie na wynos. Belfast mógłby wydać się lepszy niż siedzenie na dworze przy tej pogodzie - jej spojrzenie, gdy sięgnęło w dół i objęło jego lekki płaszcz z kaszmiru, zdawało się wiedzieć, że Ben jest ubrany bardziej na pokaz niż dla ciepła.

Ben rzeczywiście odczuwał chłód, ale nie zamieniłby swojego kaszmiru na ciepło L.L. Beana, żeby tylko zrobić wrażenie na Noli. Bogu niech będą dzięki za fundusz powierniczy dziadka, pomyślał, wdzięczny, że nie musi być zależny od swojej mizernej pensji u Cadogana. Jedyłą jego złą stroną było ustawiczne przypomnianie matki, z której strony rodziny pochodzą te pieniądze.

Piętnaście minut później siedział na ławce na Rockefeller Plaza, odmrażając sobie tyłek i żałując, że nie naciskał mocniej na stolik, wygodne krzesła i butelkę wina. Zdumiewało go, że Nola zdawała się nie zwracać uwagi na zimno. Zajadała swoją kanapkę z indykiem jak na pikniku z okazji święta Czwartego Lipca.

Obserwując ją, Ben zapomniał na chwilę o zimnie. Stwierdził, że poszukuje szczeliny w jej zbroi, nieładu we włosach, ciasno ściągniętych na głowie i związanych na karku w węzeł. Jak gdyby takie coś mogło go na-

prowadzić na jej czuły punkt, jak to miejsce na skorupie ostrygi, gdzie można wsunąć nóż wystarczająco głęboko, by ją otworzyć.

. Zobaczył, że Nola ma kłopoty z przykrywką kubka gorącej herbaty i delikatnie wziął kubek z jej dłoni.  
- Pozwól, że zrobię to za ciebie - jego palce, ciepłe od podszytych futrem rękawiczek, które przed chwilą ściągnął, znalazły języczek z boku plastikowej przykrywki i ściągnęły ją.

Nola nie podziękowała mu, kiedy wręczył jej kubek. Po prostu siedziała, z głową przechyloną na bok, zerkając na niego. - Dzięki - powiedziała. - Ale dlaczego mam uczucie, że jest w tym coś więcej niż lunch *alfrescol*

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Ależ tak, wiesz. Gdzieś jest haczyk, tylko jeszcze go nie znalazłam. Grace cię przysłała?

- Nie - odpowiedział szczerze. Przez płaszcz czuł bicie swego serca. - Słuchaj, może powinienem był najpierw zadzwonić...

Dotknęła jego rękawa. - Nie, przepraszam. Tylko że... o Boże, czy zostałeś kiedy obudzony w nocy przez reportera, dzwoniącego z Los Angeles, żeby ci dokuczać mnóstwem wścibskich pytań o twojego ojca? - Najwidoczniej nie była świadoma tego, że on wie, kim był jej prawdziwy ojciec. - Po prostu jestem zmęczona tym wszystkim i zgorzkniała jak cholera, i mam jeszcze do omówienia z Fredem osiemdziesiąt małych katastrof na budowie, zanim skończę.

- Nie winię cię, że boisz się huku wystrzałów. Ale prawda jest taka, że chciałem cię zobaczyć - to rzeczywiście był powód, dla którego był tutaj... no cóż, przynajmniej częściowo.

Odwróciła się i obserwowała grupę dziewczynek, okutanych w kurtki z kapturem i getry, biegnących na tor do jazdy na wrotkach o poziom niżej. Potem znów zwróciła się do niego twarzą, przeszywając go swymi oczami koloru dymu. - Dlaczego?

- Czy muszę mieć powód?

Na widok jej sceptycyzmu, którego nawet nie starała się ukryć, Benowi przyszła nagle do głowy szalona myśl. A gdyby tak zapomniał o listach i po prostu pozwolił tej sprawie z Nolą przyjąć własny bieg, cokolwiek by to miało być?

Ale nie. Potrzebuje tych listów, bardzo...

- Czy mam dojść do wniosku, że jesteś zainteresowany mną osobiście, niezależnie od jakiegokolwiek związku, jaki mogę mieć z Grace? - jej głos brzmiał teraz ostro, podejrzliwie.

- Taak, wiem, jak to musi wyglądać - przyznał. - Może to nie był taki wspaniały pomysł. Naprawdę nie wiem, dlaczego tu jestem, prócz tego, że mi się podobasz. Chciałbym poznać cię lepiej.

Odwracając od niej wzrok i spoglądając na wielobarwne chorągwie, trzepocące na końcach słupków, odgradzających jeden koniec toru, poczuł ucisk jej dłoni na swoim ramieniu. Nawet przez płaszczy i wełnianą sportową marynarkę, którą nosił pod spodem, dotyk wywołał mrowienie w jego pachwinie.

- Nie chciałam być niegrzeczna - powiedziała łagodniejszym tonem. - Po prostu subtelność nie jest jednym z moich talentów.

- Brak subtelności może być przydatny z brygadzystami - przekomarzał się, znów patrząc jej w oczy. - Jestem pewien, że to niełatwe z takimi facetami... to, że jesteś kobietą.

- Daję sobie radę.

- Czy zawsze wiedziałaś, że będziesz architektem? - nagle zapytał Ben.

- Uwielbiałam przechodzić obok domów innych ludzi, wyobrażać sobie, jak by to było mieszkać w nich - powiedziała, strząsając okruchy z podołka. - Kiedy byłam mała, bawiłam się klockami zamiast lalkami. Moja matka... - Nola przerwała jak ktoś, kto brodząc po płyciznie nagle odkrywa, że usunięto mu spod nóg dno basenu. Ben zobaczył wahanie na jej twarzy, niepokój przed skokiem na głęboką wodę.

- Zanim skończyłem sześć lat, matka utrzymywała ranie w przekonaniu, że FAO Schwarz to muzeum zabawek - Ben szybko przeprowadził ją na bezpieczny grunt. - Kiedy w końcu odkryłem, że rzeczywiście można tam je kupować, zupełnie oszalałem. Zmusiłem ją do nadrobienia sześciu lat w dziesięć minut.

- Miałaś szczęście - smutno zachichotała Nola. - Twoja rodzina mogła sobie pozwolić na spełnianie twoich zachcianek.

- Taak... tylko że mojego taty prawie nigdy nie było.

- Lubisz dzieci?

- Pewnie. - Gdyby inna kobieta postawiła to pytanie, natychmiast miałyby się na baczności... ale Nola nie sondowała go co do małżeństwa, był tego pewien. Ona po prostu podtrzymywała rozmowę. - A ty? .Grace mówiła mi, że masz dwójkę.

- Dwie dziewczynki.

- Obie w szkole?

- Jeśli można to tak nazwać - pochwycił gorycz w jej głosie.

- Nie wydajesz się nazbyt uszczęśliwiona.

- Ty również nie byłbyś, gdybyś musiał patrzeć, jak twoje dzieci są popychane, dzień po dniu, przez marny system szkół publicznych - zmięta opakowanie po kanapce i wrzuciła je do papierowej torby obok siebie. - Och, do diabła, nie każ mi zaczynać o tym, albo spędzimy tutaj cały dzień.

Ben doświadczał nieznanego uczucia, pragnienia, by w jakiś sposób ułatwić jej wszystko. Ostrożnie, Ben - powiedział sobie. Nie daj się ponieść.

Dotknął jej ramienia. - Zjesz dzisiaj ze mną kolację? Przynajmniej tyle mogę ci zaproponować: stół w ciepłym miejscu.

- Ben, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - Nola spuściła głowę tak, że nie widział wyrazu /Q/ twarzy.

- Podaj mi jeden ważny powód.

- Słuchaj, moje życie jest naprawdę skomplikowane... a właśnie teraz ty byłbyś jeszcze jedną komplikacją.

- Jak ryzykowanie z facetem, co do którego nie jesteś całkiem pewna, czy możesz mu ufać?

- Ostatnim razem, kiedy to zrobiłam, wylądowałam jako mężatka z dwojgiem dzieci.

- Kolacja to wszystko, co proponuję - podniósł rękę do góry. - Harcerskie słowo honoru.

Wyczuł, że Nola mięknie. - Cóż, sądzę, że jedna kolacja nie zaszkodzi. Ale musi to być wcześniej. Ostrzegam cię: przetrzymasz mnie poza moją porę snu, a będziesz musiał mnie nieść do domu. - Wcisnęła kubek do torby z delikatesów i wstała.

Ben czuł się zarazem zadowolony i skrępowany. Wyczuwał, że będzie mu znacznie trudniej poradzić sobie z tą kobietą niż to sobie wyobrażał. Każdy mężczyzna, któremu uda się zanieść Nolę do łóżka, pomyślał, dostanie o wiele więcej niż się spodziewał.

## O

- Miłe mieszkanie - Ben rozejrzał się wokół, gdy wszedł do jej bawialni, ściągając usta do bezgłośnego gwizdu.

Nola aż do teraz, kiedy napięcie zaczęło z niej wyciekać, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo denerwowała się zaproszeniem Bena do siebie na kawę po kolacji. To rzeczywiście było miłe mieszkanie. I zarobiła na nie - dziewięcioma latami bycia tłamszoną przez Marcusa.

I właśnie to może się zdarzyć, jeśli wpuścisz innego mężczyznę do swego życia, ostrzegł ją złośliwy głos.

Czuła, jak jej lęk, niczym wskazówka na skali, przesuwa się z powrotem do czerwonej strefy, gdzie był przed chwilą, gdy gmerała w swoich kluczach, upuszczając je dwa razy, zanim zdołała otworzyć frontowe drzwi. Co ona sobie myśli, zapraszając Bena do środka, a jeszcze przedtem korzystając z propozycji Florene, że zatrzyma Tashę i Dani u siebie na górze na noc?

Kolacja u Raoula była przyjemna, jasne. Ale teraz... powinna kazać mu odejść. W tej chwili. Zanim on zacznie coś sobie wyobrażać. Dokąd to doprowadzi?

On nawet nie jest w jej typie, właściwie nie - trochę zbyt gładki, zbyt pewny siebie. To znaczy, na powierzchni. Pod spodem to co innego. W Benie wyczuwała wymiar, którego brak było we wszystkich przechwałkach i puszeniu się Marcusa. Ukryte głębie... czy jakiś skryty ból? Nie wiedziała... i nie chciała wiedzieć. Miała dość prób uzdrawiania małych chłopców w pozornie dorosłych mężczyznach.

A jednocześnie od jak dawna nie wypita butelki wina z mężczyzną, który potrafił ją rozśmieszyć? I który potrafił wyciągnąć ją ze skorupy swoim najwyraźniej prawdziwym zainteresowaniem wszystkim, co miała do powiedzenia?

Cholera. Klęła samą siebie, wiedząc, że nie każe mu odejść. Nie dziś wieczorem, w każdym razie. Zbyt długo słuchała Florene, wyobrażając sobie, że taka rzecz była łatwa jak upadek z kładki. Bardziej jak upadek ze skały, pomyślała.

- Nie jest to dokładnie Park Avenue - powiedziała, podchodząc do jednego z wysokich weneckich okien, wychodzących na Dwudziątą Drugą Ulicę. Jak gdyby oglądając to wszystko oczyma Bena, Nola ogarnęła wzrokiem białe ściany i wysoki sufit, powleczone bielą w błękitnawym odcieniu, przy której miało się wrażenie, że jest się we wnętrzu prawie przezroczystej skorupki jaja, z przeświecającym tu i ówdzie niebem. Stary parkiet, wycyklinowany i polakierowany, jasny chiński chodnik przed kominkiem o rzeźbionym obramowaniu.

Pośrodku pokoju, pod wbudowanymi półkami na książki, stał stary klonowy fotel na biegunach, który przeprowadził ją przez niańczenie dwójki dzieci. Naprzeciw niego, oddzielony wytartym dywanem z Bucharu, stał niski płócienny leżak w bladozielone i białe pasy. Florene, dla odmiany, posprzątała. Żadnych zabawek i rozrzuconych wokół ołówków, blaty stołów i ściany wytarte do czysta ze smug, pozostawionych przez lepkie, małe dłonie.



Florene nie potrzebowała kryształowej kuli, żeby wiedzieć, że po kolacji zaproszę tutaj Bena.

Zobaczyła, że spojrzenie Bena spoczęło na steinwayu, kupionym na aukcji prawie za nic, potem zdemonstrowanym i przebudowanym przez przyjaciela Marcusa - duża połać hebanu, tak znakomicie wypolerowanego, że mogła widzieć odbicie papierowych lampionów, zawieszonych nad głową w miejsce starego żyrandola, który zdjęła, przeslizgujących się po powierzchni jak blade duchy.

- Grasz? - zapytał. - Przepraszam, głupie pytanie. Jakoś nie myślę o tobie jak o kimś, kto posiada taką rzecz tylko na pokaz.

- Gram. Czy to cię dziwi?

Szorowałam toalety, myłam podłogi, robiłam zakupy starej pani Halliday, żeby opłacać lekcje, a założę się, że dla twoich bogatych rodziców byłoby to tyle, co spluć.

- Nie sądzę, żeby cokolwiek w tobie mnie zdziwiło - powiedział.

Nola zasmuciła się. Czy to jego wina, że urodził się biały i zamożny? Widocznie z wiekiem staje się przewrażliwiona... czy też po prostu za długo była bez mężczyzny?

Cały rok, właściwie czternaście miesięcy, wliczając dwa miesiące, kiedy ona i Marcus przestali się kochać, zanim on się wyprowadził. A przedtem, cóż to była za miłość, leżenie pod mężczyzną z uczuciem, że się jakoś zmalało?

A teraz, dlaczego ten mężczyzna?

Wróciła myślami do kolacji, do Bena pytającego, czy woli kuchnię włoską czy francuską, potem wyznającego, że zarezerwował stół w dwóch restauracjach, tak, by mogła wybrać. A potem, u Raoula, zamiast popisywać się przy liście win, cicho zapytał sommeliera o radę, chociaż było jasne, że doskonale wie, o czym facet mówi.

Czy to zrobiło na niej wrażenie? Właściwie nie. To, co znalazła w nim rozczulającego, to jego pytania o książki, jakie lubi czytać, i gdzie lubi jeździć na wakacje (do Rzymu, powiedziała mu, ale byłam tam tylko w marze-

niach) i co myśli o tym nowym, kontrowersyjnym wieżowcu, wznoszonym przy Wschodniej Osiemdziesiątej Dziewiątej.

Podobało jej się, kiedy nagabywał ją o jej znak zodiaku, a potem doprowadzał do wybuchów śmiechu mnóstwem zmyślonych atrybutów Bliźniąt. Najlepsze ze wszystkiego było to, że jej nie dotknął. Ani razu. Żadnych znaczących spojrzeń ponad stołem i sięgania po jej rękę. Żadnego przypadkowego ocierania się o jej nogę. Żadnego niezdarnego pocałunku, kiedy wsiedli do samochodu.

Może dlatego chciała go teraz.

Najmądrzejsze, co mogę zrobić, pomyślała, to wymyślić jakąś wymówkę, powiedzieć mu, że właśnie zabrakło mi kawy... albo że lada chwila wróca dziewczynki. Albo prawdę, że jestem śmiertelnie zmęczona.

W tej chwili czuła obok siebie Bena w wyczekującej pozie. Ale wiedziała, że gdyby usiadła i zagrała *Impromptu opus 90* Schuberta, muzykę tak subtelną i zmysłową, byłaby stracona.

- A ty grasz? - zapytała go.

- Brałem lekcje w szkole podstawowej - powiedział, przebiegając paznokciem kciuka po klawiaturze i wywołując szemrzący dźwięk jak płynąca woda. - Aż do chwili, kiedy moja matka przyłapała mnie na paleniu trawki z moim nauczycielem, panem Ortizem. Zagroziła, że każe go deportować

- Bujasz.

- Mówiłem jej, że on pochodzi z Cleveland. On się urodził w tym kraju, na rany Chrystusa. Ale ona nie chciała słuchać. Moja matka myśli, że jeśli czyjeś nazwisko kończy się „z”, musi ono być na zielonej karcie.

Wydawał się taki naturalny, opierając się o brzuch steinwaya tam, gdzie wcinał się jak kobieca talia. Ubrany w flanelowe spodnie i wyprasowaną niebiesko-białą koszulę pod sportową marynarką z szarej wełny, która prawdopodobnie kosztowała tyle, co jego redaktorska tygodniówka. Jednak obserwując, jak Ben przeczesuje

palcami włosy, ciemniejsze i bardziej kędzierzawe niż jej własne, dostrzegła przelotnie w jego oczach to spojrzenie zagubionego chłopca, prowokujące ją do tego, by kazać mu się stąd zabierać.

Niech to cholera.

Jak on śmie jej to robić? Jak ona śmie mu na to pozwalać?

Potem Nola opadła na ławeczkę przy fortepianie; jej długie, białe palce odnajdywały nuty, uwalniając je w cichą, nieruchomą biel, jaka ją otaczała. Bardziej wyczuła niż zobaczyła, że Ben staje się bardzo uważny; jego obecność zdawała się rozciągać jak cień, długi, cienki i ostry, przeszywający ją. Muzyka płynęła przez nią... nad nią... wypełniając powietrze swoją słodyczą.

Podniosła oczy i napotkała jego nieruchome, czyste spojrzenie. I zobaczyła, że on jej chce, tak bardzo, a może nawet bardziej, niż ona chciała jego.

Potem znalazł się za nią; jego palce, gładkie i chłodne na jej karku, jego kciuki, przesuwające się w dół jej kręgosłupa, pieszczące każdy krąg. Zadrżała. O Panie, to już tak dawno... zbyt dawno...

Czekanie, aż to nabierze sensu, albo aż będą mieli za sobą odpowiednią liczbę randek - nic z tego nie wydawało się ważne. Gdy poczuła, że Ben nachyla się, by pocałować ją w szyję, poczuła jego ciepło, schwytane w pułapkę między nimi, nagłe i niemal przytłaczające, Nola już wiedziała, że to takie pragnienie - po prostu jest.

Ciche, słabe nucenie fortepianu zdawało się wypełniać ciszę, aż poczuła się unoszona przez nie... obejmowana przez nie i przez niego... każde poruszenie, każdy oddech niosły się po pokoju jak nuty, okrągłe i wyraźne. Poczuła jego usta na swoich, miękkie i drżące. Czuła ich smak, ale nie mogła przypomnieć sobie innego takiego smaku - rodzaju słodkiej ostrości głęboko w ustach, jak po wgrzyzieniu się w niedojrzały owoc. Unosiła się gdzieś wysoko i żadne odroczenie wyroku w ostatniej chwili nie mogło jej teraz uratować.

- Czy coś by to dało, gdybym ci powiedziała, żebyś sobie poszedł? - wymruczała tuż przy nim. Zarost na jego szczęce kłuł ją w usta, które robiły teraz wrażenie zgniecionych i jakoś obrzmiałych.

- Tylko bym wrócił - zaśmiał się cichym, wibrującym śmiechem, być może, by zamaskować swoje zdenerwowanie..

Potem zaprowadziła go do sypialni, nie trudząc się zapalaniem świec. Tylko odbity blask z ulicy obrysowywał kratę okienną. Smuga bladego światła leżała na dywanie, spleciona z wstęgami cienia.

Guziki. Tyle ich, pomyślała, gmerając w przodzie jego koszuli, z której nowy guzik zdawał się wyrastać na miejsce każdego, jaki zdołała odpiąć. W końcu, czując pod palcami zimny metal sprzączki jego paska, wyobraziła sobie, że jest nim; była wewnątrz jego głowy, pragnącego jej, niecierpliwącego się, by zakończyła ten niezgrabny taniec godowy. A ucisk, jaki czuła w brzuchu, nasilał się, rozpalając nagły, przerażający żar.

Teraz nie było już odwrotu.

- Twoja kolej - powiedziała miękko, szarpiąc za swój sweter i ściągając go przez głowę przy uniesionych ramionach.

Łatwo rozpiął jej stanik. Zamknęła oczy, gdy zaczął pieścić jej piersi, najpierw rękoma, delikatnie, ważąc w dłoniach ich ciężar, podczas gdy pozwalał palcom przesuwac się po jej tężejących brodawkach. Potem ustami.

Boże! Och, Boże! Czy Marcus kiedy dotykał jej z taką miłością? Czy było to kiedy takie przyjemne? Nigdy... nigdy...

- Ty drżysz - powiedział.

- Nie jest mi zimno. To tylko...

- Wiem.

- Nie jestem w tym bardzo dobra, Ben. Nie miewam romansów.

- Teraz masz romans.

- Jestem całkiem nieodpowiednia dla ciebie.
- Przestaną, jeśli chcesz. Czy tego chcesz?
- Pocałuj mnie. Proszę, po prostu mnie pocałuj.

Jego ramiona otoczyły ją, nie pytając, nie szukając, po prostu były. Ich ciała pasowały do siebie tak doskonale, tak akuratnie jak dwie dłonie złączone w modlitwie. Poprowadziła jego rękę między swoje nogi i usłyszała, że on jęczy, wbijając w nią palce.

Wziął ją przy ścianie, całe jej metr osiemdziesiąt. Jego ręce, obejmujące jej pośladki, na pół podnoszące ją, jedna jej noga zaczepiona o jego twarde łydki, jej miednica uniesiona, podczas gdy on wsunął się w nią i drażył bez końca...

Usłyszała, że ktoś krzyczy i zdała sobie sprawę, że to ona...

Ciemność stała się płaska i szara i dziwny szum wypełnił jej uszy. Iskierki światła migotały za jej mocno zaciśniętymi powiekami.

Żar w jej brzuchu zdawał się ją wypełniać, promieniując w górę, aż uczuła, że spływa z czubków jej palców, z koniuszków włosów jak promienie słońca.

- Nola, Nola - wyjękiwał jej imię.

Dygocąc z rozkoszy tak subtelnej, że graniczącej z bólem, wygięła się, by przyjąć jego ostatnie pchnięcie, czując, jak uderza w nią pięścią żaru, która odrzuciła ją do tyłu tak mocno, że jej czaszka trzasnęła o ścianę i poczuła na języku słodki, metaliczny smak krwi.

Nola pomyślała, że gdyby w tej chwili miała umrzeć od nadmiaru wszystkiego naraz, żałowałaby jedynie, że nie będzie mogła zrobić tego po raz drugi.

## O

Ben zaczekał, aż położyli się obok siebie na łóżku i jej oddech się uspokoił. Zaczekał, aż umysł mu się rozjaśnił i mógł przypomnieć sobie, dlaczego tutaj jest, dlaczego musiał się hamować, zanim ten żar w nim zmienił się w coś innego - w coś, z czym nie umiał się uporać.

Dotknął jej włosów, które były miękkie i podatne jak młoda trawa. Pachniała także słodko jak trawa. Poczuł, że coś porusza mu się w piersi i sphywa w niego lekkość jak rozstłonecznione powietrze.

Chryste, dobrze mu było z nią. Najlepiej, odkąd pamiętał.

Miała wszystko, czego brakowało mu w nie kończącym się potoku kobiet, z którymi się umawiał. Silna, a mimo to czuła, chłodna w dotyku, ale gorąca pod spodem. Nie znosił, gdy kobiety owijały się wokół człowieka, kiedy już było po wszystkim i dawały mu się we znaki tym: „Jak było? Było ci dobrze? Czy naprawdę było dobrze? A kiedy dotknęłam cię tam nisko, jak ci było?”

Nola była cicha, z wyjątkiem oddechu.

Nie zasłużyła na to, na niego. Co on, do diabła, robi? Jak może teraz przeprowadzić swój plan?

Poczuł, że znowu twardnieje. Jezu. Musiał się powstrzymać, żeby jej nie pocałować, nie sięgnąć po nią i nie kochać się z nią od nowa.

- No dobrze, porozmawiajmy o tym - mówił cicho, kierując słowa do półksiężyca odbitego światła, migocącego na suficie. - Powiedzmy to sobie otwarcie. Bez względu na to, co powiedziałem, nadal jesteś wobec mnie podejrzliwa. Z powodu tego, kim jestem. Z powodu Grace, może również mojego ojca. Jeśli nie będziemy o tym rozmawiać, nie będziemy mogli ruszyć dalej.

Wydała z siebie głębokie westchnienie. - Amen - poczuł jej oddech na swoim policzku. - Ben, będę z tobą szczerą. Nigdy mi tak nie było. Przenigdy. Ale jeśli jesteś tutaj dla czegokolwiek oprócz tego, co leży obok ciebie, to koniec. Zaraz tutaj. Zaraz teraz. I od tej chwili, tego nigdy nie było.

- Nola, nie będę cię okłamywał. Wiem, kim jesteś. Grace mi powiedziała. - Kątem oka dostrzegł, że rzuca mu zdumione spojrzenie, ale zanim mogła powiedzieć cokolwiek, powstrzymał ją lekko ściskając

jej nadgarstek. - To nie to, co myślisz. Ona była w szoku, a ja przypadkiem się tam znalazłem, to wszystko. To nie dlatego przyszedłem dzisiaj cię zobaczyć. - Kłamał; krew pulsowała mu w uszach jak daleka fala przybrzeżna.

Oczy Noli załśniły w ciemności. - Musiała ci także powiedzieć o listach mojego ojca.

- Tak. - Nie było sensu zaprzeczać.

- Gdybym wręczyła ci je w tej chwili, czy zobaczyłabym cię kiedyś jeszcze?

- To nie jest pytanie. To brzmi bardziej jak oskarżenie.

- No więc?

- Ty nie myślisz naprawdę, że dlatego tutaj jestem, nie po...

Ben z trudem przełknął ślinę. Nagle poczuł się jak najgorszy gnojek na świecie. Ale czy to było takie straszne, gonić za tym, czego chciał? Nie ranił nikogo, a tej części - ich dwojga razem - może mógłby się trzymać nadal. Wziął oddech. - Nola, prawda jest taka, że mam gdzieś listy twojego ojca. Ale skoro omawiamy ten temat, powiem ci, co myślę.

- Słucham.

- Trzymaj je kurczowo. Nie spuszczaaj z nich oka. - Wiedział, że spodziewała się usłyszeć coś wręcz przeciwnego i poznał po ostrym wciągnięciu powietrza obok siebie, że zbił ją z tropu.

- A gdybym zmieniła zdanie, zdecydowała się je ogłosić?

- Prasa ukrzyżowałaby Truscotta. Czy tego chcesz?

- I tak to robi. Może gdyby ludzie zrozumieli, że on musiał ukrywać prawdę o śmierci Neda Emory'ego, że nie była to tylko konieczność polityczna, ale moralna... Jego naprawdę obchodziły prawa obywatelskie, Ben. To nie było tylko gadanie.

Ben uświadomił sobie, że Nola gra rolę adwokata diabła i przez denerwującą chwilę zastanawiał się, kto kogo wrabia. - Czy mówisz, że zmieniłaś zdanie w sprawie współpracy z Grace? - Serce podeszło mu do gardła.

- Nie, nie mówię tego - wydawała się zaniepokojona.  
- To nie mój interes - powiedział ostrożnie - ale może powinnaś porozmawiać z kimś, zanim się zdecydujesz.

- Na przykład, z kim?

- Nie wiem. Może z prawnikiem. Mogłabyś coś mieć z tego.

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi! - powiedziała ostro, niemal gniewnie. Potem westchnęła. - Nie mówię, że nie przydałoby mi się trochę dodatkowej forsy, ale sprzedałabym wszystko, co mam, zanim wzięłabym pieniądze za te listy.

- To była tylko sug...

- Słuchaj, nie ma sensu, żebyśmy o tym dyskutowali. To zbyt skomplikowane - przerwała mu.

- To samo powiedziałaś o mnie.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem. - Gmatwasz mi w głowie, Ben? To o to chodzi w tej zabawie w pytania i odpowiedzi? - Jej głos był łagodny, ale przesłanie wyraźne: odczep się.

Przewrócił się na drugi bok, wspierając na łokciu tak, że spoglądał na nią z góry. - Rób to, co najlepsze dla ciebie, Nola. Cokolwiek to jest.

Chwyliła go za ramię, wbijając w nie twarde koniuszki palców z zadziwiającą siłą. - To właśnie mówił mi mój były mąż. Tylko że to, co on uważał za najlepsze dla mnie, zwykle było tym, czego sam chciał.

- Ja niczego od ciebie nie chcę.

Patrząc na nią, na jasną linię jej ramienia na tle włosów spływających jej na plecy, Ben niemal wierzył w swoje kłamstwo. Poczul przypływ czułości... której towarzyszyło niemal ogłuszające poczucie usidlenia. Chryste. Co on robi? Co on, na miłość boską, robi, angażując się z tą kobietą? Miał nadzieję wodzić ją za nos - ale jeśli będzie na odwrót? Ona nie zastawiła pułapki celowo, ale on czuł się cholernie pewnie schwytany. I może nigdy nie będzie chciał się wydostać.

Narzuta zaszeleściła, gdy ona przewróciła się na bok i zwróciła ku niemu. - Więc kochaj się ze mną znowu



- powiedziała matowym głosem, przesuwając ręką o dłuższych palcach po jego brzuchu, wywołując na nim gęsią skórę. - Jeśli jestem głupia... to równie dobrze mogę być głupia dwa razy.

## O

- Chciałam widzieć twoją twarz, kiedy ci powiem  
- powiedziała Nola do Grace. - Tak, żebym wiedziała, czy to ty podstawiałaś Bena - zaśmiała się urywanym śmiechem, który zabrzmiał bardziej jak mruczenie.  
- W tej chwili wyglądasz, jak gdybyś właśnie przełknęła coś zbyt gorącego.

Siedziały przy stoliku w jadalni Gramercy Park Hotel, gdzie Nola zaprosiła Grace na śniadanie. Od przedwczoraj, gdy Grace przysłała ją odwiedzić, nie widziały się ani nie rozmawiały ze sobą. Gdyby Ben nie dostarczył jej wymówki, czy byłaby tutaj?

Przyznaj się, powiedziała sobie Nola, czy nie byłaś ciekawa, jak ona się upora z tą bombą, którą na nią zrzuciłaś?

W większe nawet zdenerwowanie wprawiało ją to, że od ogłoszenia wyników konkursu na projekt biblioteki Truscotta dzieliły ją dni. Nola uwierzyła Benowi, kiedy powiedział, że nie goni za listami mamy - inaczej dlaczego nakłaniałby ją, by nie wypuszczała ich z rąk? Ale jeśli Grace nasłała go, żeby ją szpiegował? A jeśli natknęła się na fakt, że to projekt Noli został przedstawiony pod szyldem jej firmy? Było to ryzyko, jakiego nie mogła podjąć.

Ostatniej nocy, po odejściu Bena, w gonitwie myśli załamała się i zadzwoniła do Grace. Było po północy, jak zbyt późno zdała sobie sprawę, ale na szczęście Grace nie spała.

Teraz, w zimnym świetle dnia, przy Grace, wyglądającej jak gdyby nagle nie wiedziała, co zrobić z widelcem, Nola od razu nabrała pewności, że Grace nie mogłaby jej wyciąć takiej sztuczki.

- Ben? - powiedziała Grace głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

- Powiedziałas mu o listach, prawda? - mimo jawnej niewinności Grace, Nola nie mogła oprzeć się chęci wbicia jej szpilki.

Czekała w nadziei, że nie pomyliła się co do Grace. Ale Grace, zamiast stracić głowę, śmiało spojrzała jej w oczy.

-Niestety, tak. Ale chyba nie myślisz...

- Nic nie myślę. Na razie. Po prostu pytam.

Grace potrząsnęła głową i odłożyła widelec. - Chciałabym móc ci pomóc. Prawda jest taka, że nie znam Bena za dobrze. Nieczęsto jest w pobliżu, kiedy jestem z jego ojcem.

Nola dziobała swoją jajecznicę, zupełnie straciwszy apetyt. Czego się spodziewała? Podpisanego zeznania? Było oczywiste, że Grace jest tak samo pogrążona w niewiedzy jak ona. Nie tylko jeśli chodzi o Bena - o wiele innych rzeczy też.

- Prawda jest taka - powtórzyła jak echo z nerwowym śmiechem - że mnie również nie znasz za dobrze.

- Nadal próbuję się przyzwyczaić do myśli, że jesteś moją siostrą.

- Trochę trudno ci to przełknąć, prawda?

Grace uśmiechnęła się do niej niezobowiązująco. - Staje się to coraz łatwiejsze. Miałam trochę czasu, żeby o tym pomyśleć.

- I co?

- Nola, chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Nie jestem pewna, co to miałyby oznaczać w naszym przypadku. Nie jestem nawet pewna, czy to możliwe. Ale przynajmniej chciałabym spróbować.

Noli groziło, że gardło jej się zaciśnie i nagle pochłonęło ją układanie serwetki na kolanach. Nawet ze spuszczoną głową czuła na sobie te szczere oczy, czekające na jej odpowiedź.

Podniosła wzrok. - Chyba musiałybyśmy zjeść beczkę soli.

- Bez żartów - uśmiechnęła się Grace.

- Czy teraz powinnyśmy się zerwać i paść sobie w ramiona? - zażartowała Nola, czując skrępowanie, jak gdyby naprawdę stawała się przyjaciółką Grace. Odchyliła się do tyłu, zakładając ramiona na piersi.

- Mów do rzeczy - ale Nola poznała po nadmiernym lśnieniu oczu Grace, że była ona o krok od łez.

- Podaj mi sól - powiedziała Nola.

Gdyby to był film, pomyślała, kamera furczałaby nad solniczką, pokazując muskanie się naszych palców, gdy ona mi ją podaje. Mocny symbolizm.

Ale w tej łagodnie oświetlonej sali z wykrochmalonymi białymi obrusami i atmosferą zwietrzałej elegancji, gdyby ktoś był wystarczająco ciekawy, by zerknąć na ich stolik, zobaczyłby tylko dwie dobrze ubrane kobiety, uśmiechające się do siebie, jak gdyby bawił je jakiś żart. Nikt nie domyśliłby się, że są siostrami.

## ROZDZIAŁ 13

- Nie wiem, Jack. To po prostu wydaje się niewłaściwe - Grace spuściła głowę i wcisnęła ręce do kieszeni płaszcza, gdy lodowaty podmuch przewiewał Ósmą Ulicę. - W jednej chwili mówię Benowi, że Nola jest moją siostrą, a w następnej on umawia się z nią na randkę.

Zmierzali do domu z Theatre'80, gdzie obejrzeli *Zniknięcie damy*. Grace uwielbiała Hitchcocka, ale napięcie w jej własnym życiu nie pozwalało jej się w pełni rozkoszować sztuką mistrza napięcia. Myślamy wciąż wracała do Noli i Bena. Dlaczego Ben nic nie powiedział? - zastanawiała się. Dlaczego jest taki skryty?

- Czy musi być powód? - powiedział Jack lekko.  
- Ona jest atrakcyjną kobietą, a on jest nią zainteresowany. Nie rozumiem, co w tym takiego dziwnego.

Nagle zirytowała się na niego... o to, że tak niewiele dba o to wszystko i o to, że wydaje się taki nieczuły na zimny wiatr, który przeszywał ją chłodem przez warstwy mitenek, pończoch i botków. - O nic Bena nie oskarżam - powiedziała. - Mówię tylko, że to wydaje się trochę ?bierne, to wszystko.

- Czy nie dość miałaś Hitchcocka na jeden wieczór?  
- Jack powiedział to z tym swoim pewnym śmiechem, który miał ją udobruchać. Widząc jednak, że jest poważna, dodał: - No dobrze, chcesz wiedzieć, co myślę? Zostawiając na chwilę Bena na boku, myślę, że nadal masz bardzo silne sprzeczne uczucia co do Noli. Do twojego ojca także.

Jack ma rację, pomyślała. Wciąż nie przezwyciężyła uczucia gniewu na ojca. Niezależnie od tego, na ile sposobów na to patrzyła, czy jak starała się to usprawiedliwić, oszukał je. - Właśnie się zastanawiałam - westchnęła - co takiego dostawał od Margaret, czego moja matka nie chciała lub nie mogła mu dać

- Może go potrzebowała?

- Co masz na myśli?

- Właśnie to. Twoja matka, sądząc po wszystkim, co mi powiedziałaś, jest dość samowystarczalna. Może twój ojciec lubił być potrzebny.

Grace rozważała to w myślach. - Może masz rację - powiedziała powoli. Odgarnęła włosy z twarzy, ale wiatr natychmiast nawiał je z powrotem. - Nie jestem pewna, czy moja matka kiedykolwiek potrzebowała kogoś oprócz siebie samej - podniosła rękę. - Nie zrozum mnie źle. Pod wieloma względami było to godne podziwu. Zawsze wiedziałam, że mogę liczyć na matkę, że ona zajmie się wszystkim, że ma nad wszystkim pieczę. Nie tylko pieczę nad ważnymi sprawami, jak pomaganie tacie w kampanii o reelekcję, ale nad tym, by oddano zasłony do pralni chemicznej, by ogród

został nawieziony, formularze szkolnych szczepień wysłane bezzwłocznie, gumowe fleki przybite do butów, by zapobiec ich zdzieraniu, i żeby co Boże Narodzenie każdy, od postarzałego listonosza po dzieciaka, który dostarczał gazety, otrzymał placek z rodzynkami Netty razem ze sztywno wyprasowanym banknotem. dziesięciodolarowym. Och, Margaret także była zaradna, jestem tego pewna, to znaczy, w biurze. Ale z tego, co mówi Nola, ona naprawdę polegała na tacie. Potrzebowała go w taki sposób, w jaki moja matka po prostu nie mogłaby, nawet gdyby chciała.

Jack milczał przez chwilę czy dwie, potem powiedział:  
- No dobrze, ale wątpię, czy twoja matka kupi tę teorię. Zdecydowałaś już, jak to rozegrasz, kiedy ona tu przyjedzie?

- Nie wiem - powiedziała Grace, czując się nie mniej wzburzona tym wszystkim teraz niż w pierwszych godzinach szoku po rewelacjach Noli. - Wiem tylko, że jeżeli napiszę historię mego ojca, będzie to musiała być cała historia.

- A jeśli Nola nie zmieni zdania co do przekazania tych listów? - nie musiał jej przypominać, że Cordelia Truscott wyprocesowałyby od Cadogana ostatnią koszulę, gdyby mieli opublikować o jej mężu i Margaret cokolwiek, co nie mogłoby zostać udowodnione.

- Przekroczymy ten most, kiedy do niego dojdziemy  
- powiedziała stanowczo. - Jack, zmieniamy temat...

- O? - otoczył ją ramieniem.

- Moja matka nie ma nic wspólnego z tym, że Ben zainteresował się Nolą! - Była zirytowana na Jacka nie tylko o to, że jej przypominał, iż matka będzie tutaj dokładnie za pięć dni, ale też o to, że traktuje ją tak jak Hannę, kiedy była w jednym ze swoich posepnych nastrojów. - I proszę, nie mów mi, że to sprawa mojej nadmiernie rozwiniętej wyobraźni.

Ręka Jacka opadła do boku. - W porządku, więc co twoim zdaniem dzieje się między Benem a Nolą? - Mimo wdzierającego się w uszy pulsowania betonowej dżungli,

docierającego na ósmą Ulicę, wychwyciła w jego głosie nieznany chłód.

- Nola wydawała się... no cóż, nie wdawała się w szczegóły, ale poznałam po sposobie, w jaki się zachowywała, że jest nim wyjątkowo zainteresowana.

Jack wzruszył ramionami, przeczesując gołymi palcami rozwichrzone włosy. - Nie byłaby pierwsza. Pamiętam, że kiedy Ben był w szkole średniej, musieliśmy zainstalować drugą linię telefoniczną, żeby uporać się ze wszystkimi telefonami od dziewcząt.

- No tak, dobrze, ale dlaczego ona? Mógł wybrać którąś z tuzina innych kobiet. - Mijając pizzerię, Grace obserwowała przez okno śniadostkowego mężczyznę, w mące po łokcie, wprawnie podrzucającego w powietrze owal ciasta. - Czy nie wydaje ci się dziwne, że on upatrzył sobie właśnie Nolę? A także ta zbieżność w czasie - tak, jak gdyby odkrycie, że ona jest moją siostrą, wyzwoliło to jego nagłe zainteresowanie. Jedyne, czego nie mogę pojąć, to dlaczego. Co on miałby na tym do zyskania?

- Czy we wszystkim musi chodzić o zyskanie czegoś? - zapytał Jack, i tym razem zjadliwość w jego głosie była niewątpliwa. - Czy coś takiego nie może się po prostu zdarzyć?

- Chcesz powiedzieć: tak jak nam? - wyrwały jej się przyprawione sarkazmem słowa.

Grace zadrzała, wiedząc, że powinna porzucić ten temat... natychmiast, zanim rozmowa zejdzie na bardziej niebezpieczny grunt. Ostatnim razem, kiedy przycisnęła Jacka za mocno - w czasie wigilijnego spaceru przez zaśnieżony las - wycofała się. Nie mogła, nie chciała zrobić tego teraz, nawet jeśli Jack był zadowolony, że po prostu włóczyli się tak jak teraz, mieszkali w dwóch mieszkaniach, nie czując się całkiem jak w domu w żadnym z nich.

- Myślałem, że rozmawiamy o Benie - uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by ją objąć.

- Rozmawialiśmy. Ale już nie - odsunęła się od niego, by wytrzeć nos, z którego ciekło jej z zimna. - Och, Jack,

ty po prostu tego nie rozumiesz, co? Nic nie stoi w miejscu, zwłaszcza związki. Albo się tonie, albo pływa a teraz wydaje się, że toniemy.

- Czy lepiej jest spieszyć się do czegoś, do czego nie jest się gotowym?

Grace miała ochotę się rozpłakać. Jak ktoś tak mądry może być tak uparcie tępy? Jednocześnie uczuła żądło paniki. Jack nie starał się zapewniać, że wszystko jakoś się ułoży. Ale tym razem gniew zwyciężył niepokój.

- Chcę wyjść za mąż, Jack. Jestem za stara na to, żeby grzęznąć w jakąś zabawę w randkowanie, która nie prowadzi dokądkolwiek.

- Grace... - zaczął.

- Tak, wiem, Jack - westchnęła. - Zawsze byłeś ze mną stuprocentowo szczerzy. Ale teraz proszę cię, żebyś zaryzykował. Ze mną. Z nami. Czy możesz to zrobić? Czy też tracę tylko tutaj czas?

Jack zatrzymał się i odwrócił do niej, z twarzą poznaczoną ciemnymi rumieńcami wywołanymi nie tylko zimnem i oczami błyszczącymi w mętym świetle latarni ulicznej. - Czy tym to jest dla ciebie... strata czasu? - Nigdy nie widziała go takiego rozgniewanego, nie na nią.

Miała wrażenie, że zimna, żelazna strzała przeszła jej pierś. - Nie przekreślaj moich słów - powiedziała, obejmując się rękoma, by powstrzymać drżenie. - Wiesz, co chciałam powiedzieć.

- Grace, ja niczego nie przekreślam. To ty nie doceniasz tego, co masz tuż pod nosem. - Zdawało się, że ramiona Jacka w ciężkim płaszczu pochyliły się nieco do dołu. - Pozwólmy tej sytuacji dojrzeć, dobrze? Teraz ani czas, ani miejsce na to.

- Kiedy będzie właściwy czas? - zapytała ze zziąjanym pośpiechem, nienawidząc się za to, że wydaje się taka zdesperowana.

- Nie wiem - powiedział Jack, pozostawiając ją w nie najlepszym samopoczuciu i nie mądrzejszą niż przedtem.

Telefon dzwonił, kiedy Grace weszła do mieszkania, ale nie podbiegła go odebrać, choć wiedziała, że Chrisa nie ma w domu. Prawdopodobnie dzwonił od dłuższej chwili i gdyby pospieszyła podnieść słuchawkę, osoba po drugiej stronie na pewno w tym właśnie momencie, jak to się niezmiennie dzieje, łączyłaby się. Nie była w nastroju do gier o niepewnym wyniku. Ktokolwiek to był, niech zadzwoni później.

Ale nawet kiedy ściągnęła z siebie płaszcz, telefon nadal dzwonił. Zastanawiała się, czy to Chris dzwoni z dołu, by zapytać, czy może zostać u Scully'ego. Podeszła szybko do biurka w swoim zaciszu i podniosła słuchawkę. - Halo?

- Cześć, Grace, już miałem machnąć na ciebie ręką - powitał ją gładki głos Wina.

- Właśnie weszłam. Chyba zapomniałam zostawić włączoną sekretarkę.

- Chris jest w pobliżu?

- Jest u Scully'ego. Niewątpliwie cały pochłonięty jakąś nową grą komputerową. Chciałeś z nim rozmawiać?

- Nie... chciałem z tobą. Przez cały tydzień próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Wiem, odebrałam wiadomości od ciebie. Win, przykro mi... ostatnio byłam naprawdę zajęta - Prawda była taka, że unikała go. Ta sprawa z Nola... jeszcze nie czuła się gotowa, by zdradzić Winowi, co się stało. Ale teraz ten jego głos z Kappa Alpha, równie zapalony jak w studenckich czasach, kazał jej myśleć o starych fotografiach, o życiu, które, choć dalekie od doskonałości, z czasem nabrało delikatnej patyny.

- Zbyt zajęta, żeby spotkać się ze mną na drinka?

- Win, jest strasznie późno. I dopiero co przyszłam. Czy chodzi o matkę?

- Niezupełnie.



W tle słyszała czysty, słodki głos Emmylou Harris, album, którego słuchali bez końca, kiedy byli małżeństwem. Stwierdziła nawet, że wyczekuje rysy na płycie, gdzie głos Emmylou zdawał się łkać. Westchnęła. - No więc dobrze. Ale tylko na szybkiego.

- U Claire. Za dwadzieścia minut - odłożył słuchawkę.

Piętnaście minut później siedziała przy jednym z małych stolików przy oknie u Claire, czekając, aż pojawi się Win i zastanawiając się, co ona tutaj robi. Przecież on nie wykrecał jej ręki. Miała wystarczające doświadczenie ze swym byłym mężem, by wiedzieć, że jeśli miał coś w rękawie, zawsze potrafił wymyślić dobry powód, by się z nią zobaczyć.

Więc o co mu chodzi?

Myślała o miesiącu miodowym w Mazatlan. W myślach widziała Wina, stojącego na rozchwierutanim drewnianym pomoście, spoglądającego w dół na opalizującą wodę, do której przypadkowo upuścił swoje okulary słoneczne od Vuarneta przy wychodzeniu z motorówki. Zanim mogła go powstrzymać, dał nurka - w bermudach, koszulce polo i butach. Stado mieszkańców wioski stało tam, trajkocąc między sobą po hiszpańsku, obserwując, jak się wynurza z przyklepionymi do głowy włosami ociekającymi tłustą wodą, jak łapie powietrze, po czym znowu wpada jak kamień do wody... i znowu. Za trzecim razem wrzasnęła do niego, żeby przestał. „Przestań! Przecież to tylko okulary, na litość boską!” Ale Win nie przestawał. W dół, i w dół. Aż w końcu wystrzelił w górę, a mieszkańcy wioski wykrzyknęli: „Hurra!” - jak gdyby wyratował z głębin jedno z ich dzieci.

- Pobiłaś mnie.

Grace spojrzała w niebieskie oczy Wina, zmrużone z rozbawienia, i patrzyła, jak sadowi się w krzesło naprzeciw niej. Zerknęła na zegarek i zobaczyła, że upłynęło dokładnie dwadzieścia minut, odkąd zadzwonił.

- Mieszkam w tej okolicy - powiedziała. - Musiały ci wyrosnąć skrzydła, skoro dotarłeś tu tak szybko.

- Złapałem metro.

- Odkąd to jeździsz metrem? - zaśmiała się. Kiedy byli małżeństwem, Win zawsze przekonywał, jakie to niebezpieczne, i twierdził, że Grace wprost się naprasza, by ją napadnięto.

Wzruszył ramionami. Wyglądał zadziwiająco świeżo, zważywszy jego pośpiech, by tu dotrzeć. - Gdybym ci powiedział czterdzieści pięć minut, zmieniłabyś zdanie.

- Prawdopodobnie - stłumiła ziewanie.

- Grace, musiałem cię zobaczyć - już się nie uśmiechał.

- Musi to być poważne, jeśli nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon. Coś mi mówi, że chodzi o matkę. Napuściła cię?

Potrząsnął głową, zamawiając dżin z tonikiem u kelnerki, która zjawiała się przy ich stoliku. - Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Zgodziła się wstrzymać wszelkie działania prawne, dopóki nie usiądziecie we dwie i nie porozmawiacie.

Grace poczuła, że mięknie. - Win, doceniam wszystko, co zrobiłeś. Wiem, że niełatwo nagiąć matkę do czyjegós sposobu myślenia.

- Robię to dla ciebie, Grace. Chociaż tak się składa, że nie jesteśmy już małżeństwem, nadal zależy mi na tobie, wiesz o tym - w świetle świecy, skwierczącej pośrodku ich stolika, jego oczy zdawały się nabierać większego blasku. Czy Win istotnie mógł myśleć...?

- Wiem, że ci zależy - powiedziała szybko, dbając o to, by rozmowa nie toczyła się w innym tonie niż tylko przyjacielski.

- Naprawdę? - położył rękę na jej ręce, ściskając jej palce z gorącym naleganiem.

Grace ogarnęło niesamowite poczucie *deja vu*. Miała wrażenie, że jakimś sposobem nadal są małżeństwem. Niemal zdawało jej się, że Win rzuca urok. Intymność przez odruchowe dawne zachowania. Wiedziała o tym

i często potrafiła przewidzieć jego zachowanie - wyciągnięcie ręki, by odgarnąć kosmyk włosów z jej policzka albo wygładzić jej kołnierz; sposób, w jaki, czekając przy drzwiach na Chrisa, zaczęła z roztargnieniem przerzucać pocztę, którą mogła zostawić na małym stoliku w hallu. Dobrze o tym wiedziała, jednak często dawała się na to nabierać. Nie robiąc uwag, czy nawet ledwie zauważając, gdy podchodził do lodówki, by wziąć sobie coś zimnego do picia. Pozwalając, by uchodziły mu na sucho kwestie takie, jak: „Ten zamek w drzwiach wygląda mi na lichy. Może zadzwonię do jakiegoś fachowca, żeby rzucił na niego okiem”? Czy było to wykalkulowane? Trudno powiedzieć. Winowi otrzymywanie tego, czego chciał, przychodziło naturalnie. Nie sprawiało mu to więcej wysiłku niż odychanie.

- Win, nie chcę, żebyś nabrał fałszywego wyobrażenia o...

- Grace, będę z tobą szczery - przerwał jej. - Rzeczywiście mam w tym wszystkim egoistyczny motyw. Muszę wiedzieć, czy... Chryste, nawet nie potrafię tego powiedzieć - głos mu się załamał i Grace pochwyciła lśnienie łez w jego oczach.

Jedyny raz widziała Wina płaczącego, gdy mu powiedziała, że odchodzi od niego. Wtedy niewiele brakowało, by się ugięła i zmieniła decyzję. Może on naprawdę mnie kocha, myślała. Może powinnam dać temu małżeństwu jeszcze jedną szansę.

Pamiętała, jak wówczas wyglądał - siedział przed nią na gobelinowym krześle z oparciami, z głową spuszczoną w udręce. Światło padało prosto na jego zmierzwiene włosy, tak jasne, że miało się wrażenie, iż są złotą lampą, rzucającą blask na wypolerowany parkiet, gdy Grace odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Odkąd się rozstali, nie robił żadnej tajemnicy z tego, że chce, by znów byli razem. Nie rozumiała dlaczego. Naprawdę Win chciał być z kobietą, która oczekiwałaby od niego niewiele więcej niż szczęścia adorowania go.

I może ona była taką kobietą tuż po ślubie... ale musiał wiedzieć, że z pewnością nie jest nią teraz.

To nie znaczyło, że pod pewnymi względami nie tęskniła za nim. Czy może to za ich wspólną przeszłością tęskniła? Nie tylko za wspomnieniami o miodowym miesiącu czy rosnącym Chrisie. Tęskniła za tańcem w rytm piosenek z lat sześćdziesiątych z kimś, kto znał wszystkie kroki tańców i nawet potrafił zaśpiewać słowa. Za oglądaniem filmów *L* kimś, kto rozumiał wszystkie dowcipy.

Jack nigdy nie słyszał o Moody Blues i chociaż był przeciw wojnie w Wietnamie, nigdy nie uczestniczył w żadnym marszu. Kiedy jej pokolenie siedziało w domu, oglądając filmy z królikiem Bradym, on wkuwał w Yale. Rzadko słuchał czegoś innego niż muzyki klasycznej i starych piosenek rewiowych.

A jednak nawet wtedy, kiedy byłaś do szaleństwa zakochana w tym facecie, pomyślała Grace, mogłaś być z nim i nadal czasami czuć się samotna.

Wysunęła dłoń spod ręki Wina i cichym głosem zapytała: - Dlaczego to robisz, Win? Dlaczego teraz?

- Zapomniałaś, co to za dzień?

Nagle zaświtało jej w głowie i przez chwilę zdumiewała się, że w ogóle mogło jej to umknąć z pamięci. Nawet po rozwodzie nie omieszkała zaznaczyć tego dnia, choćby tylko w pamięci. - Rocznica naszego ślubu. Och, Win, ja naprawdę zapomniałam.

- Czy nie jest to zazwyczaj męzowska wpadka?

- Win...

- Wiem, wiem - podniósł rękę. - Już nie jestem twoim mężem. Ciągłe mi to powtarzasz. Chciałbym tylko sam móc w to uwierzyć.

- Słuchaj, powinieneś być mi to powiedzieć przez telefon. Gdybym wiedziała...

- ...nie przyszłabyś - dokończył za nią.

- Nie ma sensu wałkować przeszłości. Co z tego za pożytek?

Ale Win się uśmiechnął. - Pamiętasz, Grace? Jak organista spóźnił się dwadzieścia minut, bo mu się zepsuł

samochód? Byłaś gotowa zaczynać. Ale ja po prostu nie mogłem wyobrazić sobie ciebie, idącej nawet bez muzyki.

- Właściwie nie odbyłoby się to cicho - uśmiechnęła się. - Nie przy twojej matce, która tak płakała, aż bałam się, że zatopi łzami kościół.

- Dobrze, że się pojawił. Gdybyśmy dłużej czekali, twoja siostra oderwałaby mnie od ciebie i zaprowadziła do ołtarza.

- Sissy rzeczywiście strasznie się w tobie podkochiwała - przyznała z chichotem. - Niemal żal mi było Beecha, chociaż wtedy ona tylko chodziła z nim, bo wieszła się na tobie.

- Wątpię, czy Beech to zauważył. Za bardzo był zajęty robieniem słodkich oczu do mojej siostry.

Kelnerka przyniosła drinki, które popijali w milczeniu. Grace wypita nie więcej niż do połowy, gdy odstawiła szklankę i wstała. - Pójdę - powiedziała Winowi.

- Zaczekaj - chwycił lekko jej rękę wilgotnymi palcami. Z bliska widziała, że oczy ma nabiegłe krwią.

- Jestem zmęczona, Win. I myślę, że dosyć już sobie powiedzieliśmy.

- Jeszcze jedno - jego usta wygięły się w uśmiechu, który uznała za dziwnie rozczulający... a nawet rozdzierający serce. Widziała jak na zwolnionym filmie Wina wznoszącego szklankę. - Toast - powiedział. - Za rocznicę naszego ślubu.

Grace wiedziała, że powinna odejść - nie, nie odejść, uciec gdzie pieprz rośnie. Ale miała wrażenie, że ugrzęzła w ciepłym piasku. Wyciągnęła rękę. Była ciężka i zdawała się wyciągać w nieskończoność, zanim palce zamknęły się wokół wilgotnej szklanki. Podniosła ją do ust i głosem, który wydawał się obcy, powiedziała: - Za rocznicę naszego ślubu.

## O

- To był tylko jeden drink - powiedziała Chrisowi, gdy ściągała płaszcz przy drzwiach.

Kiedy zadzwoniła do Scully'ego, by powiedzieć Chrisowi, że zamierza spotkać się z Winem, ożywił się natychmiast, obiecując być w domu, kiedy ona wróci. Teraz, widząc jego oczy, po raz pierwszy od tygodni błyszczące zainteresowaniem, żałowała, że mu powiedziała. Nie ma sensu rozbudzać w chłopcu nadziei.

- To był pomysł taty czy twój? - Chris naprawdę się uśmiechał.

- Jego.

- Tak myślałem.

- Chodziło tylko o interesy... jakieś sprawy prawne, które musieliśmy omówić.

- Skoro tak mówisz - z rękami założonymi na piersi przyglądał jej się badawczo niczym stara mądra wróżbiarka, przepowiadająca jej przyszłość z kryształowej kuli. - Ale jeśli zaprosi cię znowu, nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Przed czym? - zapytała, starając się wyglądać niewinnie.

- Przed tatą. On nie zrezygnował z tego, żebyście znowu byli razem.

Chwyciła jasek z kanapy i rzuciła w Chrisa. Złapał go z niespodziewaną zręcznością i odrzucił do niej. Śmiech kipiał w nim jak woda w dawno wyschniętej studni. Udawała, że tego nie dostrzega. Gdyby zrobiła jakąś uwagę czy pochwaliła go, schowałby się z powrotem do swojej skorupy, a ta chwila była zbyt piękna, by ją zmarnować.

Chciała mu powiedzieć: nie możemy wrócić do tego, co było. Ale spojrzenie na szczupłą, niespokojną twarz Chrisa, z której teraz zniknęła czujność, powstrzymała ją od powiedzenia tych bolesnych słów.

- Czy już nie pora do łóżka? - zapytała, niedwuznacznie zerkając na zegarek. - Jutro masz lekcje.

Przytaknęła, znów chowając się w sobie. Z wystudiowaną niedbałością powiedział: - Myślałem, że najpierw zadzwonię do Hanny. Zobaczę, jak się miewa.

- O? - Grace starała się nie wyglądać na zbyt zaskoczoną. Prawda, Chris i Hanna zdawali się żyć całkiem zgodnie tam w domku, ale kiedy to się zaprzyjaźnili do tego stopnia, żeby do siebie telefonować?

- Ona jest ostatnio w dołku - zwierzył jej się Chris, ścisząc głos i rozglądając się wokół siebie, jak gdyby Hanna mogła czaić się w pobliżu i słuchać. - Nie wiem, może zrywa ze swoim chłopakiem czy coś takiego. Nic mi nie powiedziała, ale... - Chris obdarzył ją teraz tym skrupulatnym, krytycznym spojrzeniem, które aż nadto dobrze znała. - Mamo, nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłaś, jaka ona jest ostatnio nieswoja.

Grace natychmiast poczuła obawę. Nie, nie zauważyła. Czy dlatego Jack wydawał się dzisiaj taki daleki? Czy Hannie coś się stało, o czym Jack jej nie powiedział, bo sądził, że jej to nie będzie obchodzić?

- Przykro mi, Chris... chyba sama byłam trochę nieswoja. Przekaż jej pozdrowienia ode mnie, jeśli będziesz z nią rozmawiał.

Pozdrowienia? Obie wiedziały, że to kpina. Najlepsze, co można było powiedzieć o jej stosunkach z Hanną, to, że po tygodniu wymuszonej bliskości tam, w domku, ogłosiły przezorne zawieszenie broni.

Ale czy to wystarczy?

## ROZDZIAŁ 14

- Kath? Jesteś tam jeszcze? - Hanna jeszcze raz nacisnęła przycisk, by się upewnić, że jej nie zgubiła. Oczekiwanie na rozmowę mogło być takie przykre... szczególnie jeśli osobą przerywającą był Chris. Pozbyła

się go najszybciej jak mogła, nie będąc, miała nadzieję, niegrzeczna.

Głos Kath docierał teraz krzepiąco. - Kto to był?

- Nikt. Po prostu dzieciak dziewczyny mojego ojca. Odkąd zdał sobie sprawę, że nie gryzę, zachowuje się jak przerośnięty szczeniak, który ciągle ma ochotę na mnie skakać.

- Chcesz powiedzieć, że się w tobie podkochuje?

- Kath wydawała się przerażona.

- Nie... nie, nic z tych rzeczy - szybko powiedziała Hanna. - To coś w rodzaju uczucia do starszej siostry.

- Zważywszy na to, co Hanna sądziła o tacie żeniącym się z Grace, nie było to wiele lepsze niż, gdyby się Chris w niej podkochiwał. - Właściwie tylko się dowiadywał, co u mnie słychać. Sprawdzał, czy dobrze się miewam.

- Dlaczego nie miałabyś się dobrze miewać?

Hanna wzięła głęboki oddech. Czy powinna powiedzieć Kath? Ostatecznie Kath nawet nie zauważyła, że coś jest nie w porządku. Jednak Kath jest jej najlepszą przyjaciółką. I umie dochować sekretu. Jeszcze w szóstej klasie można jej było wrywać paznokcie, jeden po drugim, a ona nawet nie pisnęła słowa o tym, że Lindsey Webber zdjęła z siebie wszystko do bielizny, kiedy grali w rozbieranego pokera z Robbie Byrnesem i Scottem Turnbullem. A Kath nawet nie lubiła Lindsey.

Hanna, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, dała nurka do swojej różowo-zielonej sypialni i zamknęła drzwi gołą piętą. Mama była w pracy, ale wpadł Ben, by zabrać krzesło czy coś takiego, co mama dała mu do jego mieszkania. Hanna nie chciała, by on to usłyszał.

- Chodzi o to... - zniżyła głos - ...sądzę, że mogę być cięży. - Hanna czuła, jak wzbiera w niej szloch, ale powstrzymała go. Może nie jestem. Może tylko spóźnia mi się miesiączka.

- Och, Hanna - Kath odpowiedziała głosem tak cichym, że zabrzmiał prawie jak jęk. - Jesteś pewna?

Hanna czuła, że jej zatoki pulsują powstrzymywanymi łzami. - To już ponad dwa tygodnie, a mnie się nigdy nie



spóźnia. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Chcę powiedzieć... Nie żebyśmy robili to nie używając niczego.

- Ty i Con? - głos Kath wydawał się daleki, tak słaby, że Hanna ledwie ją słyszała, jak gdyby dzwoniła z Bangladeszu.

- Oczywiście, że Con. Co ty myślisz, że poszłam do łóżka z połową szkoły? - wykrzyknęła, nagle rozgniewana na Kath, a właściwie na cały świat.

- Hanna, nie wściekaj się. Zwaliłaś mnie z nóg, to wszystko. Nie myślałam. Słuchaj, chcesz, żebym przyszła? Mam ćwiczyć na skrzypcach, ale mama nie rozpocznie śledztwa w mojej sprawie, jeśli powiem, że pomagasz mi pisać pracę do college'u czy coś takiego. Przykleili ci etykietkę mózgowca.

Pewnie, pomyślała Hanna. Mogła być asem na piekielnie trudnym kursie fizyki doktora Blake'a, pobić praktycznie każdego w *scrabble*, zrobić papierowy model całej arki Noego. Ale jeśli jest taka bystra, to jak mogła być tak głupia, żeby zająć w ciążę?

- Dzięki - powiedziała Hanna - ale mam wypełnić ten formularz do college'u. - Ostateczny termin składania wniosków o przyjęcie do Yale upływał w poniedziałek, już za cztery dni, a ona nawet nie zaczęła pisać pracy. Ale teraz ugiwała się pod realnością swego dylematu. - O Boże, Kath, nie wiem nawet na pewno, czy pójdę do college'u. - Nie przemyślała tego do końca, ale teraz zastanawiała się, czy ona, która własną pierś powstrzymywałaby pikietę obrońców życia, miałaby odwagę przerwać ciążę.

- Powiedziałaś Conowi? - zapytała Kath, ostro prowadząc ją z powrotem do źródła tego wszystkiego.

- Jeszcze nie - mówiąc to głośno, nie była pewna, dlaczego nie. Ale w końcu od tamtej nocy, kiedy pojechała do jego domu, ona i Con rzadko spędzali czas sam na sam. Zawsze byli w grupie, przesiadując u Tylera, Jill czy Maggie, albo chodząc w paczce na pizzę po szkole. Hanna zastanawiała się teraz, czy dlatego, że ona to tak urządziła... czy też Con czuje się skrępowany w jej

obecności. Dodała: - Nie ma sensu mówić mu, dopóki nie będę absolutnie pewna.

- Próbowalaś któregoś z tych, no wiesz, domowych testów? - zapytała Kath.

- Taak, próbowałam - Hanna przygryzła wargę, by się powstrzymać od płaczu. - Nic się nie pokazało.

- Ach, wobec tego... - ulga w głosie Kath była ogromna. - Hanna, nic nie rozumiem. Jeśli...

- One nie zawsze działają - przerwała jej Hanna. - Tamtego lata, kiedy pracowałam w gabinecie lekarskim... Była tam kobieta, która myślała, że ma guz, bo przeprowadziła jeden z tych testów i wynik okazał się negatywny. Ale jej brzuch był taki duży dlatego, że była cztery miesiące w ciąży.

- Boże, jakie to straszne! Na guz zgodziłabym się bez namysłu. Wtedy przynajmniej rodzice by mi współczuli, a nie chcieli mnie wydziedziczyć.

Nagle Hanna uświadomiła sobie, przed kim będzie to ukrywać. Nie przed Conem. Przed rodzicami. Szczególnie przed ojcem. - Myślisz, że dlatego jestem taka roztrzęsiona? - powiedziała. - Jeśli jestem w ciąży, moi rodzice będą musieli się dowiedzieć. Mój tata... - głośno wciągnęła powietrze. - Och, Kath, on zawsze uważał mnie za taką odpowiedzialną i mądrą. Czuję się taka głupia. Jak okazowy beznadziejny przypadek.

- Ale on by zrozumiał, prawda?

- Taak... Wiem, że nie dostałby piany na ustach tak jak mama, ale... och, Kath, on byłby taki miły. Jak wtedy, kiedy miałam pięć lat i trzeba mi było wyciąć migdałki. Rzecz w tym, że ja już nie mam pięciu lat, ale on w ten sposób by na mnie patrzył.

Przyciskając kurczowo telefon do ucha, Hanna wybuchnęła płaczem. Nie mogła się powstrzymać. Naprawdę było to jak w jednym z tych złych filmów z lat pięćdziesiątych, gdzie dziewczyna „popada w kłopoty” - zawsze tak to nazywano, jak gdyby została przyłapaną na ściąganiu na klasówce czy kradzieży w sklepie - i raczej

wolałaby być sądzona w Norymberdze za nazistowskie zbrodnie wojenne niż przyznać się rodzicom, że wpadła.

Hanna powlokła się do łazienki, która łączyła jej sypialnię z dawnym pokojem Bena - chociaż on wyjechał do college'u, zanim ona zaczęła chodzić do szkoły, więc ledwie pamiętała go mieszkającego obok. Teraz, słuchając słabego szurania, dochodzącego z pokoju, który stał się gabinetem mamy, Bena, przedstawiającego meble, czy cokolwiek on robił, Hanna poczuła ukłucie irytacji. Dlaczego Ben zawsze przychodzi? Dlaczego, kiedy mama go nęka, by eskortował ją na wszystkie imprezy, nie powie jej po prostu, by dała mu pożyczkę?

Wolną ręką Hanna sięgnęła po papierową chusteczkę. Pudełko było puste, więc oddarła trochę papieru toaletowego, który rozpadał się nawet, gdy wydmuchiwała weń nos. Wyobraziła sobie Kath na drugim końcu linii, rozciągniętą na łóżku w swoim pokoju i żałowała, że jej przyjaciółki nie ma tutaj. A jednocześnie kuliła się na myśl o tym, że ktoś, nawet jej najlepsza przyjaciółka, miałby zobaczyć ją taką - załamana na siedzeniu toalety w tej śmiesznej łazience, którą mama ozdobiła kafelkami z różowego marmuru i mosiężną armaturą w kształcie ryb bluzgających wodą. Z twarzą całą w plamach i opuchniętą, z kawałkiem złachmanionego papieru toaletowego przytkniętym do nosa, by z niego nie ciekło, czuła się jak żebraczka, która jakimś cudem zawędrowała do damskiej toalety w Saint Regis.

- Słuchaj, jestem pewna, że to wszystko jakoś się ułoży... - Kath wydawała się tak zgnębiona, iż Hanna czuła, że wzbierające w niej świeże zasoby łez grożą gwałtownym wylewem. - Jeśli będziesz potrzebowała czegoś, czegokolwiek, jestem tutaj.

- Dzięki... ale w tej chwili najbardziej potrzebny mi cud.

- Taak, w porządku, ale jeśli Con zacznie cię obwiniać, z rozkoszą kopnę go w odwłok - usłyszała uśmiech w głosie Kath.

- Nie winię Cona. To nie było tak, że przystawił mi pistolet do głowy. Mimo to - Hanna czuła podpełzający uśmiezek - doceniam propozycję.

- Słuchaj, Hanna... muszę iść - Kath zniżyła dramatycznie głos. - Strażnicy są u wrót. Nie chciałabym, żeby coś z tego usłyszeli.

- Pewnie, w porządku. Później?

- Później.

Rozłączywszy się Hanna pochyliła się nad zlewem, by opłukać twarz zimną wodą. Poczuła ostry skurcz - nie tam, gdzie by go miała, gdyby to była miesiączka, ale wysoko w brzuchu, jak klucie od zbyt szybkiego biegu. Sapnęła i kurczowo chwyciła za brzeg marmurowego kontuaru, czekając, aż kurcz minie.

Przy ciekącej wodzie i jej płytkim, urywanym oddechu, nieznaczny ruch, jaki dostrzegła przelotnie w lustrze szafki na lekarstwa i dźwięk ukradkowo zamykanych drzwi, drzwi naprzeciw wanny, prowadzących do sypialni Bena, ledwie dotarły do jej świadomości.

## O

W sobotę Hanna wciąż nie miała miesiączki i rzeczywiście zaczynała rozpadać się na strzępy. By odwrócić myśli od zmartwień, pogrążyła się w pisaniu pracy dla Yale - o dzieciach ze szkoły publicznej nr 152 w Inwood, które w zeszłym roku uczyły po szkole. Potem przypomniała sobie o czesnym. Nie było sensu prosić mamy - powiedziała wyraźnie, że wszelkie szkolne wydatki to domena taty.

Hanna zadzwoniła do Grace, gdzie jej ojciec zwykle przesiadywał w czasie weekendów. Trafiła. Chris, który odebrał telefon, powiedział jej, że Jack jest pod prysznicem.

- Powiedz mu, że zaraz będę - powiedziała.

Ale kiedy przyjechała tam i weszła, taty nie było, Grace także. Był tylko Chris, zgarbiony przed ekranem swojego komputera.

- Cześć - Chris powitał ją nie podnosząc oczu.

Hanna poznała grę, w którą grał, Sim City, gdzie budowało się graficznie całe symulowane miasto, a potem obmyślało, jak nim zarządzać. Nękała ją myśl, jak dzieciaki, które ledwie potrafią żuć gumę i chodzić, radzą sobie z zarządzaniem całym miastem, i to prawdopodobnie lepiej niż dorośli. Chris wydawał się w tym dobry, pomyślała, zaskoczona widząc, że jest dobry w czymś innym niż złe naśladowanie Jamesa Deana.

- Gdzie mój tata? - zapytała. Zaczynała być zirytowana. - Nie powiedziałaś mu, że przyjdę? - Wydawało jej się jakieś śliskie to, że jest w mieszkaniu Grace bez Grace w pobliżu. Hanna nagle zapragnęła wyrzucić klucz, który dała jej Grace. Nie chciała mieć poczucia, że w jakiś sposób jest to jej miejsce.

Chris rzucił jej bojaźliwe spojrzenie i wzruszył ramionami. - Przepraszam. Chyba zapomniałem.

Hanna musiała przygryźć wewnętrzną stronę policzka, by nie wrzasnąć na niego.

- Wyszedł parę minut temu - ciągnął Chris. - A mama poszła coś kupić u Balducciego. Jest cała zdenerwowana przyjazdem mojej babki w odwiedziny... chociaż babcia zamieszka u mojego taty. Planuje całą tę kolację na środę. Z tego, jak się zachowuje, można by pomyśleć, że to będzie Ostatnia Wieczerza.

Chris odwrócił się do niej i w jaskiniowej ciemności jego pokoju jego oczy zdawały się świecić resztkami światła, odbitego od ekranu. Jego ściągnięta twarz przywodziła jej na myśl szopa, zaskoczonego blaskiem latarki w środku nocnego furażowania.

Hanna rozejrzała się wokół, myśląc: Boże, jak ktoś może żyć w ten sposób? Szare światło przesączało się przez częściowo opuszczone żaluzje, ukazując nie posłane łóżko, a obok krzesło i etażerkę, na których walały się brudne ubrania, stosy komiksów, puste puszki po sprucie, zakurzony kask motocyklowy, słuchawki do walkmana zaplątane wśród krążków usmarowanych taśm.

Normalnie nie zauważyłaby tego ani dbała o to, ale w tej chwili wszystko ją drażniło. Chris wyglądał, jak gdyby chciał porozmawiać, ale tym razem nie miała zamiaru pozwolić się wciągnąć w odgrywanie starszej siostry. Zaczęła się odwracać, ale smutny wyraz twarzy Chrisa zatrzymał ją.

On jest samotny, pomyślała. Uderzyło ją, że Chris jest trochę taki jak ona - odtrąca ludzi, mając jednocześnie nadzieję, że mimo wszystko będą go lubić.

- Dobrze się rozumiesz ze swoją babką? - zapytała, znajdując wąską krawędź jego łóżka, gdzie mogła przycupnąć.

Wzruszył ramionami, ale oczy mu złagodniały. - Tak. Jest ze mną inna niż z moją mamą. Robiliśmy razem różne rzeczy, na przykład mieszkaliśmy w domku, który ona ma tam nad jeziorem. Chodzi o to, że ona zachowuje się, jak gdybym był kimś w rodzaju sieroty - zatoczył wokół spojrzeniem. - Znaczą, kiedy ją odwiedzam, rozpakowuje moje walizki i pierze wszystko, zanim to odłoży. Jak gdyby myślała, że mama nie robi prania czy coś takiego.

- Wiem, co masz na myśli. Moja babka wciąż mi wierci dziurę w brzuchu, żebym myła zęby.

Spuścił głowę, łokcie wbił w kolana, a łopatki sterczały mu spod workowatego podkoszulka. - Z babcią to nic takiego, ale z mamą i tatą... - Jego głos zamarł, potem podjął z nagłą gwałtownością: - Rozwód jest wyniszczający.

- Taak, to tak samo jak z kwaśnymi deszczami i wycinaniem lasów tropikalnych.

I byciem w ciąży.

Kiedy Chris znowu podniósł wzrok, zobaczyła ze zdumieniem lśnienie łez w jego oczach. - Hanna? Mogę ci coś powiedzieć?

- Pewnie. Jeśli chcesz.

- Mój tata chce, żebym z nim zamieszkał.

- Co w tym nowego? To się nazywa rozciąganie na kole i cwiartowanie. W średniowieczu była to tortura,

praktykowana na więźniach i heretykach. Dzisiaj nazywają to wspólną opieką.

- Nie, chcę powiedzieć, naprawdę. Znaczy, żebym się wprowadził do niego na stałe.

- Twoja mama wie? - zniżyła głos do szeptu, chociaż w pobliżu nie było nikogo oprócz nich dwojga.

Chris potrząsnął głową, z bardziej niż kiedykolwiek nieszczęśliwą miną.

Hanna poczuła lekkie mdłości. Jak by to było, zastanawiała się, gdyby jutro rano przy śniadaniu niedbale oznajmiła matce, że przeprowadza się do taty?

Równie nagła i bolesna jak zerwanie plastra zaświtała jej myśl, że jej matki prawdopodobnie nie obesłoby to tak bardzo. Och, wytaszczyłaby pudełko papierowych chusteczek i zrobiła się płacziwa, potem zaczęłaby rzucać oskarżenia, obarczając ją tą wielką winą, że porzucają ją wszyscy, na których jej kiedykolwiek zależało, i że tata chce Hannę tylko dlatego, żeby mieć przewagę nad mamą... ale prawda była taka, że mama była tak zajęta polowaniem na antyki i tapety i chodzeniem na swoje niezliczone imprezy dobroczynne, że w końcu prawdopodobnie nie obesłoby jej to tak bardzo, jak odejście Chrisa obesłoby Grace.

- A czego ty chcesz? - zapytała go. - Chcę powiedzieć, gdyby tego rodzaju rzecz całkowicie zależała od nas, dzieci, co nigdy się nie zdarza.

- Nie wiem - za jego plecami komputer wydał z siebie coś, co zabrzmiało jak pisk przypartej do muru myszy. W przyćmionym świetle jego ekran błyszczał jak wielkie fosforyzujące oko. - To, czego ja chcę, nie zdarzy się, więc chyba to naprawdę bez znaczenia.

- Masz na myśli zejście się twojej mamy i taty?

- Coś w tym rodzaju - wydawał się zakłopotany, jak dziecko, które wie, że jest za duże, by wierzyć w Świętego Mikołaja, a mimo to wierzy.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - Hanna była zaskoczona odkryciem, że jej własne nieszczęście zmalało. - Myślę, że decyzja nie powinna zależeć od ciebie..-Nie, jeśli nie jesteś pewny.

- Ale jeśli powiem tacie, że nie chcę z nim mieszkać, będzie się czuł okropnie. Pomyśli, że to dlatego, że bardziej zależy mi na mamie niż na nim.

- A twoja mama? Co ona pomyśli?

Chris nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w brudne czubki swoich reeboków.

Głucha, krępująca cisza zapadła między nimi. Dziwne, ale Hanna współczuła również Grace. W istocie, od tamtej nocy w domku, kiedy Grace dała jej kurtkę, którą od tamtej pory rzadko z siebie zdejmowała, jej uczucia do Grace wydawały się bardziej zagmatwane niż kiedykolwiek.

Podniosła się i podeszła do miejsca, gdzie siedział Chris. Lekko położyła rękę na jego ramieniu i poklepała go niezdarnie. Nie mogła powiedzieć niczego, dzięki czemu poczułby się lepiej. A może on tylko chciał wiedzieć, że ktoś jest po jego stronie?

Ktoś, kto wie dokładnie, co on czuje.

## O

Hanna właśnie wciągała na siebie skórzaną kurtkę, kiedy Grace stanęła w drzwiach. Serce Hanny zakołysało się; potem niesamowita myśl wkradła jej się do głowy. A gdyby powiedziała Grace, iż podejrzewa, że jest w ciąży?

Grace nie ciskałaby się... zresztą Grace musi mieć o niej tak złą opinię, że o gorszą już trudno.

Boże, nie mogę uwierzyć, że o tym myślę.

- Hanna! Co za niespodzianka! - sięgające podbródka włosy Grace były całkiem rozwichrzone, a policzki czerwone z zimna. - Nie spodziewałam się ciebie.

Grace przemknęła obok, obładowana torbami z zakupami i Hanna poczuła bijący od niej chłód spod gołego nieba. Skóra cierpła jej na ramionach, gdy obserwowała Grace, wyrzucającą żywność na kuchenny kontuar.

A więc, powinna jej powiedzieć? Zanim straci odwagę?



Tak, a jeśli ona w jakiś sposób wykorzysta to przeciw tobie? Czy ty nie zrobiłabyś tego, gdybyś miała na nią tak wspaniałego haka?

Świadomość, że prawdopodobnie zrobiłaby coś takiego, tylko pogorszyła jej samopoczucie.

- Nie wybierałam się... to znaczy tutaj. Chcę powiedzieć, że właśnie wychodziłam - Hanna potykała się o słowa, niezdarna i onieśmielona.

- Och, wobec tego... nie będę cię zatrzymywać. - Grace nie wydawała się rozczarowana, może raczej jak gdyby odczuła ulgę czy coś takiego. Hanna czuła się dziwnie zawiedziona. Kilka tygodni temu byłaby szczęśliwa widząc, że Grace ostatecznie się wycofuje, ale teraz, no cóż, czuła się trochę odtracona.

- Może wpierv mogłabym ci pomóc wypakować trochę tych rzeczy. Nie bardzo mi się spieszy - słowa potoczyły się, zanim w pełni zdała sobie sprawę, że je wypowiada... i lekko szarpnęła głową, jak zawsze, kiedy w metrze całkiem obcy ludzie odzywali się do niej. Czy naprawdę zaproponowała Grace pomoc?

Hanna widziała, że Grace także to zdumiało. Wpatrywała się w Hannę ponad kontuarem, obracając na palcu kółko z kluczami. Ich dzwonienie zdawało się uniemożliwiać im obu zbytne skupienie się na zaskakującej propozycji Hanny.

- Pewnie - powiedziała Grace z ożywieniem. - Przyda mi się pomoc. Nie ma tych rzeczy tak dużo, ale sądząc po fortunie, jaką na nie wydałam, powinna ich być cała ciężarówka. Przysięgam, ceny u Balducciego to dosyć, żeby każda zdrowa na umyśle osoba z wrzaskiem poleciała do najbliższego A&P. Zwykle nie kupuję tam żywności, ale moja matka przychodzi na kolację i... - skrzywiła się. - Cóż, wiesz, jak to jest.

Hanna słuchała jej trajkotania i zamiast, jak zwykle, zirytować się, czuła się pokrzepiona. Paplanina Grace była jak prąd, dający Hannie siłę do żeglowania po oceanie złych uczuć, zawsze tłących się między nimi. Podtrzymywała ją na duchu, gdy podnosiła w górę ręce,

wyciągając puszkę, słoiki i plastikowe torebki z rzodkiewkami z toreb na zakupy i układając je na półkach lodówki i kredensu.

- Wygląda na to, że planujesz coś naprawdę wytwornego. - Pomyślała o kolacji, którą tutaj jedli, kiedy zarzygała całą podłogę w łazience i natychmiast pożałowała, że nie trzymała buzi na kłódkę.

- Można to tak nazwać - powiedziała Grace, stając na palcach, by znaleźć miejsce na pudełko na bardzo zatłoczonej półce. - Chociaż rytualna ofiara z człowieka byłaby bardziej na miejscu. Widzisz, są rzeczy, z których się nie wyrasta - rzuciła spojrzenie przez ramię. - Rodzice są jedną z nich.

- Taak, wiem - Hanna zdobyła się na skąpy uśmiešek.

Dlaczego się z nią zgadzam? - zastanawiała się Hanna. Wszystko stawało się zbyt skomplikowane. Najpierw zaprzyjaźnianie się z Chrisem... a teraz to.

Ja jej tylko pomagam. Nie jest to właściwie powszechny pokój światowy, przypomniała sobie szybko.

W końcu, gdy wszystkie zakupy zostały odłożone na miejsce, Grace klapnęła na jeden ze stołków barowych naprzeciw kontuaru i utkwiała w Hannie spojrzenie tak pełne ciekawości, że Hanna nagle poczuła się zażenowana i... no cóż, odkryta. Zerknęła w stronę hallu, modląc się, by Chris zmęczył się komputerem i przybiegł ją uratować.

Przed czym? - zapytała Hanna samą siebie. Przed głupią chęcią wywnętrzenia się przed kimś, kto prawdopodobnie mnie nienawidzi? Czy przed odkryciem, że Grace naprawdę może mieć użyteczną radę?

- Dzięki za to, że mi pomogłaś. Ale słuchaj, nie chcę cię zatrzymywać - powiedziała Grace, dając Hannie grzeczną odprawę. - Powiem twojemu tacie, że go szukałaś.

Żadnego uprzejmego wypytywania o szkołę czy komitet Nastolatków Zielonej Ziemi, któremu Hanna przewodniczyła, żadnych aluzijek do zabaw, jakie mogłyby

urządzić sobie razem następnego lata, podróży, w jakie mogłyby się wybrać. Grace, nie mówiąc tego wprost, skreślała ją.

I to nie tylko dzisiaj, uświadomiła sobie Hanna. Od tamtego tygodnia w górach, który spędziły chodząc wokół siebie po skorupkach jaj, Grace po prostu odnosiła się do niej uprzejmie i grzecznie, ale nic poza tym. Żadnego nakłaniania, aby zrobiła coś lub tego nie robiła, żadnego proszenia jej o cokolwiek... po prostu. Hanna, myśląc o tym, była zadowolona, a jednocześnie nie wydawało jej się to całkiem właściwe.

- Grace? - Hanna opadła na sąsiedni stołek, nagle zbyt znużona, by wyjść. Poza tym, dokąd by poszła? - Czy ty kiedyś... - przerwała. Nagle wyszło jej w gardle. - Nieważne.

Hanna czekała teraz, by Grace ją ponagliła. Ale Grace nie zrobiła tego. Siedziała tylko, patrząc na nią tymi szczerymi, piwnymi oczyma, bawiąc się długim, skręconym paskiem rachunku za zakupy, owijając go wokół palca.

- Wiesz, to, co mnie naprawdę doprowadza do pasji - powiedziała Grace miękko - to kawa. U Balducciego masz do wyboru dwadzieścia pięć gatunków kawy i stoisz tam, aż zaczynasz mieć wrażenie, że los świata zależy od twojej decyzji. To naprawdę zabawne, bo wcale nie się wahałam kupując to poddasze, chociaż wtedy była to absolutna ruina. Czasami łatwiej jest ugrzęznąć przez głupie drobiazgi.

Hanna wiedziała, że gdyby Grace ją ponagliła, zamknęłyby się w swojej skorupie. Ale teraz nie mogła się już dłużej pohamować.

- Myślę, że mogę być w ciąży - wypaliła, zwracając się do czajnika na kuchni, prawdopodobnie dawno wystygłego, ze ścierką do naczyń, okręconą wokół rączki.

Grace tak długo milczała, iż Hanna zaczęła myśleć, że nie usłyszała jej, albo, co gorsza, udawała, że nie usłyszała. W końcu Grace zapytała: - Czy rozmawiałas o tym z którymś z twoich rodziców?

Hanna potrzęsnęła głową, czując znowu wzbierające w niej cierpienie. To było niesamowite uczucie, to zwierżanie się Grace - jak wtedy, gdy pierwszy raz chwyciła za kierownicę samochodu taty, niepewna, czy chcejechać... ale nie chcąc się także zatrzymać.

- Nie zapytam, czy osoba tak dobrze wykształcona i inteligentna jak ty stosowała jakiś środek zapobiegawczy. Zakładam więc, że cokolwiek to było, mogło nie podziałać - Grace mówiła gładko, bez kazań, po prostu rzeczowo. - Czy mam rację?

- Conrad...

- Nie, nie twój chłopak. Miałam na myśli ciebie.

- No więc, niezupełnie. Chcę powiedzieć, no cóż, nie

- Hannie nigdy nie przyszło do głowy, że kondom niekoniecznie jest pewnym zabezpieczeniem.

- A zatem to proste - powiedziała Grace, nagle rześka i praktyczna, gdy wstała i sięgnęła do telefonu na ścianie.

- Po prostu zajmijmy się tym i nie będziesz musiała martwić się co miesiąc.

- A jeśli jestem w ciąży?

- Jeśli on używał kondomu, to prawdopodobnie masz tylko spóźnienie... ale jeśli jesteś w ciąży, no cóż, będziemy po prostu musiały przekroczyć ten most, kiedy do niego dojdziemy - wzięła z kontuaru oprawiony w skórę notes z numerami telefonów i zaczęła przerzucać kartki.

- Słuchaj, mam świetnego ginekologa; ona przyjmuje pacjentki nawet w soboty. Zobaczę, czy będzie mogła cię wcisnąć.

Przycupnięta na wysokim stołku, słuchając, jak Grace przymilaniem się do jakiejś recepcjonistki nakłoniła ją do wpisania w ostatniej chwili jej wizyty, Hanna miała uczucie, że zrezygnowała z czegoś więcej niż tylko sekret. Przekazała również władzę nad swoim życiem. Dlaczego nie potrafiła kierować nim tak chłodno jak Grace?

Pół godziny później Hanna leżała na plecach na stole do badania w gabinecie o łagodnie brzoskwiniowych ścianach, obwieszonych rysunkami Cassatta, przedstawiającymi matki z dziećmi, podczas gdy młoda kobieta

w białym fartuchu, z ciemnymi warkoczami opadającymi jej na plecy, delikatnie opukiwała ją i uciskała.

Hannie, niepewnej, czy jest bardziej przestraszona czy zażenowana, pozwolono w końcu usiąść. Serce waliło jej jak młotem. Próbowwała coś powiedzieć, ale miała wrażenie, że ma spuchnięty język, który nawet utrudnia jej przełykanie.

Lekarka uratowała ją, mówiąc: - Przeprowadzę test ciążowy. Możemy to zrobić tutaj, w gabinecie. Ale mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że nie jesteś w ciąży.

Naraz Hannie zakręciło się w głowie. Gdyby już nie siedziała, chyba musiałyby usiąść. Ale teraz ulga wypełniała ją jak hel, czyniąc ją lekką, niemal niezatapialną. Skinęła głową i starała się skupić, gdy kobieta, która wydawała się za młoda, by być lekarką, instruowała ją, jak używać diafragmy. Parę minut później, gdy wyniki testu ciążowego okazały się negatywne, odpłynęła do przebieralni i jakoś zdołała wbić swoje pozbawione ciężaru ciało w ubranie.

Wchodząc do poczekalni, gdzie siedziała czytająca magazyn Grace, Hanna próbowała się uśmiechnąć. Ale jej usta były jak oddzielone od reszty ciała, zapalając się i gasnąc jak uszkodzona żarówka.

Grace wstała. Zdawało się, że jedno spojrzenie powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć.

- Chcesz usłyszeć coś naprawdę zabawnego? - powiedziała, uwalniając Hannę od konieczności mówienia.  
- Po całym tym gadaniu o kawie właśnie uświadomiłam sobie, że żadnej nie kupiłam. W tych małych delikatesach, obok których przechodziłyśmy, powinna być.

Hanna ledwie się odzywała, zanim znalazły się w tak-sówce. - Nie powiesz tacie, prawda? - zapytała słabym głosem. Nowe przerażenie przebijało się przez chmurę jej euforycznej ulgi. - Chcę powiedzieć, że nie ma powodu, żeby wiedział, teraz, kiedy wszystko jest.w. porządku.

- Nie ma żadnego powodu - uprzejmit zgodziła się Grace.

- Przyrzekasz?

- Absolutnie.

Hanna czuła się niemal przytłoczona wdzięcznością. Ale wtedy cichy, podły głos wewnętrzny syknął: Uważaj. Bądź ostrożna. Nie pozwól się wessać. Teraz ona ma coś na ciebie i może to po prostu wykorzystać.

## ROZDZIAŁ 15

W poniedziałek Ben wcześniej wyszedł z pracy, by odebrać swoje BMW z warsztatu, ale zanim doczekał się, aż dupek mechanik skończy, było już po szóstej. Myślał o tym, by pojechać prosto do domu, ale zamiast tego zdecydował się na hamburgera w Empire Diner i wczesny seans filmowy w tripleksie przy Dwudziestej Trzeciej. To coś, co przynajmniej dostarczy mu zajęcia i powstrzyma przed nadmiernym myśleniem o Noli - a zdaje się, że ostatnio nabrał tego niepokojącego zwyczaju.

Film okazał się wyciskaczem łez o bezdzietnej parze, starającej się zaadoptować dziecko niezamężnej matki. Prawdziwe nudziarstwo. Ale jadąc do domu, Ben rozmyślał nad rozmową telefoniczną, którą w zeszłym tygodniu podsłuchał między swoją siostrą i jej przyjaciółką. Czy Hanna rzeczywiście może być w ciąży? Kto by pomyślał, że jego sprytniej siostrzyczce mogła się tak powinąć noga?

Miał nadzieję, że strach Hanny okaże się próżny. Jednocześnie nie mógł nie zastanawiać się, czy przypadkiem nie zasłużyła na to, by się znaleźć w ukropie. Gdyby tata wiedział, że panienka pieprzy się ile wlezie, nie myślałby tak dobrze o swojej kochanej córeczce...

Ben zahamował, aby uniknąć uderzenia w bok taksówki, która skręciła przed nim w prawo. Jego myśli w sposób nieunikniony, jak zawsze, kiedy stawał mu przed oczami obraz ojca, zwróciły się ku pracy. Wcale nie dzięki Jackowi Goldowi zdołał wygładzić zmięte piórka Rogera Younga - przynajmniej na chwilę. A na książkę Hardinga, za którą dobił targu przy stu osiemdziesięciu tysiącach, już nie mógł się doczekać Klub Książki Miesiąca. Ale w sprawie listów Noli - nic. Ona mu ich nie proponowała... a on nie prosił.

Ale nie to go teraz martwiło, chociaż to fakt, że noc po nocy z Nolą odchodził z pustymi rękami. Pozostawało wielkie pytanie: dlaczego to już zdawało się nie mieć znaczenia?

W jakimś punkcie tych ostatnich paru tygodni - nie mógł wskazać go dokładnie - przestało chodzić o listy, a zaczęło chodzić o coś innego, coś o wiele ważniejszego. Miłość? Niemożliwe - to nie on. Ale nigdy przedtem nie czuł tego do kobiety... i to go przerażało.

Jak gdyby chcąc udowodnić sobie, że może w każdej chwili ją porzucić, tak jak porzucił przed nią tuziny kobiet, Ben podniósł telefon komórkowy i wcisnął guzik, pod którym miał zakodowany jej numer. Telefon zadzwonił sześć razy, zanim podniosła słuchawkę. - Cześć - powiedział głosem intymnie zniżonym.

- Hej, co się stało? - wydawała się trochę roztargniona, wcale nie tak podekscytowana tym, że go słyszy.

Ben zmarszczył brwi. - Nic wielkiego - powiedział lekko. - Słuchaj, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór... - miał zamiar powiedzieć jej, że nie przyjdzie, o czym niedbale wspomniał wczoraj. Podać jej starą wymówkę, że jest wykończony po gorączkowym dniu targowania się z agentami, z liczykrupami z firmy i wygładzaniem zmiętych piórek autorów.

Ale Nola wyprzedziła go o krok. - O Boże, Ben, zupełnie zapomniałam. Słuchaj, naprawdę mi przykro. Dani ma gorączkę i wygląda na to, że Tasha położy\* się z tym samym. Właśnie posłałam je spać.

- To nic takiego, zresztą jest dość późno - mówił nonszalancko, ale dla jakiegoś powodu był rozdrażniony. Kimże ona jest, by mu dawać taką odprawę? Wtedy powiedział: - Pytanie, kto ciebie położy do łóżka?

Tego stanowczo nie było w scenariuszu, niemniej stwierdził, że wstrzymuje oddech.

Nola zaśmiała się swoim cudownym, głębokim śmiechem, wywołując w nim rozkoszny dreszcz. - Ubiega się rano o tę pracę?

- Jeśli mnie pani zatrudni...

Właściwie dlaczego to powiedział? I dlaczego, z teczką pełną maszynopisów i marzeniem o prysznicu oczekującym go w domu, zawracał ku Hudson, zmierzając do Noli?

Ben nie wiedział. Jak gdyby znajdował się pod jakimś tajemniczym urokiem. Nie widział alei, zakorkowanej nawet o wpół do dziesiątej wieczorem, ani oświetlonych witryn sklepowych. Jego myśli wypełniał obraz Noli - wyciągniętej na łóżku, ubranej tylko w zapraszające spojrzenie.

## O

- Jadłeś już coś? - zapytała, wieszając jego płaszcz na wieszaku w hallu i przechodząc do kuchni. - Mogłabym ci coś przygotować, jeśli nie jesteś zbyt wybredny.

- Nie, dziękuję. Wpadłem na hamburgera w drodze powrotnej po odebraniu samochodu.

- Wobec tego przekąska? Florene i dziewczynki upiekły ciasteczka czekoladowe.

- Słodczy nigdy nie odmówię.

Rozumiejąc podwójne znaczenie jego słów, zaśmiała się i nie stawiała oporu, kiedy się zbliżył, by wziąć ją w ramiona. - Czy mama nigdy ci nie mówiła, że nadmiar cukru jest szkodliwy?

- Prawdopodobnie mówiła, ale to mnie nigdy nie powstrzymywało.

Zaczął ją całować, ale ona z jakiegoś powodu odepchnęła go delikatnie. - Nie, zaczekaj, Ben. Chodźmy na



górze i utnijmy sobie długą, przyjemną pogawędkę, tak jak robią to porządni ludzie.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Nie wiem. O czymkolwiek. O niczym. Na przykład, prawie nic mi nie powiedziałaś o twojej pracy. Wiem tylko, kim są jeden czy dwaj twoi autorzy.

- Dobrze, dam ci nawet stertę maszynopisów do czytania, jeśli chcesz - zażartował, ale czuł się dziwnie zbity z tropu, tak jak często czuł się przy Noli. Jak gdyby to ona dyktowała ton, nie on.

- Jestem pewna, że to nie będzie konieczne - roześmiała się, prowadząc go na górę, do bawialni. - Coś do picia?

- Nie, dzięki. Jadę do domu, pamiętasz? - nie był zdolny ukryć nuty irytacji w głosie, przypominając sobie, jak Nola zawsze nalegała, by wychodził stąd, zanim mógłby zapaść w sen w jej wielkim, ciepłym łóżku. Nie mogła ryzykować, powtarzała mu bez przerwy, że dziewczynki znajdują ich razem.

- Racja, zapomniałam - widocznie nie zaniepokojona, opadła obok niego na sofę, wyciągając rękę i przesuwał palcami po jego włosach, jak gdyby on sam był niczym więcej jak dzieckiem. Ben czuł narastające podniecenie, a jednocześnie pragnienie, by nacisnąć hamulec, zapanować nad tym wykolejonym pociągiem, w którym jakimś sposobem był pasażerem.

Przyciągnął ją do siebie raptownie i poczuł, jak ona odpycha go ze zdyszaniem śmieszkiem, w którym krył się cień irytacji. - Hej... po co ten pośpiech? - chciała wiedzieć.

- Mamy mnóstwo czasu - skrzyżowała ramiona na piersi.

- Więc o czym to mówisz? O twoich maszynopisach?

- Większość z nich jest raczej nudna dla kogoś, kto nie siedzi w tej branży. Tak czy owak, skąd to nagłe zainteresowanie?

- Dlaczego miałabym się tym nie interesować? - powiedziała z rezerwą.

Zastanawiał się, do czego Nola zmierza. I wtedy uderzyło go to. - Chcesz się dowiedzieć o moich autorów... czy o Grace?

Zmarszczyła brwi, nagle zaabsorbowana luźną nitką w poduszce na sofie. - Ja... myślałam trochę.

Jego serce uderzyło mocniej - powolny, głęboki rytm jak uderzenia wielkiego młota odzywał się silnym pulsowaniem w skroniach. - O czym?

- O tych listach. Zastanawiałam się, czy dobrze robię, zatrzymując je dla siebie. Może powinnam przekazać je Grace?

Ben podskoczył do góry, jak gdyby właśnie usiadł na czymś ostrym. Co tu powiedzieć? Myśl, myśl. Przybierając ton, który, miał nadzieję, sprawiał wrażenie nie więcej niż umiarkowanego zainteresowania, zapytał: - Myślisz, że to taki dobry pomysł? Chcę powiedzieć, że... czy nie dałabyś jej zbyt wiele władzy?

- Pomyślisz, że to dziwne w moich ustach... ale ja jej ufam.

- Nie mówię, że ona starałaby się ci zaszkodzić... - Ben zaczynał się pocić, czuł swędzącą wysypkę. Jednak jakimś cudem z gorączkowego zamętu w jego mózgu wydobywały się właściwe słowa. - Widzisz, Nola, jak tylko Grace odda swoją książkę, to Cadogan będzie pociągać za sznurki. Wiesz, takie rzeczy, jak cytaty wyrwane z kontekstu i pozlepiane razem, żeby wyglądały bardziej sensacyjnie.

Zmarszczyła brwi. - Ty pracujesz dla Cadogana. Czy mówisz...

- Dokładnie o to mi chodzi - przerwał jej. - Właśnie przyszło mi na myśl, że gdybyś mnie dała te listy, dopilnowałbym, żeby nasi prawnicy mieli do nich dostęp przed wszystkimi innymi. Gdybym ja pilotował całą sprawę, a wierz mi, jestem w tym dobry, miałabyś o wiele większą kontrolę nad tym, jak te listy zostaną wykorzystane.

Czy on nie jest zbyt ochoczy? Nola obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, odchylając głowę do tyłu, tak, że jej podbródek był niemal wciśnięty w wysoki kołnierz jedwabnej tuniki koloru *ecru*, którą nosiła do czarnych welurowych legginsów. - Hej, o co chodzi? Myślałam, że

zdecydowaliśmy na początku, że nie będziesz się mieszał do całego tego paskudztwa.

- Pewnie, wiem - wzruszył ramionami. - Próbowałem tylko pomóc, to wszystko.

- Cóż, jestem dużą dziewczynką. Nie potrzebuję cię. Nie potrzebuję cię. Wpatrywał się w nią, nie całkiem pojmując. Nigdy żadna kobieta nie powiedziała mu tych słów, a coś dopiero tak bezceremonialnie jak Nola. Co jej kazało myśleć, że jest taka wyjątkowa?

Objął wzrokiem jej skupioną twarz, jej łobuzerskie zielone oczy i pełfle usta, ściągnięte w kącikach. Myśli tak, ponieważ jest wyjątkowa.

Wyjątkowa.

Niech ją cholera. Jak, do diabła, ona to robi?

Ben, gotując się w środku, zmusił się do uśmiechu, który sprawiał wrażenie przylepionego. - Zapomnijmy o tym, dobrze?

Dziwne, ale chociaż psuła mu szyki, chciał jej. Bardziej niż kiedykolwiek.

Gdy wziął Nolę w ramiona, uważał, by jego pocałunki były delikatne, niemal jak piórko lekkie. Płonął, wszystko go bolało, ale nie mógł pozwolić, by to zobaczyła. Musiał prowadzić ją powoli.

Jego język wsuwał się i wysuwał z jej ust, przesuwając po jej pełnych wargach, które przywodziły mu na myśl nabrzmiałe sokiem ciemne jagody. Gdy cofnął się, by zaczerpnąć powietrza, zobaczył, że jej wysokie kości policzkowe rzucają cienie na policzki, nadając jej jeszcze bardziej egzotyczny i tajemniczy wygląd. Koniuszkami zębów przesunął po ostrej linii jej podbródka i usłyszał, jak z głębi jej gardła wydobywa się dźwięk, który bardziej przypominał pomruk niż jęk.

Ben obejmował teraz dłońmi jej piersi, czując je ciepłe i ciężkie pod jej bluzką. Śliski materiał, marszczący się i prześlizgujący pod jego rękoma, podniecał go nawet bardziej niż gdyby była naga. Pochylił się i wziął przez zwiewną tkaninę twardą brodawkę w usta. Gdy ssał, czuł, że jedwab przy jego ustach staje się wi-

gotny. Wiła się, powoli, rozkosznie, mrużąc jego mię, szepcząc: - Nie przestawaj. Och, proszę, nie przestawaj.

Ale potem, dręcząco niespodziewanie, przestała. Jej ręce, wparte w jego pierś, odpychały go. Była zdyszana, twarz miała zarumienioną, ale wydawało się, że nie całkiem zapomniała, gdzie jest. - Ben... nie tutaj. Dziewczynki mogą nas zobaczyć.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że śpią.

Zaśmiała się cicho, zgrzytliwie, jak gdyby ten śmiech pochodził z jakiejś głębokiej i nieosiągalnej części jej jestestwa. - Widać, że nie masz dzieci. Są znane z tego, że wyskakują, kiedy najmniej ich się spodziewasz. Zwłaszcza, gdy sądzisz, że położyłeś je do łóżka.

- W takim razie... - wziął ją za nadgarstki, usiłując podnieść na nogi, gdy sam wstał. W tej chwili żałował, że nie jest mała i filigranowa, by mógł wziąć ją na ręce i zanieść do sypialni. Ale Nola, całe jej metr osiemdziesiąt, odpychała go.

- Ben... nie. Naprawdę nie sądzę, żeby to był taki dobry pomysł.

- Dlaczego, do diabła, nie? - czuł się teraz jak zbesztany.

- Mówiłam ci. Dani jest chora. Może mnie potrzebować. A przypuśćmy, że będę z tobą i że będziemy... - zamilkła, przełykając ślinę. - Czy to nie może poczekać? Czy musimy to robić zawsze, kiedy jesteśmy razem?

Ben czuł się zawiedziony, przybity, i dotkliwie śmieszny, kiedy tak stał z erekcją, napinającą rozporek jego spodni. Chryste! O co jej chodzi? Co to za gra? - Chcesz tego równie mocno jak ja - powiedział posępnie, mając ochotę skulić się na dźwięk własnego głosu. Jezu, mówi jak sztubak.

- Taak, ale to może poczekać - powiedziała. - Będąc matką, nie zawsze można wybierać.

Znów zamykała się przed nim. Do diabła, przecież nawet nie chciał dzielić z nią tej części jej życia! Wycierać

lepkie ręce przy stole podczas śniadania, zdrapywać rozgniecione kredki z podeszwy swegobuta, robić zainteresowaną minę, gdy jakiś dzieciak bez końca paple o szkole.

Jednocześnie Ben miał jej za złe, że odmawia mu nawet małej części siebie. Pragnął wziąć ją tutaj, teraz, na dywanie, wybić jej z głowy każdą myśl o dzieciach, aż będzie wykrzykiwać jego imię, krzyczeć do niego, żeby nie przestawał, wbijać paznokcie w jego pośladki, ścisnąć go kurczowo, unosząc się, by wziąć go w siebie tak głęboko jak tylko można...

Odwrocił się od niej, tak szybko, że nie mogła widzieć, że jego erekcja nie mijała. - To nic takiego. Zresztą naprawdę powinienem już pójść. Mam wczesne śniadanie z agentem, a nawet nie spojrzałem na maszynopis, który przysłał.

- Ben - Nola wstała. Jej spojrzenie było chłodne, nieskruszone. Ale jej usta wyginały się do góry w uśmiechu, a jej słowa, kiedy przemówiła, były ciepłe. - Czy można to odłożyć? Do jutrzejszego wieczoru? Może przyszedłbyś na kolację, żeby dziewczynki mogły poznać cię trochę lepiej?

Myślał o tym, by wymówić się od kolacji i umówić się tak jak zwykle, że zabierze ją gdzieś, albo po prostu przyjedzie, kiedy dzieciaki będą już w łóżku. Ale coś, pod wpływem jej nicującego wzroku, kazało mu przytaknąć i spytać: - O której?

Dopiero kiedy był za drzwiami wyjściowymi i niemal w połowie drogi do swego samochodu, zaparkowanego za rogiem, przyszło mu na myśl, że Nola nie powiedziała na pewno, czy zdecydowała się dać Grace listy Truscotta.

## ROZDZIAŁ 16

Było po szóstej w środę, kiedy Grace wróciła do domu z biblioteki, gdzie spędziła cały dzień, przerzucając stare magazyny i gazety w poszukiwaniu fotografii swego ojca i Margaret. Znalazła tylko jedną - zamazane zdjęcie migawkowe UPI, ukazujące ich dwoje, schodzących po schodach budynku biurowego Senatu, Margaret o stosowny krok czy dwa za tatą, niosąca plik papierów.

Ale bez listów, które tata do niej pisał, Margaret nigdy nie będzie niczym więcej niż jego długoletnią senacką asystentką. Więc po co się trudzić? Co, zastanawiała się Grace, mogą zyskać dzięki wszystkim swoim poszukiwaniom, oprócz może zrozumienia, co Margaret zdolna była dać ojcu, czego matka nie mogła lub nie chciała.

Nie wywołuj wilka z lasu, usłyszała napominający ją głos matki.

Matka.

Grace zerknęła na zegarek. Samolot matki wylądował wczesnym popołudniem. Do tej pory zainstalowała się u Wina, a dokładnie za dwie godziny będzie tutaj, chociaż, niebu niech będą dzięki, tylko na drinka. Na szczęście Lila wyperswadowała jej początkowy plan. Pomyśl, o ile bardziej stresujące byłoby pocenie się nad kolacją, podkreśliła jej przyjaciółka. Bez dalszej zachęty Grace dokonała rezerwacji u Lumy. Ale to nie rozwiąże wszystkiego. A z braku garnków do pilnowania i ziemniaków do ubijania ona i matka rzeczywiście będą musiały rozmawiać. Jak matka się zachowa? Co będą sobie mówiły? Och, to się nigdy nie uda!

Nie myślałaś także, że kiedyś dotrzesz do Hanny, i popatrz, co się z nią stało.

Grace przypomniała sobie również list Sissy, o tym, że matka zaangażowała się z ich dawnym nauczycielem, panem Rossem. Zastanawiała się, czy matka wyda się inna teraz, kiedy jest zakochana. Jeśli jest.

Ściągała z siebie płaszcz przy drzwiach, kiedy chyłkiem nadszedł Chris. - Powiedziałem jej, że niedługo wrócisz - mruknął pod nosem, zerkając w stronę bawialni. - Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby zaczekać.

Grace poczuła, że powietrze opuszcza naraz jej płuca. Matka? Przyszła wcześniej?

Wtedy zobaczyła, że to nie matka. Gość siedział wyprostowany na sofie, plecami do nich. Gładki kok, kwadratowa linia ramion - Nola! Ale ona nie była z tych wpadających bez zapowiedzi. Musiało być to coś dosyć ważnego.

Grace poczuła przypływ adrenaliny. Podchodząc do Noli nie śmiała mieć nadziei, że zmieniła zdanie w sprawie współpracy w zbieraniu materiałów do książki. Właściwie jakaś drobina w głębi jej duszy trwała w nadziei, że Nola zajrzała tylko powiedzieć dzień dobry. I że jej, Grace, oszczędzona zostanie konieczność powiedzenia matce bolesnej prawdy o tacie. A mimo to...

- Nola, co za niespodzianka! - powitała ją. - Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, wróciłabym do domu wcześniej. Długo czekałaś?

Nola podniosła się, wygładzając przód dopasowanego seledynowego żakietu, który nosiła do sięgającej połowy uda czekoladowobrązowej spódnicy. Botki, pucowane tyle razy, że przypominały starą skórę rękawiczek, były jedyną oznaką ograniczonego budżetu na ubranie.

- Nie nazbyt długo - powiedziała. - I twój syn mnie zabawiał. Opowiadając mi o tym swoim nowym programie komputerowym - Nola obdarzyła Chrisa grymasem rozbawienia. - Przy nim się czuję jak coś w rodzaju dinozaura. Nigdy nie wyszłam poza pisanie tekstów. Nie odróżniłabym RAM od ROM nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Chris błysnął ku Noli niezwykłym u niego szerokim uśmiechem. - Mogę kiedyś pani pokazać, jeśli pani zechce. To nie jest takie trudne.

Grace zauważyła, że Chris wydaje się przy Noli bardziej rozluźniony niż przy większości nieznajomych osób. Może po prostu dzięki Noli, dzięki jej bezpośredniości. Wszystkie nastolatki, pomyślała Grace, muszą mieć niewidzialny wykrywacz bzdur, ponieważ zawsze w ułamku sekundy wydają się wiedzieć, kiedy ktoś jest miły po prostu z uprzejmości, a kiedy z chęci zrobienia dobrego wrażenia na ich rodzicach.

- Chciałabym - Nola wyciągnęła rękę, którą Chris, tylko po chwili wahania, ujął i uściśnął. - No dobrze, młody człowieku, wstrzymaj się z tym teraz. Wypełniłeś swój obowiązek, opiekując się dinozaurem - zaśmiała się, a szaroniebieskie oczy Chrisa błysnęły w odpowiedzi.

- Lepiej spakuj swoje rzeczy - powiedziała mu Grace, kiedy ruszył do swego pokoju. - Twoja babka się ciebie spodziewa. - Win zapytał, czy Chris mógłby zostać, w ramach szczególnej grzeczności dla Cordelii, która zawsze mówiła, że nigdy nie widuje dość swego wnuka.

Gdy tylko Chris zniknął w hallu, Nola zwróciła się do Grace: - Prawdopodobnie zastanawiasz się, dlaczego wpadłam bez uprzedzenia.

- Należało mi się - powiedziała Grace, przypominając sobie, że i ona zrobiła to samo. - Ale tak czy owak, cieszę się, że cię widzę.

Nola rzuciła jej niepewny uśmiech.

- Może kieliszek wina? - zaproponowała Grace. - Mam trochę białego w lodówce.

Nola potrząsnęła głową. - Mogę usiąść? Nie przeszkadzam ci w niczym, prawda?

Grace wiedziała, że powinna posprzątać mieszkanie na wizytę matki, upewnić się, że ma dosyć lodu, że Chris nie wypił całej wody sodowej, którą trzymała w spiżarnianym kredensie. Zamiast tego wskazała gestem sofę, gdzie głębokie poduszki nadal zachowywały odcisk ciała Noli.

- W niczym - powiedziała.

- Mogę zostać tylko kilka minut - zapewniła ją Nola. Usiadła znowu, krzyżując nogi, potem rozkrzyżowując je



i pochylając się lekko do przodu. - Szczerze mówiąc, miałam trochę nadziei, że cię nie będzie. - Po chwili wahania schyliła się i podniosła brązową kopertę, leżącą u jej stóp. - Może to wyjaśni dlaczego.

Nola wydawała się spokojna, ale zdradzała ją żyła pulsująca pod napiętą skórą skroni.

Grace poczuła, że drętwieje, niezdolna poruszyć się czy nawet przemówić. Ale pod tym paraliżem wzbierała nadzieja. Nadzieja zmieszana z przerażeniem.

Wpatrywała się w ręce Noli, w jej niezwykle długie palce o szerokich, płaskich paznokciach, zaciśnięte na kopercie. Gdzie widziała przedtem takie ręce? Wtedy ją to uderzyło. Ależ oczywiście, to były ręce jej ojca...

## O

Nola podniosła wzrok i ich oczy spotkały się. Widziała, że nie było żadnej potrzeby mówić Grace, co jest w kopercie.

Nie jest za późno, żeby się wycofać, powiedziała sobie Nola. Możesz włożyć je z powrotem do teczki i wyjść. A świat nigdy nie będzie mądrzejszy.

Wtedy przypomniała sobie, jak ostatniej nocy, po odejściu Bena, wygrzebała z głębi szafy pudełko po butach - pudełko, które leżało nie niepokozone przez prawie dziesięć lat, a do którego teraz wdzierała się po raz drugi w ciągu dwóch tygodni. Zawierało papiery mamy: kopie metryki Noli, dokumenty ubezpieczeniowe, fotografie z dzieciństwa siostrzenic i siostrzeńców, kartę rejestracyjną starego pontiaca, który już dawno skończył na złomowisku. A na dnie, związaną kawałkiem pożółkłego sznurka, paczkę listów, adresowanych do Margaret Emory śmiałym, spiczastym pismem Eugene'a Truscotta.

Czy mama nie miała racji, każąc jej przyrzec, że zachowa je dla siebie?

Pewnie, wtedy wszystko było inaczej. Biały mężczyzna i czarna kobieta. Żonaty biały mężczyzna, który przypa-

dkiem był wielkim senatorem. Powiedziała, że to dlatego, iż nikt nie zrozumiałby takiej miłości jak ich, tego, że była wyjątkowa, a rzeczy wyjątkowe często są wykoślawiane, przedstawiane jako paskudne.

Tyle że na dnie krył się wyraźny lęk mamy - dokładnie przed tym samym, czemu ona, Nola, będzie musiała stawić czoło, kiedy to wyjdzie na jaw. Krwiożerczym reporterom, którzy zrobią z ludzi, do tej pory przez nią osłanianych, potwory na Halloween. Gazetom, drukującym obleśne, poprzekręcane historie. Ale czy nieustanne chowanie głowy w piasek - czy to jest sposób, żeby się z tym uporać? Zamiast być dumna z dotrzymania obietnicy, Nola czuła się trochę zawstydzona. Jak setki razy, kiedy okłamywała Tashę i Dani, że ich tatuś jest zbyt zajęty, by przyjść je odwiedzić, kiedy prawda była taka, że Marcus miał to po prostu w dupie.

To Ben skłonił ją do przyjścia tutaj, choć prawdopodobnie o tym nie wiedział. Jego rada adwokata diabła, tamtej pierwszej nocy, by nie wypuszczała listów z rąk, jak na ironię zmusiła ją do zastanawiania się nad zrobieniem właśnie tego. Chociaż to dziwne, jaki ostatniej nocy wydawał się chętny, by wziąć je z jej rąk...

Ale ważne jest to, powiedziała sobie, że listy mamy nie dostaną się jakiemuś lichemu brukowcowi albo producentowi, wynajętemu do wypichcenia wyciskającego łyżę filmu tygodnia w telewizji. Nie. Powierzy je Grace Truscott... swojej siostrze, tak, nawet jeśli nie wychowywały się pod jednym dachem.

Nolę opadło wspomnienie z czasów, kiedy była bardzo mała - wspomnienie wysokiego mężczyzny o dużych, delikatnych rękach, trzymającego ją na kolanach i śpiewającego jej. *Och, Zuzanno, nie płacz za mną...* Był ten zapach, słodki i lekko apteczny, pochodzący od whisky w karafce z rżniętego szkła, którą mama pozostawiła na kredensie. „Gdzie jest moja zielonooka dziewczynka?” - szczebiotał. A ona wierciła się na jego kolanach i podnosiła rękę jak w szkole, kiedy nauczyciel zadawał pytanie, na które znała odpowiedź. Potem, udając, że jej

nie widzi, rozglądał się po pokoju, wyciągając szyję, aż powróściła mięśni odznaczały się od jego kościstego podbródka do guzów obojczyka jak rzeki na mapie plastycznej... zanim w końcu pozwolił swemu spojrzeniu zatrzymać się na niej. Z uśmiechem tak szybkim i jasnym jak słońce, wychodzące zza grzbietu góry, powiedział: „Hej, może ty ją znasz? Jest mniej więcej tak duża - wyciągnął rękę dłonią w dół, tak że ledwie ominęła czubek jej głowy - i na imię jej Nola”.

Nola Truscott. Niemal wypowiedziała to głośno, swoje prawdziwe nazwisko.

Zdawało się, że teraz opuściło ją całe wahanie. Wręczając Grace ten cenny pakiet, była pewna, że postępuje słusznie. - Masz - powiedziała. - One należą do ciebie tak samo jak do mnie.

## O

Grace mgliście zdawała sobie sprawę, że przyciska kopertę do piersi, ale wszystko, co czuła, to łyzy ciekące jej po policzkach. - Och, Nola. Nie wiem, co... Dziękuję.

Grace, czując się jak w dziwnym śnie, spostrzegła w budynku po przeciwnej stronie ulicy faceta, który często kręcił się nago, albo w bokserkach jak teraz. Stał na widoku i prasował. To był dla niej Nowy Jork bardziej niż Empire State Building czy Statua Wolności: egzystencje obcych ludzi, przecinające się w dziwnie intymny sposób... jak jej i Noli przecięły się tamtego dnia dawno temu, kiedy obie były świadkami przypadkowego zabójstwa Neda Emory'ego. Nigdy nie poznała tego mężczyzny z naprzeciwnika ani nawet nie wpadła na niego na ulicy, ale wiedziała, że jest bardzo wybredny w sprawach strojów, że ćwiczy z ciężarkami i że nie ma żony ani dziewczyny. Tak, jak teraz wiedziała w głębi duszy, że ona i Nola, raczej mimo wspólnej krwi niż dzięki niej, będą związane na całe życie.

- To nie jest prezent - w głosie Noli było lekkie zdenerwowanie. - Spodziewam się, że zrobisz to, co słuszne. Dopilnuj, żeby ich nie rozdmuchiowano.

- Nie martw się - powiedziała Grace.  
- Moja matka... Po jego śmierci bardzo zachorowała. Długo chorowała - Nola zwracała się do lampy z kutego żelaza na stole tuż ponad ramieniem Grace, z nieobecnym wyrazem twarzy.

Grace wiedziała to wszystko ze swoich poszukiwań, ale mimo to poprosiła: - Opowiedz mi o tym.

- To była rozedma. W czasie, kiedy pierwszy raz postawiono jej diagnozę, miałam dwanaście lat i nawet nie wiedziałam, co to znaczy. Nie potrafiłam nawet tego wymówić - Nola zaśmiała się głuchym, ponurym śmiechem. - Wtedy wiesz, że coś jest naprawdę źle, kiedy nie potrafisz tego wymówić.

- Przykro mi.

- Żyła wystarczająco długo, żeby wiedzieć... no, żeby wiedzieć, kim stał się Gene Truscott. Bohaterem, legendą. Była ta biografia, napisana przez tego samego człowieka, który napisał książkę o Kennedym. Jego nazwisko umknęło mi z pamięci. I wszystkie artykuły w magazynach, i uczone eseje. Nie pominęła żadnego. Leżała w łóżku, ledwie zdolna trzymać głowę prosto, ale czytała każde słowo. Czasem widziałam, jak krzywi twarz, jak gdyby nie zgadzała się z autorem. A innym razem miała łzy w oczach... jak gdyby przeżywała na nowo coś, co wydarzyło się dokładnie tak, jak zostało opisane. Chciałabym tylko, żeby miała sposobność przeczytać twoją książkę, kiedy zostanie ukończona, kiedy opowiesz prawdziwą historię.

Grace czuła palące łzy na twarzy. - Ale obiecałaś jej...?  
- nie mogła dokończyć.

Nola wyprostowała się, wydając się jeszcze wyższa. - Obiecałam także zawsze pamiętać, co on i moja matka znaczyli dla siebie. I twoja książka dokona tego. Nie uczyni go ani trochę mniej wielkim... tylko bardziej ludzkim.



Grace, pomyślała, chyba nie mogłaby pojąć mojego poświęcenia - tego, że biblioteka, którą zaprojektowałam, może nie zostać zbudowana, gdy te listy staną się własnością publiczną. Wykluczone, żeby Cordelia Truscott pozwoliła nieślubnej córce swego męża mieć jakiś udział w jego pomniku.

Nola powstrzymała się przed powiedzeniem tego Grace. Listy - one były mamy. Ale biblioteka należała do niej. A poza tym wciąż istnieje szansa, że jej projekt zostanie wybrany - jeśli Maguire nie piśnie słowa, kto za nim stoi. Im mniej ludzi wie, tym lepiej...

- Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób - powiedziała Grace miękkim głosem. - Jak o mężczyźnie. Dla mnie on był... zdawał się wypełniać nasz dom, nawet jeśli go w nim nie było.

- Może stąd całe to uwielbienie, że nie było go tam częściej - powiedziała Nola. - Nawet bohaterowie muszą od czasu do czasu zejść z piedestału.

Grace opuściła kopertę na kolana, czując prawdę w tym, co mówiła Nola. Czy potrafi mu przebaczyć, ojcu, którego czciła, który ją okłamywał - ale który był, jak podkreśliła Nola, tylko człowiekiem?

A matka, kiedy Grace przekaże jej te listy - musi tak postąpić - czy matka jej przebaczy?



- Kto umarł? - zapytała Lila.

Grace widziała tylko czubek głowy swojej przyjaciółki, wystający sponad olbrzymiego bukietu, który ledwie przed chwilą dostarczono jej pod drzwi. Boże, to naprawdę wygląda pogrzebowo. Grace otworzyła maleńką kopertę, wtuloną w kwiaty, wyjęła bilecik i poczuła, że serce jej zamiera.

*W oczekiwaniu na dzisiejszy wieczór.*

*Całusy. Matka.*

- Patrzysz na trupa - jęknęła Grace.
- Przypomnij mi, żebym wysłała ASPCA datek dla uczczenia twojej pamięci - powiedziała Lila, z twarzą doskonale wypraną z wyrazu. - Gdzie chcesz je mieć?
- Na tym niskim stoliku... tam, przy sofie. Będą wspaniałym tematem do rozmowy. Możesz wszystkim powiedzieć, że zostałam zlikwidowana przez mafię.
- Mój ostatni chłopak, Enrico... Sądzę, że jego wuj pracuje dla mafii.
- Nigdy mi o nim nie opowiadałaś.
- Pewnie, że opowiadałam, to ten facet z pralni chemicznej. Potrafi oczyścić psią sierść z wszystkich moich ubrań. W końcu zaprasza mnie gdzieś. Ale potem wszystko, czego chce, to tkwić u mnie i oglądać wideo
- Lila parsknęła śmiechem, ujmując palcami kwiat.
- Nieprzyjemnie mi to mówić, ale twoja matka ma jeszcze gorszy gust, jeśli chodzi o kwiaty, niż ja, jeśli chodzi o mężczyzn.
- Nie, nieprawda - Grace stwierdziła, że broni matki.
- Powinnaś zobaczyć jej ogród. Jest absolutnie niebiański. Jestem pewna, że to tylko wynika stąd, że nie znała kwiaciarni.

Grace przypomniała sobie tulipany wiosną i wspaniałe róże matki. I zielone brzoskwinie, które zawsze zrywała i które nieodmiennie wywoływały u niej biegunkę. Zobaczyła okazałe stare salony i pokój śniadaniowy domu matki, przepełnione bukietami lwich paszczy, peonii i groszku pachnącego, róże z ogrodu w tyle, pęczki wonnego tymianku, bazylii i rumianku w słojach Masona, stojących rzędem na kuchennym parapecie.

Matka żywiła i pielęgnowała swoje wspomnienia w taki sam sposób. Odkrycie prawdy o Margaret byłoby jak nadejście wielkiego mrozu, który zwarzyłby je wszystkie.

Grace czuła, jak wzbiera w niej przerażenie. Jak ona wyjawi to matce? Jakaś częścią duszy chciała zatrzymać listy w ukryciu, tak jak zrobiła to Nola, ale zdawała sobie sprawę, że byłoby to niewłaściwe. Miała obowiązek, nie tylko wobec siebie jako biografą Eugene'a Truscotta, ale

również wobec historii. Może istniał jakiś sposób zmuszenia matki, by zrozumiała...

Grace zdała sobie sprawę, jeszcze gdy o tym myślała, jak mało to było prawdopodobne. Matka będzie wściekła - nie na tatę, a na mnie. Oskarży mnie, że robię to, by odpłacić jej pięknym za nadobne.

Ostatni raz widziałam matkę, przypomniała sobie Grace, tuż po tym, jak rozstaliśmy się z Winem i poleciałam do Blessing odebrać Chrisa po jego dorocznych odwiedzinach u babki. A także - przyznaj się, czemu nie? - czyż nie miałaś nadziei zyskać trochę współczucia i moralnego wsparcia? Chciałaś, by matka widziała, że rozwód rani cię straszliwie... ale wszystko, co matka robiła przez całe dwa dni, to czepianie się. Bez względu na to, jak bardzo tego nie pochwałała, czy było to dla niej takie trudne otoczyć mnie ramionami i po prostu przytulić?

- Nie rozumiem. Miałaś wszystko - powiedziała matka po raz enty, gdy stały przy bramce kontroli bezpieczeństwa na lotnisku jak para wyczerpanych gladiatorów. Potrząsnęła głową, obserwując Chrisa, spokojnie przekraczającego bramkę. - Masz wszystko, czego może chcieć kobieta - poprawiła się. - Jak mogłaś po prostu to odrzucić?

- W każdym razie w jednym masz rację - powiedziała Grace, czując przypływ gorącej urazy wobec obojętności matki. - Nie rozumiesz mnie. Nigdy mnie nie rozumiałaś. Nie jestem nawet pewna, co tutaj robię. Jedyne, czego jestem pewna, to że nigdy nie popełnię pomyłki, żeby czegoś od ciebie oczekiwać.

Matka zeszywniała, oczy jej błysnęły pod rondem kapelusza, który miała na sobie. - Więc nie oczekuj - powiedziała. Brzmienie jej głosu było łagodne, ale znaczenie słów nie budziło cienia wątpliwości.

Nie odwiedzaj mnie. Nie trudź się. Nie chcę cię. Te słowa słyszała Grace, huczące w głowie, gdy przechodziła przez bramkę kontroli bezpieczeństwa, celowo nie oglądając się za siebie. Gdyby się obejrzała, zobaczyłaby swoją matkę

stojącą tam nadal, jej smukłą sylwetkę tak wyprostowaną i bezkompromisową jak oskarżycielski palec.

A teraz, dwa lata później, czy po prostu zaczną tam, gdzie przerwały? Czy będą mogły zacząć na nowo? Odłożyć winę i urazę na bok i pozwolić miłości, starszej niż pamięć, poprowadzić je przez to nowe i pod pewnymi względami nawet bardziej kamieniste przejście?

Grace czuła, jak w wyczekiwaniu jej żołądek robi powolnego młynka.

No cóż, przynajmniej będzie miała Lilę i Jacka, którzy staną w jej obronie, gdyby tego potrzebowała. Gdy dostrzegła, że Lila unosi umalowaną ołówkiem brew stawiając kwiaty na stole, poczuła przypływ miłości dla swej rezolutnej przyjaciółki.

- Ktoś, kto kocha kwiaty, nie może być całkiem zły - skomentowała Lila.

- Matka? - westchnęła Grace. - Jest cudowna na milion sposobów.

- Prawie się spodziewałam, że w te drzwi wejdzie lady Makbet, a teraz wyobrażam sobie Melanię Wilkes, która mnie osobiście zawsze przyprawiała o wymioty.

- Nie, taka również nie jest - powiedziała Grace, próbując znaleźć sposób opisanie swojej matki. - Chcę powiedzieć, że ona ma w nosie miejscowych snobów, inaczej niż moja siostra. Mimo to wszyscy w Blessing ją poważają. Myślę, że trochę także się jej boją. Nikt nie ośmieliłby się zrobić jej afrontu, choćby nawet nie mógł ścierpieć jej liberalnych poglądów. Była... jest... odważna i szczerą i zawsze była wielką orędowniczką strapionych.

- Przypomina mi kogoś, kogo znam.

- Jest także niewiarygodnie uparta i władczą - ciągnęła Grace - a jeżeli coś nie idzie w parze z jej wersją rzeczywistości, nie jest ponad przekręcanie prawdy, byle tylko pasowała do jej wersji.

- Ho, ho.

Grace opowiedziała jej wszystko o Noli, tak więc zrozumienie, iż nadciągają kłopoty, nie wymagało od Lili wielkiego wysiłku wyobraźni. Matka będzie walczyć



zębami i pazurami - tak, jak walczyła, by zebrać pieniądze na bibliotekę taty - żeby zachować zarówno swoje wspomnienia o nim, jak i jego reputację, nie splamione.

Matka jeszcze nie przyszła, uświadomiła sobie Grace, a ja już wyskakuję ze skóry. W tej chwili musiała skupić się na przygotowaniach. Wino? Otworzyła lodówkę i butelka chardonnay błysnęła ku niej z dolnej półki. Obok leżał owinięty folią półmisek suszi, który kazała przysłać z Mariken.

Teraz zastanawiała się, czy suszi to trochę nie za wiele dla kobiety, która odsyłała pieczeń wołową do kuchni, jeśli pokazało się coś różowego.

Grace zatrzasnęła drzwi lodówki i okręciła się wokół, niemal zderzając się z Lila po drodze do kuchni, by napełnić wiaderko lodem. - Bądź ze mną szczerą. Jak sądzisz, jakie mam szanse?

- Na to, że nikt nie wyjdzie stąd żywy? - Lila uśmiechnęła się nieco prowokująco, przechylając głowę.

Miała na sobie jedwabne spodnie koloru żonkili i ręcznie malowaną kamizelkę zarzuconą na sutą bluzę, która wyglądała jak zrobiona z moskitiery. Grudka ametystu wielkości pięści noworodka zwisała z jej szyi na czarnym jedwabnym sznurku, a na stopach, w pełni zimy, miała niebieskie atłasowe baletki.

- Coś w tym rodzaju! - przyznała Grace.

Wyobraziła sobie matkę, czytającą te listy... Tuż przed jej oczyma niezaprzeczalny dowód niewierności ojca, dowód, przed którym nie sposób uciec. Jakie to dla niej straszne! W tej chwili Grace miała ochotę cofnąć czas, nie wiedzieć tego, co wie teraz, i tym samym oszczędzić matce druzgocącego ciosu, jaki ją czekał.

- Może gdzieś w głębi duszy ona już wie - wyraziła przypuszczenie Lila.

- Co jest gorsze? Życ z kłamstwem... czy stawić czoło rzeczywistości, bez względu na to, jak jest zła? Mój ojciec kochał tę kobietę. Mieli córeczkę.

- Jeśli nawet... to zmusza do zastanowienia, awd

Czy my wszyscy naprawdę mielibyśmy się lepiej, stawiając czoło każdej parszywej prawdzie o naszym życiu?

- A gdybym jej nie powiedziała... gdybym oddała Noli listy - powiedziała Grace, wiedząc już gdy wyowiadała te słowa, że nigdy nie zrobi czegoś takiego.

Lila najwyraźniej również to wiedziała.

- Jeśli o ciebie chodzi, kot już wydostał się z worka - wyłowiła jeszcze jednego krakersa z pudełka i wsadziła go do ust. - Teraz pozostaje chyba tylko kwestia, co zrobić z kociątkiem.

- Jakieś sugestie? - Grace zmusiła się do uśmiechu, który sprawiał wrażenie napiętego i niespokojnego.

- Nie patrz tak na mnie - zaśmiała się Lila, potrząsając głową, aż jej wiszące, nabijane paciorkami kolczyki zadźwięczały i zatańczyły. - Ja mam ściśle pieską specjalność.

## O

- Mamo, naprawdę powinnaś spróbować sałatki z wędzonej kaczki. Jest zrobiona z młodej sałaty, aruguli i...

- Dziękuję ci, kochanie, ale mój gust nie jest tak egzotyczny jak twój - powiedziała Cordelia, spoglądając znad menu, grzecznie, ale stanowczo kładąc kres naleganiom Grace. - Obawiam się, że zbyt długo nie było mnie w mieście. Coś zwykłego i prostego wystarczy.

- No cóż, w takim razie pieczony kurczak...

- Naprawdę, kochanie, mam się świetnie. Doprawdy, obawiam się, że monopolizuję cię kosztem twoich gości. - Powiodła wzrokiem wokół stołu, promieniejąc na użytek Lili i Jacka. Sposób matki, by dać Grace do zrozumienia, że jest okropną gospodynią: mówi za dużo, zachowuje się nerwowo i, co gorsza, popisuje się.

- Cóż, wobec tego... - Grace zerknęła na ściany, zawieszane gustownymi sztychami i oświetlone kinkietami. Jej zdaniem to najbardziej interesująca restauracja w Chelsea, a matka już dała jej do zrozumienia, że jakoś nie dorasta ona do tej opinii.

Grace dotkliwie była świadoma swego zastygłego uśmiechu, którego nie mogła usunąć z twarzy. I swego kretyńskiego paplania - jak jeden z tych hałaśliwych generatorów, które włączają się automatycznie, kiedy burza zerwie linie elektryczne. Bez wątpienia był to jej sposób, by uniknąć powiedzenia tego, co naprawdę myśli.

- Jack, może zamówisz wino? - wręczając mu kartę, znowu poczuła się głupio, jak gdyby żadna kobieta nie potrafiła wybrać butelki przyzwoitego wina.

Jack wybrał kalifornijskiego merlota i zwrócił się do jej matki. - A więc, Cordelio, Grace powiedziała mi, że nie byłeś w Nowym Jorku, odkąd się stąd wyprowadziłeś. Założę się, że ledwie poznałeś to miejsce. Wielkie Jabłko nie jest tym, czym było, co? - Jack nachylił się ku matce. Wydawał się wielki, zdawało się, że jego cień gasi świecę, migocącą pośrodku stołu.

Grace czuła się trochę przytłoczona przez Jacka i nagle, z uczuciem mdłości, zobaczyła go oczami matki: zbyt duży, zbyt głośny... zbyt żartobliwie familiarny z kimś, kogo dopiero co poznał. Wszystko, czym Win nie był.

Jednakże matka uśmiechnęła się wdzięcznie i powiedziała: - Przede wszystkim jest bardziej hałaśliwe. I, na Boga, takie... przytłaczające. Ale dla mnie Empire State zawsze będzie najwyższym budynkiem.

- Skoro mowa o Empire State, kiedy byłam małą, zobaczyłam mężczyznę, skaczącego z najwyższego piętra - wtrąciła Lila, z łokciami opartymi po obu stronach talerza, z podbródkiem spoczywającym na grzbietach kościstych nadgarstków. - To było jeszcze zanim postawili tę barierę z pleksiglasu. Nie uwierzycie, ile czasu potrzeba komuś, by osiągnąć ziemi z tak wysoka. Pamiętam, iż najpierw pomyślałam, że to gołąb fruwiący tam, wysoko. Dopóki nie spadł. Było dużo krwi. Myślę, że to wtedy postanowiłam zostać wegetarianką.

Grace skrzywiła się na nie zamierzoną upiorność Liii, a potem pomyślała: Tak, ale czy w głębi duszy nie tego

chcesz? Żeby Lili odbiło, żeby namieszała? Może gdyby mieli za sobą tę uprzejmą pogawędkę, mogliby zająć się rozmową o tym, dlaczego matka jest tutaj.

- Lila jest naszym wiecznym rycerzem broniącym praw zwierząt - roześmiała się Grace. - Wiedziałaś, że ona zarabia na życie stryżeniem psów?

Cordelia ożywiła się. - Naprawdę? Jakie to interesujące.

- Nie uwierzyłaby pani, jakie to może być pieskie - powiedziała Lila z pozbawioną wyrazu twarzą.

Jack roześmiał się serdecznie, a za nim Grace i jej matka. Ludzie przy innych stolikach zerkali w ich stronę. Lila bawiła się widelcem z miną klasowego wesołka, który właśnie okpił nauczyciela.

Potem matka podjęła wysokim głosem: - Skoro mowa o posadach... Grace, czy mówiłam ci, że Caroline wróciła do pracy?

W swoim kostiumie z wełny *boucle* w odcieniu pienistej zieleni zmieszanej z miętą i w szaliku od Hermesa, zręcznie oplecionym wokół szyi, Cordelia wydawała się całkowicie swobodna, jak gdyby nigdy nie było szorstkiego słowa między nią a Grace. Jak gdyby Sissy nie była wyraźnie jej ulubionym dzieckiem.

- Sissy? Nie, nie sędzę. - Grace w gruncie rzeczy nie pamiętała, żeby Sissy kiedykolwiek pracowała.

- Przez trzy dni w tygodniu jest ochotniczką w szpitalu. Jako pomoc pielęgniarska - Cordelia odłamała małeńki kawałek chleba i skubała go. - Sędzę, że to po prostu wspaniałe z jej strony, czyż nie?

Grace zdobyła się na wymijające: - Mmmm.

- Tak się cieszę, widząc, że coś ze sobą robi, teraz, kiedy ma więcej czasu, gdyż chłopcy mają wystarczająco dużo zajęć... a Beech... - zawahała się nieco, a Grace pomyślała, że widzi drobną zmarszczkę, tworzącą się między doskonale wyregulowanymi brwiami matki. Ale szybko przyszła do siebie i ciągnęła z wymuszonym uśmiechem: - Och, wiecie, jeszcze jeden z jego znakomych pomysłów: krążyć po prowincji i sprzedawać

ludziom te prefabrykowane części zapasowe. Trzyma go to w drodze i z dala od Sis... Caroline - całkiem dobrze udało jej się stworzyć wrażenie, że to nieszkodliwe wałęsanie się zamożnego ekscentryka zamiast tego, czym było: beczynnością nieudacznika.

- Życie przedstawiciela - Jack przytaknął zgodnie.  
- To może być ciężkie, wpisywanie wszystkich tych mil do dziennika okrętowego. Stąd nasze zimowe konferencje sprzedawców. Urządzamy je co roku w Puerto Rico w połowie lutego, żeby wynagrodzić naszych ludzi odrobiną czasu przy basenie po sześciu miesiącach chodzenia od sklepu do sklepu.

Grace poczuła rękę Jacka na swoim kolanie pod stołem. Uścisnął je, by dodać jej otuchy, jak gdyby mówił: wszystko będzie dobrze.

Miesiąc temu może i udzieliłby jej się optymizm Jacka, ale od ich kłótni sprzed kilku dni nie mogła się dłużej zmuszać do wiary, że sprawy układają się jak najlepiej. Oboje, ona i Jack, schodzili sobie z drogi, aby unikać tematu małżeństwa. Ale czasami to, czego się nie mówi, pomyślała, wyraża o wiele więcej niż słowa.

Ponownie pojawił się kelner. Ze swoimi okularami w drucianej oprawie i gładko szczesanymi do tyłu włosami wyglądał bardziej jak inwestujący na Księżycu bankier niż początkujący aktor, którym prawdopodobnie był. Grace słuchała, jak klepie nazwy specjałów tak szybko i ze znanstwem, jak gdyby wykrzykiwał zlecenia na parkiecie giełdy. Zamówiła sałatkę z kaczki na początek i pstrąga z grzybami z grilla i zirytowała się, kiedy matka zignorowała wszystko w egzotycznym menu i zażądała zwyczajnej zielonej sałaty, sos oddzielnie, i pieczonego kurczaka.

- Grace mówiła mi, że twoje wydawnictwo publikuje sporo prestiżowych książek - zwróciła się matka do Jacka.

Grace pochwyciła lekką ironię w jej głosie i zeszywniała. Czuła całą długość swego stosu pacierzowego na oparciu krzesła, jak gdyby przypięto go tam klamrami.

Nie, żeby matka mogła urządzić scenę, tutaj, przy ludziach. Prędzej przecięłaby sobie nożem żyły.

- Zależy nam na tym, co ukazuje się pod naszym znakiem firmowym... oraz na tym, co ludzie chcą kupować - Jack gładko odparował uwagę. - Pogodzenie jednego i drugiego bywa niekiedy kłopotliwe.

- Ale w końcu wszystko kręci się wokół zysku, prawda? - Oczy matki zabłyśły. Potem szybko odwróciła wzrok z wyrazem skrępowania. Mogła nie lubić Jacka za publikowanie *Honoru ponad wszystko...* ale nie mogła nie lubić samego człowieka. Kto by mógł?

Uratowała ich Lila. - Powinniście spróbować zarabiać na życie stryżeniem psów - zaśmiała się, pociągając drinka. - Chodzi tu o coś więcej niż tylko przystrzyganie sierści. Trzeba się znać na psich chorobach i... cóż, na czyszczeniu zębów i przycinaniu pazurów. Nie każdy pies będzie siedział przy tym spokojnie.

Grace przyłożyła chusteczkę do ust, żeby matka nie widziała jej uśmiechu. Spodziewała się, że niesmaczna uwaga Liii o chorobach i robakach będzie dla niej odpychająca, ale zamiast tego matka roześmiała się i powiedziała lekko: - Nie jestem pewna, czy i ja także siedziałabym spokojnie.

Dwa lata temu matka nie znalazłaby niczego zabawnego w uwadze Liii. Czyżby zaczynała się nieco rozluźniać?

Grace jeszcze raz przypomniała sobie list Sissy i zadała sobie pytanie: pan Ross?

Kelner nalał nieco wina do kieliszka Jacka, a Grace patrzyła, jak ten próbuje i kiwa głową. Jack dobrze się prezentował w szarym blezerze i krawacie z tureckim wzorem, którego koniec zawinał się, odsłaniając spód, jak gdyby Jack biegł, by złapać taksówkę i nie zauważył tego. Miała ochotę wygładzić i przesunąć krawat na miejsce, a jednocześnie czuła potrzebę zachowania dystansu.

Przypomniała sobie to, co wczorajszego wieczoru Chris powiedział do Hanny, coś o tym, że latem pojadą

popływać w strumieniu przy domku. Jack popatrzył w inną stronę. Czy wyobrażał sobie, tak jak Grace, lato, gdy nie będą wszyscy razem?

W tej chwili czuła presję ze strony Jacka, niemal słyszała go, jak nalega, by przełamała lody... by skończyła z towarzyską rozmową i przystąpiła do rzeczy. Łatwo mu mówić. On zbudował swoją pozycję zawodową na byciu bezpośrednim, otwartym. Była to jedna z rzeczy, które najbardziej ją w nim pociągały.

On ma rację, pomyślała. Jeśli nie. stawię matce czoła, nie powiem jej tego w oczy, znienawidzę się i nadal będę jej miała za złe.

- Skoro omawiamy temat psów - powiedziała matka.  
- Czy wiedziałaś, że Win daje Chrisowi szczeniaka? Żółtego retrievera?

Cokolwiek Grace miała zamiar powiedzieć, zostało zdmuchnięte nowiną matki. Pies? Kiedy był mały, Chris błagał o pieska. I, och, ta ekstaza na jego twarzy, kiedy w końcu ona, mimo obiekcji Wina - „brudne, śmierdzące stworzenie” - przyprowadziła do domu dużego, otumanionego, kudłatego Harleya. A potem, po miesiącach kichania i łzawiących oczu, kiedy odkryła, że jest uczulona na psy... myślała, że serce jej pęknie i Chrisowi też, sądząc z tego, jak łąkał i przywierał do szyi collie, gdy Lila zabierała Harleya.

A teraz Win daje mu szczeniaka? Co on próbuje osiągnąć?

Czuła, jak oddech jej przyspiesza i wzbiera w niej gniew. Jej palce mimowolnie darły ozdobną papierową serwetkę na której postawiono kieliszek. Zacisnęła ręce, by odzyskać panowanie nad nimi. - Pies? Nie, nie słyszałam.

- Chris jest absolutnie zachwycony - ciągnęła matka wesoło. - Odbierają go od hodowcy w ten weekend. Chris nie wspominał ci o tym? Jakie to dziwne. Prawdę mówiąc, niemal wyskakiwał ze skóry. Gdyby mnie kto pytał, to jest właśnie to, czego temu chłopcu potrzeba.

Jack rzucił Grace ostre spojrzenie, które jakimś sposobem było zarazem współczujące i ponaglące. W tej chwili poczuła, jak jej rozważne opanowanie pęka. - Po-

wiem ci, czego ja sobie życzę. Chciałabym, żeby ktoś zapytał mnie - mówiła ostrym tonem, na pół zauważając ruch głów przy innych stolikach, odwracających się w ich stronę. Ścisząc głos, dodała: - To tak... tak, jak gdyby Win znowu skradał się za moimi plecami!

Czuła teraz gorąco. Wypiła wodę ze swego kieliszka, ale nie ugasiła pragnienia. Miała wrażenie, że mogłaby wypić każdą kroplę wody na tej planecie, a jej gardło wciąż byłoby wysuszone na wiór.

Teraz, pomyślała. Zacznie od początku o tym, jak rozwaliłam wszystko z Winem przez to, że mu nie przebaczyłam...

Było tak, jak gdyby Jack i Lila kolektywnie wstrzymali oddech; samo powietrze wokół nich zostało zawieszona do odwołania. Grace poczuła, że zaczyna jej drgać powieka.

Matka ledwie uniosła brew i powiedziała: - Ależ, kochanie, gdybym wiedziała, że to wciąż w tobie tkwi, nie podjąłabym tego tematu.

Grace, z płonąca twarzą, zerknęła na Jacka, oczekując ciepłego, współczującego spojrzenia. Zamiast tego napotkała dwoje kobaltowych, mierzących ją chłodno oczu. Dlaczego nie przestajesz mówić o Winie? - zdawało się pytać jego uważne spojrzenie.

Jak śmiesz, miała ochotę wierzgnąć Grace, kiedy nawet nie masz odwagi poprosić mnie, żebym za ciebie wyszła?

Potem usłyszała siebie, mówiąca tak, jak gdyby mówił to ktoś inny: - Sądzę, że doskonale wiesz, o co chodzi Winowi z tym psem i co ja o tym pomyślę.

- Nie, nie jestem pewna, czy naprawdę wiem - odpowiedziała matka głosem bliskim teatralnego szeptu, jak gdyby ostrzegając Grace, że jest o krok od urzędzenia sceny. - Ale nie wątpię, że gdyby było coś, o czym należałoby mi przypomnieć, zrobiłabyś to na pewno.

Grace dostrzegła sposobność, jakiej szukała, i dała nurka. - Mamo, wiem, że gniewasz się na mnie z powodu książki. Dlaczego tego nie powiesz?



- Ja... doprawdy, Grace, czy zupełnie zapomniałaś o dobrych manierach? - Cordelia zniżyła głos do twardego szeptu, rzucając zakłopotane spojrzenie na Jacka i Lilę.

- Kiedy to zrobiłam coś dobrze, według twoich norm?

- zapytała Grace. Piekły ją policzki, jak gdyby uderzono ją w twarz. Zarazem wiedziała, że to matka będzie cierpieć, kiedy pozna bolesną prawdę o tacie.

- Nie podoba mi się ten ton - powiedziała matka ostro.

- Mamo, proszę - Grace czuła łzy napływające do oczu, a głęboko w gardle słodkie, mocne jak kwas palenie wina, które sączyła. - Musimy o tym porozmawiać.

- Zacznij od nocy, kiedy został zabity Ned Emory, pomyślała. Potem możesz przejść do rzeczywistego powodu, dla którego tata ryzykował życiem, by chronić Margaret.

Matka otworzyła i zacisnęła usta. - Naprawdę, Grace, jeśli ty nie jesteś zakłopotana wobec twoich gości, to ja jestem. Mogę sobie tylko wyobrażać, co oni muszą myśleć o twoim zachowaniu.

- Mną proszę się nie przejmować - powiedziała Lila nonszalanckim tonem.

Jack nic nie powiedział, ale jeszcze raz zachęcająco ucisnął rękę Grace pod stołem.

Grace chciała mówić dalej, ale nie mogła. Wszystkie te wykłady o nierobieniu scen musiały być jak przyuczanie do korzystania z toalety, coś, czego nie mogłaby się oduczyć, nawet gdyby chciała.

- W porządku, mamo. Porozmawiamy później - ustąpiła z przygnębiającym poczuciem porażki.

Przez resztę posiłku słuchała Jacka i Lili, głównie Jacka, rozmawiającego gładko, jak gdyby nic się nie stało. Jack skłonił matkę do opowiadania o ogrodzie i nawet raz czy dwa zdołał wyczarować z niej zduszony chichot. Dopiero gdy skończyli jeść - ona ledwie spróbowała - i wychodzili na zewnątrz, a mroźne powietrze uderzyło ją w twarz, Grace odnalazła głos.

Na rogu Ósmej Ulicy Grace chwyciła matkę za nadgarstek. - Wróćmy do mnie. Tylko ty i ja - serce waliło jej jak młotem, gdy rzuciła Jackowi spojrzenie, które on natychmiast pojął.

- Sądzę, że to sygnał do odejścia dla mnie - pocałował ją lekko w usta, a jej matkę z większym uszanowaniem cmoknął w policzek, zanim wszedł do taksówki, którą przywołał. - Dobranoc paniom.

- Doprawdy, kochanie, czy to nie może poczekać do jutra? Po locie, jaki miałam, naprawdę przydałoby mi się trochę snu. - Matka rzeczywiście wygląda na wykończoną, pomyślała Grace.

Jednak nalegała. - To nie potrwa długo.

Gdy weszły na poddasze, Grace zaczęła, aż Cordelia usadowi się w salonie, po czym wyciągnęła plik kartek z szuflady swego biurka - listy, które skopiowała na kserokopiarce w swoim gabinecie po odejściu Noli. Mdlilo ją w żołądku, ale miała uczucie, że jeśli nie zrobi tego teraz, może nigdy znowu nie zdobyć się na odwagę.

- Mamo, proszę, proszę cię, nie znienawidź mnie za to - Grace wcisnęła kopie listów w małe, białe ręce matki, która siedziała wyprostowana na sofie, wciąż ubrana w płaszcz z dobrej wełny, lekko pachnący kamforą i bzem. - Bez względu na to, co mogłabyś pomyśleć, nie robię tego ze złośliwości. Naprawdę nie.

Cordelia w zdumieniu opuściła wzrok na spięte spina-czem kartki i wtedy Grace uświadomiła sobie, że jej matka nie włożyła okularów do czytania i prawdopodobnie nie będzie mogła rozróżnić słów.

- Co to jest? - zapytała władczo. - Grace, nie ma potrzeby, żebyś zasypywała mnie tak zwanymi dowodami. Nie jestem zgrzybiała... w każdym razie jeszcze nie.

- Ale tym, jak udajesz, że nic nigdy nie mogłoby splamić reputacji naszej rodziny, wywołujesz we mnie czasami wrażenie, że to ja tracę rozum.

- No dobrze - warknęła Cordelia. - To się zdarzyło. Czy to chcesz usłyszeć? Twój ojciec rzeczywiście pobił się z Nodem Emorym; może był nawet pośrednio

odpowiedzialny za to, że broń wypaliła. Ale po co prac nasze rodzinne brudy? To niczyja sprawa.

- Mamo... - zamilkła. Uczucie mdłości w środku zdawało się rozrastać; wielka, gorąca fala podnosiła jej się od dołka. Bez sił dokończyła: - To nie jest cała historia.

- Oczywiście, że jest. Twój ojciec nigdy nie ukrywałby niczego przede mną. A ty już na pewno nie ukrywałaś - odpowiedziała matka tym samym suchym tonem.

Nagle boleśnie jasne stało się dla Grace, że matka nawet nie podejrzewała taty i Margaret. Opadła na kolana obok Cordelii, biorąc jej miękkie, jedwabście chłodne ręce o lśniących różowych paznokciach w dłonie. - Posłuchaj, mamo, cokolwiek tata ci powiedział czy nie powiedział... wiem, że nas kochał. On...

- Grace, co ty próbujesz powiedzieć?

- Tata i Margaret... - zamilkła. - Mamo, Nola Emory jest ich dzieckiem - Grace położyła rękę na listach na kolanach Cordelii. - To wszystko jest tutaj. We własnych słowach taty. W każdym liście, jaki napisał do Margaret.

Twarz Cordelii stała się biała jak plik kartek, które teraz strząsała z kolan, jak gdyby były czymś, co rozlała i co mogło poplamić. Drżała i nagle Grace zaczęła się o nią bać.

Ale głos Cordelii, kiedy przemówiła, był silny, kostyczny. - Ty wstrętna dziewczyno! - oczy jej lśniły jak kawałki potłuczonego szkła.

- Mamo, to prawda. Przeczytaj je - spięte spinaczem stronicę upadły przy jednym z gustownych granatowych pantofli Cordelii i trwały nieruchomo jak przechylony namiot. Grace podniosła je i znowu położyła na kolanach matki.

- Dlaczego to robisz? - wydawało się, że twarz matki obwisła, jej głos był teraz chropawym szeptem i Grace musiała nastawić ucha, by słyszeć.

- Przykro mi - powiedziała Grace. - Wiem, jaki to szok. Ja sama jeszcze się nie otrząsnęłam. Ale jeśli my...

- Nie. To niemożliwe - usta Cordelii zamknęły się jak drzwi sejfów ze skarbem o niezmierzonej wartości. - Twój ojciec... wiedziałabym.

- Jak? Nie byłaś z nim każdej chwili, nawet nie każdego dnia - łzy płynęły teraz po policzkach Grace, a ona nie robiła nic, by je powstrzymać. - Och, mamo, nie mówię tego, żeby cię zranić, ale prawda jest taka, że ty i tata żyliście raczej osobno.

- A ty czego się spodziewałaś? - wykrzyknęła matka, głosem wznoszącym się niemal do pisku. - Rodziny takiej jak te w telewizji? Twój ojciec nie był zwyczajny. My nie byliśmy zwyczajni.

Grace wróciły na pamięć słowa Noli. - Wiem - powiedziała. - Ale może w tym cała rzecz. Może on potrzebował miejsca, gdzie mógł być po prostu zwyczajny. Z Margaret...

- Nie! - matka wzniosła obie ręce. - Nie waż się!

- Och, mamo... - Grace wcisnęła czoło w kolana matki, czując, jak ich nieugięta twardość koi ją w jakiś dziwny sposób, niczym chłodne kryształowe gałki u drzwi, które pamiętała ze starego domu w Blessing. Kiedy w końcu podniosła twarz i napotkała spojrzenie Cordelii, zobaczyła, jak mocno jej matka walczyła, by się nie załamać.

- Ja... nie muszę... tego... słuchać - matka mówiła urywanym głosem, przez zaciśnięte zęby, zaciskając ręce w pięści.

Grace pragnęła otoczyć matkę ramionami, ale coś w sposobie, w jaki Cordelia się trzymała, sztywno, nie poddając się ani o włos, ostrzegło ją, by pozostała na miejscu.

Grace patrzyła bezradnie, jak jej matka próbuje wstać. Ale ramiona i nogi zachwiały się pod Cordelia i niezgrabnie upadła z powrotem na poduszki sofy, kurczowo chwytając kartki na swoich kolanach, jak gdyby dla odzyskania równowagi. Matka, która zawsze była taka wyprostowana i pełna gracji, nagle przypomniała Grace tamte czarno-białe ośmiomilimetrowe filmy amatorskie - i jej ruchy, które kamera czyniła niezgrabnymi podrygiwaniami. Z tym wyjątkiem, że matka nie uśmiechała się, jak uśmiechała się na prawie każdej klatce tamtych

amatorskich filmów. Wpatrywała się w Grace z woskową twarzą, jak gdyby była w szoku.

Czystym, wyraźnym głosem Cordelia powiedziała:  
- Chyba już pójdę. Proszę cię, nie kłopotz się więcej  
- wstała, wydając się bardziej opanowana i ruszyła z powrotem do drzwi, tak wyprostowana, jak gdyby podtrzymywana sznurkiem, ciągnącym się od czubka jej głowy do sufitu. Listy, które ścisnęła, były zwinięte w wąski rulon, jak gdyby miała zamiar kogoś nimi uderzyć.

- Zaczekaj! - Grace popędziła za nią, chwytając ją za ramię z większą siłą niż zamierzała. Pod grubym płaszczem drobne kości matki robiły wrażenie niemal kruchych.

Dlaczego ludzie zawsze twierdzą, że konfrontacja to dobra rzecz? Grace czuła się okropnie, jak gdyby właśnie zabiła kogoś... albo sama została uderzona.

Matka odwróciła się, mroząc ją spojrzeniem bardziej pogardliwym niż to, jakie Grace zobaczyła kiedyś u niej, zwracając się na białego burmistrza Blessing, kiedy zaśmiał się matce w twarz na żądanie, by zdjął tabliczkę „Tylko dla białych” przy fontannie na Placu Jeffersona. Jej głos, kiedy przemówiła, był równie zimny. - Zapomniałam ci powiedzieć... biblioteka twego taty... znaczna część funduszy, jakich się spodziewaliśmy, nie nadeszła, i z tego, co widać, możemy ich nie otrzymać. Oczywiście, jak już rozgłosisz swoją plugawą historyjkę, nie będzie sensu, żebym nawet próbowała zebrać pieniądze.

Grace miała uczucie, że blok kamienia, dostatecznie ciężki, by można go użyć do budowy takiej biblioteki, spadł na nią i ją miażdży. - Och, mamó. Przykro mi. Może jest coś, co mogę...

- Zrobiłaś już wystarczająco dużo. - Matka wyszarpnęła ramię.

Jej oczy były jak dyskretne brylanty, skrzące się w jej uszach, twarde i błyszczące. Nawet kiedy jej ramię wyskoczyło do góry, jak gdyby miała zamiar uderzyć Grace, spostrzegła się i opuściła je sztywno w dół.

A potem Grace chwyciła ją, ściskając kurczowo ramionami. Owionął ją kwiatowy zapach matki, każąc jej myśleć o kapryfolium, które zrywała z ogrodu i ssała, zawsze mając nadzieję na więcej niż ślad słodczy, jaką każdy kwiat niechętnie dawał.

Po chwili dłużej jak wieczność Grace poczuła, że głowa matki opada, aż jej czoło spoczęło na ramieniu córki, lekko, ostrożnie, jak znużony podróżnik, zatrzymujący się, by tylko na chwilę opuścić ciężar, zanim ruszy dalej.

Grace wydało się, że przygniatający ją kamień zelżał nieco. Powiedz coś! - wrzasnął głos wewnętrzny.

Jednak było już za późno. Matka szybko uwolniła się z jej uścisku, pomaszerowała do drzwi i wyszła. Zamykając - stanowczo nie zatrzymując - za sobą drzwi.

Wszystko bez jednego spojrzenia za siebie. Z ciasnym rulonikiem listów wciąż zaciśniętym w garści.

## ROZDZIAŁ 17

Jack płynął, jego długie ramiona cięły powierzchnię basenu. Wypluwając łyk nadmiernie chlorowanej wody, starał się nie myśleć o wczorajszej kolacji u Lumy. Grace wydawała się taka zawiedziona matką... i to samo, o czym także wiedział, czuła do niego. To moja wina, pomyślał. Chciał podjąć ten ostatni krok, ale coś go powstrzymywało.

Zawracając i rozpoczynając następną długość, Jack myślał o córce. Od mniej więcej tygodnia miał uczucie, że Hanna złagodniała wobec Grace. Myślenie życzeniowe? Czy też możliwe, że przynajmniej jedna przeszkoda została usunięta z jego drogi?

Próbował porozmawiać o tym z Hanną, ale była dziwnie nieuchwytna. Niemal skryta. Może to jeszcze jedna z jej sztuczek - skłonić Grace, by opuściła gardę, a potem dać jej łupnia. Nie chciał w to wierzyć. Ale...

Przez wodę, ściekającą mu po twarzy, Jack zobaczył na sąsiednim torze syna, młócacego wodę, jak gdyby nie płynął, a objął ją na kwaśne jabłko. I twarz Bena, ściągniętą z wysiłku, niemal purpurową - jakikolwiek gen czy nitka DNA czyniły osobę superambitną, on miał tego w nadmiarze.

Ben nawet zniżał się do manipulowania ludźmi, aby otrzymać to, czego chce. Czy Hanna także może być zdolna do takiej makiawelicznej przebiegłości? Czy jej uraza do Grace sięga głębiej niż on sobie wyobraża?

Jack przestał płynąć i odsunął gogle na czoło. Obejrzał się na Bena, chwytając za wyłożony kafelkami brzeg basenu i z wysiłkiem łapiąc oddech; wygrał ich nie ogłoszony wyścig, cokolwiek to było warte.

Czy Hanna zwierzyła się Benowi? Mało prawdopodobne, ale jeśli nawet on coś wie, nie jest to dla niego priorytetowa sprawa.

Ben potwierdził, że Jack ma rację. - Tato, widziałeś odbitkę C na okładkę MacArthura?

- Tak, faktycznie widziałem. - Jack doznał przynębiającego uczucia. Ze wszystkich spraw, jakie działy się u Cadogana, Ben musiał podjąć właśnie tę.

Ben uśmiechnął się szeroko i otarł twarz dłonią; woda przeciekała mu między palcami. - Od tygodnia zaglądałem Eastmanowi przez ramię. Był gotów nakarmić mną rekiny. Ale w końcu przystał na mój pomysł i sądzę, że to, co nam wyszło, jest całkowicie sensacyjne.

- Ma pewien styl, bez wątpienia.

- Dlaczego mam uczucie, że nie jesteś zupełnie zachwycony?

Jack zauważył napięcie na twarzy Bena. Czy powinien to odłożyć, aż wróca do firmy? Może... ale ostatnio jest taki zajęty... a kiedy dzwoni do Bena, nigdy nie ma szczęścia zastać go przy biurku. - Słuchaj, Ben, to jest

dobrze... ale zbyt miękkie, zbyt literackie - Jack potrząsnął głową. - Nie sądzę, by mogło porwać tłumy.

- Nie sądzisz, czy wiesz? - Ben musiał podnieść głos, by być słyszany nad pływakami, otrzepującymi się po obu jego stronach. - Rozmawiałeś z Waldenem, z Daltonem?

- Tak się złożyło, że Del Cruzon był w biurze. On powiedział to samo. To jest czarny kryminał z charakterem, Ben. Musimy wyjść z czymś, co uderzy po oczach.

- Za moimi plecami - syknął Ben. - Jezu Chryste, tato, najpierw mogłeś porozmawiać ze mną.

Jack skrzywił się. Znowu to samo, co z Rogerem Youngiem. Dlaczego przy Benie zawsze wychodzi na złego faceta? Poczul nagłą chęć, by warknąć na Bena, powiedzieć mu, żeby dorósł. Już czas, aby przestał obwiniać tatę za wszystko, co stało się złego. On w wieku trzydziestu lat miał żonę, dziecko, mordercze spłaty hipoteczne i opłaty ubezpieczeniowe i żadnego funduszu powierniczego. Ale nie czas również uważać się nad sobą czy sprzeczać o rzeczy minione. - Słuchaj, Ben, nie powinienes tego brać do siebie - powiedział gładko z nadzieją, że nie brzmi to jak przeprosiny. - Myślę, że wykonałeś piekielną robotę ze wszystkim, co dotyczy książki. Ale ta okładka po prostu nie jest dla niej odpowiednia. Jeśli chcesz, możemy dać ją paru osobom do oceny. Ale jestem prawie pewien, że reakcja będzie taka sama.

- Taak, racja - usłyszał sarkazm w głosie Bena. - Jack Gold zawsze wie najlepiej. Kiedy wreszcie zyskam jakieś zaufanie? Kadzę Rogerowi Youngowi ile mogę, a wciąż mam uczucie, że pozostaję na uboczu, nie otrzymując żadnego wsparcia. - Wpatrywał się w Jacka, jego dolna warga niemal dygotała.

- Ben, jestem z ciebie dumny, wiesz o tym.

Jak gdyby uświadamiając sobie, że niewiele brakowało, a posunąłby się za daleko, Ben powiedział: - Słuchaj, przepraszam, miałem ciężki ranek. Może masz rację. Gdy wrócimy do firmy, porozmawiam z Eastmanem.



Jest jeszcze czas na pewne korekty. - Uchwycił się poręczy i wyszedł z basenu. Woda ześlizgiwała się po nim, jak gdyby zrzucał z siebie drugą skórę. Potem, stojąc na krawędzi, wyciągnął rękę w dół.

Jack, nawet jeśli pozwolił się prawie wciągnąć na wyłożony kafelkami pomost, nie mógł opędzić się od myśli, że w pomocy Bena było coś niejasno protekcyjnego. Czy wciąż jest przybity? Gdyby wiedział coś o Hannie, czy zachowałby to dla siebie z czystej złośliwości? Tak, po prostu mógłby to zrobić. Cholera.

Jack poczekał, aż wzięli przysznic i znaleźli się w szatni, zanim zapytał: - Czy zauważyłeś ostatnio jakąś zmianę w Hannie?

Obserwując syna, zapinającego koszulę, Jack na ułamek sekundy zobaczył świeżo wykapane niemowlę, któremu zapinał śpioszki. Czekał, by Ben się odezwał, ale jego syn wydawał się całkowicie zaabsorbowany wiązaniem krawata.

- Ja nie mogę nic wymacać - ciągnął Jack. - Tak, jak gdyby coś ukrywała. Cokolwiek to jest, zmusiło ją to, żeby trochę zmiękła wobec Grace. Masz jakieś pojęcie, co się z nią dzieje?

Ben szarpnięciem rozwiązał krawat, niezadowolony z węzła, i zwrócił się twarzą do Jacka. - Słuchaj, tato... nie wiem, czy to mnie powinieneś pytać.

Jack pochwycił czujność w głosie Bena. I coś jeszcze - coś mrocznego. Jezu! Czy rzeczywiście z Hanną coś się dzieje? Czy ta jej skrytość jest oznaką prawdziwych kłopotów?

Narkotyki? W dzisiejszych czasach wszystkie dzieciaki ich próbują. Skrzywił się na myśl o Hannie, połykającej choćby jedną tabletkę, czy palącej dżointa. Ale jeśli nawet, jest zbyt mądra, by pozwolić sobie na uzależnienie. Czyż nie?

Czy też ten dupek żołądny, jej chłopak, ciągnie ją do łóżka? Jack pamiętał, jak to było z nim w tym wieku: miał ochotę wleźć na wszystko, co miało cycki. A Ben - od siódmej klasy miał dziewczyny, które go odprowa-

działy ze szkoły do domu. Dzisiaj mógł sypiać prawie z każdą kobietą i chyba nie żałował sobie. Jack nie wiedział tego - Ben mu się nie zwierzał. Ale Hanna, jego dziecinka, jego córeczka, byłaby nieszczęśliwa z facetem opętanym seksem.

Jack nie miał zamiaru dopuścić do tego, by rezerwa Bena go powstrzymała. - Ale przecież wiesz, co ją trapi? Rozmawiałeś z nią?

- Tato...

- Ben, nie proszę, żebyś mi zdradzał jakieś tajemnice. Chcę tylko wiedzieć, co ty myślisz.

Ben podniósł głowę i w jego zielonych oczach - oczach Natalie - Jack pochwycił wyraz, który nie całkiem rozumiał, ale który mimo to wprowadził go w niepokój. Widział ten wyraz przedtem - lekkie zmrużenie powiek, słabe lśnienie głęboko w tęczówkach. Czy Ben go nienawidzi? Nie po prostu hoduje w duszy kilka zadr, jak zwykle dzieci, ale naprawdę go nienawidzi?

- Rzecz w tym, tato... - Ben wyprostował się, właśnie zawiązał buty. Patrząc na jego smukły, muskularny tors, Jack czuł dumę z sylwetki syna, a jednocześnie smutek z powodu własnej, coraz bardziej pęczniejącej w okolicach pasa. - ...Hanna zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że coś powiedziałem.

Jack, wiążąc krawat, poczuł, że jego palce nagle stają się niezgrabne. A więc to coś poważnego. Ostrożnie zapytał: - Czy to coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Boi się, że mogła zajść w ciążę.

- Jezu! O Chryste!

Ben rzucił na niego spojrzenie z ukosa, potem powiedział: - Słuchaj, wyjaśnijmy sobie jedno. Nie usłyszałeś tego ode mnie.

Jack przytaknął i usiadł na ławce między rzędami szafek. Jego serce wierzgnęło głucho, zanim podjęło szybkie bicie. W ciąży? Jego Hanna, jego mała dziewczynka?

Jeśli to prawda, to co zrobią? Co ona zrobi?

Musi z nią porozmawiać. Dotrzyma obietnicy wobec Bena, ale nie ma sensu wyczekiwać, aż Hanna mu się zwierzy. Przed rozwodem przyszłaby do niego... ale nie dzisiaj.

Jack przypomniał sobie Hannę, kiedy miała pierwszą miesiączkę. Trzynastoletnią i mniej więcej tak powabną, jak rozłupany kołek w płocie, z twarzą w ogniu, kiedy mu o tym szepnęła - jemu, nie Natalie. Miał ochotę ją przytulić, ale nie zrobił tego. Zamiast tego zabrał ją do Rexalla. Wciąż ją widział, chudą smarkulę z klamerkami na zębach i bez klatki piersiowej, wartej tej nazwy, kręcącą się przy dziale czasopism, udającą, że rzucającą się w oczy duży mężczyzna, stojący w kolejce do kasy z pudełkiem podpasek, wsuniętym pod ramię, w żaden sposób nie jest z nią związany.

Biedne dziecko. Musiała być całkiem zdesperowana, żeby się zwierzyć Benowi.

- W porządku - powiedział Benowi, poddając się westchnieniu, które ciążyło na nim jak skała. - Nie usłyszałem tego od ciebie.

- Masz zamiar z nią porozmawiać? - Ben wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie widzę innego wyjścia - powiedział Jack z uczuciem, że powietrze wokół niego stało się za ciężkie, by nim oddychać.

Musi przestać udawać, że wszystko będzie dobrze. Teraz. Od zaraz. Z Hanną. Nie zniósłby, gdyby oni dwoje skończyli jak Grace i jej matka.

## O

Kiedy Jack zadzwonił do Hanny z zaproszeniem na kolację, powiedziała mu, że jest zawałona lekcjami. Nie chcąc wydać się zbyt niespokojny, umówił się, że zabierze ją następnego wieczoru. Teraz siedzieli przy stoliku o chwiejnych nogach w tylnej sali ulubionej pizzerii Hanny, u Arthura na West Houston, gdzie pizzę wysuwano z opalanych węglem ceglanych pieców drewniany-

mi łopatami o długich rękojeściach, i gdzie kelnerzy i kelnerki na zmianę występowali przy mikrofonie.

Ale Hanna, która zwykle pochłaniała połowę olbrzymiej pizzy ociekającej mozzarellą, zjadła tylko jeden kawałek, a potem siedziała, dziobiąc drugi, podczas gdy Jack przekroczył ilość jedzenia, która była dla niego zdrowa. Gdyby Hanna, zwykle strażniczka jego poziomu cholesterolu, nie była tak bardzo pochłonięta sobą, już dawno powściągnęłaby jego apetyt.

Przypomniał sobie, jak, kiedy była mała, tańczyli w bawialni *Tennessee Waltz* Patti Page, z jej stopkami wpartymi w jego buty, gdy chichotała i przywierała do jego spodni, by nie stracić równowagi. Spoglądając w dół, na nierówny przedziałek w jej włosach, na kwiecistą koszulkę nocną, falującą wokół jej wrzecionowatych kostek, czuł się zarazem podatny na zranienie i taki opiekuńczy.

Chciał ochronić ją teraz. Ale ona zachowywała się, jak gdyby ledwie go znała.

Dopiero kiedy kelner uprzętał ich talerze, Jack zaryzykował. - Jak leci tobie i Conradowi? Zdaje się, że nie słyszałem, żeby ostatnio jego imię pojawiło się na liście starych przebojów - uśmiechnął się z nadzieją, że jego niepokój nie jest widoczny.

Hanna po raz pierwszy tego wieczoru utkwiała w nim spojrzenie. - Nie wiem - powiedziała ze starannie udawaną nonszalancją. - Ostatnio chyba nie widywałam go zbyt często, z wyjątkiem szkoły.

Jack czekał. - Chcesz powiedzieć, że wy dwoje nie jesteście już parą?

Przewróciła oczami. - Tatusiu, jesteś taki staromodny. Nikt już tak nie mówi. W każdym razie nie jestem nawet pewna, czy byliśmy parą - przyłożyła do podbródka serwetkę, którą zwinęła w schludny kwadrat.

- O?

- On właściwie nie jest w moim typie. Jego wielkim marzeniem jest zostać pewnego dnia prawnikiem i zarobić tonę pieniędzy.

- Jednak możemy szaleć za kimś, kto nie jest w naszym typie.

- Chcesz powiedzieć, jak ty i Grace? - powiedziała to żartobliwie, ze smutnym uśmiechem, wychylającym się z opuszczonych kącików ust, ale on zauważył haczyk.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział czujnie.

- Tatusiu, to są lata dziewięćdziesiąte. Dzieciaki w moim wieku nawet nie umawiają się już na randki. Moi przyjaciele i ja po prostu wychodzimy, to wszystko. To coś takiego, jak kiedy należysz do klubu, i jeśli ktoś ci się podoba, a ty podobasz się komuś, no to nie ma sprawy... ale niekoniecznie jest to coś wielkiego.

Chyba że zdarzy wam się sypiać ze sobą.

Jack wyobraził sobie siebie jako jaskiniowca z maczugą w ręku, zamierzającego się na Conrada, którego spotkał tylko raz, ale wyobrażał go sobie jako pozbawionego serca gnojka, przechwalającego się w szatni swoimi podbojami. Nie, to musiał być jeszcze jeden z jego anachronizmów. W dzisiejszych czasach chodzi tylko o bezpieczny seks, o pewność, że jest się „zabezpieczonym”. Ale jeśli ktoś zostaje skrzywdzony - kto, lub co powinno przed tym zabezpieczyć?

- Hanna, mogę być z innego pokolenia... - zaczął ostrożnie, nakrywając dłonią jej rękę - ...ale jedno wiem. Kiedy angażujesz się z kimś, to jakkolwiek mogłoby się to wydawać niezobowiązujące, nie możesz nie mieć uczuć, pewnych oczekiwań.

Przewróciła oczami. - Tatusiu, nie musisz mi mówić. Nie jestem w przedszkolu.

Wiem... ponieważ gdybyś była, nie wypuściłbym cię z domu tak ubranej. Levisy tak zniszczone, że wyglądały jak przepuszczone przez niszczarkę papieru, rozciągnięty czarny sweter z owczej wełny z dziurami dość dużymi, by mógł w nie włożyć kciuk. Ale przynajmniej włosy miała umyte i starannie uczesane - ciemny jedwab, spływający jej w pasmach na plecy i ramiona. Pamiętał, jak zaplatał je co rano przed szkołą w dwa grube warkocze, czasami

musiał robić kilka podejść, aż wyszedł mu przedziałek na tyle równy, by zadowolić Hannę.

- Po prostu nie chcę widzieć cię skrzywdzonej, to wszystko.

Hanna siedziała w milczeniu, dziobiąc niteczkę zaschniętej mozzarelli, która przywarła do stołu. U Artura zrobiło się tłoczno i hałaśliwie i teraz Jack słyszał kogoś przy mikrofonie w sąsiedniej sali, zaczynającego żywy bluegrassowy numer.

- Tatusiu, do czego właściwie zmierzasz? - zapytała, zerkając na niego z ukosa, jak gdyby patrzyła przez celownik strzelby.

- Innymi słowy: odwal się, tatusiu?

Uśmiechnęła się szeroko. - Gdzie to słyszałeś?

- Kręcę się tu i ówdzie.

- Jestem pod wrażeniem.

- Więc nie jesteś... - „w ciąży”, to miał na końcu języka - ... zmartwiona czymś konkretnym?

Wzruszyła ramionami. - Skąd ten pomysł?

- Nie wiem... Ostatnio nie byłaś sobą. A jako twój zaprzyjaźniony nadzorca z sąsiedztwa, nie mogę nie być zatroskany.

Oczy Hanny zwięziły się. - Rozmawiałeś z Grace?

- O czym? Skąd ten pomysł?

- Nie wiem. Po prostu zastanawiałam się.

- Czy Grace wie o czymś, co dzieje się z tobą, o czym ja nie wiem?

Hanna tylko wpatrywała się w niego jej brwi zbliżyły się do siebie, aż zeszyły się nad nasadą nosa. - Ach, rozumiem. Kazała ci obiecać, że nic nie powiesz.

- Hanna, to nie była Grace - urwał, zanim zdążyła mu się wyrwać prawda. Ben.

- Och, tatusiu, ja zawsze wiem, kiedy coś ukrywasz. Jesteś taki przejrzysty. Dlaczego po prostu nie wyjedziesz z tym i nie powiesz? Wiesz o moich głupich strachach ciężowych, ponieważ Grace ci powiedziała.

Nawet przy jej ściszym głosie usłyszał ryczącą w niej furję.

- Nie muszę rozmawiać z Grace, żeby wiedzieć, że jesteś młoda i piękna i tak samo zainteresowana chłopcami, jak oni są zainteresowani tobą. Jedno, co nie zmieniło się, odkąd byłem w twoim wieku, to hormony nastolatków, wydzielane w dużych, ekonomicznych porcjach.

Nawet nie uśmiechnęła się z jego usiłowania zachowania bez troski. Po prostu wpatrywała się w niego, jej oczy ocienione atramentowymi rzęsami wydawały się coraz ciemniejsze, większe, nadając jej twarzy wyraz głębokiej obrazy. - O Boże! Nie wierzę w to! Nie wierzę, że dałam się na to nabrać! - zdumiała go, zrywając się na równe nogi, z uwydatniającymi jej kości policzkowe plamami rumieńców. - Ona tylko udawała, że jest moją przyjaciółką po to, żeby pobiec do ciebie i na mnie naszczekać.

To nie tak miało być, pomyślał odrętwiały. - Hanna, nie Grace...

- Jeśli nie ona, to kto? Wiem, że to Grace, bo ona mnie nienawidzi. Nie rozumiesz tego? Nie widzisz, jak ona mnie nienawidzi? - Płakała teraz, rzęsy miała pozlepiane łzami. Hanna, która nigdy nie pokazała mu swoich łez od tamtego dnia, kiedy się wyprowadzał, gdy szlochala i błagała, żeby nie odchodził. Jego wybredna córeczka wycierała teraz nos w rękaw, jak gdyby nie przyszło jej na myśl użyć chusteczki czy nawet serwetki.

Jackowi krajało się serce na jej widok. Ale, o Jezu, nie może tak po prostu siedzieć tutaj i pozwalać, by to Grace oberwało się za wszystko. To byłoby niesprawiedliwe, zarówno wobec Grace, jak i Hanny. Z drugiej strony, jeśli uniewinnienie Grace oznaczało złamanie obietnicy danej Benowi? Ich stosunki już i tak są wątpliwe...

- Grace nie nienawidzi cię - powiedział Jack, starannie dobierając słowa. - Wierz mi, ona nie ma z tym nic wspólnego.

Hanna wzięła głęboki, urywany oddech i wbiła w Jacka spojrzenie, które przeniknęło go do szpiku kości. Patrzyła na niego tak, jak gdyby zdradził ją w jakiś straszny sposób.

- Hanna - próbował ująć jej dłonie, ale poczuł, że wysuwają się z jego uścisku.

- Och, tatusiu - powiedziała z rozdzierającym serce szlochem, jak wtedy, kiedy ostatni raz wychodził za drzwi swojego i Natalie mieszkania, a ona powiedziała: „do widzenia”.

## O

- Oto, jak to zrobimy... - Tim Fitchner zarysował ołówkiem w powietrzu wyobrażony plakat. - Góra z fotografią Grace i większą jej ojca, i dokładnie między nimi obojgiem mała wklejka Noli Emory. I możemy zrobić to samo w pomniejszeniu na ulotkach.

Obserwując pobudliwego dyrektora marketingu Cadogana, machającego ołówkiem i pompującego ramionami jak Kurt Masur, dyrygujący filadelfijskimi filharmonikami, Jack przypomniał sobie Grace, która zadzwoniła do niego kilka dni temu, mniej więcej na godzinę przed tym, jak Cordelia miała przyjść na drinka.

- Jack, mam je. Listy taty... - wydawała się zdyszana, jak gdyby biegła.

- Nola? - zapytał.

- Dopiero co wyszła. Nie wiem, dlaczego zmieniła zdanie, ale... chce, żebym je wykorzystała. Teraz możemy opublikować prawdziwą historię o moim ojcu. Och, Jack, czy wiesz, co to oznacza?

Wiedział, co to oznacza... nie tylko dla Grace, ale dla niego samego.

W ciągu ostatnich paru dni, gdy Grace ciężko pracowała nad przerabianiem i dopisywaniem nowych fragmentów książki, on wprawił maszynę w ruch tu, u Cadogana. A dzisiejsze spotkanie stanowiło dowód, że nie on jeden wiąże wielkie nadzieje z *Honorem ponad wszystko*.

*Adieu*, Reinhold, może teraz odczepisz się ode mnie, pomyślał.

Jedyną złą stroną, jaką widział, było to, że do czasu publikacji straci trochę impetu rozgłos wokół historii



Noli. Jack wciąż nie mógł uwierzyć, jak szybko ona wyciekła. Ktoś od Cadogana - ten sam gaduła, który spowodował przeciek historii Neda Emory'ego? Ale mógł to być każdy - redaktor z jednego z klubów książki, albo agent Grace, który szepnął słówko komuś w Hollywood. Coś tak ważnego jak to... prawie niemożliwe jest utrzymać pod pokrywką.

Zdawało się, że wszyscy na świecie chcą przeprowadzić wywiad z Grace i Nolą. Prawdopodobnie zamówienia na książkę przekroczą wielkość planowanego nakładu. I wciąż jest potrzebna ostateczna aprobata Reinholda dla budżetu. Jack chciał wydać na promocję książki więcej niż na promocję całej pozostałej tegorocznej produkcji.

Ale Reinhold, jak zwykle, się spóźnia.

Jack zerknął na zegarek. Lada chwila miał się spotkać z Grace - mieli zjeść lunch w jednej z okolicznych knajpek. Może nawet już czeka w jego gabinecie. Jeśli Reinhold nie dotrze tu wkrótce...

- Wiem, że wy, panowie, jesteście zaniepokojeni tym, ile będziemy musieli wydać, ale największa reklama, jaką zyskamy - odezwała się Neli Sorensen - nie będzie kosztowała złamanego centa. Właśnie skończyłam rozmowę z „People” i oni są zainteresowani zrobieniem czołówki. Prawdopodobnie nawet okładki.

Marty Weintraub, szef sprzedaży, niemal wyskoczył z krzesła. - Czy ta Emory zgodzi się na wywiad?

- Skąd mam wiedzieć? - Neli rzuciła Marty'emu zirytowane, udręczone spojrzenie. - Sama dopiero co się dowiedziałam o całej tej nowej historii. Nawet nie miałam okazji do niej zatelefonować.

- Co z ogłoszeniami? Złóżcie do jutra propozycje. Musimy je przejrzeć z Kurtem, zanim przyklepiemy ostateczny budżet.

Ale kto wie, kiedy będzie mógł złapać Reinholda? Facet zawsze przylatywał z Londynu, Monachium albo Helsinek, zewsząd, gdzie Hauptman miał biura. Prawdopodobnie uważał, że tak jest bezpieczniej. Jack miał

tutaj siedzieć jak kwoka na jajach i niczym piorunochron przyjmować na siebie wszystkie winy, cokolwiek złego działo się w firmie.

- Przepraszam wszystkich. Spotkanie mi się przeciągnęło.

Jak na zawołanie wkroczył Reinhold. Jego wiecznie potargane włosy były bardziej zmierzwiłone niż zwykle, krawat lekko przekrzywiony. Opadł na krzesło naprzeciw Jacka, opierając stopę na kolanie drugiej nogi. Jego dwurzędowa marynarka rozchyliła się, ukazując pod spodem czerwone szelki.

Jack starał się ignorować spojrzenia, wymieniane wokół stołu.

- Dyskutowaliśmy nad budżetem reklamowo-promocyjnym - oświadczyła Neli. Zaczęła zbierać papiery, jak gdyby chciała mu je przekazać, choć identyczny raport, w schludnej plastikowej okładce, leżał przed nim na stole.

- Przejrzałem liczby - powiedział Reinhold. - 1, szczerze mówiąc, myślę, że tym razem przesadziliście. Jest to obiecująca książka, bez wątpienia. Ale trzysta tysięcy? A co z innymi naszymi projektami? Z Boonem MacArthur'em, na przykład? Tak, jak ja to widzę, rabujemy Piotra, żeby zapłacić Pawłowi.

Jack poczuł, że sztywnieje. Zastanawiał się, czy Reinhold rozmawiał z Benem, potem szybko odrzucił tę myśl. Nie było tajemnicą, że Reinhold byłby uszczęśliwiony, gdyby Jack odszedł. Nigdy tego nie przyzna, ale działał mu na nerwy. Reinhold chciał mieć całą władzę w swoim ręku, jednak kiedy należało podjąć decyzję, wszyscy pracownicy Cadogana wciąż oglądali się na Jacka.

Nie mógł dopuścić do tego, by Reinhold się dowiedział, że on się martwi. Ustąpić teraz i urobić go później? Mogło się powieść, chociaż straciłby twarz.

Wtedy Jackowi przyszło na myśl coś, co wywołało uśmiech na jego twarzy. - Kurt, czy ty rzeczywiście czytałeś tę książkę? - zapytał miękko.

- Gdybym czytał każdą książkę, którą wydajemy, nie miałbym czasu prowadzić firmy - odpowiedział Reinhold z wymuszonym śmiechem.

- Racja - powiedział Jack uprzejmie. - Ale pozwól, że ci ją polecę, kiedy znajdziesz czas. Nie będziesz mógł się od niej oderwać. Grace Truscott potrafiłaby zrobić czytadło z życia Miliarda Filmore'a - podniósł rękę do góry. - Och, wiem, ty chyba myślisz, że jestem stronniczy, ale zostawiając na boku moje osobiste uczucia dla autorki - Jack czekał, aż ucichną zduszone chichoty i pogratulował sobie rozbrojenia wszelkich granatów, jakie z tej racji Reinhold mógł rzucić w jego stronę - pozwól sobie powiedzieć, że tekst czyta się znakomicie. Jednak nie tylko ze względu na sensacyjną treść. Między innymi rzuca nowe światło na Kennedy'ego i Johnsona. Historycy będą mieli używanie.

Głowy wokół stołu przytakiwały zgodnie.

- Absolutnie najbardziej pasjonująca biografia, jaką kiedykolwiek czytałam - pisnęła Neli.

- Wspaniała rzecz. Naprawdę świetna - wtrącił Marty, machając owłosioną dłońią.

- Jestem pewien, że macie rację - Reinhold powstał. - Ale musicie mi wybaczyć, spodziewam się telefonu z zagranicy. Wrócimy do tego później? - Obrzucił Jacka spojrzeniem, zanim wyszedł.

Spotkanie zostało odroczone.

Wróciwszy do swego gabinetu, Jack poczuł się wynagrodzony widokiem Grace, usadowionej w krześle z oparciami naprzeciw jego biurka, przerzucającej stronie wiosennego katalogu Cadogana, który prezentował *Honor ponad wszystko* na okładce - słynną fotografię Eugene'a Truscotta na pogrzebie Martina Luthera Kinga - ręka ostrzegawczo wzniesiona wysoko, jak gdyby po to, by odwrócić oko kamery, lśnienie łez, widoczne nawet przy jego nieco pochylonej głowie.

Grace miała na sobie dopasowany żakiet z czerwonej wełny z kłapami z czarnego aksamitu, proste czarne spodnie i skórzane botki. Z różowymi policzkami i rozwia-

nymi, krótkimi ciemnymi włosami wyglądała, jak gdyby właśnie przyjechała z polowania i nie miała czasu się przebrać. Jack czuł, że serce mu rośnie. Boże, jest taka piękna!

Całując ją lekko w policzek, gdy się podniosła, walczył z pragnieniem, by ją chwycić w ramiona i trzymać mocno, powstrzymując przed tym, co miało nadejść. Ponieważ wyraz jej twarzy powiedział mu, że nie spodoba jej się to, co zamierzał powiedzieć jej przy lunchu - o Hannie. Właściwie, widząc jej kamienną twarz, domyślał się, że już o tym wie.

- Wczoraj wieczorem, po twoim telefonie, zadzwoniła do mnie Hanna - powiedziała Grace, jak gdyby czytając w jego myślach. - Była bardzo zdenerwowana.

- Wyobrażam sobie. - Cholera, dlaczego nie powiedział Grace od razu?

- Ona, zdaje się, myśli, że to ja się wygadałam - jej głos był cichy i niebezpieczny jak burzowe chmury. - Na miłość boską, Jack, co ty jej powiedziałeś? - jej słowa sprowadziły lodowatą ulewę.

- Ben mi powiedział. Ale przyrzekłem mu, że nie wyjawię Hannie, gdzie o tym usłyszałem.

- Więc po prostu pozwoliłeś jej się domyślać, zgadza się? I, strzał w dziesiątkę, padło na mnie - stała na wprost niego, metr sześćdziesiąt ledwo hamowanej furii. - Tylko tak się składa, że ona rzeczywiście mi się zwierzyła. Po raz pierwszy otworzyła drzwi, tylko uchyliła, ale wystarczająco, by mi pozwolić wsunąć palec do środka. Wystarczająco, by pozwolić mi zobaczyć, jak mogłoby być, gdyby... gdyby... - z trudem przełknęła ślinę. - I dlatego nie usłyszałeś o tym ode mnie. Ponieważ ja dotrzymuję obietnic.

- Ja też - Jack chciał wziąć ją w ramiona, okryć pocałunkami, błagać ją o przebaczenie... ale nie bardzo wiedział jak. - Grace - powiedział łagodnie. - Powiedziałem Hannie, że nie od ciebie o tym usłyszałem. To minie. To sprawa chwili. - Czuł się jak kłamca, jeszcze kiedy to mówił, wiedząc niemal na pewno, że tonieprawda.

- Jak możesz tak mówić? Jak gdyby to był jakiś rodzaj wirusa, dwudziestoczterogodzinna grypa - z głośnym trzaskiem cisnęła katalog na biurko, rozrzucając papiery po podłodze. - Czy ty naprawdę w to wierzysz? Boże, Jack, albo jesteś o wiele bardziej naiwny niż myślałam... albo celowo kłamiesz, po prostu próbując wygładzić układ między nami. Tak czy inaczej, nie mogę uwierzyć, że zrobiłbyś coś takiego... że po prostu poświęciłbyś mnie w ten sposób! Czy też nie jestem dość ważna, by to miało znaczenie?

- Tak się składa, że mój syn także jest ważny. - Słyszając pompatyczne nuty w swoim głosie, Jack skulił się. Ale ona zapędziła go do narożnika, nie dając mu innego wyboru, jak tylko się bronić.

- Więc wytłumacz to Benowi! Powiedz mu, co się stało i zobacz, czy sam pomówi z Hanną. Myślę, że on mnie lubi. Dzięki Bogu, jedno z twoich dzieci mnie lubi. I sądzę, że on będzie chciał pomóc.

- Grace, na miłość boską, Hanna ma szesnaście lat i gwarantuję ci, że za pięć minut nie będzie myśleć o niczym innym, jak o tym dupku żołądny z fantastycznym bekhendem i mózgiem jak soczewica.

- Jack, tylko posłuchaj, co mówisz. Albo robisz unik, albo nie znasz Hanny tak dobrze, jak ci się wydaje - obrzuciła go twardym spojrzeniem.

- Grace, to nie jest pora...

- Teraz mówisz jak moja matka.

- Nooo... chwileczkę, cofnij to, moja pani. Graj uczciwie - czuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Jack, czy ty naprawdę nadal myślisz, że w tym wszystkim chodzi o uczciwość? Czy to w porządku, że ja jestem obwiniana o to, że opuściłaś Natalie? Czy to w porządku, że muszę chodzić na paluszkach, jak gdybym była pariasem?

- Nie, to nie w porządku, ale czy nie sądzisz, że rozdmuchujesz całą sprawę ponad miarę? - rozpoznał ten sam ton, jakiego używał wobec Hanny, starając się ją

uspokoić... i wiedział, z przygnębiającym uczuciem, że Grace prawdopodobnie także to rozpoznała.

- Istotnie, nie sądzę.

- Do cholery, Grace, nie możesz po prostu tego zostawić?

- Może chciałbyś, żebym zapomniała o wszystkim?

- O czym ty mówisz?

- Och, Jack - powiedziała to w ten sam sposób, jak ostatniego wieczoru Hanna powiedziała „och, tatusiu” i poczuł teraz tę samą sztywność w karku i ciężar w żołądku.

Daj spokój, Jack. Nie naciskaj jej.

Grace była tak wściekła, że miała ochotę go zdzielić. Ufała Jackowi, a on ją zdradził. Widać krew nie woda.

Wierzyła w nich dwoje... w to, że mimo różnic między nimi powiedzie im się. Ale czy wszystkie gesty miłości na świecie mogły wynagrodzić jej to, że Jack nie wziął jej w obronę wtedy, kiedy należało?

Zrób coś, nakazywał zimny głos wewnętrzny. Powiedz mu, że wszystko skończone.

Nagle zobaczyła wszystko jasno. Jack nie prosił jej, by wyszła za niego za męża, a ona przez cały ten czas po prostu czekała, aż wreszcie się na to zdobędzie. Ale dlaczego to musi zależeć od niego? Dlaczego to ona nie mogła zdecydować? Dlaczego nie powie Jackowi, że mężczyzna, który nie chwyta skwapliwie szansy, by się z nią ożenić, nie jest jej wart?

- Wyjdź za mnie, Grace.

Grace potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy tylko wyobraziła sobie, jak on wypowiada te słowa. Ale wyraz jego twarzy powiedział jej. Tak, o Boże, rzeczywiście poprosił ją, by za niego wyszła.

Zabawne, że nie czuła żadnego przypływu emocji, tak, jak sobie wyobrażała, tylko głuchą pustkę.

- Dlaczego, Jack? - wykrztusiła. - Dlaczego teraz?

Nie czuła, że to najszcześniejsza chwila w jej życiu, tak jak powinna. Miała uczucie, że rzucono jej kość jak wygłodzonemu psu.

- Może porozmawiamy o tym przy lunchu? - Jack otoczył ją ramieniem, zaniepokojony napięciem, jakie w niej wyczuwał, buzującym jak w linii wysokiego napięcia.

Dupek. Ty rzeczywiście umiesz wybrać właściwą chwilę. Ale jak mógł wybrać, skoro nawet nie wiedział, że wypowie te słowa? Po prostu wymknęły mu się. Dlaczego? Nietrudno się domyślić. Miał je na końcu języka od tygodni. I jaki był głupi, pozwalając na to, by głowa, ta jego skłonność do ważenia każdego drobiazgu i podliczania wszystkiego, weszła w drogę sercu.

- Zapomnij o lunchu - powiedziała. - Nie jestem głodna.

- Więc kolacja? Przygotuję coś u mnie.

- Nie wiem - podeszła do okna i stała tam przez chwilę, wyglądając ulicę. Potem powiedziała stanowczym głosem: - Nie. Nie mogę się z tobą zobaczyć, Jack. Nie dziś.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Długie chmurne spojrzenie wywołało ból w jego piersi, wyraźnie dawało do zrozumienia, że Grace ma poważne wątpliwości, nie tylko jeśli chodzi o jego szczerość, ale o całą resztę ich życia.

## ROZDZIAŁ 18

- Mamo!

Grace drgnęła na dźwięk głosu Chrisa w słuchawce. Wydawał się taki słaby i prawie... zagubiony. Nie spała przez pół poprzedniej nocy, rozmyślając o Jacku, a także folgując sobie - płacząc w poduszkę, jak nie płakała od rozwodu. Przed chwilą oczy same jej się zamykały. Ale

teraz, skulona w szlafroku przy stole ze śniadaniem, czuła się dziwnie rażna. - Cześć, skarbie. Miło spędzasz czas z babcią? - mówiła lekkim tonem, jak gdyby miała nadzieję, że tylko wyobrażała sobie, że coś jest nie w porządku.

- Wczoraj po szkole poszliśmy do muzeum - powiedział posepnym tonem. - Było fajnie, ale babcia chciała zobaczyć praktycznie każdy eksponat.

- Wykończyła cię?

- Coś w tym rodzaju.

- Pamiętam, jak pewnego razu, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, babcia kazała mi pójść na przyjęcie w jakiejś ambasadzie. Zanim się skończyło, byłam skonaną... ale ona była ożywiona jak zawsze. Gdy dotarliśmy z powrotem do domu, nie spała przez pół nocy, pisząc bileciki do ludzi, których poznała, i którzy, miała nadzieję, wniosą wkład do funduszu wyborczego twojego dziadka.

- Cała babcia - Chris zdobył się na nikły chichot. Potem wziął głęboki oddech i powiedział: - Słuchaj, mam, lepiej już pójdę, inaczej spóźnię się do szkoły. Zadzwoń mi dlatego, że zastanawiałem się, czy zgodziłabyś się, żebym został u taty trochę dłużej.

- Chcesz powiedzieć, dopóki babcia tam jest? Myślałam, że to było w planie.

- Taak, pewnie... ale jak ona wyjedzie, myślałem, że może... no, że wszystkim mogłoby być łatwiej, gdybym po prostu... no wiesz, tak jakbym pomieszkał z tatą.

- Jak długo?

- Nie wiem... trochę.

Grace czuła, że drży. Co Chris mówi? Że chce mieszkać z Winem?

- Chris, może porozmawiamy o tym później, po tym, jak będę miała okazję pomówić z twoim tatą? - była zdumiona tym, jaka zdołała się wydać spokojna mimo mdłości i szybkiego bicia serca.

- Taak, w porządku... - powiedział Chris ostrożnie.

- A tata jest w domu? - zapytała, walcząc z mdłościami, które zdawały się podnosić z jej pustego żołądka.



Potem Win mówił do słuchawki. Jego głos był kojący jak znoszony flanelowy szlafrok, w który była owinięta. - Grace, uwierz mi. Wiem, co musisz myśleć. Sam byłem tym wszystkim zbity z tropu. Kiedy Chris powiedział mi, że chce... - zrobił pauzę i zniżył głos, jak gdyby nie chciał, by Chris, czy może Cordelia, podsłuchali. - Słuchaj, nie sądzę, że powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon. Moglibyśmy się później spotkać? Może wpadłbym do ciebie po pracy?

Grace przytaknęła, nawet jeśli się zastanawiała, czy może to być nowa sztuczka Wina, by ją odzyskać. Potem przyszła jej do głowy wstrząsająca, przyprawiająca o mdłości myśl: czy matka mogła podsunąć Chrisowi ten pomysł?

Czy matka była zdolna do takiego knucia?

Do knucia, nie. Ale jeśli szczerze wierzyła, że to jest w najlepiej pojętym interesie Chrisa...

A co właściwie jest w najlepiej pojętym interesie Chrisa? - zastanawiała się Grace. Czy jest samolubna, trzymając go przy sobie, kiedy on tak wyraźnie woli być ze swym ojcem?

Może... ale Chris potrzebuje również jej. Po prostu jeszcze nie wie, jak bardzo.

Grace przez większość dnia pozostawała w domu, z włączoną automatyczną sekretarką przy telefonie. Dwa razy dzwonił Jack; wydawał się tak nieszczęśliwy, że niewiele brakowało, by się poddała i podniosła słuchawkę. Ale głównie byli to reporterzy. Ktoś z „Harper's Bazaar”, desperacko dopominający się o wywiad. Bob Tillotson z „A. M. America”. Kobieta z publicznego radia, która zostawiła oba swoje numery telefonu, biurowy i domowy, nakłaniając Grace, by zadzwoniła do niej bez względu na porę.

Myślała o tym, by zatelefonować do Noli i zobaczyć, jak ona sobie radzi z tym szturmem mediów, ale później rozmyśliła się. Wyobraziła sobie Nolę, chłodną i władczą, z jej uśmiechem, który w okamgnieniu potrafił zmienić się w mrożący. Chociaż prawdopodob-

nie Nola nie ma doświadczenia z dziennikarzami, instynktownie będzie wiedziała, jak odpierać nawet najtrudniejsze pytania, jakimi mógł bombardować ją reporter.

Tak samo zęcnie, jak matka... gdy tylko prasa zwietry, że jest w Nowym Jorku.

Późnym popołudniem telefon przestał dzwonić. Grace, wiedząc, że powinna siedzieć przy komputerze i stukać w klawisze jak oszalała, kończąc ostatnie zmiany, nie mogła podnieść się z sofy, gdzie leżała zwinęta w kłębek, wsłuchana w ciche szemranie kaloryfów i sporadyczne dudnienie kolejki podziemnej, przejeżdżającej pod jej budynkiem. Czekwała na Wina... ale to nie swojego byłego męża chciała widzieć wchodzącego przez drzwi.

Jack. Nie mogła znieść myślenia o nim... a zarazem wydawało jej się, że nie może przestać myśleć.

W końcu, przy gasnącym świetle, Grace zamruwała, jak gdyby budząc się z długiej drzemki - ile godzin tutaj siedziała? - i zwlokła się z sofy, by się ubrać.

Parę minut później, tuż po wyjściu spod prysznic, rozglądała się po swojej sypialni, gdzie wieczorne cienie, pogłębione posępnością deszczu, który właśnie zaczął sapać, padały przez świetlik, rzucając sinawy blask na jej żelazne łóżko. W rogu przy oknie stał niski, okrągły szklany stolik, dźwigający wazon z wiązką bazi, które wczoraj kupiła na zielonym targu - znak, że wiosna wreszcie nadchodzi.

Piękny pokój, prosty, prawie jak cela mnicha. Tylko kilka pogańskich akcentów - moherowy szal w głębokich kolorach, narzucony na łóżko, wiszący nad nim na ścianie zawile wyszywany orientalny haft. Haftowane zawijasy przywodziły jej na myśl sceny z dzieciństwa, kiedy to ona i Sissy robiły z jajek wydmuszki i malowały wielkanocne pisanki, śliczne na zewnątrz, puste w środku.

Z nikim nie dzieliła tych wspomnień. Nie z Jackiem. Ani nawet ze swoim synem.

Mój synek. Czy naprawdę oszedł na dobre? Spozregła się, że nasłuchuje przyciszonego pulsowania-stereo Chrisa. Ale słyhać było tylko ciche bębnienie deszczu o świetlik.

Przypomniała sobie, jak niekiedy miała za złe Chrisowi jego markotne nastroje i chwile, gdy był naprawdę irytujący, kiedy z radością wyrzuciłaby go przez okno. Ale czy każda matka nie ma od czasu do czasu dość? Prawdopodobnie Chris czuł to samo w stosunku do niej.

Widocznie częściej niż zdawała sobie z tego sprawę.

Inaczej dlaczego wolałyby mieszkać z Winem?

Czuła ucisk w piersi, wywołujący drobne, maleńkie żądła bólu. Jak on może kochać Wina bardziej niż mnie? Ale z Winem nietrudno było to sobie wyobrazić - z Winem, który wydawał się impregnowany na złe nastroje, który wiedział, jak je rozpraszać.

Niech cię cholera, Win!

Zjawi się tu lada minuta. Grace z furją wysuszyła ręcznikiem włosy, wcisnęła nogi w džinsy i wciągnęła workowaty sweter.

Kilka chwil później otwierała drzwi wejściowe swemu byłemu mężowi, uświadamiając sobie, gdy to robiła, że rozwarła je za szeroko, jak gdyby dla większego mężczyzny - mężczyzny, powiedzmy, postury Jacka. Serce jej się ścisnęło.

- Cześć, Win - powiedziała.

- Cześć - odpowiedział, zdawało się, z wahaniem, jak gdyby nie był pewien, czy jest. mile widziany. Gdy wszedł do środka, uśmiechnął się szeroko, nakłaniając uszy do znajomej melodii Milesa Davisa, płynącej ze stereo, leniwej i falującej jak dym z papierosa w przydrożnym barze.

Wzięła jego płaszcz, przewieszając go sobie przez ramię. - Wciąż pada? - Głupie pytanie. Przecież czuła wilgoć płaszcza przez rękaw swojego swetra.

- To nie potrwa długo - powiedział.

- Słyszałam co innego. Przewidują rekordowe opady.

Win wzruszył ramionami. - Możesz mnie nazwać optymistą.

Tak, pomyślała. Oto cały Win. A gdyby mu przypomniała, że nawet najpogodniejsze usposobienie nie zawsze wystarcza, by zachować przy zdrowych zmysłach osobę, która wychowuje dziecko, szczególnie nastolatka, w pełnym wymiarze godzin?

Spokojnie, powiedziała sobie. Najpierw drink, może dwa. Potem możesz wykorzystać cały swój wdzięk, by przekonać Wina, że sprawowanie pełnej opieki nad Chrisem nie byłoby w jego najlepiej pojętym interesie. Cała ta dodatkowa odpowiedzialność, ciężąca nad jego pracą, życiem towarzyskim.

Na miłość boską, będzie błagać, jeśli będzie musiała. A gdyby to nie pomogło? Nie mogła znieść nawet myśli o tym. Ponieważ, gdyby Win był zdecydowany pójść z tym do sądu, nie miałyby innego wyboru, jak się wycofać. Chodziło nie tylko o to, że wielkie znajomości i prawnicza biegłość Wina dałyby mu dużą szansę wygrania - ona po prostu nigdy nie poddałaby swego syna tak ciężkiej próbie.

Ale patrząc teraz na swego byłego męża, zastanawiała się, czy ona lub ktokolwiek inny mógł uważać go za niezdolnego do nieuczciwej gry. W granatowym garniturze i bladoniebieskiej koszuli, pasiastym krawacie Dunhilla, który dała mu na Boże Narodzenie przed rozwodem, wyglądał jak przystojny, prostolinijny przewodniczący klasy maturalnej, pozujący do fotografii absolwentów. Mimo wszystko działał na nią dziwnie uspokajająco - tak, jak niektórzy lekarze samym tonem głosu zdają się zmieniać domniemany złośliwy guz w łagodną cystę, albo jak szczególnie przystojna sprzedawczyni potrafi wyprawić ze sklepu z sukienką lub parą butów, których klientka nie potrzebuje i na które ją nie stać.

Grace wskazała gestem bawialnię. Win zaczekał na nią, zanim usiadł w fotelu Morrisa. Kiedy złożył ręce na kolanach, jedną na drugiej, jak flamandzki szlachcic na

obrazie Van Dycka, uśmiechnęła się z oficjalności tego gestu. To robiło takie dziwne wrażenie - to, że siedzieli tak razem, jak gdyby brali udział w jakiejś pantomimie, która lada chwila wywoła w nich salwy śmiechu. Miała dziwne uczucie, że wiodą równoległe żywoty, i kiedy oni siedzą tutaj, odgrywając ten staroświecki dramat salonowy, ich prawdziwe „ja”, które nigdy nie przestały być małżeństwem, wałęsają się bosą, sącząc wino i chichocząc z zabawnych rzeczy, jakie wydarzyły się w ciągu dnia.

- Jak się miewa Chris? - zapytała, starając się nie okazać niepokoju. - Może czegoś potrzebuje?

- Ma się świetnie. Mówił ci o swoim nowym Macintoshu?

- Nie, nie mówił - powiedziała, wysilając się na obojętny ton. Najpierw pies, a teraz nowy komputer?

- Chyba mieliście oboje ważniejsze rzeczy do omawiania. - Win wydawał się zakłopotany.

Czuje się winny, pomyślała. Poznała to po tym, jak drżały mu kolana. A także po tym, że patrzył wszędzie, tylko nie na nią. To dobrze. Może ona na tym zagra. - Dla Chrisa nic nie mogło być ważniejsze niż komputer. Gdyby kiedyś został rozbitkiem i zmyło go na brzeg wyspy bez jedzenia czy wody, najbardziej brakowałoby mu komputera.

Patrzyła, jak usta Wina rozchylają w tym uśmiechu przewodniczącego klasy, niewątpliwie z ulgi, że nie zrobiła mu piekła.

- Wczoraj wieczorem uczył twoją matkę grać w Tetris. Grałaś w to kiedyś?

- Nie mam wiele czasu na gry - powiedziała ostrzej niż zamierzała.

Ale zdawało się, że Win tego nie zauważył. - Może teraz nie, ale pamiętasz, jak zaraz po ślubie nie stać nas było na abonament telewizji kablowej? - wspomniał z uśmiechem. - Wszystko, co mieliśmy, to talia kart. Jak tylko nauczyłem cię grać w brydża z dwoma dziadkami, nie popuściłaś, przysięgam, dopóki nie ograłaś mnie do ostatniej koszuli.

- A ty, oczywiście, za bardzo byłeś dżentelmenem, żeby mi pozwalać przegrywać.

- Nie miałem wyboru! Grałabyś dotąd, aż albo wygrałabyś, albo wdeptała mnie w ziemię.

- Aż tak źle? - zaśmiała się smutno.

- Nie przez cały czas.

Jego usta ściągnęły się, ale uśmiech pozostał w oczach, rysując ich kąciaki. Przesunął się nieco, pozostawiając połowę twarzy w cieniu. Spostrzegła się, że myśli o tym, jak po narodzinach Chrisa zaczęli zostawiać włączone na noc światło w hallu, jak twarz Wina obok jej twarzy na poduszce wydawała się rozcięta na dwie połowy, jasną i ciemną, jak maska arlekina.

Ale nie mogła, nawet za cenę życia, przypomnieć sobie, jakie to było wrażenie, kiedy on ją całował... ani żadnej z tych rzeczy, jakie musiał jej szeptać, kiedy się kochali.

Natomiast Jack, pieścąc ją delikatnie po twarzy, szyi, piersiach, brzuchu i między nogami... i mrużąc do niej, jaka jest piękna, jak bardzo chce być w niej... potrafił niemal doprowadzić ją do orgazmu. O Boże, Jack...

Ale nie wolno jej teraz myśleć o Jacku.

- Win... nie chcę stracić mojego syna - usłyszała pęknięcie w swoim głosie i nakazała sobie nie płakać.

- Nie tracisz go. Kocha cię jak zawsze.

- Łatwo ci mówić.

- Może on teraz potrzebuje po prostu zmiany atmosfery - zamilkł, jak gdyby zbierając się w sobie do rozpoczęcia utarczki sądowej. - Z tego, co mówi mi Chris, ostatnio było tutaj trochę napięć.

- Słuchaj, Win, cała ta sprawa z książką, a teraz moja matka tutaj... no wiesz, to raczej nie był piknik.

- Nie mówiłem o Cordelii.

Poczuła, jak gorąco oblewa jej twarz. - Do czego zmierzasz?

Wzruszył ramionami. - Nie jestem tu po to, żeby cię osądzać, Grace. Wierz mi, to ostatnia rzecz, jaką chciałbym

zrobić. Moją największą troską jest dobro Chrisa. Widać, że nie jest szczęśliwy. Nie myśli o swoich starych sztukach, a jeśli nawet...

Nie musiał wdawać się w szczegóły. Wiedziała, że ma na myśli tamten okropny incydent, kiedy Chris został przyłapany na kradzieży w sklepie. Powiedziała mu także o tym, że Chris opuszcza lekcje.

- Wiem, że nie jest szczęśliwy - przyznała Grace. Ale odkąd to nastolatkom potrzebny powód, żeby być w ponurym nastroju?

- Nie winię cię, Grace - powtórzył Win.

- Więc nie rób tego, Win. Nie zabieraj mi go! - zerwała się na równe nogi, mając wrażenie, że stara się utrzymać równowagę w pędzącym pociągu; podłoga zdawała się przechylać i kołysać pod nią.

- Ja... - zamilkł, jak gdyby rozmyślił się co do tego, co miał zamiar powiedzieć. W końcu, poddając się, rozłożył ręce i podniósł na nią wzrok; jego przystojna, wyrazista twarz pełna była tęsknoty i zmieszania. - Ostatnie, czego pragnę, to sprawić ci ból, Grace. Może teraz należy pozwolić zostać Chrisowi ze mną, tylko na razie. Aż twoja matka wyjedzie.

- Kiedy to nastąpi?

- Nie wiem. Nie sądzę również<sup>^</sup> by ona wiedziała. Biega, odwiedzając tylu starych nowojorskich przyjaciół i kumpli twego ojca, ilu może znaleźć, próbując ściągać datki na bibliotekę. Wiele także zależy od tego, czy zacznie ten swój proces.

- Ależ... ona nie może. Te listy... - cały pokój wirował teraz, zdając się kołysać nią od ściany do ściany.

- To ty mówisz, że one zostały napisane przez twego ojca - tłumaczył cierpliwie, jak dziecku. - Ale czy dałaś je do zweryfikowania grafologom? A jeśli tak, to czy jesteś przygotowana na to, że ich świadectwo zostanie obalone w sądzie przez biegłego twojej matki?

- Win, znam pismo mojego ojca. Nie ma wątpliwości, że listy są prawdziwe.

Podniósł rękę do góry. - Słuchaj, nie zbaczajmy z tematu. Cordelia może zostanie jeszcze tydzień, może dwa. Ale wiele w tym czasie może się zmienić, jeśli chodzi o Chrisa. Obiecuję, że nie będę popychał go ku żadnej ostatecznej decyzji. Potem, kiedy dym się rozwieje, omówimy to z jego terapeutą, wszyscy troje. Razem zdecydujemy, co będzie najlepsze.

Grace poczuła, jak ogarnia ją ulga. Nie było to zupełnie to, na co miała nadzieję... ale lepsze niż to, czego się obawiała. Stojąc przed Winem, czując się niepewnie na nogach, uświadomiła sobie nagle, że prawie nic nie jadła przez cały dzień, w nocy spała ledwie kilka godzin. Czowała, że opada kolanami na dywan, powoli, nawet z gracją, jak gdyby klękała do modlitwy.

Uświadomiła sobie, że Win wpatruje się w nią z pożądaniem. I czyż nie byłoby najnaturalniejszą rzeczą na świecie po prostu wyciągnąć do niego rękę, żeby postawił ją na nogi?

Czowała, że powietrze wokół nich staje się coraz bardziej naelektryzowane.

Wtedy Win ruszył ku niej, padając przy niej na kolana, kołysząc ją w ramionach. I jakie to zastanawiające, że zamiast niepokoju czowała dziwną, zalewającą ją ulgę. Nie przywierał do niej jak wtedy, kiedy powiedziała mu, że między nimi skończone, ale obejmował ją delikatnie, niemal niepewnie, jak gdyby zapraszał ją do tańca. Oczy zapiekły ją od łez.

- Och, Win... - oparła czoło na jego ramieniu. Pachniał lekko świeżym powietrzem i English Leather, zapachem równie swojskim dla niej jak jej własny.

Jego ramiona zacisnęły się wokół niej prawie konwulsyjnie. - Powtarzam to sobie i powtarzam w myślach... - jego głos był także napięty, niemal zduszony. - Ciągłe próbuję wymyślić nowy koniec. Tylko że nie mogę. Zawsze kończy się tak samo... i ja... nie mogę tego odwrócić. Dałbym wszystko, żeby móc to zrobić.

Słyszała to już przedtem, ale wówczas była kobietą ze szkła; jego przeprosiny, które wydawały jej się obojętne



i puste, ześlizgiwały się po niej jak krople deszczu po szybie pędzącego samochodu. Teraz jego słowa ją przenikały. - Przebaczyłam ci dawno temu - powiedziała, podnosząc wzrok i napotykając jego niebieskie oczy, pełne smutku.

- Nie dość wcześnie - pochwyciła w jego głosie lekką gorycz, która rozpułyła się w wyrzutach sumienia w jego następnych słowach: - Ale Bóg wie, że miałas dobry powód.

- Słuchaj, Win, po co znowu o tym mówić?

- Ponieważ... - z trudem przełknął ślinę - ponieważ myślałem, że mimo wszystko, co się zdarzyło, było nam ze sobą cholernie dobrze.

- Trochę nam było dobrze.

- Nadal zawiązuję rano krawat i wychodzę zastanawiając się, czy jest odpowiedni - ciągnął. - Wybierałaś mi krawaty, pamiętasz? I kawa. Zdaje się, że nigdy nie robię jej dobrze. Czubatą łyżeczkę na każdą filiżankę, ale wtedy jest za mocna. Kupuję ją w tych delikatesach niedaleko mojego biura, ale nie znoszę pić jej ze styropianowego kubka.

- Kawę potrafię parzyć - powiedziała Grace. - Ale zapominasz, jak zawsze przypalałam maślane bułeczki.

- Tak czy owak nigdy za bardzo nie lubiłem maślanych bułeczek. I kto powiedział, że twoim zadaniem jest mnie karmić?

- Win... nie.

- Grace, proszę. Kocham cię. Nigdy nie przestałem cię kochać.

Robi się za gorąco, pomyślała Grace, czując ukłucie paniki. Ale czyż Win nie zmierzał do tego od dłuższego czasu? I czy ona, w jakimś sensie, nie pozwalała mu na to?

- Win, nie jesteśmy już mał...

Powstrzymał ją pocałunkiem; jego usta na jej ustach łagodne, jak gdyby delikatnie poszukujące odpowiedzi na jakieś pytanie. Źle, wszystko źle, powiedziała sobie. Ale zarazem to, że Win ją całuje, wydawało się tajemniczo właściwe, tak przyjemne i uspokajające jak wytarta

od noszenia obrączka ślubna, jak gdyby to Jack był intruzem, a Win tym, do którego należy.

Odsuwając się, wymruczał w jej włosy: - Pozwól mi zostać na noc.

- A co z Chrisem? - powiedziała bez zastanowienia, uświadamiając sobie, gdy tylko te słowa wymknęły jej się z ust, że nie powiedziała mu „nie”. Przestań! - powinna była krzyknąć. Idź do domu!

- On jest z twoją matką. Niczego nie pomyśli. Czasami zostaję w biurze, kiedy jestem naprawdę zawałony pracą.

- Win, to szaleństwo.

Pocałował ją znowu, mocniej tym razem, używając języka. Smukłymi dłońmi obejmował delikatnie jej głowę, podczas gdy kciukami pieścił jej skronie, wypowiadając jęklonie, wciąż i wciąż, jej imię: - Grace, Grace, och, Grace. - Czuła, że zaczyna odpowiadać ogarniającym ją ciepłem, które było czymś więcej niż tylko echem tego, co kiedyś było między nimi.

Gdyby Win w tej chwili powiedział „kocham cię”, lub gdyby naciskał na nią w jakiś sposób, musiałaby zrobić krok wstecz i uczciwie przyjrzeć się temu, w co się pakowała. Musiałaby nalegać, by sobie poszedł.

Ale on tylko stał, wyczekując z ramionami oplecionymi wokół niej, muskając ciepłym oddechem jej włosy. Czuła, jak bije mu serce, mocno i szybko, jak ktoś natrętnie pukający w okno.

Grace westchnęła i cofając się położyła palec na jego dolnej wardze, pełnej i wycyzelowanej, takiej samej jak u ich syna. Przesunęła palcem po jego podbródku i szyi, zatrzymując się przy nienagannym regularnym węźle jego krawata.

Z uczuciem, że unosi się w powietrzu, jak gdyby to przydarzało się komuś innemu albo we śnie, który właśnie śniła, rozluźniła węzeł i przeciągnęła jeden koniec krawata przez pętlę; ciężki jedwab prześlizgiwał się między jej palcami jak masło.

Boże, dopomóż mi, pomyślała.

Mimo to wydawało się zupełnie naturalne, kiedy już zaprowadziła Wina do swojej sypialni, że wyslizgnęła się z ubrania na jego oczach. On znał jej nagie ciało w innych formach - narzeczoną o płaskim brzuchu i małych piersiach, jaką była, i w ciąży z Chrisem - brzuch wielki, piersi nabrzmiąte. Widział, jak jej rozstępy bledną od jaskrawej purpury do nikłych srebrzystych linii. I, tak, był świadkiem nieuniknionego działania siły ciężenia - opadania jej piersi, lekkiego obwisania pośladków.

Tylko Win wydawał się nie zmieniony. Nadal tak samo w dobrej formie, jak w college'u, z muskularnym wdziękiem smukłego ciała, jaką przypisywała pływakom i tancerzom. Kiedy był nagi, widziała, gdzie spłowieła jaskrawość jego letniej opalenizny pogłębia się tuż nad, obojczykiem i poniżej łokci, gdzie musiały się kończyć rękawy jego koszulki tenisowej. Gdy zrobił krok do przodu i pociągnął ją w ramiona, było to tak, jak gdyby fragment łamigłówek wskoczył na właściwe miejsce. Czowała go przy sobie, twardego, coraz twardszego. Wyrwał mu się cichy jęk. - Och, Grace, skarbie, tak przyjemnie cię czuć. Tak przyjemnie.

Grace zacisnęła powieki, pragnąc, żeby zamilkł. Pragnąc, by jakimś sposobem to wszystko okazało się snem, z którego obudzi się następnego ranka bez odrobiny żalu.

Potem Win pieścił ją, dotykając tak, jak lubiła być dotykana. Usiadła na brzegu łóżka, podczas gdy on klęczał na materacu za nią, wymasowując z jej ramion zalegające napięcie, zagłębiając kciuki z właściwą siłą. Jego ręce były takie wprawne, takie gładkie, takie zręczne.

A teraz, gdy sięgnął do przodu i pieścił jej piersi, jego usta także odnajdywały najwrażliwsze miejsca na jej karku, przesuwając się w dół po jej kręgosłupie z leciutkim drganiem języka. Zatrzymał się przy jej talii, otaczając ją ramionami i delikatnie przewracając na plecy.

; Tam, gdzie jego kciuki bawiły się jej brodawkami, teraz jego język wywoływał w nich mrowienie, które kazało jej myśleć o rozkosznym uczuciu ciepła spływającego mleka, kiedy karmiła Chrisa.

Było więc najłatwiejszą rzeczą na świecie rozchylić nogi i wprowadzić Wina w siebie. Łatwiejszą niż wszystko, czego próbowała dokonać przez wiele miesięcy od ostatniego razu, kiedy ona i Win tak leżeli. Czuła przy swojej szyi jego przyspieszony oddech i swoje ciało, odpowiadające na jego głębokie, słodkie, doskonale odmierzone pchnięcia.

Narastające w niej subtelne napięcie było starą piosenką, którą grała wiele razy. Wiedziała dokładnie, kiedy się zatrzymać, kiedy przyspieszyć, jak rozciągnąć każdą nutę, by przedłużyć przyjemność swoją i jego. Kiedy skończyła chwilę przed nim, było to o wiele żywsze niż kiedykolwiek zdarzyło jej się z Winem, zdając się rozdzierać jej wnętrze, jak krzyk, który wydarł jej się z gardła.

Dopiero gdy jej drzenie ustało, gdy leżała w jego ramionach, z wysiłkiem łapiąc oddech, Grace przyszło na myśl, że było to tak żywe częściowo dlatego, iż powstrzymywała się przed szczytowaniem dłużej niż zazwyczaj mogła. Nie tylko po to, by przedłużyć własną przyjemność - także z obawy.

Bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby zupełnie poddała się Winowi.

## ROZDZIAŁ 19

Nola wyjrzała przez frontowe okno i poczuła, że całkiem przytomnieje. Reporterzy! Naliczyła przynajmniej pięciu - niektórzy w towarzystwie operatorów, uzbrojonych w minikamery - zebranych na zewnątrz na chodniku, popijających z parujących papierowych kubków. Jeden z nich, przysadzisty mężczyzna w trenczu, podniósł wzrok i popatrzył z ukosa, próbując dojrzeć wysoką, niewyraźną sylwetkę, wyglądającą zza półprzejrzystych zasłon.

Boże wszechmogący, siódma rano, nawet jeszcze nie wyszorowała zębów, a oni już gromadzą się do ataku. Grace albo Ben, albo ktoś z tego wydawnictwa musiał się wygadać o mamie i Genie.

Czy nie przed tym się chowała? Przed czym ostrzegał ją Ben? Przed gromadzącymi się hienami, gotowymi rozszarpać ją na strzępy, jeszcze zanim ukaże się książka Grace.

Telefony, którymi nękali ją dziennikarze przez ostatnich parę miesięcy, jeśli tylko odgrzebali jakikolwiek brud na temat przypadkowej śmierci Neda Emory'ego, były niczym w porównaniu z tym, co teraz będzie.

Sama się o to prosiłaś, przypomniał jej zimny głos.

- Mamo? - Tasha, jeszcze w piżamie, przyczłapała do okna ziewając. - Kim są ci wszyscy ludzie?

- Nikt, kogo znamy - powiedziała Nola, przyciągając blisko jej ciepłe ciało, wdychając jej zapach tuż po przebudzeniu.

- Ale na co oni czekają? - obstawała Tasha.

Na moją skórę, pomyślała Nola. - Chcą rozmawiać z twoją starą mamą - powiedziała, starając się, by wydawało się, że to nic takiego. - Możesz w to uwierzyć? No, gdybym tylko potrafiła zmusić ciebie i twoją siostrę, żebyście mi poświęcały aż tyle uwagi.

Oczy Tashy rozszerzyły się, a jej kciuk błąkał się przy ustach, najwidoczniej umierając z chęci, by go wessano.

- Czy to przez Bena?

Nola doznała uczucia zapadania się w środku, jak gdyby była w windzie, która właśnie wystrzeliła sześć pięter w górę. Tak to wygląda w oczach dziecka. Tasha myśli, że wszystko tak wielkie i prawdopodobnie przerażające musi pochodzić od nowej komplikacji w życiu jej matki: Bena Golda.

- Z pewnością nie - powiedziała jej Nola.

- Wfamo?

- Tak, skarbie?

- Czy Ben będzie naszym nowym tatusiem? - Powiedziała to dokładnie takim samym tonem, jakim zapytała, kiedy pediatra miał jej właśnie zrobić zastrzyk: „Czy to będzie bolało?”

Nola czuła, że zaciska jej się gardło. Biedna Tasha, taka zwarzona i zmartwiona, jak mała staruszka o krok od utraty renty. Ona tylko głośno wypowiadała to, co Nola wiedziała w głębi ducha, wiedziała niemal od początku. Czy to dopiero trzy tygodnie od ich pierwszej randki? Jak jazda kolejką górską, która trwa tylko parę minut, ale wydaje się, że stulecie; gorączka romansu z Benem zniekształciła jej poczucie czasu. Ale niezależnie od tego, jak przyjemnie jest w kolejce górskiej, przypomniawszy sobie, zawsze jest się zadowolonym, kiedy się zatrzymuje.

- Nie, dziecino - powiedziała łagodnie. - Ben nie będzie waszym tatusiem. A to - wskazała gestem scenę za oknem - to także nic, czym miałabyś się martwić. - Tasha i Dani wiedziały o swoim dziadku tylko to, że zmarł na długo przed ich narodzeniem. Nie powiedziała im, kim był, jeszcze nie. Będzie musiała to zrobić teraz, dzisiaj, wcześniej niż zamierzała. Ale nie tak. - A gdzie jest Dani? Już wstała?

- Powiedziałam, że się spóźni do szkoły, ale ona nie chciała wstać z łóżka. - Tasha, w swojej imitacji pedantycznej nauczycielki - usta zasznurowane, zadarty podbródek - potrafiła rozśmieszyć Nolę do łez. Jednak musiała zagryźć usta, by nie urazić córki.

- Wiesz co? - Nola przybrała radosny uśmiech. - Dani może spać dalej. A ty możesz oglądać telewizję, jeśli chcesz. Dzisiaj nie ma szkoły.

Tasha zmrzyła oczy, wyczuwając coś, co mogło być zbyt piękne, by było prawdziwe. - Jak to się stało, że nauczycielka nam nie powiedziała?

- Ponieważ to nie nauczycielka decyduje, co jest dla ciebie najlepsze - lekko trzepnęła Tashę po pupie. - A teraz dalej, ubierz się, gdy ja będę robić śniadanie.

Czterdzieści minut później dziewczynki - nakarmione i ubrane - i Florene usadowiły się przed telewizorem, zaś Nola była gotowa wkroczyć do boju. Miała na sobie długą, czarną wełnianą spódnicę i czerwony żakiet o wojskowym kroju, przynajmniej od pięciu lat niemodny. Wychodząc przez frontowe drzwi zobaczyła, że gromadka reporterów powiększyła się. Teraz musiało ich być kilkunastu. I wszyscy napłynęli ku niej falą, wypychając jej kamery i mikrofony w twarz, jazgocząc i wydzierając się do niej.

- Panno Emory... czy potwierdzi pani, że senator Truscott był pani ojcem?

- Czy wiadomo pani, że wdowa po senatorze zaprzecza pani twierdzeniu?

- Dlaczego czekała pani tak długo, by ogłosić to publicznie?

- Czy to prawda, że zawarła pani umowę z Cadoganiem na udział w zyskach z książki?

Nola znalazła się w wirze, niemal przewróciła krępa kobietę o zapadłych policzkach, ściskającą miniaturowy dyktafon. - Nie mam nic do powiedzenia - powiedziała podniesionym głosem, by być słyszana ponad wrzawą. - Z wyjątkiem tego, że tak, senator Truscott był moim ojcem. I nie, nie zawarłam żadnej umowy. A teraz, jeśli mi wybaczycie... muszę iść do pracy - próbowała się przedrzeć, ale reporterzy nie ustępowali.

- Czy senator ma inne pozamałżeńskie dzieci, o których pani wie?

- Czy skontaktowała się pani z jego rodziną?

- Czy uważa pani, że jest pani uprawniona do spadku po ojcu?

Nola potrząsała głową, nie, nie, nie. Przepychając się obok szpakowatego mężczyzny, którego rozpoznała z Channel 4, tego, który zawsze wyglądał, jak gdyby przesłuchiowano go do roli członka brytyjskiej rodziny królewskiej, zauważyła, że żuje gumę, jak gdyby to był hamburger.

- Czy to prawda, że pani firma została wybrana do zaprojektowania biblioteki Eugene'a Truscotta?

Niewinnie brzmiące pytanie spadło na Nolę z hukiem piorunu. Nogi zachwiały się i zadrżały pod nią, twarz oblała się nagłym gorącem. Skąd to się wzięło? Wyniki konkursu nie zostały jeszcze ogłoszone. Czy to tylko prowokacja, by powiedziała coś, czego nie powinna powiedzieć?

- Musi pan zapytać mojego szefa; nie jestem zaangażowana w ten projekt - odpowiedziała zwięźle, wzdrając się jak gasnąca żarówka.

Kłamstwa. Dlaczego dalej musi kłamać?

Jednak Nola wiedziała dlaczego. Ponieważ, gdyby nie zachowała tego ostatniego sekretu, jej biblioteka nigdy nie zostałaby zbudowana. Cordelia Truscott i reszta komitetu odrzuciliby jej projekt natychmiast.

- Panno Emory...

- Tylko jedno pytanie...

- Czy pani wie...

Była dotkliwie świadoma ich obecności, ich napastliwych głosów, zapachu wilgotnej wełny i ciepłej kawy, unoszącego się wokół nich, gdy oddalała się w pośpiechu. Ale nie śmiała zatrzymać się i odwrócić, nie śmiała nawet ukazać im swojej twarzy, ponieważ mogliby odczytać z jej wyrazu, że z jej ust padają nie tylko słowa prawdy, jak to usiłuje udawać.

## O

- Widziałem cię w wiadomościach o szóstej. Byłaś cudowna. Nie pozwoliłaś im się pobić. Naprawdę byłaś na wierzchu.



Ben, leżąc obok Noli na jej wielkim łóżku, pociągnął ciepłą dłońią po wewnętrznej stronie jej uda, zatrzymując się, by potrzeb kciukiem lekkie wgłębienie, jakie pozostawiły jej majteczki, kiedy niecierpliwie ściągał je przed chwilą.

Nola zadrżała. Dopiero co skończyli się kochać, a on znów ją podniecał. Dziewczyno, weź się w garść. - Lubisz, kiedy jestem na wierzchu? - nagabywała go.

Ben zaśmiał się. Przesunął rękę jeszcze wyżej, bawiąc się sprężystymi włosami między jej nogami, nadal wilgotnymi po miłości. Ale umknęła mu.

Żadnego więcej skakania nogami do przodu. Musi zacząć używać głowy.

Tego ranka czujny wyraz twarzy Tashy, gdy zapytała o Bena, umocnił postanowienie Noli. Ben i ona - to nie może trwać. Bez względu na to, jak cudowny jest w łóżku.

Ale było to jak podjęcie decyzji o przejściu na dietę... i nagłe uczucie, że przedtem człowiek musi zjeść każdą zakazaną rzecz, jaka istnieje. W tej chwili chciała go bardziej niż kiedykolwiek.

Nola westchnęła. - Chcesz znać prawdę? Nie byłam tak na wierzchu, jak myślisz. Właściwie byłam całkowicie roztrzęsiona.

- Najważniejsze, że dzięki temu sprzeda się dużo książek. Nawet jeśli przyspieszymy wydanie książki, stracimy trochę siły rozpędu. - Zamilkł, z tym zamyśleniem, które ostatnio często gościło na jego twarzy. Poważny, niemal posępny. Czy on również zastanawia się nad tym, jak skończyć ten związek?

- Ben, co się stało?

Skłonił go, żeby to powiedział. W ten sposób sama nie wyjdiesz na taką złą.

- Nic - powiedział, przewracając się na plecy.

Nola usiadła i spojrzała w dół na niego. - Nie mów. Jesteś taki od dwóch tygodni. W jednej chwili radosny jak skowronek, w następnej zachowujesz się jak człowiek, którego ajatollah obłożył kłatwą. Co się dzieje?

Ale przecież wiedziała, czyż nie? Ben, pod maską czarującego spokoju, był przestraszony. Rola taty w rozbitej rodzinie wyraźnie nie była w jego guście. Pomyślała o ubiegłym tygodniu, kiedy Ben zabrał je wszystkie do kina, a Dani przez pół filmu marudziła, że jest zmęczona i chce pójść do domu. Ben wydawał się tak rozdrażniony, jak gdyby resztkami sił powstrzymywał się, by nie warknąć na Dani - że Nola miała ochotę warknąć na niego: człowieku, jeśli nie znosisz gorąca, to po kiego groma pchasz się do kuchni.

Dziewczynki - one też się w tym połapały. A może od początku wiedziały to, co jej zabrało tyle czasu - że Ben mają gdzieś. Chyba że po prostu w ogóle nie lubi dzieci.

W każdym razie nie mogła ryzykować, że Ben okaże się drugim Marcusem, który dzwonił tylko, kiedy serce się w nim poruszyło - mniej więcej tak często, jak często przypominał sobie o urodzinach własnych córek.

- Tak tylko myślałem - powiedział Ben.

- O czym?

- O tym, o ile to wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś mnie posłuchała.

- Chcesz powiedzieć, gdybym pozbyła się tych listów? Spuściła za nimi wodę w toalecie? Wrzuciła je do ognia? Ben, one są ważne. I to nie tylko dla mnie.

- A co ze mną? - mówił spokojnie, ale w jego głosie brzmiała nieprzyjemna nuta. - Gdzie ja się mieszczę w tym wspaniałym porządku rzeczy?

- Nie wiem, Ben - powiedziała spokojnie. - Dlaczego ty mi nie powiesz?

A gdybym powiedział jej prawdę, pomyślał Ben. Że nie jestem miłym facetem, jakiego udaję?

Ale to nie byłaby cała prawda, wiedział to. Bardziej niż to, że Nola oddała listy Grace - co wówczas go przybiło, ale teraz straciło trochę na znaczeniu - przerażała go myśl, że istotnie może być w niej zakochany. I jeśli nie zrzuci tego z piersi, eksploduje.

- Chryste, Nola, nie rozumiesz tego? - jego oczy błysnęły w ciemności. - Tak się to wszystko zaczęło. My,

ja i ty. Wykorzystywałem cię. Miałem nadzieję, że " przekażesz te listy mnie, żebym mógł odgrywać bohatera w firmie...

Benowi waliło serce. Go on mówi? Co on robi? A jednocześnie drzemał w nim jakiś okruch nadziei, że Nola wykorzysta to jako pretekst, by z nim zerwać. Ponieważ Bóg wiedział, że sam nie będzie miał na to odwagi. Tkwił w tym głęboko... i każdego dnia wpadał coraz głębiej.

- Ale po drodze zdarzyło się coś zabawnego - ciągnął Ben, naraz niezdolny pogodzić się z tym, że Nola źle o nim pomyśli. - Zaczęło mi... zależeć - nie mógł się zmusić do użycia słowa „miłość”, ono po prostu nie istniało w jego słowniku. - Jezu, to ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Żona, dzieci, gotowa rodzina. Tatuś od siedmiu boleści. Nie dla mnie. Niech to cholera! - walnął pięścią w poduszkę obok siebie.

Nola czuła, jak wpełza w nią zimno. Zadrzała i owinęła się prześcieradłami i kocami, wiedząc, że jej nie rozgrzeją. Wiedziała, że powinna być wściekła, że ją wykorzystał, że próbował ją oszukać, ale z jakiegoś powodu czuła teraz... litość.

Dla niego, Bena, małego, zagubionego chłopca, do którego ciągnęło ją od samego początku. Chciała go objąć, pocieszyć. Może rzeczywiście go kochała... przez krótką chwilę.

Ale teraz to skończone. Naprawdę skończone. Wynanie Bena było dla niej tylko ostatnim przystankiem w pociągu, który nie jechał tam, gdzie chciała się znaleźć.

- Może jesteś we mnie zakochany... ale to nie to samo, co miłość - powiedziała tak łagodnie, jak potrafiła. - Kiedy jesteśmy razem, robimy głównie... to - przesunęła ręką po zmiętej pościeli.

- Mówisz, że to zawsze znaczyło dla ciebie tylko to? Seks? - jego głos wzniósł się rozdrażniony.

Odezwał się w niej dzwonek alarmowy. Marcus również, kiedy się kłócili, przekreślał wszystko, co mówiła. - Czyż nie rozumiesz? - Nola czuła, że opanowuje ją

wielkie znużenie. - Mam dwie dziewczynki. W tej chwili są u Florene na górze, gdzie ostatnio spędzały o wiele za dużo czasu. Ben, mam rodzinę, o którą muszę się troszczyć. Pracę, której nie wykonywałam, ponieważ byłam zbyt zajęta tobą. Nie mogę dla ciebie odstawić w kąć ani mojej pracy, ani dziewczynek.

- Kto cię o to prosił? Mógłbym wprowadzić się do ciebie albo moglibyśmy razem znaleźć mieszkanie. - Ben nie mógł uwierzyć, że te słowa wypływają z jego ust. Skąd one się biorą?

Jakąś częścią duszy pragnął je cofnąć... i zrobić wszystko, co będzie w stanie, by zapomnieć, że kiedykolwiek spotkał Nolę. Za bardzo niezależna, całkowicie panowała nad sobą. A teraz, do cholery, zdawało się, że panuje nad nim.

- Ben, przestań - ostro powiedziała Nola. - Nie chciałeś tego powiedzieć.

- Nigdy w niczym nie byłem bardziej poważny - desperacja w jego głosie niemal ją przerażała.

- Ubiorę się teraz - powiedziała, przesuwając się na brzeg materaca. - I myślę, że byłoby dobrze, żebyś ty poszedł do domu.

Zaczęła się podnosić, ale on chwycił ją za ramię i przewrócił, niemal szarpiąc, na plecy.

- Ben, co ty...

Spoglądając w dół na nią, z twarzą zaciętą, wykrzywioną, zapytał: - Co ty mówisz, Nola?

- Mówię, że czas, żebyś poszedł do domu.

- A potem co?

- Potem porozmawiamy o tym za dzień czy dwa, kiedy oboje będziemy mieli szansę to przemyśleć.

- Do cholery, Nola, ja rozpruwam przed tobą duszę, a ty potrafisz powiedzieć tylko: „porozmawiamy o tym”?

- Ben, wkładasz w to rzeczy, które nie istnieją. W każdym razie oczywistym faktem jest, że ledwie mnie znasz. Jak długo się znamy? Całe trzy tygodnie?

- No to co? Nie mówię, że powinniśmy się pobrać. I czy nie byłoby łatwiej, gdybyśmy mieszkali razem?

- Pod pewnymi względami, może. Ale...
- Po prostu daj mi odpowiedź, tak lub nie. Czy to takie trudne, Nola?
- Tak, to jest trudne.
- Dlaczego? Dlaczego musi być trudne?
- Ponieważ naciskasz na mnie, a ja tego nie lubię.

Panika zdawała się rozszczeplać jego twarz na dwoje, jedna połowa to osłupiałe z rozczarowania dziecko, któremu ktoś popsuł szyki, druga to byk, który musi postawić na swoim.

Nagle całym ciężarem znalazł się na niej, cisnąc w dół, rozgniatł ustami jej usta, aż z trudem oddychała.

- Ben... nie, nie, nie tak - wydyszała.

Nola nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Ben przytrzymał ją, siłą rozsuwając kolanem jej nogi. Było to niemal tak, jak gdyby... ją gwałcił.

Nie może być. Nie mógłby mi tego zrobić.

Ale jego palce wciskały się teraz w nią, a ona miała ochotę okładać go pięściami, drapać i gryźć.

- Przestań! - krzyknęła, skręcając się pod nim, szukając oparcia na jego piersi, by odepchnąć go od siebie.

Ale był za silny... i brutalny, taki brutalny. Niemal jak gdyby stał się kimś innym, kimś obcym, rozsuwającym jej nogi, by w nią wejść. Czowała jego paznokcie drapiące jej skórę. Próbowwała mu pomóc, byle tylko powstrzymać ból... ale on odepchnął jej rękę i burknął: - Niech cię diabli, Nola - nie przestając się w niej gwałtownie poruszać, silnymi pchnięciami wbijając jej kręgosłup w materac, podczas gdy pot skapywał z jego twarzy na jej zaciśnięte powieki.

- Zejdź... ze... mnie.

Przedtem Nola czuła się wstrząśnięta, wystraszona... ale teraz była wściekła, była rozpalonym do białości strumieniem gniewu. Jak on śmie!

Usłyszała jego okrzyk i z ostatnią drżącą falą, którą odczuła aż w łędźwiach, rozluźnił swój straszliwy uścisk. Potem jednym płynnym ruchem stoczył się z niej i z brzegu materaca. Patrzyła, jak błądy trójkąt jego pleców

zapada się i wynurza z cienia, gdy gmerał w półmroku w poszukiwaniu spodni i wciągał je.

Nola, drżąca, z zębami zaciśniętymi, by nie dzwoniły, poczołgała się na brzeg materaca i zwlokła się z łóżka, chwytając jeden z pantofli z lakierowanej skóry, które leżały rozrzucone na podłodze. Stała na szeroko rozstawionych nogach - drżały tak mocno, że tylko w ten sposób mogła utrzymać równowagę. Ale kiedy Ben odwrócił się do niej twarzą, z miną nie tylko nie skruszoną, ale właściwie urażoną, jak gdyby to jego skrzywdzono, nagle poczuła w sobie furję. - Co to, do diabła, miało znaczyć?

- Myślałem, że lubisz tak ostro.

Jeszcze gdy to mówił, Ben poczuł się jak gangster z filmu klasy B, wypowiadający kwestie, które nie miały z nim nic wspólnego. Chryste, czy on naprawdę to zrobił? Czy jest kimś lepszym od tego ścierwa Rogera Younga?

Zniweczył teraz wszelkie szanse, by ją kiedykolwiek zdobył. Dlaczego to zrobił?

Boisz się, Ben - oto dlaczego. A gdyby wzięła cię za słowo? Byłbyś wtedy udupiony...

- To był gwałt - sapnęła. - Jezu, w dzisiejszych czasach uczą licealistki, żeby nigdy facetom na coś takiego nie pozwoliły, ani też, żeby żadnemu gnojkiowi coś takiego nie uszło na sucho.

- Och, daj spokój Nola. Przecież nie jesteś dzieckiem.

Nola rzuciła w niego pantoflem, ale chybił celu o dobre dziesięć centymetrów. Usłyszała głuchy odgłos, gdy lampa ze stolika nocnego uderzyła o podłogę, a potem okropny dźwięk tłukącego się starego szkła. Widząc swą cenną lampę leżącą w postaci wyszczerbionych skorup na podłodze, poczuła szarpnięcie we wnętrzościach, jak gdyby wewnątrz niej również coś pękło.

- Ty draniu! - chwyciła swoją bluzkę, przewieszoną przez nogi łóżka i wciągnęła na siebie. Jej palce drżały i ześlizgiwały się po jedwabiu, gdy z wysiłkiem próbowała przepchnąć guziki przez dziurki. - Nie mogę uwierzyć,

że dałam się w to wciągnąć. Spędziłam połowę życia, starając się uciekać od mężczyzn takich jak ty.

- To stąd ten dystans? Mam płacić za grzechy twojego byłego męża?

Nola wyobraziła sobie teraz, jak pociąga w dół czerwony uchwyt hamulca bezpieczeństwa. - Wynoś się! - powiedziała, zgrzytając zębami.

- Nola, zaczekaj, ja nie chciałem... - wyciągnął rękę, jak gdyby na przeprosiny.

- Wynoś się - okrążyła łóżko i podniosła podstawę starej lampy, która w jej ręce robiła wrażenie zimnej i ciężkiej. Miała ochotę się rozpłakać, ale zbyt była wścicka, głównie na siebie, za to, że pozwoliła sobie na zauroczenie tym mężczyzną. - Daję ci trzydzieści sekund na to, żebyś się ubrał i wyniósł dupę za drzwi. Albo dzwonię na policję.

Podniósł ku niej umęczoną twarz z wykrzywionymi ustami, nadającymi mu wygląd chimery. - I każesz mnie aresztować? Dalej, Nola. Pomyśl, jaka to będzie wspólna historia.

Zadrzała, myśląc o dniach, gdy rozkoszowała się jego dłońmi na swoim ciele, gdy chciwie otwierała się dla niego. - Czas minął - powiedziała. Czuła się dziwnie pusta. Gniew zniknął, pozostawiając tylko znużenie do szpiku kości. Nawet po tym, co zrobił, po tym, co powiedział, jeszcze coś w jej duszy współczuło Benowi.

- Nie martw się, już mnie tu nie ma. Jest tylko jedna rzecz... - Z marynarką przewieszoną przez ramię odwrócił się, oczy błyszczały mu od nie wylanych łez. - Wiem, że prawdopodobnie w to nie uwierzysz, ale naprawdę myślałem to, co przedtem powiedziałem. To o zamieszkaniu razem i o... - zamilkł.

- O tym, że mnie kochasz? - dokończyła, choć nie mogła sobie przypomnieć, by kiedyś rzeczywiście wypowiedział te słowa. Głosem pełnym ironii dodała: - Taak, wiem.

Dwa dni później, gdy rozmyślała nad szkicami Ronniego Changa do domu Schulmana, zadzwonił telefon.

- Nola, mógłbym cię zobaczyć w moim gabinecie?

Głos Maguire'a w jej interkomie wyrzucił ją z wysokiego stołka. A potem kluczyła między kolegami pochyłymi przy swoich deskach kreślarskich.

W swoim gabinecie - wesołej zbieraninie postmodernistycznych foteli, stołów, szafek na książki - szef przywitał ją ciepło, a jego szczupła, niepokojąca twarz miała wyraz ostrożnego entuzjazmu. - Właśnie otrzymałem wiadomość - powiedział. - Komitet Truscotta wybrał twój - poprawił się - nasz projekt...

Nola poczuła przypływ szczęścia... jak nawałnicę huraganu... omiatającego ją do czysta, do lśnienia. Czy dobrze usłyszała?

Następne słowa Maguire'a zmieniły ją w lód. - Ale jest pewna przeszkoda. Mają problem z funduszami. Więc... dopóki nie znajdą jeszcze jednego miliona czy coś koło tego, trwamy w zawieszeniu.

- Co to znaczy? Jak długo to potrwa?

Uświadomiła sobie, że drży. Od przedwczorajszej nocy, od tamtej paskudnej sceny z Benem, była napięta, zdenerwowana, podskakiwała za każdym razem, kiedy ktoś wypowiadał jej imię.

- Po pierwsze, dopóki cały ten hałas nie ucichnie. - Uśmiech, którym ją powitał, opadł teraz z jego twarzy. - A potem, kto wie? Jak tylko komitet zwietrzy, że tu pracujesz... - zawiesił głos.

Czy ją wylewano? Czy to dlatego ją tutaj wezwał?

Nola oplotła się ramionami, jak gdyby w ten sposób mogła powstrzymać swój dygot i szalone bicie serca.

- A czy jeszcze nie wiedzą? - przypomniała sobie, jak przedwczoraj jeden z reporterów starał się ją zdybać pod biurem.

- Jeśli wiedzą, nikt mi nic o tym nie powiedział.

- Więc mówisz, że to tylko kwestia czasu.



- Nola, nie rozmawiamy o śpiących dyrektorach jakiejś firmy ubezpieczeniowej. Nadziałaś się na Cordelię Truscott. Czy możesz sobie wyobrazić jej reakcję, kiedy się dowie, że jesteś choćby w -sposób odległy związana z tym projektem?

Nola chciała się spierać, ale wiedziała, że szef ma rację. Nie mogła również zarzucać mu przesady. Nawet kiedy się dowiedział, że jest córką Eugene'a Truscotta - powiedziała mu dzień przed tym, jak ukazało się to w gazetach - jego odpowiedź była dziwnie kwaśna, ale dodająca otuchy: - Nie powiem, że powinienem był wiedzieć... ale pod pewnymi względami nie jestem zaskoczony. Masz na sobie to piętno, Nola. Daleko zajdziesz. Po części dlatego, że nie boisz się być inna.

Inna. Czy to dlatego przez większość swego życia miała wrażenie, że płynie pod prąd? Dlaczego często patrzyła na rzeczy do góry nogami, zamiast z właściwej strony, do góry?

To ten rodzaj odwrotnego myślenia spowodował, że teraz coś się w niej odezwało. Cordelia Truscott. Przypuśćmy, że się jeszcze nie dowiedziała? A gdyby ktoś rzeczywiście jej powiedział - nie tylko, że Nola Emory pracuje u Maguire'a, Changa i Fostera, ale że to ona stworzyła zwycięski projekt?

A gdybym to ja była tym kimś?

Szaleństwo? Być może. Ale czy nie lepiej działać od razu, zaryzykować, bez względu na to, jak nikłe ma szanse wygranej? Ponieważ istnieje szansa, jakkolwiek niewielka, że zdoła przekonać Cordelię Truscott, iż tylko ona, ciało i krew senatora, może stworzyć jego bibliotekę taką, jaka powinna być. Jak ubranie, skrojone dokładnie na jego miarę, jej projekt będzie wcielał każdą zasadę, jakiej on bronił, każdą walkę, jaką stoczył, każdy ideał, do jakiego aspirował.

- Masz rację, Ken -jej myśli, tak jak jej puls, pędziły galopem. - Ona musi wiedzieć, że to mój projekt.

Patrzyła, jak Kenowi opada szczęka. - Nie miałem na myśli...

Nola powstrzymała go nagłym, zamaszystym gestem. - Gdybym spotkała się z nią twarzą w twarz... zmusiła ją, by zrozumiała, że jestem jedyna, która może to zrobić dobrze... Och, Ken, czy ja śnię? Czy nie ma szansy, że ona się zgodzi?

- Nola, wiem, co to dla ciebie znaczy - powiedział. - Ale w tym interesie rzadko otrzymujemy to, co chcemy. Pewnie, to fantastyczna okazja. I biblioteka najprawdopodobniej zostanie zbudowana... gdzieś po drodze. Tylko to może być nie twój projekt. Wiem, to frustrujące, ale takie jest życie, nie?

Podszedł do niej i po raz pierwszy w życiu otoczył ją ramieniem. Ale chociaż jej ciało - z każdym nerwem otartym do żywego po napaści Bena - automatycznie stężało, wiedziała, że Ken we właściwy sobie niezręczny sposób jest tylko miły. Mówiąc jej w miły sposób, że jeśli będzie dość szalona, by zbliżyć się do Cordelii Truscott, jej biblioteka przed zbudowaniem legnie w gruzach.

Ale czy to nie znaczyło, że powinna zapomnieć o tym wszystkim, wykreślić ten projekt ze swojej świadomości? Po wszystkich tygodniach i miesiącach ślęczenia nad deską do północy, po marzeniach i tęsknotach, że jakimś cudem będzie stanowić jedność z ojcem? Nie, tego nie była w stanie znieść. Nie chciała!

- Życie polega również na tym, że robisz coś głupiego, bo nie masz nic do stracenia - powiedziała mu Nola, potem odwróciła się i wyszła.

Gdy wróciła na swoje stanowisko pracy, podniosła słuchawę i wystukała numer Grace. Grace odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

- Cześć - powiedziała Nola. - To ja.

- Cześć. Jak się trzymasz?

Zdawało się, że zakwitła między nimi dziwna więź. Jesteśmy jak dwaj żołnierze, kulący się w tej samej lisiej norze, pomyślała Nola. - Dobrze - skłamała. - A ty?

- Przeżyję. Ale słuchaj, jeśli mogę coś zrobić, żeby ci pomóc...

- Nie pytaj dlaczego - wpadła jej w słowo Nola - ale muszę złapać twoją matkę. Mogłabyś mi dać jej numer telefonu?

Usłyszała gwałtowne sapnięcie po drugiej stronie linii, ale Grace, niech ją Bóg błogosławi, nie wypytywała. - Matka jest tutaj, w Nowym Jorku - powiedziała Noli. - Mieszka u mojego byłego męża - wyrecytowała numer telefonu i adres.

Nola pożegnała się pospiesznie i rozłączyła. Gdy wystukiwała numer, który podała jej Grace, czuła, że jej oddech staje się płytki i urywany. A jeśli Cordelia odłoży słuchawkę? Słuchając głuchego dzwonięcia po drugiej stronie, Nola sama była bliska odłożenia słuchawki.

Potem słodki, niemal śpiewny głos wszedł na linię. Głos, który rozpoznała natychmiast jako należący do niewysokiej, zawsze nienagannie ubranej kobiety, która zatrzymywała się przy biurku mamy, żeby powiedzieć dzień dobry po drodze do gabinetu swego męża.

- Halo? - powiedziała teraz.

A Nola, znów stając się małą dziewczynką z książką do kolorowania i kredkami, skuloną poza zasięgiem wzroku za biurkiem matki, nagle oniemiała.

- Kto mówi? - głos Cordelii zaczynał brzmieć niecierpliwie, podejrzliwie.

Nola wzięła oddech. - Tu Nola. Nola Emory - skoczyła głową naprzód. - Miałam nadzieję, że mogłybyśmy się spotkać. Tylko żeby porozmawiać. Proszę. To ważne.

Nastąpiła pauza, podczas której Nola czuła, że się prostuje na krześle i na powrót staje się dorosłą kobietą.

Potem Cordelia powiedziała cicho, ale z niewątpliwą stanowczością: - Nie sądzę, żeby było coś, o czym musimy porozmawiać, panno Emory. Jeśli o mnie chodzi, pani już całkiem jasno wyraziła swoje stanowisko.

- Jest coś więcej. Rzeczy, o których pani nie wie. Proszę.

- Czy chodzi pani o pieniądze? Czy tylko o to w tym wszystkim chodzi? - wydawała się poruszona, jak gdyby była o krok od tego, by wpaść w złość.

- Nie! - warknęła Nola, zgorzozona. - Niczego od pani nie chcę. Nigdy nawet nie chciałam tej... całej tej sytuacji - zniżyła głos, starając się odzyskać panowanie nad sobą.  
! - Więc czego pani chce?

- Po prostu spotkać się z panią. Porozmawiać. Dziesięć minut. To wszystko. Mogę być tam za - zerknęła na swój zegarek - za pół godziny.

- Nie. Nie tutaj. Mój wnuk...

- Wobec tego w parku. Na placu zabaw przy Sześćdziesiątej Siódmej.

Żadnej odpowiedzi. Ale też nie odłożyła słuchawki.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym sprawiać pani przyjemność. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- A może zdecyduje pani o tym, kiedy mnie pani wysłucha?

Długa cisza zdawała się owijać wokół Noli, jak gdyby ściany jej niszy naciskały na nią, uniemożliwiając oddychanie.

- Będę tam - powiedziała w końcu Cordelia.

Płuca Noli otwarły się. Poczowała przyprawiający o zawrót głowy żar, rozgrzewający ją całą, doznała także dziwnego wrażenia wyzwolenia z pęt, jak gdyby pokonała przyciąganie ziemskie. A może było na odwrót - może była szalona przez całe życie, a teraz w końcu odzyskiwała zmysły?

## ROZDZIAŁ 20

Pełną minutę po tym, jak odłożyła słuchawkę, Cordelia siedziała wpatrując się w nią, jak gdyby była to jadowita żmija, która ją ukąsiła. Czy naprawdę zgodziła się spotkać z tą kobietą? Och, o czymże ona myślała?

Próbowała przywołać wspomnienie smutnej małej dziewczynki, na którą od czasu do czasu zerkała, bawiącą się u stóp matki. Ale obraz, jaki jej się nasuwał, był obrazem wysokiej, imponującej kobiety, którą widziała ostatniego wieczoru w telewizji. Kobiety, która spojrzała prosto w kamerę i powiedziała: „Tak, senator Truscott był moim ojcem”.

Cordelia miała ochotę wymazać tamten obraz i tamte słowa, nawet jeśli teraz chciała uciszyć głęboko w sobie cichy głos rozsądku, który pytał: Dlaczego miałyby kłamać?

Win? Gdzie jest Win? On by wiedział, co robić. Czyż przedwczoraj wieczorem nie uporał się z tymi reporterami, którzy, nie mogąc dosięgnąć jej w Blessing, dzwonili tutaj w nadziei, że porozmawiają z jej prawnikiem? Win dopilnował, by trzymali się z daleka, odpowiadając na ich okropne pytania o Gene'a tak gładko, jak z wyuczonego na pamięć skryptu.

Ale Win jest w swoim biurze... a Nola nie jest reporterem. Musiała podjąć decyzję samodzielnie. Tak, jak zawsze usiłowała to robić wobec każdego problemu, nieważne, jak grząskiego.

Usadowiona na sofie w pokoju gościnnym Wina, Cordelia zauważyła po raz pierwszy, odkąd przybyła, że jak na męski gabinet, gabinet Wina ma wygląd dziwnie wyszukany. Zielone półki na książki z pękatymi fajansowymi figurkami, rozstawionymi strategicznie tu i ówdzie pośród bestsellerów w jaskrawych okładkach i grube, oprawione w skórę wydanie *Rejestru Towarzyskiego*. Naprawdę ohydna afrykańska maska na ścianie nad sofą - niewątpliwie pomysł jakiegoś dekoratora na to, co reprezentuje męskość. Nie widziała żadnego piętna, rozpoznawalnego jako odbicie Wina. Ale czy to dlatego, że nie znała go tak dobrze, jak sobie wyobrażała?

Pukanie do drzwi przestraszyło ją i serce w niej podskoczyło. - Proszę! - zawołała.

To był Chris, w swoich workowatych dzinsach i za dużym podkoszulku jak porzucone dziecko z niemego

filmu. Cordelia tęskniła za tym, by wziąć go w ramiona i obsypać pocałunkami. Ale on był na to za duży; tylko wprawiłaby go w zakłopotanie. Ostatnio Chris pozwalała na takie czułości jedynie psu, deptającemu mu po piętach, na pół wyrosniętemu złotemu retrieverowi o łapach tak dużych, że zdawał się potykać o nie, gdy podskakiwał i merdał ogonem u boku Chrisa.

- Dobrze się czujesz, babciu? - zapytał Chris, przystając i przyglądając się jej badawczo. - Wyglądasz trochę na... nie wiem, na chorą czy coś takiego.

Czy to tak bardzo widać? - zastanawiała się Cordelia. Musi zebrać się w sobie. Nie może dopuścić do tego, by Chris myślał, że coś jest nie w porządku. - Nie jestem ani trochę chora - powiedziała z wesołością, którą z trudem udawała, nawet po tak wielu latach praktyki. - Wiesz, kochanie, chociaż tak lubię Nowy Jork, to chyba trochę przesadzam. Wszystkie te muzea, galerie i domy towarowe... po prostu nie mogę nadażyć tak jak wtedy, kiedy byłam młodsza. - Nie mówiąc już o składaniu wizyt wszystkim jej i Eugene'a starym przyjacielom i kolegom, by spróbować uzyskać ich wsparcie dla biblioteki.

- Jasne, babciu - Chris przewrócił oczami. - Założę się, że mogłabyś wziąć udział w maratonie i przybiec przed wszystkimi.

- To - powiedziała, zachowując twarz wypraną z wyrazu - jest zupełnie możliwe.

Cordelia poczuła się wynagrodzona uśmiechem, który dostrzegła w kącikach jego ust. Ale Chris wciąż był czymś zmartwiony. Zdawała sobie z tego sprawę, odkąd przyjechała, ale miała nadzieję, że to tylko kwestia hormonów, krążących w amoku.

- Babciu... mogę cię o coś zapytać? - Chris ukląkł na dywanie przed sofą, by popieścić psa. Włosy opadły mu na twarz. - Czy lubisz moją mamę?

- Co za pytanie! - Jeśli nawet miało rację bytu, Cordelia skrzywiła się na to, że Chris odczuł potrzebę, by je zadać. - Na miłość boską, ona jest moją córką.

- Więc dlaczego mieszkasz tutaj?

- No cóż... to raczej skomplikowane, mój drogi. Twoja matka i ja... miewaliśmy nieporozumienia. Ale to nie znaczy, że się nie kochamy.

- Więc można kochać kogoś, a mimo to nie chcieć z nim mieszkać?

Cordelia uświadomiła sobie, że Chris nie mówi już o niej i o Grace. - No tak, chyba tak - powiedziała miękko, starając się stapać lekko jak po świeżo zasianym trawniku. - To zależy od okoliczności.

Podniósł wzrok i dostrzegła lśnienie łez w jego oczach. - Tata chce, żebym z nim mieszkał... ale ja nie wiem. Tęsknię za mamą. Byłoby mi naprawdę przykro powiedzieć jej, że wolałbym zostać tutaj.

- O Boże! - Cordelia, czując, że kręgosłup zaczyna jej się wyginać, zmusiła się, by usiąść bardziej prosto.

- Chris, czy powiedziałaś twemu ojcu, co czujesz?

- Tak jakby... no, właściwie tak - jedną chudą rękę owinał wokół szyi swego psa i przycisnął policzek do jego puszystej złotej krawatki. - Tata, on... uch, nieważne.

- Co powiedział tata?

- On nie chciał tego powiedzieć. On naprawdę nie zrobiłby tego.

- Chris, cokolwiek to jest, widocznie cię to trapi, więc dlaczego nie zrzucisz tego z serca? - mówiła łagodnie, nie chcąc go odstraszyć.

- Powiedział, że zrozumie, ale... - głos Chrisa, który przyciskał twarz do szyi psa, wydobywał się słaby i stłumiony. W końcu, podnosząc głowę, dokończył z dręczącym pośpiechem: - ...że gdybym wrócił do mamy, byłoby dla niego zbyt kłopotliwe trzymanie Cody'ego samemu.

Cordelia poczuła się zatrwożona. Win to powiedział? Jakie to straszne. Biedny Chris, nic dziwnego, że jest taki zdenerwowany.

Zaczęła widzieć Wina w innym świetle - nie jako troskliwego zięcia, który zawsze pamiętał o wysyłaniu jej kart na urodziny i Dzień Matki, i który tak doskonale nadawał się na rodzinne zgromadzenia... ale jako kogoś, kto niedbale, może nawet gruboskórnie, wywołał tę aferę.

- Ale twoja matka? Czy nie tęskniłaby strasznie za tobą? - Cordelię zaskoczyło odkrycie, że jest pełna współczucia dla córki, na którą była taka rozgniewana.

- Miałem jakby nadzieję... - Chris przygryzł dolną wargę.

- Chris, o co chodzi?

- O coś, co tata... - zamilkł. - Nie wiem, czy powinienem powiedzieć.

- Litości, w ostatnich paru miesiącach zwalono na mnie tyle zwierzeń, że wystarczy mi na całe życie - zdobyła się na blady uśmiech. - Przypuszczam, że jedno więcej nie zaszkodzi.

Nastała długa cisza, w trakcie której Chris był zajęty drapaniem Cody'ego za uszami, a kiedy przzerośnięty szczeniak przewrócił się na grzbiet, również po brzuchu. Potem powiedział słabym głosem: - Pamiętasz noc, kiedy tata został w biurze? Cóż, nie było go tam. Powiedział mi, że był u mamy. Spędził z nią noc.

Cordelia poczuła się nieco wstrząśnięta, nie tyle tym, co powiedział Chris, ile tym, że Win był tak niedyskretny. Rok temu, nawet miesiąc temu, byłaby pełna nadziei - tak, nawet rozradowana taką oznaką - że Grace i Win mogą się pogodzić. Teraz nie czuła ani podekscytowania, ani niechęci... tylko obojętność. Czy to zbliżające się, ciężące na niej jak głaz, spotkanie z Nolą Emory pozostawiało w jej sercu niewiele miejsca na cokolwiek innego?

- A ty masz nadzieję, że oni się zejdą? - zapytała łagodnie. - To rozwiązałyby wszystko, jeśli chodzi o ciebie, czyż nie?

- Miałem jakby nadzieję, że to się stanie - przyznał. - Ale z Jackiem i tym wszystkim... nie wiem. Babciu, co powinienem zrobić?

Była o krok od tego, by powiedzieć, że ona porozmawia z Winem, możliwe, że także z Grace, ale powstrzymała się. Czy nie dosyć się wtrącała? Czy nie pora, by usunęła się z życia swoich dzieci i pozwoliła im popełniać własne błędy?



- Powinieneś porozmawiać z rodzicami - powiedziała mu. - Powiedz im obojgu, co czujesz.

- Chcę być z tatą - powiedział jej z wyrazem głębokiego zmartwienia na twarzy. - Ale chcę być również z mamą.

- Cóż, wobec tego musisz to powiedzieć. I pozwolić im zdecydować, co będzie najlepsze. To zbyt wielki ciężar na młode ramiona musisz przejmować również problemy rodziców.

Chris przytaknął, ale jego twarz pozostała chmurna. Gdy powłócząc nogami wyszedł z pokoju, a w ślad za nim jego pies, Cordelia uświadomiła sobie, że sama powinna posłuchać własnej rady. Bądź uczciwy, powiedziała Chrisowi. Powiedz prawdę.

A czy ona była wobec siebie uczciwa? Czy unikała nawet spojrzenia na te listy dlatego, że była pewna, iż to wszystko kłamstwa... czy dlatego, że w głębi duszy obawiała się, iż mogą być prawdziwe? Ale może nie okaże się takie złe to, co w nich było? Może ostatecznie to przeżyje.

Cordelia wstała i sięgnęła drżącą ręką po plik kartek, które leżały na kredensie, odkąd tamtej nocy wróciła do domu od Grace. Wtedy była w strasznym stanie, ale teraz trochę spokojniejsza. A ponieważ zostało jeszcze kilka minut, zanim powinna udać się na spotkanie z Nolą, musi zobaczyć, co ją czeka, spojrzeć wrogowi w oczy, jeśli można tak powiedzieć. Czy nie to zrobiłby sam Gene? I Gabe także - on nigdy nie chował głowy w piasek.

Znalazła swoje okulary do czytania i włożyła je, zapadając się w głęboki fotel. Gdy przerzucała strony, a słowa skakały i zamazywały jej się przed oczyma, uderzył ją jeden akapit.

*Moja najdroższa Margaret,*

*Myslałem długo o tym, co mi powiedziałaś tamtego dnia, kiedy odprowadzałaś mnie na lotnisko. I nadał chcę, bardziej niż czegokolwiek, byśmy żyli*

*razem, jawnie. A jednocześnie muszę przyznać, że prawdopodobnie masz rację. Mogę sobie tylko wyobrazić, ile Cię kosztowało powiedzenie tego. Zależy mi również na Cordelii. Ale zawsze uważałem ją za silną, nie potrzebującą naprawdę ani mnie, ani nikogo innego. Trzeba było Ciebie, bym zrozumiał, jak głęboko byłaby zraniona, tak samo jak wielu innych, gdyby prawda o Tobie i o mnie miała wyjść na jaw...*

Cordelia upuściła kartkę, jak gdyby papier parzył jej dłonie. A teraz wezbrały łzy, gorące, piekące jej oczy i szczypiące nos. Potrząsnęła głową, z ręką przyciśniętą do ust, jak gdyby zaprzeczając tym słowom mogła sprawić, że znikną.

Nieemożliwe. Gene. Margaret. On nigdy. Nigdy. Tyle lat. Cały ten czas nie kochał jej. Wiedziałyby. Wiedziałyby.

Listy muszą być fałszywe. Tak, właśnie tak. Oczywiście. Win zasugerował jej to przedwczoraj, ale ona naprawdę nie wiedziała, co o tym myśleć. Teraz była pewna.

Gene nigdy nie mógłby ich napisać.

Kochał ją, nie Margaret.

Czyż nie?

Ale wtedy przypomniała sobie tamten okropny dzień, kiedy Gene zadzwonił do niej z domu Margaret, robiąc wrażenie zupełnie niepodobnego do siebie - roztrzęsionego, oszalałego, niemal rozhisteryzowanego.

- Cordelio, zabiłem człowieka. Próbowałem... On miał broń. Musiałem powstrzymać... Boże, dopomóż mi... to był wypadek.

I gdy jej własne serce goniło w panice, uspokajała go, mówiąc: - Oczywiście. Oczywiście, że to był wypadek. A teraz powiedz mi dokładnie, co się stało.

- Kiedy wyciągnęła z niego całą historię, doznała takiego druzgocącego wstrząsu, że musiała opaść na najbliższe krzesło, by się nie załamać. Potem, zbierając się w sobie, stwierdziła, że mówi z zadziwiającym

spokojem: - Słuchaj mnie uważnie. Przyjechałeś do Margaret dopiero kilka minut temu. To bardzo ważne, Gene, żebyś powiedział to zaraz, jak tylko zjawia się władze. Margaret zadzwoniła, żeby ci powiedzieć, że znalazła swego męża martwego, samobójstwo, a ty pojechałeś od razu. A teraz zadzwoń do swojego przyjaciela z FBI, Pata Mulhaneya, on ci pomoże. Jestem pewna, że nie muszę ci mówić, iż policję należy trzymać od tego z daleka.

- Ja... Cordelio, ja nie mogę tak dalej... Musisz wiedzieć...

Ale ona powstrzymała go, przypalając słowa, zanim wydostały się z jego ust, jak gdyby przyżęgała ranę.

- Wiem wszystko, co muszę wiedzieć - powiedziała.

- Zrobiłeś tylko to, co zrobiłby każdy odważny człowiek. Dlaczego pozwolić ludziom, by to wszystko spacyli? Pozwól Mulhaneyowi zająć się tym, Gene, i będzie tak, jak gdyby to nigdy się nie zdarzyło.

Jak gdyby to nigdy się nie zdarzyło.

Czy tym stała się dla niej przeszłość? Czy przerobiła ją na swój użytek? Nawet jej wspomnienia - czy także zostały wymyślone na nowo? Czy kiedy myślała o Genie, tylko wspominała miłość, wygładzaną tyle razy, że z trudem dało się dostrzec jej pierwotny kształt?

Cordelia, wstając z fotela, czuła się jak najstarsza istota ludzka na Ziemi. Każda kość i każdy mięsień protestowały przeciwko wysiłkowi, jakiego trzeba było, by tylko przejść dwanaście kroków do drzwi, otworzyć je i przestąpić. Nawet nie wyobrażała sobie, jak dotrze do windy, jak przejdzie przez westybul, a potem przez ulicę do parku.

Ale jakimś sposobem, jakimś cudem - a może było to przekleństwo bycia Cordelia Truscott - udawało jej się. Stawiała jedną stopę przed sobą, potem drugą. Galwanizowała swoją wolę i zmuszała ciało do ruchu, tak, jak zmuszałaby ociągające się, powłóczące nogami dziecko.

Zjawi się na spotkanie z Nolą Emory, nawet gdyby miało ją to zabić.

Cordelia patrzyła wokół siebie, na niedopałki papierosów, zmięte papierowe serwetki, aluminiowe kapsle, zaśmiecające ziemię pod ławką parkową, na której siedziała, czekając na Nolę. Czy przed laty park był aż tak brudny? Uważała wówczas Manhattan za krainę z baśni, podniecającą, błyszczącą, rozkoszną. Powrót do Blessing po śmierci Gene'a wydawał się z początku jak wbijanie się w parę starych butów, z których dawno wyrosła. Jej niedomagająca matka, stare wiązy z brodami mchu hiszpańskiego, jej szkolne koleżanki, teraz panie w średnim wieku z ufryzowanymi włosami i perłoworóżowymi paznokciami, nawet wilgoć, wszystko to było jak wielka spocona dłoń, przygniatająca ją, wciskająca w coś zbyt ciasnego.

Ale były i przyjemne zaskoczenia. Jej stara przyjaciółka Iris. I Stanton Hughes, z którym Cordelia niegdyś dzieliła mikroskop na biologii - on zaproponował jej miejsce w prestiżowej radzie uniwersytetu Latham, której był przewodniczącym. A kiedy wkrótce po śmierci matki dowiedziała się od Iris o czarnych „babkach”, akuszerkach przepędzonych z interesu przez AMA, jak skwapliwie się tego chwyciła! Pracując codziennie, nawet w czasie weekendów, wysyłając listy, odbywając rozmowy telefoniczne, dowiadując się o nauczycieli, lekarzy, pielęgniarki, każdego człowieka chętnego poświęcić czas programowi dyplomowania, na który wymusiła zgodę lokalnych władz do spraw zdrowia.

I był jej ogród.

Tam, w domu, pomyślała, wkrótce pierwsze narcyzy będą przebijać się przez żyzną czarną glebę - zielone włócznie, które będą wydawały się wystarczająco mocne, ale niebawem ugną się pod ciężarem kwiatów. Gabe będzie przygotowywał grządki w cieplarni i opryskiwał drzewa owocowe.

Poczuła ostry ból tęsknoty. Chciała być z powrotem w Blessing, z Gabe'em, z dala od tego wszystkiego, od

Grace i Noli Emory, i nawet od Wina, który ostatnio ją naciskał, by pozwoliła mu wnieść o zakaz publikacji.

Z początku zgadzała się - ponaglała go - wyczuwając, że Win chce tego co i ona, położyć kres temu paskudztwu. Ale zaangażowanie się w skargi, które będą publicznie nagłaśniane, oświadczenia składane pod przysięgą, poświadczenia, obskurne sale sądowe - czy to wszystko nie byłoby jeszcze bardziej nieznośne?

Nawet jeśli będzie siedziała z założonymi rękami i nie robiła absolutnie nic, jej życie nigdy nie wróci do normy. To tak, jak gdyby ludzie, którzy wyśmiewali Kolumba, mieli całkowitą rację, a ona właśnie odpłynęła od krawędzi świata.

Cordelia zadrżała w swoim szarym kaszmirowym płaszczu, obserwując młodą kobietę, przebiegającą obok, dziewczynę w spodniach od dresu i nylonowej parce, która nagle kazała jej się poczuć na wiele więcej niż pięćdziesiąt dziewięć lat - stara kobieta w parku, której zostały tylko cenne wspomnienia.

A teraz nawet one są zagrożone.

Wróciła myślami do tamtego pełnego napięcia czasu, kiedy Eugene nieustępliwie forsował ustawę o prawach obywatelskich - przypierając do muru swoich kolegów z Kongresu w biurach i domach, na przyjęciach, nawet na ulicy, zadręczając ich, by poparli jego ustawę. I wszystkie te pełne nienawiści listy, wstrętne telefony, starzy przyjaciele, robiący jej afronty. Odwiedziny u jej rodziny w Georgii i szczenie jej przez Klan. Ale przeszłaby przez to jeszcze raz, gdyby to jej oszczędziło ciężkiej próby spotkania z Nolą Emory.

Biblioteka - oto, o czym powinna teraz myśleć. Czyż nie to trzymało ją u Wina, kiedy już dawno poczuła, że nadużywa jego gościnności? Zobaczymy, to już prawie dwa tygodnie. Wędrowania po całym mieście, wkładania najlepszych ubrań i odwiedzania każdego starego wielbiciela Gene'a, jaki zgodził się z nią zobaczyć. Niektórzy, oczywiście, nie powitali jej miło; ale Hammond Wentworth - który wyraźnie nie zapomniał, co Gene zrobił

dla niego wtedy, kiedy Ham kierował departamentem rezerwatów - wyłożył sto tysięcy.

Ale żadna odmowa, z jaką się spotkała, nie mogła się równać z męką czytania tego listu. Sfałszowane czy nie, jego słowa odzywały się echem w jej pamięci, jak nieusłoneczne walenie młotka, trzymanego w rękach przez robotnika budowlanego na ulicy niedaleko od miejsca, gdzie siedziała.

- Pani Truscott?

Cordelia wzdrygnęła się i spojrzała w dwoje zielonych oczu, które zdawały się studiować ją uważnie, beznamiętnie, tak jak lekarz mógłby obserwować u kogoś oznaki choroby. Jak gdyby znaczenie miała tylko prawidłowa diagnoza, a nie to, jak czuje się pacjent.

Ale nie, zobaczyła po chwili, że kobieta stojąca przed nią, ubrana w prosty czarny płaszcz z jaskrawoczerwonym szalikiem owiniętym wokół szyi, po prostu mocno trzyma swoje uczucia na wodzy. Ręka, którą jej podała, drżała lekko.

Wygląda jak on.

Dlaczego nie zauważyła tego podobieństwa, kiedy zobaczyła Nolę w telewizji?

Uświadomiła sobie, że nie tyle była to replika rysów Gene'a, ile coś w jej opanowaniu, wyprostowanej postawie, jaką utrzymywała mimo niepokoju, który musiała odczuwać. Zupełnie jak Gene...

- Mogę usiąść? - usłyszała pytanie Noli Emory, ale wydawało jej się, że głos dochodzi z daleka, jak głosy matek nawołujących swoje dzieci.

Cordelia przesunęła się o kilka centymetrów, by zrobić więcej miejsca. - Dziesięć minut - powiedziała tonem, miała nadzieję, stanowczym i urzędowym. Jej serce - wydawało się wielkie, opuchnięte.

- To nie potrwa długo. Chcę tylko z panią porozmawiać.

- Po co?

Patrzyła, jak krew odpływa z twarzy Noli. - Biblioteka. Jestem tutaj w sprawie biblioteki.

Serce Cordelii podskoczyło. Ta kobieta, córka Margaret - co mogła wiedzieć o bibliotece Eugene'a? Czego mogła chcieć w związku z nią?

Cordelia myślała o projekcie, który wybrała spośród wszystkich - właściwie bez wahania - wiedząc, że komitet wyrazi zgodę. I chociaż przeciągał to nieco, w końcu wyraził zgodę. Widziała go w myślach, sześć szkiców, naklejonych na grubym kartonie. Strzeliste linie i przestrzenie okienne, majestatyczny kształt całości. Jak gdyby architekci wzięli jej bezkształtną fantazję i, poprzez jakiś rodzaj telepatii, urzeczywistnili ją.

- Biblioteka to nie pani zmartwienie - sucho powiedziała Cordelia,

- Obawiam się, że myli się pani co do tego - gdy Nola lekko się odwróciła, by spojrzeć na przejeżdżającego z furkotem rowerzystę, Cordelia dostrzegła puls, trzepocący na wdzięcznej kolumnie jej szyi. - Widzi pani, ona jest moja. Ja ją zaprojektowałam.

Patrzyła teraz wprost na Cordelię tymi nieugiętymi oczyma i Cordelia odczuła wstrząs, wywołany jej słowami, jak gdyby została potrącona przez taksówkę.

- Pani? Czy mówi pani, że...

- Pracuję u Maguire'a, Changa i Fostera. Kiedy usłyszałam o konkursie... - Nola wzruszyła ramionami, ale jej napięcie było widoczne w ich sztywności. - Widzi pani, dla mnie było... jest ważne, żeby ona była cudowna. Odpowiednia dla niego, nie tylko dla ludzi, którzy będą z niej korzystali. Nie jak jeden z tych pretensjonalnych budynków o wyglądzie mauzoleum. On... - poprawiła się - mój ojciec nie cierpiałby tego.

To słowo, ojciec, przeszło Cordelię. - Nie! - wykrzyknęła. Oczy wypełniły jej się łzami, nagie drzewa i kręte kamienne dróżki wszystkie zmieszały się w szarą zupę. - Nie ma pani prawa.

- Niech pani na mnie popatrzy - poleciła Nola. - Na litość boską, pani Truscott, niech pani na mnie popatrzy.

To głęboki głos Noli, jego siła, kazały jej w końcu spojrzeć. To, co zobaczyła, sprawiło, że miała ochotę się

skurczyć, skulić, jak w zbyt jaskrawym świetle. Zobaczyła...

Gene'a, wstającego do przemówienia w sali Senatu - ogień w oczach, płomienne przekonanie, promieniujące z każdego centymetra jego długiego, swobodnego ciała.

- Jestem jego córką - powiedziała Nola, ale jej głos był miękki, nie rozpłomieniony czy pełen poczucia słuszności. - Pani to wie, nawet jeśli nie może lub nie chce pani tego przyznać. Tak boi się pani prawdy? Czy chowanie się przed nią, tak jak ja zbyt długo to robiłam, naprawdę na dłuższą metę będzie dla pani dobre? - Kolory pojawiły się na policzkach Noli i jej oczy zaślniły.

Cordelia miała ochotę uciec... daleko... gdzieś, gdzie słowa Noli nie dosięgłyby jej. Ale jakaś siła trzymała ją wrośniętą w ławkę. - Co każe pani myśleć, że może pani wiedzieć, co jest dla mnie dobre? - warknęła. - Nie ma pani najmniejszego pojęcia, kim jestem.

- Wiem, że on panią kochał - Nola zniżyła głos; brzmiał teraz jak balsam na piekącą ranę.

- Gdyby pani naprawdę była jego córką - a ja nie mówię, że w to wierzę - jak by to było możliwe, żeby mnie kochał? - Cordelia wzdrygnęła się na dźwięk własnych słów. Jak mogła odsłonić się przed tą kobietą, której nawet nie znała, obnażyć wątpliwości, do których ledwie była zdolna przyznać się przed samą sobą?

- Nic nigdy nie jest aż tak proste - powiedziała Nola.

- Ja nie... - Cordelia, o krok od dowodzenia, że nie, Gene by jej nie zdradził, stwierdziła, że nie może mówić dalej.

Znów czuła ból tamtego listu. Przez ułamek sekundy jak gdyby słyszała głos Gene'a, wypowiadającego tamte straszne słowa...

To prawda, powiedział głos gdzieś z jej głębi. Ona jest jego dzieckiem.

- On mnie kochał - zawtórowała miękko. - Ja to wiem. Nawet jeśli... jeśli mógł się zachwiać. Przypuszczam, że częściowo mogła to być moja wina. To ja nie chciałam przenieść się do Waszyngtonu. Za dwa lata,



mówiłam ciągle, on może nie zostać wybrany ponownie. A potem, kiedy został senatorem... - wpatrzyła się w czarną kobietę, pchającą wózek dziecinnie, w którym siedziało białe złotowłose dziecko, czując, że jej usta sznurują się do zimnego uśmiechu. - Cóż, do tego czasu przyzwyczailiśmy się do tego układu. Odpowiadał nam, w pewien sposób... Och, chyba były chwile, kiedy rzeczy wydawały się... nie całkiem jak należy. Chwile, kiedy dzwoniłam do niego późno w nocy, a jego nie było. Ale wtedy natychmiast wyrzucałam to z myśli.

Cordelia zakryła twarz rękoma, czując, jak cały strach, zmartwienie, uraza, które trzymała zamknięte w sobie, podchodzą jej do gardła. Ale nie chciała, nie mogła pozwolić sobie na płacz, nie teraz, nie przy Noli Emory. Napięta się, by przeciwstawić się drżeniu, jakie ją ogarniało. Gdyby tylko Gabe był tutaj, objął ją, uspokoił.

Poczuła lekki ucisk na swoim ramieniu i pochwyciła piżmowy zapach perfum Noli, gdy ta się przybliżyła. - Przykro mi - powiedziała. - Wiem, że to dla pani niełatwe.

Cordelia potrząsnęła głową.

- Dla mnie także nie jest to łatwe - ciągnęła Nola. - Tygodniami nie odbierałam telefonów od Grace. Nigdy nie chciałam mieć z tym do czynienia. Ale kiedy ona zuciła mi to prosto w twarz, zdałam sobie sprawę, że nie zniosę całego życia w kłamstwie.

Cordelia podniosła wzrok. Uświadomiła sobie, że w oczach Noli widzi litość, i to ją zdumiało. - Czego pani ode mnie chce? - głos Cordelii zabrzmiał jak krakanie.

- Tego samego, co pani - powiedziała Nola. - Żeby jego biblioteka została zbudowana jak należy. Tak, jak on by chciał.

- Jeśli pani i Grace postawicie na swoim, może nie zostać zbudowana - warknęła Cordelia. - Pamięta pani, jak zmieniono Przylądek Kennedy'ego z powrotem na Przylądek Canaveral po tym, jak ta kobieta na Florydzie zaczęła opowiadać te rzeczy o JFK? Ludzie byli tacy oburzeni. Jeśli chodzi o Gene'a, cały ten rozgłos... cóż,

nie muszę pani mówić. Wykorzystanie pani projektu byłoby jak dolanie oliwy do ognia.

Nola nie odzywała się przez długą chwilę, po czym powiedziała: - A gdyby nikt nie wiedział... że to ja, że to mój projekt.

- Nie dałoby się tego zachować w tajemnicy, jeśli pracuje pani w tej firmie.

- A gdybym nie pracowała?

- Co pani sugeruje?

Nola nie wiedziała z początku, jak odpowiedzieć. Potem spostrzegła, że mówi: - Mogłabym się stamtąd zwolnić. Na kilka miesięcy, dopóki nie napłynie reszta funduszy - pomyślała o Dani i Tashy, o pieniądzach zaoszczędzonych na prywatną szkołę, i poczuła dojmującą obawę, niemal fizyczny ból. Będzie musiała sięgnąć do skarbonki. Ale czyż to nie jest także dla nich? To ich dziedzictwo, z którego dzięki tej bibliotece będą dumne...

- Nie mogę pani na to pozwolić - powiedziała Cordelia. - Nie chcę być odpowiedzialna za to, że będzie pani bez pracy.

- Kto prosi, by była pani odpowiedzialna? To mój pomysł. Ja będę radzić sobie z konsekwencjami. Wszystko, czego chcę od pani, to przyrzeczenie, że kiedy zdobędzie pani fundusze, zgodzi się pani na mój projekt.

Czekała, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymała oddech, dopóki następne słowa Cordelii nie uwolniły powietrza z jej płuc. - Chce pani obietnic? Cóż, nie mogę ich pani dać - oczy Cordelii błysnęły. - Ta... cała ta sytuacja jest jak jakiś... okropny koszmar. Nie znam pani... i nie chcę pani znać.

- Nie musi pani - naciskała Nola. - Po prostu niech pani wie, że w tej jednej sprawie, jeśli już w żadnej innej, jesteśmy po tej samej stronie. Obie chcemy tej biblioteki.

- Nie może pani sobie wyobrażać... - zaczęła Cordelia.

- Owszem, mogę. To pani nie może sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczy. Całe życie udawałam, że jestem

kimś, kim nie jestem... ale ta biblioteka mówi, czyją córką naprawdę jestem. Nawet jeśli ogół nie wie, ja będę wiedziała.

Po długiej przerwie Cordelia powiedziała: - Dobrze więc... pomyślę o tym.

- Czy powiadomi mnie pani, zanim powróci pani do Blessing? - Nola poszukała w torebce i wcisnęła Cordeli w dłoń swoją wizytówkę, na której wydrukowała także domowy numer telefonu.

- Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu... ale powiadomię panią do tego czasu - Cordelia wsunęła wizytówkę do kieszeni płaszcza i skrzyżowała ramiona na piersi. Jedna z jej miękkich jak masło zamszowych rękawiczek ściągnęła się, ukazując złoty zegarek na nadgarstku. Niższym, niemal smutnym głosem dodała: - Wie pani, on naprawdę mnie kochał.

Cała gorycz, jaką Nola kryła w sobie, została w tej chwili zaćmiona szczerym współczuciem dla kobiety siedzącej obok. - Wiem - powiedziała Nola.

<0

Kiedy Sissy zadzwoniła - tak jak dzwoniła prawie co wieczór od przybycia Cordelii - Cordelia nie była w nastroju do rozmowy ani z nią, ani z nikim innym. Mimo długiej kąpieli, zimnego ręcznika przyciśniętego do czoła i trzech tabletek tylenolu miała wrażenie, że w jej głowie stepuje Gene Kelly.

Ledwie powiedziała „halo”, gdy głos Sissy wdarł się głośnym, drżącym dyszeniem. - Mamo, on odszedł... Beech... mówi, że chce r...rozvodu. - Między dławieniem się i pociąganiem nosem, Sissy zdołała wyrzucić z siebie: - Wyprowadził się do tej... tej kurwy. Założę s...się, że spała z każdym mężczyzną w B...Blessing. Och, mamo... to takie upokarzające...

Cordelia musiała się powściągnąć, by nie odłożyć cicho słuchawki. Sissy była jak pięciolatka, której nie przychodzi do głowy, że inni ludzie też mają problemy.

Czy Sissy pomyślała kiedy, zanim wylała wszystkie swoje nieszczęścia, by zapytać, jak ona się czuje?

- Ani trochę tak upokarzające, jak spędzanie reszty życia w małżeństwie z patentowanym osłem! - Cordelia, zaciskając pasek aksamitnego szlafroka, opadła na sofę w gabinecie Wina.

Wyobraziła sobie Beecha i jego jasnowłosa przyjaciółkę w pralni... a potem zobaczyła Gene'a i Margaret, kochających się czy po prostu rozmawiających cicho wieczorem, Margaret w płaszczu kąpielowym, nalewającą mu łyk whisky, którą lubił pociągać przed snem. Zacisnęła na chwilę powieki, odpędzając te obrazy.

Po stronie Sissy nastała krótka cisza, wypełniona międzymiastowym buczeniem i tykaniem - jak gdyby w uszach Cordelii brzęczał rój komarów. Potem przebił się głos Sissy, straszliwe zawodzenie, które Cordelii wydawało się tak przenikliwe, że bała się o błonę bębenkową w swoim uchu.

- Maaamo! Jak możesz tak mówić? On jest ojcem twoich wnuków!

- Tym bardziej szkoda. Doskonale wiesz, że nigdy nie miałam o nim wielkiego mniemania. Już od pierwszego razu, kiedy przyprowadziłaś go do domu, wiedziałam, że nie zajdzie daleko. I ta jego pyszałkowatość! Jeśli przodkiem Beecha Beechama był Robert E. Lee, to ja jestem królową Anglii.

- Nazywasz Beecha kłamcą?

- Cóż, jeśli nie okłamywał cię za każdym razem, kiedy szukał trypra na Mulberry Acres, to nie wiem, jak to nazwiesz.

- Po prostu nie wierzę w to, co słyszę. To ja wypłakuję oczy, a ty zachowujesz się, jak gdyby odejście mojego męża było najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła! Wcale cię to nie obchodzi? - głos Sissy przybrał żalobnie urażony ton i w strasliwym błysku intuicji, takim, jakiego nie chciała, Cordelia ujrzała to wszystko z punktu widzenia Beecha - lamentowanie Sissy musiało wyczerpywać go tak, jak muchy doprowadzają krowę do szaleństwa.

Cordelia wydała z siebie głębokie westchnienie. - Ależ, Sissy, oczywiście, że mnie obchodzi...

- Nie obchodzi! Sama powiedziałaś, że nigdy nie lubiłaś Beecha! Założę się, że pójdziesz powiedzieć Grace i obie będziecie się śmiały do rozpuku! - rozpędziła się Sissy, a kiedy stawała się taka, nie było siły zdolnej ją powstrzymać.

- Sissy, nie wiesz, co mówisz - Cordelia miała wrażenie, że głowa jej za chwilę pęknie na pół.

- Jeśli nie mogę oczekiwać odrobiny współczucia od mojej własnej mat...

- Przestań! - warknęła Cordelia. - Przestań w tej chwili!

Zaszokowane milczenie wypełniło jej ucho, a zakłócenia na linii zdawały się powiększać jak wielki rój owadów. Afrykańska maska na ścianie ze swymi pasmami konopi, zwisającymi jak brudne włosy, zdawała się spoglądać na nią groźnie, w jakiś sposób oskarżając ją. A jednak nie czuła się winna. Czuła się... dobrze. Całe lata temu powinna była powiedzieć Sissy, co myśli.

Potem Sissy trysnęła nowym potokiem łez i Cordelii przypomniało się, jak bardzo Sissy na niej polega. To, co zawsze było dla Cordelii aktem miłości, teraz wydawało się ciężarem ponad siły.

- Ja tylko chciałam od ciebie p...pomocy - lamentowała Sissy. - Och, mamu, nie w...wiem, co rooobić.

Cordelia uświadomiła sobie, po raz pierwszy odkąd w jeden z najgorętszych dni historii Manhattanu urodziła blisko trzyipółkilowe dziecko, które nazwała Caroline po matce swojej matki, że nie chce już obowiązku opieki nad swoją młodszą córką.

- No cóż, po prostu musisz sama to ocenić - powiedziała Cordelia nie bez łagodności. Ostatecznie, nie przestała kochać Sissy.

- Chcesz powiedzieć...

- Zgadza się. Pora, żebyś się zdecydowała, co masz zamiar robić.

- Ale jak ja...

- Och, przeżyjesz, Sissy. Na tyle możesz liczyć.

Życie, tak jak ogród wymaga pracy, pomyślała Cordelia, widząc w wyobraźni Gabe'a, klęczącego na grządce przy altanie, jego spłowiały kapelusz khaki nasunięty na oczy, gołe dłonie pracujące w ziemi, kopiące wgłębienia na kwiaty, które tam zasadzi.

- No cóż, dziękuję ci. Za nic.

Cordelia usłyszała brzęczenie, gdy Sissy odkładała słuchawkę.

Natychmiast poczuła się winna. Była zbyt szorstka. Popędliwa po spotkaniu z Nolą Emory. Może powinna, jeśli nie cofnąć tego, co powiedziała, to przynajmniej złagodzić cios. Tak, Sissy musi stanąć na własnych nogach, ale powinna wiedzieć, że matka zawsze będzie przy niej, będzie ją kochać, bez względu na wszystko.

Podniosła słuchawkę, ale jeszcze zanim zaczęła wybierać numer, z zaskoczeniem usłyszała grzmiący męski głos. Potem doszedł ją głos Chrisa, cichszy, bardziej niepewny.

- Hmm, Jack, czy jest tam moja mama? - Chris mówił z aparatu w sypialni. - Dzwoniłem do domu, ale nie odpowiedziała. Pomyślałem, że może jest z tobą.

- Szczerze mówiąc, Chris, nie widziałem jej od paru dni - Jack wydawał się napięty i nieszczęśliwy. - Mogę ci w czymś pomóc? Wszystko w porządku?

- Taak, pewnie - Chris sprawiał wrażenie, że może i wszystko z nim w porządku, ale niezupełnie. - Prawdopodobnie słyszałeś... Będę odtąd mieszkać z tatą.

Nastąpiła krótka, niezręczna cisza, potem Jack powiedział: - Nie, nie wiedziałem. Ale jestem pewien, że mama będzie za tobą tęsknić. Wiesz, że jesteś dla niej wszystkim.

Nagle Cordelia zobaczyła w myślach Jacka, przyjemność, z jaką zabrał się do posiłku w restauracji, jak jedna z tych staroświeckich lokomotyw, do której z zatrważającą szybkością trzeba było wrzucać węgiel, gdy pędziła po torach. Nie był klasycznie przystojny, ale w końcu, z wyjątkiem Wina, nigdy nie ufała mężczyznom, którzy

byli obdarzeni ponadprzeciętną urodą, takim, którzy ukradkiem podziwiają swoje odbicie, podczas gdy udają, że zerkają na wystawy. Jack Gold, mijając sklep, zastanawiałby się, ile wynosi czynsz i komu jest płacony, i czy w jakiś sposób on sam mógłby na tym skorzystać.

Tak, nawet podczas tamtej pełnej napięcia kolacji wyczuwała jego dobroć i szlachetność. Widziała czułą troskliwość, jaką okazywał Grace, sposób, w jaki uśmiechał się do jej przyjaciółki Liii, akceptując ją, jak gdyby była koleżanką z wydawnictwa. A teraz robił, co mógł, by wygładzić sprawę z Chrisem.

- Wiem, że mamie zależy na mnie - usłyszała głos Chrisa. - Nie potrzebuję ciebie, żeby się o tym dowiedzieć.

- Hej, nie odgryzaj mi głowy. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

- Taak, no cóż, może najlepszą rzeczą będzie zamieszkać z obojgiem moich rodziców.

- Chris, to się nie stanie - powiedział Jack bezbarwnym głosem.

- Co ci daje taką pewność? - głos Chrisa wzniósł się, łamiąc się na wysokiej, dziewczęcej nucie. - Założę się, że nie wiedziałeś, że mój tata spędził noc z mamą. Co o tym myślisz?

Och, Chris! Cordelia musiała przygryźć wargę, by się nie odezwać.

Po długim milczeniu Jack w końcu przemówił: - Jeśli to prawda, sędzę, że to coś do dyskusji pomiędzy twoją matką i mną - wydawał się wstrząśnięty do ostateczności, ale radził sobie z Chrisem wyjątkowo dobrze. Podziw Cordelii wzrósł o kolejny stopień.

- Nie wierzysz mi?

- Nie to powiedziałem.

- Więc idź i ją spytaj! Idź spytaj mamę! Jest tylko jedna rzecz. Chciałbym, żebyście wy wszyscy tak zwani dorośli nie wciągali mnie w to! Rzygam ludźmi, którzy

zachowują się, jak gdyby chcieli mnie mieć przy sobie, kiedy oczywiste jest, że mają to w dupie. Chcę tylko, żeby mnie zostawili w spokoju!

Cordelia ostrożnie położyła słuchawkę, potem siedziała, zbyt osłupiała, by się poruszyć. Wiedziała, że musi coś zrobić. Te okropne rzeczy, jakie chłopiec powiedział Jackowi! O Boże, musi uprzedzić Grace.

Czuła, że zimny paciorek urazy, jaką żywiła do swojej starszej córki, zaczyna topnieć.

Cordelia ubrała się szybko. Ściskając paskiem bladeżółtą wełnianą suknię, którą nosiła całe popołudnie, zauważyła, że wzięła pasek w nieodpowiednim kolorze. Ale kogo to obchodzi? Wbiła stopy w pierwszą parę butów, na jaką natrafiła w szafie.

Idąc przez hall do sypialni wnuka, ręką podtrzymując się ściany, by utrzymać równowagę, uświadomiła sobie, że coś jest inaczej. Było tak cicho.

Zazwyczaj Chris nastawiał magnetofon na pełny regulator, tę okropną muzykę, która brzmiała jak harmider, podnoszony przez bandę zbirów na ulicy. Ale dziwny hałas, dochodzący teraz z jego pokoju był... Z początku nie potrafiła tego nazwać, ale potem uświadomiła sobie...

Ciszą.

Cordelia zapukała do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Zapukała znowu, mocniej tym razem; każde uderzenie promieniowało bólem od knykci do głowy. Nadal żadnej odpowiedzi.

W końcu otworzyła drzwi i ostrożnie zajrzała do ciemnego pokoju, widząc galimatias nie załanego łóżka, rozrzuconych ubrań, rozsianych dyskietek komputerowych. Ale ani śladu Chrisa. Ani psa. Chris musiał wziąć Cody'ego na spacer. Musiał się wymknąć zaraz po tym, jak odłożył słuchawkę. Dochodził tylko słaby szum od żarzącego się ekranu komputera. Podeszła bliżej i zobaczyła, że on coś tam napisał... i że nie był to, jak pomyślała najpierw, początek jego pracy domowej.



*Drogi tato,*

*Nie mogę zamieszkać z Tobą. Nie będę Cię winił, jeśli znienawidzisz mnie za to. Japo prostu nie mogę wytrzymać bycia pośrodku. Nie szukaj mnie. Zadzwoń do Ciebie kiedyś, po prostu, żeby Cię powiadomić, że nic mi nie jest.*

*Chris*

*PS Cody jest ze mną. Nie martw się.*

Wszystko, co przedtem było zamazane, uderzyło teraz Cordelię z dojmującą, ostrą jak nóż jasnością. Wybiegła do salonu. Biały pluszowy dywan, jak gąbka pod stopami, zdawał się spowalniać jej kroki, gdy zmierzała do telefonu na stoliku obok głębokiej kordobańskiej sofy.

Młody chłopiec, zupełnie sam w tym mieście - wszystko może mu się przydarzyć.

Była w połowie wybierania numeru Grace, kiedy się rozmyśliła. Powinna najpierw zadzwonić na policję. Potem zająć do Grace, powiedzieć jej osobiście, dodać jej otuchy.

Nawet gdy opanowanie wyślizgiwało jej się z rąk, Cordelia trzymała się przeświadczenia, że wszystko będzie dobrze. Czyż nie pilnowała zawsze, by sprawy toczyły się gładko, by nikomu nie stała się krzywda? A jeśli ostatnio jej życie wydawało się pogmatwane, musiała tylko dopilnować, żeby wróciło na swój tor. Ponieważ, jeśli nie można było wierzyć w siebie, w swoją moc czynienia dobra, rozwiązywania problemów, to co pozostawało?

## ROZDZIAŁ 21

- Chodzi o Chrisa. On... okazuje się, że uciekł.

Grace szukała w twarzy matki oznak paniki. W miarę jak matka mówiła dalej o Chrisie - coś o wiadomości pozostawionej w komputerze - Grace stwierdziła, że nie tyle jej słucha, ile pozwala się uspokajać jej starannie modulowanemu głosowi. Prawda, była nieco bardziej zarumieniona niż zwykle, ale może to dlatego, że przybiegła tutaj co sił w nogach, a jeden z nowojorskich taksówkarzy-kamikadze śmiertelnie ją przeraził, pędząc na złamanie karku. Matka z pewnością podziękowała mu grzecznie za niepotrzebny pośpiech... i wcisnęła napiwek.

- Musiałaś źle zrozumieć - powiedziała Grace. Przecież gdyby było inaczej, matka byłaby bardziej zdenewrowana.

- Umiem czytać równie dobrze jak ty, dziękuję ci bardzo. - Nagle twarz Cordelii wydała jej się obwisła, ukazując drobne zmarszczki, znaczące białą upudrowaną maskę. Teraz Grace zaczynała się czuć zaniepokojona. - Grace... nie chcę cię denerwować ani wpadać w histerię, ale mam wszelkie powody wierzyć, że Chris na serio myślał o tym, że nie wróci do domu, do ciebie czy Wina. Kochanie, czy zaprosisz mnie do środka - zapytała ze znużeniem - czy też muszę stać tutaj całą noc?

Grace wzdrygnęła się, uświadamiając sobie, że jej matka, w płaszczu i ładnym kwiecistym szaliku zawiązanym na szyi, wciąż stoi w hallu pod jej drzwiami. Gdy matka weszła, jakimś sposobem narzuciła swoją obecność. Grace, która posłusznie wzięła jej płaszcz, nie mogła się oprzeć uczuciu, że to Cordelia tutaj mieszka, a ona jest gościem.

Patrzyła, jak w bawialni matka ostrożnie opada na głęboki fotel naprzeciw sofy, z rękami sztywno wyciągniętymi po obu bokach, by ułatwić sobie lądowanie.

Wyglądała na zmęczoną - więcej nawet, na chorą. Nie, żeby się do tego przyznała.

Nie. Autokratyczna i uparta, raczej ścierpiałyby najgorszą migrenę niż pisnęła o tym komukolwiek słowo. W jej kodeksie norm przyznanie się do choroby oznaczało brak charakteru.

- Trochę kawy albo herbaty? - zapytała Grace. - Szczerze mówiąc, wyglądasz tak, że przydałby ci się łyk brandy.

Czuła coś trzepocącego w piersi, jak ćmy i motyle, które jako dziecko zamykała w dłoniach, a one szaleńczo były skrzydłami starając się uciec. Nie wolno jej się załamać. Musi się zachowywać normalnie, grać rolę doskonałej gospodyni, inaczej ta rzecz wewnątrz niej zerwie się.

- Dziękuję, nie. Grace, usiądź, kochanie. Proszę. Musisz mnie wysłuchać. Ja sobie tego nie ubzdurałam. Nie straciłam zmysłów i jak wiesz, nie jestem z tych, które plotą byle co - wzięła głęboki oddech. - Mój wnuk jest gdzieś tam... i może mieć kłopoty - wskazała gestem rząd wysokich okien, ciemnych z wyjątkiem słabych refleksów z pokoju, płynących po szkle jak duchy.

Moja wina, pomyślała Grace.

Tak właśnie myślisz, czyż nie, mamó? Wszystko moja wina. Rozwód z Winem. Pozostawienie Chrisa w rozbitym domu ze złamanym sercem. Gdybym tylko była lepszą żoną, lepszą matką, to Chris wznosiłby toast napojem z malwy ze swoim zastępem harcerskim zamiast włóczyć się po parku ze swoim psem, podczas gdy my wszyscy zamartwiamy się na śmierć.

Czuła rozkwitającą w piersi ciemną różę gniewu, jej ostre, kłujące ciernie. Musiała się skupić, by słyszeć cichy głos matki, która nadal mówiła.

- Grace, podsłuchałam go rozmawiającego przez telefon z Jackiem. Powiedział, że próbował skontaktować się z tobą... że dzwonił tutaj y nie było odpowiedzi. Nie mogło to być dalej jak godzinę temu.

- Skończyło mi się mleko - przypomniała sobie Grace.  
- Zbiegłam do sklepu na rogu.

- Był zdenerwowany. Jack starał się go skłonić, by się otworzył, porozmawiał z nim. Ale Chris się rozgniewał... powiedział pewne rzeczy, których nie powinien był powiedzieć.

- Jakie rzeczy?

- Powiedział Jackowi o tobie i Winie... że Win spędził z tobą noc.

Grace osunęła się na sofę. Słyszała dziwaczne, płaskie buczenie w uszach, jak z słuchawki telefonicznej, zdjętej z widełek.

Jack wie... o Boże... on wie, on wie, on wie. W głowie jej zawirowało. Myślała o Jacku, o tym, jak unikała go a jednocześnie za nim tęskniła. Jak chciała odpowiedzieć na jego telefony, ale nie wiedziała, co powiedzieć. A teraz, czy on kiedykolwiek jej przebaczy? Czy będzie w stanie?

Chris. Musiał być naprawdę w podłym nastroju, żeby tak odgryźć się na Jacku. Konfrontacja nie była w stylu Chrisa. I jakim cudem się dowiedział? Czy Win naprawdę jest takim idiotą, że mu powiedział?

- No dobrze. Tak, to prawda - Grace znów czuła się jak szesnastolatka, przyłapana na całowaniu się na tylnym siedzeniu w samochodzie Claya MacPhersona: twarz w ogniu, całe ciało kulące się w sobie.

Ale czy matka nie na to właśnie miała nadzieję? Czy nie była w głębi ducha zadowolona?

Cordelia zaskoczyła ją, mówiąc: - Grace, jest coś, co powinnaś wiedzieć o Winie... - zamilkła. Wydawało się, że się zastanawia ze zmarszczonymi brwiami.

- Win i ja nie... chcę powiedzieć, iż nie schodzimy się tylko dlatego, że on spędził tutaj noc.

To Chrisowi powinna to wyjaśniać. Ale gdzie on jest? Trzepocąca rzecz w jej piersi wrywała się, puchła, rozrastała, aż Grace ledwie mogła oddychać. A jeśli nie ma go w parku ani u przyjaciela? A jeśli włóczy się po ulicach, zmierzając Bóg wie dokąd?

Jak gdyby czytając w jej myślach, matka powiedziała:  
 - Zostawił wiadomość, że nic mu nie będzie i żeby się nie martwić. - Usiadła bardziej sztywno, rozprostowując ramiona, jak gdyby tą postawą mogła jakimś sposobem osłonić je obie. - Dobra wiadomość to ta, że nie mógł zajść daleko.

- Skąd wiesz? - Grace, przeczesując rękami włosy, zauważyła, że dłonie ma wilgotne.

- Słyszałam go przez telefon niecałe dziesięć minut przed tym, jak odkryłam, że wyszedł.

W wyobraźni Grace Chris znów miał cztery lata - był małym chłopcem, który jeszcze nie stracił dziecięcej pulchności, błądzącym gdzieś tam bez celu, sam, wystraszony, stanowiąc łatwy łup dla rabusiów, zboczeńców, wariatów, którzy straszili na ulicach Nowego Jorku.

Zmusiła się do powstania. Tylko niewielka odległość dzieliła ją od telefonu na biurku, ale zdawało jej się, że kontynent.

- Policja - powiedziała, jak gdyby była w niej inna osoba, wydająca jej chłodne instrukcje. - Zadzwoń na policję. Chyba to powinnam zrobić?

Nigdy w życiu nie wzywała policji, nawet kiedy miała dobry powód - jak wtedy, kiedy użyła korkowca Chrisa do odstraszenia rabusia na dachu, próbującego włamać się przez świetlik jej łazienki.

- Już się tym zajmę, kochanie - westchnęła Cordelia, wygładzając suknię. - Nie mogą nam pomóc. Dopóki nie będzie zaginiony od co najmniej czterdziestu ośmiu godzin. Oficer, z którym rozmawiałam, zasugerował, żebyśmy nie ruszały się z miejsca i czekały, aż on się opamięta i wróci do domu. Większość z nich wraca, powiedział.

- Czy przeprosiłaś za to, że go trudzisz, i podziękowałaś mu za fatywę? - nie zamierzała tego powiedzieć; sarkazm po prostu jej się wymknął. j

Cordelia nie poruszyła się, nawet nie mrugnęła okiem. I  
 Wpatrywała się tylko w Grace ze spokojem, który mógł ]

wydawać się dziwny, gdyby Grace nie zauważyła, jak mocno zaciśnięte były jej usta.

Teraz Cordelia się podnosiła. Wysiętek wydawał się zbyt wielki, jej ramiona i nogi drżały. Ciemne plamy rumieńców wystąpiły jej na policzki. Grace poczuła się zawstydzona tym, że warknęła na matkę, kiedy oczywiste było, że ta tylko starała się pomóc.

- Mamo, ja...

- Proponuję, byśmy zaczęły od przyjaciół Chrisa - powiedziała rześko Cordelia. - Czy masz notes i ołówek? Mogę zacząć telefonować, podczas gdy ty będziesz sporządzać listę numerów.

- Mam listę szkolnych telefonów - powiedziała Grace. - Mogłabym spróbować z jego kolegami z klasy. On nie ma wielu przyjaciół, ale być może...

- Żadnych być może - ucięła Cordelia, znów doskonale opanowana. - O Boże, nie rozumiem, dlaczego straciłam głowę i doprowadziłam się do takiego stanu bez powodu. Oczywiście, że on jest w domu któregoś z przyjaciół. Żaden mój wnuk nie byłby taki głupi, żeby wędrować po ulicach w tym paskudnym zimnie, gdyby miał jakieś ciepłe i bezpieczne miejsce, gdzie mógłby pójść.

- Pamiętasz, jak zawsze mnie szukałaś po zmroku? - przypomniała Grace. - Słyszałam, jak mnie wołaś i chowałam się, tak, żebyś mnie nie zobaczyła.

- Tylko z przekory - prychnęła Cordelia. - A więc, co z tą listą telefonów?

- Jak daleko mogli zająć chłopiec i pies? - Grace walczyła z drżeniem rąk, szukając na półce blisko wyjścia listy telefonów uczniów Świętego Andrzeja.

- Dalej niż możesz to sobie wyobrazić - powiedziała Cordelia cichym głosem, ciężkim od smutku. Nie tylko o Chrisie mówi, uświadomiła sobie Grace.

Z wilgotniejącymi oczyma Grace myślała o wszystkich straconych między nią i matką okazjach do zbliżenia jak o słupach milowych wzdłuż pustej wstęgi szosy. Modliła się, by ona i Chris nie skończyli tak samo - dwoje ludzi,

złączonych węzłem mocniejszym niż każdy inny, ale obcych sobie.

- Możesz zacząć od „A” - szorstko, tak, by Cordelia nie zobaczyła, jak ją dławi wzruszenie, Grace wręczyła matce spis szkolnych telefonów. - Zejdę na dół zapytać przyjaciela Chrisa, Scully'ego, czy coś wie. Potem zadzwonię do Jacka.

Jack.

Boże, proszę, żeby zrozumiał, modliła się, nawet jeśli w głębi duszy wiedziała, że czegoś takiego nie można zrozumieć.

Niech nie będzie za późno.

Po przeszło godzinie, kiedy już wyczerpały listę telefonów, co nie doprowadziło donikąd, Grace opadła na sofę, czując się całkowicie wydrenowana. Wiedziała, że powinna zadzwonić do Wina, do biura, że nie może dłużej tego odkładać. Ale po tym, jak poszła z nim do łóżka... Boże, jak będzie mogła stanąć z nim twarzą w twarz? Czuła się zarazem głupia i rozgniewana, głównie na siebie, ale także na Wina. Jak on mógł wzbudzić nadzieje Chrisa, mówiąc mu o tym? Jaki ojciec zrobiłby to swemu synowi? Mimo to powiedziała: - Powinnam zadzwonić do Wina.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Cordelia.

Grace wpatrzyła się w matkę, starając się odczytać wyraz jej twarzy. Czy matka ma nadzieję, że ten kryzys dokona tego, czego nie udało się dokonać wdziękom Wina? Że jej i Wina wspólne zmartwienie z powodu Chrisa jakimś sposobem złączy ich ponownie?

- Wiem, co myślisz - powiedziała matce, niezdolna powstrzymać się dłużej. - Że przede wszystkim, gdybym nie opuściła Wina, nic z tego by się nie wydarzyło.

- Przypuszczam, że masz rację. Ale gdybyś nie opuściła Wina, nie poznałabyś Jacka.

- Myślałam, że nie lubisz Jacka.

- Boże! A skądże ci to przyszło do głowy?

- Ale ty i Win jesteście tacy...

- Wiem, jaka muszę być wydawać - wpadła jej w słowo Cordelia. - Uparta kobieta, zakrzepła w swoich

poglądach, nieskłonna naginać się czy zmieniać. Nieskłonna przyjąć, że małżeństwo, które uważała za doskonałe, mogło być jakiegokolwiek inne, tylko nie doskonałe. - Jej dłonie, luźno splecione na podołku, nagle zacisnęły się, a wysadzana brylantami ślubna obrączka, której nie zdjęła po śmierci męża, zabłysła na zbielałym palcu. - Ale ostatnio zmuszona byłam zrozumieć wiele rzeczy.

- Tata - Grace przytaknęła ze zrozumieniem.

Cordelia skłoniła na chwilę głowę, podnosząc ciasno splecione palce do czoła. - Zastanawiam się, czy możesz wiedzieć, jak to jest kochać kogoś tak bardzo, że sama myśl o istnieniu bez niego, albo że on nie kocha cię tak mocno jak ty jego, to prawie śmierć.

Grace myślała o Jacku i miała nadzieję, że on kocha ją tak choć w połowie. Przynajmniej na tyle, by jej przebaczyć.

- Po tym, jak urodziłyście się ty i twoja siostra... - matka opuściła ręce i uniosła głowę, srebrne włosy owiewały jej policzki - ...było tak, jak gdyby nas czworo tworzyło coś w rodzaju magicznego kręgu, i nigdy nic złego nie mogło się wedrzeć do środka, by nas zranić. - Wzięła głęboki, drżący oddech. - Nie brałam pod uwagę tego, że ktoś wewnątrz tego kręgu może nam wyrządzić krzywdę.

- On nie zrobił tego, by cię zranić - powiedziała Grace.

- Może nie. Ale to, czy chciał mnie zranić, czy też nie, jednakowo trudno to znieść.

Grace dostrzegła gniew w ściągniętej linii ust matki i dziwną obojętność w jej spojrzeniu. To dobrze. Nie tłamsi tego w sobie. - Wiem, że gniewasz się również na mnie - powiedziała Grace, nadal cichym głosem. - I nie winię cię za to, że myślisz, iż napisałam tę książkę częściowo po to, by odpłacić ci pięknym za nadobne. Nie zrobiłam tego, oczywiście, ale nie w tym rzecz, prawda? Ty i ja, problem, jaki mamy ze sobą nawzajem, odnosi się do przeszłości.



Gardło Grace zacisnęło się - jak wtedy, kiedy była mała i rozpaczliwie szukała pociechy u matki po tym, jak coś złego wydarzyło się w szkole, ale niezdolna była wypowiedzieć słowa.

- Byłaś taką samowolną dziewczyną - wtrąciła matka, nie bez łagodności. - Zawsze mi się sprzeciwiałaś, kwestionowałaś każdą radę, każde ultimatum. Myślałam chyba, że potrzebujesz silnej ręki, by cię prowadziła.

- Kąciki jej ust, dziwnie nagie bez różowej pomadki, którą prawie zawsze była umalowana, zwróciły się ku górze w smutnym uśmiechu. - Wszystko dla twojego dobra, choć chyba żadnej z nas nie przyniosło to nic dobrego.

- Nie silnej ręki potrzebowałam - odpowiedziała Grace. - Wszystko, czego kiedykolwiek chciałam, to żebyś mnie słuchała. Tak jak chcę, żebyś wysłuchiwała mnie teraz.

- Niektórych rzeczy po prostu zbyt ciężko jest słuchać.

- Nawet prawdy?

- Szczególnie prawdy. - Cordelia odwróciła wzrok, twarz miała wykrzywioną bólem. Po chwili dodała:

- Rozmawiałam z Nolą Emory.

Grace wpatrzyła się w nią. - Kiedy?

- Dzisiaj. Spotkałyśmy się w parku.

- Och, mamoo... - nagle ogarnęła ją litość.

- Nie taki diabeł straszny jak go malują - powiedziała Cordelia nienaturalnym głosem, który zdawał się zaprzeczać jej słowom.

Grace zdołała wstać i podejść do matki. Położyła rękę na ramieniu Cordelii, czując ostrość jej kości, jak delikatnych, ale mocnych antycznych mebli, które zapełniały stary dom w Blessing.

- Ale czy nie rozumiesz? W końcu wybrał nas. - Słowa zawisły w powietrzu, zdając się odbijać echem w otchłannej przestrzeni.

- Tak, wybrał nas - odpowiedziała matka, wpatrując się w półkę z książkami. - Ale to nie zmienia tego, co dzieje się teraz, prawda? Cały ten skandal. Nie wyb-

rażam sobie, jak to będzie tam, w Blessing. I jego biblioteka. Tyle obietnic rozwieje się z tego powodu.

Grace odchrząknęła. Od ostatniego starcia z matką w jej myślach nabierał kształtu pewien pomysł. Teraz uświadomiła sobie, że już od jakiegoś czasu musiała wiedzieć, co ma zamiar zrobić. Jako córka Eugene'a Truscotta nie miała wyboru, nie, jeśli chciała mieć o sobie dobre mniemanie. - Ile potrzebujesz? - zapytała.

- Co najmniej milion oprócz tego, co już zebraliśmy.

- Nie mogę aż tyle obiecać... ale zrobię, co będę mogła.

Cordelia wpatrywała się w nią nie rozumiejąc. - Grace, o czym ty mówisz?

- O pieniądzach, których potrzebujesz. Przekazuję moje honoraria z książki na bibliotekę taty. Mój agent negocjuje umowy w wielu krajach. Jest nią też zainteresowanych kilku producentów w Hollywood. Na początek powinno być przynajmniej pięćset tysięcy, może więcej, jak tylko książka zostanie wydana.

- Ale... dlaczego?

- Ponieważ wydaje mi się to słuszne, by moja książka pomogła wzniesć jego bibliotekę. I ponieważ chcę.

Oczy Cordelii wypełniły się łzami. Wtedy Grace zobaczyła, że były to łzy gniewu, nie wdzięczności. - Jak możesz? Ta książka to afront wobec wszystkiego, czego kiedykolwiek bronił.

- To z powodu taty ją napisałam. *Honor ponad wszystko*: w tym nie ma żadnej ironii. Gdyby zdołał się zmusić do powiedzenia nam... - westchnęła - ...ale nie zdołał. Ale teraz ja mogę być jego głosem. - Grace czuła, jak dawny duch walki powstaje w niej jak zdeptana trawa. - I z powodu taty ty budujesz bibliotekę. Obie go kochałyśmy. Po prostu w różny sposób to okazujemy.

Cordelia milczała tak długo, że Grace zaczęła odczuwać irytację. Czy matka jej odmówi? Czy po tych wszystkich pojednawczych słowach ma zamiar użyć swej odmowy jako kolejnego klina, który znów je rozdzieli?

Ale kiedy Cordelia zaczęła mówić, jej głos był spokojny,

nawet odrobinę smutny. - Wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że jeszcze tydzień temu, nawet wczoraj, powiedziałabym „nie”. Ale teraz rzeczy mają się inaczej, czyż nie? I chyba masz rację, nie zawsze cię słuchałam. Twoja chęć pomocy dla tej biblioteki, nawet jeśli to tylko znaczy, że obie działamy w imię jednego celu, to dosyć.

- Więc zgadzasz się?

- Czy mam wybór? Gdybym powiedziała „nie”, znalazłabyś jakiś inny sposób, by pieniądze dostały się we właściwe ręce. - Uśmiechnęła się, jak gdyby przyznawała, że w końcu nie różnią się tak bardzo.

- Chyba nie mam uporu w genach - podsunęła Grace ze śmiechem.

Cordelia wstała wtedy, lekko, z gracją wyciągając ramiona. Grace stwierdziła, że wcale nie jest trudno ruszyć przed siebie, w ciepłe, perfumowane objęcia, do których całe życie nie mogła rościć sobie prawa. Ramiona matki robiły wrażenie lekkich jak liście... nie żądały od niej niczego, po prostu były. Grace czuła, że jej głowa opada na wątle ramię matki. Miała wrażenie, że doszła do miejsca, które było jeśli nie zupełnie domem, to prawie.

Gdyby tylko Chris pozwolił mi się tak obejmować.

Wyobraziła go sobie zmarzniętego, głodnego, wędrującego ulicami. Zaczęła drżeć i poczuła, że matka przyciąga ją delikatnie. Ale matka nie usiłowała pocieszać jej banałami. Obejmowała ją tylko, jak gdyby rozumiała, że słowa rozwieją czar, który je złączył po tak długim czasie i tak wielu nieporozumieniach i nierozważnych postępkach.

Grace nagle zrozumiała, co było tak cenne dla matki, że aby to uchronić, kłamała nawet przed samą sobą. Ponieważ ona chciała tego samego - magicznego kręgu swojej rodziny, kompletnej i nie naruszonej rodziny, którą widziała w myślach tak wyraźnie jak obrazek Świętej Rodziny na karcie bożonarodzeniowej: Chrisa, Jacka i, tak, Bena i Hannę także.

## ROZDZIAŁ 22

Jack wysłuchał z automatycznej sekretarki wiadomości od Grace, potem wcisnął guzik przewijania taśmy i przegrał ją znowu. Nie przegapił żadnego słowa, nie, po prostu chciał, musiał, usłyszeć ją ponownie.

Jej głos, tak specyficzny, uroczo śpiewny, uspokajał go. Musiał go słuchać, ponieważ było to może jedyne, czego w niej mógł się ucześcić.

Dlaczego, Grace? Dlaczego?

Ale teraz jej słowa przeszywały go. „Jack, zadzwoń do mnie, proszę. Wiem, że chyba jesteś na mnie zły... ale wydarzyło się coś naprawdę okropnego. Chodzi o Chrisa. Uciekł. O Boże! Nie dam rady przejść przez to bez ciebie...”

Po minucie był za drzwiami i w taksówce, w drodze do śródmieścia.

Gdy patrzył przez okno na Park Avenue, rozpalał się w nim gniew. Miał ochotę uderzyć kogoś, roztrzaskać coś. Niech diabli wezmą tego dzieciaka! I ją też! I tego drania Wina! Chryste, jeśli nawet myślał, że istnieje szansa na to, żeby się zesłi z Grace, jakim prawem wtajemniczył swego syna w tę seksualną eskapadę?

Zanim Jack wysiadł z taksówki, był znowu opanowany, zaledwie opanowany, ale gniew w nim pozostał - mały, migocący brylant, który błyskał w nim jak zimny ogień. Kiedy odkrył, że winda nie działa, to gniew popchnął go sześć kondygnacji po schodach na górę... i on uodpornił go na ból, jaki poczuł, gdy Grace odpowiedziała na jego pukanie. W wytartych dżinsach i ze zwisającą do kolan połą pogniecionej koszuli sama wyglądała jak zagubione dziecko.

- Jack - wypowiedziała jego imię niemal jak przeprosiny - a może błaganie, by na razie zamroził swoje uczucia?

Wtedy, patrząc ponad głową Grace, zobaczył ciasno spleciony blezer, przerzucony przez oparcie sofy i tuż za

nią szczupłego, atletycznie zbudowanego mężczyźnę, stojącego przy szafce na książki z rozluźnionym krawatem i drinkiem w ręku.

- Win - Jack skinął zdawkowo głową, ale krew znów w nim zawrzała. Miał ochotę rozerwać Winstona Bishopa III na strzępy i nakopać mu w tyłek. Ledwo spojrział na jego zadowoloną, uśmiechniętą gębę, od razu widział Grace z nim w łóżku... rozchylającą dla niego usta...

Zacisnął pięści. Przestań... musisz przestać.

Wtedy zauważył matkę Grace, plecami zwróconą do Wina. Wyglądała na roztargnioną i zaniepokojoną, a to było więcej niż Jack mógł dostrzec w jej byłym zięciu, który podchodził teraz do stolika i stawiał na nim drinka, nie omieszkawszy najpierw wytrzeć dna szklanki o rękaw koszuli, by nie pozostawiła śladu na blacie. Jak gdyby to był jego dom.

Jack zmusił się, by rozprostować dłonie, zaciśnięte tak mocno, że odpłynęła z nich krew. Wstrzymaj się, Gold. Nie teraz.

- Dzwoniłyśmy do każdego, kto przyszedł mi na myśl - powiedziała Grace, biorąc jego płaszcz, zanim sam zdążył go powiesić.

Do diabła, przecież wiem, gdzie jest szafa. Przyznaj mi przynajmniej to, pomyślał. - A co z policją? - zapytał, starając się skupić na Grace i uporać się z białą obwódką ognia, która zdawała się otaczać jego czaszkę.

Grace potrząsnęła głową. - Zrobiłam piekło dyżurnemu sierżantowi na naszym posterunku. Zgodzili się mieć oko, ale dopiero, kiedy zadzwoniłam do komendy głównej i nawrzeszczałam. Oficjalnie on nie jest zaginiony do pojutra - skrzyżowała ramiona na piersiach, obejmując się mocno rękami. Łzy stanęły jej w oczach. Widział ich blask. - Jack, wariuję tutaj. Nie wiem, co jeszcze zrobić. Dokąd pójść.

- Wyglądasz strasznie - powiedział jej. - Pierwsze, co musisz zrobić, to usiąść i odetchnąć.

Jej twarz była wymizerowana ze zmartwienia, włosy proste, opadające w przetłuszczonych pasmach tak, jak

przegarniała je palcami. Stała boso, ze stopami posiniakami z zimna. Jack z trudem oparł się pragnieniu, by wziąć ją na kolana i ogrzać je własnymi dłońmi.

- Jack, czuję się świetnie - zaprotestowała tak, jak to robiła Hanna, gdy nadchodziła pora snu, a ona nie chciała się przyznać nawet do odrobiny zmęczenia, chociaż oczy same jej się zamykały. - Kiedy to się skończy, będę spała przez tydzień, ale w tej chwili mam w sobie dość kofeiny, żeby przepłynąć kanał La Manche. Nie mogłabym odpoczywać, nawet gdybym się starała. A jeśli ja wyglądam strasznie, to tobie przypada druga nagroda w tej kategorii - rzuciła mu czułe spojrzenie, wyciągając rękę, która zatrzymała się tuż przy klapie jego marynarki, zanim opadła z powrotem do jej boku.

Jack zdrzął, zamykając oczy i łapiąc oddech.

Jest wzruszona, że przyszedłeś i przykro jej z twojego powodu, to wszystko. Nie jesteś dzieckiem, powinieneś wiedzieć lepiej. Młoda kobieta, taka jak ona, całkowicie inne wychowanie - czy naprawdę wierzyłeś, że to się uda?

- Grace... - Jack chwycił jej dłoń. Nie był zupełnie pewien, co chce jej powiedzieć, ale cokolwiek to było, nie chciał, by działo się to w zasięgu słuchu Cordelii i Wina. - Przydałaby mi się kawa. Zostało trochę?

Skinęła głową, podnosząc na niego wzrok. Skóra wokół jej oczu wyglądała na niemal posiniaczoną ze znużenia i zmartwienia. - Przyniosę ci.

- Nie, nie przejmuj się. Nie zapomniałem, jak się tutaj poruszać... jeszcze nie - usłyszał nutę gorzkości w swoim głosie i zauważył, że tym ją ugodził. Tani chwyt, zbeształ sam siebie.

Czuł na sobie wzrok Wina, gdy poruszał się po kuchni, sięgając do kredensu nad zlewem po kubek, łatwo znajdując ten, z którego zawsze pił.

Zostało pół filiżanki kawy, więc zaparzył dzbanek świeżej, podczas gdy dopijał resztki. To dawało mu jakieś zajęcie... i nie mógł zaprzeczyć, że sprawiała mu przyjemność groźna czujność Wina.

- Co z salonami gier komputerowych? - zastanawiał się głośno Jack. - Ten dzieciak żyje tylko tym. Przypomnij sobie, Grace, ile razy musiałaś wyciągać go do domu z tej arkady na Penn Station? A na samym Times Square musi być kilkanaście takich salonów. Może to mizerna szansa, ale powinniśmy je sprawdzić.

- *Gdybyś w ogóle znał Chrisa, wiedziałbyś, że nie pozostawiłby psa, przywiązanego przed salonem na Times Square.* - Win podszedł do końca kontuaru kuchennego, tam, gdzie stał Jack. Poruszał się ze spokojną, niespieszną gracją. Ale nie sposób było mylnie odczytać wrogość w jego głosie.

- Masz rację, nie pomyślałem o tym - powiedział Jack łagodnie, pilnując się, by nie dać się sprowokować. - Ale dobrze, skoro o tym wspominasz, to co z psem? Przypuszczam, że Chris raczej zaryzykuje, iż zostanie schwytany, zanim pozbawi czegokolwiek psa. To oznacza karmienie go i utrzymywanie w cieple. Co ze schroniskami młodzieżowymi? Czy przyjmują dzieci ze zwierzętami?

- Och, nie wydaje mi się - pisnęła Cordelia. - Pchły i wszy, wie pan.

- Wiem! - nagle ożywiła się Grace. - Zadzwoń do Liii. Ona jest chodzącą encyklopedią psów. Założę się, że będzie wiedziała, czy w pobliżu jest jakieś miejsce, gdzie Chris mógłby pójść z Codym.

Gdy wystukiwała numer, Win podszedł i gestem posiadacza otoczył ramieniem jej talię. A Grace, może zbyt roztargniona, a może dlatego, że podobało jej się to, nie odtrąciła go ani się nie odsunęła. Gdy odłożyła słuchawkę, pozostawiwszy szczegółową wiadomość na automatycznej sekretarce, położyła mu nawet na krótko głowę na ramieniu.

Jack czuł, że samokontrola wyslizguje mu się z rąk mimo wszelkich solennych obietnic, jakie sobie składał. Ale ten pieprzony dupek, popisujący się swoją zażyłością z Grace - tego już było za dużo.

Założyłyby się o tygodniówkę, że to przede wszystkim naciski Wina skłoniły Chrisa do ucieczki. Właściwie,

widząc niejasno zakłopotany wyraz twarzy Wina, był niemal tego pewien.

Począł, aż Win wróci po drinka. - Wiesz coś, o czym ~~am~~ nie mówisz. - Jack stanął przed nim, patrząc mu otwarcie w twarz, i zauważył, że Win jest od niego o kilka centymetrów niższy. Teraz, stojąc tak blisko niego, niemal czuł to, ten kwaśny smród człowieka, który boi się o swój tyłek.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - warknął Win.

- Ukrywasz coś - ciągnął Jack. - Wiesz, dlaczego Chris uciekł. Widzę to w twoich oczach.

- Odczep się, Gold - Win starał się umknąć od odpowiedzi, ale jego opalone policzki nabrały koloru głębokiej sieni.

- Uznaję fakt, że Chris jest twoim synem i z pewnością się o niego martwisz - powiedział Jack tak obojętnie, jak potrafił. - Ale jeśli przychodzi ci na myśl jakiś powód, dla którego mógłbyś prysnąć Bóg wie dokąd, myślę, że Grace powinna o tym wiedzieć. Mam rację? - Ciężko położył rękę na ramieniu Wina, którą ten strząsnął gniewnie, wykręcając się płynnym ruchem zjazdowca.

- Kim ty, do diabła, jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? - prychnął.

Z tak bliska Jack poznał po mocnych rumieńcach i przekrwionych oczach Wina, że drink na stoliku prawdopodobnie nie był dziś pierwszym. Domyślał się również, że Win jest zadowolony z okazji do walki, do której obaj się palili, odkąd tylko Jack tu wszedł.

Chryste, czy nie byłoby przyjemnie walnąć prosto w ten konfederacki nos?

Zamiast tego Jack odpowiedział: - Jestem człowiekiem, który nie chciałby widzieć, że chłopcu stała się krzywda z powodu czegoś, co powiedziałeś lub zrobiłeś, a do czego nie chcesz się przyznać, bo jesteś zbyt wielkim tchórzem.

- Dajcie spokój! Absolutnie niczego nie zyskamy przez to, że będziecie tak napadać jeden na drugiego!



Za plecami Jacka głos Cordelii wzniósł się na pełnej oburzenia, cokolwiek władczej nucie. Ale Jack ledwie ją słyszał, ponieważ Win rzucił się na niego, szeroko rozłożonymi rękami uderzając go w pierś i popychając go mocno, jak gdyby chciał wymierzyć cios, ale za bardzo był dżentelmenem, by posunąć się tak daleko. - Ty draniu! - krzyknął.

- Win, nie! - ostry krzyk Grace przeniknął przez stłumiony szum w uszach Jacka, gdy zatoczył się w tył, by odzyskać równowagę.

Ignorując ją, Win szydził z Jacka: - Tu nie chodzi o Chrisa. Mój syn gównie cię obchodzi. Po prostu wykorzystujesz go jako pretekst, żeby pokazać Grace, jakim wielkim jesteś bohaterem. No więc ja ci powiem, zanim Grace się na to zdobędzie, że nie masz do tego najmniejszego prawa. Więc dlaczego po prostu nie pójdziesz do domu? To moja rodzina! Nic tu nie masz do roboty, nic, co by cię obchodziło.

- Win! Jak śmiesz! - głos Grace załamał się z wściekłości.

- Kiedy Grace powie mi, że nie jestem tu mile widziany, wtedy posłucham - powiedział Jack. - A jeśli myślisz, że tu chodzi tylko o Grace i o mnie, to pomieszało ci się w głowie. Naprawdę zależy mi na Chrisie... wystarczająco, żeby ryzykować, że będę wyglądał na kompletnego głupca, jeśli się mylę. Mylę się?

Pięść Wina wzniosła się w górę tak nagle, że Jack dał się zaskoczyć. Miał na tyle przytomności umysłu, by zrobić unik, dzięki czemu cios musnął tylko krawędź jego szczęki. Bardziej szturchnięcie niż cios.

W Jacku rozgorzał gniew. Natychmiast odpowiedział ciosem wprost ze środka doprowadzonej do białości furii. Poczul wstrząs, gdy jego pięść zetknęła się z kością i zobaczył plamę tkaniny w niebieskie paski, która była połą koszuli Wina, wyfruwającą spod paska, gdy ten poleciał w tył z ramionami wyrzuconymi w powietrze. I 1

Potem odzyskał zdolność widzenia i zobaczył Wina I rozciągniętego na podłodze, ze stopami zapinanymi I 1

między gięte nogi stolika, chwiejnie podnoszącego się na łokciu, z przedramieniem ułożonym na czubkach butów byłej teściowej. Cordelia siedziała, przyglądając mu się z otwartymi ustami, jak gdyby nie była całkiem pewna, czy pomóc mu się podnieść... czy odepchnąć z obrzydzeniem.

- Niech was diabli! Was obu! - krzyknęła Grace przenikliwie.

Gniew Jacka nagle ostygł. Czuł, że ospale, niemal ze zgrzytem kości, obraca się w jej stronę. Ale zanim zrobił pełny obrót, zobaczył ją kątem oka - stała wyprostowana i zacięta.

Ruszył ku niej, ale wtedy usłyszał dziwny bulgot, który kazał mu się odwrócić w stronę Wina.

Facet próbował wstać. Podniósł jedno kolano, na drugim klęczał ze stopą opartą na ziemi, zwrócony nieco ku Cordelii w pozycji, która przywoływała obraz zakochanego młodzieńca z epoki wiktoriańskiej, proszącego wybranek serca o rękę. Z jednego nozdrza jego orlego nosa toczyła się strużka krwi. On nawet to robi pięknie, jak hollywoodzki gwiazdor, pomyślał Jack. Ale coś było nie w porządku z tym gwiazdorem...

Win płakał. Prawdziwe łzy spływały mu po policzkach lśniącymi strumyczkami.

- Win, doprawdy, musisz im powiedzieć, co wprawiło Chrisa w tak...

Błagania Cordelii ucięła Grace, podbiegając i kucając przed Winem. - Na miłość boską, Win, jeśli coś wiesz... proszę, proszę, powiedz mi. Ja muszę wiedzieć. Może chodzić o życie Chrisa. Wiem, że kochasz go tak mocno jak ja. Wiem, że nie chcesz, żeby coś mu się stało.

Głowa Wina opadła. Łzy ściekały mu z podbródka, różowe od rozmazanej krwi. Jego głos, gdy się wydobył, był niski i gardłowy. - On... on chciał przeprowadzić się do domu. Więc powiedziałem mu o nas, o tamtej nocy. Myślałem, że to tylko kwestia czasu, zanim znowu będziemy rodziną, wszyscy pod jednym dachem. I to, że miałem Chrisa, cóż, to o tyle szybciej pomogłoby ci się

zdecydować. Chris chciał w to uwierzyć, ale bał się także... rozbudzenia nadziei i zawodu. Chyba po prostu... popełniłem błąd -jego głowa opadła jeszcze niżej. - Powiedziałem mu, że jeśli wróci do ciebie, to nie wiem, czy będę mógł sam opiekować się psem. Nie chciałem tego, przysięgam Bogu, że nigdy nie pozbyłbym się Cody'ego. Byłem... zdesperowany. On musiał wiedzieć, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego...

Nie instynktowna wściekłość sprzed chwili, ale zimny gniew wypełnił Jacka. Miał ochotę chwycić Wina za gardło i potrząsnąć nim. Ale to nie sprowadzi Chrisa.

Podczas gdy Grace chwiejnie wstawała, Jack podszedł wielkimi krokami tam, gdzie wciąż kulił się Win, z głową pochyloną na kolano. Chwycił go za łokieć i postawił na nogi, szorstko, ale nie brutalnie. - Chodźmy - powiedział lapidarnie. - Mamy duży obszar do pokonania.

- Cooo? - Win zamrugał, zalany łzami i zmieszany.

- Nie mógł zająć zbyt daleko z psem. Tak samo możemy wykluczyć autobusy Greyhouna czy Amtrak. A wątpię, żeby dotarł bardzo daleko na piechotę czy autostopem. Proponuję, żebyśmy śladem tych rozmów telefonicznych odwiedzili jego kolegów. Któryś może go kryć. Zgłosimy się z powrotem za jakiś czas i zobaczymy, czy Lila ma jakieś inne pomysły.

Kątem oka dostrzegł, że Cordelia wstaje i rusza w stronę kuchni. Chwilę później była z powrotem z serwetkami i lodem na zakrwawiony nos Wina, którym zajęła się żwawo i sprawnie. Kiedy Win był już czysty, popchnęła go lekko w stronę Jacka, jak gdyby chciała powiedzieć: „No, dalej, bądź grzecznym chłopcem”.

Jack czuł podążające za nim urażone spojrzenie Grace, gdy prowadził Wina do westybulu i wyciągał z szafy płaszcze. Był już niemal za drzwiami, kiedy usłyszał, że woła jego imię, głosem tak słabym, że zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Odwrócił się i zobaczył Grace, sunącą po dywanie, szurającą bosymi stopami po jego jedwabistym meszku, z oczyma pełnymi udręki.

- Jack - wyciągnęła do niego rękę, tak jak to zrobiła przedtem, ale tym razem nie pozwoliła opaść jej do boku. Trzymała ją wysoko, jak gdyby wskazywała zagubionemu wędrowcowi bezpieczną drogę. Ale powiedziała tylko: - Weź parasol. Będzie padać.

Usłyszał w jej głosie głębokie pulsowanie niepewności, jak gdyby ostrzegała go, nie przed deszczem, ale przed czymś o wiele gorszym.

Jack nie musiał pytać, co to takiego, ponieważ już wiedział. Mógł znaleźć Chrisa; mógł przynieść do domu gwiazdkę z nieba... i wciąż nie zmieniłoby to niczego. Ta ponura myśl, która go prześladowała od początku, ten lęk, że za rok czy dwa ona opuści jego łóżko dla łóżka młodszego, przystojniejszego, bardziej krzepkiego mężczyzny - stała się teraz czarną rzeczywistością.

Czuł nieznośny smutek patrząc, jak Grace robi krok do przodu, sięga do szafy po parasol i podaje mu go.

Jack potrząsnął głową. - Lepiej nie. Tylko zapomniałbym go zwrócić.

Czego nie powiedział, a o co ona wyraźnie nie śmiała zapytać, to, że po dzisiejszym wieczorze i po tym, jak Chris zostanie odnaleziony, on nie wróci.

## ROZDZIAŁ 23

Hanna wpatrywała się w brata. - Nie wierzę ci.

- To prawda... to ja puściłem farbę - powiedział Ben.

- Idź zapytać tatę. On ci powie. On tylko osłaniał moją dupę, bo kazałem mu to obiecać.

Czy to są przeprosiny? - zastanawiała się. Ale kiedyż to Ben przyznał się do jakiegoś draństwa? Jak wtedy, kiedy spowodował to wgniecenie w samochodzie taty

i powiedział, że jakiś idiota musiał go stuknąć na parkingu.

- Jak w ogóle się dowiedziałeś?

- Słuchaj, nie szpiegowałem cię ani nic takiego. Usłyszałem, jak rozmawiałaś przez telefon z przyjaciółką. Przecież nie mówiłaś szeptem.

Hanna, która robiła sobie kolację - dżem truskawkowy na opiekanych waflach, kawałki jabłka i jakieś wczorajsze resztki makaronu po chińsku - odłożyła nóż. Ben przyszedł zabrać mamę na jedno z tysięcy jej spotkań, ale nawet w marynarce i w krawacie wyglądał trochę nieporządnie, jak gdyby przyjechał tutaj koleją podziemną, a nie swoim samochodem. Gdy się zastanowiła, skojarzyła, że już od pewnego czasu był taki - trochę zmięty i nie w humorze.

- Nie rozumiem - powiedziała, wpadając w gniew.

- Dlaczego mówisz mi to teraz?

Każ mu mówić, powiedziała sobie, bądź zła na niego. W ten sposób nie musiałyby stawić czoła wzbierającemu w niej mdłącemu uczuciu, że to ona jest złą dziewczyną, ponieważ obwiniła Grace i nastawiła ją przeciwko tacie.

Ben wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, smukłym palcem rozgniatając okruch na desce. - Może miałem dość bycia popychanym przez innych. Wiem, jakie to uczucie... i nie chcę tego robić tobie.

- Spóźniłeś się. Już się nadęłam na Grace.

- Co w tym nowego?

Pewnie mówi o Wigilii, o jej napadzie złości na Grace. Tata musiał mu powiedzieć. - No cóż, w tym szczególnym przypadku ona na to nie zasłużyła. I, dla twojej informacji, tak się składa, że nie jestem w ciąży - ściszyła głos, żeby mama, ubierająca się w swoim pokoju, nie usłyszała.

- Jeśli odtąd nie nauczysz się ostrożności, to w końcu będziesz - nie powiedział tego złośliwie. Po prostu, jak zwykle, myślał o najgorszym.

Hanna zakręciła pokrywkę na słoiku z dżemem i zaczęła zmiatać okruchy, zanim mama zobaczy, jakiego

bałaganu narobiła. I żeby Ben nie zobaczył łez w jej oczach.

- Nie, nie będę - powiedziała mu, odchrząkując. - Con i ja... Cóż, nie mogę powiedzieć, że to skończone, bo trzeba zacząć od tego, że nie jestem pewna, czy coś było. - Czuła się głupio, mówiąc to wszystko Benowi, który byłby ostatnią osobą, jakiej by się zwierzyła, gdyby nie stał tuż przed nią. A cóż Ben może jej na to powiedzieć? Skąd on może wiedzieć, jak to jest, kiedy tak bardzo chcesz, żeby cię ktoś trzymał w ramionach, że idziesz do łóżka z człowiekiem, który cię nie kocha, i ty doskonale o tym wiesz?

Jednak zaskoczyło ją współczucie, jakie usłyszała w głosie Bena, gdy powiedział: - Przejdzie ci.

- Nie ma co przechodzić. - Była w niej pustka i nie wiedziała, czy się z tego wyleczy. Może gdyby naprawdę kochała Cona, a on czuł to samo do niej, to przynajmniej miałyby złamane serce. Zamiast tego pozostawiono ją z uczuciem, że coś doniosłego prześlizgnęło się obok, kiedy ona nie uważała.

- Zostawiłaś płamę - Ben wskazał smugę na śnieżnobiałej formice.

- Dzięki - powiedziała mu, ścierając blat gąbką mocniej niż to było konieczne.

- Słuchaj, Hanna, jeśli to ma jakieś znaczenie, to przepraszam - wyprostował jeden z miedzianych garnków, wiszących w błyszczącym rzędzie nad kuchenką. - Wiem, co to znaczy zerwać z kimś, nawet jeśli się myślało, że ten związek nie jest aż taki ważny.

Został uratowany przed wyjawieniem czegoś więcej przez mamę, która wpłynęła w obłoku szyfonu i Chanel nr 5. - Ach, tu jesteście. - Stukając obcasami po podłodze z meksykańskich kafelków, podeszła do Bena. Przechylając się do przodu na czubkach palców, Natalie podsunęła twarz do pocałunku. - Lepiej się pospieszmy, inaczej spóźnimy się na cocktail. Nie chcę, żeby ominęło mnie spotkanie z Louisa. Wiesz, ona kazała urządzić na nowo swoje mieszkanie w East Hampton.

Odwróciła się do Hanny. Drobną zmarszczką pojawiła się między jej wprawnie wyregulowanymi brwiami, gdy omiotła spojrzeniem kontuar, który Hanna właśnie skończyła ścierać. - Nie wrócimy zbyt późno... i, skarbie, naprawdę pamiętaj, jak bardzo nie znoszę wracać do bałaganu w domu.

Hanna po ich wyjściu odczekała około dziesięciu minut; potem wzięła z naczynia koło telefonu kluczyki do samochodu matki. Otrzymała prawo jazdy ostatniej jesieni, ale nigdy nie prowadziła mercedesa - mama za bardzo się obawiała, że Hanna będzie miała stłuczkę i wgniecie karoserię. Nagle Hanna przestała dbać o to, co jej matka powie czy zrobi... nawet gdyby to oznaczało, że będzie uziemiona, dopóki nie osiągnie pełnoletności.

Nabazgrała notkę na bloczku koło telefonu i przyczepiła ją do lodówki magnesem w kształcie ważki.

*Pojechałam do Berkshires. Nie martw się, będę dbała o samochód.*

Kilka godzin później Hanna leżała na swoim łóżku w wiejskim domu ojca, wpatrując się w cienie na suficie.

Co chciała osiągnąć, wymykając się i przebywając całą drogę tutaj? Droga była całkiem łatwa, tylko jeden prawdziwy korek, ale kiedy mama odkryje, że nie ma jej mercedesa, to naprawdę szlag ją trafi.

I po co? Wcale nie było tutaj przytulnie i kojąco, tak jak sobie wyobrażała. W majtkach i gorze flanelowej piżamy dygotała w nie ogrzanej sypialni na poddaszu tego pustego domku, podczas gdy wszyscy byli o wiele mil stąd, prawdopodobnie przeżyli to i nawet nie zauważyli, że ona się urwała.

Łza potoczyła się po jej skroni, wywołując łaskotanie przy linii włosów. Czuła się jak zołza... chcąc nadal nienawidzić Grace, a jednocześnie nienawidząc siebie za to, że nawet nie wytłumaczyła wątpliwości na jej korzyść,

zanim rozdarła jadaczkę. Dlaczego choć raz nie mogła zrobić czegoś jak należy? Dlaczego sprawy po prostu nie mogły się ułożyć dobrze?

Dotarło do niej miarowe tykanie i uświadomiła sobie, że to sople lodu ociekają na parapet za oknem. Gdzieś w oddali zaszczekał pies i usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi ciężarówki, po czym silnik ożył z rykiem. Dwa piętra niżej, w piwnicy, stary bojler wierzgnął i licznik ciepła przy jej łóżku zaczął swoje astmatyczne pomrukiwanie.

Uchwyciła się swojskości tych dźwięków, żeby nie musieć się zastanawiać, czy wpuścić uczucie, które pukało o jej żebra. Pomyślała o rodzinnym terapeutcie, do którego mama i tata zaciągnęli ją i Bena, kiedy się rozstawali. To, co Hanna najlepiej pamiętała z tych sesji, to ta głupia zagłuszarka w poczekalni, ciągły strumień białego szumu, tak, by nie można było słyszeć głosów w gabinecie doktora Dickensteina. W tej chwili chciała mieć taką maszynę, by zagłuszała głosy, podnoszące wrzawę w jej głowie.

Nic dziwnego, że tata woli być z Grace; tylko popatrz na siebie, dąsającą się samotnie w ciemności.

Hanna wyobraziła sobie czysty kwadrat papieru do origami i składała go teraz na pół, raz, dwa razy. Niemal czuła zwinięty papier, prześlizgujący się po poduszeczce kciuka, gdy robiła zakładkę, prostą, dokładną, taką, jakie życie nigdy nie było. Dlaczego nie potrafi żyć zgodnie z ludźmi, których kocha i którzy ją też kochają?

Dygocąc teraz, wsunęła się w pościel i wcisnęła twarz w miękką poduszkę. Odgłosy starego domu, skrzypienie i burczenie, wywołały w niej szybsze bicie serca. Przypuśćmy, że włamie się jakiś rabuś, jeden z tych zbiegłych skazańców czy pacjentów szpitali psychiatrycznych, o których tyle czytała w gazetach? Wyobraziła sobie, że naprawdę zakopuje się pod materacem, żeby niespodziewany intruz, gdy już zajrzy do jej pokoju, mógł zobaczyć tylko lekko zmiętą kordonkowa narzutę.



Ale przypuśćmy, że w środku nocy wysiądzie piec. Zamarząaby! Odpływając w sen, wyobrażała sobie, że z nadejściem ranka stanie się solidnym blokiem lodu, z szeroko otwartymi oczyma, utkwionymi w suficie.

Tata byłby smutny przez jakiś czas, ale w końcu oni wszyscy - mama, Ben, a szczególnie Grace - uświadomiły sobie, o ile lepiej jest im bez niej...

Człap!

Hanna, wyrwana z pierwszego snu, usiadła wyprostowana. Jej palce odruchowo podeszły jak pajak do starego pluszowego misia, wciśniętego między ramę łóżka i ścianę. Przycisnęła misia Boo do swego bijącego jak oszalałe serca.

Człap - człap.

Znowu. Szop? One czasami dostawały się do pojemników na śmieci, jeśli tata lub Ben zapomnieli szczelnie je przykryć. Pewnego dnia usłyszała szopa na dachu, tuż nad głową, i miała wtedy wrażenie, że na górze słyszy odgłosy robót drogowych. Ale to było inne. To było...

W środku. Dochodziło z budynku, z dołu.

Hanna czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Jej pachy nagle zwały się potem. Próbowwała wyszeptać: - Boże, proszę - ale wydobyła z siebie tylko szorstkie krakanie.

Wtedy usłyszała nowy dźwięk, dziwny hałas, jak... jak...

Myślała o Roo, angielskim spanielu, którego mieli odkąd skończyła czternaście lat, a który, kiedy już na starość był schorowany, wędrował po domu przez całe noce, zaś jego pazury wydawały taki sam dźwięk na starych deskach kuchennej podłogi.

Tak, to było to. Pies. Słyszała go, jak skamle, zupełnie tak jak Roo, kiedy znajdował się w nie znanym miejscu.

Jaki wariat włamywałyby się z psem? Bez względu na to, jak była wystraszona, nie miała zamiaru leżeć tutaj i czekać na to, co się stanie. Wyślizgnęła się z łóżka tak cicho, jak tylko mogła, i wypełzła do hallu. Nogi prawie ugięły się pod nią z każdym krokiem. Schodząc po

schodach, tuliła się do ściany, by uniknąć skrzywienia. Na dole ostrożnie obeszła słupek podtrzymujący poręcz i zajrzała przez ciemność bawialni tam, gdzie dziwny blask oświetlał kuchnię.

Stał, rysując się w świetle otwartej lodówki, szczupły chłopiec w brudnej pomarańczowej kurtce, z białą twarzą poznaczoną czerwonymi plamami zimna, w trampkach oblepionych zaschniętym błotem. Obok niego kulił się złoty retriever o równie parszywym wyglądzie, z nosem w górze, węszącym bogactwo zapachów, niosących się od lodówki.

Chłopiec musiał ją usłyszeć, ponieważ bacznie podniósł wzrok, z wyrazem twarzy wahającym się między szokiem a zażenowaniem.

- Cześć, Chris - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

- Co ty t...tu robisz? - wyjąkał.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

- Myślałem, że nikogo tu nie będzie. Ja... byłem głodny. Tylne drzwi nie były zamknięte.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając się, jak tata, czy nawet Grace, poradziłoby sobie z tym. Chris musiał mieć jakieś kłopoty... i mogła się założyć, że w tej chwili Grace rwie sobie włosy z głowy, poszukując go. Ale Hanna miała uczucie, że maglowanie Chrisa byłoby złym wyjściem.

- Jest tam coś, co wygląda dobrze? - zapytała, nagle uświadamiając sobie, że ma na sobie tylko górę od pizamy, która sięga jej zaledwie do połowy ud. Ale Chris jest, cóż, prawie rodziną. Podeszła szybko i zajrzała do lodówki.

Chris wzruszył ramionami, ale ona widziała, że aż pochylił się z ulgi. - Niewiele - powiedział. - Jakiś stary chleb i karton jajek. Jakiś ser, ale pewnie spleśniały.

- Co ty na to, żebym zrobiła dla nas omlet? Możesz oskrobać ser z pleśni i opiec chleb - pochyliła się, by podrapać psa za uchem i została wynagrodzona waleńniem ogona o kuchenną podłogę. - Jak się wabi?

- Cody.
- Miły psiak.
- Jest w porządku. - Jednak nie można się było pomylić co do tego, że w oczach Chrisa lśniło całkowite oddanie.

Hanna wyciągała jajka, sos tabasco, drucianą trzepaczkę, miskę z obitym brzeżkiem, której kiedyś używali z Benem do gry w monety, kiedy poczuła lekkie dotknięcie na łokciu. Odwróciła się i oto Chris patrzył na nią jak przyparty do muru szpieg z filmu z Jamesem Bondem, który właśnie uświadomił sobie, że jego życie jest w jego przeciwnika.

- Nie powiesz, prawda, Hanna?
- Niech skonam, jeśli powiem.
- Mówisz prawdę? - przygryzł dolną wargę.
- Znasz takie słowo na trzy litery, które zaczyna się na „t”, a kończy na „k”? - Nie powiedziała tego, ale była pewna, że wystarczyłoby lekkie ponaglenie z jej strony, by skłonić go do zadzwonienia do domu.

Chris ruszył ku niej i przez jedną pełną paniki sekundę Hanna myślała, że ma zamiar ją uściskać... ale zobaczyła, że on po prostu sięga po ser na kontuarze za jej plecami.

- Sprawdź w kredensie pod zlewem. Gdzieś tam powinna być puszka jedzenia dla psów - powiedziała, odwrócona do niego plecami, szukając papryki w szafce na przyprawę. - Otwieracz do konserw jest w szufladzie przy kuchence. I nie waż się otwierać puszki gdzieś blisko mnie, bo rzygnę.

- Hanna?

Odwróciła się i zobaczyła go stojącego przy zlewie, trzymającego poplamioną rdzą puszkę Alpo w jednej ręce i otwieracz do konserw w drugiej. Wyglądał tak żałośnie, że naprawdę miała ochotę go uściskać. - Co?

- Dzięki za to, że nie jesteś zołą.
- Nie jest to łatwe, ale czasami mi się udaje.
- Gdyby moja mama się dowiedziała, że dojechałem autostopem aż tutaj... - zawiesił głós.

- Taak, wiem. Moja obdarłaby mnie żywcem ze skóry za to, że wzięłam jej samochód. A tymczasem może byśmy się oboje zamknęli i zjedli?

Poczekala, aż pochłona omlet, zanim powiedziała, co jej chodziło po głowie. - Słuchaj, wiem, że to nie mój interes, ale czy nie powinieneś zadzwonić do mamy lub taty? Założę się, że się bardzo martwią.

- Przeżyją to. - Twarde spojrzenie sprawiło, że nagle Chris zaczął wyglądać na więcej niż trzynaście lat.

- Wiem, co czujesz - westchnęła.

- Wiesz?

- Czasami czuję się między mamą i tatą jak w środku strefy działań wojennych. Chodzi głównie o mamę; zawsze przypiera mnie o plotki na twoją mamę. Może częściowo dlatego tak dałam się we znaki Grace. Gdyby nie było jej w życiu taty, może mama przestałaby mnie męczyć. Nie, żeby ja ją obchodziła - dodała gorzko.

- Mam dosyć bycia pośrodku - powiedział Chris. Ze smutną miną, z kropkami galaretki, rozmazanej w kąciakach ust, wyglądał teraz jak czterolatek. - Dlaczego oni nie mogą po prostu... przestać?

- Ponieważ oni też w tym tkwią. Nie zawsze też wiedzą, jak tym pokierować - Hanna, zaskoczona własną wnikliwością, dodała szybko: - Nie zaszkodziłoby po prostu zadzwonić. Nie musisz nawet mówić, skąd dzwonisz.

- Sam nie wiem...

Hanna wycofała się natychmiast. - Jak chcesz.

Chris siedział przez jakiś czas w milczeniu, przesuując grzanką po talerzu, by oczyścić go z ostatniego kawałeczka omletu. W końcu powiedział słabym głosem:

- Chyba masz rację - i z głębokim westchnieniem podniósł się z krzesła. Minutę później Hanna usłyszała go rozmawiającego przez telefon w sąsiednim pokoju.

- Mama? W porządku, mamo, nic mi nie jest, nie płacz. Jestem z Hanną, mam się świetnie - wydawało się, że sam jest o krok od płaczu. - Czy możemy porozmawiać o tym później? Teraz jestem trochę zmęczony... - reszta została zagłuszona przez wzmożone burczenie grzejników.

Hanna zmywała brudne naczynia, kiedy usłyszała za sobą Chrisa, mówiącego: - Powiedziałem jej, że mam zamiar spędzić tutaj noc. Czy tak będzie w porządku?

- Pewnie - powiedziała lekko, nadal odwrócona plecami, by nie zobaczył, że wstrzymuje oddech w nadziei, że Chris przystanie na to, co miała zamiar za chwilę powiedzieć. - Z samego rana wrócimy samochodem.

Chris się nie spierał. - To na pewno lepsze niż autostop - powiedział.

## O

Nawet zatrzymawszy się na śniadanie w Great Barrington, byli z powrotem w mieście przed dziesiątą trzydzieści - ale dostatecznie późno, by Hanna uniknęła natychmiastowego gniewu swojej matki, która już dawno musiała pójść do pracy. Ostrożnie wyminęła zaparkowaną w drugim rzędzie furgonetkę i zatrzymała mercedesa na skrawku wolnego miejsca przed budynkiem Grace. Gasząc silnik, westchnęła z ulgą. Żadnych wgnieceń, nawet żadnej rysy. Jedyne, z powodu czego mama dostanie ataku, to sierść Cody'ego i ślady zabłoconych łap na całym tylnym siedzeniu.

Chris obok niej wyglądał na załęknionego. - Mama będzie wściekła - powiedział.

- Nie, nie będzie. Najgorsze, co zrobi, to zaściska cię na śmierć i zatopi we łzach.

Kiedy jechali na górę windą, Chris odwrócił się do niej z drżącym uśmiechem i powiedział: - Wiesz, nie musisz tego robić - ale wydawał się wdzięczny za to, że ma ją przy sobie.

Hanna nie powiedziała mu, że ma własne powody, by nie wysadzać go po prostu przy krawężniku. Osobą, na którą Grace będzie wściekła, pomyślała, będą ja. Ale może jak wyjaśnię...

Jednak w chwili, gdy wyszli z windy i drzwi Grace otworzyły się z rozmachem, Hanna zobaczyła, że nie będzie miała tej szansy. Ukazała się Grace, z tak wielką

ulgą na twarzy, że nie było już miejsca na inne uczucia. Z cichym okrzykiem rzuciła się do przodu i objęła Chrisa, miażdżąc go w uścisku.

Zadziwiające było to, że Chris, zamiast wykonać swój zwykły numer ostrygi, odwzajemniał jej uściski. Z Coddym, tańczącym wokół nich, wyglądali jak na jednej z tych reklam środków na pchły, które zazwyczaj Hanna uważała za przyprawiające o mdłości. Jednakże tym razem nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Wahając się w drzwiach, Hanna zobaczyła starszą kobietę, jak się domyślała, babkę Chrisa. Ona także wyglądała na zmęczoną, ale jej srebrne włosy były schludnie wyszczotkowane, a usta świeżo umalowane pomadką. Kiedy Grace w końcu puściła Chrisa, jego babka zrobiła krok do przodu i uściśnięła go żywo, gwałtownie. - Napędziłeś twojej matce i mnie tyle strachu - zbeształa go, ale ulga i miłość w jej głosie były niewątpliwe. - Gdybyś nie był taki duży, przełożyłabym cię przez kolano i dała klapsa.

Chris wydawał się jedynie zdumiony. - Jak to się stało, że tutaj jesteś, babciu?

- Babcia dotrzymywała mi towarzystwa - zaspokoili ją jego ciekawość Grace. - Zanim zadzwoniłeś, nie czułam się najlepiej.

- Pewnego dnia, kiedy będziesz miał własne dzieci, zrozumiesz - z westchnieniem powiedziała Chrisowi jego babka.

Nagle, jak gdyby Grace dopiero teraz zauważyła, że Hanna tam stoi, zwróciła na nią pełne łez oczy i powiedziała: - Może wejdiesz? - Wydawała się nie wściekła ani zdenerwowana... tylko wdzięczna.

- Nie, dzięki - mruknęła Hanna. - Powinam wracać - Myśląc o własnym powrocie do domu, który w niczym nie będzie taki jak powrót Chrisa, poczuła ukłucie żalu. Może po drodze zajrzy do biura ojca. Ale wpierv zapytała: - Czy jest tu tata?

- Nie, nie ma go. - Sposób, w jaki Grace to powiedziała, sprawił, że w Hannie serce podskoczyło. Było to tak, jak gdyby... jak gdyby nigdy nie miało go tu być.

Hanna na to miała nadzieję, niekiedy nawet intrygowała w tym celu, ale teraz dla jakiegoś powodu nie mogła sobie przypomnieć, czego tak nie lubiła w Grace. Albo dlaczego myślała, że jej ojcu będzie o wiele lepiej bez Grace.

## ROZDZIAŁ 24

Dwa dni później, kiedy Jack w końcu zadzwonił, Grace tak się cieszyła, że słyszy jego głos, iż uparcie ignorowała jego poważny ton. Chciał się z nią spotkać, by coś omówić. Ułoży się, mówiła sobie, nawet gdy wypełniało ją przerażenie. Kiedy zaproponował, że zamieszka po południu mamę na lotnisko, co dałoby im okazję do rozmowy w drodze powrotnej, szybko się zgodziła.

Jednakże jazda do Newark była pełna napięcia. Podczas gdy matka gawędziła o Chrisie, swoich planach co do ogrodu, o ludziach, do których musiała zadzwonić w sprawie biblioteki, Grace nie mogła oderwać wzroku od Jacka. Ponieważ nawet gdy się uśmiechał i odpowiadał matce, jego oczy były smutne, a szczęka napięta. Ona sama także czuła się smutna i wystraszona... ale, zgodnie z najlepszą tradycją Claybornów, zachowywała wesoły wyraz twarzy, gładko rozprawiając o szczegółach funduszu, jaki ustanowiła dla zarządzania pieniędzmi na bibliotekę taty.

W końcu Jack skręcił na rampę odlotów i zaparkował w drugim rzędzie przy krawężniku Deltę. Wyładował walizki Cordelii na wózek bagażowego, potem łagodnie pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Zostanę w samochodzie, gdy Grace zabierze cię do środka - po-

wiedział jej. Nie: „Jestem pewien, że wkrótce znowu cię zobaczę”.

To matka, z ciepłem, które Grace uznała za zaskakujące, powiedziała: - Jack, miło było cię poznać. Gdy Grace i Chris przyjadą z wizytą, mam nadzieję zobaczyć również ciebie. Kiedy tylko zechcesz, będziesz mile widziany w moim domu.

Jack skinął głową z uśmiechem. Grace widziała jego poruszające się jabłko Adama, ale zdołał niczego nie okazać głosem. - Dziękuję ci, Cordelio - powiedział z galanterią. - Zapewniam cię, że przyjemność była całkowicie po mojej stronie.

W pełnym krzątaniu terminalu Grace odprowadziła Cordelię aż do bramki kontroli bezpieczeństwa, potem odwróciła się, by ją uścisnąć. Matka, w swoim bladoróżowym kostiumie i kremowej bluzce, pachniała gardeniami. Jej oczy wydawały się nadmiernie błyszczące. Łzy, czy też Grace tylko to sobie wyobrażała?

- Do widzenia, kochanie - wymruczała Cordelia.

- Szczęśliwej podróży. Przekaż Sissy moje ucałowania.

Grace czuła się sztywna, niezręczna, jak gdyby mimo pewnego zbliżenia dzielił je ocean nie wypowiedzianych słów. Pilno jej też było wrócić do Jacka.

- Lepiej będzie, jak się pospieszę - powiedziała matka, zerkając na zegarek.

- Masz jeszcze ponad godzinę do odlotu - przypominała jej Grace.

- Tak, wiem... ale muszę zatelefonować. To dość ważne, a obiecałam, że przed wyjazdem zadzwonię.

- Cordelia spuściła wzrok, zajęta wyciąganiem wizytówki z torebki. Czy Grace domyśli się, kto to taki, do kogo tak spieszo mi zadzwonić? - zastanawiała się. Może ostatecznie Nola jej powie.

Ale Nola nie mogła wiedzieć o udręce, która doprowadziła do decyzji Cordelii. Ani o telefonie późną nocą do Gabe'a z prośbą o radę. To Gabe jeszcze raz potrafił wydobyć z tego zamieszania sedno sprawy.



- Przypuśćmy, że zdecydujesz się nie wykorzystywać projektu Noli... Czy byłabyś równie zadowolona z innej firmy? - zapytał.

- Nie... nie, oczywiście, że nie. Żaden inny ze zgłoszonych projektów nawet nie zbliżył się do tego, co sobie wyobrażałam - pospieszyła z odpowiedzią.

- No więc, czy to nie jest odpowiedź na twoje pytanie? Po co było to wszystko, Cordelio, wszystkie twoje wysiłki, jeśli nie skończy się dokładnie na tym, czego chcesz?

Miał rację... ale ona wciąż się wahała. Nawet wiedząc, że dzięki pieniądzom, jakie otrzyma od Grace, jej biblioteka, biblioteka Gene'a, zostanie zbudowana...

Powinam się gniewać na Grace, wiem. Jakie to musi wydawać się dziwne, nawet Grace, która ubóstwiała ojca, że taka jestem chętna mu przebaczyć. Będą tacy, którzy z tego powodu uznają mnie za szlachetną i tolerancyjną... i tylko ja będę znała prawdę...

Gabe. To dzięki jego istnieniu mogła być taka wyrozumiała dla Gene'a. Rok temu mogło być inaczej. Teraz jednak Gabe ofiarował jej drugą szansę, a jeśli ona nie wyciągnie lekcji z błędów, jakie popełniła z Gene'em, to jaki z nich pożytek?

Grace zauważyła niemal entuzjastyczny wyraz twarzy matki i pomyślała: To on, pan Ross, to do niego musi zadzwonić... Prawdopodobnie spotkają się na lotnisku w Macon.

- A więc... nie będę cię zatrzymywać - powiedziała Grace.

Matka ruszyła przed siebie, ale odwróciła się na jedno, ostatnie spojrzenie i powiedziała: - Nie pozwól mu uciec, Grace. Nie pozwól, żeby ten mężczyzna wyslizgnał ci się z rąk.

Grace miała oszałamiające poczucie *deja vu*. Czy matce chodzi o Wina? Czuła, jak lata między chwilą i I obecną a ostatnim razem, kiedy stała z matką tak jak 1 teraz, na lotnisku, rozpływają się jak nisko leżąca mgła, m którą widziała przez rząd okien po obu stronach.

Ale nie, matce nie może chodzić o Wina. Od przedwczorajszego wieczoru, po ucieczce Chrisa, w zachowaniu matki wobec byłego zięcia można było zauważyć chłód. Na ostatnie dwie noce została z Grace.

Ona mówi o Jacku, uświadomiła sobie Grace. Matka nic się nie zmieniła. Nadal próbuje kierować jej życiem. Ale tym razem Grace słuchała.

- Powinnam udzielić ci takiej samej rady - powiedziała Grace z uśmiechem. - Powiedz panu Rossowi, że przekazuję mu pozdrowienia.

- Możesz mu je sama przekazać, kiedy go zobaczysz - sucho powiedziała Cordelia. Ale wyraz jej twarzy złagodniał, gdy dodała: - I czas już, żebyś przestała nazywać go panem Rossem. Nie masz szesnastu lat. On ma na imię Gabe.

Cała matka, pomyślała Grace rozbawiona. Potrafiła odwrócić drażliwy temat tak zręcznie jak wprawny polityk. Machając ręką na pożegnanie, nie mogła nie zażdrościć matce zalety, którą niegdyś uważała za tak frustrującą. Miała tylko nadzieję, że coś z matki przeszło na nią - czy zdobędzie się na taką zręczną skuteczność z Jackiem?

Jednak w drodze powrotnej do domu rozmawiali o wszystkim, tylko nie o nich samych. Mówili o *Honorze ponad wszystko*, o egzemplarzach recenzyjnych, które powinny pojawić się za miesiąc czy dwa, i o wielkich zamówieniach, jakie otrzymali od dystrybutorów. I o jej tournée, w bólach organizowanym przez dział reklamy.

Nagle, gdy zbliżali się do tunelu, Jack zapytał: - Co z Chrisem? Będzie mieszkał z Winem podczas twojego tournée?

Ostrożnie, pomyślała Grace. - Przypuszczam, że tak - powiedziała, biorąc długie, płytkie oddechy. - Wiem, co musisz myśleć, ale Win nie jest złym ojcem. Nie był też strasznym mężem. Tylko... okropnie egocentrycznym.

- Co Chris myśli o tym wszystkim?

- Usiedliśmy wczoraj wieczorem we troje i porozmawialiśmy. Myślę, że wyjaśniliśmy wszystko. Wiem, że

Win mógł mieć inne pomysły... ale powiedziałam jasno 1  
jemu i Chrisowi, że nigdy nie będziemy znowu rodziną. 1

- Założę się, że z Winem nie poszło tak łatwo - usłyszała gorycz w jego głosie.

- Och, nie sądzę, by było to dla niego wielką niespodzianką po tym, jak wykorzystał Chrisa - oczy miała utkwione w drodze, niezdolna uwierzyć, że mówi tak spokojnie, gdy jej serce pędziło z prędkością dziewięćdziesięciu mil na minutę. - Jack, chcę, żebyś wiedział... tamta noc z Winem... - była o krok od powiedzenia, że to nic nie znaczyło, ale nie byłaby to całkowita prawda. - To nie było to, co myślisz.

Teraz pojawił się tunel, pochłaniając ich, wypełniając jej uszy szumem opon. Grace, tak jak często jej się to zdarzało, wyobraziła sobie, że zaokrąglone, wyłożone kafelkami ściany pękają, strumyczki wody z rzeki nad nimi przeciekają, najpierw powoli, a potem zbierają się w ogłuszającą ulewę. Zadrzała.

Głos Jacka, kiedy ją doszedł, wydawał się zawieszony w półmroku. - Tu nie chodzi tylko o Wina - jego sylwetka obok niej pojawiała się w blasku zbliżających się świateł czołowych i nikła. - Sprawilo mi to ból, tak, ale nie winię cię. Wiem, że byłaś zdenerwowana na mnie z powodu Hanny... i miałas do tego prawo.

Nie wydawał się rozgniewany, tylko nieszczęśliwy.

- Więc na czym stoimy? - zapytała.

- Będziemy smutniejsi... ale może i trochę mądrzejsi - potrząsnęła głową. - Grace, nie mogę nie myśleć, że coś takiego wydarzyłoby się wcześniej czy później, że było to tylko kwestią czasu. Czy byłby to Win... czy ktoś inny.

- Chcesz powiedzieć, ktoś młodszy? - Grace miała wrażenie, że pas bezpieczeństwa zrobił się za ciasny i wrzyna jej się w pierś. - Jack, nie rozumiesz tego? To dlatego oddaliśmy się od siebie, nie z powodu Wina, czy nawet Hanny. Dlatego, że nie chcesz widzieć, iż kocham cię za to, jaki jesteś... a w tym mieści się również to, że jesteś piętnaście lat starszy ode mnie.

- Jest wiele rzeczy, których ty nie rozumiesz - powiedział Jack, podnosząc głos pod wpływem emocji. - Tak wiele oczekujesz. Oczekujesz gwiazdki z nieba i chcesz ją mieć ozdobnie opakowaną i dostarczoną przesyłką ekspresową. Oczywiście, Hanna będzie uprzedzona do każdej nowej osoby w moim życiu! Ale ty każde jej słowo traktujesz jako kolejny dowód, że Hanna odrzuca konkretnie ciebie.

- Jak można nie traktować w ten sposób sytuacji, kiedy ktoś krzyczy, że cię nienawidzi?

- Ona jest tylko dzieckiem, Grace.

- Cóż, ja nie jestem święta, Jack. Więcej nie mogę znieść.

Wydostawali się teraz z tunelu. Jaskrawe zimowe światło słoneczne kłuło ją w oczy, nawet gdy je zasłaniała.

Głos Jacka, kiedy w końcu przemówił, był zduszony.

- Na co to, Grace? Nie możemy tak dalej. Tylko unieszczęśliwiamy się nawzajem. Czy tego chcesz? Dla nas i dla naszych dzieci?

- Och, Jack... - zakryła twarz. - Chciałabym, żeby tu chodziło o Wina. Wtedy mogłabym cię prosić, żebyś mi przebaczył.

- Tu nie chodzi o przebaczenie. Czy naprawdę myślisz, że to dlatego opuściłaś Wina? Dlatego, że nie mogłaś mu przebaczyć, że cię zdradzał?

- Mogłabym mu przebaczyć. Ale nie mogłam znieść tego, co czułam do niego po tym, jak dowiedziałam się o Nancy. Jeśli nie możesz ufać komuś, z kim jesteś, wtedy wszystko się rozpada.

Nagle, mówiąc to sama, zrozumiała, co Jack próbuje jej powiedzieć. To nie z powodu Wina odchodzili z Jackiem od siebie, incydent z Winem był tylko wynikiem tego, że się od siebie oddalali. Zanosило się na to od dłuższego czasu... a teraz w końcu znaleźli się w miejscu, z którego chyba nie było już odwrotu.

Grace czuła, że miażdży ją wielki smutek, pozostawiając ją słabą i drżącą.

- Grace, oboje potrzebujemy trochę czasu... - zaczął i umilkł, przełykając ślinę. Potem pozostał milczący przez całą drogę na Ósmą Aleję. Skręcił w jej ulicę, hamując wprawnie, by nie potrącić gońca na rowerze, który wjechał mu niemal wprost pod koła. Dopiero gdy zatrzymał się przed jej budynkiem i odpiął pas bezpieczeństwa, by móc zwrócić się do niej twarzą, zobaczyła wyryte na jego policzkach głębokie bruzdy, których nie było trzy dni temu. Chciała wyciągnąć rękę i przesunąć palcami po tych bruzdach, powiedzieć mu o wszystkich powodach, dla których powinni zostać razem, o wszystkim, co naprawdę ich łączy - jego śmiech z jej żartów i jej śmiech z jego... wspólna obsesja wstępowania do każdej napotkanej księgarni... godziny, które mogli wspólnie spędzać nad książką czy maszynopisem i jednocześnie czuć, że są razem... przyjemność, jaką znajdowali w wyszukiwaniu wspaniałych przytulnych restauracji na uboczu...

Ale nie teraz. Teraz potrzebują czasu, by wyzdrowieć.

- Żegnaj, Jack - powiedziała mu z uczuciem, że powinna, jak jej matka, wsiąść do samolotu, by unieść ją gdzieś daleko. Inaczej, jak to zniesie? Wiedząc, że on jest tak blisko, wystarczająco blisko, by wpadać na niego w redakcji, na jakimś przyjęciu wydawców, czy nawet w operze lub na przedstawieniu baletowym.

Pomimo to kurczowo uczepliła się wiary, że jakimś sposobem... jeśli spędzą jakiś czas oddzielnie... może na powrót znajdą to, co przede wszystkim przyciągnęło ich do siebie.

## O

Nola siedziała przy swoim biurku, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę spodziewając się, że to Ronnie Chang chce ją obsobaczyć za to, że nie skończyła jeszcze rysunków technicznych urządzeń hydraulicznych, o które prosił. Ale popłynął ku niej kobiecy głos, bardzo poprawny, zmiękczony południowym akcentem. - Chciałabym mówić z Nolą Emory, jeśli można.

- Przy telefonie - powiedziała Nola, obejmując dłonią słuchawkę i zniżając głos.

- Tu Cordelia Truscott - przemówił oficjalny, śpiewny głos. - Czy ma pani wolną chwilę? Może pani rozmawiać?

- Proszę mówić - powiedziała Nola, modląc się, by Randy nie wysunął głowy ponad jej przegródkę.

- Myślałam o tym, co pani powiedziała, i ja... - reszta została zagłuszona przez głośny warkot, który brzmiał jak start samolotu.

- Co pani powiedziała? - Nola mocno ścisnęła słuchawkę, aż poczuła ból.

- Powiedziałam, że... - przebił się znów głos Cordelii - ...postanowiłam zatwierdzić pani projekt. A cudowna wiadomość brzmi, że będziemy mieli dodatkowe fundusze, jakich potrzebujemy. Otworzyło się nieoczekiwane źródło - zrobiła pauzę. - Ale nie może być między nami nieporozumień. Czy pani się absolutnie zgadza utrzymać to w tajemnicy?

Nola była o krok od przypomnienia Cordelii, że to był przede wszystkim jej pomysł, ale ugryzła się w język. Tak czy owak była zbyt podekscytowana, by się tym przejmować. Myślami już pędziła do przodu, wyobrażając sobie bibliotekę zbudowaną, wznoszącą się nad trawiasną przestrzenią. - Chcę tego tak bardzo jak pani - powiedziała. - Proszę się nie martwić, nie schrzanię tego.

- Cóż, wobec tego... - Cordelia odchrząknęła.

- Dziękuję pani - odetchnęła Nola.

- Och, właśnie zapowiedzieli mój lot... muszę uciekać.

Nola odłożyła słuchawkę, czując zawrót głowy. Myśli jej wirowały, jak wtedy, kiedy zbyt długo wpatrywała się w rysunek. Czy to prawda? Czy Cordelia Truscott rzeczywiście zgodziła się budować według jej projektu? I nawet ma na to pieniądze!

Problem tak ogromnie ważny, problem, który gryzł ją od tygodni, miesięcy - został załatwiony jednym krótkim telefonem. Choć jej serce nie ustawało w galopie, Nola uśmiechnęła się wobec ironii losu. Ironia tkwiła w tym,

że jeszcze zanim to usłyszała, postanowiła bez względu na decyzję Cordelii odejść z firmy. Szaleństwo? Bez wątpienia... ale gdyby nie zrzuciła ciężaru decyzji z piersi, zwariowałyaby.

Nola zsunęła się ze stołka i przeszła przez labirynt oddzielonych przegródkami nisz. Minutę później stanęła przed otwartymi drzwiami gabinetu Kena Maguire'a.

- Wejdz - powiedział z roztargnieniem, podnosząc wzrok znad rysunków.

- Właśnie miałam wiadomość od Cordelii Truscott. Dała nam zgodę. I są gotowi do rozpoczęcia budowy - Nola mówiła cicho na wypadek, gdyby ktoś przypadkiem był na korytarzu. Jednak podekscytowanie brało górę, opanowując ją jak dziwny wirus, który wprawiał ją w podenerwowanie, oscylującą między przypływami gorąca i zimna.

- To fantastyczne! Szczerze mówiąc, nie myślałem, że ci się to uda, Nola. Chylę czoło.

Ken okrążył biurko i zamknął drzwi. Nie było niczego wyjątkowego w tym mężczyźnie o ostrej twarzy, ubranym w sztruksowy blezer, prócz tego, że był najprzystwoitszym szefem, jakiego kiedykolwiek znała. Miała nadzieję, że ta przyzwoitość zadziała teraz na jej korzyść.

- Ken, musimy porozmawiać.

Uśmiechnął się i uniósł w górę ręce, uprzedzając ją.  
- Dobrze... dobrze. Wiem, co masz zamiar powiedzieć, i nie ma kwestii, że należy ci się podwyżka. Słuchaj, muszę pomówić z Changiem i Fosterem. Ja nie jestem upoważniony do...

- Nie proszę o podwyżkę.

Zamilkł z osłupiałą twarzą. - To czego chcesz?

- Premię za rozłączenie. Tyle, żeby mi wystarczyło na początek. Na czynsz za własne biuro, na telefon, materiały.

Zagwizdał, cofając się o krok, aż oparł się o orzechową szafkę, zarzuconą zrolowanymi rysunkami. - Chcesz sama wejść do interesu? Nola, czy masz pojęcie...

- To nie będzie łatwe, wiem - dokończyła za niego.  
- Ale, Ken, ja muszę to zrobić. Projektowanie biblioteki Truscotta zmusiło mnie do uświadomienia sobie, że tutaj chodzę po głębokiej wodzie, dotykając dna - wzięła z biurka szklaną kostkę, ważąc ją w dłoni, czując jej chłodną powierzchnię. - Och, nie chodzi o to, że nie jesteś dla mnie dobry. Ale może jestem bardziej podobna do ojca niż myślałam. Potrzebuję czegoś więcej... i nie boję się podejmować ryzyka.

- Nie chcielibyśmy cię stracić, Nola. Słuchaj, za kilka miesięcy wypłynie sprawa partnerstwa; jeśli jesteś zainteresowana, mogę cię w tym poprzeć.

- Dzięki, Ken, ale chociaż mogę wydać się szalona, nie zamierzam skorzystać z twojej propozycji.

Pokręcił głową. - Czasy są ciężkie. Czy wiesz, ile dużych firm pada? Jak możesz się spodziewać, że uda ci się samej?

- Może dlatego, że ja nie jestem Goliatem - powiedziała miękko -- tylko jedną z maluczkich, z procą i kieszenią pełną pomysłów.

Niech ją diabli, jeśli ograniczy się tylko do marzeń o lepszym życiu dla siebie i swoich dziewczynek.

Biblioteka Truscotta mogła wydawać się iluzją, kiedy Cordelia ją sobie wykoncypowała, ale wbrew wszystkiemu tej kobiecie się udało.

Jeśli ona potrafi, to ja też.

Obserwowanie z daleka, jak inni przypisują sobie zasługi za jej projekt będzie bolało... ale potem już nigdy nie zniknie w niczym cieniu.

Ken, po którym się spodziewała irytacji, może nawet gniewu, zdumiał ją śmiechem, trochę smutnym i zarazem pełnym podziwu. - Jeśli ktoś potrafi to zrobić, to założę się, że ty, Nola.

- Potrzebna mi jest ta premia, o której mówiliśmy.

- Ile?

Wzięła głęboki oddech. Może jeśli powie to z mocą, nie spuszczać oczu ani w żaden inny sposób nie okazując, że na to nie zasługuje, Ken nie uświadomi



sobie, o jaką ogromną sumę prosi. - Dwadzieścia pięć - wypaliła.

Ken, trzeba mu to przyznać, ledwie uniósł brew. Może to nie było tak wiele dla tak dużej firmy. A może był po prostu rozbawiony, że miała tupet, by wysunąć tak niesłychane żądanie.

- Dziesięć - powiedział jej. - To wszystko, co będę mógł wycisnąć z Changa i Fostera, żeby nie podnieśli wrzawy. - Zanim jej tonące serce sięgnęło dna, dodał: - Resztę ja ci dam. Nazwij to pożyczką, inwestycją, cichym wspólnictwem, jak chcesz. Nie martwię się, że nie odzyskam tych pieniędzy. Jeśli mam być szczery, spodziewam się sporego zysku.

- Dzięki, Ken - zdołała wydusić z odrętwiałych z wdzięczności ust. - Nie pożałujesz.

Właściwie nie będą też ze sobą współzawodniczyć. Zlecenia, które jej się dostaną, przynajmniej na początku, nie będą na tyle duże, żeby firma taka jak Maguire, Chang i Foster miała jej zazdrościć.

- Ja już żałuję. Nie tylko tego, że nas opuszczasz - wyciągnął rękę. - Powodzenia, Nola.

Nola miała wrażenie, że ślizga się po wykładzinie, gdy wracała na swoje stanowisko pracy. Ale gdy tylko na powrót rozsiadła się przy stole kreślarskim, zobaczyła przyklepioną do deski karteczkę - wiadomość od Bena. Nie była to pierwsza wiadomość, jaką zostawił. Ciężar osiadł jej na sercu.

Kusiło ją. Jakaś część jej duszy chciała zapomnieć o brzydkiej scenie z zeszłego tygodnia. Jednak Ben nie jest mężczyzną dla niej. A ona nie jest za niego odpowiedzialna. A zresztą, teraz ma ważniejsze rzeczy na głowie.

Nola zmięta karteczkę i rzuciła ją do kosza na śmieci u swoich stóp. W jakiś sposób będzie za nim tęsknić, szczególnie nocami, kiedy będzie leżeć z otwartymi oczyma i bólem między nogami, który jej nie opuści.

Napalonego faceta łatwo znaleźć, usłyszała dowcipkującą Florene.

Nola uśmiechnęła się szeroko. Może tak... ale ona zrobi coś lepszego. Będzie badać, na razie przynajmniej, jak to jest żyć z Nolą Truscott - kobietą, której nazwisko miała niezłomny zamiar wyryć na mosiężnej tabliczce, jaka znajdzie się na drzwiach jej nowego biura.

## O

„The New York Times”, 19 maja, 1992 r.

### *GRACE TRUSCOTT UFUNDUJE BIBLIOTEKĘ PAMIĘCI OJCA*

*Grace Truscott, autorka „Honoru ponad wszystko”, wydanej ostatnio kontrowersyjnej biografii jej zmarłego ojca, senatora Eugenea Truscotta, oświadczyła wczoraj, że wszystkie honoraria, należne jej ze sprzedaży książki, zostaną ofiarowane bibliotece, jaka zostanie zbudowana dla uczczenia pamięci jej ojca.*

*„Ta książka jest moim pomnikiem dla ojca - powiedziała Grace Truscott. - Myślę, że to naturalne, iż jeden posłuży drugiemu”.*

*Grace Truscott odmówiła komentarza na temat „sekretnego” życia, jakie prowadzili senator i jego długoletnia asystentka, Margaret Emory, z którą miał nieślubną córkę, Nolę Emory, 36 lat, chociaż to rozgłos otaczający ten obecnie dobrze udokumentowany związek wielu dobrze poinformowanych ze sfer przemysłowych uważa za główny powód natychmiastowego sukcesu „Honoru ponad wszystko”, który wspiął się na pozycję numer jeden na liście bestsellerów w ciągu tygodnia od wydania.*

*Rozpoczęcie budowy biblioteki, która ma być usytuowana w kampusie uniwersytetu Latham koło Blessing w Georgii, przewidziane jest na sierpień. Blessing jest rodzinnym miastem wdowy po senatorze, Cordelii Clayborn Truscott, która zasiada w zarządzie Latham i przez ostatnich kilka lat zbierała fundusze na bibliotekę.*

*„Jestem zachwycona, że pomnik mojego męża ujrzy w końcu światło dzienne - powiedziała pani Truscott. - Za życia mąż był oddany sprawie edukacji i oświecenia młodego pokolenia naszego narodu i sądzimy, że ta biblioteka będzie odbiciem tego zaangażowania”.*

*Komitet Biblioteki Pamięci Truscotta pod przewodnictwem pani Truscott sponsorował ostatnio konkurs projektów architektonicznych. Zwycięski projekt przedstawiony został przez firmę architektoniczną Maguire, Chang i Foster z Nowego Jorku.*

*„ Uważam za stosowne to, że Grace będzie miała swój udział w budowie tej biblioteki - powiedziała pani Truscott o oświadczeniu córki. - Mój mąż wiele dokonał w ciągu swego życia, ale za największe osiągnięcie uważał swoje dzieci”.*

## ROZDZIAŁ 25

- Grace, siedzisz? - głos Jerry'ego Schillera zahuczał do niej z telefonu.

- Niezupełnie - powiedziała.

Leżała na swoim wielkim łóżku, od strony komody, gdzie sypiał Jack, i gdzie co ranka przez ostatnie trzy i pół miesiąca, z wyjątkiem dwóch tygodni, kiedy wyjechała na tournée, budziła się na prześcieradłach, zmiętych po niespokojnym śnie.

- Jest na każdej liście - Jerry wydawał się podekscytowany za nich dwoje, a Jerry prawie nigdy się nie ekscytował. - Znowu numer jeden w „Timesie”, już drugi tydzień, numer dwa w „Washington Post”, u Ingrama i na obu kanałach. Sama sieć księgarni Waldena zamawia drugie dwadzieścia pięć tysięcy... Grace, jesteś tam?

Powinłam skakać pod sufit, pomyślała Grace. Jednak czuła się teraz tylko... pusta. Jak nieszczęlna opona, której, zdawało się, żadna ilość powietrza nie potrafi wypełnić. - Jestem tutaj - powiedziała, biorąc się w garść ze względu na swego redaktora. - Myślałam, że nie ekscytujesz się czystą komercją, Jerry - drażniła go. Poczowała pęknięcie na spierzchniętych ustach, gdy się uśmiechnęła. Słodko-słony smak krwi. Powinłam wstać z łóżka, pomyślała. Zadzwoń do kogoś, uczcij to. Ale nie miała ochoty się poruszyć. Zwykle wstawiała o świcie! Ale ostatnio spała do jedenastej, jak gdyby miała najdłuższego kaca na świecie.

Usłyszała zgrzytliwy chichot Jerry'ego. - Twoja książka, moja droga Grace, nie jest czystą komercją. - Zamilkł, a potem dodał: - Wzywają mnie. Zadzwonię do ciebie później. Z większą liczbą dobrych wiadomości, mam nadzieję...

Gdy odłożyła słuchawkę, Grace miała chwilę uniesienia, myśląc o sukcesie *Honoru ponad wszystko*. To było cudowne... lepsze niż jej się śniło. I czuła się taka dumna z siebie - dlatego, że nie zrezygnowała, że napisała książkę taką, jaką chciała napisać. W każdym mieście, gdzie dotarła podczas swego tournée, była obłożona przez reporterów z prośbami o dodatkowe występy w telewizji, przez fotografów proszących, by uśmiechnęła się do jeszcze jednego zdjęcia. I przy każdym podpisywaniu książek setki ludzi ustawiały się w kolejkę...

No dobrze, książka idzie świetnie, ale co ze mną?

Grace usiadła i zaczęła się podnosić z łóżka. Ale w głowie jej się kręciło, jak gdyby naprawdę miała kaca. Musi przestać przesiadywać do późnej nocy. To nie w porządku wobec Chrisa, kazać mu codziennie samemu jadać śniadania.

Chris. Poczwała, że duch w niej rośnie. Ostatnimi czasy wydawał się bardziej rozluźniony. A kiedy widziała, że wraca ze szkoły holując ze sobą jakiegoś przyjaciela, była tak szczęśliwa, że nie miała im za złe nienasyconych

apetytów, które owocowały kompletnym spustoszeniem w lodówce.

Tak, Chris jest zdecydowanie szczęśliwszy. Ale co z nią? Czy kiedyś zapomni o Jacku?

Najpierw musisz przestać udawać, że jeszcze istnieje szansa. To naprawdę skończone, powiedziała sobie z nadzieją, że tym razem w to uwierzy. Nie spotykali się przez prawie cztery miesiące, z wyjątkiem spotkań w interesach i przyjęcia reklamowego, jakie Cadogan wydał na jej cześć.

Kłopot w tym, że nadal go kochała. Tęskniła za nim - za jego głosem, wołającym ją z drugiego pokoju, za jego wilgotną szczoteczką do zębów obok jej szczoteczki w łazience, za jego ramionami obejmującymi ją w nocy...

Gdyby Jack teraz, w tej chwili, był tutaj z nią w łóżku, zaczęłyby jedną długą nogę o jej nogę, przyciągając ją blisko do siebie. Wtedy ona wtuliłaby głowę w zagłębienie jego ramienia, podczas gdy on bawiłby się jej włosami, mierzwiąc je i przeczesując palcami, aż jej głowę, całe jej ciało, ogarnęłoby mrowienie.

Boże, gdyby tylko tu był.

- Mamo! Wstałaś już? - przez mgłę użalania się nad sobą i tęsknoty, jaką się otuliła, Grace usłyszała syna, bębniącego w drzwi jej sypialni.

Wytoczyła się z łóżka i wciągnęła na siebie aksamitny szlafrok. - Otwarte! - zawołała.

Bębnił nadal.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła, dlaczego puka. Utrzymał w równowadze tacę ze śniadaniem, zawierającą talerz ze smażonymi jajkami, które wyglądały bardziej na ugotowane na twardo, lekko przypaloną grzanekę i szklanekę soku pomarańczowego, nakrapianego drobinami miąższu.

Serce się w niej wywróciło, powoli, jak pokazywany w telewizji na zwolnionych obrotach skoczek wykonujący obroty, nim da nurka do wody. Miała ochotę uściskać Chrisa, aż zaczęłyby wrzeszczeć.

- Zdecydowanie do chrzantu - powiedział Chris, spoglądając z niesmakiem na tacę. - Ale pomyślałem sobie, że jeśli jesteś chora, to prawdopodobnie nie zauważysz.

- Hej, stary, o co chodzi z tą moją chorobą? - Dostrzegła własne odbicie w wysokim lustrze po wewnętrznej stronie drzwi szafy i pomyślała: Mój Boże, rzeczywiście wyglądam na chorą. Z podpuchniętymi oczyma, tłustymi włosami, blada.

Chris ściągnął kąciki ust. - Albo to, albo jesteś po prostu leniwa. A ja wiem, że to nie może być to.

- Skoro o tym mowa, dlaczego nie jesteś w szkole?

- Dzień doskonalenia kadr.

Dzisiaj jest... co? Musi być piątek. Zupełnie straciła poczucie czasu.

- W takim razie, co byś powiedział na to, żebyśmy ruszyli w miasto? - Wzięła od niego tacę i cmoknęła go w policzek, nie dbając o to, czy będzie starał się odsunąć od niej, czy nie. - Moja książka nadal jest na liście i przyszło mi na myśl, że jeszcze tego nie uczciliśmy. Hamburgery w Hard Rock... czy też może jazda na rowerach wokół parku i lody z owocami i śmietanką u Rumplemeyera? Słyszałam, że w Met jest ta wspaniała wystawa...

Chris potrząsnął głową, wydawał się zakłopotany. - Nie mogę, mamę. Wychodzę z kilkoma chłopakami.

- O, w jakieś konkretne miejsce? - serce zatrzepotało jej lekko.

Wzruszył ramionami. - Nie wiem jeszcze. Może do Village.

Rzeczywiście, cóż bardziej normalnego niż gromada nastolatków, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, co ze sobą zrobić? A teraz Chris zawierał przyjaźnie w szkole; był „jednym z chłopaków”. Czyż nie był to wystarczający powód do celebracji?

Nie była pewna, co spowodowało zmianę w Chrisie... czy po prostu to, że dorastał, czy też fakt, że sprawy między nią a Winem doszły w końcu do punktu kulminacyjnego, zdjął z niego trochę ciężaru. I dzieci są

takie egocentryczne. Chris był prawdopodobnie zachwycony, że Jack zniknął z jej życia, nawet jeśli jej to złamało serce. Bez względu na to, jaki był powód, nie mogła nie czuć wdzięczności za odzyskanie syna - nawet jeśli to oznaczało, że on rozwinie skrzydła i w końcu opuści gniazdo.

- Cóż, wobec tego innym razem - powiedziała lekko, zanosząc tacę ze śniadaniem do łóżka i opierając się o wzgórek, jaki zrobiła z poduszek i moherowej narzuty.  
- Lepiej zjem to, zanim wystygnie.

- Już jest zimne. Ale ciepłe wcale nie smakowałyby lepiej - Chris posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Godny potomek zacnych rodziców - powiedziała mu. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteśmy stworzeni do zajęć kuchennych.

- Założę się, że Darryl Strawberry nie potrafiłaby zrobić galaretki truskawkowej.

Niespodziewanie wydało jej się to bardzo dowcipne i zaczęła chichotać. Chris także się roześmiał, a ona zobaczyła, że słońce, które świeciło prosto przez jej świetlik, tworzy migocące plamy na pokrytych tłuszczem jajkach, które usmażył dla niej Chris.

Przypomniała sobie coś, co kiedyś powiedziała jej matka: „Wychowywać dzieci to jak być głuchą i ślepą, a musieć dyrygować symfonią”.

Grace wydawało się, że wie, o co matce chodziło, ale w tej chwili miała wrażenie, że słyszy tę muzykę. Narastającą i zanikającą, liryczną i słodką.

Gdyby tylko Jack był z nią i także jej słuchał.

Przyszło jej do głowy, by zaprosić go na lunch, wznieść toast za sukces książki, który zawdzięczała w równej mierze jego sprytowi handlowemu, co samej książce. Ale nie, gawędzenie o interesach nad talerzem makaronu i słuchanie jego gratulacji tylko pogorszyłyby jej samopoczucie.

Więc tak to się kończy, pomyślała.

Dwoje ludzi, którzy się kochają, ale nie mogą żyć razem. Więc ostatecznie nie symfonia, ale jedna z tych kowbojskich piosenek miłosnych, gdzie serca zawsze pękają, a ludzie zawsze przeżywają zawód.

Zjadła jajka i grzanekę, nie czując ich smaku, myśląc o dniu, a przynajmniej o reszcie dnia, która rozciągała się przed nią jak nie kończąca się parada bez skandowania czy wiwatów... i tylko ona miała w niej maszerować.

## ROZDZIAŁ 26

Hanna spojrzała na plakat przyszłotygodniowego zlotu NZZ - Nastolatków Zielonej Ziemi - nad którym pracowała praktycznie cały dzień. RATUJCIE NASZĄ PLANETĘ, napisane było wielkimi literami, które wyrysowała tak, by wyglądały na trochę postrzępione, jak gdyby nadżarte przez kwaśne deszcze i zanieczyszczenia. Między literami przylepiła origami, przedstawiające zwierzęta zagrożonych gatunków. Wyszło całkiem dobrze, pomyślała. Więc dlaczego nie miała poczucia spełnienia?

Wpatrywała się w markery, rozrzucone na chropowatym kuchennym stole w domku. Już prawie pora kolacji, uświadomiła sobie, zerkając na popstrzony tłuszczem zegar nad antyczną kuchenką. Jej żołądek zachowywał się nieswojo, trochę jak na granicy skurczu. Ale nie była głodna.

- Prawie gotowe? - Jack wszedł z bawialni, gdzie rozpałał w kominku, a teraz stał, zaglądając jej przez ramię.

W weekendy, kiedy oboje budzili się tutaj, zaczynał dzień od rozpalania w kominku. Potem zaś przez całą sobotę i niedzielę pilnował ognia, grzebiąc w popiołach, układając na nowo okraglaki, żeby płonęły jaśniej, jak gdyby ogień nigdy nie mógł go wystarczająco ogrzać.



Już prawie dzień się kończył, a tata wyszedł na dwór tylko po to, by przynieść więcej okrągłaków ze sterty drewna.

- Jeszcze tylko jeden słoń - Hanna opuściła rękę, gdy ojciec pochylił głowę, by lepiej się przyjrzeć. - Czy to wygląda jak słoń? - podniosła w górę origami.

- Myślałem, że słonie mają ogony.

- Ten jest mutantem. Prawdopodobnie na skutek zniszczenia naturalnego środowiska - miała nadzieję, że zmusi go do śmiechu.

Ale tata pozostał milczący.

Już nawet nie pamiętała, kiedy po raz ostatni dał upust swemu grzmiącemu śmiechowi z głębi brzucha. To nie było tak, że chodzi osowiały, bo myśli nad jakimś grząskim problemem i nie potrafi znaleźć rozwiązania. Bardziej jej przypominał tego głupiego chomika, którego miała jako dziecko i który budził ją w środku nocy, biegając w kółko po tym swoim bębnie.

Tata nie mówił o tym, ale Hanna doskonale wiedziała, co go gryzie.

Grace.

Dlaczego nic o tym nie mówi? Przynajmniej zrzuciłyby trochę ciężaru z piersi. Czy to dlatego, że wini ją, przynajmniej częściowo, za zerwanie z Grace?

A gdyby jakimś sposobem tata i Grace się zesli?

Czy nie masz trochę nadziei, że się zejdą? - zapytał głos wewnętrzny.

Nie mogła znieść tej myśli, ale czy w głębi serca, tylko odrobinę, sama nie tęskniła za Grace?

Usłyszała, że tacie burczy w brzuchu. Jest głodny? Nie była to jeszcze pora kolacji, ale zjadł tylko pół kanapki na lunch. I tracił na wadze. Jego spodnie były tak luźne, że spadłyby z niego, gdyby nie podtrzymywał ich pasek.

A gdyby tata od tego zachorował, naprawdę zachorował? Mężczyźni w jego wieku miewają zawały serca.

- Za chwilę zacznę robić kolację - powiedziała z nadzieją, że jej zatroskanie nie jest widoczne. - Spaghetti, kulki mięsne, takie jak lubisz.

- Nie ma pośpiechu. Jak tylko na dobre rozpale ogień, pomogę ci - zmierzwił jej włosy, a potem ciężkim krokiem chodził bez celu po starej sosnowej podłodze kuchni, poprawiając książkę kucharską, która wystawała z półki, ścierając kciukiem smugę tłuszczu z dna miedzianego rondla, wiszącego nad kuchenką.

- Tatusiu... - chciała mu powiedzieć, że dzisiaj jest za ciepło na ogień w kominku. Ale potem rozmyśliła się.

- Czy chciałeś kiedyś, żeby wszystko ułożyło się inaczej?

- To znaczy co? - kartkował z roztargnieniem instrukcję obsługi nowego ekspresu do kawy, który właśnie kupił.

- Wiesz, co mam na myśli - Hanna utkwiała w nim rozkazujące, miała nadzieję, spojrzenie. - Ciebie i Grace.

Jack wydał z siebie głębokie westchnienie. - Co cię nagle skłoniło, żeby o niej myśleć?

- Tatusiu, spójrz na siebie, jesteś rozbitkiem. Martwię się o ciebie.

Uśmiechnął się, jak gdyby był wzruszony jej troską. Albo uważał to za zabawne, za jedną z tych zabawnych wypowiedzi w ustach dzieci, które rodzice potem lubią powtarzać przyjaciółom.

- Rozluźnij się, dziecko. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Masz dosyć na głowie bez przejmowania się moimi problemami.

- A więc jest problem!

- Zaczynasz mówić jak prawnik. Czy powinienem zacząć odkładać na studia prawnicze?

- Tatusiu, ty po prostu omijasz temat. Ja wiem, że tęsknisz za nią. Jesteś jak Patrick Swayze w *Duchu*, chodzący jak we śnie za Demi Moore i nie mogący jej dotknąć.

Jack zaśmiał się, rzucając instrukcję obsługi na kon-tuar. - Słuchaj, może ja zacznę przygotowywać kolację i pozwolę ci skończyć plakat?

- Innymi słowy: „to nie twoja broszka”, prawda?

- Zapomnieliśmy kupić makaron? - Jack grzebał teraz w kredensie nad opiekaczem.

- Nie ta półka, sprawdź na niższej. Tatusiu, nie odpowiedziałeś mi.

- Znalazłem - pomachał nad głową paczką spaghetti. Hanna nie mogła nie zauważyć, jak lśnią mu oczy i drga drobny mięsień w szczęce. Potem stanął przy zlewie, plecami zwrócony do niej, odkręcając wodę, głośną jak wodospad Niagara, gdy chlusnęła do dużego garnka na makaron... prawie wystarczająco głośno, by zagłuszyć dorosłego mężczyznę, bardzo starającego się nie płakać.

Hanna sama miała ochotę się rozpłakać. Tak bardzo było jej przykro z jego powodu.

I tak bardzo, wstyd za siebie.



- Pani Truscott, jestem pani wielką entuzjastką!... I, och, czy mogłaby pani to podpisać dla Amelii? Dla Amelii, z życzeniami urodzinowymi od Christine... i od pani, oczywiście.

Grace posłusznie nabazgrała dedykację na stronie tytułowej swojej książki - jedną z ponad stu, jakie podpisała podczas minionych dwóch godzin - zakończoną: „Najlepsze życzenia, Grace Truscott”. Uśmiechnęła się, gdy wręczała ją matronie w kostiumie Chanel, stojącej przed stolikiem. W którejś chwili kolejka rozciągnęła się aż do kasy, ale teraz, Bogu dzięki, skurczyła się do kilku osób. Grace zerknęła na stary zegar z wahadłem na ścianie księgarni. Druga trzydzieści. Jeszcze tylko dziesięć minut. Nie mogła się doczekać.

Grace pamiętała, że kiedyś uwielbiała podpisywanie, nawet jeśli przychodziła tylko garstka ludzi, a dwoje z nich to byli jej specjalista od reklamy i redaktor. Nie tak dawno temu czułaby się niewiarygodnie zaszczycona podpisaniem książek w księgarniach, które były przegrzane lub ciasne, i gdzie zamiast łazienki mieli brudny składzik na szczotki. Ale teraz była zmęczona, chciało jej się pić i chciała pójść do domu.

Obciągnęła na sobie żakiet, męską sportową marynarkę w kratę, którą nosiła do złotej, jedwabnej tuniki i męskich, czarnych spodni. Jej styl komika z Catskills, jak nazwała go Lila. Czy będzie dobry również na dzisiejszy wieczór, na przyjęcie Liii? Nie, nie dosyć strojny.

- Czy mogłaby pani podpisać to dla Hanny? Hanny Gold.

Grace poderwała głowę.

Na początku kolejki, wyciągając egzemplarz *Honoru ponad wszystko*, elegancko niedbała w dżinsach i rozpiętej gobelinowej kamizelce narzuconej na drelichową koszulę, stała Hanna.

Jest taka ładna, pomyślała Grace. Długie włosy Hanny były zaplecione we francuski warkocz, uwydatniający jej ładną twarz. I te kości policzkowe - wiele kobiet dużo by za nie dało!

- Cześć, Hanno - zmusiła się do niedbałego tonu, jak gdyby to, że Hanna tutaj wpada, było chlebem powszednim.

Czy Jack ją przysłał? Czego ona chce?

Od ranka przed czterema miesiącami, kiedy Hanna przyprowadziła Chrisa do domu, Grace nie widziała jej na oczy. Teraz jedyną oznaką, że istnieje jakiś problem, była drobna zmarszczka, wędrująca po czole Hanny między ciemnymi, nie wyregulowanymi brwiami.

- Przeczytałam w gazecie, że będziesz tutaj - powiedziała Hanna, gdy Grace podpisała jej książkę i zwróciła. - Moje gratulacje. Słyszałam, że sprzedaje się naprawdę dobrze.

- Nie mogę narzekać.

- Mogłabym dostać egzemplarz od taty... ale chciałam cię zobaczyć, a to był jedyny sposób, jaki przyszedł mi na myśl.

- No cóż, oto jestem.

- Słuchaj, Grace, czy możemy porozmawiać? - Hanna zniżyła głos, rzucając spojrzenie na srebrnowłosą właścicielkę, która stała przy jej łokciu, witając starego klienta.

- Chcę powiedzieć, że mogę zaczekać, aż skończysz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że się tu pokręcę.

- Dobrze. Powinnam skończyć już za parę minut.

- Starannie oczyściła swój głos z wszelkiego oczekiwania.

Jednak podpisując ostatnich kilka książek, Grace mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo Hanna przypomina jej Jacka w tym, kiedy przesuwa palcami po grzbiecach książek, jak gdyby witając starych przyjaciół.

Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim Grace skończyła i stała, gawędząc z właścicielką. Pamiętała o tym, żeby podziękować sprzedawczyniom, które były takie usługowe, przynosząc jej wodę mineralną i popędzając klientów, którzy chcieli pokręcić się i poplotkować. W końcu rozejrzała się za Hanną, której nigdzie nie było widać.

Grace, omiatając spojrzeniem rzędy mahoniowych półek na książki, poczuła się dziwnie zawiedziona. I wtedy dostrzegła Hannę, opartą o okutą mosiądzem biblioteczną drabinkę na kółkach, czytającą cienką książkę.

Hanna podniosła wzrok, gdy Grace podeszła. - Ogromnie mi się podobała. Mój tata ją wydał. To o tym chińskim poecie, który zostaje uwięziony za to, że jest antykomunistą. To rodzaj alegorii. - Odłożyła książkę i obie wyszły na zewnątrz.

Było umiarkowanie ciepło, nawet za ciepło na sportową marynarkę, którą miała na sobie Grace. Szły wzdłuż Madison Avenue, obok szykownych, drogich butików, wystawiających na pokaz ubrania dla kobiet, które miały niewiele więcej do roboty jak robienie zakupów. Gdy mijały kawiarnię ze stolikami wystawionymi na chodnik, Grace powiedziała: - To jak z rozwijającymi się żonkilami. Wiesz, że lato jest tuż, tuż, kiedy widzisz stoliki na chodniku. Jesteś głodna? Ja umieram z głodu. Nie masz pojęcia, jakiego apetytu nabiera się tylko podpisując książki.

- Chyba zjadłabym coś - mruknęła Hanna.

Nie rób mi łaski - miała ochotę odwarknąć Grace. Ale zdała sobie sprawę, że Hanna, przynajmniej na swój sposób, stara się być miła.

- Jak leci? - zapytała Grace, kiedy się usadowiły. Jak długo to potrwa, zanim Hanna wspomni o Jacku?

- Dobrze - Hanna bębniła palcami po kraciastym obrusie, wpatrując się w menu, którego naprawdę nie czytała. - Ben jest dupkiem, ale to nic nowego. W końcu powiedział mi, co się stało, że to on nagadał tacie o moim strachu, że jestem w ciąży. Słuchaj, Grace, przepraszam, jeśli zachowywałam się... głupio. Nie, to nie jest właściwe słowo. Byłam jędrą. Szukałam tylko wymówki, żeby cię obwinie.

- Nie powiem, że to nie bolało.

- Naprawdę mi przykro.

- Rozumiem.

- Nie jesteś na mnie wściekła? - Hanna szybko zerknęła w górę, a potem znowu w dół.

- Byłam.

- Ale teraz już nie?

- Byłam bardziej zła na sytuację niż na ciebie. Nie jest łatwo grać „macochę”. Wtedy, gdy myślisz, że ustaliłaś reguły, zdajesz sobie sprawę, że wszystko wyszło źle i musisz zaczynać jeszcze raz. Bez względu na to, co zrobisz, i tak jest źle.

Hanna uśmiechnęła się, powoli, smutno. - Grace, czy mogę zapytać cię o coś osobistego?

- Strzelaj.

- Czy się zeszłaś z tatą Chrisa?

- Boże, nie! - Grace czuła, że płoną jej policzki. Czyżby Jack jej nie powiedział? A może brakuje jej Grace jako obiektu do uszczypliwości?

Hanna wzruszyła ramionami. - Przepraszam, nie chciałam być wścibska. - Wydawała się pochłonięta zsuwaniem bibułki ze słomki do mrożonej herbaty, którą kelner właśnie przed nią położył. - A co u Chrisa? Ciagle ma tego zwariowanego psa?

Grace skinęła głową. - Pies jest u jego taty, ale Chris odwiedza go prawie codziennie.

- Zawsze chciałam mieć psa - powiedziała Hanna - ale moja mama bała się, że wszędzie będzie pełno

sierści. Myślisz, że Chris nie miałby nic przeciwko temu, żebym go od czasu do czasu odwiedziła?

Czy ja dobrze usłyszałam? - Jestem pewna, że bardzo by się cieszył. Ale dlaczego go sama nie spytasz?

Hanna wbiła w nią wzrok. - Sądziłam, że nie będziesz chciała, żebym się kręciła po twoim domu. Wiem, że zachowywałam się naprawdę okropnie.

Grace ścisnęło się serce. Boże, gdyby tylko wcześniej mogła kiedyś tak z Hanną porozmawiać. - A co słyhać u twojego taty? - spytała w porywie chwili, nie mogąc sobie wybaczyć, gdy tylko usłyszała własne słowa.

- Koszmar - powiedziała Hanna, składając zdjętą ze słomki bibułkę w małe równe prostokąci. - Wygląda żałośnie i wścieka się z byle powodu. Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Myślę, że on tęskni za tobą, ale nie chce się do tego przyznać. A mówi, że to ja jestem uparta.

Grace ta wspaniała rewelacja odurzyła jak narkotyki. Nagle zrobiło jej się niemal lekko na duszy. - Ja też za nim tęsknię - westchnęła. - Ale może tak jest lepiej. Jesteśmy tacy różni. I każde ma własne sprawy na głowie.

- Takie jak ja i Chris, prawda? - Hanna zdobyła się na kwaśny uśmiech. - Wiesz, Grace, nigdy nie sądziłam, że właśnie ja ci to powiem, ale myślę, że oboje z tatą spieprzyliście to. Dlaczego się tak bardzo przejmujecie tym, co ja albo Chris myślimy o was dwojgu? Owszem, byłam przeciwko tobie - dodała - ale teraz nie jestem.

- A co cię skłoniło do zmiany zdania? - spytała Grace, choć ciągle nie mogła opanować uczucia, że podnosi się z upadku.

- Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy tata był z tobą, nigdy nie zachowywał się tak jak teraz.

- No cóż, chyba powinien się cieszyć z tego, jak się sprzedaje książka. - Wiedziała, że plecie bzdury.

Hanna też nie dała się na to nabrać. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Oczywiście, cieszy się, ale... Rany boskie, siedem i pół dolara za coś takiego?

Grace nie mogła powstrzymać śmiechu, tak serdecznego, aż łzy napłynęły jej do oczu. Dziwne szczęście rozlewało się po całym jej ciele. Oczywiście nie takie, żeby jej wynagrodzić stratę Jacka, ale... wystarczające, by cieszyć się tą szczególną chwilą, kiedy ciepłe promienie słońca grzały jej plecy, mrożona herbata chłodziła dłoń, a naprzeciwko niej siedziała zabawna, sympatyczna młoda kobieta.

## ROZDZIAŁ 27

*Frankfurt nad Menem, październik 1992 r.*

- Mendelssohn Strasse - powiedział Jack do taksówkarza.

Gdy taksówka odjechała od krawężnika przy dworcu lotniczym, Jack zastanawiał się, tak jak to robił co roku w październiku po przybyciu do Frankfurtu, jakie to dziwne, że w Nowym Jorku musi jeździć hałaśliwymi żółtymi taksówkami z wgniecionymi siedzeniami, a w Niemczech, które przegrały wojnę, wszyscy taksówkarze jeżdżą lśniącymi mercedesami bez skazy.

Gdy taksówka pędziła autostradą, zwrócił myśli ku dzisiejszemu wieczornemu przyjęciu - Hank Carroll co roku wydawał przyjęcie dla uczczenia autora, którego książka została wydana w wielu językach. A bohaterką tegorocznego przyjęcia będzie Grace Truscott.

Grace. Jack poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Cały ten kawior i szampan, które podtykali mu w pierwszej klasie, a których powinien był odmówić.

Nie, przecież to wcale nie chodzi nadmiar jedzenia. Chodzi o nią.

Po dziewięciu i pół miesiącach potrzeba widzenia jej, dotykania jej, wydawała się równie nie słabnąca jak



wieczny ogień, płonący na grobie jej ojca na cmentarzu w Arlington. Musi przestać czuć w ten sposób. Jaki w tym sens?

Jack zmusił się, by wyrzucić Grace z myśli. Clothilde Grandy - to o niej powinien myśleć na tegorocznych Targach. Siedemdziesięciolatka przebiła wszystkich książką o swojej karierze pieśniarki kabaretowej i ruchu oporu, działającym w rozwiązłej atmosferze okupowanego przez nazistów Paryża. W tej chwili jednak, po długim nocnym locie, Jack chciał dostać się do swojego pensjonatu i wsunąć do łóżka. Zastanawiał się, czy Frau Strutz nauczyła się jeszcze kilku angielskich słów... albo czy złagodniała trochę co do grzejnika ciepłej wody pod zlewem, którego jej amerykańscy goście zwykle zapominali wyłączyć. Tak jak i co roku, zastanawiał się nad możliwością wynajęcia pokoju w jednym z tych luksusowych hoteli, w Intercontinental lub w Park. Ale spartańskie warunki w Pension Strutz kompensowała bliskość terenów targowych i cena, sześćdziesiąt dolarów za noc zamiast czterystu.

Poza tym, mimo uszczypliwości starej damy, prawdopodobnie tęskniłby za nią. I kto zrobiłby mu pranie z dnia na dzień, i to bez żadnej opłaty? Przez dwadzieścia lat przyjeżdżał do Frau Strutz na tydzień w październiku - dłużej niż był żonaty z Natalie.

Zabawne, pomyślał Jack, jak ostatnio myślę o liczbach w kategoriach tygodni, miesięcy, lat. A teraz, z dala od Grace, dodaję dzień do dnia. Dziewięć miesięcy, dwa tygodnie, by być dokładnym.

Do diabła, powinienem sobie pogratulować. *Honor ponad wszystko*, którego sprzedaliśmy już czterysta tysięcy, wyciągnął firmę z tarapatów i uratował moją pozycję w tym interesie.

Ale czego mam sobie gratulować jako kochanek? Jako mężczyzna?

Jack poczuł szarpnięcie w trzewiach i rozlewające się ciepło. Dokładnie za dziesięć i pół godziny zobaczy ją, będzie przy niej. Chyba będzie potrzebował znieczulenia, by wyjść z tego cało.

Wyrzał przez okno na prostokątne wieżowce, sterujące ponad płaskimi, przemykającymi obok zielonymi polami. Zastanawiał się, jakie było to miasto przed wojną. Mówiono mu, że urocze, zanim jego połowa legła w gruzach pod bombami. Cóż, nadal istniały pokryte kocimi łbami ulice starego Sachsenhausen, ale to było głównie dla turystów - rodzaj Disney World dla tych, którzy lubią jeść golonkę i żłopać piwo w dziwacznych piwiarniach. Na ogół Frankfurt, jaki znał, to głównie wysokie, szklane fasady, pozbawiony uroku pomnik niemieckiego handlu i ludzkiej prężności... jak również przypomnienie, że tego, co przeminęło, nie można przywrócić.

Jak gdyby on potrzebował przypomnienia. Widząc Grace, gdziekolwiek się obrócił. W telewizji, w „Newsweeku” i w „People”, na jej przyjęciu reklamowym, w Amerykańskim Stowarzyszeniu Książki. I podczas zesłotygodniowego marketingowego pokazu przed zbliżającym się wydaniem w miękkich okładkach, gdzie dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów polerowanego, czerwonego mahoni.

Gdzie się podziało jego zmartwienie, że jest dla niej za stary? Ciągłe nękał go wewnętrzny głos: Czy rzeczywiście jest za późno? A jeśli ona czuje to samo co ty? Wiesz, że nie czuje, powiedział sobie, już nie. Tak czy owak, to ty to zakończyłeś.

Taksówka toczyła się teraz wzdłuż Friedrich-Ebert Anlage. Jack zobaczył po swojej prawej stronie Messę - rozrzucone nowoczesne, białe budynki targowe z kamienia i szkła, w których wkrótce zaroi się od wydawców, agentów, redaktorów z ponad pięćdziesięciu krajów świata. Miłośników książek w roli ludzi interesu, próbujących znaleźć nabywców na rynku fińskim i francuskim, czy kupić prawa dla swoich firm, znaleźć dojście do nowych, przebojowych książek - jak książka Clothilde Grandy, miał nadzieję. Ponad aleją rozciągnięte były transparenty, reklamujące rozmaite książki, autorów, wydawców, jak również jeden witający po niemiecku uczestników Targów.

Zatrzymany w gęstym ruchu, myślał o Benie. Ile ten musiał wybulić, żeby wykombinować sobie pokój w Parkhotel? Dzieciak był wściekły, kiedy Jack powiedział, że Cadogan nie pokryje rachunku. Jeśli Pension Strutz jest dość dobry dla mnie, próbował tłumaczyć Jack, powinien być równie dobry dla pracowników. Przez chwilę Ben wyglądał, jak gdyby miał zamiar mu wygarnąć... ale potem uspokoił się i stwierdził, że zapłaci z własnej kieszeni. Bóg wie, na kim próbował zrobić wrażenie.

Jack przetarł twarz ręką. Sen, tego mu teraz potrzeba. Kilka godzin i będzie w porządku, z powrotem na szlaku.

Taksówka skręciła w ulicę willową i zatrzymywała się teraz na podejździe ozdobionej sztukaterią, przybranej cegłą rezydencji, częściowo skrytej za drzewami - budynku z końca dziewiętnastego wieku, który szczęśliwie uniknął alianckich bomb i od tamtej pory został podzielony na mieszkania.

Wspiąwszy się na drugie piętro, Jack nacisnął dzwonek i został wpuszczony do środka. Frau Strutz, wysoka matrona o szerokich biodrach, szpakowatych włosach uczesanych w płaski kok, powitała go z tą samą wojskową poprawnością, z jaką go witała przez minionych dwadzieścia lat. Zaprowadziła go do jego pokoju z wykuszowym oknem, wychodzącym na frontowy trawnik - dużego, spartańskiego, wyposażonego w podwójne łóżko, zlew i szafę z formiki. Ale łóżko - och! - przykryte było lekką jak chmurka puchową pierzyną, a pościel była tak czysta, biała i nakrochmalona, aż wydawało się, że skrzypi.

Gdzie zatrzymała się Grace? - zastanawiał się Jack, wyluskując się ze zmiętego ubrania. Zapomniał zapytać Neli Sorensen albo, co bardziej możliwe, celowo unikał interesowania się tym. Tak jak nie chciał się dowiedzieć, czy ona z kimś się umawia. Próbował wyobrażać ją sobie z innym mężczyzną, pijącą z nim co rano kawę przy stole ze śniadaniem - Grace, całą zmiętą i pachnącą słodko

płynem zmiękczającym do tkanin, którego używała zbyt dużo, żeby prześcierała się nie marszczyły, jeśli nie miała czasu ich składać.

Ale jedyne, co było dla niego realne, to nie kończące się wieczory i weekendy, kiedy nie mógł jej widzieć ani dotykać. Tęsknił za widokiem Grace wychodzącej spod prysznic, owiniętej w jego płaszcz kąpielowy, z brzegiem wlokącym się po dywanie w sypialni. Tęsknił za jej śmiechem, za czkawką, której dostawała, kiedy naprawdę ją rozbawił. Tęsknił nawet za tym, jak skubała z jego talerza w restauracjach...

Dosyć.

Jack wyobraził sobie potężne, zatrzasujące się stalowe drzwi. Zdecydowanie, niezmiennie. I oto jaki on musi być, jeśli ma kiedykolwiek uporać się ze swoją tęsknotą za Grace.

Zapadał w sen na twardym jak cegła łożku w pensjonacie Frau Strutz pod szeleszczącą pierzyną, zastanawiając się, co Grace będzie miała na sobie, kiedy ją zobaczy, czy będzie pachniała Opium, które kupił jej zeszłego roku w drodze z Frankfurtu do domu... i czy będzie pamiętała, że jutro upłynie dziewięć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni, odkąd ostatni raz się z nią kochał.

## O

Carroll Agency wydawała przyjęcie zawsze w tym samym miejscu - w galerii sztuki w Sossenheim, mniej więcej dwadzieścia minut od serca Frankfurtu. Ale warte było drogi, pomyślał Jack, wychodząc z taksówki. Z dala od wielkich, przesadnie zdobnych hotelowych sal bankietowych, gdzie odbywała się większość przyjęć targowych, Luxembourg był szeregiem pokoiów w amfiladzie - czystych, białych, pustych z wyjątkiem wstrząsająco nowoczesnych obrazów na ścianach i modernistycznej rzeźby tu i ówdzie.

Jack, wręczając przy drzwiach swój płaszcz portierowi, zerknął na lewo, gdzie rozstawiono bufet - nie zwyczajowe

ciężkie, niemieckie pożywienie, ale ostrygi i małże na warstwie kruszonego lodu, liście endywii, ułożone jak płatki róży, każdy z odrobiną śmietany i kawioru, jakiś rodzaj siekanego mięsa, zawiniętego w liście winne, półmisek gotowanej fasolki i grzybów. Wszystko to wyglądało wystarczająco dobrze, by żałował, że nie ma apetytu.

Jednak na widok Grace zapomniał o zmęczeniu i zmianie strefy czasowej. Stała na czele linii powitalnej, złożonej z Hanka, Giny Ransome, która zajmowała się u Carrolla prawami zagranicznymi, i Douglasa Krugera. Wyglądała... sztywnie. Miała na sobie lekki, długi do kostek futerał w olśniewający wzór z zieleni i błękitów, ramiona nagie, brylantowy wisiołek na smukłej szyi. Brylantowe ćwieczki w uszach. Włosy odgarnięte z czoła czarną aksamitną przepaską.

Jack poczuł, jak rośnie w nim bańka szalonej nadziei.

Uświadomił sobie, że ściska czyjaś dłoń, dłoń szwedzkiego wydawcy, z którym jadł lunch ledwie miesiąc temu, ale którego imię uleciało mu z pamięci. I wtedy, Bogu dzięki, przypomniało mu się. - Miło cię widzieć, Sven, dobrze wyglądasz. Poradziłeś sobie z tym problemem, jaki miałeś ze swoim fachowcem od amerykańskiego rynku? - jakimś sposobem właściwe słowa spływały mu z języka.

Chudy, brodaty Szwed przytaknął, z wigorem ścisnąc dłoń Jacka w obu swoich. - Tak, wylałem go. Dlaczego mam mu płacić tysiąc dolarów miesięcznie, jeśli słyszę o tych książkach, zanim on mi powie?

Pulchna, macierzyńska Francesca Zenterro rzuciła się na Jacka, całując go w oba policzki. - Wstrzymam wszystkie przyszłe płatności dla Cadogana, dopóki mi nie obiecasz, że bardziej o siebie zadbasz. Spójrz na siebie! Taki szczupły! Pracowałeś za dużo? - przyglądała mu się badawczo, z brwią zmarszczoną z troski.

- Zmiana strefy czasowej - zbagatelizował Jack ze śmiechem, chociaż była to prawda, że stracił na wadze. Smoking wisiał na nim jak worek.

- Miła kobieta, marny wydawca - mruknął mu do ucha Kurt Reinhold, gdy Francesca przeciskała się obok nich. - Sknociła ostatnią książkę Younga we Włoszech. Zła okładka, zero reklamy. Zobaczymy, czy zdobędziemy kogoś innego do następnej.

Jack najeżył się, ale nic nie powiedział. Co miał mówić? Reinhold po prostu nie mógł znieść, że Jack pozbawił go pretekstu do wyrzucenia go na zbity pysk. Ale czy byłoby to takie straszne? Ostatnio zaczynał się zastanawiać, czy nie byłoby mu lepiej, gdyby po prostu wycofał się do swego domku w lesie...

Spojrzenie Jacka padło na Bena, eleganckiego w smokingu z szalowym kołnierzem i stonowanym, wzorzystym pasem. Jego syn, pogrążony w rozmowie z samym starym Hauptmanem, zdawał się skupiać zainteresowanie gadatliwego gnoma, wpatrującego się w niego uporczywie tymi bladoniebieskimi oczyma, które zawsze przywodziły Jackowi na myśl wędrownego sokoła. Dobry znak? Jack miał nadzieję, że tak.

Podszedł do Grace. Lękał się tego, ale zarazem nic nie mogłoby go utrzymać z dala od niej. Powstrzymać od dotykania jej. Mówienia do niej, nawet jeśli miały to być tylko uprzejmości.

Powitała go. Jej mała dłoń zatopiona w jego dłoni, a na ustach uśmiech, chciał wierzyć, że smutny. Jednak Grace prawdopodobnie z trudem znosiła zmianę strefy czasowej i w jej uśmiechu był nie smutek, a wyczerpanie.

- Cześć, Jack.

Pocałował ją lekko w policzek, ale było to niemal ponad jego siły. Rzeczywiście pachniała jego perfumami.

- Powinienem był przywitać się wcześniej. Wybacz mi.

Jej spojrzenie zdawało się rzucać mu wyzwanie. - Och, daj spokój, Jack.

Chcę cię pocałować, pomyślał Jack. - Mogę przynieść ci drinka? - zapytał.

- Bardzo proszę... cokolwiek. Jestem wysuszona.

- Wyglądasz cudownie. Nowa sukienka?

- Nowo-stara. Kupiłam ją na jarmarku staroci. Kiedy I  
weszłam do łazienki, żeby ją przymierzyć, zgadnij, kto  
tam był? Brooke Shields. I wiesz co? Wydawała się tak  
samo niespokojna o to, jak wygląda, jak ja. Po tym  
przestałam się martwić - zaśmiała się. - Kosztowała  
małą fortunę, ale pomyślałam, że sprawię sobie frajdę.

- Zasługujesz na to, Grace. Nie umiem ci powiedzieć,  
jacy jesteście zadowoleni. Wykonałaś fantastyczną pra-  
cę... i zasłużyłaś na każdą odrobinę swojego sukcesu.

Wydało mu się, że dojrzał cię czegoś - gniewu?  
rozczarowania? - przesuwającego się po jej twarzy, ale  
potem to znikło. Musiała myśleć o tym, jak on bredzi  
- jak przeklęty mistrz ceremonii korowodu Miss Ameri-  
ca. Nie miała pojęcia, jak bliski jest utraty panowania  
nad sobą...

- Dzięki - powiedziała. - Miałam szczęście. Oboje  
mieliśmy.

- Rozmawiałaś ostatnio z matką?

Wzruszyła ramionami i światło padło na jej brylan-  
towy wisior. On wpatrywał się w zagłębienie w kształ-  
cie ptaka u podstawy jej szyi i myślał o tym, żeby je  
dotknąć, lekko przycisnąć palec do ciepłego ciała, gdzie  
widział skaczący puls.

- Chciałabym móc powiedzieć to wszystko o tym, jak  
mój ojciec nas połączył. Powiedzmy po prostu, że pracu-  
jemy nad tym. Matka jest... och, nie wiem, bardziej I  
miękką. Nie taka krytyczna. Myślę, że z tym może mieć  
coś wspólnego ten mężczyzna, z którym się przyjaźni, ale  
możliwe, że ona tylko okrywa się patyną. Na przykład  
powiedziała Sissy, że nie może wprowadzić się z po-  
wrotem do niej tylko dlatego, że się rozwodzi. Gdyby  
nawet rok temu ktoś mi powiedział, że matka będzie  
trzymać Sissy na odległość ramienia, nie uwierzyłam.

- Są rzeczy w niebie i na ziemi...

Grace pochyliła ku niemu głowę, jej uśmiech był teraz  
zdecydowanie smutny. - Wiesz, na zawsze pozbawiłeś  
mnie Szekspira. Nie mogę oglądać sztuki czy słuchać  
kogoś cytującego *Hamleta*, nie myśląc o tobie.

Jack poczuł ból, przewiercający mu pierś. Ale wszystko, co mógł zrobić, to stać, mając na twarzy coś, co robiło wrażenie najgłupszego z uśmiechów. Szczęście, pomyślał, jest jak próba jazdy na byku Brahmy - musisz się go trzymać, aż ramiona i nogi omal wyskakują ci ze stawów, a serce z piersi. Ale już przed wieloma miesiącami wybrał wobec Grace łatwe wyjście: zrezygnował, ponieważ tak nakazał mu rozum. - Ludzie są skłonni brać Szekspira o wiele za poważnie - powiedział. - Zaczekaj, przyniosę ci tego drinka.

Odwrocił się raptownie. Miał ochotę chwycić ją za rękę, wyciągnąć ją daleko od tego wszystkiego, w tę chłodną, październikową noc, gdzie mógłby otoczyć ją ramionami. Więc co go powstrzymuje?

Czas, pomyślał. Zbyt wiele czasu upłynęło. Było teraz między nimi skrępowanie. I po co narażać się na nowe cierpienia?

Jednak jakimś sposobem działał. Przyniósł Grace jej drinka - wodę z krążkiem cytryny. Teraz była otoczona gronem Koreańczyków i mogła tylko skinać mu głową w podziękowaniu. Nagle Jack szepnął jej do ucha: - Spotkajmy się na zewnątrz za piętnaście minut. W tyle jest niewielki dziedziniec.

Odszedł szybko, zanim mogła mu powiedzieć tak lub nie. Jezu, co on jej powie? Jednocześnie czuł się lepiej niż przez cały wieczór. Być może... tylko być może...

Kiedy odchodził od baru, zagroził mu drogę Bernhard Hauptman i wyciągnął do niego rękę. Jack zdołał wyglądać na zainteresowanego, gdy stary człowiek rozpoczął opowieść o tym, jak jego firma - mająca teraz kluby książki i wydawnictwa w piętnastu krajach - zaczęła od wydawania westernów, napisanych przez Niemca, który nigdy nie postawił stopy na amerykańskiej ziemi, i który myślał, że bizon jeszcze w latach pięćdziesiątych przemierza równiny.

- W tamtych dniach wszyscy byliśmy tacy pełni entuzjazmu - ciągnął stary człowiek swoim dziwnie niewyraźnym angielskim z manchesterskim akcentem, który



nabył od brytyjskiej żony. - Zbyt zajęci, żeby sprawdzać każdy szczegół. Może była to zła rzecz... ale brak mi tamtej energii - jego bystre oczy utkwione były w Jacku. - Pański syn ma ten rodzaj dynamizmu. Jest bardzo pewny siebie.

- Ciężko pracuje - zgodził się Jack. Ale nie uszło jego uwagi zimne światło w wodnistych, niebieskich oczach Hauptmana. Czy Ben wyśpiewał własną chwałę przed starszym? Jezu, czyżby nie wiedział, że Hauptman, jak sam Jack, należy do starej szkoły - pnij się w górę szczebel po szczeblu od samego dołu, szanuj zwierzchników, okazuj pewien spryt, ale bądź pokorny, kiedy trzeba.

- Benjamin powiedział mi, że pragnie zostać najmłodszym redaktorem naczelnym w historii Cadogana. Dość ambitne, nie sądzi pan?

Jack starał się nie zareagować. - To nie jest niemożliwe - powiedział.

- A pan nie zarekomendował go na to stanowisko? On pozostawił mnie z wrażeniem, że tak.

Został zapędzony w kozi róg, to było jasne. Jeśli podejmie ten temat, przedstawi Bena w złym świetle. Ale, do diabła, nie miał zamiaru kłamać. Tym razem Ben posunął się za daleko.

- Poznał pan Jerry'ego Schillera, prawda? - zachował rezerwę Jack. - Jest w firmie tak długo jak ja. W tej chwili nie wyobrażam sobie nikogo innego, kto byłby bardziej efektywny jako redaktor naczelny.

- Ben nie to mi mówił.

- Co on dokładnie powiedział? - zapytał Jack, nie usiłując dłużej ukrywać przerażenia.

- Dał do zrozumienia, że być może pan sam nie działa w najlepiej pojętym interesie Cadogana.

- Wygląda na to, że odbyliście całkiem poważną rozmowę.

- Całkiem - stary człowiek pochylił się teraz do przodu, bliski zdradzenia sekretu, zaś Jack nie był pewien, czy chce to usłyszeć. - Czy zna pan starą

bajkę, Herr Gold, o człowieku, który karmi żmiję, tylko po to, by być ukaszonym? Ja także miałem kiedyś takiego syna jak pański. Nie, on żyje, tylko ja mówię o nim w czasie przeszłym. Jeśli o mnie chodzi, on już nie jest moim synem.

Jack przypomniał sobie teraz plotki sprzed paru lat - coś o synu Hauptmana, spiskującym, by wygryźć ojca. Widocznie starszek był bardziej chytry niż młody człowiek się spodziewał.

- Bena od czasu do czasu ponosi - powiedział Jack - ale nie szuka sposobności, by kogoś skrzywdzić, a już najmniej własnego ojca. - Przypominając sobie swoje rozmowy z Benem, Jack nie był tego taki pewien, ale nie miał zamiaru przyznać się do tego Hauptmanowi.

- Jest pan jego ojcem - odpowiedział Hauptman. - Będzie pan ostatni, który to zauważy. Proszę mi wierzyć, ja to wiem. Właśnie dlatego oszczędziłem panu zadania dopilnowania, żeby on odszedł... Kurt, zdaje się, rozmawia z nim teraz.

Przez chwilę Jack nie mógł oddychać, jak gdyby wyparto z niego powietrze. Zanim mógł zaprotestować, czy nawet zrobić jakąś uwagę, Hauptman odwrócił się na pięcie i odszedł, wchłonięty przez tłum.

Chryste! Musi znaleźć Bena, ostrzec go. Właściwie chodziło mu tylko o to, żeby Ben wiedział, czego się spodziewać.

Torując sobie drogę wśród ludzi, tłumnie zapełniających główną galerię, omiatał spojrzeniem salę i starał się dostrzec swego syna. Ale nie było ani śladu Bena, nawet w toalecie i szatni. Czy Reinhold mógł zabrać go na zewnątrz, gdzie jest ciszej?

W tyle Jack znalazł wąski korytarz z drzwiami na końcu, które wychodziły na maleńki, ceglany dziedzińec. W środku kwadratu niewyraźna postać na pół leżała, opierając się na rzeźbie, zrobionej z chaotycznie zestawionych sześcianów, utrzymywanych razem czymś, co wyglądało jak rurka z PCV.

- Sprawdzasz mnie, tato?

Ben. Pił. I sądząc po upiornej bladości jego twarzy, usłyszał już decyzję właściciela z ust Reinholda, którego <  
nigdzie nie było widać.

Jack wciągnął powietrze i oparł się o framugę drzwi, spoglądając w górę na chmury, rozciągnięte jak nieświeże pranie między płaskimi dachami po obu stronach. Garść gwiazd przeświecała przez nie, ale tak słabo, że Jack ledwie je widział.

- Szukałem cię. Zdaje się, że zrobiłeś niemałe wrażenie na Herr Hauptmanie.

- Zgadłeś. I wiesz co? Okazuje się, że on jest bardzo podobny do ciebie i nie lubi młodych, którzy nie mogą się doczekać na stanowiska starszków. - Głos Bena był obojętny, jak gdyby nie w pełni dosięgnął go cios Reinholda.

- Bardzo nie chcę tego mówić, Ben, ale sam to na siebie ściągnąłeś.

Ben uśmiechnął się szeroko; błysk bieli przedarł się z cienia, skrywającego jego twarz. - Jesteś taki cholernie przewidywalny, tato. Zawsze wiem, co powiesz. Ale tym razem nie mam ochoty tego przełknąć. Ponieważ od dzisiejszego wieczoru nie pracuję już dla ciebie!

Jack, czując lekkie mdłości w żołądku, patrzył, jak jego elegancki syn podnosi się ociężale z tej brzydkiej nowoczesnej rzeźby. Z twarzy Bena zniknęła szarość i obojętność, ale na jej miejsce pojawił się ciemny gorączkowy rumieniec, który nie podobał się Jackowi.

Ben zrobił krok do przodu, chwiejąc się nieco i chwytając skręconej rurki z PCV. Jack zdał sobie sprawę, że jego syn jest nie podchmielony, ale pijany w dym.

- Porozmawiamy o tym, kiedy wytrzeźwiejesz - Jack usłyszał srogą nutę w swoim głosie i pożałował, że nie jest mniej cywilizowany. Miał chęć wziąć Bena za kark i potrząsnąć nim, by nabrał trochę rozumu.

Ale Ben odwracał się teraz ku niemu twarzą, z ręką przerzuconą za zakrzywioną rurkę, z oczami błyszczący-

mi w wąskiej smudze światła. - Zejdź ze mnie, dobrze, tato? Już nie jestem twoim chłopcem do bicia.

- Ben, jak na jeden wieczór, już dosyć wyrządziłeś szkody. Nie mów już nic, czego będziesz żałował.

- Tak, jak ja to widzę, ta rozmowa jest bardzo spóźniona - głos Bena opadł do cichego chrypienia.

- Być może, Ben, być może. Ale nie teraz - Jack miał wrażenie, że wyszedł poza siebie i przygląda się sobie innymi, bardziej krytycznymi oczyma - człowiekowi, który nawalił jako ojciec, w jakiś niejasny sposób zawiódł swoje dzieci, a teraz za to płaci.

- Jesteś pijany... i zaczynasz mnie wkurzać. Jak powiedziałem, porozmawiamy jutro - zaczął cofać się do środka, ale Ben rzucił się do przodu i chwycił go za rękaw, szarpiąc tak mocno, że Jack niemal stracił równowagę.

- Nie jutro. Teraz - przystojna twarz Bena była ' wykrzywioną maską.

- Ben, zachowujesz się jak rozpuszczony trzylatek. Daj spokój. Nie trzeba mi tego. Ani tobie.

Jack, czując smutek i niesmak, zerkał na swego syna, który chwiejnym krokiem szedł po starych, spęczniałych od mrozu ceglach dziedzińca jak oszołomiony po ciosie bokser, który nie wie, jak zejść z ringu. - Czego mi trzeba - powiedział Ben - to ojca, który nie miałby mnie w dupie, a nie takiego, który traktuje mnie, jak gdybym był nowym smarkaczem w biurze listów. Skoro o tym mowa, zawsze tak się czułem, nawet kiedy byłem dzieckiem. Bardziej jak twój pracownik niż jak syn.

- Wracaj do hotelu, Ben, i odeśpij to.

Zaczął się odwracać, ale podpuchnięte oczy Bena zwały się, dostrzegając coś lub kogoś ponad ramieniem Jacka. Wtedy Jack zobaczył ją, obramowaną klinem światła, padającego ukośnie z kuchennych drzwi.

- Grace - powiedział miękko.

Przeniosła ostrożne spojrzenie z niego na Bena.

Ruszył ku niej, ale zatrzymał go w miejscu nagły hałas za plecami. Był to szorstki, urywany szloch Bena.

Jego syna. I, wbrew sobie, Jack poczuł się rozdarty. Pragnął odejść z Grace, zostawić Bena, by pławił się w swym nieszczęściu. Ale nawet gdy nakazywał sobie ruszyć do przodu, jego stopy pozostawały mocno wparte w nierówne cegły. A teraz, jak gdyby to sam dziedziniec obracał się powoli, odwrócił się... odwrócił do syna, którego rozum kazał mu zignorować, ale serce nie mogło.

- Jack... - usłyszał wołanie, ale jej głos zdawał się dochodzić z daleka, po prostu jeszcze jeden głos z przyjęcia.

Grace wpatrywała się w Jacka z niedowierzaniem. Słyszała wystarczająco dużo paskudnych oskarżeń Bena, by wiedzieć, że Jack nie potrzebuje żadnej wymówki, aby odejść. Jednak wahał się. Poprosił ją o spotkanie, rozbudził jej nadzieje, a teraz...

Nic się nie zmieniło. Kiedy przyjdzie co do czego, dla niego zawsze ważniejsze będą żądania dzieci, nieistotne jak dziecinne i nieuzasadnione.

Mimo to ociagała się, niemal bojąc się oddychać ze strachu, że pęknie resztką jej nadziei.

- Jack! - przywołała go znowu, tym razem bardziej nalegając.

- Nie mogę - jęknął. - Nie teraz.

Jack odwrócił głowę, by wyjaśnić, zapytać, czy mogli by się spotkać później w jej hotelu, ale ona odeszła, zniknęła z oświetlonych drzwi jak ćma.

Jego spojrzenie znów przyciągnął płaczący syn. Ben jęczał, zakrywając twarz rękoma i opadając na kolana.

- Tato... p...przykro mi - głos Bena był głuchy i przytłumiony, jak głos człowieka wołającego z dna studni o pomoc. - Proszę... o Boże, proszę, nie znieńwiedz mnie. Potrzebuję cię. Potrzebuję cię, żeby...

Mógłbym jeszcze pójść za nią, pomyślał Jack. Chyba nie jest za późno.

Wahał się jeszcze chwilę, a potem pochylił się i chwycił Bena za ramię, stawiając go delikatnie na nogi. W zamglonym, szarym świetle księżyca twarz jego syna, gdy odwrócił się i napotkał jego spojrzenie, była żywą raną.

- W porządku, w porządku - powiedział Jack szorstko, głosem więznącym w gardle, gdy miażdżył syna w ramionach. - Jestem tutaj, Ben. Jestem tutaj.

## ROZDZIAŁ 28

Grace, zajmując miejsce, zauważyła, że przedział pierwszej klasy jest zapełniony tylko w jednej trzeciej. Co za ulga. Jeśli cały samolot jest taki, może nawet będzie mogła się odprężyć, jak tylko znajdą się w powietrzu. Prawdopodobnie było to wbrew każdemu prawu aerodynamiki, ale dla niej było proste - mniej pasażerów oznaczało mniejszy balast, obciążający samolot podczas startu. Była pewna, że potem jedyną rzeczą, zdolną utrzymać w górze tony stali, silnik i ładunek jest... magia.

Ta sama magia, która w tej chwili powstrzymywała ją przed rozpadnięciem się na kawałki.

Nic mi nie będzie, powiedziała sobie. A mniej więcej za godzinę będę w Paryżu... wystarczająco daleko od Jacka. Cztery dni pławienia się w luksusach Starego Świata w Lancasterze, tuż za Champs-Elysees, a wyrzucę Jacka z myśli raz na zawsze.

Przecież to jest skończone od dziewięciu miesięcy. Ta nowa tęsknota była tylko chwilowa. Jak jeden z tych nawrotów, o jakich słyszała od byłych hipisów, którzy w latach sześćdziesiątych używali LSD.

Zmusiła się do wyliczania swoich zdobyczy. Chris, jej dziecko, jej syn, naprawdę przychodzi do siebie. Teraz, kiedy jest przewodniczącym klubu komputerowego i ma więcej kolegów niż tylko Scully z dołu - po poddaszu o każdej porze kręcą się dzieciaki, tupiąc jak drużyna koszykarzy podczas treningu, pozostawiając kurtki, torby

na książki, walkmany porozrzucane na meblach. Chris pewnie nawet nie zauważył, że nie zadzwoniła dziś rano.

I Nola. Musi pamiętać, by wysłać jej pocztówkę z Paryża. Grace myślała o wieczorze, poprzedzającym jej wyjazd do Frankfurtu. Nola na jej poddaszu, z Tashą i Dani, które pomagały Chrisowi budować wyglądający na skomplikowany model średniowiecznej fortecy z pacyzków. Potem Chris rozsmarowywał sobie na palcach klej Elmera, a kiedy klej wysechł, Chris wprawiał dziewczynki w pełne zachwyty przerażenie swoją makabryczną sztuczką zdierania go, jak gdyby to była skóra. Wciąż uśmiechała się na to wspomnienie.

A wkrótce będzie w Paryżu, jako gość wydawnictwa Hachette, udzielająca wywiadów „Le Figaro” i „Paris Match”. Racząc się co rano kawą z mleczkiem i ciepłymi brioszkami i croissantami w intymnym, przypominającym klejnot pokoju śniadaniowym Lancastera. - Będziesz się dobrze bawić w Paryżu, wspaniale - syknęła do siebie przez zaciśnięte zęby.

Grace podniosła wzrok i spostrzegła, że przygląda jej się jedna ze stewardes. Jednak jasnowłosa stewardesa zapytała jedynie: - Proszę pani, czy mogę przynieść pani coś do picia? Sok pomarańczowy, trochę szampana?

Och, czyż pierwsza klasa nie jest cudowna! Wpychają w ciebie tyle jedzenia i alkoholu, że nawet gdyby samolot spadł w płomieniach na ziemię, prawdopodobnie nie zauważyłabyś tego.

- Szampana proszę - powiedziała Grace. Zazwyczaj nie piła w samolotach, ale jeśli nie zrobi niczego, żeby odrętwieć wobec tego zupełnie śmiesznego i nieuzasadnionego nieszczęścia, z którego, zdawało się, nie mogła się otrząsnąć, może się zdarzyć, że wybuchnie płaczem gdzieś nad Luksemburgiem.

Co Lila zrobiłaby na moim miejscu? Wstałaby, znalazła telefon i wystukała numer hotelu Jacka. Potem dokładnie powiedziałyby Jackowi, co o nim myśli. Że każdy mężczyzna dość głupi na to, by pozwolić jej prześlizgnąć mu się między palcami nie raz, a dwa razy,

zasługuje na spędzenie reszty życia pozbawiony jej. Ona... och, ależ to absurd.

Wypiła szampana dwoma długimi łykami, ale niewiele to pomogło.

Myślała o tym, jak poprzedniego lata potknęła się na kracie w metrze i złamała sobie palec u nogi. Jack, który był wtedy na wsi z Hanną, mimo protestów Grace w środku nocy, w padającym deszczu, wrócił samochodem do Nowego Jorku. Ale gdzie był, kiedy naprawdę go potrzebowała?

- Jesteś głupcem, Jacku Gold - mruknęła. Tym razem spojrzenie, jakie rzuciła jej stewardesa, było wręcz podejrzliwe. Grace tylko zasygnalizowała pustym kieliszkiem, że jest gotowa do powtórki.

A Jack rzeczywiście próbował zatelefonować do niej do hotelu. Tego ranka otrzymała w recepcji pilną wiadomość. Niewiele brakowało, żeby się poddała i zadzwoniła do niego... ale coś ją powstrzymało. Po co zaczynać na nowo z Jackiem, właśnie teraz, kiedy w końcu zaczęła się przystosowywać do życia bez niego?

Przystosowywać? Czy tak to się nazywa?

Grace zobaczyła, że ścisła kurczowo oparcia fotela i zmusiła się do opuszczenia rąk na kolana. Ale narastające w niej przeczucie zguby nie ustępowało. Miała ochotę nacisnąć guzik, wezwać pomoc, ale po co? I kto mógłby ją pocieszyć?

Silniki ożywały teraz z rykiem i usłyszała stewardesę, instruującą pasażerów przez głośnik, by zapięli pasy.

Grace spojrzała w dół i zobaczyła, że jej pas jest już ciasno przymocowany, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, żeby go zapinała. Po namyśle nie mogła sobie nawet przypomnieć, dlaczego kiedykolwiek uznała, że lot do Paryża to dobry pomysł?

Samolot właśnie zaczął odjeżdżać od przejścia, -łpedy warkot silników nagle ucichł.

Cholera, pomyślała. Teraz będę tu tkwić przez następne dwie godziny, podczas gdy mechanicy będą



majstrować przy oblużowanym drucie na klapce skrzydła czy przy czymś takim.

Grace wyjrzała przez okno i zobaczyła pomarańczowy pojazd obsługi, pędzący ku nim po polu startowym. Boże, musi to być coś nagłego. Zagrożenie bombą? Niemcy pełne są terrorystów.

Poczuła przypływ adrenaliny i wyprostowała się w fotelu, starając się nie zwracać uwagi na to, że zimna sprzączka pasa wbija jej się w żołądek. Patrzenie no, jak jej zależy - nie jest gotowa pożegnać się ze wszystkim. Może jest dla niej jakaś nadzieja.

Rozejrzała się po pasażerach, którzy nie wydawali się ani trochę zaniepokojeni. Cóż oni sobie myślą, że jeśli zapłacili trzy razy więcej za pierwszą klasę, to ich automatycznie chroni przed katastrofą? Że, gdyby coś się stało, to ucierpieliby tylko tamci w tyle?

Tylko chuda, jasnowłosa stewardesa wyglądała na poruszoną. Nie, bardziej na... zirytowaną. No cóż, przynajmniej nie wpada w panikę. One zazwyczaj irytowały się, kiedy był to...

- Przepraszam, czy to miejsce jest zajęte?

... jakiś VIP z wystarczającym tupetem, by zmusić samolot do zatrzymania się w ostatniej sekundzie.

Grace podniosła wzrok, wstrząśnięta, ale trwało chwilę, zanim wyraźnie zobaczyła twarz, która pojawiła się nad nią. Jednak ten głos rozpoznałaby wszędzie. - Jack! - przyłożyła rękę do ust, potem opuściła ją na kolana i szepnęła: - Wystraszyłeś mnie śmiertelnie. Co ty tu robisz?

- To samo, co ty. Lecę do Paryża.

Wyglądał, jak gdyby biegł przez całą drogę z Targów. Jego kędzierzawe, siwiejące włosy były zmierzwiłone bardziej niż zwykle, a czoło lśniące od potu. Kręciło jej się w głowie od całego tego szampana... czy też po prostu od widoku Jacka? Nagle przestało ją obchodzić, czy on porwał ten cholerny samolot, tylko cieszyła się, że jest tutaj.

- Ale skąd wiedziałeś...? - zamilkła, zanim mogła

zrobić z siebie idiotkę. Czy to tylko przypadek, że oboje w tym samym czasie lecą do Paryża?

- Odrobiłem pracę domową - mrugnął do niej.

- Ale, Jack, na miłość boską, jak ci się udało?

- Przyjaciele na wysokich stanowiskach. Poza tym potrafię być niewiarygodnie nachalny - uśmiechnął się szeroko, włączając swoją solidną sylwetkę na siedzenie obok niej. - Zadzwoiłem do twojego hotelu i powiedzieli mi, że się wyprowadziłaś. Sądzę, iż to portier zauważył po twoich bagażach, że lecisz Lufthansa. I zanim zmusiłem zięcia Frau Strutz w Lufthansie, żeby przeczesał listy pasażerów wszystkich dzisiejszych lotów do Paryża, prawie zabrakło mi czasu, żeby złapać ten.

Silniki znów ruszyły i odrzutowiec nabierał szybkości, gdy kołowali na pas startowy. Jasnowłosa stewardessa uśmiechnęła się, biorąc płaszcz Jacka, jak gdyby próbowała rozstrzygnąć, czy widziała jego twarz w telewizji, czy w gazetach.

- Skąd wiedziałeś, że wybieram się do Paryża? - dokończyła Grace to, co zaczęła minutę temu.

- Zwykły domysł - popukał się w skroń.

- Raczej śmiały, gdyby mnie kto pytał.

- Tak naprawdę, to Lila - przyznał się. - Zatelefonowałem do niej ostatniej nocy, kiedy nie mogłem dodzwonić się do ciebie. Powiedziała mi, że wybierasz się do Paryża.

- Więc po prostu uznałeś, iż nie będę miała nic przeciwko temu, że będziesz deptać mi po piętach?

- Spiorunowała Jacka spojrzeniem, gniew w niej wzbierał.

- A masz? - Jego oczy nie były już niebieskie, były szare, koloru pancerników i drutu kolczastego.

- Przestań, Jack.

Jack nie spuszczał z niej oczu, przesywając ją spojrzeniem jak prawnik, który bierze w krzyżowy ogień pytań trudnego świadka. - Ciagle nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie muszę. Jeśli to tyle dla ciebie znaczyło, dlaczego nie poszedłeś za mną ostatniej nocy? - Jej gniew narastał, i dobrze. To zacierało fałszywy blask szczęścia sprzed minuty.

- Grace - powiedział ochryple. Tylko to, jej imię.

Niech to cholera, jeśli on nie przestanie, ona się w końcu rozplacze. - Nie możemy tego pominąć? - zapytała cicho. - Tak, jak to robiliśmy.

- Nie, dopóki z tym nie skończymy.

- To już skończone.

- Kto tak mówi?

- Ty powiedziałaś, pamiętasz? A ja na to przystałam. - Zamknęła na chwilę oczy, próbując się opanować. - Jack, myślę, że oboje powiedzieliśmy za dużo. Myślę, że czas to pogrzebać, żyć dalej własnym życiem - mówiła te słowa, tak, i wydawały się piękne, odpowiednie, odważne. Ale czy chciała je wypowiedzieć?

Odwrócił się ku niej i chwycił ją mocno za ramiona, a ona poczuła, że coś przepływa przez nią kaskadą jak bąbelki szampana - tysiąc iskierek, kłujących jej wnętrzości. O Boże! Jakież to przyjemne czuć, jak Jack ją obejmuje. Jego ręce zdawały się mówić, że tym razem, nawet gdyby próbowała, nie pozwoli jej się wyslizgnąć.

Jednak próbowała się uwolnić.

- Nie - powstrzymał ją. Głos miał chropowaty i drżący z emocji. - Nie rób tego. Powiedz, że bredzę, że nigdy nie nauczymy się sobie ufać. Kupię nawet to, że mi powiesz, iż nie potrafisz być macochą dla moich dzieci. Ale nie mów, że mnie nie kochasz. Nie uwierzę w to.

- Boję się - szepnęła.

Uśmiechnął się nikłym, krzywym uśmiechem i powiedział czule: - Ty, nieustraszona młoda kobieta na latającym trapezie?

- Nic się nie zmieniło. Właściwie nic.

- Czy to cię powstrzymuje? Że nigdy nie pasowaliśmy idealnie do siebie?

- Och, Jack. To nie byłoby łatwe.

- A co jest?
- Sprawiałam ci zawód. Ty sprawiłeś zawód mnie.
- I zrobimy to znowu, bez wątpienia.
- Twoje dzieci...
- Znowu to samo, co? - uśmiechnął się.
- Czy Hanna mówiła ci, że wpadła się ze mną zobaczyć?

Potrząsnął głową. - Nie, ale nie jestem zaskoczony. Cały czas pyta o ciebie. Zrobiła się z niej prawdziwa zaraza.

- Któregoś dnia Chris powiedział mi, że gdybyśmy, ty i ja, kiedykolwiek zdecydowali się pogodzić, Hanna byłaby jego siostrą i że byłoby to całkiem fajne.

- A co ty myślisz? - zapytał lekko, jak robią to ludzie, kiedy coś jest tak strasznie ważne, że okazanie tego byłoby nie do zniesienia. Była świadoma jego rąk, ściskających ją mocniej, i jego oczu, szukających odpowiedzi w jej oczach.

Ale jaka jest odpowiedź? Czy wiedziała? - Jack, czy prosisz mnie, żebym wyszła za ciebie za męż?

Czekała, z sercem wysoko w gardle. Jej ciało było jak piana, lekkie, pozbawione ciężaru, jak gdyby mogło się rozwiać. Dlaczego on nic nie mówi?

I wtedy Jack coś powiedział... nie słowami, ale rękoma, całym ciałem. Zamykając ją znowu w swoich ramionach. Mruczając w jej włosy: - Tak, do diabła... jeśli mnie zechcesz - odsunął się, mrużąc oczy. - Właściwie zaryzykowałem i zamówiłem dla nas apartament dla nowożeńców w Bristolu.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy mieli miesiąc miodowy przed ślubem? U nas jakoś mnie to nie dziwi - Grace uśmiechała się, płakała, wszystko naraz. I ani trochę jej teraz nie obchodziło, kto patrzył.

- Jak na człowieka, który żyje ze słów, nie zawsze jestem dobry w wysławianiu się - powiedział cichym głosem, głosem człowieka tak cudownego jak książka, która chce się, by nie miała końca. - Ale jedno wiem, jak powiedzieć... Kocham cię, Grace, kocham cię tak

bardzo, że zwariowałbym, gdybym musiał spędzić resztę życia tęskniąc za tobą.

Grace pomyślała, że gdyby samolot miał nagle runąć w dół, ona prawdopodobnie nawet by tego nie zauważyła - zbyt wysoko miała głowę w chmurach.

Potem sięgnęła do swojej wielkiej torby, szperając na oślep w drobiazgach, pomieszanych w środku - portfel, paszport, okulary od słońca, stare wizytówki, klucze, dyktafon, trzy pióra kulkowe i zdjęcie migawkowe Jacka, które zapomniała, a raczej celowo zaniedbała wyrzucić.

- Grace... nic ci nie jest? - zapytał Jack.

Jasnowłosa stewardesa gapiła się teraz otwarcie, jak gdyby myślała, że ta płacząca kobieta może rzeczywiście sięgać po broń. Grace spojrzała w górę i zobaczyła, że napis „zapiąć pasy” nad głową zgasł.

- Nic mi nie jest - powiedziała, ściskając kurczowo swoją kartę Visa i postrzępiony notes z adresami, których poszukiwała. - Zaraz wracam.

Nowa siła wstąpiła w nią, gdy przeciskała się obok Jacka i szła do telefonu w przodzie kabiny. Popatrz, powiedziała sobie, gdy wsunęła kartę i zaczęła wystukiwać numer, w końcu to nie było takie trudne. Ale może to dlatego, że dzwoniła do Lancastera, by skreślić swój jednoosobowy pokój z oknem wychodzącym na dziedziniec.

Potem poczuła się spokojniejsza.

Trzymała Jacka za rękę, podczas gdy wieżowce Frankfurtu kurczyły się do wielkości małych kostek, a jego zielone okolice ustąpiły miejsca schludnie pozszywanym łatom pól Szampanii. Nie martwiła się już katastrofą. I jeśli było dość magii, by utrzymać w powietrzu ten olbrzymi samolot, musiało jej zostać dosyć dla drobnej kobiety, która właśnie miała po raz drugi rzucić się w przepaść.

**Cordelia Clayborn Truscott**  
**i członkowie zarządu Uniwersytetu Latham**

*serdecznie zapraszają do uczestnictwa w otwarciu*  
*Biblioteki Pamięci Eugene'a Truscotta*  
*w niedzielę, 26 czerwca 1994 roku o godz. 14.00*  
*a następnie na przyjęcie.*

## **ROZDZIAŁ 29**

Ze swego gabinetu na pierwszym piętrze Cordelia wyraźnie widziała Gabe'a na drewnianej drabinie, przymocowanego jej Szkarłatną Głorię do okratowania, które wyginało się łukiem jak panińska altanka nad bramą sadu.

Nie miał na głowie kapelusza i światło słoneczne wczesnego lata, padające przez zwieszające się gałęzie tulipanowca, kładło się jak przyjazna ręka na karczku jego niebieskiej, roboczej koszuli. Pracował w stałym, niespiesznym tempie, końce sznurka i zwiędłe kwiaty zbierały się w niewielki stos u stóp jego drabiny.

- Po śmierci Eugene'a czuła się zupełnie pusta, jak muszla, wyrzucona na brzeg. Ale gdyby miała stracić Gabe'a, najgorszą karą byłoby wiedzieć, że to jej własne dzieło.

Jednak co\* innego mogła zrobić? Wyjść za niego?

Cordelia, usadowiona przy swoim filigranowym biurku, intarsjowanym w ptaszki i gałązki kwitnących jabłoni, opuściła wzrok na mały bilecik koloru kości słoniowej na bibularzu przed sobą. Osiem dni, pomyślała. Biblioteka, dla której zadreżczała pół kontynentu o pieniądze, wykłócała się z hutnikami, kamieniarzami, hydraulikami, inspektorami budowlanymi, a przez ostatnich osiemnaście miesięcy

obserwowała, jak wznosi się z betonowych fundamentów, by stać się cudem z kamienia i błyszczących, szklanych fasad - miała zostać otwarta za niewiele więcej niż tydzień!

Ale choć wiedziała, jak podekscytowana powinna się czuć, nękało ją teraz wspomnienie twarzy Gabe'a, kiedy ostatniej nocy poprosił, by została jego żoną. Lekko ironiczny błysk w jego brązowych jak herbata oczach, nieznaczące zmarszczki wokół ust, jak gdyby wiedział, jaka będzie jej odpowiedź.

Byłabym z nim szczęśliwa...

...przez kilka lat, może pięć albo nawet dziesięć. A potem co? Będzie staruszką po siedemdziesiątce, a Gabe ciągle mężczyzną w pełni sił, który ledwie miał za sobą swoje najlepsze lata. I Gabe byłby w potrzasku, może nawet jego życie zredukowałoby się do wożenia jej na wózku, krajania jej jedzenia na małe kawałeczki, przenoszenia jej wieczorem do łóżka.

Łóżko.

Wielkie łóżko z czterema słupkami w jej sypialni, gdzie ona i Gabe leżeli w senne popołudnia, jakie następowały po rankach zbierania, grabienia, sadzenia, przycinania... łóżko, gdzie on cierpliwie nakłaniał pieszczotami jej ciało, by rozkwitło na nowo, jak długo uśpiony ogród.

W Cordelii powoli wzbierał żar. Przypominała sobie Gabe'a, rozbierającego ją po raz pierwszy. Jakże onieśmieloną czuła się z początku! Przepraszając za swoje zmarszczki, obwisające ciało, które nigdy już nie będzie jędrne, bez względu na to, do ilu przysiadów czy wymachów nogami mogła zmusić się w salonie Lucille Roberts, do którego Sissy zaciągnęła ją kilka razy. I jak Gabe, kochany Gabe - uciszył ją pocałunkiem. Nie jednym tylko pocałunkiem, ale wieloma - delikatnymi pocałunkami, spadającymi na całą jej twarz, szyję, ramiona i piersi jak słodki deszcz.

- Chciałabym znów być młoda... dla ciebie... dla tego - szepnęła.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek - zapewnił ją, uśmiechając się, gdy odgarniał jej ze skroni srebrne włosy. - Nie oddałbym ani jednej zmarszczki.

I, och, jakże zaskoczyło ją jej ciało! Chociaż dawno miało za sobą czas rodzenia, nie było już płodnym miejscem, gdzie mężczyzna mógł złożyć swe nasienie i patrzeć, jak wzrasta. Ale zdolne nadal do takiego bogactwa wrażeń, i odważne w wędrowaniu do nowych miejsc, próbowaniu nowych rzeczy.

Ale teraz, siedząc sama w swoim gabinecie, zastanawiała się, jak długo to potrwa, namiętność, wzajemne rozkoszowanie się swoimi ciałami. Zadrżała, jak gdyby nagle zerwał się zimny wiatr i wpadł przez otwarte okno. Kiedy nie będzie już tylko trochę powyżej wieku średniego, ale naprawdę wiekowa i słaba, czy Gabe będzie nadal ją kochał?

I co ze wszystkimi plotkarzami w mieście - ich spojrzeciami, mieleniem ozorami, pełnymi fałszu uwagami? Nie, żeby obchodziło ją to choć trochę! Ale Gabe, jak on by się czuł? Ile razy mężczyzna może nadstawiać drugi policzek?

A Sissy! Cordelia już słyszała ją awanturującą się, jak gdyby to ją osobiście dotknęło jakieś straszne nieszczęście. No tak, pomyślała Cordelia, Sissy rzeczywiście będzie musiała znosić chichoty i ludzi szepczących, że ona, na dodatek do swoich dwóch pozbawionych ojca chłopców, ma matkę, której rozsychają się klepki w głowie.

Jednakże Grace, córka, która, jak zawsze uważała Cordelia, nie rozumie jej ani w ząb, będzie prawdopodobnie jej najbardziej lojalną, jeśli nie jedyną rzeczniczką, gdyby miała poślubić Gabe'a. Grace aprobeuje go. Rozumie, że takie małżeństwo nie miałoby nic wspólnego ze zdobywaniem pieniędzy i brakiem piątej klepki. Ona zrozumie również, jeśli zdecyduje się nie wychodzić za Gabe'a. To Grace napisała w liście, który przysłała przed rokiem mniej więcej o tej porze, że małżeństwo jest dla niej czymś więcej niż partnerstwem dwojga ludzi. Wliczając dzieci, siostry, braci, rodziców, było ono jak korporacja.



Grace. Cordelia poczuła, jak plama światła, która wspinała się po wyblakłej tapecie w pierwiosnki, rzuca na nią swój ciepły blask. Odkryła, że zatapia się we wspomnieniach ze ślubu Grace w przedostatnie Boże Narodzenie. Poleciała na tę uroczystość wiedząc tylko, że będzie skromna, ale nie powiedziano jej, czego jeszcze ma się spodziewać... i, och, jakże było ślicznie! Nawet synagoga, którą Grace i Jack wybrali na tę ceremonię, wspaniała, stara budowla przy Lower East Side, w trakcie restaurowania, cała w przeciągach, trochę zniszczona, ale doskonałe tło dla jej wiecznie wierzgającej starszej córki. Nawet sukienka Grace w niczym nie była podobna do tego, czego można było oczekiwać, przynajmniej na tym kontynencie. Prosta, długa do kostek, połyskliwe turkusowa tuba z narzutką z leciusieńkiego jedwabiu, na którą materiał, zwierzyła jej się później Grace, został kupiony w sklepie z indyjskimi sari przy Lexington Avenue.

Nie było żadnych druhen, żadnego drużby. Tylko dzieci Grace i Jacka, zebrane wokół nich jak bukiet późnych róż, jakie kurczowo ścisnęła Grace. Cordelia uśmiechnęła się, przypominając sobie, jaki skrępowany wydawał się Chris w swoim garniturze i krawacie - a jednak wcale nie był niezadowolony z całej tej afery. Córka Jacka, Hanna, w ciemnozielonej aksamitnej sukience, z tymi swoimi cudownymi włosami upiętymi na czubku głowy, przypominała Cordelii pannę z dziewiętnastowiecznej powieści. I ten syn Jacka - wydawał się dość przystojny, by samemu być panem młodym, wyjąwszy fakt, że się nie uśmiechał. Czyż Grace jej nie mówiła, że z dwojga dzieci Jacka to Ben sprawia kłopoty? Coś o tym, że Ben chodzi do terapeuty i że Jack często, towarzyszy mu na tych spotkaniach? Jednak po czułości, z jaką Jack przytulił do siebie swoje dzieci na koniec ceremonii - po tym, jak pocałował Grace - widać było jasno, że kocha bardzo oboje.

Później, podczas małego przyjęcia na poddaszu Grace, garstka gości zebrała się, by patrzeć, jak Grace i Jack

tańczą pierwszy taniec. A potem Jack, gdy duet jazzowy zaczął *Tennessee Waltz*, wziął Hannę w ramiona. Widok ich dwojga, ojca i córki - Hanna w pewnej chwili śmiejąc się zrzuciła swoje pantofle z lakierowanej skóry i delikatnie oparła stopy w półńczochach na stopach Jacka, gdy on wirował z nią po podłodze - sprowadził łączy do oczu Cordelii. Gdyby tylko Gene dożył, by to zobaczyć! Grace, taką zachwyconą swoim nowym mężem, ścisłaną przez jego rodzinę. Uszczęśliwiłby go również widok Noli, sprawiającej wrażenie, że tu jest jej miejsce, gawędzącą bez skrępowania z przyjaciółmi Grace i kręcącą się po poddaszu ze swobodą częstego gościa. Chociaż Cordelia, ciągle niezbyt pewna, jak postępować wobec Noli, zachowywała rezerwę, jej spojrzenie często przyciągał widok Noli i Grace stojących razem, rozmawiających cicho lub śmiejących się z jakiegoś wspólnego żartu. Jak siostry, pomyślała Cordelia z ukłuciem bólu, żałując, że Sissy, kwaśna jak ocet, odrzuciła zaproszenie Grace.

Cordelia, wciągnięta w wir budowy biblioteki, nie widziała Grace od swojej wizyty w Nowym Jorku. Teraz, gdy ceremonia otwarcia odległa była o niewiele więcej niż tydzień, Grace przyjedzie z rodziną - ze swoją pierwszą od czterech lat wizytą do Blessing.

Cordelia kazała Necie przygotować dawny pokój Grace i pościelić rozkładane łóżko w graciarni dla Chrisa. Hanna mogła spać w pokoju Sissy, co prawdopodobnie rozjątrzy Sissy, która nadal żywiła lekką urazę za „wystawienie jej na mróz”, jak to nazwała, gdy matka nie pozwoliła jej wprowadzić się z powrotem. A niech tam! Cordelia pozwoliła sobie na uśmiezek, myśląc, że już najwyższy czas, by Sissy zdała sobie sprawę, że cały wszechświat nie kręci się wokół niej.

Poza tym Sissy przejdzie to. Wystarczy tylko popatrzeć, jakie postępy zrobiła od czasu swego rozwodu - wzięła tę płatną pracę jako pomoc nauczycielska w szkole podstawowej, a teraz prowadzi korekcyjny

program czytania dla swoich ubogich, głównie czarnych uczniów. Eugene, pomyślała, byłby dumny. I Sissy zrzuciła co najmniej cztery kilo. To na początek.

Cordelia, wyglądając znowu za okno, zobaczyła, że Gabe z drabiną zniknął; tylko schludnie zebrana sterta skrawków na trawie znaczyła jego pobyt. Uderzyło ją, że nie otrzymała jeszcze odpowiedzi Gabe'a. Czy on istotnie powiedział, że przyjdzie... czy też ona tylko to założyła?

Ale po tym, jak mu powie, że nie może zostać jego żoną, czy nadal będzie chciał przyjść?

On cię kocha. Ty kochasz jego.

Pomyśl o Genie, jak krótko byliście razem. Nie ma żadnych gwarancji, nigdy. Żyj dla chwili. To wszystko, co masz. Pomyśl, co stracisz...

Przestań być rozsądna - dla odmiany pójdz za głosem serca.

Wtedy jeszcze raz zobaczyła uporczywe spojrzenia i oziębłość, jakie ona i Gabe musieliby znosić na Shady Hill, gdzie zawsze było miejsce jej rodziny. Pomyślała o Lucindzie Parmenter, która wpadła przedwczoraj odebrać begonie, jakie Cordelia darowała na doroczną wyprzedaż klubu ogrodniczego i jak stara kwoka niemal zemdłała na widok Gabe'a, siedzącego o ósmej wieczorem przy kuchennym stole Cordelii w koszuli z krótkimi rękawami, pijącego piwo.

- Uważaj - szepnęła do Cordelii wychodząc. - Wiem, że zawsze chodziłaś swoimi ścieżkami, moja droga. Ale pamiętaj, że nie każdy będzie tak tolerancyjny jak ja, jeśli chodzi o twojego... przyjaciela.

Nie, to się nigdy nie uda. Czas zaaplikować sobie \*  
potężną dawkę realizmu.

Piknik, to było to. Wtedy mu powie.

Na dole Cordelia załadowała kosz z pokrywką i wyszła na poszukiwanie Gabe'a.

Znalazła go w tyle, koło szopy na narzędzia, czyszczącego i oliwiającego nożyce i piłę do przycinania, i sprzecząc się dobrodusznie z Hollisem o przewagę

gnoju nad nawozami sztucznymi. Zobaczyła, że koniuszki jego uszu i grzbiet haczykowatego nosa są opalone. Kto by pomyślał, że tak wczesnym latem będzie tak piekielnie gorąco? Naraz poczuła, że w lekkiej bawełnianej bluzce i gabardynowych spodniach zrobiło jej się o wiele za ciepło.

- Zapakowałam dla nas lunch - powiedziała, unosząc koszyk. - Zjedzmy w altanie, gdzie jest chłodniej.

Gabe oderwał wzrok od ostrza piły i rzucił jej szybkie pytające spojrzenie. Ale potem był tylko ten jego powolny, łagodny i mądry uśmiech i zamyślenie, z jakim skinął głową. Patrzyła, jak myje ręce pod węzłem ogrodowym kawałkiem mydła, które trzymał na niewielkim kamiennym występie nad kranem. Z kroplami wody, nadal błyszczącymi na dłoniach, wziął od niej kosz i ruszyli zwirowaną ścieżką.

Zatrzymując się przy białej okratowanej altanie, Cordelia poczuła ostre ukłucie na myśl o tym, co musi mu powiedzieć.

Och, gdyby tylko on tak tego nie utrudniał! Zobaczyła, że starł kurz i zeszkłe liście z ławki altany i zmiotł pajęczynę z okratowania. Jak gdyby wiedział, że ona zechce dziś tutaj przyjść.

Czuła, jak jej serce wypełnia udręka. Skazana była na kochanie człowieka, który nigdy całkiem nie stanie się częścią jej świata... człowieka zarazem inteligentnego i uprzejmego, który myślał o drobiazgach, takich jak rozłożenie na ławce jednej z kraciastych serwetek, jakie przyniosła.

- Dobra robota - wskazała wierzbę płaczącą, którą on przyciął wczesną wiosną i zauważyła, że zdołał ją poskromić, nie poświęcając niczego z jej naturalnego łuku.

Gabe przytaknął i podjął pałeczkę, którą ona mu podała. - Załatałem ją tak, że nie straci soków.

Cordelię niemal mdliło od tego, co musiała powiedzieć. Czy on już się domyślił? Musiał się domyślić, pomyślała. Jego słowa, które wydawały się znaczyć

więcej niż rzeczywiście powiedział, raniły ją przypominając, że jeśli uzna, że nie może za nie go wyjść, nie będzie drogi powrotnej do tego, co było przedtem.

- Pamiętam, kiedy sprowadziłyśmy się tutaj z powrotem, dziewczynki i ja, po tym, jak Gene... cóż, kiedy matka potrzebowała opieki. Grace miała prawie czternaście lat i jeszcze nie odkryła chłopców. Spędzała tutaj cały czas, zbierając kijanki i Bóg wie, co jeszcze. Przysięgam, że stale miała opuchnięte kostki od brodzenia w tej brudnej wodzie.

- Musisz być zdenerwowana jej powrotem po tak długim czasie.

Zabawne. Każdy inny zakładałby, że ona musi się cieszyć na wizytę Grace, albo może nawet bać się jej, ale Gabe znał ją zbyt dobrze.

- No cóż, tak - uśmiechnęła się do niego. - Trochę jestem. To prawda, że zaprosiła mnie na swój ślub, ale nie sądzę, żeby całkowicie przebaczyła mi to, że jestem jej matką.

- A ty nie wiesz, czy całkiem przebaczyłaś jej to, że nie jest córką, jakiej chciałaś?

- Być może. Ale uczę się, że nie wszystko powinno naginać się do mojego sposobu myślenia. Spójrz tylko na Sissy! Ona zawsze zgadzała się ze mną, z wyjątkiem ślubu z tym strasznym Beechem, i zobacz, dokąd ją to zaprowadziło.

- Przyjdzie do siebie. To, co robisz dla niej teraz, jest największym darem, jaki rodzic może dać swemu dorosłemu dziecku.

Dar? Sissy nie robiła nic innego, jak tylko jęczała i narzekała! Ależ połowa ludzi w Blessing chyba mówi, że ona podstawiała Sissy nogę. - Gabe, nie wiem, o czym mówisz - powiedziała, trochę rozdrażniona. - Nie zrobiłam dla mojej córki absolutnie niczego, odkąd Beech się wyprowadził, oprócz słuchania jej awantur.

- Tak, ale pozwalasz jej samej odkryć to, co musi zrobić. Pozwalasz jej dorosnąć.

Cordelia nie myślała o tym w ten sposób, ale naraz poczuła, że dano jej jakieś wytchnienie, a razem z nim całkiem nową perspektywę. - No cóż, może ja sama trochę dorosłam - przyznała. - Trochę to dziwne u kobiety w moim wieku... ale odkrywam, że rzeczy, jakich nigdy nie uważałabym za możliwe, zdarzają się jednak.

- Masz na myśli Nolę?

- Częściowo tak. Cały ten okropny szum, kiedy ukazała się książka Grace. Ale teraz... to jak jakiś cud, widzieć bibliotekę, którą ona zaprojektowała, całą zbudowaną, wielką jak życie. Niemal jak gdyby to był sam Eugene, który... - umilkła.

Gabe po prostu skinął głową, informując ją, że nie musi kończyć zdania. Rozumiał.

- Przysłała mi liścik razem z potwierdzeniem przyjęcia zaproszenia - powiedziała Cordelia. - Będzie na otwarciu, ale zapytała, czy przedtem mogłaby kiedyś wpaść. Zaprosiłam ją na herbatę.

Gabe uniósł brew, ale nic nie powiedział. Sprawilo jej przyjemność, że zdolna była go zaskoczyć.

Prawda była taka, że zaproszenie Noli Emory zaskoczyło także ją. Wciąż miała wobec niej takie mieszane uczucia! Przeważnie życzyła sobie, by młoda kobieta okazała się złym snem, by pewnego dnia po przebudzeniu okazało się, że Nola Emory nigdy nie istniała.

Więc dlaczego ją zaprosiła? Dobre maniery? Nie. Nola Emory bardziej niż ktokolwiek inny miała prawo być tutaj w dniu, kiedy biblioteka Eugene'a - i jej - zostanie otwarta.

- Ty i Gene bylibyście dobrymi przyjaciółmi - powiedziała Cordelia. Zawsze to wiedziała, oczywiście, ale rzadko mówiła z Gabe'em o Eugenie, szczególnie w sposób, który mógł stwarzać wrażenie, że ich porównuje.

- Jestem pewien, że tak - łagodnie odpowiedział Gabe.

Cordelia zapadła w milczenie, obserwując kardynała, jak przewija się między gałęziami w poszukiwaniu gałązek na gniazdo. Czuła się całkowicie swobodna,

a jednocześnie nagląco świadoma tego, co musi powiedzieć. - Czy ci mówiłam? Przyjedzie gubernator - powiedziała wesoło, rozpaczliwie pragnąc odroczyć nieuniknione. - Obiecał nam jakieś przemówienie, chociaż przysięgam, że jeśli powie choć słowo o tej nowej autostradzie, jaką próbuje tutaj zbudować, osobiście dopilnuję, żeby wytarzano go w smole i pierzu i wypędzono sztchetami z miasta.

Gabe zachichotał, ocierając podbródek serwetką. - Znam cię, Cordelio. Najgorsze, co zrobisz, to posadzisz go obok tej kobiety, która stoi na czele kółka parafialnego.

- Wilmadene Klempner? Litości, ona to dosyć, żeby wolał być wytarzany w smole i pierzu - uśmiechnęła się, skubiąc sucharek z szynką. - Ale to nie jest zły pomysł... Zastanawiam się, czy powinnam ją zaprosić? Niemal warto, tylko po to, żeby zobaczyć wyraz twarzy Lottie Parker.

- Taki wyraz twarzy, jaki miałyby, gdybyś pokazała się ze mną pod ramię? - za lekkością tonu Gabe'a kryło się subtelne wyzwanie i Cordelia poczuła, że nieruchomieje.

- Gabe...

Położył rękę na jej dłoni delikatnie, a zarazem z naciskiem. - Wiem, co masz zamiar powiedzieć, Cordelio. Widzę to w twojej twarzy. Proszę tylko, żebyś pomyślała o tym jeszcze. Nie dawaj mi odpowiedzi w tej chwili. Mogę zaczekać - uśmiechnął się, a ona była niemal zdruzgotana lśnieniem na pół uformowanych łez w jego oczach. - Cierpliwość jest sztuką nadziei, powiedział kiedyś mędrzec.

Cordelia miała wrażenie, że umrze sama, jeśli go zrani, a jednak wyrzuciła z siebie słowa: - Gabe, kocham cię, ale myślę, że nie mogę za ciebie wyjść.

- Jest różnica między myśleniem o czymś a absolutną pewnością.

- Unieszczęśliwiłabym cię tylko.

- Jesteś pewna, że o moje szczęście się troszczysz, Cordelio? - lekki chłód wkraść się do jego głosu.

- Już nie jestem młoda. A ty...

- Nie uważam starzenia się za przeszkodę. Dla żadnego z nas - uśmiechnął się. - Starzej się razem ze mną! Najlepsze jeszcze przed nami.

- Och, Gabe, cytowanie Browninga nie pomoże, kiedy będziesz musiał opiekować się zgrzybiałą staruszką. Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, sędzę, że wiem. - Kiedy spojrział na nią, jego twarz pełna była smutku.

Położyła rękę na jego ramieniu, pragnąc całym sercem, by jego siła, te mocne kości, rysujące się na grzbiecie jego dłoni, lekki ślad wybielonych słońcem włosów na jego przedramieniu, by to wszystko mogło być jej na zawsze, dla jej pociechy.

W tej chwili Gabe pociągnął ją w ramiona i pocałował. Usta miał miękkie, poszukujące. Otaczał ją swoim zapachem - zapachem zieleni i nowego początku. Bardziej niż czegokolwiek chciała, by ten pocałunek trwał i trwał, by jego ramiona nigdy jej nie puściły.

Ale w najciemniejszym zakamarku serca nie mogła nie zastanawiać się, czy ich miłość, jak delikatny kwiat, chroniony przez wysoki żywopłot, przeżyje, jeśli zostanie wystawiona na srogie żywioły.

Jesteś głupia, Cordelio Truscott, szepnął głos, który rozpoznała teraz jako głos młodej, naiwnej dziewczyny, z którą kiedyś Eugene, przyjechawszy do Blessing, by oznajmić ich zaręczyny, kochał się w tej oto altanie.

Gabe, odsuwając się i przyciskając lekko palec do jej ust, potrząsnął głową, jak gdyby chciał uciszyć to, co ona miała zamiar powiedzieć. W tej chwili nie była pewna, co to takiego, ponieważ serce tak jej łomotało, że przesłoniło szumem wszystkie myśli i kazało zastanawiać się, czy może rzeczywiście rozsychają jej się klepki w głowie.

- Zaczekaj - powiedział. - Kilka dni, kilka tygodni. Czy dasz nam tyle czasu?

To „nam” kazało jej się zdecydować. Jak mogła powiedzieć „nie” człowiekowi, który rozumiał, że gdyby powiedziała „żegnaj”, zraniłaby siebie tak samo, a może nawet bardziej, niż jego?



Nola miała przesiadkę w Charlotte, z dwudziestominutową przerwą w podróży, która przeciągnęła się do półtorej godziny. Podczas lotu do Macon natrafiła na „USA Today”, gdzie zaprezentowano półstronicową fotografię świeżo ukończonej Biblioteki Truscotta. Gdy przeglądała artykuł, wpadł jej w oczy akapit o firmie Maguire, Chang i Foster.

To mnie powinien przypaść ten zaszczyt, myślała teraz, wyjeżdżając z lotniska wynajętym samochodem. Moje nazwisko powinno znajdować się w tym artykule i na mosiężnej tablicy przy wejściu.

Ale wtedy przypomniała sobie, że gdyby jej nazwisko tam się znajdowało, biblioteka nigdy nie zostałaaby zbudowana. I nadal to jest jej projekt, nawet jeśli tylko kilkoro ludzi o tym wie.

W każdym razie wszystko się udało. Dziesięć tysięcy dolarów, które dostała na odchodne z firmy, plus piętnaście, jakie zainwestował Maguire, pozwoliły jej bez problemów zacząć pracę we własnym biurze.

Teraz, po ponad dwóch latach, nadal z trudem wiązała koniec z końcem. Ale zaczynało się poprawiać. Ledwie w zeszłym miesiącu dostało jej się zamówienie na bank w Greenwich i dwie renowacje mieszkań. A także przyłączył się do niej jej dawny rywal, Randy Craig, który zdobył dla nich pasaż i elegancki dom letniskowy pod dachówkami w East Hampton.

Więc dlaczego jest tutaj zamiast w domu, w Nowym Jorku, nad deską kreślarską, gdzie jest jej miejsce?

Muszę to zobaczyć, tylko jeden raz. Nawet jeśli na tej ceremonii będę jedyną, oprócz Cordelii Truscott, która wie...

Teraz, pędząc na wschód międzystanową numer 16, Nola była pewna, że odbywa idiotyczną misję. Czego spodziewała się po Cordelii, kiedy do niej dotrze? Powitania z czerwonym chodnikiem?

Napisała Cordelii, że powinna przyjechać około piątej,

i już jest spóźniona, mając przed sobą ponad godzinę drogi. Cordelia będzie gotowa do kolacji, nie do herbaty. Czy powinna zatrzymać się gdzieś i zadzwonić?

Nola zdecydowała się jechać dalej. Albo Cordelia tak czy owak zgodzi się z nią zobaczyć, albo spóźnienie Noli dostarczy jej wymówki, by się wycofać.

Dotarła do Blessing krótko przed zachodem słońca, kiedy cienie, które chowały się przed upałem, zaczęły wpełzać spod domów, zaparkowanych samochodów i ogromnych, starych, czerwonych buków wzdłuż Ambrose Avenue.

Skręciła w Main Street, hamując, by stary łąciaty pies mógł spokojnie przejść przez skrzyżowanie. Choć nie potrzebowała już okularów słonecznych ze względu na oślepiające światło, nie zdjęła ich. Nie chciała zbyt dokładnie przyglądać się wszystkim zmianom, jakie zaszły, odkąd była tutaj ostatni raz. Jak dawno temu to było? W roku, kiedy ukończyła studia w Uniwersytecie Massachussets. Była z wizytą u swojej przyjaciółki Alice Blackburn w Atlancie i dla fanaberii pojechała autobusem do Blessing zobaczyć dom, gdzie mieszkała wdowa po jej ojcu.

Dom Truscottów był ostatni po lewej stronie drogi, na zboczach wzgórz, rzeczywiście piękny przykład stylu królowej Anny, z wielką werandą wokół, wieżyczką krytą gontami w kształcie rybiej łuski i oknami wokół, w których odbite światło słoneczne lśniło jak cenne rubiny. Dokładnie taki, jakim go pamiętała.

Nola, z gardłem tak suchym, że mogłaby przełknąć łyżkę kurzu i nawet tego nie zauważyć, zaparkowała przy krawężniku i wyszła w gęsty upał. Natychmiast zaczęła ociekać potem.

Przejście przez ganek, długi i głęboki jak wiejska droga, którego półmrok ciężki był od słodczy kapryfolium, pnącego się po wrzecionowatej balustradzie. Teraz dzwonek - stary, z białej porcelany. Nacisnęła go, usłyszała jego tryl głęboko w środku i pomyślała: To nie moje miejsce. Mogła zadzwonić z lotniska,

kiedy jej samolot wylądował z takim opóźnieniem i wtedy przeprosić.

Na ganku rozbłysło światło i w drzwiach pojawiła się mocno zbudowana czarna kobieta, ubrana w kwiecistą sukienkę i buty na grubych podszewkach. Zerknęła podejrzliwie na Nolę, ale zanim mogła ją odprawić, w karbowanym szkle bocznej lampy mignęła różowawa plama i lekki głos zawołał: - Ależ to Nola Emory! A ja już prawie dałam za wygraną.

- Samolot był opóźniony - przeprosiła. - Przyszłam za późno?

- Nie, oczywiście, że nie. Proszę wejść. Każę Necie nastawić wodę na herbatę. Chyba że wolałaby pani kieliszek sherry? Albo może trochę mojego... Gabriela... domowej nalewki z mniszka?

Och, co za uprzejmość. Jak gdyby Nola była drogim gościem, umiłowaną przyjaciółką, wpadającą z zaległą wizytą.

Pani Truscott nawet wyglądała jak doskonała gospodyni, ubrana w pastelową, wzorzystą sukienkę z lekko przymarszczonym dekoltem, włosami błyszczącymi jak dziedziczne srebro. Z paznokciami, pomalowanymi na ładny koralowy róż. Dwoje kobaltowych oczu studiowało Nolę uważnie, nie sprawiając wrażenia, że się wpatruje.

- Nalewka z mniszka? Z przyjemnością - odpowiedziała Nola, gdy wprowadzano ją do środka.

- Może wejdziemy do salonu? Tam jest nieco chłodniej. Obawiam się, że ta moja stara wentylacja już ledwo dyszy. Ale po prostu nie mogę znieść myśli, że mieliby tu przyjść i rozpruć wszystko. Zdziwiający, ile można znieść, jeśli człowiek musi.

- Zdziwiający - odpowiedziała jak echo Nola.

Rozejrzała się wokół siebie. Ozdobny marmurowy kominek, rzeźbiony w rozety, i połączane lustro nad nim, ciężkie fiolkowe zasłony i olejne portrety przodków na ścianach. Steinway. Czy Cordelia także gra?

Nola zapadła w szeroką otomanę na szponiastych łapach. Jej ciemnozielony aksamit wytarty był do gład-

kości szkła. - Tworzymy sobie w głowie obraz, jak coś powinno wyglądać, i na ogół jesteśmy rozczarowani - powiedziała, zerkając w górę na żyrandol Waterforda, mrugający nad głową jak odległa galaktyka w teleskopie. - Ale tu... jest właśnie tak, jak sobie wyobrażałam. Tu jest ślicznie.

- Cieszę się, że pani przyszła - Cordelia mówiła miękko, niemal sennie, chociaż jej oczy pozostawały utkwione w Noli z czujnością, która wprawiała ją w zdenerwowanie. - Biblioteka... jest tak piękna, jak obie to wiedziałyśmy przed jej zbudowaniem.

Nola poczuła, że robi jej się ciepło, zanim przypomniała sobie, że przeważnie była usuwana z życia swego taty... a teraz zostanie obrabowana z zaszczytu, jaki również jej się należał.

Sama tego chciałam, przypomniała sobie, zanim zimno znów zaczęło rozchodzić się po niej jak gorzki sok trującej rośliny. Nie mogę mieć tego za złe Cordelii.

Była, i zawsze będzie, bękartem swego ojca. Och, do diabła, po co tu przyszła? Czego się spodziewała? Z pewnością nie cieplej przyjaźni, jaką darzy ją Grace.

Może ostatecznie wszystko, czego chciała, to odpowiedź na pytanie, które prześladowało ją przez całe życie: Dlaczego, tatusiu? Dlaczego ta kobieta, a nie mama?

Myśli Noli przerwała Netta, niosąc ciężką, rzeźbioną srebrną tacę z dwoma smukłymi kieliszkami do likieru i zieloną butelką bez etykiety.

- Ja naleję, Netto - powiedziała jej Cordelia. - Ty już idź. Zajmę się także kolacją.

Kiedy znów zostały same, Cordelia nalała trochę , bladobursztynowej nalewki do obu kieliszków. - Wie pani, on robi ją sam. Nie tylko nalewkę. Wino z malin, czarnego bzu, jabłek, gruszek. Powinna pani zobaczyć jego piwnicę. Z latami stała się prawdziwą piwnicą win.

Nola sączyła nalewkę. Pyszna. Jak magiczna baśniowa ambrozja. - Czuję się niemal jak w *Arszeniku i starych koronkach* - powiedziała głosem, wydającym się dochodzić z daleka. - Wie pani, gdzie te zbzikowane stare

damy zwabiają swoje ofiary do salonu zatrutym winem z czarnego bzu, a potem grzebią je w piwnicy.

Cordelia zaśmiała się cicho, srebrzyście. - Nie jest zatruta, zapewniam panią.

- Wiem - Nola, trzeźwiejąc, wpatrzyła się w nią.  
- Domyślam się, że dla pani ja już jestem jak martwa i pogrzebana. Chcę powiedzieć, że teraz, kiedy szum wywołany książką Grace prawie ucichł, a biblioteka została zbudowana, nie musi się już pani martwić, że zniszczę pani życie.

Cordelia zacisnęła usta. - Nie widzę żadnego sensu...

- Proszę, czy nie możemy być przynajmniej szczerze wobec siebie? - Nola mówiła obojętnym tonem, ale uwagi Cordelii nie uszło napięcie, jakie nagle powstało między nimi. - Cała ta rozmowa o bibliotece, o moim cennym projekcie... ale ja wiem, że musi mi pani mieć cholernie za złe. Inaczej, dlaczego ciągle utrzymywałyby pani moje, nazwisko jak najdalej od wszelkiego związku z nią?

- Jeśli dobrze pamiętam, to pani zasugerowała, by utrzymać je w sekrecie - cierpko odpowiedziała Cordelia.

- To było wtedy, kiedy miało to znaczenie, kiedy powiedzenie przeze mnie czegoś mogło uniemożliwić budowę biblioteki.

- Czy mówi pani, że zamierza wycofać się z naszej umowy? - Cordelia wydawała się zaniepokojona.

- Nie - Nola rozluźniła się, a jej nagły gniew się rozpułynał. - Pani dotrzymała swojej części umowy... więc ja dotrzymam swojej. Nie przyszłam tutaj stwarzać kłopotów, proszę mi wierzyć.

- Z tego, co słyszę, poradziła sobie pani nie najgorzej.

- Oczy Cordelii wydawały się czujniejsze i jeszcze bardziej niebieskie, jak szafiry na tle aksamitnej wyściółki.

- Czy pani nowa firma dobrze się rozwija?

- Na tyle dobrze, żebym jesienią zaczęła posyłać moje dziewczynki do dobrej szkoły - wyprostowała się nieco, czując się teraz lepiej. - Zaprojektowałam nowy aneks dla Broadwell, a oni obniżyli mi czesne.

- Pani wpadła na pomysł barteru... czy oni?

Nola uśmiechnęła się. - Trochę popchnęłam ich w tym kierunku.

- Wyobrażam sobie - mała kobieta, siedząca przed Nola, zaśmiała się srebrzyście. - Przypomina mi pani... - zamilkła.

W końcu Cordelia przerwała ciszę.

- Mam zdjęcie, jakie zrobił Eugene, zdjęcie muzeum pod Kopenhagą, które zwiedziliśmy ostatnim razem, kiedy byliśmy w Europie. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek zbuduje dom swoich marzeń, będzie on wyglądał jak ten - Cordelia nie patrzyła na Nolę, tylko w jakiś punkt nad jej głową. Jej oczy zdawały się połyskiwać, ale może było to tylko światło żyrandola, lśniące na jej twarzy o delikatnych kościach.

- Muzeum Sztuki Współczesnej w Louisianie - powiedziała Nola, uśmiechając się na myśl, że i w Danii jest Louisiana. - Architektem był Jorgen Bo. To muzeum, które zawsze chciałam zobaczyć.

- Jest doprawdy cudowne... mam nadzieję, że pewnego dnia zdoła pani je zobaczyć. Ponieważ to o nim pomyślałam, kiedy zobaczyłam pani projekt. Nie o samej

\* Louisianie, proszę zauważyć, ale o jej duchu. Myślę, że zobaczy to pani jutro, kiedy odwiedzi pani naszą bibliotekę.

Naszą. Zdawało się, że to słowo zawisło w powietrzu między nimi.

- Powinam już pójść - powiedziała Nola. - Robi się późno. I powinam zameldować się w hotelu.

Podniosła się niezgrabnie, z wrażeniem, że otomana, orientalny dywan, a nawet same ściany działają na nią własną siłą przyciągania.

A potem coś rzeczywiście ją przycisnęło, ręka mała i miękka jak skrzydło ćmy, jednak zadziwiająco silna.

- Proszę nie odchodzić - powiedziała Cordelia i po raz pierwszy jej uśmiech był szczery, oświetlał jej twarz takim żarem, jaki Nola w całym swoim życiu widziała u jednej tylko osoby: u swego ojca.

Poczuła ucisk w gardle a potem ostre szczypanie pod powiekami.

- Jest ktoś, kogo bardzo chciałabym z panią poznać - ciągnęła Cordelia. - Mój drogi przyjaciel, o którym mówiłam wcześniej, Gabe Ross - podniosła kieliszek nalewki, jak gdyby wznosząc toast. - Powinien być lada chwila. Wiem, że on także bardzo chciałby panią poznać. Zostanie pani na kolacji, prawda?

## O

- Hanno, tak się cieszę, że mogłaś przyjechać - Cordelia wyciągnęła rękę i była pod wrażeniem energii, z jaką Hanna ją przyjęła. Wcale nie tak, jak mogłaby oczekiwać po sposobie, w jaki Hanna była ubrana, jak jedna z tych hipisowskich śpiewaczek muzyki folkowej, w których Grace była zakochana w tym wieku - dzinsy i workowata góra z czarnej bawełny, długie, ciemne włosy, obramowujące jej szczupłą, bladą twarz.

- Nie mogli znaleźć opiekunki do dziecka.

Przez chwilę, oszukana brakiem wszelkiego wyrazu na twarzy Hanny, Cordelia czuła się wzburzona, ale potem uświadomiła sobie, że to taki żart Hanny i roześmiała się. Grace, stojąca obok niej, również się roześmiała i dała Hannie żartobliwego kuksańca.

Lody zostały przełamane.

Kiedy gromadą weszli w jej frontowe drzwi, Hanna i Chris, a za nimi Grace i Jack, Cordelia miała uczucie, że okaże się to łatwiejsze niż się obawiała.

Chris miał już szesnaście lat i był wyższy niż ostatniego lata. Przytył też trochę... ale ona modliła się, by przywiózł na jutrzejszą uroczystość coś innego do ubrania niż szorty i podkoszulek, w których paradował. Odrzucając wprawnym ruchem głowy swoje jedwabiste, brązowe włosy z oczu, wyciągnął do niej rękę, kracząc ostatnio nabytym barytonem: - Przybij piątkę, babciu.

Grace wyglądała, jak gdyby również trochę przytyła. Nie tak, jak przedtem Sissy; była w niej zaledwie jakaś nowa miękkość, ostre kości w jej twarzy nie wydawały się tak widoczne, a figura sowizdrzała była odrobinę bardziej zaokrąglona. I czy naprawdę Grace ma na sobie sukienkę? Cordelia od tak dawna nie widziała jej w niczym więcej jak dzinsach i czasami w strojnych spodniach, że ledwie wierzyła własnym oczom.

Pocałowała Grace w policzek i poczuła... zielone jabłko. Grace musiała umyć włosy jednym z tych eleganckich szamponów, jakie zostały dostarczone w ozdobionym wstążkami koszu z kosmetykami. Taki prezent wysłała Cordelia, kiedy się wprowadzali do nowego mieszkania. Poczuła się wzruszona i pozwoliła sobie na luksus pogładzenia córki po włosach.

- Jak wam minął lot? - zapytała.

- Nieźle. Czekaliśmy jakieś pół godziny w Charlotte, ale potem poszło gładko.

- Powinniście byli pozwolić mi powitać was na lotnisku.

- O Boże, mam, nie... Czy widzisz wszystkich nas, wciskających się do twojego starego buicka, z górą naszych bagaży, i siedzących tobie i Hollisowi na głowie? Wynajęliśmy na lotnisku furgonetkę. W ten sposób mogłam objechać miasto i urządzić Hannie i Jackowi wycieczkę za dziesięć dolarów.

- Nie pozwól jej się oszukać, ona po prostu lubi nad wszystkim panować - zaśmiał się Jack, ściskając talie żony. - Grace za kierownicą, a my wszyscy z tyłu.

Cordelia stanęła na palcach, gdy się pochylił z, wydawało się, niemożliwej wysokości, by pocałować ją w policzek.

- No cóż, wchodźcie, wchodźcie - zaćwierkała, czując się dziwnie wesoła, gdy wprowadzała Grace i Jacka do oświetlonego słońcem frontowego pokoju, podczas gdy Chris ruszył na górę z Hanną, by pokazać jej resztę domu. - Każę Necie przynieść dzbanek mrożonej herbaty. Mam nadzieję, że jesteście głodni, że nie zmuszano



was do jedzenia tych okropieństw w samolocie. Zjemy wczesną kolację, pieczone kurczę i tłuczone ziemniaki.

- Tak, mam, zamaskowany rewolwerowiec przystawił mi rugera do głowy i powiedział: „albo zjesz to papu, albo umrzesz”. - Grace zrzuciła pantofle na wysokich obcasach i rozciągnęła się na perkalowej sofie pod wykuszowym oknem, dokładnie tak, jak to robiła, odkąd skończyła czternaście lat.

- Niezdrowa żywność to nic śmiesznego - prychnęła Cordelia, ale nie mogła nie poddać się uśmiechowi, błakającemu jej się na ustach.

- Przyłączam się - powiedział Jack. - Od Charlotte słyszałem tylko, jak Netta utuczy nas wszystkich. Jak gdyby jeszcze tego mi było trzeba - poklepał się po brzuchu.

- Tatusiu! Musisz przyjść to zobaczyć! - w drzwiach ukazała się rozpalona twarz Hanny. - Prawdziwa wieżyczka, z krętymi schodami i tak dalej, po prostu jak z *Wichrowych wzgórz!*

Jack, który zmierzał na powrót przed dom, by wnieść bagaże, pozwolił się odciągnąć na schody.

Cordelia była teraz sama z córką, po raz pierwszy od jej ślubu. Grace ciągle mówiła, że przyjedzie, ale potem zawsze coś jej wypadało i nie mogła się wyrwać, Wysłała więc Chrisa samego, zawsze radość dla Cordelii, ale nie całkiem to samo, co oni wszyscy zebrani razem.

Tyle chciała powiedzieć Grace, jak bardzo za nią tęskniła, i jak szczęśliwa jest z powodu niej i Jacka... ale naraz poczuła się dziwnie niezręczna i nawet trochę onieśmielona.

- Sissy przeprasza, że nie mogła być tutaj - powiedziała Cordelia. - Chłopcy mieli trening i wypadła jej kolej na nadzorowanie. Chociaż będzie na kolacji i kazała ci powiedzieć, że zrobi twoją ulubioną sałatkę owocową „Ambrozja”.

- Moją ulubioną? - zaśmiała się Grace. - Nie wydaje mi się, żebym tknęła coś takiego, odkąd skończyłam dziesięć lat. Prawdopodobnie dostanę zawału od całego tego cukru.

- No cóż, znasz swoją siostrę. Ma tendencję czepiania się rzeczy znajomych. A tak długo cię nie było...

Grace zachichotała, zakrywając ręką usta. - Och, mammo! Nigdy nie myślałam, że to powiem... ale naprawdę się cieszę, że tu jestem. Jest tak, jak pamiętam, kiedy odwiedzałyśmy babcię, gdy ja byłam dzieckiem, zanim...  
- umilkła.

- Zanim zaczęły się wszystkie te kłopoty między tobą i mną. Czy nie to chciałaś powiedzieć? - dokończyła Cordelia.

Grace wpatrywała się w nią. - Zmieniłaś się, mammo.

- Cóż, przestałam farbować włosy. Zaczęły się robić śmiesznie fioletowe, takie, jakie widuje się u starych kobiet, więc pozostawiłam je naturalne - dotknęła końców swego srebrzystego pazia, który zawijał się tuż pod jej podbródkiem.

- Wyglądasz absolutnie pięknie. I doskonale wiesz, że nie to miałam na myśli - Grace opuściła stopę na dół. Pochylając się do przodu, z łokciami na kolanach, najzupełniej nie jak dama, dodała: - Chciałam powiedzieć, że jesteś o wiele bardziej rozluźniona... bardziej bezpośrednia. Czy może to mieć coś wspólnego z pewnym mężczyzną w twoim życiu? - oczy jej błysnęły.

- Cóż, jeśli bezpośredniość jest chorobą, to na pewno zaraźliwą - Cordelia poczuła, że się rumieni. - A jeśli już musisz wiedzieć, to nie jest poważne.

- Co? Choroba czy Gabe Ross?

- Naśmiewasz się teraz ze mnie.

- Och, mammo, nie naśmiewam się z ciebie. Byłabym zachwycona, gdybyś w połowie była tak szczęśliwa z panem Rossem, jak ja jestem w małżeństwie z Jackiem. I z tego, co wiem, wygląda to dość poważnie.

- Chcesz powiedzieć, z moich listów? - Cordelia była zaskoczona. Myślała, że była taka dyskretna, wspominając o Gabie tylko od czasu do czasu, robiąc uwagi o jego pracy w ogrodzie albo o jakichś innowacjach w jego programie dla nastolatków w szpitalu.

- Jestem dobra w czytaniu między wierszami - powiedziała Grace.

- Poprosił mnie, żebym wyszła za niego za męża - Cordelia z głębokim westchnieniem oparła się o miękkie pluszowe poduszki fotela w kolorze burgunda, ulubionego fotela Eugene'a.

- To cudownie!

- Nie. Ponieważ powiem mu „nie”.

- Ale jeszcze go nie odrzuciłaś?

- Nie, ale...

- Och, mam, o co chodzi? - Grace skoczyła na równe nogi, wyrzucając ręce w górę. - Czy on dłubie w zębach po kolacji? Zostawia drzwi łazienki otwarte, kiedy bierze prysznic? Nosi granatowe skarpetki do brązowych butów?

Cordelia poczuła ukłucie irytacji. - Nie ma potrzeby, byś była ze mną nieoględna, młoda damo... - umilkła, jak gdyby natrafiła na pasmo radiowe i usłyszała dawną siebie, zupełnie niczym kobiety z okropnych programów, które waląc Biblią o stół, zmuszają grzeszników, by przyszli do Jezusa. - Och, Grace, nie chodzi o nic takiego. Cóż, sądzę, że chodzi, ale w inny sposób. Po prostu nie widzę nas dwojga... chcę powiedzieć, że w niczym nie jesteśmy podobni.

- O Boże, dokładnie to samo mówiłam o Jacku. I popatrz, dokąd nas to doprowadziło. Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

- Nie chodzi o to, że jesteśmy różni - perswadowała Cordelia. - Chodzi o to... że poruszamy się w tak różnych kręgach.

- Chcesz powiedzieć, że Blessing nie zaaprobowałoby twojego małżeństwa z Gabe'em Rossem?

- Nie obchodzi mnie, co kto myśli, ale nie możemy się odgrodzić. Jakie byłoby moje życie bez moich starych przyjaciół?

- Twoi prawdziwi przyjaciele chcieliby, żebyś była szczęśliwa. A poza tym, Gabe Ross nie jest jedynym tutaj, który wystaje jak skaleczony kciuk. Czy nie

sądzisz, że czas, żebyś uznała, jaką ty jesteś niezwykłą kobietą? Kto z twoich przyjaciół dokonał połowy tego co ty? Po prostu myśl o wszystkich tych ciosach w plecy i płótkach, jakie powstaną o twoim małżeństwie z Gabe'em jak o jeszcze jednej górze, na którą musisz się wspiąć.

Cordelia, zaskoczona pochwałą Grace, zdumiała samą siebie, przyznając: - Poza twoim ojcem, on jest jedynym mężczyzną, który widzi rzeczy takimi, jakie naprawdę są. Ale z Gabe'em chodzi nie tylko... o rzeczy wielkie. On rozumie także drobiazgi. I on... nigdy by mnie nie okłamał. Jakimś sposobem wiem to, tak jak wiem, że Sissy będzie nam wpychać w gardła tę okropną sałatkę „Ambrozja” aż do nadejścia królestwa niebieskiego - zaśmiała się krótko, czując się niebezpiecznie bliska łez.

- Więc wyjdź za niego, na litość boską!

Cordelia milczała przez chwilę. Patrzyła, jak Grace wstaje i niespokojnie krąży wokół. Miała ochotę wykrzyknąć: Przestań! Przestań kłaść moje życie pod mikroskop... i bądźmy znów rodziną, jaką byliśmy kiedyś. Ale jaką rodziną naprawdę byli? Taką, jak na tym zdjęciu migawkowym jej i Gene'a, mrużących oczy do aparatu fotograficznego, każde z nich z ramieniem wokół opalonych ramion małej dziewczynki z mysimi warcokczykami, zrobionym tamtego lata, kiedy wynajęli dom nad jeziorem Kinawasha? Z zażenowaniem utrzymując pozę, która nigdy nie była prawdziwa. Pozę rodziny, która bardziej była jej pancerną ideą rodziny niż czymkolwiek innym.

Przed oczyma zobaczyła mrok. Czuła się bardziej zdezorientowana co do Gabe'a niż przedtem, ale w tej chwili bardziej niż czegokolwiek chciała widzieć swoje życie takim, jakim wyraźnie widziała je Grace, z jego osiągnięciami i obietnicą, jaką jeszcze niosło.

- Pomyślę o tym - powiedziała miękko.

Ten dzień to dar niebios, pomyślała Cordelia, wchodząc po stopniach platformy, która została wzniesiona przed biblioteką. Zatrzymując się na brzegu podium, rozejrzała się po tłumie, zebranych na uroczystość i poczuła, jak serce jej rośnie. Och, gdyby tylko Gene był tutaj!

Ale on w pewnym sensie był tutaj. Spojrzenie Cordelii powędrowało ku strzelistej fasadzie biblioteki z jej rzędem ułożonych naprzemiennie, wysokich na piętro okien, pochylonymi wnękami i łagodnie opadającym łupkowym dachem. Kilkaset stóp dalej, osłonięte majestatycznymi angielskimi dębami, ceglano-kamienne gotyckie budynki uniwersytetu Latham wydawały się niemal pochylać w hołdzie.

Podziwiała ten cud - nie tylko to, jaka okazała się biblioteka, ale to, że w ogóle została zbudowana.

Niewielkie dzięki dla Dana Killiana, stojącego tam, gdzie między słupkami cedrowego ogrodzenia rozciągnięto złotą wstążkę, ściskającego rękę każdemu, kto był kimś, jak wygłaszający przedwyborcze przemówienia polityk. I stary Cyrus Gledding, przewodniczący zarządu Latham, z którym musiała walczyć zębami i pazurami o każde niemal kosztowne cięcie, jakiego chciał dokonać - a teraz popatrzcie na niego, z ramieniem wokół Norwoda Price'a, prezesa Latham, pozującego dla tego fotografa z „Newsweeka”, całego napuszonego, jak gdyby nie tylko wspierał ją, ale zbudował bibliotekę własnymi rękoma.

Chociaż, jakie to ma teraz znaczenie? Ona stała tutaj, prawdziwa... a teraz wyglądało na to, że cały kraj przyszedł świętować. Na jednym ze składanych krzeseł, ustawionych na podium pod płócienną markizą siedziała Coretta King, wyprostowana i królewska w szmaragdowym kostiumie i czarnym kapeluszu. Obok niej gubernator - on przemówi pierwszy, po jej krótkim wprowadzeniu. Potem senator Wirth. I Dexter Hathaway, pastor największego w Blessing kościoła baptystów.

A jednak wszyscy ci ludzie - musiało ich być tysiąc albo więcej - obserwowali ją, czekając, by usłyszeć, co powie o swoim wspaniałym, odważnym, ukochanym... i niewiernym mężu. Ekipy telewizyjne z wozami transmisyjnymi, stara gwardia Blessing, która stawiała się jak jeden mąż. Jej córki i ich dzieci. Nola Emory, pogrążona w rozmowie z Edem Karimianem, generalnym konstruktorem, z którym ona, Cordelia, kłóciła się przez większą część ostatnich osiemnastu miesięcy. I orkiestra marszowa szkoły średniej imienia Eugene'a Truscotta z pobliskiego Macon w swoich szkarłatno-złotyach uniformach, tak młoda, świeża i chętna, że nadrabiała wigorem brak muzykalności.

I Gabe.

Stał na uboczu, na pół zasłonięty przez jedną z płaczących wiśni i oskrzydłony ścieżką, wijącą się w górę do sklepionego wejścia do biblioteki.

Zobaczył, że patrzy na niego i skinął głową, wyraźnie nie chcąc ściągać na siebie uwagi.

Teraz, gdy Cordelia wkraczała na środek platformy pod czystym, letnim niebem, a łagodny wiatr nawiewał pasma siwych włosów na jej policzki, wiedziała, że coś więcej niż triumf kazało walić jej sercu i wysuszało gardło.

Zdecydowała, że przemówienie, które napisała, wcale nie jest tym, które chce wygłosić. Wsunęła pracowicie zapisane fiszki do kieszeni i podeszła do mikrofonu.

Bała się, że będzie musiała zmagać się, by znaleźć właściwe słowa... ale kiedy otworzyła usta, całkiem nieoczekiwanie one już były, wypisane w jej sercu, gdzie może były zawsze.

- Wydaje mi się, że mego męża nie trzeba przedstawiać, ale chciałabym powiedzieć kilka słów o tym, co dziś sprowadziło nas wszystkich tutaj - zaczęła, słysząc swój głos, wracający do niej zwielokrotnionym echem. - Zaczęłam kilka lat temu, chcąc wzniesić pomnik człowiekowi, który popierał wszystko, co dobre w naszym kraju. Równość, prawo każdej istoty ludzkiej

do tego, by powstać i zostać wysłuchaną. Ale gdzieś po drodze odkryłam, że nie robię tego tylko dla mego męża... - Umilkła, słysząc teraz tylko dzwoniącą ciszę i szum wiatru w drzewach. Jakimś sposobem w tej chwili czuła się bliżej kochanego Gene'a niż w latach ich małżeństwa.

- Myślę, że musiałam udowodnić samej sobie - ciągnęła - iż człowiek, którego tak ceniłam, był bez zarzutu pod każdym względem. W obliczu moich wątpliwości czepiałam się tej wiary... posuwając się nawet tak daleko, że potępiałam tych, którzy próbowali mi powiedzieć coś przeciwnego. Widzicie, bałam się. Odkrycia, że wszystko, w co wierzyłam, było kłamstwem. Potem, pewnego dnia, zdałam sobie sprawę, że wnoszę nie pomnik, a... więzienie.

Było tak, jak gdyby to nie ona mówiła, a ktoś czytał na głos znajomy urywek z jakiejś starej książki. Nie przeciwiczone słowa wypływały z niej, jak wypowiedane wiele razy przedtem. Zobaczyła przed sobą ocean twarzy, zastygłych w absolutnym bezruchu. Było niemal strasznie cicho - jedyne dźwięki to uparte furczenie kamer i mruczenie wiatru. Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej. - Wiem teraz, że tylko gdy otwieramy nasze serca, możemy prawdziwie upamiętnić naszych wielkich ludzi, nasze ideały. Ponieważ nauczyłam się, że ludzkie serce jest przede wszystkim narządem przebaczenia. I że prawdziwe zrozumienie płynie tylko z tego, iż pozwalamy tym, których cenimy i którzy są nam drodzy, być ludzkimi. Mam nadzieję, że o tym będziecie myśleć, patrząc na ten pomnik, zbudowany dla imienia mego męża... - uśmiechnęła się, czekając, aż ucisk w jej gardle ustąpi - ...i zaprojektowany przez jego córkę, Nolę Emory Truscott, której wkład chciałabym uznać w tym ważnym dniu.

Zbiorowe sapnięcie tłumu było jak wzbierająca ku niej oceaniczna fala. Dostrzegła przelotnie twarz Noli, wstrząśniętą, potem wydającą się jaśniej dumną radością, unoszącą się z niej jak fale żaru z wysuszonej ziemi.

Cordelia cofnęła się o krok od mikrofonu, czując przerażenie, zmieszane z ulgą. Czy ona naprawdę powiedziała to wszystko? Jednocześnie czuła i słyszała oklaski, które zaczęły się nisko przy ziemi, a potem zdawały się wzmacniać, unosząc ją jak bijące skrzydła stu tysięcy orłów.

Zobaczyła, jak gdyby z zawrotnej wysokości, twarz Grace, lśniąca od łez... a obok niej Sissy, z wyrazem niejasnego zdumienia, jak gdyby nie całkiem pewną, czy powinna być zadowolona, czy zgorszona.

Ale Nola pojęła to wszystko... i jeśli dwie istoty ludzkie, które niegdyś połączyła gorycz i niechęć, mogły kiedykolwiek się pogodzić, one właśnie były o włos od tego.

Jednak ona jeszcze nie skończyła. Najtrudniejsze wciąż było przed nią. Dziwne, ale jednak wcale nie wymagało od niej wysiłku, by ruszyć w tamtym kierunku.

Zeszła z platformy, jak gdyby popychana jedynie siłą pragnienia... przez kurtynę ludzi, reporterów i kamer po obu jej stronach... obok Lucindy Parmenter w ukwieconym kapeluszu, gapiącej się na nią z otwartymi ustami... obok Sissy, usiłującej teraz ujarzmić tego jej małego potwora Beau, który właśnie nakopał swemu bratu... obok wszystkich powodów, które kiedyś uważała za ważne, a o których wiedziała teraz, że są tak pozbawione znaczenia jak zeszłoroczny śnieg.

Kiedy dotarła do Gabe'a, zawahała się na chwilę - niezdolna lub niechętna, nie wiedziała co - podjąć ten ostatni krok. A potem uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, i podczas gdy kamery brzęczały, furczały i błyskały, a ciche buczenie głosów przebijało się przez niknące oklaski, Cordelia ujęła stwardniałą rękę człowieka, którego zamierzała poślubić, choćby nie wiadomo co.